

BLADY

DAVID FOSTER
WALLACE

KRÓL

Powieść nieukończona

David Foster Wallace

BLADY KRÓL

przełożył Mikołaj Denderski



Tytuł oryginału: *The Pale King. An Unfinished Novel*
Copyright © 2011 by David Foster Wallace Literary Trust
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX
Copyright © for the Polish translation by Mikołaj Denderski, MMXIX
Wydanie I
Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Przedmowa redaktora

Blady Król

§1

§2

§3

§4

§5

§6

§7

§8

§9

§10

§11

§12

§13

§14

§15

§16

§17

§18

§19

[§20](#)

[§21](#)

[§22](#)

[§23](#)

[§24](#)

[§25](#)

[§26](#)

[§27](#)

[§28](#)

[§29](#)

[§30](#)

[§31](#)

[§32](#)

[§33](#)

[§34](#)

[§35](#)

[§36](#)

[§37](#)

[§38](#)

[§39](#)

[§40](#)

[§41](#)

[§42](#)

[§43](#)

[§44](#)

[§45](#)

[§46](#)

[§47](#)

[§48](#)

[§49](#)

[§50](#)

[Przypisy i uwagi](#)

[Przypisy](#)

Przedmowa redaktora

W 2006 roku, dziesięć lat po publikacji *Infinite Jest* Davida Fostera Wallace'a, wydawnictwo Little, Brown przygotowywało się do premiery jubileuszowego wydania tej niesamowitej powieści. Zaplanowano imprezy w Nowym Jorku i Los Angeles, ale im mniej odległa stawała się ich data, tym niechętniej David wyrażał się o perspektywie swojej na nich obecności. Zadzzwoniłem do niego i próbowałem przekonać. „Wiesz, że się zgodzę, jeśli będziesz nalegał – powiedział. – Ale, proszę cię, nie rób tego. Siedzę głęboko w czymś długim i trudno mi do tego wrócić, kiedy coś mnie odciąga”.

„Coś długiego” i „dłuższa rzecz” to określenia, po jakie David sięgał, kiedy mówił o powieści, nad którą pracował w latach po napisaniu *Infinite Jest*. W tym czasie ogłosił drukiem wcale niemało – tomy opowiadań w 1999 i 2004 oraz zbiory esejów w 1997 i 2005 roku. Jednak sprawa powieści majaczyła na horyzoncie, a Davida krępowało mówienie o niej. Gdy pewnego razu go przycisnąłem, porównał pracę nad nią do siłowania się z arkuszami balsy w porywistym wietrze. Od czasu do czasu jego agentka literacka Bonnie Nadell relacjonowała mi: David miał uczęszczać na kurs rachunkowości, zbierając materiały do powieści. Jej akcja miała się toczyć w centrum kontroli zeznań podatkowych IRS. Wcześniej przypadł mi w udziale niesamowity zaszczyt współpracowania z Davidem przy redakcji *Infinite Jest* i oglądania całych światów, w jakie zamieniał akademię tenisa i ośrodek resocjalizacji dla uzależnionych. Pomyślałem sobie, że jeżeli ktoś byłby w stanie pokazać podatki jako ciekawy temat, tym kimś jest na pewno on.

Do czasu śmierci Davida we wrześniu 2008 roku nie ujrzałem ani słowa ze wspomnianej powieści, poza kilkoma fragmentami, które opublikował w magazynach, opowiadaniem bez wyraźnego związku z rachunkowością czy systemem podatkowym. W listopadzie Bonnie Nadell razem z Karen Green, wdową po Davidzie, przejrzały skrzętnie zawartość jego pracowni, mieszczącej

się w garażu z jednym małym oknem w ich domu w kalifornijskim Claremont. Na biurku Davida Bonnie znalazła starannie ułożony stos wydruków rękopisu, liczący dwanaście rozdziałów, w sumie 250-stronicowy. Na etykiecie dysku mieszczącego te rozdziały napisał „Na zaliczkę od LB?”. Bonnie sugerowała mu wcześniej wyjęcie kilku rozdziałów z powieści i przysłanie do Little, Brown w celu rozpoczęcia negocjowania umowy i zaliczki. Tu znajdował się fragment rękopisu, niewysłany.

W trakcie przeszukiwania pracowni Davida Bonnie i Karen znalazły setki stron powstającej powieści, oznaczonych tytułem *Blady Król*. Dyski, teczki, segregatory, kołonoratniki i dyskietki zawierały wydrukowane rozdziały, pliki ręcznie zapisanych stron, notatek i jeszcze wiele ponadto. Poleciałem do Kalifornii na ich prośbę, a dwa dni później wróciłem do domu z zieloną podrózną torbą na ramię i dwiema reklamówkami Trader Joe's pełnymi rękopisów. Pudło z książkami, z których David korzystał w swojej pracy przygotowawczej, nadeszło wkrótce pocztą.

Lektura tych materiałów w trakcie miesiący po powrocie ukazała mi zaskakująco pełną powieść, pisaną z ową nadmiarową oryginalnością i humorem, jakie wyróżniały Davida. Czytając jej kolejne rozdziały, czułem nieoczekiwaną radość, ponieważ przebywanie wewnątrz tych światów dawało mi poczucie obcowania z nim i pozwalało zapomnieć o okropnym fakcie jego śmierci. Niektóre fragmenty miały swoje staranne, wielokrotnie poprawiane wersje komputerowe. Z kolei inne znajdowały się w fazie szkicu skreślonego drobnym pismem Davida. Część, między innymi rozdziały z blatu biurka, zdradzała niedawne zabiegi wykończeniowe. Reszta była znacznie starsza i zawierała wątki, które zostały zarzucone lub zastąpione innymi. Były tam także zapiski i falstarty, listy z imionami i nazwiskami postaci, pomysły fabuły, instrukcje autora adresowane do siebie samego. Jeden z oprawionych w skórę zeszytów wciąż był zamknięty na zielonym mazaku, którym David ostatnio pisał.

Na żadnej spośród wszystkich tych stron nie znalazłem zarysu całości czy innej wskazówki co do kolejności, w jakiej David zamierzał ułożyć rozdziały. Kilka ogólnych notatek odnosiło się do trajektorii fabuły, wstępne zaś wersje rozdziałów nierzadko

poprzedzały uwagi Davida co do przeszłości danej postaci i jej możliwych dalszych losów. Nie istniała jednak lista scen, żaden jednoznacznie określony początek czy koniec, nic, co można by uznać za zestaw wskazówek czy instrukcji do *Bladego Króla*. Niemniej w toku wielokrotnej lektury stało się dla mnie jasne, że David napisał już spory kawał powieści, powołując do życia sugestywne w swojej złożoności miejsce – Regionalne Centrum Kontroli IRS, w Peorii, Illinois, w roku 1985 – oraz niezwykle grono postaci, które toczą w nim walkę z siermiężnie brutalnymi, przerażającymi demonami szarej codzienności.

Karen Green i Bonnie Nadell poprosiły mnie o ułożenie z tych stron możliwie najlepszej wersji *Bladego Króla*. Było to wyzwanie nieporównywalne z niczym, z czym do tej pory przyszło mi się mierzyć. Jednak przeczytawszy ten brudnopis i notatki, pragnąłem, by ci, którzy cenią dzieło Davida, mieli możliwość wglądu w to, co stworzył – żeby dane im było raz jeszcze zajrzeć w głąb tego niezwykłego umysłu. Jakkolwiek *Blady Król* nie był żadną miarą dziełem skończonym, objawił mi się jako zamierzenie nie mniej odważne i głębokie niż którakolwiek z rzeczy napisanych wcześniej przez Davida. Praca nad nim była najlepszym aktem wdzięcznej pamięci, na jaki mogłem się zdobyć.

Kompletując tę książkę, trzymałem się wewnętrznych wskazówek z samych rozdziałów oraz z zapisków Davida. Nie było to proste zadanie – okazuje się, że nawet rozdział, który wydawał się oczywistym początkiem powieści, po lekturze zawartego w nim przypisu, a bardziej jeszcze po lekturze wcześniejszej jego wersji, jest przeznaczony do wykorzystania w znacznie dalszym punkcie książki. Inna notatka do tego samego rozdziału określa powieść jako pełną „zmiennych perspektyw, strukturalnej fragmentacji, celowych niespójności”. Jednak z wielu rozdziałów wyłania się centralna historia, która trzyma się dosyć przejrzystej chronologii. W fabule tej kilkoro bohaterów zjawia się w Regionalnym Centrum Kontroli w Peorii tego samego dnia w 1985 roku. Przechodzą proces orientacyjny i zaczynają pracować i poznawać przepastny świat obsługi zeznań podatkowych federalnej służby IRS. Te rozdziały

oraz wielokrotnie przewijające się w nich postaci łączy wyraźny narracyjny porządek, który stanowi kręgosłup powieści.

Inne rozdziały to zamknięte całości i nie wpisują się w żadne chronologie. Ułożenie tych samodzielnych sekcji było najtrudniejszą częścią pracy redakcyjnej nad *Bładym Królem*. W miarę lektury przekonywałem się, że David zamierzał nadać powieści strukturę pokrewną tej w *Infinite Jest*, gdzie czytelnik otrzymywał znaczne ilości pozornie niezwiązanych ze sobą informacji przed zawiązaniem zasadniczej fabuły. Liczne notatki Davida określały powieść mianem „tornadycznej” czy też jako wywołującą „wrażenie tornada” – co sugerowało zderzenie czytelnika z rozpedzonym wirem elementów historii. Większość achronologicznych rozdziałów traktuje o codzienności Regionalnego Centrum Kontroli, instytucjonalnych praktykach i legendach IRS oraz zawiera przemyślenia na temat nudy, powtarzalności i oswojenia. Niektóre z nich to historie nietypowego i trudnego dzieciństwa, których nieoczywiste z początku znaczenie powoli się wyjaśnia. Moim celem było ułożenie ich w takiej kolejności, by informacje w nich zawarte mogły w odpowiednim momencie wnieść coś istotnego do fabuły chronologicznej. W niektórych przypadkach umiejscowienie jest kluczowe dla rozwijającej się historii, w innych kształtuje tempo i nastrój, jak to się dzieje w przypadku umieszczania krótkich i zabawnych rozdziałów pomiędzy dłuższymi i poważnymi.

Przewodnia historia nie ma w powieści określonego zakończenia, w związku z czym rodzi się nieuchronne pytanie: jak bardzo niedokończona jest ta książka? O ile więcej mogło się w niej znaleźć? Tego nie sposób dociec wobec braku szczegółowego planu, który zawierałby wykaz scen i historii, jakie należało jeszcze napisać. Pewne notatki ze stron manuskryptu Davida sugerują, że nie zamierzał znacząco rozbudowywać akcji powieści poza zebrane tu rozdziały. W jednej z notatek czytamy, że powieść to „seria okoliczności, w których coś ma się wydarzyć, ale nic się właściwie nie wydarza”. W innej pada stwierdzenie, że powieść ma „3 dużych graczy (...) Tylko że nigdy nie widzimy ich samych, a jedynie ich asystentów i umyślnych”. Jeszcze inna daje nam do zrozumienia, że „w powietrzu wisi groźba czegoś dużego, która się nie materializuje”. Te linijki mogłyby uwiarygodniać stanowisko,

zgodnie z którym pozorna niekompletność powieści jest w istocie zamierzona. David skończył swoją pierwszą powieść, urywając dialog w pół słowa, a drugą – odnosząc się jedynie w aluzjach do zasadniczych pytań wyłaniających się z fabuły. Jedną z postaci w *Błędym Królu* opisuje tworzona przez siebie sztukę teatralną, w której ktoś siedzi przy biurku, pracując w milczeniu, dopóki publiczność nie wyjdzie z sali, kiedy to rozpoczyna się właściwa akcja. Tyle że – kontynuuje – „nigdy nie mogłem się zdecydować co do akcji – czy (...) to ma mieć jakąkolwiek akcję?”. W sekcji zatytułowanej *Przypisy i uwagi* prezentuję mały wyciąg z notatek Davida na temat bohaterów i historii. Te zapiski i linijki w samym tekście wskazują na pomysły względem kierunku i kształtu powieści, ale żaden z nich nie narzuca mi się jako rozstrzygający. Sądzę, że David wciąż zgłębiał świat, który stworzył, i nie nadał mu jeszcze ostatecznej formy.

Strony rękopisu zostały poddane tylko nieznacznej redakcji. Jednym z jej celów było ujednoczenie imion i nazwisk bohaterów (David wymyślał cały czas nowe) oraz uzgodnienie nazw miejsc, tytułów służbowych i innych elementów faktografii rozsianych po książce. Innym powodem było poprawienie ewidentnych błędów gramatycznych i powtórzeń. Niektóre rozdziały rękopisu nosiły adnotację „Wersja zerowa” albo „wolnopis” – bo tak David określał pierwsze podejścia – i zawierały dopiski typu „Skrócić o 50% w następnej wersji”. Gdzieniegdzie dokonywałem cięć, mając na uwadze tempo albo starając się znaleźć odpowiedni moment kończący rozdział, który urywał się bez rozstrzygnięcia. Moim naczelnym zamiarem przy nadawaniu kolejności i redakcji było pozbycie się elementów w niezamierzony sposób rozpraszających i wprowadzających zamieszanie, a to po to, by umożliwić czytelnikom skupienie się na ważkich kwestiach, które David pragnął poruszyć, a także by uczynić historię i postacie możliwie najbardziej zrozumiałymi. Całość oryginalnych brudnopisów tych rozdziałów, jak również wszystkie materiały, z których niniejsza powieść została wykrojona, będzie dostępna publicznie w Harry Ransom Center przy Uniwersytecie Teksaskim, które jest depozytariuszem wszystkich papierów Davida Fostera Wallace’a.

David był w najwyższym stopniu perfekcjonistą i nie ulega wątpliwości, że *Blady Król* byłby diametralnie inny, gdyby autor pozostał wśród żywych i dokończył dzieła. Przez te rozdziały przewijają się słowa i obrazy, które z pewnością by poprawił; wyrażenia takie jak „zrobić sobie dobrze” i „nacieranie uszu” prawdopodobnie nie powtarzałyby się aż tak często. U przynajmniej dwóch różnych postaci występuje doberman-pacynka. Te i dziesiątki innych powtórzeń i przypadków niedbałości na poziomie brudnopisu zostałyby wyeliminowane i poprawione, gdyby David kontynuował pracę nad *Bladym Królem*. Postanowił inaczej. Stojąc przed wyborem przygotowania tego dalekiego od ostatecznego kształtu tekstu do wydania w formie książki a umieszczeniem go w bibliotece naukowej, gdzie czytaliby go i komentowali wyłącznie badacze, nie wahałem się nawet przez sekundę. To dzieło, które nawet niedokończone stanowi wybitną lekturę, biorącą na warsztat największe wyzwania egzystencji, a przy tym jest niezwykle odważnym przedsięwzięciem artystycznym. David podjął się napisania powieści poświęconej jednym z najtrudniejszych możliwych tematów – smutkowi i nudzie – i chciał zrobić to w sposób co najmniej frapujący, zabawny i głęboko poruszający. Każdy, kto pracował z Davidem, wie dobrze, jak mocno się wzbraniał przed pokazywaniem światu dzieła nieodpowiadającego jego rygorystycznym standardom. Ale dysponujemy niedokończoną powieścią i jakże mielibyśmy do niej nie zajrzeć? Niestety, David nie może już nas przed tym powstrzymać ani wybaczyć nam tego pragnienia.

Michael Pietsch

Blady Król

*Wpisujemy siebie w gotowe szablony, a gdy je wypełnimy,
nie są już tym samym, czym były; podobnie jest z nami.*

Frank Bidart, *Borges i ja*

§1

Poprzez flanelowe równiny i asfaltowe grafy, i horyzonty z giętej rdzy, w poprzek tabaczkowobrunatnej rzeki z brzegami w schylonych w szłochu drzewach, rzucających w nurt monety wpadającego przez liście światła w dolnym biegu, do miejsca za wiatrochronem, gdzie niezaorane pola smażą się wściekle w przedpołudniowym upale: sorgo, komosa, zamokrzyca, kolcorośl, cibora, bieluń dziedzierzawa, mięta polna, mniszek, wyczyniec, winorośl, dzika kapusta, nawłóć, bluszczyk kurdybanek, zaślaz, pokrzyk, ambrozja, owsik, wyka, myszopłoch kolczasty, wgłobione samosiejki fasoli – wszystkie główki wdzięcznie raz w górę, raz w dół w porannej bryzie, jak pod łagodną dłonią matki głaszczącą cię po policzku. Strzała szpaków spod strzechy wiatrochronu. Migotanie rosy, która nie rusza się z miejsca i paruje jak dzień długi. Słonecznik, jeszcze cztery, jeden schylony, no i konie w oddali, sztywne i nieruchome jak zabawki. Wszystko skinieniem na tak. Elektryczne odgłosy owadów przy pracy. Światło barwy piwa i blade niebo, i floresy cirrusów wysoko tak, że nie rzucają cienia. Owady nie tracą czasu – przez cały ten czas. Kwarc i rogowiec, i łupek metamorficzny, i rdzawe strupy chondrytów w granicie. Bardzo stara ziemia. Rozejrzyj się wkoło. Horyzont w drgawkach, bezkształtny. Wszyscyśmy sobie braćmi.

Nadlatują wrony, trzy albo cztery, nic wielkiego, szybują bezgłośnie w skupieniu, ciągnąc za ziarnem w stronę drutu pastwiska, za którym jeden koń obwąčuje zad drugiego, a ten usłużnie unosi ogon. Marka twoich butów odcisnięta w rosie. Powiew lucerny. Skrzypienie skarpetek. Suchy chrzest wewnątrz przepustu. Zardzewiały drut i poprzecyłane słupki – bardziej symbol ograniczenia niż właściwy płot. ZAKAZ POLOWAŃ. Szum na międzystanówce za wiatrochronem. Wrony z pastwiska – a figura każdej wyznacza inny kąt – przewracają placki na drugą stronę, by dostać się do robaków pod spodem – kształty robaków wytłoczone w gnoju i wypalane na słońcu przez cały dzień, utrwalone, drobne

bezrefleksyjne linie w rzędach i pierścienie, niedomknięte, bo też głowa nigdy naprawdę nie dotyka ogona. Czytaj z tego.

§2

Z Midway Claude Sylvanshine poleciał następnie jakimiś bodaj Consolidated Thrust Regional Lines do Peorii, na pokładzie ich koszmarnego trzydziestomiejscowca, którego pilot o karku pokrytym pryszczami sięgnął za siebie i odgrodził kokpit od części pasażerskiej, zaciągając tandetną zasłonkę, i w którym serwis pokładowy ograniczał się do chwiejnie kroczącej dziewczyny, podtykającej człowiekowi pod nos orzeszki, gdy ten dulał pepsa. Fotel Sylvanshine'a, przy oknie, znajdował się w rzędzie nr 8 z jakąś literką, przy wyjściu bezpieczeństwa, obok starszej pani z workowato zwisającym podbródkiem, która pomimo rozpaczliwych wysiłków nie była w stanie otworzyć paczki orzeszków. Podstawowe równanie rachunkowości, stanowiące, że *aktywa = należności + kapitał wł.*, można odwracać i przekształcać na wszystkie sposoby, od *kapitał wł. = aktywa – należności* począwszy. Samolot radził sobie z prądami wstępującymi i zstępującymi jak ponton w czasie sztormu. Do Peorii można było dolecieć tylko regionalnymi liniami z Saint Louis albo któregoś z dwóch lotnisk obsługujących Chicago. Sylvanshine miał ten problem z uchem środkowym, który uniemożliwia czytanie w samolotach, a jednak zdołał się już dwukrotnie zapoznać z instrukcją bezpieczeństwa. Składały się na nią głównie rysunki; ze względów prawnych linie musiały zakładać analfabetyzm pasażerów. Całkiem nieświadomie Sylvanshine powtarzał w myślach słowo „niepiśmienny”, aż po kilkudziesięciu razach słowo przestało znaczyć cokolwiek i stało się tylko rytmicznym dźwiękiem – nie nieprzyjemnym, jednak nijak niezsynchronizowanym z odgłosem pulsujących silników. Robił tak, ilekroć odczuwał napięcie, a nie życzył sobie wtargnąć w świadomość. Punktem wyjścia było dla Sylvanshine'a Dulles, skąd zabrał go rejsowy autokar kursujący z Shepherdstown / Martinsburga. Trzy główne kodyfikacje amerykańskiego prawa podatkowego to oczywiście te z lat 1916, '39 i '54, przy czym zapisy dotyczące indeksowania i przeciwdziałania

nadużyciom, odpowiednio z lat '81 i '82, również należy brać pod uwagę. Tego, że kolejna wielka rekodyfikacja rysuje się właśnie na horyzoncie, nie będzie oczywiście na egzaminie na biegłego rewidenta. Osobistym celem Sylvanshine'a było zdać egzamin na biegłego i tym sposobem awansować o dwa szczeble w tabeli płac. Zakres rekodyfikacji będzie, rzecz jasna, zależeć częściowo od tego, w jakim stopniu Służbie powiedzie się operacja wprowadzenia dyrektyw Inicjatywy w życie. Praca i egzamin będą musiały zamieszkać w osobnych częściach umysłu; nade wszystko konieczne było zachowanie rozdziału władz. Rozgraniczenia obszarów. Obliczanie należności z tytułu odzyskiwania amortyzacji w przypadku zysków z sekcji 1231 to proces pięciostopniowy. Lot trwał pięćdziesiąt minut i wydawał się znacznie dłuższy. Nie było co robić, a w głowie nic nie chciało mu siedzieć spokojnie przy całym tym hałasie w zamkniętym pomieszczeniu, tak że kiedy skończyły się orzeszki, nie pozostało nic, czym Sylvanshine mógłby zająć myśli, poza próbami obserwacji ziemi, sprawiającej wrażenie na tyle nieodległej, że można było rozróżnić kolory domów i rodzaje pojazdów na bladej autostradzie międzystanowej, którą samolot jakby cały czas przeskakiwał – wte i wewte. Postacie z instrukcji, otwierające wyjścia bezpieczeństwa, ciągnące za przewody i krzyżujące ręce w pochówkowych pozach, z poduszkami na piersiach, wyglądały, jakby narysował je amator, a rysy ich twarzy były zredukowane do ledwie zauważalnych guzków; nie dało się z ich oblicz wyczytać strachu ani ulgi, ani właściwie czegokolwiek, gdy tak zjeżdżały po rękawach ratowniczych na ilustracji. Klamki drzwi awaryjnych obsługiwało się w pewien sposób, który nie miał nic wspólnego ze sposobem otwierania wyjść awaryjnych nad skrzydłami. Składniki wartości majątku netto dzielą się na akcje zwykłe, zyski zatrzymane oraz ile rodzajów transakcji giełdowych? Wskaż różnice między systemem inwentaryzacji ciągłej a systemem inwentaryzacji okresowej i wyjaśnij zależność/-ci zachodzącą/-e między spisem z natury a kosztem własnym sprzedaży. Ciemnosiwa głowa przed nim wydzielala intensywną woń żelu Brylcreem, który w tej chwili z pewnością sączył się w papierowy ręcznik na oparciu fotela, plamiąc go. Sylvanshine po raz kolejny żałował, że nie leci z nim Reynolds. Sylvanshine i Reynolds byli współpracownikami

ikony Pionu Systemów, Merrilla Errola („Mela”) Lehrla, tyle że Reynolds dorobił się 11. szczebla płacowego, podczas gdy Sylvanshine miał jedynie smutną i żalospną dziewiątkę. Sylvanshine i Reynolds mieszkali razem i wszędzie razem chodzili od czasu kataklizmu w RCK w Rome w osiemdziesiątym drugim. Nie byli homo; po prostu mieszkali razem i obaj ściśle współpracowali z dr. Lehrlem w Systemach. Reynolds miał zarówno biegłego rewidenta, jak i dyplom z zarządzania systemami informatycznymi, mimo że był tylko nieco ponad dwa lata starszy od Sylvanshine’a. Ta asymetria stanowiła jeszcze jeden powód zaniżonej samooceny Sylvanshine’a od czasów Rome i czyniła go podwójnie lojalnym i zobowiązanym wobec dyrektora Systemów, Lehrla, który wyniósł go z pogorzelska po katastrofie w Rome i uwierzył w jego potencjał, gdy potwierdziła się jego przydatność w niszy kółek w maszynie. Metoda podwójnego zapisu wynaleziona przez Włocha Paciolego w tym samym czasie, kiedy Krzysztof Kolumb *et alia*. Z instrukcji wynikało, że samolot należy do tych, w których tlen do masek tłoczy się z tych jakby gaśnic pod siedzeniami, a nie znad schowków nad głową. Prymitywna nieczytelność twarzy postaci czyniła je straszniejszymi, niż gdyby nadano im wyraz strachu czy jakąś inną autentyczną minę. Nie było jasne, czy zasadniczą funkcją instrukcji było czynić zadość względom prawnym czy PR, czy też może jednym i drugim. Przez chwilę usiłował sobie przypomnieć specjalistyczną definicję technicznego czasownika „myszkować”. Gdy tej zimy Sylvanshine uczył się do egzaminu, co jakiś czas bekał, a nawet miał wrażenie, że więcej niż bekał; to potrafiło pozostawić w ustach taki posmak, jakby się trochę porzygał. Drobną deszcz osiadał na szybach ruchomą koronką i zniekształcał pola pociętej w prostokąty ziemi, nad którą przelatywali. W głębi duszy Sylvanshine widział siebie jako niezdecydowanego durnia obdarzonego co najwyżej jednym wątpliwym talentem, którego związek z jego osobą był sam w sobie dość luźny.

Oto co zaszło w należącym do Służby północno-wschodnim Regionalnym Centrum Kontroli w Rome, NY we wspomnianym czasie lub około niego: w dwóch działach nie nadążano z robotą i zachowano się w pożałowania godny, nieprofesjonalny sposób, dopuszczając do sytuacji, w której atmosfera radykalnego stresu

zaburzyła rzetelny osąd i wzięła górę nad ustalonymi procedurami, skutkiem czego działały te usiłowały ukryć rosnącą górę zeznań podatkowych i faktur do audytu krzyżowego oraz kopii druków W-2/1099, zamiast zgłosić zaległości i zawnieioskować o przejęcie części nadwyżki przez inne centra. Nie zastosowano się do przepisu o pełnym ujawnieniu i nie wdrożono natychmiastowo procedury zaradczej. To, na którym dokładnie etapie nie zastosowano się do przepisu i gdzie wystąpiło rozprężenie, było wciąż przedmiotem kontrowersji, pomimo sesji przerzucania się winą na najwyższych szczeblach w Przyjęciach, jednak i tak ostatecznie odpowiedzialność ponosiła dyrektor RCK w Rome, i to pomimo faktu, że nigdy właściwie nie ustalono, czy szefowie działów dali jej pełne wyobrażenie o rozmiarach zaległości. W krążącym wśród pracowników Służby dowcipie na biurku dyrektorki miała stać tabliczka z czasów administracji Trumana z napisem PIERWSZE SŁYSZĘ. Po trzech tygodniach z sekcji Audytu Okręgowego podniosło się wycie z powodu manka w liczbie sprawdzonych zeznań do przekazania audytowi i / lub do Systemu Zautomatyzowanej Egzekucji, a skargi powoli się spiętrzały, by w końcu trafić na białe biurko w Inspekcji, co – jak każdy powinien był się spodziewać – musiało wcześniej czy później nastąpić. Dyrektorka z Rome przeszła na wcześniejszą emeryturę, a jeden z kierowników grup został natychmiast zwolniony, co wśród księgowych 13. szczebla jest niezmierną rzadkością. Oczywiście ważne było, aby działania naprawcze przeprowadzić po cichu, by nadmierne nagłośnienie nie zachwiało pełnym zaufaniem, jakim Służbę darzy społeczeństwo. Nikt nie wyrzucał formularzy. Ukrywał, owszem, ale nie niszczył czy się ich nie pozbywał. Nawet w samym środku zgubnej wydziałowej psychozy nikt nie posunął się do palenia, przepuszczania przez niszczarkę czy pakowania w worki na śmieci i wyrzucania. To byłoby prawdziwą katastrofą – to by upubliczniono. Wyglądało na to, że okienko wyjścia awaryjnego to nic więcej jak kilka warstw plastiku niepokojąco podatnych na nacisk palców. Nad oknem widniało srogie napomnienie, przestrzegające przed otwieraniem wyjścia awaryjnego, któremu towarzyszył tryptyk rysunków z instrukcją otwierania tegoż. Jako system zatem, by tak rzec, było to słabo przemyślane. To, co obecnie

nazywano „stresem”, kiedyś określano mianem „napięcia” bądź „presji”. Obecnie „presja” była bardziej jak coś, co się wywiera na drugą osobę, jak w wyrażeniu „sprzedaż z zastosowaniem dużej presji na klienta”. Reynolds powiedział, że jeden z współpracowników międzywydziałowych dr. Lehrla porównał presję panującą w RCK w Peorii do „prawdziwego szybkaru”, chociaż uwaga dotyczyła Kontroli, a nie Kadr, do którego to pionu skierowano Sylvanshine’a w celu przeprowadzenia zwiadu i rozpoznania terenu pod „możliwą pełną ofensywę w Systemach”. Prawda, od powiedzenia której dzielił Reynoldsa tylko krok, wyglądała tak, że zadanie nie mogło być naprawdę newralgiczne, skoro powierzono je Sylvanshine’owi. Według jego ustaleń do egzaminu na biegłego rewidenta można podejść w Peoria College of Business 7 i 8 listopada oraz w Joliet Community College 14 i 15 listopada. Czas pobytu na tej placówce nieznan. Jedno z najskuteczniejszych ćwiczeń izometrycznych dla osób pracujących przy biurku polega na tym, że siedzi się z prostymi plecami i napina mięśnie pośladków, wytrzymuje, licząc do ośmiu, a następnie rozluźnia. Pobudza krążenie oraz czujność i w odróżnieniu od pozostałych ćwiczeń izometrycznych może być wykonywane nawet w miejscach publicznych ze względu na osłonięcie w znacznym stopniu samymi gabarytami biurka. Unikać grymasów i głośnego wypuszczania powietrza przy rozluźnianiu. Przekazanie na warunkach preferencyjnych, postanowienia likwidacyjne, wierzyciele niezabezpieczeni, roszczenia wobec masy upadłościowej wg rozdz. 7. Kapelusz trzymał na podołku, nad paskiem. Dyrektor Działu Systemów Lehrl zaczynał jako audytor z 9. szczeblem w Danville w Wirginii, zanim przyszedł *éclat* i awans za awansem. Miał siłę dziesięciu ludzi. Dla Sylvanshine’a najgorsze w nauce do egzaminu na biegłego było to, że uczenie się dowolnej rzeczy wzniewało w jego głowie burzę myśli o wszystkich innych rzeczach, których się jeszcze nie nauczył i z których czuł się słaby, co praktycznie nie pozwalało mu się skoncentrować i skutkowało coraz większymi tyłami. Do egzaminu na biegłego rewidenta przygotowywał się od trzech i pół roku. Przypominało to próby zbudowania modelu w porywistym wietrze. „Najważniejszym składnikiem w organizacji struktury do efektywnej nauki jest...” coś

tam. Wykładał się na zadaniach z treścią. Reynolds zdał egzamin za pierwszym podejściem. Myszkowanie to nieznaczne schodzenie z kursu na boki. Termin, którym określa się rzucanie do przodu i do tyłu, był inny. Coś z osiami. Coś, czego nazwa brzmiała „kardon” czy „kardan”, przychodziło mu do głowy zawsze, ilekroć w ogólniaku w Lombard widział młodego Donagana, który potem robił w Centrum Kontroli Naziemnej przy dwóch ostatnich misjach Apollo, a jego zdjęcie powieszono w szkole w gablocie koło gabinetu dyrektora. W tamtych czasach najgorsze było to, że wiedział, którzy spośród nauczycieli są najmniej odpowiednimi osobami na swoich stanowiskach, a oni jakoś później domyślali się, że o tym wie, i zupełnie się kompromitowali, kiedy ich obserwował. To była pętla. Album Sylvanshine’a z klasy maturalnej w jego skrzyni zdeponowanej w Philly był niemal w całości niepodpisany. Starsza strona po sąsiedzku wciąż usiłowała otworzyć swoją paczkę orzeszków zębami, ale wyraźnie dała do zrozumienia, że nie życzy sobie i nie potrzebuje pomocy. Rezerwa na świadczenia emerytalne (ReŚwEm) równa jest bieżącej wartości wszystkich świadczeń przysługujących pracownikom na mocy formuły świadczeń emerytalnych należnych z tytułu usług wyświadczonych na dzień poprzedzający sporządzenie sprawozdania. Jeśli wymawiać to szybko i zaakcentować najpierw *cz* i *a*, a potem *ch* i drugie *a*, wówczas *czacha* stanie się rytmicznym dzieciennym refrenem, czymś, do czego skaczą na skakance. Spójrz w dół koszuli i przeliteruj *khaki*. Jeden z nastolatków na zewnątrz salonu gier obok wiadomego miejsca na lotnisku Midway miał T-shirt z napisem SYMPATHY FOR NIXON TOUR i długą listą miejscowości drobnym nadrukiem. Dzieciak, który nie leciał tym samolotem, siedział potem krótko naprzeciwko Sylvanshine’a po skosie w strefie przed bramkami i skubał sobie twarz tak zapamiętale, że nie przypominało to w niczym nieprzytomnego robienia sobie przy twarzy i dotykaniu jej części, które towarzyszyło skupionej pracy dla Służby. Sylvanshine’owi wciąż śniły się szuflady biurek i przewody wentylacyjne wypchane formularzami, a także brzegi formularzy wyłazające przez kratki i schowek na przybory wypełniony po sufit kartami perforowanymi oraz to, jak babka z Inspekcji forsuje drzwi, a karty sypią się na nią jak z szafy Fibbera McGee, kiedy już

dorwano ich jako sprawców całej katastrofy po tym, jak narobili sobie tyłów z pokwitowaniami z audytów krzyżowych w RCK w Rome. Nadal śniło mu się, jak Grecula i Harris unieruchamiają mainframe'a Forniksa, wlewając coś z termosu w otwór tylnego wywietrznika, a z wnętrza wydobywają się syki i obłoczki niebieskawego dymu. Dzieciak nie miał aury sygnalizującej powołanie do czegokolwiek; z niektórymi ludźmi tak bywało. O standardach etycznych, których dotyczyła cała pierwsza część egzaminu, w Służbie krążyło też wiele dowcipów. Z naruszeniem etyki zawodowej mamy do czynienia najprawdopodobniej, kiedy: ... Dźwięk śmigieł był tak bardzo nie z tej ziemi, że Sylvanshine słyszał teraz zaledwie urywane sylaby rozmów dookoła. Szczypcowaty uchwyt kobiety na stalowym oparciu na rękę pomiędzy nimi przedstawiał okropny widok, którym zabronił sobie się zajmować. Ręce starych ludzi napawały go przerażeniem i odrazą. Miał kiedyś dziadków, których ręce spoczywające na podołkach były jak ręce kosmitów i przypominały szczypcowate szpony. Przy rejestracji spółka Jones, Inc. emituje akcje zwykłe po cenie wyższej od ich wartości nominalnej. Trudno było nie wyobrazić sobie twarzy ludzi, których pracą było wymyślanie tych pytań. O czym myśleli, jakie były ich zawodowe nadzieje i marzenia. Wiele spośród tych pytań przypominało historyjki, z których usunięto całe ludzkie mięso. 1 grudnia 1982 roku firma Clark Co. od trzech lat dzierżawi powierzchnię biurową, płacąc miesięczny czynsz w wysokości 20 000 dolarów. Licząc do stu, Sylvanshine starał się napinać najpierw jeden pośladek, a następnie drugi, zamiast obu naraz, co wymagało koncentracji i swoistego braku kontroli, jak przy próbach poruszania uszami przed lustrem. Spróbował tego odchylenia się na bok przy rozciąganiu mięśni szyi, bardzo nieznacznie i stopniowo, a mimo to nie uchronił się przed wymownym spojrzeniem starszej pani, która w swojej ciemnej sukience, z zapadłą twarzą, wyglądała coraz bardziej kostuchowato i przerażająco, jak zwiastun śmierci albo druzgocącej porażki na egzaminie na biegłego, które to obrazy w psyche Sylvanshine'a zlały się w jedną wizję popychania dużego przemysłowego mopa przez korytarz z dwoma rzędami drzwi o szybach z mlecznego szkła, podpisanych nazwiskami innych mężczyzn. Już sam widok mopa, wiadra na kółkach albo woźnego

z imieniem wyszytym czerwoną palmerowską kursywą na górnej kieszeni szarego kombinezonu (jak ten na Midway, przy męskiej ubikacji, gdzie niewielka żółta tablica ostrzegała w dwóch językach przed śliskimi podłogami, z imieniem kursywą jakoś na M, Morris albo Maurice, człowiek pasujący do swojej pracy tak samo jak do tego właśnie fragmentu przestrzeni, który zajmował) rozregulowywał teraz Sylvanshine'a do tego stopnia, że tracił cenny czas, jeszcze nim zdążył zastanowić się nad ustaleniem najbardziej efektywnego harmonogramu dla maksymalnie skutecznej nauki do egzaminu, choćby tylko powtarzania materiału w myślach, co robił każdego dnia. Jego wielką słabością była organizacja strategiczna i podział czasu, co Reynolds wytykał mu przy każdej sposobności, dyscyplinując Claude'a, by ten, na litość boską, wziął którąś książkę ze sterty i zakuwał, zamiast bezpłodnie siedzieć i głowić się nad najlepszym sposobem nauki. Upychanie formularzy za szafami i w przewodach wentylacyjnych. Zamykanie na klucz szuflad biurek wypchanych formularzami odnośników do tego stopnia, że i tak nie dałoby się ich otworzyć. Ukrywanie rzeczy za innymi rzeczami w koszach tingle'ów. Reynolds po prostu zjawił się w biurze dyrektorki przed wysłuchaniem i zdaje się, że cała osobista porażka wyparowała w czymś w rodzaju biurokratycznego obłoczka fioletowego dymu, bo tydzień później Sylvanshine rozpakowywał już swoje kartony w Systemach w Martinsburgu pod dr. Lehrlem. Cała sprawa była jak ujście śmierci w wypadku samochodowym dosłownie o kilka cali, tak że potem nie jest się w stanie powracać myślą do tego momentu, jeśli nie chce się dostać drgawek i przestać normalnie funkcjonować – tak blisko był wtedy katastrofy. Cały pawilon „grubych” rozpłynął się w powietrzu. Cichy dźwięk symulujący dzwonek towarzyszył zapalaniu się bądź znikaniu umieszczonych nad siedzeniem hieroglifów wyobrażających pasy bezpieczeństwa i papierosy; Sylvanshine podnosił wzrok za każdym powtórzeniem bez świadomego zamiaru. Przy pozyskiwaniu materiału dowodowego potwierdzającego prawdziwość zapisów sprawozdania finansowego audytor, na podstawie tych zapisów, formułuje określone cele audytu. Gdzieś za nim niemowlę zaniósł się szlochem; Sylvanshine wyobraził sobie, jak jego matka po prostu odpina pas, idzie z dzieckiem do innego rzędu i tam je zostawia.

W Philly, po gorączce towarzyszącej wprowadzeniu wskaźników inflacji, pod kątem których trzeba było skonfigurować nowe tabele w '81, zdiagnozowano u niego podrażnienie nerwu, o podłożu stresowym, w szyi i górnym odcinku pleców, które wzmagała jego wymuszona nienaturalna pozycja w miniaturowym, wąskim fotelu 8-B oraz widok spoczywającego na oparciu fotela obok niego szczypcowatego szponu, jeśli zwracał na niego uwagę. Tak właśnie było: w całej tej zabawie, tak z egzaminem, jak z samym życiem, wszystko zależało od tego, czemu człowiek zdecyduje poświęcić uwagę, i od tego, do czego ignorowania zmusi się siłą woli. Sylvanshine postrzegał siebie jako słabego i niedorozwiniętego w kwestii woli. To, za co inni go poważali czy cenili, było w znacznej mierze niezależne od woli, po prostu dane, jak wzrost czy symetria twarzy. Reynolds nazywał go człowiekiem słabego charakteru, i miał rację. Nawiedzało go urywkowe wspomnienie, w którym ich sąsiad, pan Satterthwaite, wypełnia zarysowania na butach od swojego munduru listonosza czarnym długopisem, który to obraz, nim zdążył się spostrzec, rozwijał się już we w pełni narracyjne wspomnienie o tym, jak to pan i pani Satterthwaite, którzy byli bezdzietni i w pierwszej chwili, gdy się ich spotkało, nie wyglądali na szczególnie przyjaznych czy zainteresowanych dziećmi, pozwalali, by ich podwórko służyło za de facto kwaterę główną wszystkim dzieciakom z okolicy, i nawet pozwolili, żeby Sylvanshine i ten katolik, chłopiec z tikiem przypominającym chroniczny grymas, podjęli próbę budowy partacko kleconego i niestabilnego domku na jednym z ich drzew, i Sylvanshine nie mógł sobie przypomnieć, czy domku nie ukończyli, bo rodzina chłopca się wyprowadziła, czy do przeprowadzki doszło później, a po prostu domek był zbyt spartaczony i mokry od żywicy, żeby go kończyć. Pani Satterthwaite cierpiała na toczeń i często bywała niedysponowana. Współczynniki odchylenia, wartości graniczne precyzji, losowanie warstwowe. Jak ujął to dr Lehl, entropia jest miarą pewnego rodzaju informacji, której posiadanie nie ma sensu. Lehl uznawał za aksjomat, że definitywnym sprawdzianem wydajności każdej struktury organizacyjnej jest informacja oraz filtrowanie i rozpowszechnianie informacji. Prawdziwa entropia miała jajco wspólne z temperaturą. Inną skuteczną pomocą

koncentracyjną było przywoływanie w myślach kojącego i niepowodującego napięcia widoku przyrody, wyobrazonego bądź z pamięci, a skuteczność tego wybiegu wzrastała, jeśli widok zawierał lub obejmował staw, jezioro, potok albo strumień – woda bowiem miała rzekomo potwierdzone oddziaływanie kojące na autonomiczny układ nerwowy i wspomagała skupienie – ale choć starał się, jak mógł, po ćwiczeniach z pośladkami Sylvanshine był w stanie przywołać wyłącznie postrzępioną siatkę w barwach podstawowych, która wyglądała jak psychodeliczny plakat albo to, co się widzi, gdy oberwie się w oko i zamknie się je z bólu. Dziwaczność słowa „niedysponowana”. Wykaż, że stosunek cen obligacji długoterminowych do stawek opodatkowania długoterminowych zysków kapitałowych nie jest odwrotnie proporcjonalny. Wiedział, kto na pokładzie kogoś kocha, kto na pokładzie powiedziałby, że kogoś kocha, ponieważ tak należało mówić, a kto by zaprzeczył. Poglądy Reynoldsa na kwestię małżeństwa / rodziny streszczały się w deklaracji, że ponieważ od dzieciństwa nie przepadał za ojcami, sam nie miał ochoty zostawać ojcem. W trzech różnych miejscach na zaliczonych dziś lotniskach Sylvanshine napotkał spojrzenia trzydziestoletnich mężczyzn z niemowlętami na plecach, w zaawansowanych technologicznie plecakach-nosidełkach, z żonami wyposażonymi w pikowane torby na pełny serwis niemowlęcia u boku, z żonami kontrolującymi sytuację, mężczyzn, którzy wyglądali zasadniczo na miękkich czy jak gdyby rozmiękczonych, zrozpaczonych w swoim pogodzeniu, kroczących może niezupełnie mozolnie, z oczami pustymi i ckliwie przepełnionymi zmęczoną stoickością młodych ojców. Reynolds nie nazwałby tego stoickością, tylko pogodzeniem się z jakąś wielką i przerażającą prawdą. Termin „osoba zależna” odnosi się do każdej osoby, na którą można dokonać odpisu z tytułu jej pozostawania na utrzymaniu albo na którą dokonanie takiego odpisu byłoby możliwe, lecz podatnik nie spełnia kryteriów dochodu brutto lub dochodu osiąganego wspólnie w przypadku wspólnego rozliczania się małżonków. Wymień dwa standardowe instrumenty, które umożliwiają powiernikom przesunięcie zobowiązań podatkowych na beneficjentów. Terminu „straty z inwestycji pasywnych” nie ma nawet na egzaminie na biegłego. Koniecznością było rozdzielanie

priorytetów Służby i priorytetów egzaminu pomiędzy dwa odrębne moduły czy dwie odrębne sieci. Jednym z czterech zdefiniowanych założeń była poprawa zdolności Peorii 047 do odróżniania legalnych spółek inwestycyjnych od słułów, rejestrowanych tylko po to, by umożliwić unikanie płacenia podatków. Kluczem było prawidłowe rozróżnienie strat z inwestycji pasywnych i strat z tytułu aktywów. Właściwy projekt zakładał stworzenie zarówno kazusu, jak i struktury kontrolnej pod automatyzację najważniejszych funkcji Kontroli w centrum w Peorii. Celem było wprowadzenie automatyzacji jeszcze przed kodyfikacją, w kolejnym roku podatkowym, orzeczeń podatkowych kwestionujących pewne warunki odnośnie do strat z inwestycji pasywnych. Róż na policzkach starszej pani – bardzo czerwony, leżąca jej na kolanach nieotwarta książka w miękkiej okładce, z wystającym językiem zakładki; żylaste i upstrzone plamami szczypce. Numer siedzenia Sylvanshine’a wybito na stali szczotkowanej oparcia na rękę, obok szczypiec. Ich paznokcie były głęboko, idealnie czerwone. Zapach zmywacza do paznokci jego matki, jej zestawu do makijażu, sposób, w jaki pasma jej włosów wymykały się z koka i wiły się wzdłuż karku pośród kuchennych oparów, gdy on i O’Dowd wrócili z podwórka Satterthwaite’ów z kciukami obitymi młotkiem i z sokiem drzewa w rzesach. Pasma i przebłyski bezbarwnej chmury przelatowały za oknem. To, co na górze i na dole, to były osobne historie, ale chmury zawsze miały w sobie coś rozczarowującego, gdy się w nie wleciało; przestawały być chmurami. Po prostu robiło się bardzo mgliście. MAMO to w lustrze OMAM – przyszło mu do głowy bez powodu. Następnie Sylvanshine poświęcił trochę czasu próbom poczucia, że jego własne ciało porusza się z tą samą prędkością co statek powietrzny, w którym się znajduje. W wielkich odrzutowcach było po prostu tak, jakby się siedziało w głośnym wąskim pokoju; tu przynajmniej zmiany w nacisku wywieranym na niego przez fotel i pas pozwalały mu uzmysławiać sobie ruch, a fizyczna szczerść tego faktu wydawała się nieść ze sobą przynajmniej jakieś poczucie bezpieczeństwa, które częściowo rekompensowało mu kruchość samolotu oraz bębnienie śmigieł, o którym próbował myśleć jako o ich normalnym dźwięku, ale wszystko, co miał w głowie, to dręczące, hipnotyczne, zapętłone

dudnienie, tak wszechogarniające, że mogło być właściwie ciszą. Lobotomia wiązała się z wsunięciem przez oczodół jakiegoś pręta czy sondy; jako termin funkcjonowała w parze z przymiotnikiem „czołowa”; tylko czy był jeszcze jakiś inny jej rodzaj? Świadomość tego, że wewnętrzne napięcie mogło skutkować niepowodzeniem na egzaminie, tylko wyzwalała wewnętrzne napięcie związane z perspektywą wystąpienia wewnętrznego napięcia. Musiał istnieć jakiś inny sposób radzenia sobie z wiedzą o katastrofalnych konsekwencjach wywołanych lękiem i stresem. Jakaś odpowiedź albo sztuczka woli: umiejętność niemyślenia o tym. Co, jeżeli znają ją wszyscy poza Claude'em Sylvanshine'em? Zwykł wizualizować sobie swego rodzaju ostateczne, udzielające się na poziomie platońskim Przerazenie jako drapieżnego ptaka, którego sam cień wystarczy, by porazić i sparaliżować ofiarę, która drży coraz bardziej, w miarę jak cień się zbliża i nabiera postaci nieuchronności. Często nawiedzało go takie poczucie: co, jeśli Claude Sylvanshine jest zasadniczo wybrakowany pod tym względem, pod którym inni nie są wybrakowani? Co, jeśli jest po prostu niedostosowany, na podobnej zasadzie jak ci, którzy rodzą się bez kończyn albo pewnych organów? Neurologia porażki. Co, jeżeli po prostu pisane mu było od urodzenia życie w cieniu Absolutnego Lęku i Rozpaczy, a wszelkie jego tak zwane działania były żałosnymi próbami odwrócenia uwagi od tego, co nieuniknione? Omów istotne różnice wynikające z księgowania rezerw i księgowania umorzeń w postępowaniu podatkowym przy należnościach nieściągalnych. Z pewnością lęk jest jakąś formą stresu. Nuda jest jak stres, ale stanowi osobną Kategorię Niedoli. Ojciec Sylvanshine'a, ilekroć w pracy działo się źle, zwykł mówić „Biada Sylvanshine'owi”. Istnieje technika antystresowa zwana Blokowaniem Myśli. Indeks nadwyżki aktualnej wartości to stosunek aktualnej wartości przyszłych przepływów gotówki do pierwotnych nakładów inwestycyjnych. Segment, znaczący segment, całkowity przychód z działalności segmentu, absolutny całkowity przychód z działalności segmentu, zysk operacyjny. Istotne odchylenie cenowe. Odchylenie cen materiałów bezpośrednich. Pomyślał o wyciąganej kracie osłaniającej kanał wentylacyjny nad biurkiem, przy którym pracował z Rayem Harrisem w RCK w Rome,

i o odgłosie, jaki wydała krata przy zdejmowaniu, a potem przy ponownej instalacji i dociskaniu jej przez Raya Harrisa nadgarstkiem, po czym odrzuciło go od tej myśli tak gwałtownie, że poczuł, jakby samolot przyspieszył. Międzystanówka pod nimi zniknęła z pola widzenia, żeby czasami znowu się ukazać w takim miejscu, że Sylvanshine musiał rozplaszcząć policzek na plastiku wewnętrznej części okna, żeby ją zobaczyć, po czym, gdy deszcz zaczął się na nowo i wiedział już, że schodzą, droga pojawiła się pośrodku okna, z małym natężeniem ruchu pojazdów pełzających z jałowym tragizmem, którego nigdy nie wyczuwało się na ziemi. Co, jeżeli jazda samochodem wydawałaby się kierowcy tak samo powolna jak jemu z tej perspektywy? To byłoby jak próby biegania pod wodą. W całej zabawie chodziło o perspektywę, filtrowanie, wybór przedmiotów postrzeżeń. Sylvanshine spróbował wyobrazić sobie ten niewielki samolot widziany z ziemi: drobny krzyżykowaty kształt na tle chmury o barwie mętnej starej wody po kąpieli, błyskający zestawem świateł w deszczu. Wyobraził sobie deszcz na twarzy. Słaby deszcz; taki jak pada w Wirginii Zachodniej; nie usłyszał choćby jednego tonu grzmotu. Sylvanshine był raz na pierwszej randce z reprezentantką Xeroksa, która na opuszkach palców miała nieco odrażające, skomplikowane wzory zgrubień od amatorskiej gry na banjo, zajęcia, któremu oddawała się w wolnym czasie; i przypomniał sobie – gdy po raz drugi rozległ się dzwonek i zapalił znak nad siedzeniem, przy czym hieroglif wyobrażający papierosa był z prawnego punktu widzenia niepotrzebny – głęboko żółtą barwę zrogowaciałego naskórka jej opuszków w przytłumionym świetle restauracyjnego stolika, gdy opowiadał tej artystce o zawłościach księgowości dochodzeniowej oraz przypominającej ul strukturze organizacyjnej RCK na Region Północno-Wschodni, które było tylko niewielką częścią Służby, a także o historii Służby i jej lekceważonych przez ogół ideałach i poczuciu misji, i o starym (dla niego) dowcipie o tym, jak pracownicy Służby, znalazłszy się w towarzystwie, zadają sobie absurdalnie dużo trudu, byle tylko uniknąć ujawnienia się jako pracownicy IRS, ze względu na społeczne piętno, jakie tej pracy często towarzyszyło w związku z powszechnymi wyobrażeniami na temat Służby i jej pracowników, cały czas przyglądając się jej

modzelem, gdy operowała nożem i widelcem, oraz że był tak zdenerwowany i spięty, że gadał i gadał o sobie, nie pytając wystarczająco o nią, o to, skąd to banjo i co ono dla niej znaczy, co było powodem, dla którego nie przypadł jej dostatecznie do gustu i nie odnaleźli w sobie pokrewnych dusz. Nie dał tej kobiecie od banjo szansy – teraz to rozumiał. To, co wygląda na egoizm, tak często wcale nim nie jest. Pod niektórymi względami Sylvanshine był teraz w Systemach zupełnie inną osobą. Ich znizanie się polegało głównie na wzroście poziomu szczegółowości wszystkiego, co mieli pod sobą – pola okazywały się zaorane i prezentowały prostopadłe bruzdy, a z silosów wyrastały pochyłe zsypanie i pasy transmisyjne, z kolei kompleks przemysłowy objawiał się jako zbiór osobnych budynków z oknami odbijającymi światło i skomplikowanymi zgrupowaniami pojazdów na parkingach. Każdy samochód nie tylko zaparkowany przez inną osobę, ale także wymyślony, zaprojektowany, złożony z części, z których każda została zaprojektowana i wytworzona, przewieziona, sprzedana, sfinansowana, nabyta i ubezpieczona przez pojedynczych ludzi z własną przeszłością i wyobrażeniami na swój temat, które wszystkie razem mają swoje miejsce w większym układzie faktów. Zgodnie z maksymą Reynoldsa rzeczywistość to układ faktów, którego charakter był w znacznej mierze przypadkowy i entropijny. Sztuka polegała na tym, żeby celować w fakty, które są istotne – jeśli Sylvanshine był jak śrutówka, to Reynolds był jak karabin. Wrażenie, jakby z prawej dziurki w nosie szła mu cienka strużka krwi, było halucynacją i należało je bezwzględnie zignorować; to wrażenie zwyczajnie nie istniało. W rodzinie Sylvanshine'a problemy z zatokami przybierały najgorsze formy. Starożytny Rzymianin Aureliusz. Pierwsze zasady. Zwolnienia a odliczenia, z tytułu dochodu brutto i od dochodu brutto. Stratę poniesioną z tytułu wierzytelności nieściągalnej poza działalnością gospodarczą klasyfikuje się zawsze jako krótkoterminową stratę kapitałową i jako taką można ją odliczyć w Tabeli D, zgodnie z następującym §: Na dachu jednego z budynków znajdowało się coś, co było oznaczonym lądowiskiem dla helikopterów albo skomplikowanym sygnałem wizualnym dla zniżających się samolotów, a ton podwójnego pomruku śmigieł zmienił się i w tym

samym momencie prawa zatoka zaczęła rozdymać mu się w czaszce, zapalając na czerwono, i naprawdę się teraz zniżali, to się nazywało kontrolowane spadanie, międzystanówka rozkwitała rokokowo zjazdami i półlistnymi koniczynami estakad, ruch gęstniał i było w nim coś uporczywego, a szponiaste szczypcy podniosły się ze stalowego oparcia, gdy na dole pojawił się zbiornik wodny, jezioro czy delta, i Sylvanshine poczuł, że zdrętwiała mu jedna stopa, gdy usiłował sobie przypomnieć charakterystyczną konfigurację krzyżowania ramion, w której postaci na karcie z instrukcją przyciskały do piersi podróżne poduszki na planszach dotyczących mało prawdopodobnego wypadku lądowania na wodzie, i teraz naprawdę i autentycznie wykonywali ruchy myszkujące, a ich prędkość stała się bardziej widoczna w tempie przesuwania się w dole sylwetek tego, co było najprawdopodobniej starszą dzielnicą Peorii *qua* miasta ludzi, ciasno upakowanych kwartałów przybrudzonej sadzą cegły i spadzistych dachów z masztem telewizyjnym, na którym zawieszono flagę, oraz przebłyskiem rzeki barwy bourbona, która nie była zbiornikiem wodnym sprzed chwili, ale mogła się z nim łączyć, i która w niczym nie przypominała majestatycznie toczącego swe wody i spienionego fragmentu Potomaku, którego widok wciskał się przez okna budynku Systemów, wychodzące na uświęcone pola Antietam, przy czym zauważył, że stewardesa na swoim własnym składanym siedzeniu schyliła głowę i obejmowała rękami kolana w sytuacji, gdy pod koniec roku łączna wartość godziwa papierów wartościowych Browna dostępnych do sprzedaży przekracza łączną wartość bilansową na początku roku, gdy jakby znikąd pojawił się przestwór nagiego cementu, podnoszący się w ich kierunku bez jakiegokolwiek sygnału ostrzegawczego czy zapowiedzi, a jego puszka napoju gazowanego zagłębiła się w kieszeń siedzenia przed nim, podczas gdy siwą trupią główką obok niego rzucało na prawo i lewo, odgłos śmigieł zaś zmieniał wysokość bądź barwę, gdy starsza pani nieruchomiła w fotelu, uniósłszy plisowany podbródek w przerażeniu, powtarzając coś, co Sylvanshine'owi zabrzmiało jak „ćwok”, a żyły siniały jej na wyciągniętej pięści, która zaciskała się na zgniecionej i cebulkowato napęczniałej, ale wciąż nieotwartej foliowej paczce bezfirmowych orzeszków.

„Piąty efekt ma więcej wspólnego z tobą, z tym, jak cię postrzegają. To potężne narzędzie, ale ma bardziej ograniczone zastosowanie. Uważaj, chłopcze. Gdy następnym razem będziesz prowadził z kimś niezobowiązującą rozmowę, urywasz nagle w pół zdania, patrzysz na niego uważnie i mówisz: «O co chodzi?». Mówisz to zatroskanym głosem. On na to: «Co masz na myśli?». Mówisz: «Coś jest nie tak, widzę przecież. O co chodzi?». I wtedy spojrzy na ciebie oniemiały i spyta: «Skąd wiedziałeś?». Nie zdaje sobie sprawy, że u każdego zawsze jest coś nie tak. Często więcej niż tylko jedna rzecz. Nie wie, że wszyscy żyją z czymś, co jest nie tak, i myślą, że wykazują się wielką siłą woli i samokontrolą, żeby tylko ukryć to przed innymi ludźmi, z którymi – jak sądzą – nic nigdy nie jest nie tak. Ludzie tak już mają. Zapytaj zniechęca, co jest nie tak, a to już nieważne, czy się otworzą i zaczną się wywnętrzać, czy się zaprą i dadzą ci do zrozumienia, że o czym ty gadasz, bo i tak pomyślą, że jesteś spostrzegawczy i masz dobry wgląd. Obie reakcje dają się wykorzystać, o czym za chwilę. Możesz to rozegrać tak albo tak. To się sprawdza w ponad dziewięćdziesięciu procentach przypadków”.

I stał – precyzyjnie się wpierszył obok upudrowanej starszej pani, będącej typem pasażera, który czeka w fotelu, aż wszyscy pozostali wysiądą z samolotu, po czym wychodzi osobno, z udawaną godnością – trzymając swoje rzeczy w korytarzu, którego zatłoczoną przednią część wypełniali sami pasażerowie w regionalnych podróżach służbowych, ludzie interesu, umyślnie ubrani po swojsku faceci ze Środkowego Zachodu, lecący na spotkania w sprawie sprzedaży na południe stanu albo wracający z Chicago z siedzib firm, których nazwy kończą się na „-co”, faceci, dla których lądowania takie jak ta myszkująco-trzęsąca zgroza sprzed chwili to chleb powszedni. Brzuchaci i poplamieni faceci w brązowych garniturach z podwójnej dzianiny albo w oliwkowych garniturach, z dyplomatkami z katalogów linii lotniczych. Faceci, których miękkie twarze pasują do ich pracy tak ściśle jak kiełbasy do swoich mięsistych osłonek. Faceci, którzy robią notatki za pomocą dyktafonów, którzy odruchowo spoglądają na zegarek, faceci z czerwonym czołem, stłoczeni, stojący w metalowej rurze do akompaniamentu przesuwającego się w dół skali tonalnej dźwięku

śmigieł i zamierającej wentylacji, w samolocie z gatunku tych, do których trzeba przystawić schody, zanim otworzą drzwi, ze względu na przepisy. Zastygła niecierpliwość biznesmenów stojących bliżej obcych, niż sami by kiedykolwiek zdecydowali się stanąć, pierś jednego niemal oparta o plecy drugiego, torby na garnitur przerzucone przez ramię, aktówki objijające się o siebie nawzajem, więcej łysych głów niż włosów, wzajemne wdychanie swoich zapachów. Faceci, którzy nie znoszą czekania albo konieczności stania, albo przymusu stania w kupie i czekania, faceci z organizerni oprawnymi w ciejącą skórę i z certyfikatami zarządzania czasem Franklina Questa, o klasycznym wyglądzie osób, które wbrew własnej woli znalazły się w ciasnej, ograniczonej przestrzeni, o wyglądzie prowincjonalnego handlowca, który zalega ze składkami na ubezpieczenie pracowników, bez środków, bez płynności finansowej, starającego się przetrwać kolejny miesiąc, ryby trzepoczącej się w sieci własnych zobowiązań. Dwie z osób na pokładzie popełnią ostatecznie samobójstwo, przy czym jedno z nich na zawsze pozostanie zaklasyfikowane jako wypadek. W Philly była cała podgrupa nieprzejednanych księgowych 9. szczebla, których jedynym zadaniem było uprzykrzanie życia drobnym przedsiębiorcom zalegającym ze składkami pracowniczymi, chociaż w Rome przez prawie rok jedynym pracownikiem w Przyjęciach odbierającym alerty w sprawie składek na SSI z Martinsburga była Eloise Prout vel Doktor Yes, około czterdziestoletnia księgowa 9. szczebla w makramowym kapeluszu, która jadała lunch przy biurku, posiłkując się skomplikowanym systemem pojemników Tupperware, a także dziwka randkowa najżałośniejszego gatunku, którą chłopaki w Kontrolach przezwali Doktor Yes po tym, jak podobno przespała się z Shermanem Garnettem w zamian za samą obietnicę – niedotrzymaną – że pójdzie z nią na spacer po miejskich błoniach, gdy śnieg dopiero co przestanie padać i wszystko będzie białe i skrzące. Ta Eloise Prout, która co miesiąc wychodziła tak bardzo poniżej normy w zgłoszeniach i odzysku, że każda inna dziewiątka na jej miejscu skończyłaby z brązową czapką na głowie, ale przygłupi sympatyczny szef RCK pan Orkney nadal ją trzymał, bo zdaje się, że Prout straciła męża w wypadku samochodowym, a z jej wdowiej pensji 9. szczebla z trudem starczało na kocią karmę,

o czym Sylvanshine dobrze wiedział, a teraz czuł, jak w stopie pulsuje mu świeży dopływ krwi, i przepraszał za każdym razem, kiedy ktoś potrącił jego bagaż podręczny, wysłany teraz na trzecią placówkę w ciągu czterech lat, nadal 9. szczebel, z obietnicą, że awansuje na 11., jeśli zda egzamin na biegłego tej wiosny i wywiąże się ze swojej roli oczu i uszu Systemów w terenie w trakcie potopów zeznań korporacyjnych 15 marca i później indywidualnych 1040 i EST 15 kwietnia, które w 047 w Peorii będą musieli sprawdzić, a chociaż podchodził do egzaminu już dwukrotnie, zaliczył do tej pory jedynie część zarządczą, i to z niską oceną, do tego reputacja Sylvanshine'a z Philly przyszła z nim do Rome, skazując go na uwięzienie w zeznaniach poziomu 1., nawet nie w „grubych” czy przeglądzie, w związku z czym był niewiele więcej niż zawodowym otwieraczem kopert, czego Soane, Madrid *et al.* nie omieszkali głośno zauważyć.

Sylvanshine na ogół wykonywał swoją pracę w stanie rozgorączkowania, które kontrastowało z powolną, ascetyczną i metodyczną dyspozycją naprawdę świętych księgowych, jak powiedział mu jego pierwszy kierownik grupy w Rome, całe życie na nocnej zmianie, który nosił ekscentryczną marynarkę i zawsze opuszczał RCK z małym romboidalnym pudełkiem chińszczyzny dla żony, spędzającej ponoć całe dni w domu. Ten księgowy 11. szczebla u zarania swojej kariery dostał przydział w Centrum Obsługi w St. Louis, które stało dosłownie w cieniu tego całego przerażającego olbrzymiego metalowego łuku i do którego pocztę przywoziły wielkie wyjące osiemnastokołowe ciężarówki dokujące przy długim pasie transmisyjnym, tak że na przerwach w pokoju socjalnym tenże kierownik grupy lubił odchyłać się na krzesło, dzierżąc parasol i wypuszczając srebrne obłoki dymu papierosowego wznoszącego się pod lampy fluorescencyjne, snuć wspomnienia o lecie na Środkowym Zachodzie, regionie, którego Sylvanshine i inne młode wschodnie dziewiątki nie znały, w związku z czym kierownikowi grupy udało się zaszczepić w ich umysłach wizję łowienia ryb na bosaka na brzegach nieruchomych rzek oraz księżycy, przy którego świetle można czytać gazetę, a także krainy, w której wszyscy pozdrawiają się nawzajem za każdym razem, gdy się widzą, i poruszają się w jakimś radosnym zwolnionym tempie.

Miał na nazwisko Bussy, pan Vince albo Vincent Bussy, i nosił parkę z Kmarta z kapturem ze sztucznym futerkiem, i potrafił przebierać błyszczącą monetą na kostkach palców, jak magik, i zniknął po drugiej imprezie bożonarodzeniowej Sylvanshine'a w tamtym RCK, kiedy jego żona (tj. pani Bussy) nagle zjawiła się w samym środku hulanki w koszuli nocnej barwy złamanej bieli i identycznej niezapiętej parce, by następnie podejść do Dyżurnego Urzędującego Podkomisarza Regionalnego ds. Kontroli i – mówiąc powoli i atonalnie oraz z pełnym przekonaniem – oświadczyć mu, że jej mąż, pan Bussy, powiedział, jakoby on (DUPRK) dysponował potencjalnymi zadatkami na naprawdę bardzo złą osobę, tylko musiałby się dorobić nieco większego zestawu jaj, po czym po upływie tygodnia Bussy zniknął tak nagle, że jego parasol wisiał na wspólnym wieszaku na płaszcze dla pracowników Pawilonu jeszcze przez niemal kwartał, zanim ktoś go wreszcie stamtąd zdjął.

Opuścili samolot i zeszli schodami, by odebrać torby podróżne, które skonfiskowano i ometkowano na Midway, i teraz czekał w niejednorodnym rzędzie na mokrym smołobetonie obok samolotu, stojąc chwilę w tłumie na cementowej płaszczyźnie wymalowanej w skomplikowany sposób, podczas gdy ktoś w pomarańczowych nausznikach, trzymający podkładkę do pisania z klipsem, liczył bagaże, by następnie porównać tę rachubę z poprzednią rachubą przeprowadzoną na Midway. Cała operacja robiła wrażenie raczej improwizowanej i niedbałej. Na stromych i dostawianych do samolotu schodach Sylvanshine doświadczył, jak zwykle, satysfakcji, jaką dawało mu zakładanie kapelusza i ustawienie właściwego kąta jedną ręką. W prawym uchu odzywały mu się lekkie pyknięcia i trzaski przy każdym przełknięciu śliny. Wiatr był ciepły i wilgotny. Wielki wąż biegł od małej ciężarówki do brzucha rejsowego samolotu i wyglądało na to, że tankują maszynę przed lotem powrotnym do Chicago. W górę i z powrotem, i znowu, tak przez cały dzień. Czuć było silną woń paliwa i mokrego cementu. Starsza pani, najwyraźniej niewliczona w poczet zwykłych pasażerów, zstępowała teraz po przerażających schodach, by podejść do jakiegoś długiego samochodu zaparkowanego z prawej burty, którego Sylvanshine wcześniej nie zauważył. Skrzydło zasłaniało widok, ale Sylvanshine widział, że sama nie otwierała sobie drzwi.

Odległe korony drzew na horyzoncie najpierw wygięły się na wietrze w lewą stronę, po czym wróciły do pionu. Ze względu na wcześniejsze problemy z wypadkami w Philly, spowodowane słabym refleksem, Sylvanshine nie siadał już za kierownicą. Był na ponad siedemdziesiąt pięć procent pewien, że paczka orzeszków znajduje się teraz w torebce starszej babki. Między pracownikiem z podkładką pod papiery z klipsem a inną osobą w pomarańczowych nausznikach trwała jakaś narada. Kilku spośród pozostałych pasażerów wymownie spoglądało na zegarek. Powietrze było ciepłe i duszne, zdecydowanie bardziej niż parne. Wszyscy mokli z tej strony, którą byli zwrócenii do wiatru. Sylvanshine zauważył teraz, że ciemne płaszcze wielu biznesmenów są do siebie zupełnie podobne, tak jak klapy ich postawionych kołnierzy. Nikt poza nim nie miał nakrycia głowy. Starał się przyglądać bardzo uważnie otoczeniu, tak by utrzymywać myśli i niepokój z dala od siebie. Do tego administracyjnego czy też logistycznego opóźnienia dochodziło pod workowatym niebem i w deszczu na tyle drobnym, że wydawało się, jakby przylatywał z boku, razem z wiatrem, a nie spadał. Nie było słycać jego uderzeń o kapelusz Sylvanshine'a. Futro na obrzeżu kaptura pana Bussy'ego było brudne na sposób, który z jakiegoś powodu prowokował mdłości, coraz silniejsze z każdym kolejnym dniem tych dwóch lat, przez które tamten kierował grupą Sylvanshine'a w Obiegu Zeznań. Co bardziej asertywni pasażerowie szli bez nadzoru ścieżką wyznaczoną czerwonymi liniami, wiodącą w kierunku terminalu przez furtkę w ogrodzeniu. Sylvanshine, który nadał bagaż, obawiał się sankcji za samowolne oddalenie się z pasa. Z drugiej strony miał odgórny harmonogram, którego powinien się trzymać. Tym, co kazało mu stać w grupie niecierpliwących się mężczyzn, oczekujących zezwolenia na wejście na teren lotniska, był po części jakiś paraliż, który poraził go w następstwie rozważań nad logistyką dotarcia do RCK 047 w Peorii (kwestia tego, czy RCK wysyła vana po transferowiczów, czy może powinien wziąć taksówkę z tego małego lotniska, nie została ostatecznie rozstrzygnięta) oraz nad tym, jak po przyjeździe ma się zameldować w firmie i gdzie zostawić trzy walizki, gdy będzie się tam meldował i wypełniał formularze kodu pocztowego i wpisu na listę płac, i klauzulę poufności, i odbierał

materiały orientacyjne, po czym będzie musiał zdobyć od kogoś wskazówki i udać się do mieszkania, które Systemy wynajęły mu po stawkach resortowych, a przy tym dostać się tam na tyle wcześnie, żeby znaleźć miejsce, gdzie można coś zjeść, i to takie, do którego da się dojść na nogach albo dojechać taksówką, tyle że telefon w tym rzekomym mieszkaniu nie był jeszcze podłączony, co kazało mu uznać szansę na złapanie taksówki przed kompleksem mieszkalnym za w najlepszym razie wątpliwą, za to jeśli każe tej pierwszej taksówce poczekać na niego przed kompleksem mieszkalnym, pojawią się trudności, bo jak właściwie udowodni taksówkarzowi, że naprawdę ma zamiar zaraz wrócić – zostawi tylko walizki i szybko zbada stan i zdatność mieszkania – a nie że chce opchnąć mu ściemę, której celem jest defraudacja pieniędzy należących się gościowi za kurs, w którym to scenariuszu Sylvanshine wymyka się tylnym wyjściem z kompleksu mieszkalnego Zakątek Wędkarza czy nawet może zabarykadować się w mieszkaniu i nie reaguje na pukanie i dzwonienie, jeżeli mieszkanie ma dzwonek, którego w obecnym mieszkaniu jego i Reynoldsa w Martinsburgu z całą pewnością nie było, ani na prośby / groźby kierowcy zza drzwi, czyli robi przekręt, który zajmował miejsce w świadomości Claude'a Sylvanshine'a tylko dlatego, że liczne niezależne prywatne firmy przewozowe w Filadelfii wykazywały w Tabeli C duże straty z tytułu „Strat w wyniku wyłudzenia usługi” i opisywały tego rodzaju zagrania jako szeroko rozpowszechnione na wypełnionych marną angielszczyzną na maszynie albo nawet odręcznie załącznikach wymaganych w celu wyjaśnienia przyczyn nietypowych czy szczególnych odpisów w Tabeli C, jednak gdyby Sylvanshine zdecydował się od razu zapłacić za kurs i dodać do tego napiwek oraz może nawet pewną sumę jako zaliczkę za dalszy etap kursu, by tym samym przekonać kierowcę o swoich uczciwych zamiarach, nie miał żadnej konkretnej gwarancji, że taki przeciętny kierowca – przedstawiciel cynicznego i wątpliwego etycznie gatunku kanciarzy, na co jednoznacznie wskazywały ich poplamione zeznania z bardzo niskim stosunkiem dochodu z napiwków do liczby kursów wykonywanych w ciągu typowej zmiany w Philly – nie zwieje po prostu z jego pieniędzmi, przysparzając mu niesamowitych utrudnień z uzyskaniem zwrotu

odsetka dziennej diety za podróż, a także pozostawiając go samego, umierającego z głodu (nie był w stanie nic przełknąć przed podróżą), bez telefonu, pozbawionego rady i logistycznego zmysłu Reynoldsa, w sterylnym nowym nieumeblowanym mieszkaniu, z żołądkiem wywracającym się na nice, tak że będzie w stanie tylko rozpakować się w jakiś na wpół zorganizowany sposób i położyć się na nylonowej karimacie, rozciągniętej na niewykończonej podłodze, możliwe, że w towarzystwie egzotycznych insektów występujących na Środkowym Zachodzie, nie mówiąc już nawet o godzinie nauki do egzaminu na biegłego, którą był sobie przyrzekł rano, kiedy trochę zasnął, a później napotkał problemy przy pakowaniu na ostatnią chwilę, co przekreśliło zaplanowaną zgodnie z twardym rozkładem godzinę porannej powtórki do egzaminu przed przyjazdem nieoznakowanych vanów z Systemów, które miały zabrać jego i jego walizki przez Harpers Ferry i Ball's Bluff na lotnisko, a tym bardziej nie mówiąc już o jakimkolwiek usystematyzowanym zorganizowaniu i opanowaniu obszernych materiałów z zakresu Placówki, Charakterystyki Obowiązków, Kadr oraz Protokołów Systemowych, które powinien otrzymać zaraz po rejestracji i etapie formularzy – obszernych materiałów, których pełnego przyswojenia będzie wymagał dyrektor ds. kadr od nowego kontrolera, zgłaszającego się pierwszego dnia do pracy polegającej na interakcjach z innymi kontrolerami IRS, i nie było mowy, by Sylvanshine uwierzył, że może uda mu się przejrzeć i przyswoić te materiały po szesnastogodzinnym poście czy po nocy spędzonej na karimacie, z mokrym płaszczem przeciwdeszczowym pod głową zamiast poduszki (nie był w stanie spakować specjalnie wyprofilowanej ortopedycznej poduszki na ten nerw w karku, chronicznie napięty czy z chronicznym stanem zapalnym; musiałyby lecieć w osobnej walizce, a tym samym limit bagażu zostałby przekroczony i naliczono by kosmiczną dopłatę, której Reynolds nie pozwolił mu uiścić, tak dla czystej zasady), dodatkowo z rysującym się na horyzoncie problemem zdobycia jakiegokolwiek konkretnego śniadania czy transportu do RCK rano bez telefonu oraz tego, jak bez telefonu można się w ogóle dowiedzieć, czy i kiedy go włączą, plus oczywiście istniało złowrogie prawdopodobieństwo zaspania rano, tak z powodu zmęczenia podróżą, jak i z uwagi na to, że nie

spakował podróznego budzika (a w każdym razie nie był pewien, czy go spakował, a nie na przykład pozwolił mu pójść do jednego z tych trzech wielkich kartonów, które załadował rzeczami, ale spisy zawartości których, mające ułatwić ich rozpakowanie w Peorii, zrobił pospiesznie i po łebkach, pudeł, które Reynolds przyrzekł był puścić przez mechanizm nadawczy Pionu Usług Wsparcia Służby w podobnym czasie co jego odlot z Dulles, co oznaczało dwa czy może nawet trzy dni bez kartonów ze wszystkimi najpotrzebniejszymi przedmiotami, których nie pomieścił w torbach, a kiedy już przyjadą, to i tak do RCK, i jak na razie nie było jasne, jak Claude dostarczy je później do mieszkania), przy czym przypomnienie sobie o budziku podróznym było głównym powodem otwierania dziś rano całego pieczołowicie zapakowanego bagażu po przebudzeniu z już i tak półgodzinnym opóźnieniem, w celu znalezienia tego przenośnego zegara lub potwierdzenia faktu jego obecności, co mu się nie udało, w związku z czym cała sytuacja przedstawiała sobą taki cyklon logistycznych problemów i komplikacji, że Sylvanshine zmuszony był wykonać ćwiczenie Blokowania Myśli na mokrym pasie startowym, w otoczeniu zniecierpliwionych sapaczy, kilka razy obrócił się o 360 stopni i próbował roztopić swoją świadomość w szerokiej panoramie, która poza elementami lotniska była jednorodnie pozbawiona właściwości i szara jak stara moneta oraz tak niesamowicie płaska, że miało się wrażenie, jakby ziemię przydepnął w tym miejscu jakiś kosmiczny but, a widoczność we wszystkich kierunkach ograniczał jedynie horyzont, którego ogólny kolor i faktura były takie same jak niebo, co dawało spektakularne wrażenie przebywania pośrodku jakiegoś ogromnego i nieruchomego zbiornika wodnego, oceaniczne wrażenie tak bardzo dosłownie porażające, że Sylvanshine cofnął się czy wycofał w siebie i poczuł, że znowu zagarnia go cień przeciągającego nad nim skrzydła Ostatecznego Przerażenia i Dyskwalifikacji, i odezwało się w nim przeświadczenie, że bez wątplenia i w sposób rażący nie nadaje się do czegokolwiek, co leży na jego drodze, oraz przeczucie, że tylko kwestią czasu jest moment, w którym ten fakt wyjdzie na jaw i stanie się jasny dla wszystkich, którzy będą przy tym, jak Sylvanshine w końcu i raz na zawsze dostanie pierdolca.

§3

– A skoro przy tym jesteśmy, o czym myślisz, jak się masturbujesz?

– ...

– ...

– Co?

Żaden nie odezwał się słowem przez pierwsze pół godziny. Po raz kolejny odbywali bezmyślną i jednostajną jazdę do głównej siedziby regionu w Joliet. Jednym z całego taboru gremlinów zajętego pięć kwartałów wcześniej w postępowaniu toczącym się przeciw salonowi dilera AMC.

– Słuchaj, myślę, że możemy założyć, że się masturbujesz. Masturbuje się coś w okolicach dziewięćdziesięciu ośmiu procent mężczyzn. Badania to potwierdzają. Większość z pozostałych dwóch procent jest w jakiś sposób upośledzona. Darujmy sobie zaprzeczanie. Ja się masturbuję, ty się masturbujesz. Tak już jest. Wszyscy to robimy i wszyscy wiemy, że wszyscy to robimy, a mimo to nikt na ten temat nie dyskutuje. To strasznie nudna droga, nie mamy co robić, tkwimy w tym żalnym aucie, puśćmy kopertę w obieg. Porozmawiajmy o tym.

– Jaką kopertę?

– No, o czym wtedy myślisz? Zastanów się. To bardzo intymna chwila. To jedne z nielicznych momentów w życiu, w których doświadczamy prawdziwej samowystarczalności. Nie wymagają niczego poza tobą samym. To sprawianie sobie przyjemności wyłącznie za pomocą myśli, które wytworzy twój umysł. Te myśli sporo o tobie mówią: o czym marzysz, kiedy ty sam wybierasz i kontrolujesz to, o czym marzysz.

– ...

– ...

– O cyckach.

– O cyckach?

– Zapytałeś, to ci mówię.

– To wszystko? Cycki?

- A co byś chciał usłyszeć?
- Po prostu cycki? W izolacji? Po prostu jakieś abstrakcyjne cycki?
- Dobra. Wal się.
- Że niby takie zawieszane w powietrzu? Para cycków w pustej przestrzeni? Czy miętoszonych twoimi rękami, czy jeszcze jakoś inaczej? To zawsze te same cycki?
- Właśnie się czegoś nauczyłem. Ty zadajesz takie pytanie, ja na to, że co proszę, ale odpowiadam, a ty wtedy bierzesz odpowiedź i włączasz z protokołem DIF-3.
- Cycki...
- ...
- ...
- A o czym ty myślisz, Panie Koperta?

§4

Z „Peoria Journal Star”,
poniedziałek, 17 listopada 1980 r., s. C-2

PRACOWNIK IRS ZNALEZIONY MARTWY PO CZTERECH DNIACH

Zwierzchnicy z regionalnej placówki Izby Rozliczeń Skarbowych na terenie Lake James próbują ustalić, dlaczego jeden z ich pracowników musiał spędzić przy biurku martwy cztery dni, zanim w końcu ktoś zapytał, czy wszystko u niego w porządku.

Frederick Blumquist (53 l.), od ponad trzydziestu lat zatrudniony w agencji na stanowisku kontrolera zeznań podatkowych, doznał ataku serca w otwartym pomieszczeniu biurowym, które dzielił z dwudziestoma pięcioma innymi pracownikami w Regionalnym Centrum Kontroli przy Self-Storage Parkway. Śmierć nastąpiła cicho, za białym biurkiem, przez nikogo niezauważona aż do soboty, kiedy sprzątający biuro późnym wieczorem pracownik postanowił zapytać denata, jakim cudem udaje mu się pracować przy zgaszonym świetle.

Przełożony pana Blumquista, Scott Thomas, powiedział nam: „Frederick to był gość, który zawsze zjawiał się w pracy rano jako pierwszy i wychodził wieczorem ostatni. Był bardzo skupiony i sumienny, więc nikogo nie dziwiło, że pozostaje w tej samej pozycji przez tyle czasu i nic nie mówi. Zawsze był zatopiony w pracy i zamknięty w sobie”.

Wczorajsza sekcja zwłok przeprowadzona przez koronera hrabstwa Tazewell wykazała, że Blumquist zmarł cztery dni wcześniej na skutek zawału. Na ironię zakrawa fakt, że – jak powiedział Thomas – Blumquist w chwili śmierci pracował w specjalnym zespole agentów IRS, badającym sprawozdawczość podatkową lokalnych spółek medycznych.

§5

To właśnie ten chłopiec przywdziewa pomarańczową szarfę i przeprowadza dzieciaki z młodszych klas przez ulicę na przejściu koło szkoły. Robi to, gdy jako uczestnik akcji Meals on Wheels rozwiezie już darmowe śniadania seniorom w domu opieki w śródmieściu, którego administratorka rzuca się zamknąć drzwi gabinetu na skobel, gdy tylko na korytarzu rozlegnie się skrzypienie kółek popychanego przezeń wózka. Sam zapłacił za metalowy gwizdek i białe rękawiczki, by gestem wyciągniętej dłoni zatrzymywać pojazdy, podczas gdy dzieci, które same nawet nie potrafią się ubrać, przechodzą w ślad za nim, czasem starając się przebiec, mimo napisu PRZEJDŹ, NIE BIEGNIJ!! na tablicy z uśmiechniętą buźką, którą również wykonał samodzielnie i zawiesił sobie na ramionach. Macha samochodom, których kierowców zna, i posyła w ich stronę ekstraszereki uśmiech, dorzucając parę słów serdecznego pozdrowienia, gdy przejście pustoszeje, a kierowcy wciskają gaz i śmigają tuż obok, a część z nich trochę się z nim droczy, odbijając gwałtownie w jego stronę, by minąć go dosłownie o kilka centymetrów, na co on zaśmiewa się, uskakując teatralnie i posyłając bocznym drzwiom czy tylnym zderzakom miny udanego przerażenia (ten raz, gdy pewne kombi go nie minęło, to *naprawdę* był nieszczęśliwy wypadek, jak zresztą pisał tamtej pani w kilku kolejnych listach, żeby dać jej absolutną pewność, że on wie, że tak właśnie było, i poprosił wtedy całe mnóstwo ludzi, z którymi dotąd nie miał się okazji zaprzyjaźnić, o podpisanie się na gipsie, i z wielką starannością ozdobił kule kolorowymi kokardkami i lametą oraz samoprzylepnymi gwiazdkami, tak że jeszcze przed upływem przewidzianych względami medycznymi sześciu tygodni doktor surowo polecił mu ofiarować te kule skrzydłu pediatrycznemu szpitala Calvin Memorial, by umilić rekonwalescencję jakiemuś mniej szczęśliwemu i znajdującemu się w mniej pomyślnym położeniu dziecku, a jeszcze zanim chłopiec na dobre dochodzi do siebie, postanawia napisać

bardzo długie wypracowanie na „Konkurs na wypracowanie w dziedzinie nauk społecznych”, o tym, jak nawet odniesienie bolesnych i uciążliwych obrażeń w wypadku komunikacyjnym może stanowić sposobność do zawarcia nowych przyjaźni i wyciągnięcia ręki do innych, i choć jego wypracowanie nie otrzymało głównej nagrody ani wyróżnienia, zupełnie go to nie zmartwiło, bo czuł, że pisanie wypracowania było nagrodą samą w sobie i że wiele zyskał w toku poprawiania wszystkich kolejnych dziewięciu wersji brudnopisu, i szczerze cieszyły go wygrane innych dzieci, co też im oznajmił, mówiąc, iż jest stuprocentowo pewny, że im się one należały, a gdyby chciały zachować swoje nagrodzone wypracowania i może sprezentować je rodzicom do powieszenia na ścianie, to jeśli chcą, on chętnie przepisze je na maszynie i zalaminuje, a nawet poprawi wszelkie błędy w pisowni, jakie znajdzie, tak że w domu ojciec kładzie rękę na ramieniu małego Leonarda i mówi mu, jak bardzo jest dumny, że z jego syna taki równy koleżka, i zaprasza go na lody do Dairy Queen, niejako w nagrodę, na co Leonard mówi ojcu, że bardzo dziękuje, że ten gest wiele dla niego znaczy, ale że tak naprawdę jeszcze większą radość sprawiłoby mu, gdyby pieniądze, które tata chciał przeznaczyć na lody, przekazali Easter Seals albo, jeszcze lepiej, UNICEF-owi, by wyjść naprzeciw potrzebom dotkniętych głodem białym dziećmi, które – jest tego pewien – nigdy nawet nie słyszały o lodach, i mówi, że założy się, że koniec końców sprawi im to obu większą frajdę niż wizyta w DQ, wobec czego ojciec wsuwa monety w otwór specjalnej pomarańczowej kartonowej skarbonki wolontariusza UNICEF-u wyobrażającej dynię, Leonard zaś po raz kolejny wyraża zaniepokojenie tikiem, który ściąga twarz ojca, i niewinnie żartuje z jego niechęci do pójścia z tym do lekarza ogólnego, zauważając przy tym, że z tabeli, którą zawiesił na drzwiach swojego pokoju, wynika, że ojciec już trzeci miesiąc zwleka z badaniem lekarskim oraz że od daty kolejnej dawki zalecanej szczepionki przeciw tężcowi mija już prawie osiem miesięcy).

Jest dyżurnym na korytarzach w trakcie pierwszej i drugiej lekcji (ma już tyle punktów z zajęć, że starczy do końca semestru), ale znacznie częściej kogoś oficjalnie upomni niż faktycznie zapisze – jest przecież po to, żeby służyć, tak czuje, a nie żeby skarżyć na

ludzi. Zwykle kiedy kogoś upomina, posyła mu uśmiech i mówi młodemu jest się tylko raz, więc korzystaj z tego, póki możesz, zabieraj się stąd i spraw, żeby ten dzień miał sens, co nie? Przyłącza się do akcji UNICEF-u i Easter Seals, a także inicjuje program recyklingu przez trzy klasy z rzędu. Cieszy się dobrym zdrowiem, jest schludny i zawsze zadbany, dokładnie w takim stopniu, by swoim wyglądem okazywać elementarną życzliwość i szacunek społeczności, której jest częścią, i uprzejmie zgłasza się do odpowiedzi na każde pytanie, ale jedynie wówczas, gdy jest pewny, że nie tylko zna poprawną odpowiedź, lecz także wie, jak ją należy sformułować, by wносиła coś do dyskusji nad realizowanym danego dnia tematem, i często zostaje w sali po skończonej lekcji, by się upewnić, czy jego rozumienie głównych założeń jest dostatecznie solidne, oraz zapytać, czy jego odpowiedzi na zajęciach mogłyby być lepsze albo bardziej pomocne.

Mama tego chłopca ulega straszliwemu wypadkowi przy czyszczeniu kuchenki gazowej i karetka zabiera ją do szpitala, a chociaż chłopiec nie posiada się z troski o stan jej zdrowia i w nieustannych modlitwach prosi dla niej o stabilizację i wyzdrowienie, to podejmuje się dyżurów w domu, żeby odpowiadać na telefony i przekazywać informacje krewnym i zatroskanym przyjaciołom rodziny, których nazwiska umieścił na uporządkowanej alfabetycznie liście, oraz wyjmować ze skrzynki korespondencję i gazety, a wieczorem zapalać i gasić światło w różnych pomieszczeniach, w przypadkowej kolejności, który to środek ostrożności na wypadek nagłej nieobecności dorosłych słusznie zaleca Oficer Chuck, przysłany do szkoły przez Policję Stanową Michigan w ramach programu Powstrzymaj Przestępczość, a także by zadzwonić na numer alarmowy dostawcy gazu (który zna na pamięć) i poprosić, by ktoś przyjechał i rzucił okiem na coś, co może przecież być niesprawnym zaworem albo obwodem, grożącym wypadkiem i uszczerbkiem na zdrowiu kolejnym domownikom, a także by (w tajemnicy) pracować nad olbrzymią instalacją z kolorowych proporczyków i chorągiewek, jak również transparentów z napisami WITAJ W DOMU i NAJLEPSZA MAMA NA ŚWIECIE, które – korzystając w tym celu z drabiny stojącej w garażu (pod nadzorem odpowiedzialnego dorosłego sąsiada, który

ją przytrzyma) – bardzo ostrożnie przytwierdzi do frontu domu zmywalnym klejem na bazie wody, aby powitać i przyjąć z pompą mamę, kiedy już wypiszą ją z intensywnej terapii zdrową jak rydz, w co Leonard absolutnie nawet przez chwilę nie wątpi, jak zapewnia ojca wielokrotnie, tato, zdrową jak rydz, dzwoniąc równo co godzinę na numer automatu na żetony przy oddziale intensywnej terapii, póki coś dziwnego nie dzieje się z maszyną, tak że odtąd, ilekroć chłopiec wybiera jej numer, słyszy w słuchawce tylko wysoki ton, co też zgłasza firmie telekomunikacyjnej, wybierając 1-616 linii serwisowej, pamiętając o podaniu ośmiocyfrowego kodu produktu (który wcześniej, na wszelki wypadek, zapisał), co zgodnie z informacją o linii 1-616, umieszczoną drobnym drukiem na samym końcu książki telefonicznej, przyspieszy i usprawni obsługę.

Zna kilka różnych krojów kaligrafii i był na obozie origami (dwukrotnie), a także robi, z natury, doskonałe szkice lokalnej flory i umie zagwizdać wszystkie sześć *Nouveaux Quatuors* Telemanna, jak również naśladować odgłosy chyba każdego ptaka znanego Towarzystwu Audubon. Pisuje do wydawnictw naukowych w sprawie możliwych błędów przyporządkowania i / lub składni w ich podręcznikach. Nie mówiąc już o udziale w konkursach ortograficznych. Potrafi wykonać ponad dwadzieścia różnych nakryć głowy – wśród nich admiralskie, kowbojskie, różne noszone przez duchownych i wiele etnicznych – z kawałka zwykłej gazety i sam proponuje, że odwiedzi klasy zero–dwa, by nauczyć tego młodsze dzieci, którą to propozycję dyrektor Szkoły Podstawowej imienia Carla P. Robinsona bardzo, jak mówi, docenia i dogłębnie rozważył, by ostatecznie zdecydować się z niej nie skorzystać. Dyrektora mierzi już sam widok chłopca, ale nie całkiem wie dlaczego. Widuje go we śnie, na poszarpanych obrzeżach koszmarów – odprasowaną koszulę w kratkę i mały przedziałek, piegi i życzliwy, szlachetny uśmiech: w czym mogę pomóc? Dyrektor wyobraża sobie, jak zatapia hak do mięsa w jasnookim obliczu Leonarda Stecyka i wlecze chłopca twarzą do ziemi za swoim volkswagenem garbusem po szorstkich nowych ulicach podmiejskiego Grand Rapids. Te fantazje pojawiają się znikąd i przerażają dyrektora, który jest gorliwym menonitą.

Chłopca nienawidzą wszyscy. Jest to złożona nienawiść, która nierzadko wywołuje u nienawidzących poczucie odrazy do siebie i winy, i nienawiści obróconej przeciwko własnej osobie, żywiącej podobne uczucia wobec tak świetnie rokującego i pełnego najlepszych intencji chłopca, co w konsekwencji sprawia, że mimowolnie nienawidzą go jeszcze bardziej, jako źródła ich nienawiści do samych siebie. To wszystko gmatwa się niemożliwie i drażni. Gdziekolwiek się pojawia, ludzie biorą duże ilości aspiryny. Wśród dzieci jego prawdziwi przyjaciele to te poszkodowane, niepełnosprawne, otyłe, te wybierane do drużyny jako ostatnie, te *non grata* – sam je wyszukuje. Wszystkie 316 zaproszeń na WIELGACHNĄ WYŻERKĘ z okazji jego jedenastych urodzin (łącznie powstają 322 zaproszenia, jeśli doliczyć te dla niewidomych, nagrane na taśmach magnetofonowych) wydrukowano offsetem na papierze welinowym i wysłano w odpowiednio dobranych kopertach z adresami, na wykaligrafowanie których ozdobnym krojem Phillipian II poświęcił trzy weekendy, w każdym z zaproszeń umieszczając podany rzymskimi cyframi, punkt po punkcie, program atrakcji, w którym przewidziano przedpołudnie w parku rozrywki Six Flags, wizytę w Blanford Nature Center z oprowadzaniem przez kompetentnego pracownika z doktoratem, a także imprezę w Urodzinowej Strefie Zabawy w Shakee's Pizza i Pałacu Gier przy Remembrance Drive (cały dzień bezpłatnych atrakcji dla wszystkich, opłacony przez chłopca z pieniędzy, jakie zarobił na zbiórkach aluminium i makulatury, których organizacja i iście pionierska realizacja wymagały od niego wstawania o czwartej rano przez całe lato, a reszta dochodu z tych zbiórek trafi do Czerwonego Krzyża oraz rodziców trzecioklasisty z Kentwood cierpiącego na nieuleczalny rozszczep kręgosłupa, którego największym marzeniem na świecie jest na żywo zobaczyć ze swego elektrycznego wózka występ Dicka Lane'a z Chicago Cardinals, zwanego „Nocnym Ekspresem”), i na zaproszeniach taki właśnie tytuł nadano imprezie – WIELGACHNA WYŻERKA – zapisując go balonową czcionką i umieszczając w formie podpisu do ilustracji przedstawiającej zbiorową eksplozję radosnych wiwatów i wcale nie gorszej woli oraz „bez-trzymanki-i-na-całego” FRAJDY NA FEST! z wkomponowanym w każdy z rogów kartki i zapisanym tłustym

drukiem zastrzeżeniem **PROSZĘ BEZ PREZENTÓW**; i tych 316 zaproszeń, wysłanych priorytetem do każdego ucznia, nauczyciela, nauczyciela na zastępstwie, asystenta, pracownika administracyjnego i woźnego ze Szkoły Podstawowej imienia C.P. Robinsona, skutkuje łączną liczbą dziewięciu uczestników (jeśli nie liczyć rodziców i opiekunów osób niepełnosprawnych tych niepełnosprawnych spośród nich), a mimo to wszyscy, niezrażeni, wspaniale się bawią, i taki jest też jednoznaczny wynik Szczerej Oceny rozdystrybuowanej pod koniec przyjęcia, a góry pozostałych i nietkniętych lodów w trzech smakach, ciasta czekoladowego, pizzy, chipsów, kukurydzy w karmelu, Hershey's Kisses, stopy folderów Czerwonego Krzyża i broszur Oficera Chucka, odpowiednio na temat dawstwa organów / tkanek oraz zasad, których należy się trzymać w przypadku zaczepek ze strony nieznanego, koszernej pizzy dla ortodoksyjnych uczestników, specjalnie zaprojektowanych serwetek i dietetycznych napojów gazowanych w pamiątkowych plastikowych szklankach z napisem *Przetrwalem WIELGACHNĄ WYZERKĘ '64 w 11. urodziny Leonarda Stecyka* z dołączonymi słomkami Krazy Straw zakreconymi w kształt lemniskatu zostają przekazane domowi dziecka w hrabstwie Kent, czego szczegóły logistyczne solenizant zaczyna telefonicznie ustalać jeszcze w trakcie wielkiej rozgrywki Twistera, z obawy, że lody mogłyby się roztopić, a jedzenie stracić świeżość i formę, co równałoby się zaprzepaszczeniu szansy wspomnienia tych, którym się nie poszczęściło; jego ojciec zaś, za kierownicą kombi z karoserią po bokach imitującą drewno, ujmując go za policzek, oświadcza, że ten chłopiec, który siedzi obok niego, ma ogromne, dobre serce i że jest z niego dumny, a jeżeli mama kiedyś odzyska przytomność, na co obaj czekają z wielką nadzieją, to na pewno także będzie z niego wprost przeogromnie dumna.

Chłopiec przynosi ze szkoły piątki i od czasu do czasu czwórki w dostatecznej liczbie, by z powodu ocen woda sodowa nie uderzyła mu do głowy, nauczyciele zaś drżą na sam dźwięk jego nazwiska. W piątej klasie organizuje okręgową zbiórkę na Specjalny Fundusz drobniaków na mleko dla każdego, kto wyczerpał już swój przydział pieniędzy na mleko, ale z jakiegokolwiek powodu uważa, że trzeba mu więcej tego napoju. Wieść o tym dochodzi uszu szefów The

Holly Jolly Milk Company, którzy zamieszczają drukowaną podobiznę chłopca na bocznej ścianie niektórych partii ćwierćlitrowych kartoników. Dwie trzecie szkoły przestaje pić mleko, Specjalny Fundusz natomiast powiększa się do takich rozmiarów, że dyrektor musi zamówić mały sejf do swojego gabinetu. Teraz dyrektor przed snem zażywa Seconal i miewa lekkie drgawki, a także dwukrotnie otrzymuje mandat za niezatrzymanie się przed oznakowanym przejściem dla pieszych.

Nauczycielka – której sugeruje, by w sali znajdującej się pod jej opieką zmienić przyporządkowanie haczyków na ubrania i szafek na buty wzdłuż jednej ze ścian w taki sposób, by haczyk i szafka dziecka siedzącego najbliżej drzwi także znajdowały się najbliżej drzwi, a tego, które jest za nim, były następne i tak dalej, co przyspieszy odpływ uczniów na dużą przerwę i ograniczy opóźnienia i ewentualne sprzeczki, i kotłowanie się na wpół okutanych dzieci pod drzwiami sali (chłopiec zadał sobie trud przedstawienia tych opóźnień i zatorów w minionym kwartale, z uwzględnieniem statystyk ich występowania, z odpowiednimi grafikami i strzałkami, jednak bez ujawniania imion i nazwisk) – ta dyplomowana i bardzo ceniona weteranka pracy w oświacie w końcu mierzy w chłopca nożyczkami do prac ręcznych, grożąc, że zabije najpierw jego, a potem siebie, w związku z czym zostaje odesłana na urlop zdrowotny, w trakcie którego trzy razy w tygodniu otrzymuje kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, ze starannie napisanymi na maszynie sprawozdaniami z pracy klasy i poczynionych przez uczniów pod jej nieobecność postępów, ozdobione brokatem i złożone w idealne romby, które otwierają się po ściśnięciu, tak że opiekujący się nią lekarze są zmuszeni zakazać dostarczania jej korespondencji, póki nie nastąpi poprawa lub chociażby stabilizacja.

Tuż przed halloweenową zbiórką dla UNICEF-u w 1965 trzech szóstoklasistów osacza chłopca w toalecie w południowo-wschodnim skrzydle szkoły po czwartej lekcji, by obejść się z nim w sposób trudny do opisu słowami i pozostawić zawieszono go za gumę w majtkach na wieszaku kabiny WC; i już po dojściu do siebie i zwolnieniu do domu ze szpitala (ale nie tego samego, w którym jego mama przebywa na oddziale długotrwałej intensywnej opieki)

chłopiec nie zgadza się wyjawić tożsamości napastników, a następnie potajemnie doręcza im zaadresowane do każdego z osobna wiadomości, w których odżegnuje się od żywienia jakichkolwiek złych uczuć w związku z zajściem i przeprosza za jakąkolwiek nieumyślną obrazę z jego strony, która mogła je sprowokować, prosząc ich usilnie, by uznali całą sprawę za niebyłą i w żaden sposób się nie obwiniali – zwłaszcza w przyszłości, zdaje mu się bowiem, że tego typu rzeczy potrafią naprawdę dręczyć człowieka w dorosłym życiu, przy czym powołuje się na artykuł w piśmie naukowym czy nawet dwa, do których może zechcą zerknąć, w razie gdyby potrzebowali udokumentowanej wiedzy na temat długofalowych efektów psychologicznych samozadęczenia – zaś w kierowanych do nich wiadomościach, w których wyraża osobistą nadzieję na autentyczną przyjaźń w konsekwencji całego tego przykrego zajścia, zawarł też zaproszenia na krótką sesję w pełni poufnego Okrągłego Stołu Deeskalacyjnego, do sponsorowania którego przekonał miejscową organizację działającą na rzecz społeczności („przewidziano drobny poczęstunek!”), na skutek czego już we wtorek jego szafka w szatni od WF-u, a z nią cztery sąsiednie po lewej i prawej, ulega zniszczeniu w akcie pirotechnicznego wandalizmu, który – jak przyznają w sądzie obie strony – zupełnie wymknął się spod kontroli i w żadnym razie nie miał na celu spowodowania obrażeń u nocnego stróża i wyrządzenia szkód choćby zbliżonych rozmiarem do tych, do jakich doszło w szatni chłopców, na którym to procesie Leonard Stecyk parokrotnie apeluje do prawników obu stron o możliwość zeznawania jako świadek obrony, choćby tylko po to, by zaświadczyć o nienagannej postawie życiowej oskarżonych. Spory odsetek kolegów i koleżanek chłopca ukrywa się, stosuje manewr wymijający, gdy ten zjawia się w pobliżu. Wreszcie nawet niepopularne i ułomne dzieciaki przestają odpowiadać na jego telefony. Jego matkę trzeba obracać i zmieniać położenie jej kończyn dwa razy dziennie.

§6

Siedzieli na stole piknikowym w tym parku nad jeziorem, od strony tego brzegu, gdzie w zasłoniętej do połowy przez skarpe płyciźnie zanurzał się pień zwalonego drzewa. Lane A. Dean Jr. i jego dziewczyna, oboje w niebieskich džinsach i w koszulach. Siedzieli na blacie stołu, z butami na ławce, na której siadali ludzie urządzający sobie piknik w chwilach wolnych od trosk. Chodzili do innych liceów, ale do tego samego koledżu, gdzie poznali się przy posłudze w duszpasterstwie akademickim. Była wiosna, trawa w parku była bardzo zielona, a powietrze, przesycone jednocześnie kapryfolium i bzem, trudne niemal do zniesienia. Latały pszczoły, a przy tym kącie padania promieni słonecznych woda na płyciźnie sprawiała wrażenie ciemnej. Tydzień obfitował w burze, powalone drzewa i dźwięki pił łańcuchowych na całej ulicy, przy której stał dom jego rodziców. Siedzieli na stole piknikowym w identycznych pozycjach, pochyleni do przodu, ze skulonymi ramionami i łokciami opartymi na kolanach. Siedząc tak, dziewczyna kołysała się nieznacznie i raz ukryła twarz w dłoniach, chociaż nie płakała. Lane trzymał się bardzo sztywno i nieruchomo i spoglądał poza krawędź brzegu, na powalone drzewo na płyciźnie i kulę z odsłoniętych korzeni, sterczących we wszystkich kierunkach, oraz obłok gałęzi, pogrążony do połowy w wodzie. Jedyne człowiek w pobliżu znajdował się o kilkanaście rozdzielonych przerwami stolików od nich; stał sam, wyprostowany. Patrzył na dziurę w ziemi, którą wyrwało padające drzewo. Było ciągle jeszcze wcześniej i wszystkie cienie przesuwwały się z wolna na prawo i topniały. Dziewczyna miała na sobie starą cieką flanelową koszulę zapinaną na perłowe zatrzaski, której rękawy nie były podwinięte, i zawsze pachniała bardzo przyjemnie i czysto, jak ktoś, komu można zaufać i do kogo ma się naprawdę poważny stosunek, nawet jeśli się go nie kocha. Lane Dean przepadał za jej zapachem od samego początku. Jego matka mówiła o niej, że „stoi twardo na ziemi”, i lubiła ją, uważała, że dobry z niej człowiek, to było widać – dawała temu wyraz na

różne ledwie dostrzegalne sposoby. Fale na płyciźnie omywały drzewo z różnych stron, jakby je nieomal ogryzały. Czasami w samotności, gdy pogrążał się w myślach albo usiłował zawierzyć jakąś sprawę Chrystusowi, łapał się na tym, że zamyka pięść jednej ręki w drugiej dłoni i lekko nią kręci, jakby wciąż stał na boisku i rytmicznie uderzał w rękawicę dla zachowania czujności w środkowym polu. Teraz tego nie robił – gdyby teraz się tak zachowywał, to byłoby okrutne i nieprzyzwoite. Starszy osobnik stał obok swojego stolika, był przy nim, chociaż nie siedział, i wyglądał też trochę nie na swoim miejscu: w sportowej czy biznesowej marynarce i kapeluszu w stylu tych noszonych przez starszych mężczyzn, takim, jaki miał na głowie dziadek Lane'a na zdjęciach z czasu, gdy był młodym agentem ubezpieczeniowym. Wyglądał, jakby patrzył na przeciwległy brzeg jeziora. Jeżeli w ogóle się poruszył, to Lane tego nie widział. Wyglądał bardziej jak wizerunek niż jak człowiek. W zasięgu wzroku nie było żadnych kaczek.

Lane Dean zapewnił ją raz jeszcze, że z nią pójdzie i będzie tam razem z nią. Była to jedna z niewielu bezpiecznych i przyzwoitych rzeczy, jakie właściwie mógł powiedzieć. Kiedy powtórzył to już drugi raz, pokręciła głową i zaśmiała się boleśnie, co brzmiało bardziej jak wypuszczenie powietrza przez nos. Jej prawdziwy śmiech był inny. On tak naprawdę będzie tylko w poczekalni, powiedziała. Że będzie o niej myślał i jej współczuł, o tym wie, ale nie będzie z nią tam w środku. Była to prawda tak oczywista, że poczuł się jak głupek, że wciąż o tym gada, i teraz rozumiał, co myślała, ilekroć to mówił; nie przynosiło jej to ulgi ani nie zmniejszało balastu. Im gorzej się czuł, tym bardziej nieruchomiał. Miał wrażenie, jakby to wszystko rozgrywało się na krawędzi noża czy na linie; gdyby się poruszył, chcąc unieść ramię albo jej dotknąć, całość mogłaby runąć. Nienawidził siebie za to, że siedzi jak zastygły. Niemal wyobrażał sobie siebie, jak skrada się na palcach, bo coś może wybuchnąć. Jedno wielkie durne skradanie się na palcach, jak z kreskówki. Cały poprzedni czarny tydzień tak wyglądał, i to było złe. Wiedział, że to było złe, wiedział, że czegoś się od niego wymaga, i wiedział, że tym czymś nie jest ta straszna zastygła w bezruchu troska i ostrożność, ale udawał przed sobą, że nie wie, czego się od niego wymaga. Udawał, że to nie ma nazwy.

Wmawiał sobie, że nie wypowiada na głos tego, o czym wie, że jest słuszne i prawdziwe, ze względu na nią, bo myśli o jej potrzebach i uczuciach. Poza studiami pracował też w UPS, w magazynie i przy rozwoju, ale załatwił sobie dzień wolny po tym, jak wspólnie podjęli decyzję. Na dwa dni przed tym wstał bardzo wcześnie i usiłował się modlić, ale nie był w stanie. Teżał w coraz zimniejszą bryłę, tak czuł, ale nie myślał teraz o swoim ojcu czy o jego obojętnym chłodzie, który przejawiał nawet w kościele, a z powodu którego tak mu kiedyś współczuł. Taka była prawda. Lane Dean Jr. czuł, jak słońce ogrzewa mu ramię, gdy wyobrażał sobie siebie w pociągu, jak mechanicznym ruchem macha czemuś, co maleje, w miarę jak pociąg uwozi go dalej. Jego ojciec i ojciec jego matki obchodzili urodziny tego samego dnia, w Raku. Włosy Sheri miały odcień niemal kukurydziany, były bardzo czyste, a ich przedziałek różowił w świetle. Siedzieli tu na tyle długo, że teraz tylko ich prawe profile były ocienione. Mógł patrzeć na jej głowę, ale nie na nią. Miał wrażenie, że poszczególnych części jego samego nic ze sobą nie łączy. Była mądrzejsza od niego i oboje o tym wiedzieli. Nie chodziło tylko o szkołę – Lane Dean studiował rachunkowość i szło mu nieźle, radził sobie. Ona była o rok starsza, miała dwadzieścia lat, ale to było też coś więcej – zawsze sprawiała na Lanie wrażenie, jakby była na dobrej stopie z własnym życiem, na sposób, którego nie dawało się wytłumaczyć wiekiem. Zdaniem jego matki „wiedziała, czego chce”, a tym czymś było pielęgniarstwo, które w Peoria Junior College nie należało do łatwych studiów, a do tego jeszcze pracowała jako hostessa w Embers i sama zarobiła na swój samochód. Jej powaga podobała się Lane’owi. Miała kuzyna, który zmarł, gdy była trzynasto- czy czternastolatką, którego kochała i z którym była blisko. Opowiedziała mu o tym tylko tamten jeden raz. Podobał mu się jej zapach i drobny puszysty meszek na ramionach, i to, jak wydawała z siebie okrzyk, gdy coś ją rozbawiło. Lane’owi podobało się jej poważne podejście do wiary i wartości, które teraz, gdy siedział z nią tu, na tym stole, wzbudzało w nim lęk. To było potworne. Nabierał podejrzeń, że być może jego wiara nie jest szczerą. Że może jest jakby trochę obłudnikiem, jak Asyryjczycy u Izajasza, a to byłoby znacznie cięższym grzechem niż sama wizyta – zdecydował, że tak właśnie uważa. Tak bardzo zależało mu

na byciu dobrym człowiekiem, na tym, by nadal mógł czuć się dobrym. Rzadko kiedy myślał wcześniej o potępieniu i piekle, ten fragment nie przemawiał do jego ducha, tak że na nabożeństwach raczej po prostu wyłączał się i tolerował wzmianki o piekle, tak jak się toleruje robotę, którą trzeba wykonywać, żeby uzbierać na to, co chce się kupić. Jej tenisówki całe były w drobnych różnościach i wypunktowanych spisach z wykładów. Wciąż patrzyła w ziemię. Miniaturowe notatki czy tytuły zadane do przeczytania, zapisane cienkopisem jej starannym okrągłym pismem na białych powierzchniach okalających podeszwę. Lane A. Dean patrzy na spinki trzymające włosy z boku jej schylonej głowy, które mają kształt niebieskich biedronek. Wizyta była umówiona na popołudnie, ale kiedy dzwonek do drzwi rozległ się tak wcześnie i jego matka zawołała na niego z dołu, już wiedział – i jakaś okropna myślowa pustka zaczęła zapadać się mu w środku.

Powiedział jej, że nie wie, co robić. Że wie, że gdyby był sprzedawcą i kazał jej to kupić, to by było wstrętne i złe. Ale że próbuje zrozumieć, przemodlili to i przedyskutowali od każdej strony. Ona sama przecież wie, jak mu przykro, powiedział Lane, i dodał, że jeśli był w błędzie, sądząc, że naprawdę zdecydowali wspólnie, gdy zdecydowali się na wizytę, może mu to powiedzieć, prosi ją o to, ponieważ chyba wyobraża sobie, jak ona musi się czuć, kiedy to jest coraz bliżej, i jak się boi, ale on nie ma pewności, czy nie chodzi o coś więcej. To było tak, jakby, poza ustami, kompletnie znieruchomiał. Nie odpowiedziała. Że jeśli potrzebują się jeszcze pomodlić w tej intencji i jeszcze to przegadać, to on tu jest, jest gotowy, powiedział. Powiedział, że wizytę można przesunąć; wystarczy, że powie, to zadzwonią i przesuną wizytę, żeby jeszcze poczekać i upewnić się, że to dobra decyzja. Wciąż jest jeszcze wcześnie, oboje o tym wiedzą, powiedział. To była prawda, tak się czuł, a jednak wiedział, że stara się mówić rzeczy, które sprawiają, że ona się otworzy i powie mu wystarczająco dużo, żeby zdołał ją przejrzeć i przeczytać jej serce, i on zorientuje się, co ma jej powiedzieć, żeby się zdecydowała to zrobić. Wiedział, że na tym mu właśnie zależy, choć nie przyznawał się do tego przed sobą, bo wtedy wyszedłby na kłamcę i obłudnika. Coś w nim, w jakimś zamkniętym małym zakamarku, mówiło mu, dlaczego nie poszedł

z tym do nikogo, żeby się przed nim otworzyć i poprosić o życiową poradę – ani do pastora Steve’a, ani do towarzyszy modlitwy z duszpasterstw akademickich, ani do znajomych z UPS czy kogoś zajmującego się pomocą duchową, jaką oferowano w dawnym kościele jego rodziców. Nie wiedział za to, dlaczego Sheri nie była u pastora Steve’a – nie potrafił przeczytać jej serca. Nie pokazywała emocji i chowała się w sobie. Tak żarliwie pragnął, by to się nigdy nie stało. Czuł, jakby wreszcie rozumiał, dlaczego to prawdziwy grzech, a nie po prostu zakurzony przepis dawnego społeczeństwa. Czuł się przez to poniżony i upokorzony, i że teraz już rozumie i wierzy, że przepisy istnieją nie bez powodu. Że przepisy dotyczą go osobiście, jako osoby. Przysiągł Bogu, że odrobił jego lekcję. Ale co, jeśli to także była pusta obietnica, złożona przez hipokrytę, który żałuje już po wszystkim, przyrzeka posłuszeństwo, ale tak naprawdę zależy mu tylko na ułaskawieniu? Może wcale nie zna własnego serca ani nie nauczył się rozumieć i poznawać siebie. Myślał też wciąż o 1 Tm 6 i hipokrycie tamże, który „spiera się o słowa”. Miał wrażenie jakiegoś okropnego wewnętrznego oporu, ale nie wyczuwał, przeciw czemu jest zwrócony. Taka była prawda. Przy żadnej z tych rozmów, w trakcie których spoglądali na to z różnych stron i rozważali, żeby wspólnie podjąć decyzję, nie było o tym mowy, nie padło to słowo – bo gdyby wypowiedział je choć raz, oświadczył, że on ją kocha, że kocha Sheri Fisher, to wówczas cała rzecz zmieniłaby postać, to byłoby inne stanowisko i spojrzenie z innej strony, tylko że różnica leżałaby właśnie w tym, o czego odpuszczenie się razem modlą i o czym wspólnie zdecydowali. Czasami modlili się wspólnie przez telefon, stosując coś w rodzaju półszyfru, na wypadek gdyby ktoś w ich domach niechcący podniósł drugą słuchawkę. Ona siedziała nadal, jakby nad czymś myślała, w pozie namysłu, w której wyglądała prawie tak samo jak tamta rzeźba. Byli tu oboje na tym stole. On był kimś, kto omija ją wzrokiem i patrzy na drzewo w wodzie. Ale nie mógł powiedzieć, że on to czuje – to nie była prawda.

Ale też nigdy nie otworzył się przed nią i nie powiedział jej prosto z mostu, że jej nie kocha. To mogło być jego „kłamstwo przez zaniechanie”. To mógł być ten zastygły opór – gdyby zwrócił się do niej twarzą i powiedział, że jej nie kocha, poszłaby na wizytę

i odeszła. Wiedział o tym. Jednak coś w nim, jakaś okropna słabość czy obojętność na wartości, nie pozwalało mu jej tego powiedzieć. To było jak mięsień, którego po prostu mu brakuje. Nie wiedział czemu, ale nie potrafił tego zrobić czy choćby modlić się, żeby się na to zdobyć. Wierzyła, że jest dobry, stały w swoich wartościach. Jakaś jego część wydawała się pragnąć właśnie tego, żeby na dobrą sprawę zwyczajnie okłamać kogoś, kto ma taką wiarę i ufność, a skoro tak, to kim on był? Jak osoba tego pokroju może się w ogóle modlić? Tak naprawdę było mu tak, jakby doświadczał rzeczywistej postaci tego, co mają na myśli ludzie, kiedy mówią o piekle. Lane Dean nigdy nie wierzył w piekło jako jezioro płomieni czy w to, że kochający Bóg wrzuca gości w ogień piekielny – serce mówiło mu, że to nieprawda. Tym, w co wierzył, był żywy Bóg współczucia i miłości oraz możliwość osobistej relacji z Jezusem Chrystusem, przez którego ta miłość spełnia się w ziemskim czasie. Ale siedząc tutaj, obok tej dziewczyny, która teraz wydawała mu się tak nieznana jak przestrzeń kosmiczna, czekając na cokolwiek, co padnie z jej ust i wyrwie go z odrętwienia, czuł się tak, jakby widział kontur czy zarys tego, czym mogłaby być prawdziwa wizja piekła. Składały się na nią dwie potężne i złowrogie armie, które zgromadziły się w nim samym, stojące niemo jedna naprzeciw drugiej. Stoczą bitwę, ale nie będzie zwycięzcy. Albo nigdy żadnej bitwy – armie będą tak trwały, nieruchome, wpatrzone jedna w drugą, widząc w drugiej stronie coś tak innego i obcego od siebie samej, że nie będą nawet rozpoznawać jej mowy jako złożonej ze słów ani nie będą w stanie wyczytać czegokolwiek z twarzy drugiej strony, w tym znieruchomieniu, jedna naprzeciw drugiej, obie nierozumiejące, przez całą ludzką rachubę. Człowiek o dwóch sercach, hipokryta przed samym sobą, obojętnie, na co się zdecyduje.

Kiedy podniósł głowę, część jeziora kawałek dalej błyszczała w słońcu; woda bliżej brzegu nie była teraz czarna, tak że dało się coś dostrzec na mieliźnie i było widać, że cała woda porusza się ledwie zauważalnie, wte i wewte, tak jak on, gdy teraz usilnie prosił, by mógł stać się na powrót sobą, w chwili, kiedy jej noga drgnęła i Sheri zaczęła się obracać w jego stronę. Widział człowieka w garniturze i popielatym kapeluszu, jak stoi teraz bez ruchu na

brzegu jeziora, trzyma coś pod pachą i patrzy ponad wodą na drugą stronę, gdzie niewielkie postacie na składanych krzesłach siedziały w rzędzie w sposób wskazujący na to, że zarzuciły przynętę na okonia, co robią przeważnie tylko czarni z East Side, a ten mały biały kształt na końcu ich rzędu to był styropianowy kosz wędkarski. W tej jego chwili czy momencie decyzji nad jeziorem, od której dzielił go tylko krok, Lane Dean po raz pierwszy poczuł, że doświadcza tego wszystkiego równocześnie; wszystko wydawało się wyraźnie oświetlone, bowiem okrągły cień błotnego dębu odsunął się już daleko od nich, tak że siedzieli teraz w słońcu, ich cień w trawie na lewo przed nimi wyobrażał natomiast coś dwugłowego. Patrzył czy wpatrywał się znowu w miejsce, gdzie gałęzie powalonego drzewa sprawiały wrażenie tak ostro wygiętych tuż pod powierzchnią płycizny, kiedy dano mu znać, że przez całą tę zastygłą ciszę, którą pogardzał, tak naprawdę się modlił albo robiła to jakaś część jego serca, o której istnieniu nie wiedział albo której głosu nie słyszał, ponieważ w odpowiedzi otrzymał coś na kształt wizji, coś, co później będzie nazywał w myślach wizją albo *chwilą łaski*. Nie jest hipokrytą, jest tylko złamany i rozbity, jak wszyscy ludzie. Później, ilekroć o tym pomyśli, będzie wierzył, że to, co go teraz spotyka, to moment, w którym niemal zobaczył ich oboje tak, jak mógłby ich widzieć Jezus – jako ślepych, ale szukających po omacku, chcących podobać się Bogu, mimo ich przyrodzonej upadłej natury. Bo właśnie wtedy wejrzał na mgnienie oka w serce Sheri i tym samym dane mu było poznać, co się tu wydarzy, w chwili, w której kończyła obrót w jego stronę, a mężczyzna w kapeluszu spoglądał na wędkujących i na powalony wiąz, który upuszczał do wody swoje kwiatostany. Ta twardo stąpająca po ziemi dziewczyna, która przyjemnie pachnie i chce zostać pielęgniarką, weźmie jedną z jego dłoni w swoje ręce, żeby go odblokować i sprawić, żeby na nią spojrzął, i powie, że ona nie może tego zrobić. Że przeprasza, że wcześniej tego nie wiedziała, nie zamierzała kłamać, zgodziła się, ponieważ chciała wierzyć, że da radę, ale nie może. Że je urodzi, musi. Jej spojrzenie będzie przytomne i opanowane. Że całą zeszłą noc się modliła i robiła rachunek sumienia, i uznała, że tego wymaga od niej miłość. Że Lane powinien, proszę, skarbie, daj mi skończyć. Że, posłuchaj, to jej

decyzja, która jego nie zobowiązuje do niczego. Że ona wie, że jej nie kocha, nie tak; że wiedziała o tym przez cały ten czas i że nic nie szkodzi. Że jest, jak jest, i że to nic nie szkodzi. Będzie je nosić i je urodzi, i będzie je kochać, a od Lane'a nie będzie niczego żądać, poza tym, żeby jej dobrze życzył i uszanował to, co ona musi zrobić. Że go uwalnia, zrzeka się wszelkich roszczeń, że ma nadzieję, że skończy PJC i że będzie miał dobre życie, że czeka go radość i wszystko, co dobre. Jej głos będzie przytomny i opanowany i będzie kłamać, bo Lane'owi było dane wejrzeć w jej serce. Zobaczyć ją. Jeden z czarnych po drugiej stronie podnosi rękę w geście, który może oznaczać pozdrowienie albo próbę odpędzenia pszczoły. Gdzieś daleko za nimi słychać pracującą kosiarkę. To będzie straszliwy zakład o wszystko, zrodzony z desperacji w duszy Sheri Fisher, ze świadomości, że nie może zrobić tego dzisiaj, ale też nie może nosić dziecka sama i przynieść wstydu rodzinie. Jej wartości blokują oba wyjścia – Lane to widzi – i nie ma innej opcji czy wyboru, to kłamstwo nie będzie grzechem. Gal 4:16, „Czy stałem się nieprzyjacielem waszym?”. Ona idzie o zakład, że jest dobry. Tu, na stole, już nie zamarły, ale jeszcze nie ruchomy, Lane Dean Jr. pojmuje to wszystko i czuje, jak ogarnia go litość, a także coś jeszcze, coś, co nie ma żadnej ze znanych mu nazw, co dane mu jest odczuć w formie pytania, które nie przyszło mu do głowy choćby raz w trakcie tego długiego tygodnia poszukiwań i rozterki – skąd ta pewność, że jej nie kocha? Dlaczego jeden rodzaj miłości miałby być prawdziwszy od innych? A co, jeżeli nie ma najmniejszego pojęcia, czym jest miłość? Co w ogóle zrobiłby Jezus? Bo właśnie teraz poczuł na swoich rękach jej dwie małe, delikatne, silne dłonie, którymi obracała go w swoim kierunku. Co, jeśli zwyczajnie się boi, co, jeśli to jedyna prawda, a tym, o co należy się modlić, nie jest nawet miłość, ale zwykła odwaga, żeby spojrzeć jej w oczy, kiedy ona to powie, i zaufać własnemu sercu?

§7

– Nowy?

Po obu stronach Sylvanshine miał agentów i uznał za nieco dziwaczne, że to właśnie ten o różowej i bojaźliwej małej twarzy chomika spojrział na niego, jakby chciał się do niego z czymś zwrócić, ale to ten po drugiej stronie, patrzący gdzie indziej, to powiedział.

– Nowy?

Siedzieli cztery rzędy za kierowcą, którego sposób usadowienia się w fotelu miał w sobie coś dziwnego.

– W porównaniu z?

Sylvanshine czuł, jak wzdłuż szyi i w dół, po łopatkach, płynie mu ogień, a ponadto, jak zaczyna drgać mu mięsień powieki. Omów różnicę pomiędzy opodatkowaniem osoby przekazującej wyceniony majątek na cele dobroczynne a opodatkowaniem tej samej osoby, która sprzedała ten majątek, a następnie przekazała zysk ze sprzedaży na cele dobroczynne. Krawędzie wiejskiej drogi wyglądały na przeżute. Światło dzienne miało to natężenie, które każe człowiekowi włączyć światła mijania, ale sprawia, że nie ma to większego sensu, bo w zasadzie nadal jest dzień. Nie było jasne, czy to van czy minibus o maks. liczbie miejsc do 24. Ten, który zadał pytanie, widziany z profilu, miał bokobród oraz niezniszczalny uśmiech kogoś, kto wypił na lotnisku dwa drinki i nie jadł nic poza orzeszkami. Kierowca ostatniego z vanów, do którego, jako pracownik 9. szczebla, został skierowany Sylvanshine, kręcił kierownicą w taki sposób, jakby miał ramiona zbyt ciężkie, by jego plecy mogły je unieść. Tak jakby przywarł kurczowo do kierownicy, podpierając się nią. Co to za kierowca, co nosi białą papierową czapkę? Tylko taśma utrzymywała w miejscu cały spiętrzony niebezpiecznie bagaż.

– Jestem specjalnym asystentem nowego wicedyrektora w Dziale Systemów ds. Kadr, pana Merrilla Lehrla, który niedługo tu przyjeżdża.

– Pytałem, czy nowy na placówce. Nowo przydzielony.

Głos męczyzny był wyraźny, mimo że on sam wyglądał, jakby zwracał się do okna, które było brudne. Sylvanshine czuł się osaczony; siedzenia były bardziej wyściełaną ławką i brakowało tu oparcia dla rąk, które stwarzałyby chociaż iluzję przestrzeni osobistej. W dodatku samochodem niepokojąco kołysało na drodze, która była szosą albo drogą gminną, do tego stopnia, że słyhać było pracę zawieszania. Gryzoniowaty, który roztracał aurę osoby nieśmiałej, ale uprzejmej, żalostnego, uprzejmego męczyzny zamieszkującego sześcian strachu, trzymał kapelusz na podołku. Wszystkie 24 fotele zajęte. Czuć było drożdżową woń mokrych męczyzn. Poziom energii był niski; wszyscy wracali z miejsca, gdzie pozostawili sporo sił. Sylvanshine niemal dosłownie widział, jak mały różowy gość pije pepto-bismol prosto z butelki i wraca do domu do kobiety, która traktuje go jak nieinteresującego nieznanego. Ci dwaj albo pracowali razem, albo znali się bardzo dobrze; mówili w tandemie, nie do końca zdając sobie z tego sprawę. Tandem alfa-beta, co oznaczało Audyt albo Dochodzeniówkę. Sylvanshine uzmysłowił sobie, że w oknie znajduje się jego niewyraźne odbicie i że alfa czerpie pewną przyjemność ze zwracania się do tego odbicia, tak jakby to był on sam, podczas gdy chomik przybiera adresatywny wyraz twarzy, nic natomiast nie mówi. Darowizny udziałów w akcjach są zawoalowaną formą optymalizacji podatkowej w przypadku zysków kapitałowych... Dało się także słyszeć dźwięk, napowietrzony i metaliczny, jakby pół tonu wygrywanego na organach parowych, kiedy kierowca zrzucał bieg albo kiedy kwadratowy van kołysał się ciężko na serii zakrętów układających się w lustrzane S, mijając billboard z napisem POMNIEJSZ TO, a także z wizerunkiem, którego dowcipu Sylvanshine nie zrozumiał, podczas gdy tamten uprzejmy męczyzna przedstawiał mu ich obu bez większej ceremonii. (Sylvanshine nie zapamiętał imion i nazwisk, co w jego ocenie mogło narobić mu kłopotów, ponieważ ludzie biorą do siebie, kiedy ktoś nie zapamięta, jak się nazywają, zwłaszcza jeśli tym kimś jest osoba przydzielona do pomocy komuś, kto uchodzi za wunderkinda Kadr i właśnie personel jest jej działką, tak że będzie w przyszłości zmuszony do uprawiania wszelkiej możliwej konwersacyjnej gimnastyki, żeby uniknąć imiennego zwracania się

do nich, a niech go Bóg ma w opiece, gdyby mieli się okazać karierowiczami i oczekiwali, że któregoś dnia będą mogli do niego przyjść, żeby przedstawił ich Merrillowi, chociaż jeżeli byli z CID, było to o tyle mniej prawdopodobne, że Dochodzeniówka i Oszustwa miały własną infrastrukturę i przestrzeń biurową, często w oddzielnym budynku, tak przynajmniej było w Rome i Filadelfii, ponieważ księgowi śledczy lubią myśleć o sobie bardziej jak o funkcjonariuszach wymiaru sprawiedliwości niż pracownikach Służby, w związku z czym z reguły niespecjalnie się socjalizują międzywydziałowo, no i w rzeczy samej wyższy z mężczyzn, Bondurant, przedstawił siebie i Brittona jako pracowników CID 9. szczebla, czego zbyt pochłonięty udręką z powodu przegapienia ich imion i nazwisk Sylvanshine nie zinternalizował aż do wieczora, kiedy to przypomniał sobie treść rozmowy i doświadczył chwili ulgi). Bojaźliwy mężczyzna rzadko kłamał; ten bardziej uprzejmy z Pionu Dochodzeniowego, wyczuwał Sylvanshine, kłamał raczej sporo. Szyba pykała pod uderzeniami drobnego deszczu, deszczu, którego ukłucia się czuje, ale który nie moczy. Małe, drobnutkie krople śrutowały o szybę, w której widać było, jak ten mniej ściśle godny zaufania ułożył brodę w otwartej dłoni i wydał z siebie westchnienie, przynajmniej częściowo dla efektu. Skądś z tyłu dobiegały odgłosy przenośnej gry wideo oraz stłumione słowa agentów śledzących przebieg rozgrywki znad ramienia grającego, który się nie odzywał. Wycieraczki furgonetki czy busa wydawały cichy pisk co drugie przesunięcie – Sylvanshine’owi przyszło do głowy, że kierowca wygląda, jakby niemal opierał brodę na kierownicy, ponieważ wychylał się całym ciałem do przodu, starając się znaleźć jak najbliżej szyby, tak jak to robią osoby niecierpliwe albo osoby ze słabym wzrokiem, kiedy czegoś niedowidzą. Bardziej wygadany z agentów CID odbijających się w szybie miał twarz kształtem całkiem zbliżoną do latawca, jednocześnie kwadratową i kanciastą w okolicach policzków i brody; Bondurant czuł ostrość nacisku swojej brody na dłoń i to, jak krawędź ramy okna wgniata się w zagłębienie między kośćmi łokcia. Wszyscy poza Sylvanshine’em wiedzieli, gdzie się znajdują i co robią w Joliet, choć nikt z nich nie myślał o tym w sposób powiększający stan wiedzy, nie jest to bowiem sposób, w jaki ludzie myślą o tym, co

właśnie zrobili. Gdy na pojazd spoglądało się z zewnątrz, stawało się jasne, czym jest – zarówno jego kołysanie, jak i kształt, a także to, że warstwę oliwkowego lakieru naniesiono byle jak, przez co w niektórych miejscach włączone reflektory samochodów jadących za nim wydobywały przebliski jaskrawych kolorów pod spodem, zaokrąglonych liter i wizerunków na patykach, przedstawionych pod różnymi kątami – wszystko to sugerowało smakowitość w pewien tajemniczy sposób, czytelny tylko dla dzieci. Wewnątrz słychać było silnik i falujący pomruk obojętnych rozmów, roztopionych w oczekiwaniu na rychły koniec czegoś – być może konferencji albo rekolekcji czy może szkolenia; personel w Rome szkolenia wewnętrzne Służby miał zawsze w Buffalo albo na Manhattanie – oraz grę wideo, a także nieznaczną szelest czy świergot w oddechu blad różowego gościa, którego spojrzenie Sylvanshine czuł po prawej stronie twarzy, a także pytanie Bonduranta o dział CID placówki w Rome, z któregoś zaś punktu z przodu i jeszcze jednego z tyłu po prawej sączył się iskrzący poszept od ludzi, którzy słuchali czegoś w hipotetycznych słuchawkach (niechybny znak rozpoznawczy młodszych agentów), a Sylvanshine uzmysłowił sobie, że ostatnim razem czarnego albo Latynosa widział na chicagowskim lotnisku, które nie było lotniskiem O’Hare, ale jego nazwa ciągle mu się wymykała i czuł się nieswojo, wyciągając bilet z walizki; tymczasem ten mniejszy sprawiał takie wrażenie, jakby mu się przyglądał, wyczekując jakiegoś przejawu niekompetencji czy niestosowności. Opisz zalety systemu ósemkowego w porównaniu z systemem binarnym przy pisaniu programów poziomu drugiego do śledzenia prawidłowości w arkuszach przepływów pieniężnych firm powiązanych, wymień dwie zasadnicze korzyści, jakie daje franczyzie składanie zeznań z Tabel 20-50 jako filia jej spółki macierzystej, nie zaś jako niezależne przedsiębiorstwo – i znowu to usłyszał, ten urywek muzyki z organków, której nie mógł z niczym połączyć, ale która sprawiała, że miał ochotę zerwać się z siedzenia i biec za czymś w towarzystwie wszystkich dzieci z sąsiedztwa, które wylewają się przez frontowe drzwi i gnają ochoczo ulicą z walutą ścisną w wyciągniętym ręku, tak że zanim zdołał pomyśleć, Sylvanshine mówił już:

– Wiem, że to głupie, ale czy któryś z was nie słyszy od czasu do czasu...

– Mister Squisheego – odezwał się agent po jego prawej, barytonem, który nijak nie pasował do jego postury.

– Czternaście dostawczaków do obwoźnej sprzedaży mrożonych słodczy Mister Squisheego, spółki S z siedzibą we wschodniej Peorii, przejętych wraz z pomieszczeniami biurowymi, należnościami z tytułu dostaw i akcjami czworga z siedmiorga członków rodziny właścicieli przedsiębiorstwa, które, jak wykazał reprezentujący region prawnik przed sądem Siódmego Okręgu, było de facto prywatną spółką S – powiedział Bondurant.

– Niezadowolony pracownik, lewe plany amortyzacji dla wszystkich sprzętów, od zamrażarek po takie wozy jak ten...

– Wycena na okoliczność – powiedział Sylvanshine, głównie po to, żeby pokazać, że zna żargon. Siedzenie bezpośrednio przed Sylvanshine'em było wolne, co dawało mu perspektywę na pomarszczony i mięsisty kark kogoś, kto zajmował dalszy fotel, w kapeluszu od Buscha odchyłonym na potylicę, czym komunikował odprężenie i swobodę.

– To samochód chłodnia?

– Prawda, że świetnie działa na morale? Tak jakby ktoś myślał, że wystarczy tylko zmienić lakier i ludzie się nie połapią, że śmietanka placówki jeździ czymś, co służyło kiedyś do sprzedaży orzechowych rożków i że kierował tym koleś w wielkim białym obwisłym kostiumie i gumowej masce, w których wygląda jak panna cotta.

– Kierowca pracował dla Mister Squisheego.

– Dlatego jedziemy tak wolno.

– Tu można jechać nawet pięćdziesiąt pięć mil; jak chcesz, to się odwróć i zobacz, jak ci za nami świecą w nas długimi.

Mniejszy i bardziej różowy mężczyzna, Britton, miał okrągłą, miękką twarz. Był po trzydziestce i trudno było powiedzieć, czy się golił. Co ciekawe, okolica, w której Sylvanshine dorastał w King of Prussia, była osiedlem planowanym, z progami zwalniającymi, na którym wspólnota mieszkańców zdecydowała o zakazie wszelkich form akwizycji, zwłaszcza przy użyciu organów parowych – Sylvanshine nigdy w życiu nie biegł za ciężarówką z lodami.

– Kierowca nadal jeździ pod zastaw; zajęcie doszło do skutku dopiero w zeszłym kwartale, tymczasem Dyrektor stwierdza, że zysk z zatrzymania wozów i kierowców przez okres trwania zobowiązania na tyle przewyższa to, co można by uzyskać w drodze licytacji, że każdy poniżej jedenastego szczebla wozi się teraz furgonem Mister Squisheego – powiedział Bondurant. Jego ręka poruszała się razem z jego brodą, gdy mówił, co Sylvanshine’owi wydało się dość karkołomne i fałszywe.

– Kłania się krótkowzroczne myślenie.

– Dla morale to fatalne. Że wspomnę tylko o wizerunkowej porażce w oczach dzieciaków i ich rodziców, kiedy widzą, jak auta, które kojarzą z beztrioską i przepysznyimi karmelochrupkoduszkami, jeżdżą teraz zagarnięte i poniekąd zjanczarzone przez Służbę. Wyjazdy w teren też.

– Możesz nie wierzyć, ale jeździmy tym na kontrole terenowe.

– Praktycznie ryzykujemy ukamienowanie.

– Mister Squishee.

– Niektóre muzyczki są jeszcze gorsze; są auta, które grają je przy każdej zmianie biegu.

Minęli kolejny znak, stał wprawdzie po prawej stronie, jednak Sylvanshine go dostrzegł: WIOSNA, ZADBAJ O BEZPIECZENSTWO NA FARMIE!

Bondurant, z tyłkiem ścierpłym po dwóch dniach spędzonych na składanym krześle, patrzył, tak naprawdę nie patrząc, na dwunastoakrowy przestwór pola kukurydzy – woralili łodygi, dopiero jak bronowali przed wysiewem w kwietniu, zamiast zrobić to jesienią, żeby mogły tam przez zimę przegnić, użyźniając glebę, na co teraz, przy wszystkich tych nawozach organofosforanowych i innych, nie warto poświęcać całych dwóch jesiennych dni, wnioskował Bondurant, a do tego z jakiegoś powodu, nie pamięta, choć mówił mu to tatko Higgs, dobrze jest przewrócić skiby, to miało chronić coś tam w ziemi... i nie będąc tego świadomym, myślał już o tym, że kostropate pole przypomina pachę dziewczyny, która niespecjalnie często goli się pod pachami, a nie zdając sobie sprawy z żadnego z powiązań łączących pole, ustępujące teraz w oknie miejsca polaci porosłej głuchym owsem, z pachą, snuł jałowe myśli na temat Cheryl Ann Higgs, obecnie Cheryl Ann

Standish, pracującej przy wprowadzaniu danych w Amerykańskich Zakładach Produkcji Szpagatu, rozwiedzionej matki dwojga, z którymi gnieździ się w przyczepie, za próbę spalenia której jej były miał trafić za kratki niedługo po tym, jak Bondurant awansował na 9. szczebel w CID – dziewczyny, która towarzyszyła mu na studniówce w Peoria Central Catholic w siedemdziesiątym pierwszym, na której to studniówce oboje znaleźli się w ścisłym dworze balu, a Bondurant został wicewicekrólem i miał na sobie pudrowoniebieski frak i pożyczone buty, zbyt ciasne na jego stopy, a ona nie poszła się z nim pieprzyć, nawet na pobalówce, gdzie wszyscy pozostali kolesie po kolei pieprzyli się każdy ze swoją sympatią w złotym chryslerze new yorkerze, którym przyjechali, wynajętym na ten wieczór od ojca stopera drużyny, który prowadził salon Hertza, by pozostawić po sobie plamy, tak że później ich stoper spędził lato na lotnisku u Hertza za biurkiem, odpracowując nadprogramowe detale tapicerki new yorkera. Danny Jakiśtam, zresztą jego staruszek zmarł nie tak znowu długo po tym, no ale w każdym razie tamtego lata nie mógł uczestniczyć w rozgrywkach Legionu i stracił formę, tak że ledwie się załapał do drużyny na NIU i stracił stypendium, i Bóg jeden wie, co się z nim później stało, ale tak czy owak żadnej z tych plam nie pozostawili po sobie Bondurant i Cheryl Ann Higgs, mimo jego usilnych próśb. Nie uciekł się do butelki sznapsa, bo gdyby przywiózł ją do domu pijaną, jej tatko albo by go zabił, albo jej wlepiłby szlaban. Największym momentem w życiu Bonduranta był jak na razie 18 maja 1973, kiedy na drugim roku w ostatnim meczu granym przez Bradley u siebie jako *pinch-hitter* zagrał na trzecią bazę, co pozwoliło Oznowiezowi, przyszłemu łapaczowi ligi AAA, pogrążyć SIU-Edwardsville i zapewnić Bradley awans do fazy play-off okręgu Missouri Valley, w której co prawda odpadli, a mimo to przecież rzadko mu się zdarza, by przy robocie, za biurkiem, ze stopami nad podłogą, z podkładkami pod papiery ułożonymi na kolanach, nie stanął mu przed oczami balon-maskotka, wyobrażający podkreconą piłkę z logo SIU, by nie poczuł pyknięcia, któremu nie towarzyszyły wibracje, w łączącym się z piłką mięsie kija, by nie słyszał podwójnego brzęku upadającej aluminiowej pałki, gdy widzi, jak piłka – coś jak we flipperach – odbija się od pierwszego słupka ogrodzenia przy linii faulu

i odsprężynowuje od drugiego płuca linii faulu, i przysięgłby, że słyszy, jak oba ogrodzenia dzwonią od uderzenia piłki, w którą przywalił tak mocno, że będzie to czuł zawsze, ale nie potrafi w sposób choćby zbliżony do tego przypomnieć sobie, jaka była Cheryl Ann Higgs tam w środku, kiedy w nią wszedł, gdy leżeli na kocu przy stawie na skraju pastwiska przy niewielkiej mleczarni prowadzonej przez pana Higgsa i jednego z jego niezliczonych braci, choć dobrze pamięta, co każde z nich miało na sobie, oraz woń świeżych glonów nieopodał rury odpływowej, której bulgot był niemal jak szemranie strumyka, a także spojrzenie Cheryl Ann Higgs, gdy jej leżące na wznak ciało stało się uległe i Bondurant wiedział już, że jest, jak to mówią, sam w domu, ale unikał jej oczu, ponieważ wyrazu jej oczu, którego – jakkolwiek nie zastanawiał się nad tym potem ani razu – Tom Bondurant nigdy nie zapomniał, przedstawiał sobą bezgraniczny, nieuleczalny smutek, może nie zaraz upolowanego bażanta pochwyconego w psie szczęki, ale kogoś, kto za chwilę dokona transferu czegoś, o czym z góry wie, że nigdy nie otrzyma za to stosownego zwrotu. Przez następny rok kręcili się w kółko w obsesyjnej spirali, to zrywając, to znów nie mogąc bez siebie wytrzymać, aż za którymś razem okazało się, że ona może wreszcie wytrzymać bez niego, i to było wszystko, co napisała.

Ten mały jasnoróżowy agent z CID, Britton, nie poprzedzając pytania odchrząknięciem czy jakąkolwiek uwerturą, zapytał Sylvanshine'a, o czym myśli, co Sylvanshine'owi wydało się groteskowo, a wręcz obscenicznie nie na miejscu i inwazyjne, coś jak pytanie o to, jak wygląda twoja żona nago albo jak pachną twoje sprawy, które zostawiasz w toalecie, ale oczywiście wypowiedzenie tej uwagi nie wchodziło w grę, zwłaszcza w przypadku kogoś, kogo zadaniem było utrzymywanie dobrych stosunków i pełnej przepustowości linii komunikacji, by mógł je wykorzystać Merrill Lehl, kiedy przybędzie – mediowanie na rzecz Merrilla Lehla i jednocześnie zdobywanie informacji na temat tylu aspektów kontroli zeznań podatkowych i problemów z nią związanych, jak to tylko możliwe, albowiem właśnie waży się los pewnych trudnych, delikatnych decyzji, decyzji, których doniosłe konsekwencje sięgają znacznie dalej niż ta prowincjonalna placówka, i jakkolwiek rzecz

się potoczy, będą one bolesne. Sylvanshine, zwróciwszy głowę częściowo, ale niezupełnie (pomarańczowy rozbłysk w lewej łopatkę) tak, by mieć w polu widzenia chociaż lewe oko Gary'ego Brittona, zdał sobie sprawę, że ma bardzo słaby emocjonalny czy etyczny „odczyt” dla wszystkich jadących z nim w busie poza Bondurantem, który coś tęskno wspominał i pielęgnował swój żal, pograżając się w tym wspomnieniu jak w ciepłej kąpieli. Ilekroć przejeżdżało obok nich coś dużego, zmierzając w przeciwnym kierunku, wielki prostokąt przedniej szyby rozjarzał się na chwilę i stawał matowy z powodu wody, przy której przemieszczaniu wycieraczki prężyły się w mozole. Spojrzenie Brittona – Sylvanshine'owi wydawało się, że facet spogląda raczej *na* jego prawe oko, niż patrzy *w* nie. (W tej samej chwili przez głowę Thomasa Bonduranta, w której często gościło tornado, spoglądającego przez okno, ale bardziej wstecz i w głąb własnej pamięci, przemknęła myśl, że można patrzeć przez okno, ale też patrzeć *w* okno, jak by właśnie w oknie pojawił się złoty koński ogon i błysk mlecznobiałego ramienia, jak również wyglądać oknem [przestarz., zbliżone do *przez*] albo nawet patrzeć *na* okno, jak przy kontrolowaniu przejrzystości szyby i jej czystości). Spojrzenie było w każdym razie wyczekujące, tak że Sylvanshine znów poczuł, pomijając odczuwane już pustkę w żołądku i bolesny nerw w obojczyku, jak trudny do przeniknięcia jest ogólny nastrój panujący w busie i jak bardzo różni się od pełnego grozy napięcia stu siedemdziesięciorga agentów w 0104 w Filadelfii czy od maniakałnego odrętwienia tuzina z maleńkiego 408 w Rome. Jego własny nastrój, złożona hybryda zmęczenia drogą i lęku oczekiwania, jakich człowiek doświadcza nie tyle pod koniec podróży, ile przeprowadzki, nijak nie przystawał do nastroju panującego w dawnej furgonetce Squisheego ani do tego, w jakim pograżył się ten uprzejmy, rozpamiętujący przeszłość starszy agent po jego lewej, ani tego, w jakim było to ludzkie martwe pole od inwazyjnego pytania, którego szczere potraktowanie pociągało za sobą konieczność zwrócenia uwagi na jego inwazyjność, co stawiałoby Sylvanshine'a w trudnej sytuacji jeszcze przed dotarciem na placówkę, i to na chwilę wydało mu się okropnie niesprawiedliwe oraz poskutkowało tym, że pograżył się we

współczuciu dla samego siebie, uczuciu nie tak ciemnym jak skrzydło rozpacz, za to napuszczonym karminem resentymentu, jednocześnie lepszym i gorszym od zwykłej złości, ponieważ nie było ukierunkowane na określony przedmiot. Trudno było winić kogokolwiek; coś w wyglądzie Gary'ego czy Gerry'ego Brittona świadczyło niezawodnie, że pytanie, które zadał, było pewnym nieuchronnym przedłużeniem jego osobowości i że nie można go za to winić bardziej, niż winiłoby się mrówkę, że wlała ci do sałatki ziemniaczanej na pikniku – stworzenia tak już mają.

§8

Pod ustawianym nad obwodnicą każdego maja znakiem WIOSNA, ZADBAJ O BEZPIECZEŃSTWO NA FARMIE! i dalej, przez północny wjazd, oznakowany własną zbeczeszczoną tablicą tudzież symbolami odnoszącymi się do kwestii akwizytorów i ograniczeń prędkości, a także uniwersalnym hieroglifem bawiących się dzieci, przez szpaler odpicowanych domków kontenerowych, minawszy rottweilera na naprężonym łańcuchu, chędożącego nic w oszalałych spazmach, oraz zostawiwszy za sobą odgłosy smażenia dobiegające z okna aneksu kuchennego przyczepy za 180-stopniowym skretem w prawo, a następnie ostrym w lewo, wzdłuż progu spowalniającego, nurem w gęste zarośla, jeszcze niewycięte pod nowe standardowe kontenery, pośród trzasków suchych obiektów i cykania owadów w ściółce zagajnika z dwiema butelkami i jaskrawym plastikowym opakowaniem nabitym na gałąź morwy, obserwując w zmiennej paralaksie gałązek samosiejek fragmenty przyczep wzdłuż sinusoidalnych alejek i ścieżek północnej części osiedla, okalających tę z poszyciem z blachy falistej, w której kiedyś mężczyzna zostawił rodzinę, by powrócić w jakiś czas później z bronią i zastrzelić ich wszystkich, gdy akurat siedzieli przed telewizorem, oglądając *Dragnet*, oraz tę opuszczoną, rozprutą dwusypialnianą, na wpół skolonizowaną przez obrzeża zagajnika, w której chłopcy i ich dziewczyny układali się razem na materacach w dziwne zespolone formy i zostawiali po sobie podarte kolorowe opakowania do czasu, kiedy przygoda z kuchenką zakończyła się eksplozją przewodu gazu, rozrywając południową ścianę przyczepy i pozostawiając w niej olbrzymie labialne rozdarcie, wydające wybebeszone wnętrze lokum na pastwę spojrzeń mnogości oczu przez cały ten czas, gdy igły i łodygi długiej zimy chrzęszczą pod naciskiem mnogości butów tam, gdzie zagajnik nagle się urywa, poza kraniec ślepej uliczki na niezagospodarowanej działce, dokąd chodzą teraz o zmierzchu patrzeć, jak zaparkowany samochód kołysze się na resorach. Szyby ma niemal matowe od pary,

a podwozie tak rozchwiane, jakby jechał w miejscu – pojazd wielkości łodzi, skrzypienie zastrzałów i amortyzatorów i podrygi o włos od autentycznego rytmu. Ptaki o zmierzchu i zapach łamanych sosnowych gałązek i cynamonowej gumy do żucia tej młodszej. Chybocząc się, przypomina samochód jadący z dużą prędkością po bardzo złej drodze, co nadaje statycznej sylwetce buicka efekt sennej ociążałości albo wypełnienia ładunkiem czegoś jak romans albo śmierć w oczach obserwujących dziewczynek, które w kucki czają się na skraju zagajnika, na wyniosłości terenu, na podobieństwo diady, wgapione, z rozwartymi powiekami i z nabożeństwem wypatrujące z rzadka przesuwających się na tle szyby niewyraźnych kształtów kończyn (raz rozplaszczona na szkle ukazała się bosa stopa i sama też drżała), podchodzących coraz bliżej każdej nocy w tygodniu poprzedzającym prawdziwą wiosnę, bezgłośnie namawiając jedna drugą, żeby no jeszcze bliżej do dyszącego auta i zajrzeć do środka, a gdy uczyni to wreszcie jako jedyna jedna z nich, nie zobaczy nic poza odbiciem swoich szeroko otwartych oczu, podczas gdy zza szkła dobiegnie krzyk, który zna aż za dobrze, który za każdym razem wyrywa ją ze snu za ścianką z dykty w ich przyczepie.

Na gipsowych wzgórzach, kawałek na północ, szalały pożary, których dym długo wisiał nad okolicą i cuchnął solą; wtedy zniknęły kolczyki z cynołowiu, a zniknięciu nie towarzyszyły oskarżenia kogokolwiek czy choćby słowo komentarza. Potem zostawiła ją samą na całą noc, na dwie. Dziecko matką tej kobiety. Wróżby i znaki: Toni Ware i jej matka znowu w drodze wśród bezbrzeżnej nocy. Trasy, które na mapach nie układają się w żadne sensowne kształty, gdy powieść po nich palcem.

W nocy wzgórza obserwowane z osiedla przyczep nawiedzała brudnopomarańczowa łuna i dobiegały z nich dźwięki żywych drzew eksplodujących od gorąca pożarów, a także odgłosy samolotów orzających falujące powietrze, wypuszczających grube jęzory talku. W niektóre noce prószyło drobnym popiołem, który, gdy na czymś osiadł, zamieniał się w sadzę i który sprawiał też, że okno każdej przyczepy na osiedlu emanowało podwodną poświatą włączonego telewizora, a jeśli wiele odbiorników było nastawionych

na ten sam kanał, dźwięki programów dochodziły do niej z za zasłony popiołu tak wyraźnie, jakby ich własny telewizor był nadal z nimi. Jego zniknięciu, przed ich ostatnią przeprowadzką, nie towarzyszył żaden komentarz.

Chłopcy z osiedla przyczep nosili pomięte kapelusze i krawaty z cielej skóry, a niektórzy mieli turkusowe akcenty i to jeden z nich pomógł jej opróżnić zbiornik sanitarny ich przyczepy, po czym usiłował przymusić ją do fellatio w zamian, w odpowiedzi na co otrzymał od niej zapewnienie, że cokolwiek wyjdzie z jego spodni, już tam nie powróci. Żadnemu z chłopców zbliżonych do niej wzrostem nie udało się jej przymusić od czasu Houston i tamtych dwóch, którzy wsypali jej do lemoniady coś, co sprawiło, że zobaczyła, jak rozjeżdżają się jej w oczach, tak że nie była w stanie z nimi walczyć i leżała, patrząc w niebo, podczas gdy oni załatwiali swój odległy interes.

O zachodzie słońca północny i zachodni horyzont miały jednakową barwę. W bezchmurne noce czytywała książki przy tłęcej się łunie wieczornego nieba, siedząc na plastikowej skrzynce, która służyła za werandę. W drzwiach siatkowych nie było już siatki, a mimo to były to drzwi siatkowe, co dało jej do myślenia. Rysowała palcami w warstwie sadzy, która zaległa na blacie miniaturowej kuchni. Na zapalająco pomarańczowo, przy świetle krzepnącego zmierzchu, wśród zapachu kreozotu płonącego na poszarpanych wzgórzach po zawietrznej.

Jej życie wewnętrzne – bogate i wielowartościowe. W romantycznych fantazjach to ona walczyła i zwyciężała, ratując jakiś przedmiot czy postać, które jednak nigdy w tych marzeniach nie przybierały określonego kształtu ani nie zyskiwały imienia czy nazwy.

Po Houston jej ulubioną lalką była sama głowa lalki o wymyślnie pozaplatanych włosach, której otwór zawierał gwint pasujący do zewnętrznego gwintu szyi; miała osiem lat, kiedy zgubiła ciało, leżące odtąd w jakichś zaroślach, już na zawsze bezwładne i nieświadome, podczas gdy przynależna mu głowa żyła nadal.

Zdolności relacyjne matki były mierne i nie obejmowały formułowania prawdziwych i konsekwentnych wypowiedzi. Córka nauczyła się, żeby wierzyć czynom, a także tego, jak wyczytywać

oznaki ze szczegółów, o których ogół dziecięcego rodu nie ma pojęcia. To wtedy pojawił się wysłużony atlas samochodowy, rozłożony na mapie stanu, z którego pochodziła jej matka, na której to mapie odwzorowanie jej miejsca pochodzenia przekreślała przypominająca sporą kreska zaschniętej wydzieliny obudowanej wokół czerwonego krwawego włókna. Atlas leżał tak otwarty i nieużywany nieomalże tydzień; jadły przy nim. Przez przerwana moskitierę w drzwiach do środka dostawał się popiół. Mrówki nękały wszystkie przyczepy na osiedlu – popiół z pożarów miał w sobie coś, czego łaknęły. Wymrawiały się z miejsca pod sufitem, gdzie panel z okleiny odlaźł i spaczył się w nagromadzonym tam cieple i z którego zstępowały dwie równoległe podobne naczyniom krwionośnym kolumny czarnych owadów. Jedząca na stojąco konserwy nad zlewem z anodyzowanego aluminium. Dwie latarki i najróżniejsze opaki świeczek z szuflady, od których matka nie odpalała już papierosów, oświetlały jej świat. W każdym kącie kuchni po małej kostce boraksu. Woda z kranu w pralni samoobsługowej noszona w wiadrach, przyczepa – przerobiona naczepa, której przewody zwisały luzem, miejsce pobytu jej właściciela zaś nie było znane starszym osiedla, obsiadającym krzesła ogrodowe, wolne od plagi spadającego popiołu w cieniu perukowca. Jedną z nich, Matka Tia, która przepowiadała przyszłość, trzęsąca się i cała pomarszczona, z twarzą jak rozłupany orzech pekan, obwiedziona cieniem czarnego kaptura, i z dwoma zębami sterczącymi z dziąseł jak kręgle w Spare Me Lanes przed drugim uderzeniem, wróżąc z własnych kart i tacy, na której osiadający popiół robił się biały, nazywała ją *chulla* i nie brała od niej zapłaty, wymawiając się Złym Okiem, które miało ją straszyć, ilekroć dziewczynka spojrzała na nią przez lunetę zwiniętego w rulon magazynu, wytkniętą przez dziurę w moskitierze. Dwa wychudłe psy o żółtych tęczówkach leżały, dysząc, w cieniu perukowca i podnosiły się tylko czasami, żeby poujadać na samoloty naprzykrzające się pożarom.

Słońce nad nimi przypominało wizjer wcelowany w samotrawiący się środek piekła.

Jeszcze jednym znakiem było to, jak Matka Tia nie zgodziła się jej wieszczyć – i to na zasadzie błagania o łaskę, a nie zwyczajnej

odmowy, co wzbudziło piskliwy śmiech pozostałych starszych i wdów rezydujących w cieniu; nikt nie rozumiał, dlaczego boi się tej dziewczynki, a ona sama nie chciała powiedzieć, kreśląc raz za razem specjalny znak w powietrzu przed sobą, z jednym zębem wystającym przed dolną wargę. Za nią też będzie tęsknić i jej wspomnienie również przechowa głowa lalki.

Zdolności relacyjne matki były na tym poziomie od czasu jej pobytu na oddziale zamkniętym w University City w Missouri, w trakcie którego nie można było jej odwiedzać przez osiemnaście dni roboczych, a dziewczynka przez ten okres ukrywała się przed pracownikami socjalnymi i sypiała w opuszczonym dodge'u, którego drzwi dało się zabezpieczyć wieszakiem wygiętym, o, w taki sposób.

Dziewczynka spoglądała nieraz na otwarty atlas i widniejące w nim miasto przekreślone smarkiem. Tam przyszła na świat, w mieście, które nosiło jej imię. Do jej drugiego doświadczenia z gatunku tych, które w jej książkach jawiło się jako pełne słodczy ze względu na używane w nich nijakie słownictwo, doszło w porzuconym samochodzie w University City w Missouri, a jego sprawcą był mężczyzna, który potrafił przemieścić jeden wieszak za pomocą wyprostowanego haka drugiego i który powiedział, zasłoniwszy jej usta dłonią w rękawicy bez palców, że mogą to rozegrać na dwa sposoby.

Najdłuższy okres, przez który musiała polegać całkowicie na jedzeniu zwędzonym ze sklepu, to osiem dni. Co najwyżej kompetentna złodziejka. Gdy były z matką w Moab w Utah, jej współnik powiedział pewnego razu, że jej kieszeniom brakuje wyobraźni, po czym w niedługim czasie został nakryty i musiał chodzić ze szpikulcem i zbierać śmieci przy autostradzie, o czym miała okazję naocznie się przekonać, mijając go wraz z matką przerobionym kamperem, za kierownicą którego siedział „Kick”, handlarz pirytem i wyrabianymi własnoręcznie grotami do strzał, w którego towarzystwie matka nigdy się nie odzywała, tylko przy włączonym radiu malowała paznokcie, każdy na inny kolor, i który raz uderzył ją w brzuch tak mocno, że zobaczyła wszystkie barwy i wdychała z bliska zapach spodu dywanu, i słyszała, co zrobiła jej matka, żeby przeszkodzić „Kickowi” w czynieniu dziewczynce dalszych awansów, ustami. Wtedy także nauczyła się, jak nacinać

przewody hamulcowe w taki sposób, żeby awaria nie nastąpiła wcześniej, niż to precyzyjnie regulowała głębokość nacięcia.

Nocami, na materacu, w rdzawej pościeli wyobrażała sobie także ławkę nad stawem i senne pokwakiwanie kaczek i że stojąc tam, trzyma w ręce sznurek od czegoś, co unosi się nad jej głową i ma namalowaną twarz, sznurek od latawca czy balonu. Twarz innej dziewczynki, której nigdy nie zobaczy, której nigdy nie pozna.

Kiedyś na jednej z dróg międzystanowych wielkiego narodu matka opowiedziała jej o bezgłowej lalce, którą z kolei ona się bawiła i z którą się nie rozstawała przez szereg piekielnych lat dziewczęcych spędzonych w Peorii w cieniu *choroby nerwowej* własnej matki (gdy to wymawiała, profil jej twarzy ściągnął się w grymasie), w trakcie której matka nie wypuszczała jej z przyczepy obitej przez najętych w tym celu wędrownych robotników niewykwalifikowanych znalezionymi i porzuconymi samochodowymi kołpakami, tak by przykrywały każdy cal poszycia i w ten sposób odbijały fale transmisji nadawanych przez niejakiego Jacka Benny'ego, bogacza, który według matki miał być obłąkany i dążyć do przejęcia *globalnej kontroli nad umysłami* za pośrednictwem fal radiowych o bardzo określonej częstotliwości i barwie. („Ktoś tak podły nie zostawi świata w spokoju” było niedokładnym cytatem czy zasłyszonym sloganem powtarzanym przez matkę, kierującą teraz pojazdem, co potrafiła robić, jednocześnie paląc papierosa i używając pilnika do paznokci). Dziewczynka postanowiła czytać oznaki i poznać fakty z własnej historii, tak minionej, jak i obecnej. Utarcie na proszek potłuczonego szkła wymaga godziny zabawy z kawałkiem cegły na odpornej powierzchni. Kradła ze sklepu mięso mielone i bułki, po czym zagniała mielone ze szkłem i smażyła hamburgery na prymusie z osłoną wiatrową na tylnym siedzeniu dodge'a, i zostawiała te pieczołowicie przyrządzone posiłki na przednim siedzeniu, aż mężczyzna, który ją był przymusił, włamał się do samochodu za pomocą wieszaka i zwędził je, by już nigdy więcej się nie pojawić; wkrótce potem matka otrzymała wypis, by powrócić pod opiekę dziewczynki. Chociaż imbrykacja za pomocą dysków jest niewykonalna, babki życzeniem było, by każdy kołpak dotykał sąsiednich całą krawędzią. W ten sposób naelektryzowanie jednego

miało gwarantować obecność ładunku we wszystkich, dzięki czemu mogły odbijać bombardowanie fal. Śmiercionośne pole zagłuszało wszystkie radiodbiorniki w sąsiedztwie. Dwukrotnie notowana za zmianę natężenia całej sieci, stara znalazła gdzieś generator, który chodził, jakkolwiek hałaśliwie, na naftę, trzęsąc się i podskakując obok przypominającej bombę lotniczą butli z propanem, stojącej na zewnątrz przy kuchni. Małej mamie wolno było czasami wyjść za drzwi i pogrzebać wróble, które przysiadły na domu, by oddać ducha, czemu towarzyszył pojedynczy rozbłysk i kula dymu w kształcie ptaka.

Dziewczynka czytała historie o koniach, biografie, książki naukowe, o psychiatrii, a także *Mechanikę dla każdego*, ilekroć miała do nich dostęp. Czytała książki historyczne w sposób metodyczny. Przeczytała *Mein Kampf* i jakoś nie mogła zrozumieć, o co tam tyle krzyku. Przeczytała Wellsa, Steinbecka, Keena, Laure Wilder (dwukrotnie) i Lovecrafta. Przeczytała do połowy wiele podartych i wyrzuconych książek. Przeczytała *The Red Badge of Courage* wyrwaną z okładki i czysto instynktownie była w stanie stwierdzić, że autor nigdy nie był na wojnie i nie ma pojęcia, że po przekroczeniu pewnego punktu krytycznego człowiek unosi się gdzieś tuż ponad strachem, skąd bez mrugnięcia okiem ogląda całą sytuację, jednocześnie robiąc to, co należy albo co pozwoli mu pozostać przy życiu.

Chłopiec z osiedla kontenerów, który próbował ją przymusić pośród woni z ich szamba, zebrał teraz swoich kumpli pod jej przyczepą, gdzie się przyczaili, by wydawać nieludzkie odgłosy wśród padającego z nieba popiołu, podczas gdy córka tamtej córki rysowała kręgi wewnątrz kręgów dookoła jej własnego imienia na mapie oraz wiodących do niego arterii. Pożary na gipsowych wzgórzach i tablica przy wjeździe na osiedle wyznaczały bieguny pustynnej nocy. Chłopcy bekali i wyli do księżyca, ale ich wycie w niczym nie przypominało tego prawdziwego, a ich śmiech był wymuszony, a słowa nijak się miały do miłości, która, jak mówili, rozpiera ich i którą obiecywali ją obdarzyć po wielekroć.

Podczas tych nieobecności matki za tym czy innym mężczyzną dziewczynka zamawiała katalogi i Bezpłatne Oferty! przychodzące pocztą każdego dnia wraz z próbkami produktów, które ludzie

z prawdziwymi domami kupowali, by cieszyć się nimi w stosownym czasie, tak jak ona, która miała się za osobę korzystającą z edukacji domowej i nie jeździła autobusem razem z dziećmi z osiedla. Wszystkie sprawiały wrażenie przymulonych, usmarowanych, jak biedni zasiedlający wszyscy to samo miejsce; przyczepy, tablica i przejeżdżające ciężarówki były sprzętami meblującymi ich świat, który krążył po orbicie, ale się nie zmieniał. Dziewczynka często wyobrażała sobie, jak maleją we wstecznym lusterku, a ona macha im obiema rękami na pożegnanie.

Płachta azbestu, starannie pocięta na paski, z których jeden znalazł się w pralce, gdy matka niedoszłego sprawcy umieściła w bębnie porcję prania i ruszyła z powrotem do Circle K po więcej piwa, sprawiła, że zarówno matka, jak i syn nie pokazali się już więcej na zewnątrz swego kontenera ustawionego na bloczkach fundamentowych. Serenady chłopców również ustały.

Puszka po zupie napełniona szambem albo padlina zebrana z pobocza jezdni, umieszczone pod podwoziem czy plastikową kratownicą dostawianej werandy z supermarketu, sprowadzą na daną przyczepę plagę much o mięsistych cielskach. Drzewo dające cień można było uśmiercić poprzez wbicie w podstawę pnia – na wysokości kilku palców nad ziemią – krótkiej miedzianej rurki; liście od razu zaczynały brązowieć. Jeśli chodzi o przewody hamulcowe i paliwowe, cała sztuka polegała na tym, by spiłować ich powłoki skrobakiem prawie do końca, zamiast je po prostu przecinać. To wymagało pewnego wyczucia. Wsypanie do baku pół uncji cukru zebranego z jednorazowych saszetek unieruchamiało wszystkie pojazdy, ale nie wymagało finezji. Podobnie jednocentówka włożona do skrzynki bezpiecznikowej albo czerwona farba wlana do cysterny przyczepy, dostępnej poprzez szafkę z zaworami wężła sanitarnego we wszystkich modelach przyczep poza tymi najnowszymi, których liczba na osiedlu Vista Verde wynosiła zero.

Spłodzona w jednym wozie, urodzona w innym. Pomiędzy snami ukradkiem widzi własne poczęcie.

Pustynia nie miała echa i w tym była podobna do morza, z którego się wyłoniła. Czasami w nocy słyhać było ogień albo krążące samoloty, albo te ciężarówki na pięćdziesiątce czwórce

w kierunku Santa Fe, których opony zawodziły w sposób przypominający seplenienie odległych fal; leżała na materacu i wyobrażała sobie nie jakieś morze czy przejeżdżające ciężarówki, tylko to, na co akurat miała ochotę. W odróżnieniu od matki i lalki z amputowanym ciałem ona pozostawała wolna we wnętrzu swojej głowy. Niespełniony geniusz, większy niż jakiegokolwiek słońce.

Dziewczynka przeczytała biografię Hetty Green, matkobójczyni oskarżonej o fałszerstwo, która trzęsła Wall Street, a jednocześnie zbierała okrawki mydła do wyszczerbionego blaszanego puzderka, które nosiła stale przy sobie, i nie bała się nikogo spośród żyjących. *Makbeta* przeczytała w wersji komiksowej, z dialogami w dymkach.

Aktor Jack Benny podpierał głowę dłonią w sposób, o którym matka, o ile sama była akurat przytomna, mówiła jej, że robił na niej wrażenie czułego, czegoś, za czym można by tęsknić, o czym można by marzyć, tam, wewnątrz domu ze skorupą z tarcz elektrycznych, w którym matka tamtej pisała szyfrem listy do FBI.

W okolicach świtu czerwone równiny jaśniały, a straszliwy samowładny upał poruszał się w swojej podziemnej norze; dziewczynka kładła głowę lalki na parapecie, by spoglądała, jak otwiera się ogromne czerwone oko, a niewielkie głązy i kawałki śmieci rzucają cienie długości człowieka.

W żadnym z pięciu stanów nie miała na sobie choćby raz sukienki czy butów ze skóry.

O świcie ósmego dnia pożarów matka zjawiała się wraz z pojazdem rozdętym do granic nadbudówką z blachy falistej, za którego kierownicą siedział jakiś nieznajomy osobnik. Z napisu z boku nadbudówki reklamującego kiedyś zapewne ROBOTY LEŚNE pozostało tylko OB_ LEŚN_.

Otamowanie, nadmierne myślenie inkluzywne. Niejasność, nadmierna spekulatywność, mętny tok myślenia, konfabulacja, sałata słowna, unikanie odpowiedzi, afazja. Złudzenia prześladowcze. Nieruchomość katatoniczna, automatyczne posłuszeństwo, bladość afektywna, rozmyte ja–ty, zaburzona poznawczość, skojarzenia bez związku lub niejasne. Depersonalizacja. Urojenia ksobne bądź wielkościowe. Kompulsywność, rytualizm. Histeryczna ślepotą. Rozwiązłość. Solipsyzm lub stany ekstatyczne (rzadko).

Data i m. urodzenia dziewczynki: 11-4-60, Anthony, IL.

Data i m. urodzenia matki dziewczynki: 4-8-43, Peoria, IL.

Ostatni adres: Dosewallips 17, Segment E, Osiedle Domów Mobilnych Vista Verde, Organ NM 88502.

Wzrost, Waga, Kolor Oczu / Włosów dziewczynki: 5'3", 95 funtów, brązowe / brązowe.

Zajęcia wykonywane przez matkę w latach 1966–1972 (na podstawie formularza 699-D [Certyfikat objęcia federalnym zastawem podatkowym, Okręg 063{a}], 1972): pomoc sprzątająca w stołówce Rayburn-Thrapp Agronomics, Anthony, IL; wykwalifikowany operator prasy sitodrukowej do czasu kontuzji nadgarstka, All City Uniform Company, Alton, IL; kasjerka, Convenient Food Mart Corporation, Norman, OK i Jacinto City, TX; kelnerka, Stuckey's Restaurants Corp., Limon, CO; asystentka zmianowej w hali mieszania lepiku, National Starch and Chemical Company, University City, MO; hostessa i kelnerka, Double Deuce Live Stage Night Club, Lordsburg, NM; agent, Cavalry Temporary Services, Moab, UT; organizowanie i sprzątanie przestrzeni miniwybiegu dla psów w sklepie zoologicznym Best Friends Kennel and Groom, Green Valley, AZ; kasjerka i zastępca kierownika nocnej zmiany, Riské's Live XX Adult Entertainment, Las Cruces, NM.

Więc jeszcze raz jechały nocą. Pod tarczą księżycą, która okrągląła przed nimi. To, co nosiło miano tylnego siedzenia pick-upa, było wąską półką, na której dziewczynka mogła spać, pod warunkiem że ułożyła nogi w luce za właściwymi siedzeniami, których zagłówki miały mętny połysk niemytych włosów. Bałagan i woń drożdży wskazywały na to, że samochód jest lub był zamieszkiwany; samochód i jego kierowca śmierdzieli tak samo. Dziewczynka w bawełnianym body, w džinsach urywających się na wysokości kolan. We własnym wyobrażeniu na temat mężczyzn matka posługiwała się nimi tak, jak czarodziejka posługuje się bezwolnymi stworzeniami, jako dowodami i przedmiotami jej nadprzyrodzonych mocy. Słowo, jakiego używała wobec nich, nie spotykając się z wyrzutami ze strony dziewczynki: *znajomi*. Wobec smagłych mężczyzn z bokobrodami, międlących zapałki w zębach i miażdżących puszki w rękę. Na których czapkach ślady potu

układały się na podobieństwo słoików drzewnych. Których spojrzenia w lusterku wstecznym pełzały po tobie. Wobec mężczyzn, o których nie sposób było pomyśleć, by sami kiedykolwiek byli dziećmi, by nadzy mogli podnieść spojrzenie na kogoś, komu ufają, trzymając w rękę zabawkę. Do których jej matka zwracała się jak do dzieci i którym pozwalała się traktować jak bezgłową lalkę, *maltretować*.

W motelu w Amarillo dziewczynka miała własny pokój zamykany na zamek, do którego nie dochodziły hałasy. Wieszaki były przytwierdzone do drążka w szafie. Głowa lalki miała usta poszminkowane czerwoną kredką i patrzyła w telewizor. Dziewczynka często marzyła o kocie albo jakimś małym zwierzątku, które mogłaby karmić i uspokajać, głaszcząc jego łepkę. Matka bała się skrzydlatych owadów i miała ze sobą całe puszkę spreju. Gaz pieprzowy na łańcuszku i przeterminowane kosmetyki razem z papierośnicą powleczoną sztuczną skórą i zapalniczką w torebce z nachodzącymi na siebie czerwonych cekinów, którą dziewczynka zdobyła jako prezent na Boże Narodzenie w Green Valley za cenę tylko bardzo niewielkiego rozdarcia u spodu, tam, gdzie za pomocą pilnika usunęła elektroniczną metkę, by przy okazji wynieść w niej to samo body, które ma teraz na sobie, z wyszywanymi różowymi sercami, układającymi się w ogrodzenie na wysokości biustu.

Wnętrze samochodu czuć było też zepsutym jedzeniem, a przy jednym oknie brakowało dźwigni opuszczania szyby, której kwestię facet rozwiązywał za pomocą kombinerek. Karta przyklejona do szyby głosiła, że fryzjerki wiedzą, jak zrobić, żeby stało. Po jednej stronie brakowało mu zębów; schowek przy siedzeniu pasażera był zamykany na klucz. Matka, której twarz w trzydziestym roku życia zaczynała ujawniać niewyraźne ściegi planu drugiej twarzy, jaki miało dla niej w zanadrzu życie, co do którego planu miała obawy, że przedstawia twarz jej własnej matki, podczas przymusowego leczenia w University City siedziała z podkulonymi nogami, kołysząc się do przodu i do tyłu, i zatapiała paznokcie w ciele, usiłując ten plan zniweczyć. Zdjęcie, w sepii, matki jej matki, w sukience bez rękawów, na fotelu z końskiego włosia, zwinięte w rulon schowany w głowie lalki razem ze skrawkami mydła i trzema kartami bibliotecznymi na imię i nazwisko dziewczynki. Jej dziennik, przechowywany pod drugą podszewką okrągłej kasetki. I jedyna

fotografia jej matki z dzieciństwa, w jaskrawym zimowym świetle, okutanej w tyle kurtek i w tyłu czapkach na głowie, że ona i butla z propan-butanem mogłyby uchodzić za bliźnięta. Dom pod napięciem nie mieścił się w kadrze, za to widać było obrys jego podstawy w roztopionym śniegu, a matka małej mamy przytrzymywała ją, by stała prosto; mała chorowała na krup i miała taką gorączkę, że obawiano się, że nie przeżyje, co uzmysłowiło jej matce, że nie ma żadnych zdjęć swojego maleństwa, które zostałyby jej na pamiątkę, w razie gdyby umarło, więc okutała je po szyję i kazała czekać na śniegu, a sama poszła ubłagać sąsiada o zdjęcie aparatem Landa, żeby jej dziecina nie została zapomniana, gdy umrze. Zdjęcie zniekształciło się skutkiem długiego przechowywania w zgięciu, a na widniejącym na nim śniegu trudno się było dopatrzyć śladów stóp; buzia dziecka szeroko otwarta, oczy spoglądające na człowieka z aparatem, ufne, że to ma jakiś sens, że tak przebiega właściwe życie. Plany dziewczynki względem jej babki, które z wiekiem i w miarę doskonalenia techniki znacząco ewoluowały, zajmowały sporo miejsca na przestrzeni jednej trzeciej jej ostatniego dziennika.

To matkę, nie tamtego osobnika, zobaczyła za kierownicą, gdy zbudził ją chrzęst żwiru w Kansas. Za ich plecami znikał zajazd dla ciężarówek, a wraz z nim malała wyprostowana sylwetka biegnąca za nimi asfaltem i wymachująca czapką. Spytała, gdzie są, ale nie zapytała o mężczyznę, który prowadził przez trzy stany, trzymając na udzie matki tę samą niepożądaną rękę, którą ją dotknął – rękę, którą przez przerwę między przednimi siedzeniami śledziła głowa lalki, jak spoczywa, o tak, a następnie odrywa się od powierzchni, na której leży i wędruje w powietrzu, rękę widzianą w tym samym śnie, którego częścią początkowo wydawały się tamto rzucanie i tamte odgłosy. Córce szło na trzynaście i zaczynała już wyglądać. Oczy jej matki w towarzystwie mężczyzn stawały się odległe i przysłonięte powiekami; teraz, w Kansas, robiła miny w lusterku wstecznym i żuła gumę. „No, to co, to siedzisz z przodu, no to jazda stąd, co nie?”. Guma pachniała cynamonem, a jej sreberko po złożeniu mogło się przydać do zrobienia wytrychu do schowka, jeśli je owinać wokół pilnika dla wygładzenia powierzchni końcówki.

Kawałek od miejsca postojowego w Portales, pod słonecznym krążkiem z bitego złota, dziewczynka, leżąc na plecach i nie do końca wybudzona z przerywanej drzemki na tylnej półce szoferki, została poddana przez tego mężczyznę – który wychylił się ze swojego miejsca za kierownicą, układając dłoń w beznamienne szczypce – torturze miętoszenia jej osobistego cycusia, duszenia jej cycusia, przez gościa spoglądającego tępo oczami wyzutymi z lubieżności, podczas gdy ona udawała trupa i patrzyła w jakiś punkt za nim, nie mrugnawszy nawet raz, słysząc wyraźnie oddech mężczyzny, wdychając ostrą woń jego czapki w kolorze khaki, mężczyzny maltretującego jej cycuś, sprawiającego wrażenie, jakby był przy tym nieobecny i beznamiętny, i przestał, dopiero gdy na parkingu rozległ się stukot wysokich obcasów. Co i tak było wyraźną zmianą na lepsze w porównaniu z Cesarem sprzed roku, który pracował przy malowaniu tablic na autostradach i miał zielone kropki w porach twarzy i rąk, i żądał, żeby zarówno matka, jak i córka zostawiały drzwi do łazienki otwarte, nieważne, co robią wewnątrz, który to gość był z kolei lepszym wyborem niż perspektywa mieszkania w okolicy Houston pełnej magazynów i opustoszałych loftów, gdzie na dwa miesiące przyłączył się do nich „Murray Blade”, półwykwalifikowany spawacz, który za nożem zatkniętym za pasek na przedramieniu miał tatuaż przedstawiający ten sam nóż schowany między parą piersi bez właścicielki, przybierających na objętości przy ściśnięciu pięści, co go bawiło. Mężczyźni w skórzanych kamizelkach, o porywczym usposobieniu, którzy wstawieni potrafią okazywać czułość na sposoby przygotowujące o gęsią skórę.

Pięćdziesiątka czwórka, którą jechały na wschód, nie była drogą federalną, a podmuchy wzniecane przez nadjeżdżające z przeciwka ciężarówki powodowały myszkowanie pojazdu, które matka musiała kontrować. Wszystkie szyby opuszczone, wietrzyły wnętrze z faceta. Coś, o czym lepiej nie wspominać, w schowku przed siedzeniem pasażera, który matka kazała jej zamknąć, coś, na co nie była w stanie patrzeć. Tamta kartka z podtekstem przez chwilę łopotała w powietrzu, wykonując serię francuskich wycisków w śladzie aerodynamicznym, niknąc pośród migotania umykającej w lusterku drogi.

Na zachód od Pratt w Kansas kupiły i zjadły burrito z Convenient Mart, podgrzane w przeznaczonym do tego celu aparacie. Olbrzymie Slushee, którego za nic nie potrafiły skończyć.

Schowana pod skorupą z dysków i folii matka jej matki utrzymywała, że gdy szalencie Jack Benny lub jego niewolnicy ze spiralami w oczach przyjdą po nie, najlepiej będzie udawać trupa, leżeć, wytrzeszczywszy oczy, nieruchomo i nie mrugać ani nie oddychać, tak że w końcu nasłani ludzie schowają do kabur miotacze promienia, wzruszając ramionami i mówiąc sobie, że przybyli za późno, no bo patrzcie – kobieta i jej ponętna córka już nie żyją i najlepiej będzie, jak je tak zostawią. Zmuszana ćwiczyć to razem z nią, na sąsiednim tapczanie, z otwartą buteleczką tabletek na stoliku pośrodku, z rękami złożonymi na piersiach i rozwartymi oczami, oddychając tak nieznacznie, że klatka piersiowa się nie unosiła. Starsza z kobiet potrafiła nie mrugać bardzo długo; matka, będąc tylko dzieckiem, nie była w stanie, a oczy same się jej zamykały, ponieważ dziecko to nie lalka i musi mrugać i oddychać. Starsza kobieta mówiła, że przy odpowiednim nakładzie czasu i woli można osiąść umiejętność samonawilżania oczu na zawołanie. Odmawiała dziesiątki na odpustowych koralach, a na skrzynce na listy miała niewielki niklowany zamek. Okna doszczelnione folią aluminiową w półksiężycowych prześwitach pomiędzy czarnymi okręgami kołpaków. Matka zawsze miała przy sobie krople i utrzymywała, że wysychają jej oczy.

Jazda na przednim siedzeniu była przyjemna. Nie pytała o faceta od pick-upa. Siedziały w jego wozie, ale bez niego; trudno byłoby znaleźć w tym powód do niezadowolenia. Zdolności relacyjne matki były najmniej nijakie w momentach, w których obie mierzyły się z tym samym; dowcipkowała teraz, śpiewała i posyłała córce nieśmiałe spojrzenia. Cały świat poza zasięgiem reflektorów był znacząco zaciemniony. Dziewczynka nosiła panięńskie nazwisko babki, Ware. Mogła opierać stopy o czerń przedniej szyby, tak że między kolanami widziała wtedy cały jezior drogi w zasięgu reflektorów. Przerwana biała linia wysyłała im sygnały morsem, a kościście biały księżyc wschodził w pełni i na jego tle przesuwały się chmury, przybierając różne kształty. Z początku palce, potem dłonie, a wreszcie całe drzewa błyskawic trzepotały na zachodnim

horyzoncie; nic za nimi nie jechało. Patrzyła ciągle, czy światła z tyłu lub inne znaki nie zwiastują pogoni. Matka używała zbyt jaskrawej szminki jak na ten kształt ust. Dziewczynka nie pytała o nic. Miały spore szanse. Mężczyzna był albo z gatunku takich, co złożyliby zawiadomienie, albo takich, co – na wzór „Kicka” – podjęliby próbę pościgu i wzięcia odwetu za to, że zostawiły ich wymachujących czapką na środku drogi. Gdyby o to zapytała, twarz matki straciłaby wszelki wyraz, zdradzając gonitwę myśli w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby powiedzieć, podczas gdy prawda była taka, że wcale się nad tym nie zastanawiała. Błogosławieństwem i nieszczęściem dziewczynki było to, że znała jednocześnie swoje i jej myśli, że musiała trzymać kierownicę, gdy tamta wkrapła do oczu Murine.

Zatrzymały się, żeby zjeść śniadanie w barze w Plepler, w Missouri, w czasie deszczu, który pienił się w rynsztokach i tłukł o szyby. Kelnerka w pielęgniarsko białym uniformie miała zniszczoną twarz i do obu zwracała się „złotko”, i nosiła jeszcze przypinkę z napisem „Został mi jeden nerw – nie graj na nim”, no i flirtowała z mężczyznami, których imiona znała, pośród kłębow pary wydostających się z kuchni i płynących nad ladą baru z przypiętymi karteczkami z notesu, kiedy dziewczynka poszła umyć zęby w łazience z zamkiem bez skobla. Dzwonek nad drzwiami lokalu zadźwięczał, sygnalizując przybycie klientów. Matka miała ochotę na ciasteczka i placki ziemniaczane oraz polentę z syropem, które zamówiły, po czym poszła zapytać o wykałaczkę, tak że już wkrótce dziewczynka usłyszała ją, jak śmieje się z czegoś, co powiedzieli siedzący przy barze mężczyźni. Deszcz przewalał się falami przez ulicę, którą powoli sunęły samochody, a zaparkowany na niej naprzeciw stolika ich wóz z nadbudówką miał nadal włączone światła, co widziała przez okno, równocześnie z wciąż stojącym jej przed oczami prawowitym właścicielem pojazdu, tkwiącym przy drodze na rogatkach Kismet, z rękami szponiasto obejmującymi przestrzeń, z której wóz zniknął, a w jego wnętrzu matka bębniła po kierownicy i podmuchem z kącika ust odrzucała z oczu kosmyk włosów. Dziewczynka zgarnęła tostem trochę zółtka. Jeden z dwóch mężczyzn, którzy weszli i zajęli sąsiedni boks, miał podobne do tamtego bokobrody i oczy pod daszkiem czerwonej

czapki, teraz czarnej od deszczu. Kelnerka z tępym ołówkiem i notatnikiem zwróciła się do nich:

- Coście tak siedli w brudnej dziupli?
- Żeby cię mieć blisko, skarbie.
- A siadłbyś se tam, tobyś mnie miał jeszcze bliżej.
- Pierdzielisz.

PRZEDMOWA AUTORA

Tu autor. To znaczy prawdziwy autor, żywy człowiek, trzymający ołówek, nie jakaś abstrakcyjna narracyjna persona. Zgoda, w *Bładym Królu* czasem występuje taka persona, ale jest ona głównie konstruktem pro forma i wynikającym z ustawy, podmiotem służącym jedynie celom prawnym i handlowym, trochę jak osoba prawna; nie jest w bezpośredni, dający się wykazać sposób związana ze mną jako osobą. Jednak tu, w tym miejscu, to jestem ja, osoba prywatna, David Wallace, 40 l., numer ubezpieczenia społecznego 975-04-2012¹, zwracający się do was z mojego podlegającego odpisowi na Formularzu 8829 domowego biura przy Indian Hill Boulevard 725, w Claremont, kod pocztowy 91711, w Kalifornii, piątego dnia wiosny 2005, by poinformować was o rzeczach następujących:

To wszystko jest prawdą. Ta książka opowiada prawdę.

Oczywiście jestem wam winien wyjaśnienie. Po pierwsze, przerzucicie strony do tyłu i spojrzcie na notę wyliczającą zastrzeżenia prawne, którą znajdziecie na rewersie tej, gdzie mowa o prawach zastrzeżonych, cztery kartki za dość niefortunnie dobraną i mylącą okładką. Nota prawna to ten tekst bez wcięcia, który zaczyna się od „Wszelkie postacie i wydarzenia przedstawione w niniejszej książce są fikcyjne”. Zdaję sobie sprawę, że przeciętni obywatele prawie nigdy nie czytają tego typu zastrzeżeń prawnych wydawcy, podobnie jak nie tracimy czasu, by zapoznać się z tytułami praw autorskich czy szczegółami wykazu Biblioteki Kongresu, czy z którąkolwiek z nudnych sztanc na temat umów sprzedaży i reklam, co do których wszyscy wiemy, że są tam tylko ze względów prawnych. Tyle że teraz chcę, żebyście je właśnie przeczytali, te prawne zastrzeżenia, i żebyście zdali sobie sprawę, że ta początkowa formuła „Wszelkie postacie i wydarzenia przedstawione w niniejszej książce...” odnosi się także do tej tu właśnie *Przedmowy autora*. Innymi słowy, ta przedmowa sama także

jest objęta tą formułą i zdefiniowana jako fikcyjna, co oznacza, że została włączona w obszar specjalnej ochrony prawnej, jaką ta formuła prawna gwarantuje. Potrzebuję tej prawnej ochrony, bym mógł was poinformować, że to, co następuje², w rzeczywistości wcale nie jest fikcją, ale że jest zasadniczo zgodne z prawdą i wiernie odmalowane. Że *Blady Król* jest, gwoli ścisłości, bardziej pamiętnikiem niż jakąkolwiek wymyśloną historią.

Można odnieść wrażenie, że ta sytuacja to męczący paradoks. Prawne zastrzeżenie na początku książki definiuje wszystko, co po nim następuje, jako fikcję literacką, włączając w to niniejszą *Przedmowę*, a teraz ja w tej *Przedmowie* stwierdzam, że cała rzecz to tak naprawdę *non-fiction*; jeśli zatem chcesz uwierzyć w jedno, nie można dać wiary drugiemu & c., & c. Proszę, miejcie świadomość, że ja także uważam tego rodzaju milusie autoreferencyjne paradoksy za męczące – przynajmniej teraz, kiedy jestem już po trzydziestce – i że ostatnią rzeczą, której ta książka miałaby służyć, jest zrobienie sobie dobrze w jakiś efektowny sposób. Dlatego właśnie postawiłem sobie za zadanie naruszyć protokół i zwrócić się do was osobiście, pod moją prawdziwą tożsamością; dlatego podano wszelkie moje szczegółowe dane identyfikacyjne na początku tej *Przedmowy*. Abym mógł poinformować was, jak jest naprawdę. Jediną fikcją we właściwym tego słowa znaczeniu jest tu formuła zastrzeżeń na stronie z prawami autorskimi, która jest z kolei wyłącznie konstrukcją prawną – jedynym celem tej klauzuli jest ochrona mojej osoby, wydawcy, a także dystrybutorów wydawcy przed roszczeniami z tytułu odpowiedzialności prawnej. Powód, dla którego takie środki ostrożności są tu szczególnie wskazane, dla którego wydawca³ nalegał, by uzależnić od ich zachowania akceptację maszynopisu i wypłatę zaliczki, jest także właśnie tym powodem, dla którego nota o zastrzeżeniach prawnych jest w gruncie rzeczy blagą⁴.

Oto jaka jest prawda: wszystko, co następuje, jest zasadniczo zgodne z prawdą i wiernie odwzorowane. W każdym razie stanowi przeważnie prawdziwy i rzetelny częściowy zapis tego, co widziałem, co słyszałem i robiłem, kogo znałem i z kim, a także pod kim pracowałem, a także co w ogóle zaszło w Placówce IRS nr 047,

w Regionalnym Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni w Peorii, IL, w latach 1985–1986. Spora część książki jest właściwie oparta na rozmaitych notatnikach i dziennikach, prowadzonych przeze mnie przez okres trzynastu miesięcy, które spędziłem jako kontroler rutynowy w RCK na Środkowy Zachód. („Oparta” znaczy tu mniej więcej tyle co „przeniesiona żywcem z” z powodów, które, bez wątpienia, staną się jasne). *Blady Król* to, innymi słowy, pamiętnik zawodowy. Ma także stanowić portret pewnej biurokracji – być może biurokracji najistotniejszej dla życia Amerykanów – w czasach wewnętrznej walki i głębokiego namysłu, bólów, w których rodziła się, jak określają ją specjaliści od prawa podatkowego, Nowa IRS.

Celem pełnej jawności powinienem jednak wyrażać się jednoznacznie i powiedzieć, że sformułowanie „zasadniczo zgodne z prawdą i wiernie odwzorowane” podyktowane jest nie tylko świadomością nieuniknionego subiektywizmu czy ograniczeń mojej pamięci. Prawda jest taka, że istnieją, wewnątrz tego sprawozdania *non-fiction*, pewne drobne zmiany i strategiczne przetasowania, z których większość zrodziła się w toku pracy nad kolejnymi wersjami rękopisu, przerabianego za radą mojego redaktora, który często stawał przed wymagającym wyczucia zadaniem, polegającym na znalezieniu odpowiednich proporcji, uwzględniających literackie i dziennikarskie priorytety z jednej strony, a obawy firmy z drugiej. To prawdopodobnie wszystko, co należałoby tytułem tej kwestii powiedzieć. Istnieje, rzecz jasna, cała zawiła historia dotycząca przeświadczenia trzech kolejnych ostatecznych wersji rękopisu. Ale słuchanie o tym zostanie wam w dużej mierze oszczędzone, choćby dlatego, że przedstawienie tej środowiskowej historii zniweczyłoby rezultat tych powtarzanych, mikroskopijnie dokładnych zabiegów i niezliczonych drobnych poprawek i modyfikacji tekstu, uwzględniających wpływ tych poprawek, które stały się nieodzowne, gdy np. niektóre osoby odmówiły podpisania deklaracji odstąpienia od roszczeń albo gdy pewna średniej wielkości firma zagroziła postępowaniem sądowym w przypadku ujawnienia jej nazwy bądź szczegółów dotyczących jej rzeczywistej sytuacji finansowej w przeszłości, niezależnie od not na początkowych stronach⁵.

Po ostatecznej analizie stwierdzam jednak, że tych niewielkich zmian służących ukryciu tożsamości oraz przedstawiania wydarzeń w czasie jest tu znacznie mniej, niż można by się spodziewać. A to dlatego, że ograniczenie rozpiętości dziennika do jednego okresu (i tam, gdzie to stosowne, historii dawniejszych) w przeszłości, która wydaje się nam wszystkim odległa, ma swoje zalety. Ludzi to już przecież niewiele obchodzi. Mówiąc o ludziach, mam na myśli ludzi z tej książki. Paraprawnicy wydawcy mieli dużo mniejsze trudności ze zdobyciem od ludzi deklaracji zrzeczenia się roszczeń, niż to przewidział jego adwokat. Przyczyny tego są rozmaite, aczkolwiek (czego już zawczasu dowodziliśmy z moim prawnikiem) oczywiste. Spośród osób wymienionych z nazwiska, opisanych, a czasami nawet projektowanych na jaźń tak zwanych postaci w *Bładym Królu*, większość opuściła już Służbę. Spośród tych, które w niej pozostają, większość osiągnęła szczybel w hierarchii urzędniczej, na którym mniej więcej nic im już nie grozi⁶. Również biorąc pod uwagę porę roku, w której książkę przedstawiono do konsultacji pewnym innym członkom personelu Służby, jestem przekonany, że byli oni na tyle zajęci i zaprzątnięci czym innym, że nawet nie przeczytali rękopisu i po odczekaniu stosownego czasu, żeby sprawiać wrażenie, jakby uważnie się z nim zapoznali i wszystko rozważyli, podpisali oświadczenie, by odetchnąć w przekonaniu, że mają o jedną rzecz mniej do zrobienia. Także kilkorgu pochlebiała myśl, że ktoś zwrócił na nich aż tyle uwagi, by po latach pamiętać ich udział. Garstka podpisała też dlatego, że pozostała, przez te wszystkie lata, moimi przyjaciółmi; jedno z nich jest prawdopodobnie najdroższym, najbardziej oddanym przyjacielem, jakiego miałem w życiu. Niektórzy nie żyją. Dwoje, jak się okazało, znalazło się w więzieniu, przy czym jedno to osoba, o której nigdy byście nie pomyśleli.

Nie wszyscy podpisali oświadczenie; niczego takiego nie sugeruję. Jedynie to, że podpisała je większość. Kilkoro wyraziło zgodę na nagrywany wywiad. Tam, gdzie było to wskazane, fragmenty ich nagranych odpowiedzi zostały przepisane bezpośrednio do tekstu. Inni wspaniałomyślnie podpisali dodatkowe oświadczenia zezwalające na wykorzystanie pewnych nagrań audio-wideo, zrealizowanych w roku 1984 w ramach nieudanego przedsięwzięcia Działu Kadr IRS, mającego służyć motywacji i rekrutacji⁷. Jako

całość posłużyły za źródło wspomnień i konkretów, które przy zastosowaniu technik dziennikarstwa rekonstrukcyjnego⁸ złożyły się na sceny odznaczające się niebywałą sugestywnością i realizmem, niezależnie od tego, czy autor był fizycznie ich świadkiem, czy nie.

Sednem, do którego tu zmierzam, jest to, że wszystko to jest zasadniczo prawdziwe, tj. książka, której ta *Przedmowa* jest częścią, niezależnie od różnorodnych sposobów, na jakie niektóre z następujących po niej §§ zniekształcono, zdepersonalizowano, spolifonizowano lub też inaczej podkoloryzowano w celu zadośćuczynienia wymogom noty prawnej. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że to podkoloryzowanie to wyłącznie niczemu niesłużące robienie sobie dobrze; zważywszy na wspomniane prawne-łamane-przez-handlowe ograniczenia, stało się raczej integralną składową tego całego książkowego projektu. Chodzi o to, że – jak uzgodnili prawnicy obu stron – będziecie uznawać cechy takie jak zmieniające się punkty widzenia, fragmentacja strukturalna, celowe niespójności & c. za nic innego jak współczesne literackie analogi „Pewnego razu...” albo „Daleko, daleko stąd mieszkała sobie kiedyś...” czy którychkolwiek tam tradycyjnych środków, z pomocą których oznajmiano czytelnikowi, że to, co się przed nim rozgrywa, to fikcja i tak też należy to traktować. Albowiem, jak każdemu wiadomo na sposób mniej lub bardziej świadomy, między autorem książki a jej czytelnikiem zawsze istnieje swego rodzaju cicha umowa; warunki tej umowy zaś zawsze zależą od pewnych kodów i gestów, którymi autor operuje, by zasygnalizować czytelnikowi, jakiego rodzaju to książka, tj. czy przedstawia zmyślenie czy prawdę. A kody te są istotne, ponieważ podprogowa umowa na literaturę faktu jest bardzo różna od tej na fikcję literacką⁹. To, do czego tu zmierzam, pod ochronnym parasolem noty prawnej ze strony z prawami autorskimi, to odejście od niepisanych kodów, by być z wami w stu procentach szczerym co do warunków niniejszej umowy. *Blady Król* to zasadniczo pamiętnik *non-fiction* wzbogacony o elementy dziennikarstwa rekonstrukcyjnego, psychologii pracy, podstaw wychowania obywatelskiego i teorii rachunkowości podatkowej & c. Nasz wzajemny kontrakt opiera się na domniemaniu (a) mojej prawdomówności oraz (b) przyjęciu przez was do wiadomości, że

wszelkie rysy czy elementy sensotwórcze, które stawiałyby pod znakiem zapytania moją prawdomówność, wynikają w rzeczywistości z zastosowania prawnych instrumentów ochronnych, nie tak znowu różnych od drobnego druku towarzyszącego zakładom pieniężnym i umowom cywilnym, i w związku z tym ich przeznaczeniem jest nie tyle zostać odkodowanymi czy „przeczytanymi”, ile przyjętymi na zasadzie elementu naszej wzajemnej transakcji, że się tak wyrażę, jak przystało na nasz współczesny komercyjny klimat¹⁰.

Plus jest faktem mojej biografii, że podobnie jak tylu innych dupowatych, niezadowolonych młodych ludzi w tamtych czasach marzyłem o zostaniu „artystą”, tj. kimś, czyje dorosłe zajęcie cechuje oryginalność i kreatywność, nie zaś nuda i powtarzalność. Moim właściwym marzeniem było zostać nieśmiertelnie wielkim pisarzem à la Gaddis, Anderson, Balzac czy Péric & c.; i w wielu spośród wpisów w zeszytach, na których fragmenty niniejszej książki wspomnieniowej zostały oparte, były miejsca dosłownie podkoloryzowane i strukturalnie pokawałkowane; tak siebie po prostu wtedy widziałem. Biorąc pod uwagę pewne względy, można by powiedzieć, że to głównie z powodu moich ambicji literackich miałem przerwę w studiach i w ogóle trafiłem do pracy w Regionalnym Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni, jakkolwiek w większości cały ten kontekst ma znikome znaczenie dla opowiadania i poświęcam mu czas wyłącznie w *Przedmowie*, i to bardzo zdawkowo, a mianowicie:

A więc w skrócie, tak naprawdę pierwsze utwory będące fikcją literacką, za jakie otrzymałem zapłatę, miały związek z pewnymi studentami w pierwszym koledżu, w którym studiowałem, a który był niesamowicie drogim i intelektualnie ekskluzywnym koledżem, gdzie uczyli się głównie absolwenci elitarnych prywatnych liceów w Nowym Jorku i regionie Nowej Anglii. Bez plątania się w całą masę szczegółów, powiedzmy, że napisałem pewne utwory prozą dla pewnych studentów na pewne tematy akademickie, utwory, których fikcyjność polegała na tym, że były pisane określonymi stylami, zawierały tezy, konstruowały persony i były podpisywane nazwiskami niemającymi nic wspólnego ze mną. Zdaje mi się, że rozumiecie, co mam na myśli. Główny motyw tego przedsięwzięcia

miał – jak to często bywa w prawdziwym świecie – charakter finansowy. Nie żebym żył na studiach w rozpaczliwej nędzy, jednak mojej rodzinie sporo brakowało do majątności i część mojego wsparcia finansowego wiązała się z zaciągnięciem olbrzymich kredytów studenckich; miałem przy tym świadomość, że konieczność spłacania kredytu studenckiego oznacza bardzo złe wieści dla kogoś, kto po studiach aspiruje do jakiegokolwiek kariery artystycznej, bo wiadomo przecież dobrze, że większość artystów pracuje w ascetycznym i anonimowym trudzie, zanim zacznie zarabiać prawdziwe pieniądze na swej profesji.

Z drugiej zaś strony w tamtym koledżu uczyło się wielu studentów, których rodziny było stać nie tylko na opłacanie całego ich chesnego, ale najwyraźniej także na dawanie swoim dzieciom pieniędzy na wszelkie osobiste wydatki, bez pytania o cokolwiek. Określenie „osobiste wydatki” odnosi się tu do takich atrakcji jak weekendowe wyjazdy na narty, absurdalnie drogie zestawy stereo, imprezy w bractwach z w pełni wyposażonym barem & c. By nie wspomnieć o tym, że cały kampus zajmował mniej niż dwa akry, a mimo to większość studentów miała własne samochody, za których parkowanie na terenie koledżu płacono się 400 dolarów za semestr. Wszystko to było dosyć niewiarygodne. Pod wieloma względami koledż ten był moim wprowadzeniem w surową rzeczywistość społeczeństwa klasowego, rozwarstwienia ekonomicznego i radykalnie odmiennych realiów finansowych będących udziałem różnych kategorii Amerykanów.

Niektórzy z tych studentów z klasy wyższej byli naprawdę zepsuci, skretyniali i / lub zobojętniali na kwestie etyczne. Inni żyli pod wielką presją ze strony rodziny i nie udawało im się, z tej czy innej przyczyny, wznieść się na ocenowy pułap, który ich rodzice uważali za równy ich potencjałowi. Niektórzy po prostu źle rozporządzali czasem i obowiązkami i za zadanie zabierali się w momencie, gdy znajdowali się już pod ścianą. Na pewno jesteście już w stanie to sobie wyobrazić. Powiem tylko tyle, że w celu umożliwienia sobie spłacenia części moich pożyczek w przyspieszonym tempie świadczyłem pewną usługę. Usługa ta nie była tania, ale w tym, co robiłem, byłem całkiem dobry – i ostrożny. Np. zawsze wymagałem dostatecznie dużej próbki wcześniejszych

prac pisemnych klienta, bym mógł ustalić, w jaki sposób klient myśli i brzmi, no i nigdy nie popełniłem błędu, jakim byłoby stworzenie czegoś nierealistycznie lepszego od wcześniejszych prac danej osoby. Prawdopodobnie rozumiecie już też, dlaczego tego rodzaju ćwiczenia mogły być dobrymi wprawkami dla kogoś, kogo interesowało tzw. pisanie kreatywne¹¹. Wpływy z interesu były inwestowane w intratne konto inwestycyjne; a odsetki w tamtych czasach były wysokie, podczas gdy kredyty studenckie nie zaczynają generować odsetek przed zakończeniem przez kredytobiorcę studiów. Cała strategia była zachowawcza, tak pod względem finansowym, jak i akademickim. Nie było tak, żebym robił ileś tam zamówionych prac na tydzień czy coś. Ostatecznie miałem też mnóstwo własnej pracy.

Uprzedzając prawdopodobne pytanie, pozwolę sobie się przyznać, że komponent etyczny był tu w najlepszym razie nieostry. Dlatego też postanowiłem być szczery tam powyżej, gdzie piszę, że nie byłem biedny i nie potrzebowałem tego dodatkowego dochodu, żeby móc coś zjeść. Nie byłem w rozpaczliwym położeniu. Za to usiłowałem zgromadzić trochę oszczędności na poczet, jak przewidywałem¹², katorżniczego długu studenckiego. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to usprawiedliwienie w ścisłym sensie, za to wierzę, że to przynajmniej coś wyjaśnia; a poza tym były tam także inne, bardziej ogólne czynniki i konteksty, które można by uznać za okoliczności łagodzące. Choćby to, że koledz okazał się bardzo obłudny moralnie, np. gratulowano sobie pielęgnowania różnorodności i lewicowych ideałów, a w rzeczywistości zajmowano się przygotowaniem dzieciaków elit do elitarnych karier i robienia masy pieniędzy, czym szkoła budowała sobie grono majątnych absolwentów dobroczyńców. Choć nikt nigdy się o tym słowem nie zająknął czy choćby na moment nie dopuścił do siebie podobnej świadomości, koledz był najprawdziwszą świątynią Mammona. Nie żartuję. Na przykład najpopularniejszym przedmiotem kierunkowym była ekonomia, a wszyscy najlepsi i najbystrzejsi na moim roku sprawiali wrażenie opętanych wizją kariery na Wall Street, której ówczesny publicznie wyznawany etos streszczał się w hasło „Chciwość jest dobra”. Już nie wspominając o tym, że na kampusie byli handlarze kokainą, którzy na swojej sprzedaży detalicznej

zarabiali dużo więcej niż ja kiedykolwiek zarobiłem. To tylko niektóre spośród okoliczności, które mógłbym, gdybym zechciał, przedstawić jako łagodzące. Mój własny stosunek do tego był pełen dystansu i profesjonalny, nie tak różny od podejścia prawnika. Zasadniczy pogląd, który wyznawałem, przedstawiał się tak, że o ile moje przedsięwzięcie może nosić pewne cechy, które w praktyce kwalifikują się jako doradzanie czy podżeganie klienta do podjęcia decyzji o naruszeniu zasad Kodeksu rzetelności akademickiej, sama decyzja, jak również praktyczna oraz moralna odpowiedzialność za nią leży po stronie klienta. Ja podejmowałem się napisania pewnych zleconych prac za opłatą; powody, dla których pewni studenci prosili o określone prace pisemne na określone tematy, i co zamierzali zrobić z tymi pracami, nie były moją rzeczą.

Dość powiedzieć, że poglądu tego nie podzielała uczelniana Rada Dyscyplinarna pod koniec 1984 roku. W tym miejscu historia staje się złożona i odrobinę drastyczna, a zgodny z SPO pamiętnik pewnie zatrzymałby się na szczegółach oraz jawnej niesprawiedliwości i hipokryzji im towarzyszących. Ja nie zamierzam tego robić. W końcu wspominam o tym tylko w celu przedstawienia kontekstu pozornie „fikcyjnych” elementów formalnych niestandardowej książki wspomnieniowej, którą wy (mam nadzieję) kupiliście i teraz czytacie. Plus oczywiście po to, żeby ułatwić zrozumienie, co właściwie robiłem w jednej z najnudniejszych i jednostajnych prac biurowych w Ameryce, w czasie kiedy powinienem być studentem trzeciego roku elitarniej uczelni¹³, tak żeby tego narzucającego się w sposób oczywisty pytania nie pozostawiać zawieszzonego niepokojąco bez odpowiedzi przez całą książkę (rodzaj niepewności, którym osobiście pogardzam jako czytelnik). Zważywszy na te ograniczone założenia, całą historię fiaska z Kodeksem rzetelności akademickiej najlepiej zarysować w kilku schematycznych pociągnięciach, a mianowicie:

(1a) Ludzie naiwni są mniej więcej z definicji nieświadomi tego, że są naiwni. (1b) Jeśli oceniać rzecz z perspektywy czasu, sam byłem naiwny. (2) Z różnych osobistych przyczyn nie byłem członkiem żadnego z działających na kampusie bractw, w związku z czym nie zdawałem sobie sprawy z licznych dziwacznych plemiennych zwyczajów i praktyk będących udziałem tak zwanej

greckiej społeczności. (3a) Jedno z uczelnianych bractw ustanowiło niespotykane durną i krótkowzroczną praktykę umieszczania w szafce na dokumenty z dwiema szufladami, znajdującej się za barem w ich sali do bilardu, kopii niektórych prac z ostatnich egzaminów, zestawów zadań, sprawozdań z badań i prac semestralnych, które zostały wysoko ocenione, udostępniając je na potrzeby plagiatu. (3b) Skoro jesteśmy już przy niespotykanej durnocie, to okazało się, że nie jeden, ale aż trzech członków tego bractwa, nie zadawszy sobie trudu, by skonsultować się ze stroną, u której złożyli zamówienia i która dostarczyła im usługę, wrzuciło prace, które, praktycznie rzecz biorąc, nie oni napisali, do tej ogólnodostępnej szafki. (4) Paradoks plagiatu polega na tym, że skuteczne jego uprawianie wymaga w rzeczywistości dużo ostrożności i ciężkiej pracy, albowiem styl, przedmiot i ciągi logiczne tekstu oryginalnego muszą ulec modyfikacji do tego stopnia, by plagiat nie był wykrywalny w sposób bezsprzeczny i bezczelnie ewidentny dla nauczyciela akademickiego, który pracę sprawdza. (5a) Ten rodzaj zepsutego, skretyniałego gościa z bractwa, który łązi do ogólnej szafki po prace semestralne na temat deflatorów cenowych produktu narodowego brutto w teorii ekonomicznej, jest jednocześnie typem, który nie domyśla się albo za nic ma paradoksalną dodatkową robotę, której wymaga dobry plagiat. (5b) Ani też, w co jeszcze trudniej uwierzyć, nie zada sobie trudu, żeby się upewnić, czy żaden z jego braci z bractwa nie zamierza czasem splagiatować tej samej pracy na te same zajęcia. (6) Kodeks moralny uczelnianego bractwa okazuje się klasycznym przykładem systemu plemiennego, tj. charakteryzuje się głębokim przywiązaniem do honoru, dyskrecji i lojalności wobec tak zwanych braci, w połączeniu z zupełnym, socjopatycznym lekceważeniem interesów czy wręcz człowieczeństwa kogokolwiek spoza kręgu bractwa.

Na tym zakończmy szkic sytuacji. Nie sądzę, byście potrzebowali diagramu czy podstawowego kursu wprowadzającego w temat dynamik klasowych w USA, żeby zrozumieć, co nie spotkało w końcu pięciu studentów warunkowo pozostawionych na uczelni czy zmuszonych powtórzyć pewne kursy w odróżnieniu od jednego, który został formalnie zawieszony w oczekiwaniu na decyzję

o wydaleniu i ewentualne¹⁴ zgłoszenie sprawy do prokuratora okręgowego hrabstwa Hampshire, którym to studentem był piszący te słowa pan David Wallace z Philo w Illinois, małego sennego miasteczka, do którego powrót i perspektywa siedzenia i gapienia się w telewizor przez co najmniej semestr, a możliwe, że dwa, w czasie gdy władze administracyjne uczelni radziłyby nad jego dalszym losem, ceniąc sobie swój czas¹⁵, ani trochę nie napawał jego ani jego rodziny entuzjazmem. Tymczasem, zgodnie z zapisami w §106 (c-d) Ustawy o egzekucji zobowiązań federalnych z 1966 roku, zegar spłaty moich objętych gwarancją kredytów studenckich zaczął tykać z dniem 1 stycznia 1985 roku przy oprocentowaniu równym $6 \frac{1}{4}$.

Jeśli wydaje się wam, że coś tu nie do końca wyjaśniono albo coś okrojono, to dlatego, że daję wam zupełnie goły, złożony z najważniejszych punktów opis tego, kim i gdzie byłem w życiu przez trzynaście miesięcy, które spędziłem jako kontroler IRS. Co więcej, obawiam się, że to, jak w ogóle się znalazłem w tej pracy w budżetówce, to drugorzędna informacja, którą mogę podać tylko w największym uproszczeniu, tj. pozornie tłumacząc, dlaczego nie wolno mi o tym mówić¹⁶. Po pierwsze, nie zapominajcie o wspomnianej już niechęci do powrotu i odbywania wyroku limbo w domu w Philo, która to wzajemna niechęć wiąże się z całą masą problemów i zaszłości pomiędzy moją rodziną a mną, w które nie mogę się zagłębiać, nawet gdybym chciał (zob. niżej). Po drugie, pragnę was poinformować, że miasto Peoria w stanie Illinois jest oddalone od Philo o mniej więcej dziewięćdziesiąt mil, który to dystans pozwala na ogólny rodzinny monitoring niepociągający za sobą szczegółowej, nabywanej w warunkach bliskiej styczności wiedzy, która mogłaby być źródłem niepokoju czy poczucia odpowiedzialności. Po trzecie, chciałbym zwrócić waszą uwagę na §1101 uchwalonej w 1977 roku przez Kongres Ustawy o prawidłowych praktykach odzyskiwania długów, który – jak się okazuje – ma pierwszeństwo przed §106(c-d) Ustawy o egzekucji zobowiązań federalnych i dopuszcza odroczenie spłaty objętego gwarancją kredytu studenckiego zarejestrowanym pracownikom pewnych agencji rządowych, w tym zgadnijcie której. Po czwarte,

wolno mi po długotrwałych negocjacjach z prawnikiem wydawcy wyjawic, ze mój trzynastomiesięczny kontrakt, skierowanie oraz 9. szczebel w tabeli płac urzędników federalnych były rezultatem pewnych niejawnych działań ze strony pewnego niewymienionego z imienia i nazwiska członka rodziny¹⁷, posiadającego bliżej nieokreślone dojścia w Biurze komisarza regionalnego na Region Środkowo-Zachodni pewnej niewymienionej z nazwy agencji rządowej. Po ostatnie i najważniejsze, wolno mi także wyjawic, jakkolwiek niezupełnie własnymi słowami, że członkowie mojej rodziny niemal jednogłośnie odmówili podpisania not prawnych upoważniających do wykorzystywania, wymieniania pod imieniem bądź pseudonimem czy przedstawiania przeze mnie w niniejszym dziele, zwanym dalej *Bladym Królem*, wspomnianych członków rodziny bądź postaci na nich wzorowanych w jakiegokolwiek roli, postaci, formie jawnej bądź zawołowanej, w tym nawiązań *sine damno*, i z tego właśnie powodu nie wolno mi powiedziec nic bardziej szczegółowego na temat rozmaitych jak i dlaczego. Tyle tytułem wyjaśnienia braku prawdziwego wyjaśnienia, co, jakkolwiek irytujące czy mętne, jest i tak lepsze niż pozostawienie pytania, dlaczego i jakim sposobem trafiłem do pracy w Regionalnym Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni, bez odpowiedzi, żeby przez całą resztę tekstu¹⁸ przypominało o sobie jak przysłowiowy słoń w pokoju.

W tym miejscu powinienem prawdopodobnie odniec się do jeszcze jednej kluczowej kwestii związanej z moją zasadniczą motywacją, rzutującą na problem prawdomówności i zaufania, podniesiony kilka ¶¶ wyżej, vide dlaczego książka wspomnieniowa, skoro jestem przede wszystkim powieściopisarzem. Już nie mówiąc o pytaniu, dlaczego ten pamiętnik ogranicza się do jednego dawno minionego roku, który spędziłem na wygnaniu, z dala od wszystkiego, co choć odrobinę mnie obchodziło czy interesowało, odsiadując wyrok i służąc za niewiele więcej niż tymczasowy trybik w olbrzymiej federalnej maszynie biurokratycznej¹⁹. Istnieją dwie różne, równoprawne odpowiedzi na to pytanie, z czego jedna bardziej natury osobistej, a druga o zabarwieniu literackim / humanistycznym. Jeśli chodzi o te rzeczy osobiste, w pierwszym

odruchu powiedziałbym, że to nie wasz interes... tyle że jedną z niedogodności mówienia do was z perspektywy rzeczywistości kulturowej 2005 roku jest fakt, że jak wiemy, nie istnieje już żadna wyraźna linia oddzielająca prywatne od publicznego czy raczej prywatne od performatywnego. Oczywistymi przykładami są blogi, reality TV, kamery w telefonach komórkowych, czaty... nie wspominając o drastycznym wzroście popularności dzienników jako gatunku literackiego. „Popularność” w tym kontekście należy rozumieć, rzecz jasna, jako synonim dochodowości; i właściwie już sam ten fakt powinien tu wystarczyć, jeśli chodzi o motywację. Weźcie pod uwagę, że w roku 2003 przeciętna zaliczka autorska²⁰ za wspomnienia była prawie dwa i pół razy wyższa niż za fikcję literacką. Banalna prawda jest taka, że podobnie jak tyłu innych Amerykanów, poniosłem pewne straty w niestabilnym klimacie ekonomicznym ostatnich lat, a te straty zbiegły się w czasie ze wzrostem moich zobowiązań finansowych związanych z moim wiekiem i obowiązkami²¹; a tymczasem najróżniejsi amerykańscy pisarze i pisarki – wśród których są znani mi osobiście, w tym jeden, któremu musiałem pożyczyć pieniądze na podstawowe wydatki jeszcze wiosną 2001 – dorobili się swego dzięki pamiętnikom²², a ja byłbym skończonym hipokrytą, gdybym udawał, że jestem mniej podatny na siły rządzące rynkiem niż ktokolwiek z pozostałych.

Jednak jak wszyscy dojrzały ludzie dobrze wiedzą, w ludzkiej duszy jest dostatecznie dużo miejsca, by mogły się w niej pomieścić bardzo różne motywy i emocje. Nie ma szans, by taki pamiętnik jak *Blady Król* ktoś napisał wyłącznie dla zysku ekonomicznego. Do paradoksów zawodowego pisarstwa należy fakt, że książkami pisanymi wyłącznie dla pieniędzy i / lub uznania rzadko kiedy zdobywa się którąkolwiek z tych rzeczy. Prawda jest taka, że większa narracja obejmująca tę *Przedmowę* ma istotną wartość społeczną i artystyczną. Może to brzmieć zarozumiale, ale zapewniam was, że nie chciałoby mi się i nie byłbym włożył trzech lat ciężkiej pracy (oraz dodatkowych piętnastu miesięcy prawniczego i wydawniczego cyrku) w *Bladego Króla*, gdybym nie był przekonany, że tak właśnie jest. Weźcie np. poniższą wypowiedź, zanotowaną *verbatim*, jedną z uwag pana DeWitta

Glendenniga Jr., dyrektora Regionalnego Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni, piastującego ten urząd przez większość mojej tam bytności:

Z poglądu człowieka na podatki możesz sobie wyprowadzić całą filozofię, jaką się kieruje. Kodeks podatkowy, gdy się go już pozna, okaże się ucieleśnieniem esencji [ludzkiego] życia: chciwości, polityki, władzy, dobra, miłości.

Do tych jakości, które pan Glendenning przypisał Kodeksowi, pozwoliłbym sobie dodać jeszcze jedną: nudę. Nieprzejrzystość. Nieintuicyjną obsługę.

To wszystko da się przedstawić inaczej. Może to zabrzmieć nieco sucho i papierkowo, ale to dlatego, że sprowadzam to do samych abstrakcyjnych ram:

Rok 1985 był rokiem przełomu w dziejach amerykańskiej ordynacji podatkowej oraz polityki realizacji przez Izbę Rozliczeń Skarbowych postanowień Kodeksu podatkowego Stanów Zjednoczonych. W skrócie, w tamtym roku zaszły nie tylko fundamentalne zmiany w kompetencjach Służby, ale również odbył się finał intensywnej batalii wewnątrz samej Służby między orędownikami i przeciwnikami coraz bardziej zautomatyzowanego i skomputeryzowanego systemu podatkowego. Złożone względy administracyjne zadecydowały o tym, że jedną z aren, na których rozegrała się decydująca faza tego boju, było Regionalne Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni.

Ale to nie wszystko. Jak wspomniano w jednym z przypisów dolnych, równoległe do tej bitwy, w której szło o to, czy za realizację zapisów Kodeksu podatkowego odpowiadać będą ludzie czy maszyny, toczył się głębszy spór o misję i *raison* Służby, konflikt, którego konsekwencje rozlały się korytarzami władzy, począwszy od Departamentu Skarbu, poprzez Trzy Szóstki, aż po najbardziej sensne biuro okręgowe na zapadłej prowincji. Na szczytach toczyła się walka między tradycyjnymi czy „konserwatywnymi”²³ urzędnikami, dla których kwestia podatków i administrowania była areną sprawiedliwości społecznej i cnoty obywatelskiej z jednej strony,

a tymi bardziej postępowymi, „pragmatycznymi” decydentami, którzy czcili model rynkowy, wydajność i maksymalny zwrot z inwestycji w corocznym budżecie Służby. Sprowadzone do swej esencji pytanie brzmiało: czy i do jakiego stopnia IRS powinna być zarządzana jak przedsiębiorstwo komercyjne?

Być może jest to wszystko, co należałoby na razie powiedzieć tytułem streszczenia. Jeżeli potraficie przeszukiwać archiwa i dokonywać analizy składniowej, znajdziecie obszerną historię i teorię stojące za każdą ze stron debaty. To wszystko znajduje się w udostępnianych wszystkim zainteresowanym dokumentach urzędowych.

Ale otóż i to. Podobnie jak dziś, tak i wówczas bardzo niewielu Amerykanów cokolwiek o tym wiedziało. Podobnie niespecjalnie dużo wiedziano o głębokich zmianach, jakie Służba przeszła w połowie lat osiemdziesiątych, zmianach, które dziś bezpośrednio rzutują na sposób, w jaki ustala się i egzekwuje zobowiązania podatkowe obywateli. A powodem ignorancji społeczeństwa nie jest bynajmniej tajność. Pomimo dobrze udokumentowanej paranoi IRS i jej awersji do rozgłosu²⁴ tajność nie miała z tym nic wspólnego. Rzeczywistym powodem, dla którego obywatele USA nie zdawali / zdają sobie sprawy z tych konfliktów, zmian i wysokich stawek, jest fakt, że cały temat polityki i administracji podatkowej jest nudny. Niesamowicie, ale to spektakularnie nudny.

Trudno o przesadę przy akcentowaniu znaczenia tej właściwości. Pomyślcie, z punktu widzenia Służby, o zaletach tego, co nudne, nieprzeniknione, nużąco złożone. IRS była jedną z pierwszych agencji rządowych, które przekonały się, że tego rodzaju właściwości pomagają chronić je przed protestami społecznymi i sprzeciwem politycznym i że nuda w zawiłej formie jest w rzeczywistości skuteczniejszą tarczą niż tajność. Wielką wadą tajności bowiem jest to, że wzbudza zainteresowanie. Ludzi pociągają tajemnice; nie ma na to rady. Pamiętajcie, że okres, o którym mowa, to ledwie dekada po Watergate. Gdyby Służba próbowała ukrywać swoje wewnętrzne konflikty i konwulsje, wówczas jakiś/-cyś przedsiębiorczy dziennikarz(e) mógłby / mogliby napisać demaskatorski artykuł, który znalazłby się w centrum uwagi i spowodowałby wielkie zainteresowanie,

wywołując skandal. Ale do niczego takiego bynajmniej nie doszło. Za to debata polityczna wysokiego szczebla przez dwa lata toczyła się w dużej mierze na oczach społeczeństwa, tj. na otwartych posiedzeniach Wspólnej Komisji ds. Podatków, Senackiej Podkomisji ds. Procedur i Statutów Departamentu Skarbu oraz Rady Zastępcy Komisarza i Podkomisarzy IRS. Posiedzenia te były zebraniem egzystujących beztlenowo mężczyzn w siermiężnych garniturach, posługujących się biurokratycznymi terminami ubogimi w czasowniki, jak „strategiczny schemat użytkowania” oraz „wektor dochodowy” zamiast, odpowiednio, „plan” i „podatek”, i trwało całe dni, nim osiągnęli porozumienie w kwestii samej kolejności tematów obrad. Nawet w prasie ekonomicznej trudno było o sprawozdania; domyślcie się może dlaczego? Jeżeli nie, pozwolę sobie zwrócić waszą uwagę na fakt, że praktycznie każdy protokół, stenogram, studium, biała księga, modyfikacja Kodeksu, orzeczenie podatkowe oraz notatka z działalności były udostępniane powszechnemu odbiorcy z chwilą publikacji. Nie były nawet objęte wymaganiami złożenia wniosku o udostępnienie na mocy Ustawy o wolności informacji. Ale wygląda na to, że nie sprawdzał ich ani jeden dziennikarz. Nieprzypadkowo – te rzeczy to lita skała. Oczy się wywracają już przy trzecim czy czwartym ¶. Nie macie nawet pojęcia²⁵.

Fakt: bóle, w których rodziła się Nowa IRS, doprowadziły do jednego z wielkich i straszliwych odkryć z zakresu PR we współczesnej demokracji, to jest, że jeśli zapalne kwestie polityki rządów da się przedstawić jako dostatecznie nudne i nieogarnialne, rządzący nie będą musieli nic ukrywać ani posuwać się do przemilczeń, ponieważ nikt niezaangażowany w to bezpośrednio nie poświęci im dostatecznie dużo uwagi, żeby mógł namieszać. Nikt nie poświęci temu uwagi, ponieważ nikogo to nie będzie interesować ze względu na mniej lub bardziej *a priori* monumentalną nudę tych kwestii. Zdanie co do tego, czy owo PR-owskie odkrycie należy opłakiwać, ze względu na jego niszczące konsekwencje dla ideału demokracji, czy też fetować, za rolę w usprawnieniu skuteczności rządu, zależy, na to wygląda, od stanowiska, jakie zajmuje się we wspomnianej na str. 101 głębszej debacie, w której ideały ścierają się z efektywnością, co skutkuje

jeszcze jednym zapętleniem, którego wyjaśnianiem nie zamierzam wystawiać na próbę waszej cierpliwości i na którym nie zamierzam zarobić.

Dla mnie, przynajmniej w retrospekcji²⁶, naprawdę ciekawym pytaniem jest to, dlaczego nuda okazuje się tak potężną przeszkodą dla uwagi. Dlaczego wzdramy się przed nudą. Może dlatego, że nuda jest z natury rzeczy bolesna; może stąd biorą się frazy w stylu „śmiertelnie nudny” czy „nudny, że głowa boli”. Ale może tkwić w tym coś więcej. Może nuda kojarzy się z psychicznym bólem, ponieważ coś, co jest nudne bądź mętne, nie dostarcza dostatecznej stymulacji, która odwraca uwagę ludzi od jakiegoś innego, głębszego rodzaju bólu, który zawsze nam towarzyszy, chociażby na sposób podprogowy, na zasadzie tła, bólu, odwracania uwagi, od którego większość z nas²⁷ wydatkuje prawie cały swój czas i energię, a przynajmniej stara się nie odczuwać go bezpośrednio albo nie poświęcać mu pełnej uwagi. Co prawda, rzecz jest dosyć pogmatwana i trudno o niej rozmawiać w oderwaniu od konkretów... ale przecież coś z całą pewnością kryje się już nie tylko za muzakiem w nudnych czy przytłaczających przestrzeniach, bo obecnie także – ni mniej, ni więcej – za oglądaniem najprawdziwszej telewizji w poczekalniach, kolejkach do kasy, przy bramkach na lotniskach, na tylnych siedzeniach SUV-ów. W walkmanach, iPodach, blackberry, telefonach komórkowych, które podłączamy sobie do głowy. Ta groza ciszy niezmaconej czymkolwiek, czym można by zająć myśli. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek naprawdę wierzył, że w tak zwanym społeczeństwie informacyjnym chodzi tylko o informację. Wszyscy wiedzą²⁸, że chodzi o co innego, tak naprawdę serio.

Kwestią istotną dla pamiętnika jest to, że mój czas w Służbie nauczył mnie czegoś o nudzie, informacji i zbędnym skomplikowaniu. O przemierzaniu nudy w sposób, w jaki przemierza się połacie ziemi, jej równiny i lasy, i bezkresne pustacie. I odkąd tamten czas mam już za sobą, zauważam, w pracy i w trakcie wypoczynku, i gdy spotykam przyjaciół, a także w momentach zwierzeń w życiu rodzinnym, że żywi ludzie nie mówią wiele na temat nudy. O tych fragmentach życia, które są

i muszą być nudne. Skąd ta cisza? Może stąd, że sam temat jest nudny z natury rzeczy... Tyle że wtedy wracamy do punktu wyjścia, a to nużące i irytujące. Mimo to może tkwić w tym, jak miemam, coś więcej... To jest: bezgranicznie więcej, możemy to mieć tuż przed nosem, ukryte przed naszym wzrokiem z racji swojego ogromu.

§10

Jakkolwiek traktować słynny opis autorstwa sędziego Sądu Najwyższego H. Harolda Mealera, z opinii Czwartego Sądu Apelacyjnego w sprawie Atkinson przeciwko Stanom Zjednoczonym, w którym to opisie sędzia określa biurokrację rządową jako „jedynego spośród znanych pasożytów, który jest większy od organizmu, na którym żeruje”, prawda jest taka, że biurokracja to w rzeczywistości coś dużo bardziej jak świat równoległy, jednocześnie połączony z tym tutaj i od niego niezależny, działający w oparciu o własne prawa fizyki i imperatywy przyczynowości. Można by sobie wyobrazić ogromny i misternie się rozgałęziający system prętów przegubowych, bloków, przełożeń i dźwigni, rozchodzący się promieniście od centralnie umiejscowionego operatora, tak że najdrobniejszy ruch palca tego operatora jest przewodzony przez ten system i za jego pośrednictwem skutkuje zmianami kinetycznymi dużego rzędu w tłokach umiejscowionych na peryferiach. Właśnie na tych peryferiach są miejscem, w którym świat biurokracji oddziałuje na ten świat.

Zasadniczą częścią tej analogii jest to, że operator złożonego systemu sam nie jest niezależny od bodźców. Biurokracja nie jest zamkniętym systemem; właśnie to czyni z niej świat, a nie rzecz.

§11

Z notatki wewnętrznej biura pomocy pracownikom i kontroli personelu zastępcy komisarza izby rozliczeń ds. zasobów ludzkich, zarządzania oraz wsparcia nr 4123-78(b)

Wyniki badania nr 1-76 – 11-77 przeprowadzonego przez BPPKPZKIRZLZW: zgodne z klasyfikacją AMA/DSM(II) syndromy / symptomy występujące u pracowników Działu Kontroli ze stażem powyżej 36 miesięcy (średni staż 41,4 mies.) ze względu na liczbę odnotowanych przypadków w porządku rosnącym (w oparciu o dane z wniosków o świadczenia medyczne / z pracowniczego funduszu pomocy wg IRSM §743/12.2(f-r)):

Chroniczna paraplegia
Przejęciowa paraplegia
Przejęciowa drżączka porażenna
Fugi parakatatoniczne
Mrowienie
Obrzęk śródczaszkowy
Spazmoidalna dyskineza
Pamięć opaczna
Niedowład
Fobia (numeryczna)
Lordoza
Neuralgia nerkowa
Dzwonienie w uszach
Omamy
Kręcz szyi
Znak Kantora (praworęczny)
Lumbago
Lordoza dwułukowa
Fugi dysocjacyjne
Zespół Kerna-Børglundta (promieniowy)

Hipomania
Rwa kulszowa
Kręcz szyi kurczowy
Niski próg odruchu przestachu
Syndrom Krendlera
Hemoroidy
Fugi ruminatywne
Wrzodziejące zapalenie okrężnicy
Nadciśnienie
Niedociśnienie
Znak Kantora (leworęczny)
Widzenie podwójne
Ślepotą zmierzchowa
Naczyniopochodny ból głowy
Cyklotymia
Rozmyte widzenie
Lekkie drgawki
Kręcz szyi kurczowy
Tiki twarzy / palców
Zespół lęku uogólnionego
Deficyty ruchowe
Niewytłumaczalne krwawienie

§12

Stecyk zaczął od końca ulicy i ruszył z aktówką w rękę pierwszą ścieżką z kamiennych płytek, by nacisnąć przycisk dzwonka. „Dzień dobry”, powiedział do starszej pani, która do drzwi podeszła w czymś, co było szlafrokiem albo bardzo nieformalną podomką (była 7:20, szlafrok zatem był nie tyle prawdopodobny, ile jak najbardziej na miejscu), której fałdy ścisnęła jedną ręką ciasno ściągnięte przy szyi, spoglądając przez szparę pomiędzy drzwiami a futryną w różne punkty ponad ramionami Stecyka, jakby była pewna, że za nim stoi ktoś jeszcze. Stecyk zaczął: „Jestem Leonard Stecyk, mówią mi Leonard, choć Len też jest jak najbardziej w porządku, jeśli o mnie chodzi, i właśnie się tu sprowadziłem, na własne śmieci, że tak powiem, do budynku 6F w kompleksie Zakątek Wędkarza, przy tej ulicy kawałek dalej, na pewno pani widziała po drodze z domu albo do domu, kawałek dalej, pod sto dwudziestym pierwszym, i chciałem się przywitać i przedstawić, i powiedzieć, że bardzo się cieszę, że będę częścią społeczności, a przy okazji, na dzień dobry i w geście wdzięczności, chciałem pani wręczyć bezpłatny egzemplarz *Książki kodów pocztowych, stan na rok 1979*, wydanej przez Poczta USA, z wykazem kodów wszystkich dzielnic i okręgów w każdym stanie USA w porządku alfabetycznym, a także – tu przekłada teczkę pod pachę, by móc otworzyć książkę i pokazać zawartość kobiecie (coś było nie tak z okiem tej kobiety, jakby źle usiadło jej szkło kontaktowe albo może pod powiekę dostało się jej ciało obce, co mogło powodować dyskomfort) – dodatkowe zestawienie, o, tu, z tyłu ostatniej strony i po wewnętrznej stronie okładki znajdzie pani bezpłatne numery do ponad czterdziestu pięciu agencji rządowych i służb, które mogą pani wysłać darmowe materiały informacyjne, w tym naprawdę niemal szokująco przydatne, proszę, o, postawiłem gwiazdkę przy tych, co do których wiem, że są pomocne i naprawdę warto skorzystać, a zresztą, można to śmiało powiedzieć, finansowane są z pani podatków, więc dlaczego by nie czerpać korzyści z owoców

własnego wkładu, jeśli wie pani, co mam na myśli, choć oczywiście wybór to wyłącznie pani sprawa”. Kobieta przekrzywiła też nieco głowę, jak ktoś, u kogo słuch nie jest już tym, czym był kiedyś, co widząc, Stecyk położył aktówkę na ziemi, by postawić jedną czy dwie dodatkowe gwiazdki przy numerach, które w tym wypadku mogłyby się jej szczególnie przydać. Następnie, wykonawszy przesadny gest wręczania kobiecie *Książki kodów pocztowych*, został z wiszącym w powietrzu spisem w jego wyciągniętej ręce, podczas gdy babka, ze zmarszczoną twarzą, sprawiała wrażenie, jakby się zastanawiała, czy powinna odzepić łańcuch przy drzwiach i wziąć książkę. „Może po prostu oprę ją tu o skrzynkę na mleko – powiedział, wskazując na skrzynkę – a pani może zechce się z nią zapoznać dzisiaj, w wolnej chwili, albo zresztą zrobi z nią pani, co uważa”, powiedział Stecyk. Lubił drobne wygłupy w postaci gestu, jakby uchylał kapelusza, choć jego ręka nigdy go nie dotykała; wydawało mu się, że to jednocześnie szarmanckie i zabawne. „A więc uszanowanko”, powiedział. Ruszył z powrotem ścieżką z płytek, omijając wszystkie przerwy, by usłyszeć dźwięk zamykanych drzwi, dopiero gdy doszedł do chodnika, którym, po wykonaniu ostrego skrętu w prawo, w osiemnastu krokach dotarł do ścieżki kolejnego domu i po kolejnym ostrym prawoskręcie dotarł do drzwi z kratą antywłamaniową z kutego żelaza, zza których nie nadeszła żadna odpowiedź po trzech dzwonkach oraz serii pukania na nutę *Shave and a Haircut*. Zostawił wizytówkę z nowym adresem, a także kolejny egzemplarz *Książki kodów pocztowych* (wydanie na rok 1980 wyjdzie dopiero w sierpniu; złożył już na nie zamówienie) i powędrował z powrotem sprężystym krokiem, z uśmiechem tak szerokim, że wyglądał, jakby sprawiał mu ból.

§13

To w liceum publicznym ten chłopiec poznał straszliwą moc uwagi i kierowania nią. Poznał ją w sposób, którego groteskowość sama czyniła rzecz tak straszliwą. A straszliwość ta nie ulega wątpliwości.

W wieku szesnastu i pół roku zaczął cierpieć z powodu ataków potwornych potów w sytuacjach publicznych.

Jako dziecko zawsze mocno się pocił. Pocił się dużo, gdy grał w coś na dworze albo w gorące dni, ale nieszczęśliwie się tym przejmował. Po prostu częściej się wycierał. Nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek mu coś w związku z tym mówił. Poza tym to raczej nie wiązało się z brzydkim zapachem; nie żeby śmierdział. Pocenie się było po prostu czymś, co go wyróżniało. Niektóre dzieci były otyłe, inne były nietypowo niskie albo wysokie, albo miały krzywo rosnące zęby, albo się jąkały, a jeszcze inne czuć było pleśnią, cokolwiek na siebie założyły – on z kolei był kimś, kto po prostu silnie się poci, zwłaszcza latem, gdy było wilgotno, wystarczyło, żeby pojeździł na rowerze po Beloit w dżinsowym ubraniu, a już pocił się jak dziki. Z tego, co zapamiętał, wszystko to ledwie wtedy do niego docierało.

Za to w siedemnastym roku życia zaczęło mu to doskwierać; zaczął się wstydzić tego pocenia. Z pewnością miało to związek z dojrzwaniem, fazą, w której człowiek zaczyna się o wiele bardziej przejmować tym, jak widzą go inni ludzie. Czy jest w nim coś zauważalnie wstrętnego czy odrażającego. W ciągu kilku tygodni, jakie upłynęły od rozpoczęcia szkoły, stał się jednocześnie bardziej i inaczej świadomy, że widocznie poci się więcej niż inne dzieciaki. Pierwszych kilka miesięcy nauki było zawsze gorących, a w wielu salach wiekowej szkoły nie było nawet wiatraków pod sufitem. Choć wcale nie usiłował ani tego nie chciał, zaczynał sobie wyobrażać, jak jego pocenie się wypada przed klasą: twarz mu się świeci od łoju pomieszanego z potem, koszula mokra przy kołnierzyku i pod pachami, włosy porozdzielane na paskudne mokre strąki pod wpływem potu występującego mu na głowie. Najgorzej było, kiedy

zajmował miejsce gdzieś, gdzie, jak przypuszczał, dziewczyny mogłyby to widzieć. Sama obecność ładnej albo lubianej dziewczyny w jego polu widzenia powodowała u niego wzrost wewnętrznej temperatury (czuł, że to się dzieje bez udziału jego woli, nawet wbrew woli), inicjując obfite poty²⁹.

Tyle że w miarę upływu jesieni tego siedemnastego roku życia, w miarę jak się ochładzało i robiło bardziej sucho, a liście spadały i można je było grabić za pieniądze, miał powód, by przypuszczać, że problem z poceniem się ustępuje, że prawdziwym problemem było gorąco albo że teraz, gdy skończyło się to duszne lato, problem nie będzie miał już tyle okazji, by dawać o sobie znać. (Myślał o tym w możliwie najogólniejszych i abstrakcyjnych kategoriach. Starał się, żeby samo słowo „pot” nie gościło w jego myślach. Chodziło w końcu o to, żeby trzymać to jak najdalej od świadomości). Poranki były teraz mroźne, a w salach lekcyjnych nie było już gorąco, poza miejscami z tyłu, przy pobrzękujących kaloryferach. Nie dopuszczając tego całkiem do świadomości, zaczął się odrobinę spieszyć między kolejnymi lekcjami, żeby dotrzeć do kolejnej sali wystarczająco wcześnie, by nie skończyć w ławce przy grzejniku, który był na tyle ciepły, że mógłby wyzwolić poty. Ale istotne tu było zachowanie delikatnej równowagi, ponieważ jeśli zbyt szybko pokonywał między lekcjami korytarze szkoły, związany z tym wysiłek również mógł sprawić, że trochę się spoci, co zwiększało jego zaabsorbowanie i uprawdopodobniało nasilenie się potów w przypadku, gdyby wydało mu się, że ludzie może je dostrzegli. Istniały jeszcze inne zachowania zmierzające do utrzymywania równowagi i zaabsorbowania, z których większość starał się trzymać z dala od świadomych myśli, bez pełnej świadomości, dlaczego to robi³⁰.

Albowiem teraz istniały już stopnie i gradacje publicznych potów, począwszy od cienkiej werniksowej warstewki, a skończywszy na straszliwym, niekontrolowanym i w pełni widocznym i odrażającym poceniu. Najgorsze było to, że jeden stopień mógł przejść w kolejny, jeśli zbyt się przejmował, jeśli za bardzo się bał, że nieznaczne pocenie się nasili, i za bardzo się starał mieć to pod kontrolą albo tego uniknąć. Obawa przed tym mogła sprawić, że to się wydarzy. Nie zaczął cierpieć tak naprawdę, dopóki nie pojął tego faktu,

którego świadomość z początku docierała do niego powoli, a wreszcie poraziła go z całą okrutną gwałtownością.

Jak dotąd zdecydowanie najgorszy dzień w życiu, jaki zapamiętał, nastąpił po niesłychanie zimnym jak na tę porę roku tygodniu na początku listopada, gdy problem zaczynał sprawiać wrażenie dającego się opanować i kontrolować do tego stopnia, że wydawało mu się, że być może zaczyna już o nim zapominać. W dzinsach i rdzawej welurowej koszuli siedział z dala od grzejnika pośrodku środkowego rzędu ławek na lekcji kultur świata i słuchał, i robił notatki z tematu w podręczniku, który akurat przerabiali, gdy zupełnie niktąd przyszła mu do głowy potworna myśl: *Co będzie, jeśli nagle zacznę się pocić?* I właśnie tamtego dnia ta myśl, która najczęściej objawiała się pod postacią złowrogiego nagłego lęku, omywającego go jak gorąca fala przyływu, sprawiła, że natychmiast zaczął obficie i nieprzerwanie zalewać się potem, co pod wpływem ubocznej myśli, że pocenie się, kiedy w pomieszczeniu nie jest nawet gorąco, wygląda pewnie jeszcze dziwniej w oczach wszystkich obecnych, tylko się nasilało, a on siedział zupełnie nieruchomo, z pochyloną głową i twarzą, po której po chwili płynęły już wyczuwalne strumyki potu, rozdarty pomiędzy pragnieniem otarcia potu z twarzy, zanim naprawdę zacznie z niego kapać i ktoś to zobaczy, a strachem, że jakikolwiek gest wycierania mógłby zwrócić czyjąś uwagę i sprawić, że siedzący w ławkach obok zobaczą, co się dzieje, że poci się jak dziki bez powodu. Było to zdecydowanie najgorsze uczucie, jakiego doświadczył w życiu, a cały atak trwał prawie czterdzieści minut i przez resztę dnia chodził jakby w transie czy szoku, czy stanie zjazdu po adrenalinie, i ten dzień był właściwym początkiem syndromu, z którego rozumiał tyle, że im większy jest jego lęk przed atakiem potwornych potów w sytuacji publicznej, tym większe jest prawdopodobieństwo, że to, co mu się zdarzyło na kulturach świata, będzie się powtarzać, może codziennie, może więcej niż raz dziennie – i ta świadomość napawała go większym przerażeniem i przysparzała więcej frustracji i wewnętrznego cierpienia, niż dotąd przyszło mu do głowy, że człowiek może doznawać, a cały idiotyzm i dziwaczność jeszcze wszystko mocno pogarszały.

Począwszy od tamtego dnia na kulturach świata, jego strach przed powtórką, a także wysiłki, by odpędzić ten strach czy przed nim umknąć bądź go kontrolować, wypełniały każdy moment jego dnia. Strach i zaabsorbowanie uaktywniały się wyłącznie na lekcjach w klasie i na stołówce – nie na wuefie na ostatniej lekcji, jako że pocenie się na wuefie nie byłoby odebrane jako coś szczególnie dziwnego, a co za tym idzie, nie wzbudzało w nim tego szczególnego lęku, który czynił go podatnym na atak. Albo zdarzało się też przy wszelkich tłocznych okazjach, jak zebranie skautów czy świąteczny obiad w dusznej, przegrzanej jadalni domu jego dziadków w Rockton, gdy dosłownie czuł dodatkowe punkciki ciepła wydzielanego przez świece na stole, a także ciepłotę ciał wszystkich krewnych cisnących się wokół stołu, usiłując przy tym sprawiać wrażenie, że przygląda się uważnie porcelanowym motywom swojego talerza, podczas gdy gorąco przychodzące wraz ze strachem przed gorącym rozchodziło się w nim jak adrenalina czy brandy, to fizyczne rozprzestrzenianie się wewnętrznego ciepła, którego tak bardzo starał się nie bać. To się nie zdarzało, kiedy był sam, gdy czytał w domu u siebie w pokoju (gdy był we własnym pokoju, za zamkniętymi drzwiami, to nawet nie przychodziło mu na myśl) czy w bibliotece w jednym z tych małych, odgradzonych przepierzeniami boksów, podobnych do otwartych sześcianów, gdzie nikt go nie widział i gdzie bez trudu można było zawsze wstać i udać się do wyjścia³¹. Zdarzało się to wyłącznie publicznie, kiedy byli wokół niego ludzie albo kiedy tłoczyli się wokół niego w rzędach lub przy porządnie oświetlonym stole, przy którym trzeba mieć na sobie nowy czerwony świąteczny sweter, ramionami i łokciami dotykało się kuzynów upchniętych po obu stronach, a wszyscy usiłowali mówić jedno przez drugie nad parującym jedzeniem i wszyscy patrzyli na siebie nawzajem, w związku z czym istniało ogromne prawdopodobieństwo, że dostrzegą nawet pierwsze drobne punkciki na jego rozgrzanym czole i górnej części twarzy, które następnie, jeżeli obawa, że wymknie mu się to spod kontroli, urośnie za bardzo, spuchną do rozmiarów lśniących kropli i wkrótce zaczną w sposób widoczny spływać, a otarcie twarzy serwetką było niemożliwe, ponieważ bał się, że dziwaczny widok kogoś ocierającego pot z twarzy serwetką w zimie zwróci uwagę

wszystkich jego krewnych, czyli stanie się coś, do czego nie dopuściłby, choćby za cenę własnej duszy. To się mogło zdarzyć praktycznie wszędzie, skąd trudno było wyjść, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Podnieść rękę na lekcji i poprosić o pozwolenie na pójście do łazienki, czując na sobie spojrzenie innych, gdy będzie się ich mijać – już sama ta myśl napawała go absolutnym lękiem.

Nie rozumiał, dlaczego tak bardzo się boi, że ludzie mogliby dostrzec, że się poci, albo pomyśleć, że to dziwaczne czy paskudne. Kogo obchodzi, co ludzie pomyślą? Powtarzał to sobie w kółko; wiedział, że to prawda. Powtarzał sobie także – często w kabinie którejś z męskich ubikacji w szkole pomiędzy lekcjami po średnim lub silnym epizodzie, siedząc na muszli z opuszczoną deską i ze spodniami na nogach, starając się posłużyć papierem toaletowym do osuszenia się, uważając, by papier nie rozleciał się na małe paprochy i kluchy, które mógłby sobie rozetrzeć na czole, przyciskając grube płyty u nasady włosów z przodu, żeby szybciej je osuszyć – przemowę Franklina Roosevelta z lekcji historii Stanów Zjednoczonych, części drugiej, w drugiej klasie liceum: „Jedyną rzeczą, której powinniśmy się bać, jest strach”. Powtarzał to sobie w myślach raz za razem. Franklin Roosevelt miał rację, ale to w niczym nie pomagało – świadomość, że to strach jest problemem, była tylko faktem; nie sprawiała, że strach ustępował. Właściwie zaczął sądzić, że myślenie aż tyle o tej linijce z przemówienia napełniło go jeszcze większym strachem przed strachem. Że tym, czego naprawdę powinien się bać, jest strach przed strachem – jak w jakimś niekończącym się gabinecie krzywych zwierciadeł strachu, z których każde było absurdalne i pokręcone. Zaczął się łapać na tym, jak czasami mówi do siebie o tym poceniu i strachu jakimś ledwie zrozumiałym szeptem, i teraz naprawdę zastanawiał się, czy aby nie popada w obłąd. Większość przypadków obłąd, jakie widział w telewizji, to były osoby zanoszące się maniakałnym śmiechem, co teraz wydało mu się kompletnie durne, jak żart, który nie tylko nie jest śmieszny, ale w ogóle nie ma sensu. Wyobrażać sobie, że się śmieje z tych ataków czy strachu, to było tak, jakby wyobrażać sobie, że zagaduje do kogoś, na przykład do

drużynowego albo pedagoga, i próbuje mu opisać, co się dzieje – to było nie do wyobrażenia, nie wchodziło w grę.

Szkoła stała się codzienną torturą i to pomimo poprawy stopni w następstwie wzmożonego czytania i nauki, którym się oddawał, ponieważ tylko w samotności i totalnym skupieniu czuł się okej. Wciągnął się też w sprawdzanie znaczeń słów i rozwiązywanie łamigłówek liczbowych, uznając to za zajmujące. W klasie albo na stołówce myśli miał ciągle zaprzątnięte niemyśleniem o tym i niedopuszczaniem, by strach osiągnął punkt, od którego temperatura wzrasta, a jego uwaga przenosi swój teleskop tak, że nie czuje nic poza niekontrolowanym ciepłem i występującym na skórę i skraplającym się potem, jego strach sięga już dachu, a on jest w stanie myśleć tylko o tym, jak przedostać się stąd do łazienki bez zwracania na siebie uwagi. To zdarzało się tylko czasami, ale bał się tego ciągle, choć wiedział aż za dobrze, że ustawiczny strach i zaabsorbowanie są tym, co naprowadza go na te ataki. W myślach nazywał to „atakami”, chociaż nie ze strony czegokolwiek, co przychodziłoby z zewnątrz niego samego, a prędeż z jakiejś części w nim, która sprawia mu ból albo nieomal go zdradza, jak przy ataku serca. Podobnie „naprowadzony” stało się jego określeniem stanu, w którym lęk i strach osiągały taki poziom, że był dosłownie o włos od ataku w sytuacji publicznej.

Jego głównym środkiem zaradczym przeciw ciągłemu naprowadzeniu i zaabsorbowaniu strachem przed nim, który nie opuszczał go w szkole, było opracowanie rozmaitych sztuczek i taktyk działania na wypadek takiego ataku publicznych potów, który groziłby mu kompletną utratą kontroli. Orientowanie się w usytuowaniu wszystkich wyjść z pomieszczeń, do których wchodził, nie było sztuczką – stało się czymś, co robił już automatycznie, podobnie jak ocena odległości do najbliższego wyjścia i tego, czy da się z niego skorzystać bez zwracania na siebie uwagi. Szkolna stołówka to przykład miejsca, z którego było łatwo wyjść i praktycznie nie zostać zauważonym. O opuszczeniu klasy w trakcie ataku nie było jednak mowy. Gdyby po prostu wstał i wybiegł z sali, o czym zawsze marzył podczas ataku, miałby mnóstwo problemów dyscyplinarnych i wszyscy, w tym jego rodzice, żądaliby wyjaśnienia – plus kiedy następnego dnia

przyjdzie znowu na te zajęcia, wszyscy tam będą wiedzieć, że wybiegł z sali, i będą pytać, co mu odbiło, tak że w ostatecznym rozrachunku skupi się na nim mnóstwo uwagi w klasie, a on będzie się bał, że wszyscy go widzą i mu się przyglądają, co może go naprowadzić na kolejny atak. Albo gdyby już podniósł rękę i poprosił nauczyciela o puszczanie do łazienki, to przyciągnęłoby uwagę wszystkich znudzonych uczniów, ciekawych, kto to powiedział, którzy odwróciliby głowy w jego stronę, żeby zobaczyć, i zobaczyliby jego, spoconego, zlanego potem, jakiegoś dziwnaczego. Jego jedyną nadzieją było wtedy, że może sprawi wrażenie chorego, że ludzie pomyślą, że może źle się czuje albo zbiera mu się na wymioty. To była jedna ze sztuczek – pokasływać albo pociągać nosem i macać się niepewnie po węzłach chłonnych, kiedy obawiał się ataku, tak że gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli, mógł mieć nadzieję, że ludzie pomyślą po prostu, że jest chory i nie powinien być przychodzić tego dnia do szkoły. Że nie jest dziwny, tylko się rozchorował. Tak samo było z udawaniem, że nie czuje się za dobrze i nie może jeść lunchu na przerwie obiadowej – czasami nie jadł i odnosił pełną tacę, po czym wychodził, żeby w kabinie ubikacji zjeść kanapkę, którą przyniósł z domu w torbie. Dzięki temu ludzie byli może jeszcze bardziej skłonni pomyśleć, że choruje.

Do innych strategii należało zajmowanie miejsca w klasie tak daleko z tyłu, jak tylko mógł, dzięki czemu większość osób znajdowała się przed nim i nie musiał się obawiać, że go zobaczą, kiedy dozna ataku, co udawało się tylko na lekcjach bez rozpiski miejsc uczniów³², ale mogło też odnieść odwrotny skutek w koszmarnym scenariuszu, o którym tak bardzo starał się nie myśleć. Poza tym także unikanie gorących grzejników, wiadomo, a także ławek pomiędzy dziewczynami albo staranie się o zajęcie ławki z samego brzegu rzędu, tak żeby w razie nagłej potrzeby mógł się odwrócić od reszty rzędu, jednak w sposób, który nie wydałby się nikomu dziwny – przerzucał nogi na zewnątrz rzędu, do alejki, gdzie krzyżował je na wysokości kostek i pochylał się w wyznaczonym przez nie kierunku. Przestał jeździć do szkoły na rowerze, ponieważ wysiłek spowodowany jazdą mógł go rozgrzać i naprowadzić na atak, napełniając lękiem jeszcze przed początkiem

pierwszej lekcji. Innym trikiem, który stosował już w trzecim kwartale, było chodzenie do szkoły bez zimowej kurtki, co miało sprawić, że przemarznie i jakby zamrozi swój układ nerwowy, co dało się przeprowadzić tylko wówczas, gdy wychodził z domu jako ostatni, ponieważ jego matka dostałaby spazmów, gdyby zobaczyła, że usiłuje wyjść bez kurtki. Było też zakładanie na siebie wielu warstw, które mógłby z siebie zdejmować, gdyby poczuł na lekcji, że to zaraz nastąpi, chociaż zdejmowanie z siebie warstw mogło wydać się dziwne, jeśli przy tym kaszłał i dotykał węzłów chłonnych – z tego, co wiedział, przy przeziębieniu człowiek raczej się nie rozbiera. Niby miał świadomość, że traci na wadze, ale nie wiedział ile. Zaczął też wykształcać w sobie nawyk odgarniania włosów z czoła, który ćwiczył przed lustrem w łazience, żeby gest ten wyglądał po prostu na nieświadome przyzwyczajenie, choć w rzeczywistości miał mu pomagać w ocieraniu potu z czoła, by go ukryć we włosach, gdyby zdarzył się atak – jednak tu też istotna była delikatna równowaga, ponieważ od pewnej granicy gest ten przestawał być w jakikolwiek sposób pomocny, jeżeli bowiem włosy z przodu głowy zmokły na tyle, by rozdzielić się na te wstrętne strąki i pasma, wówczas fakt, że się poci, był jeszcze bardziej zauważalny. A w tym koszmarnym scenariuszu, którego bał się bardziej niż czegokolwiek, znajdował się na końcu sali i doznawał tak wstrząsającego, niekontrolowanego ataku, że nauczyciel ze swojego miejsca daleko z przodu zauważał, że jest przemoknięty i leje się z niego pot, więc przerywał lekcję, żeby zapytać, czy dobrze się czuje, co sprawiało, że wszyscy odwracali się na krzesłach, żeby popatrzeć. W tych koszmarach autentycznie świecił na niego jupiter, kiedy wszyscy się odwracali, żeby zobaczyć, kto tak bardzo zaniepokoił nauczyciela i / lub napełnił go takim obrzydzeniem³³.

W lutym matka rzuciła przelotnie, półzartem komentarz na temat jego życia uczuciowego, pytając, czy któreś dziewczyny podobają mu się szczególnie w tym roku, i omal nie wyszedł z pokoju, omal nie wybuchnął płaczem. Myśl o tym, że kiedykolwiek mógłby zaproponować wyjście jakiejś dziewczynie, że zabrałby ją gdzieś, a ona musiałaby patrzeć na niego z bliska, oczekując, że będzie myślał o niej, a nie o tym, jak bardzo jest naprowadzony i czy zaraz

zacznie się pocić – ta myśl napełniała go strachem, ale jednocześnie smuciła. Był dostatecznie bystry, by rozumieć, że jest w tym coś smutnego. Nawet kiedy z ulgą wypisywał się ze skautów, choć od sprawności orła dzieliły go tylko cztery odznaki, a także kiedy nie przyjął zaproszenia nieśmiałej i raczej anonimowej w szkolnej społeczności dziewczyny z lekcji algebry i trygonometrii na bal Sadie Hawkins i kiedy symulował chorobę na Wielkanoc, żeby zostać w domu samemu i czytać z wyprzedzeniem *Doriana Graya* oraz usiłować uruchomić atak przed lustrem w łazience rodziców, zamiast jechać z nimi do dziadków na obiad wielkanocny, to czuł pewien smutek mimo jednoczesnej ulgi, no i czuł się też winny z powodu tych różnych kłamstw i wymówek, a także samotny i nieco tragiczny, jak ktoś, kto zagląda przez okno do środka, moknąc w deszczu, a przy tym także czuł do siebie wstręt i odrazę, zupełnie jakby to jego sekretne, wewnętrzne ja było wstrętne, a ataki to tylko przejaw, sposób, w jaki jego wewnętrzne ja próbowało dosłownie wyciec na zewnątrz – choć żadnej z tych rzeczy nie mógł dostrzec w szkle lustra w łazience, rzucającym odbicie kogoś, kto sprawia wrażenie nieświadomego³⁴ wszystkiego, co czuł, gdy je rewidował.

§14

W pomieszczeniu, na krześle, siedzi kontroler IRS. Poza tym nie widać wiele więcej. Patrzy w kamerę na statywie, mówi do kamery, jeden kontroler po drugim. To opróżniony magazyn kart perforowanych kawałek od rozchodzącego się promieniście holu pawilonu przetwarzania danych Regionalnego Centrum Kontroli, dlatego klimatyzacja jest sprawna i nie ma tu świecącego w twarz letniego słońca. Przyprowadza się ich po dwóch z pokoiów skorków; kontroler oczekujący na swoją kolej przechodzi wprowadzenie za winylowym przepierzeniem. Wprowadzenie w znacznej mierze sprowadza się do pokazania mu wstępu. Wstęp do dokumentu przedstawia się jako coś, co przyszło z Trzech Szóstek przez Biuro komisarza regionalnego w Joliet; kasetę ma na sobie godło Służby oraz notę prawną. Przymiśzczalny tytuł roboczy to *Wasza IRS dzisiaj*. Niewykluczone, że dla telewizji publicznej. Niektórym z nich mówi się, że to dla szkół, na zajęcia z wychowania obywatelskiego. Wywiady przedstawia się jako służące istotnym celom PR. Żeby nadać ludzki rys, żeby odmitologizować Służbę, pomóc obywatelom zrozumieć, jak trudna i ważna jest wykonywana tu praca. Jak dużo od niej zależy. Że nie są wrogo nastawieni, nie są maszynami. Instruktorka czyta z kolejnych zadrukowanych kartek; w bliższym narożniku pomieszczenia jest lustro, przed którym oczekujący na wejście kontrolerzy mogą wyprostować krawat, wygładzić spódnice. Jest zgoda do podpisania, odpowiednio sformułowana – każdy z kontrolerów czyta tekst uważnie, taki odruch; są w końcu na służbie. Niektórzy są nakręceni. Podnieceni. Perspektywa przyciągnięcia uwagi, prawdziwy cel projektu, ma w sobie coś, co działa na ludzi. To dziecko DK Tate'a, od strony koncepcyjnej, chociaż całą robotę odwalił Stecyk.

Jest też monitor, żeby mogli obejrzeć prowizoryczną sekwencję otwierającą, o której stanie surowym mówi się im wprost przy wprowadzeniu, o tym, że wymaga jeszcze podrasowania. Składa się w całości z setów i zdjęć z archiwów fotograficznych, których

upozowana serdeczność nie pasuje do tonu kwestii lektora. To dezorientujące i nikt nie jest pewien, o co w tym biega; instruktorzy odpowiedzialni za wprowadzenie podkreślają, że to wyłącznie w celach orientacyjnych.

„Izba Rozliczeń Skarbowych jest agendą Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych odpowiedzialną za terminowe egzekwowanie należności podatkowych określonych w obowiązującym statucie. Zatrudniająca ponad sto tysięcy pracowników w ponad tysiącu krajowych, regionalnych i miejscowych biur, IRS jest największą agencją porządku publicznego w kraju. Ale nie tylko. Wielu porównywało funkcję pełnioną przez IRS w organizmie społecznym Stanów Zjednoczonych do bijącego serca narodu, przyjmującego i rozdzielającego zasoby, które pozwalają rządowi federalnemu działać w sposób efektywny w służbie i obronie wszystkich Amerykanów”. Ujęcia ekip drogowych, obrad Kongresu widzianych z galerii na Kapitolu, listonosza na ganku, śmiejącego się z czegoś razem z właścicielem domu, helikoptera, który pojawia się bez żadnego kontekstu (kod archiwum wyświetlany jest cały czas w prawym dolnym rogu), uśmiechniętej urzędniczki opieki społecznej wręczającej kartkę czarnej kobiecie na wózku inwalidzkim, ekipy drogowej z kaskami uniesionymi w geście pozdrowienia, centrum rehabilitacyjnego w Wirginii & c. „To także serce tych Stanów Zjednoczonych, w których wszyscy wykazujący się dochodem dorzucają, jak jedna drużyna, każdy swoją część, do wspólnych zasobów, wcielając w życie zasady, które czynią nasz naród wielkim”. Jedna z kart z instrukcją dla wprowadzających każe jej w tym miejscu włączyć się, by powiedzieć im, że tekst lektora to na razie wersja robocza i że w wersji produkcyjnej będzie brzmiał po ludzku – żeby użyli wyobraźni. „Krew ożywiająca to serce to mężczyźni i kobiety – pracownicy dzisiejszej IRS”. Tutaj seria ujęć, które mogą przedstawiać rzeczywistych, choć ponadprzeciętnie atrakcyjnych pracowników Służby, przeważnie 9. i 11. szczebla, w krawatach i koszulach, wymieniających uścisk dłoni z podatnikami, pochylających się z uśmiechem nad księgami przy audycie u przedsiębiorcy, rozpromienionych na tle mainframe’a Honeywell 4C3000, który jest w rzeczywistości pustą obudową. „Dalecy od

stereotypu anonimowych biurokratów, ci [nie słysząc] mężczyźni i kobiety dzisiejszej IRS są obywatelami, podatnikami, rodzicami, sąsiadami i członkami swoich lokalnych społeczności, na których barkach spoczywa uświęcone zadanie: utrzymywanie krwioobiegu rządu federalnego w zdrowiu i ciągłym ruchu”. Znowu grupa, teraz chyba z Kontroli albo z Audytu nie według stopnia, a według wzrostu, wszyscy machają. Ujęcie tej samej pieczęci i motta, której wizerunek widnieje na północnej fasadzie RCK. „Podobnie jak dewiza naszego narodu, *E pluribus unum*, motto założycielskie naszej Służby, *Alicui tamen faciendum est*, podsumowuje to najlepiej – to trudne, złożone zadanie ktoś musi wykonywać i to właśnie wasi ludzie w IRS zakasują rękawy i biorą się do roboty”. Całość budzi śmiech – jest tak słaba, przez co dla skorków zasadniczo przekonująca, włączając w to oczywiście brak tłumaczenia motta dla widowni złożonej z podatników, którzy całkiem często robią błędy we własnych nazwiskach w formularzach zeznań, wyłapywane Centrum Obsługi, które odsyłają zeznania Kontroli, marnując czas wszystkich. Ale zakłada się, jak widać, że ci sami ludzie znają klasyczną łacinę. Być może tak naprawdę sprawdzają, czy słuchający wprowadzenia kontrolerzy wyłapią ten błąd – często trudno stwierdzić, co knuje Tate.

Krześło nie ma miękkiego siedziska. Wszystko to jest bardzo spartańskie. Jedyne światło to jarzeniówki Regionalnego Centrum Kontroli; nie ma lamp ani reflektorów. Zero makijażu, chociaż w fazie wprowadzenia włosy kontrolerów są starannie czesane, rękawy koszul podwijane dokładnie na trzy, bluzki rozpinane pod szyją, identyfikatory odpinane od kieszonki na piersi. W pokoju nie ma żadnego reżysera jako takiego; nikogo, kto powie im, żeby zachowywali się naturalnie, czy opowie o furtkach w przepisach na poziomie montażu. Technik przy statywie kamery, człowiek z mikrofonem na wysięgniku w słuchawkach do kontroli poziomów oraz ankieterka. Ze względu na akustykę zdjęto podwieszane sufity. Odślonięte rury i czterokolorowe zwoje przewodów biegną nad szkieletem nieobecnego sufitu, poza kadrem. Ten obejmuje tylko kontrolera na składanym krześle, z kremowym przepierzeniem za plecami, które zasłania ścianę zastawioną kartonowymi pudłami mieszczącymi karty perforowane. Samo pomieszczenie mogłoby się

znajdować wszędzie i nigdzie. Niektóre z tych kwestii zostają wyjaśnione, wyłożone w teorii zawczasu; wprowadzenie jest drobiazgowo rozplanowane. Wąski kadr, mówią, od torsu wzwyż, odradza się wykonywanie zbędnych ruchów. Kontrolerzy są przyzwyczajeni do nieruchomego siedzenia. Jest monitorownia, zorganizowana w dawnym schowku na materiały, przylegającym do pomieszczenia, w której Toni Ware i technik widzą wszystko na ekranach. To monitor wideo. Mają odsłuch ze słuchawki, którą dokumentalistka / zadająca pytania zdejmuje, gdy okazuje się, że emituje przeszywający dźwięk sprzężenia zwrotnego, ilekroć czytnik forniksów za ścianą uruchamia pewien określony podprogram. Monitor, podobnie jak kamera, jest w standardzie wideo, żadnego oświetlenia ani makijażu. Błdzi i oniemiała, płaszczyzny twarzy w dziwnych cieniach – to nie problem, choć na ekranie wideo część z nich ma słabowity szaro-biały odcień. Problemem są oczy. Jeżeli mówiący kontroler patrzy na osobę, zamiast w kamerę, może wypaść tak, jakby mówił wymijająco albo ktoś go przymuszał. Efekt nie jest optymalny, dlatego instruktorzy doradzają patrzenie w kamerę tak, jakby patrzyło się w oczy przyjacielowi; albo w lustro – to zależy.

Instruktorzy od wprowadzenia, oboje z 13. szeregiem, wypożyczeni z którejś placówki, gdzie Tate ma nieokreślone dojścia, sami przeszli wprowadzenie w biurze Stecyka. Oboje wzbudzają zaufanie, w odpowiednio dobranych granatach i brązach, kobieta z czymś twardym poniżej bransoletki, co wskazuje na pięcie się w hierarchii w Należnościach. Za to mężczyzna jest dla Ware nieczytelny; mógłby być skądkolwiek.

Jak można się spodziewać, niektórzy kontrolerzy są lepsi od innych. W tym. Niektórzy potrafią zainspirować, zapomnieć o pomieszczeniu i ekipie, o koturnowej otoczce i mówić, jakby mówili z serca. Tak że przy tych ekipa techniczna może na moment zapomnieć o czystej nudzie, o podstępnie, o sztywnieniu ciała spowodowanym stanem nieruchomo przy urządzeniach, które dałyby sobie radę same. Innymi słowy, technicy-operatorzy dają się zaabsorbować tym lepszym; przy nich uwaga nie wymaga wysiłku. Ale tylko niektórzy są lepsi... A pytanie na monitorze brzmi, dlaczego i czym dla nich jest, i czy to, czym jest, będzie miało

jakiegokolwiek znaczenie, jeśli chodzi o rezultaty, gdy całość zostanie do przejrzenia Stecyk.

Archiwum wideo 047804(r)

© 1984, Izba Rozliczeń Skarbowych
Wykorzystywanie tylko za zgodą ww.
945645233

To ciężka praca. Ludzie myślą sobie: praca biurowa, przekładanie papierów, co w tym trudnego. Praca w budżetówce, stabilność zatrudnienia, tylko przekładanie papierów. Nie łapią, dlaczego to trudne. Jestem tu od trzech lat. To dwanaście kwartałów. Wszystkie moje oceny okresowe wypadły dobrze. Nie będę wiecznie robił kontroli rutynowych, spokojnie. Niektórzy goście w naszej grupie mają po pięćdziesiąt–sześćdziesiąt. Pracują przy kontroli rutynowej ponad trzydzieści lat. Trzydzieści lat patrzenia na formularze, sprawdzania formularzy, wypełniania sprawozdań na temat tych samych formularzy. Jest coś takiego w oczach niektórych z nich. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Kamienica moich dziadków miała swojego kotłowego, dozorcę. To było na północy, koło Milwaukee. Ogrzewanie na węgiel, ten starszy gość ładował węgiel do pieca co kilka godzin. Był tam od zawsze; był prawie ślepy od spoglądania w paszczę tego pieca. Jego oczy... Ci starsi tutaj są podobni; ich oczy są prawie jak jego.

968223861

Trzy czy cztery lata temu nowy prezydent, ten obecnie urzędujący, zdobył fotel dzięki obietnicy dużych inwestycji w obronność i wielkich cięć podatkowych. To powszechnie wiadomo. Zakładano, że obniżenie podatków wpłynie stymulująco na wzrost ekonomiczny. Nie jestem pewien, jak to wszystko miało wyglądać – o wielu z tych całych, no, jakby założeń polityki góry nie dowiadywaliśmy się bezpośrednio, po prostu skapywały do nas ze szczytów w postaci zmian w administracji Służby. Coś jak to, że wiecie, że słońce przesunęło się na niebie, bo cienie w waszym pokoju padają inaczej. Wiecie, o co mi chodzi.

P.

Z dnia na dzień zaczęły się te wszystkie reorganizacje, czasem jedna gonila drugą, no i przeniesienia. Niektórzy z nas przestali się rozpakowywać. Tutaj jestem jak na razie najdłużej. Nie miałem doświadczenia w Kontrolach. Pracowałem w Centrach Obsługi. Zostałem tu przeniesiony z Centrum Obsługi na Region Północno-Wschodni nr 29 w Utica. To Nowy Jork, ale północ stanu, to był trzeci kwartał osiemdziesiątego drugiego. Północny Nowy Jork jest piękny, ale centrum w Utica miało masę problemów. W Utica zajmowałem się w sumie przetwarzaniem danych; byłem bardziej kimś od usuwania usterek. Przedtem pracowałem w pododdziale Centrum Obsługi nr 0127 w Hanover, w New Hampshire – przy płatnościach, dokładnie przy zwrotach. Wszystkie okręgi północno-wschodnie używały kodu ósemkowego i formularzy z wytłaczanymi otworami na paskach po bokach, do których odrywania zatrudniali dziewczyny z Wietnamu. Hanover miało wielu uchodźców. To było osiem, może dziewięć lat temu, ale zupełnie inna epoka. Dzisiaj ta organizacja jest znacznie bardziej złożona.

P.

Nie mam żony, a samotni mężczyźni należą do najczęściej przenoszonych pracowników Służby. Każde przeniesienie to kłopot dla Kadr; zorganizować przeniesienie dla całej rodziny to większy problem. Do tego jeszcze ludziom z rodzinami trzeba zaoferować bonusy, taki przedep, przepis Departamentu.

Spotykanie się z kobietami to w Służbie trudna sprawa. Instytucja nie cieszy się popularnością. Jest taki kawał; mogę opowiedzieć?

P.

Poznajesz na jakimś przyjęciu fajną kobietę. Pyta, czym się zajmujesz. Mówisz: robię w finansach. Ona na to, w której branży. Ty, że no coś jakby księgowość, długa historia. Ona na to: o, dla kogo? Ty, że dla władz. Ona pyta: miejskich, stanowych? Mówisz: federalnych. Ona: o, a dla której działki? Ty na to: dla Departamentu Skarbu. No i tak to trwa, a krąg możliwości się zawęża. W pewnym momencie ona się orientuje, wokół czego tak tańczysz, i już jej nie ma.

928874551

Cukier w cieście pełni kilka różnych funkcji. Jedną z nich jest na przykład pochłanianie wilgoci z masła albo innego tłuszczu do pieczenia, a następnie powolne jej uwalnianie, co pozwala ciastu zachować miękkość. Stosowanie mniejszej ilości cukru, niż wymaga tego przepis, skutkuje tak zwanym suchym ciastem. Nie róbcie tak.

973876118

Przyjmijmy, że patrzymy na to od strony relacji władzy, autorytetu. Tego, co nieuniknione. Koniec końców, ludzie dzielą się wtedy na dwa typy. Z jednej strony mamy mentalność buntowniczą, gdzie cały regulator czy wajcha, czy co tam jeszcze nastawione, są na sprzeciwianie się władzy, na bunt. Taki typ, co pluje pod wiatr, który poczucie sprawczości czerpie z przeciwstawiania się władzy i establishmentowi, i czemu tam jeszcze. Ale jest też typ numer dwa, inny typ, o osobowości żołnierza, typ, który wierzy w porządek i władzę, a także szanuje autorytet i staje po stronie władzy i autorytetu, i obozu porządku, i tego, jak to wszystko musi działać, żeby świat mógł się kręcić. Więc wyobraź sobie, że jesteś typem numer dwa. Jest takich więcej, niż się ludziom wydaje. Epoka buntowników minęła. „Jeśli jesteś dwójką, chcemy cię” – tak powinno brzmieć ich hasło. Hasło Służby. Sprawdź, z której strony wieje. Trzymaj z tymi, którym *zawsze* płacą. Nie wciskamy kitu. Z tymi po stronie prawa i siły prawa, po stronie pływów i grawitacji, i tamtego prawa, zgodnie z którym wszystko stopniowo staje się coraz gorętsze, aż wreszcie buch i powstaje słońce. Ponieważ w życiu dwie rzeczy są nieuniknione, dokładnie tak, jak mówią. Nieuniknione – to jest władza, człowieku. Jeśli chcesz doświadczyć prawdziwej władzy, zostań przedsiębiorcą pogrzebowym albo wstąp do Służby. Poczuj wiatr na plecach. Powiedz im: słuchajcie, plujcie z *wiatrem*, doleci dużo dalej. Możesz mi wierzyć, człowieku.

917229047

Miałem taki pomysł, że napiszę sztukę. Nasza macocha zawsze chodziła na przedstawienia; ciągała nas wszystkich w weekendy na popołudniówki do domu kultury. Więc dowiedziałem się wszystkiego o teatrze i sztukach. No więc ta sztuka – bo pytała mnie

rodzina, kumple od golfa, żeby im to jakoś przedstawić. Miała być zupełnie realistyczna, wierna wobec rzeczywistości. Byłaby niewystawialna, o to po części chodziło. Tak sobie to wyobrażcie. Chodzi o to, że skorek, pracownik sekcji kontroli rutynowych, ślęczy nad formularzami 1040 i załącznikami do nich, a także nad rozproszonymi po teczkach drukami W-2 i nad 1099, i innymi. Scenografia jest bardzo ascetyczna i minimalistyczna – nie ma nic poza skorkiem, który się nie porusza, poza przewracaniem stron albo wpisaniem czegoś do notesu od czasu do czasu. Biurko to nie model Tingle’a, to zwykłe biurko, więc go widzimy. Ale to właśnie tyle. Na początku znajdował się za nim zegar, ale wyciąłem zegar. Siedzi tam i siedzi, aż publiczność robi się coraz bardziej znudzona i rośnie jej zniecierpliwienie, w końcu widzowie zaczynają wychodzić, na początku kilkoro, a potem cała publiczność, wymieniając szeptem uwagi, jak nudne i fatalne jest to przedstawienie. Wreszcie, kiedy cała publiczność opuści salę, zaczyna się właściwa akcja. Taki był pomysł – powiedziałem o tym mojej macosze, to miała być sztuka realistyczna. Tyle że nigdy nie mogłem się zdecydować co do akcji – czy skoro to realistyczna sztuka, to ma mieć jakąkolwiek akcję? To właśnie im mówię. To jedyny sposób, w jaki można to wyjaśnić.

965882433

Często to badano. Dwie trzecie podatników myśli, że zwolnienie i odliczenie to jedno i to samo. Nie wiedzą, czym jest zysk kapitałowy. Każdego roku cztery procent zapomina podpisać zeznanie. Szlag, dwie trzecie nie wie, ilu senatorów ma ich stan. Gdzieś około trzech czwartych nie potrafi wymienić organów administracji publicznej. Nie zajmujemy się tutaj badaniami kosmicznymi. Prawda jest taka, że większość naszego czasu jest trwoniona. System wypluwa nam w większości jakieś gówno. Tracisz dziesięć minut na wypełnienie dwudziestki C do zeznania z brakującym podpisem, ono wraca do urzędu, wysyłają bzdurne pismo o konieczności korekty z podpisem, żadnego dreszczyku. A teraz w rutynowych nasza praca oceniana jest na podstawie wzrostu wpływu z audytów. Wolne żarty. Większość z rzeczy, z którymi mamy do czynienia, nie kwalifikuje się do audytu, to po

prostu efekt ludzkiej głupoty. Niedbalstwa. Powinniście zobaczyć, jak ludzie potrafią bazgrać – ci przeciętni, ci wykształceni. Prawda jest taka, że marnują nasz czas. Potrzebny im lepszy system.

981472509

Tate jest ćmą u lamp łukowych władzy. Podajcie dalej.

951458221

To fascynujące pytanie. Tło sprawy jest interesujące, jeśli się w to zagłębić. Coś w tym stylu. Według jednego z założeń nowej administracji krańcowe stopy podatkowe miały dać się obniżyć, zwłaszcza te w górnych przedziałach, bez powodowania katastrofalnej straty wpływów. To była oficjalna część kampanii. Platforma czy coś w tym stylu. Nie jestem ekonomistą. Wiem, że w teorii niższe skrajne stopy miały stymulować inwestycje i większą produktywność czy coś w tym stylu i że to miało wywołać przyływ, który skutkuje wzrostem podstawy opodatkowania, co miało więcej niż zrównoważyć spadek wpływów z opodatkowania skrajnych progów dochodowych. Stoi za tym cała teoria, choć niektórzy ją krytykowali, przyrównując jej naukowość do wierzeń voodoo. Czy coś w tym stylu. Do końca pierwszego roku, wiadomo, zmieniają przepisy, górne progi zostają obniżone. I tak to się kręci. Aż po jakichś dwóch latach można śmiało stwierdzić, że wyniki przeczą teorii. Wpływy zmalowały, w twardych liczbach, których nie dało się zaczarować czy wygładzić. Do tego, zdaje się, mocno zwiększono wydatki na obronność i federalny deficyt budżetowy był najwyższy w historii. W dolarach, z uwzględnieniem inflacji czy coś w tym stylu. Musicie mieć świadomość, że to wszystko rozgrywało się na dużo wyższym szczeblu administracji rządowej niż ten, z którym my tu mamy styczność. Ale każdy rozumiał, że problemy budżetowe to sytuacja z gatunku między młotem a kowadłem czy coś w tym stylu, bo wycofywanie się i powrót do wyższych krańcowych stóp był z politycznego punktu widzenia nie do zaakceptowania – chciałoby się powiedzieć – ideologicznie; podobnie jak odpuśczenie sprawy z wojskiem, natomiast dalsze wypompowywanie środków z polityki społecznej popsułoby na

dobre stosunki z Kongresem. Czy coś w tym stylu. Tego wszystkiego można się było właściwie dowiedzieć, czytając gazety, jeśli się wiedziało, czego szukać.

P.

Tak, ale chodzi o to, co wiedzieliśmy tutaj, na naszym szczeblu w hierarchii Służby. O pewnych rzeczach nie pisano w gazetach. Wiem, że władza wykonawcza miała kilka różnych planów i propozycji, które rozważała. Deficyty, młot i kowadło. Po mojemu większość z nich po prostu nie była interesująca. Czy coś w tym stylu. Zrozumcie, to wszystko sący się do nas powoli z bardzo wysoka, jeśli chodzi o sprawy administracyjne. Według wersji, którą przedstawiono nam tutaj, na szczeblu regionalnym, ktoś bardzo wysoko w hierarchii Służby, ktoś z kręgów zbliżonych do, jak mówimy tu u siebie, Boga w Trójcy Jedynej, wskrzesił projekt strategii stworzony pierwotnie w 1969 czy 1970 roku przez pewnego makroekonomistę albo konsultanta w Systemach, zatrudnionego w sztabie poprzedniego zastępcy komisarza ds. planowania i analiz w Trzech Szóstkach. Tym, który wskrzesił projekt, był, jeśli wierzyć tej wersji, drugi zastępca komisarza w Dziale Systemów, który to dział już wtedy zdążył wchłonąć Zespół Planowania i Analiz, tak że obecnie jest oddziałem Systemów, które same są właśnie w trakcie reorganizacji, to znaczy – Systemy wchłonęły czy coś w tym stylu, chociaż tamten poprzedni ZK od Planowania i Analiz był teraz także ZKS-em.

P.

Przez teraz rozumiem okres, w którym reaktywowano Notę Spackmana, czyli czwarty kwartał '81 lub okolice.

P.

Zastępca komisarza ds. systemów wchodzi w skład tworu znanego pod nazwą Boga w Trójcy Jedynej, tak [nie słyhać] mówimy o najwyższej triadzie w składzie komisarz, zastępca komisarza ds. systemów oraz główny radca prawny. Trzy najwyższe stanowiska w organizacji Służby. Biuro krajowe Służby znane jest jako Trzy Szóstki ze względu na adres. Czy coś w tym stylu.

P.

Tego typu propozycje polityki wysokiego szczebla i białe księgi powstają cały czas. W Planowaniu i Analizach mają swego rodzaju

think tanki czy coś w tym stylu. To wiedza powszechna. Zespoły pracujące na pełny etat wyłącznie nad tworzeniem długofalowych studiów i propozycji strategii. Istnieje słynny plan działania przygotowany przez PiA w latach sześćdziesiątych czy coś w tym stylu, projektujący wytyczne egzekucji podatków w następstwie konfliktu jądrowego. Nazywał się *Strategia fiskalna na czas chaosu* i ten tytuł stał się tutaj raczej popularnym określeniem, swego rodzaju żartem, od czasu, gdy wtedy zrobiło się nerwowo, zapanował chaos czy coś w tym stylu. Koniec końców, niewiele z nich się upublicznia. Na co idą nasze dolary czy coś w tym stylu. Ten akurat, który wskrzeszono, był jednak dużo mniej śmiały w założeniach czy potencjalnie wybuchowy. Nie wiem, jak brzmiał jego tytuł. Czasami mówi się o nim Nota Spackmana albo Inicjatywa Spackmana, chociaż nie wiadomo mi o kimkolwiek, kto by wiedział, kim ów Spackman był – czy coś w tym stylu – czy był autorem tego planu działania czy wysoko postawionym urzędnikiem PiA, na którego polecenie plan stworzono. Powstał, w każdym razie, w 1969, co w instytucjonalnym świecie Służby równa się czasowi mierzonemu w pokoleniach. Większość z nich odkłada się *ad acta* czy coś w tym stylu. Musicie zrozumieć, że ta agencja działa, opierając się na segregacji. Wiele spośród procedur i priorytetów Trzech Szóstek jest poza naszą działką. Czy coś w tym stylu. Tyle że akurat zmiany organizacyjne w związku z Inicjatywą dotyczą nas bezpośrednio, co zapewne ktoś wam już wytłumaczył. Pierwotny dokument miał podobno kilkaset stron i był bardzo hermetyczny, jak to bywa w ekonomii. Czy coś w tym stylu. Ale na wyższym poziomie ogólności przewodnia zasada tej lub tych części, której lub którym dane było później ujrzeć światło dzienne, miała być bardzo prosta i – [nie słyhać] – niewiadomymi kanałami dostała się w pole zainteresowania stron piastujących stanowiska na samych szczytach już to Służby, już to Departamentu Skarbu, i wzbudziła zainteresowanie, ponieważ wobec budżetowego impasu, z jakim boryka się obecna władza wykonawcza, Nota wydawała się proponować atrakcyjniejszy z politycznego punktu widzenia sposób złagodzenia efektu młota i kowadła jako konsekwencji niespodziewanie niskich wpływów z podatków, wysokich wydatków na obronność i niedającego się już bardziej obniżyć poziomu

wydatków w sferze świadczeń socjalnych. W swej istocie czy coś w tym stylu dokument opierał się na bardzo prostym założeniu, a przecież obecna władza wykonawcza pochwała prostotę, rzekomo dlatego, że obecna administracja stanowi coś jakby reakcję odwrotną czy coś w tym stylu albo kontrrewolucję względem złożonej inżynierii społecznej Wielkiego Społeczeństwa, zupełnie innych czasów dla fiskusa i administracji rządowej. W każdym razie jej słabość do prostych, instynktownych argumentów jest powszechnie znana. Czy coś w tym stylu. Tak przy okazji – trudno mi nie zauważyć, że się pani krzywi.

P.

Jak najbardziej.

P.

U nas rozumiano to w ten sposób, że fundamentalnym spostrzeżeniem dokumentu Spackmana jest to, że zwiększenie skuteczności egzekucji przez Służbę zapisów obowiązującego Kodeksu w sposób dający się wykazać podniesie wpływy bez jakiegokolwiek zmiany w Kodeksie czy podwyższania stawek dla skrajnych progów. Czy coś w tym stylu. Czyli że uwaga skupi się na Pionie Przyjęć i luce podatkowej. Czy powinienem zdefiniować lukę podatkową czy coś w tym stylu? Czy ją definiuje już kto inny? Czy pytacie każdego o coś w tym stylu? Czy Służba wołałaby, żebym się w to nie zagłębiał?

P.

Przypuszczam, że to się rozumie samo przez się – czy coś w tym stylu. To różnica między całkowitym wpływem z podatków należnych, który Departament Skarbu USA powinien otrzymać w danym roku, a całkowitym wpływem z podatków faktycznie zebranych w danym roku przez Służbę. Rzadko się jednak o tym mówi publicznie, przeważnie [nie słyhać]. To teraz *bête noire* dla Służby. Ale wtedy nim nie było. Dokument Spackmana szacował, że w 1968 do Departamentu Skarbu USA nie wpłynęło aż sześć do siedmiu miliardów dolarów z należnej mu kwoty. Spackmanowskie prognozy ekonometryczne na rok 1980 zakładały lukę podatkową w wysokości blisko dwudziestu siedmiu miliardów, co w momencie wskrzeszania Inicjatywy okazało się przewidywaniem nader optymistycznym. Pomijając kwoty, w sprawie których toczą się

postępowania odwoławcze albo spory, luka odnotowana w 1980 roku faktycznie przekroczyła trzydzieści jeden i pół miliarda dolarów. Niezwykle w tym wszystkim było to, że rozmiar luki nie był szczególnie komentowany ani że nie stał się przedmiotem szczególnej uwagi. Sądzę, że z tego powodu rzadko mówi się o tym jawnie, instytucjonalna głupota czy coś w tym stylu. Albo dlatego właśnie raportowi Spackmana nie poświęcono uwagi, chociaż, jak już mówiłem, tego typu dokumenty powstają w Systemach cały czas. Instytucje bywają znacznie mniej inteligentne od ludzi, którzy je tworzą. Czy coś w tym stylu. Nie bez znaczenia jest też fakt, że Służbie zależy na tym, by płacąca podatki opinia publiczna postrzegała ją jako w pełni wydolny, wszytkowiedzący instrument egzekucji należności – w kwestię podatków i gotowości społeczeństwa do postępowania zgodnie z prawem podatkowym wpisana jest złożona psychodynamika. Z jednej strony zbyt wysoka wydajność może zostać opacznie zinterpretowana jako wrogość, nadmierna agresja czy coś w tym stylu, co przyczyni się do wzrostu niechętnego nastawienia podatników i może się negatywnie odbić na przestrzeganiu przez społeczeństwo prawa, a także na uprawnieniach i budżecie Służby czy coś w tym stylu. Tak że cała sprawa jest złożona czy coś w tym stylu, ale psychodynamika nie należy do naszych kompetencji, a moje rozeznanie w tym wszystkim jest bardzo mgliste i ogólne czy coś w tym stylu, jakkolwiek wiemy, że ta kwestia jest przedmiotem sporego zainteresowania i badań w Trzech Szóstkach. Raport Spackmana, ten jego istotny rozdział, wrócił na stół za sprawą pewnej osoby czy osób z bliskiego otoczenia Boga w Trójcy Jedynej. Różne wersje doniesień podają sprzeczne informacje, o kogo dokładnie chodzi. Mówię tu o okresie sprzed mniej więcej dwóch i pół roku.

P.

Zasadniczo z raportu wynikało, że luka jest kwestią ściągalności. Czy coś w tym stylu. To oczywiste – skoro luka to właśnie pewien procent niedoboru ściągalności. Ale ten podrozdział noty dotyczył tych aspektów luki podatkowej, którym Służba mogła zyskownie poświęcić uwagę. Tych, które można było zredukować, złagodzić. Czy coś w tym stylu. Chodzi o powiększenie wpływów. Pewna część luki podatkowej jest wypadkową szarej strefy, mechanizmów

barterowych, dochodów uzyskiwanych nielegalnie i pewnych bardzo zaawansowanych mechanizmów unikania płacenia, wykorzystywanych przez bardzo bogatych, na które to czynniki w krótkiej perspektywie nic się nie dało poradzić. Z kolei w analizie z raportu Spackmana dowodzono, że luka powstaje w znacznej mierze także na skutek uchybień sprawozdawczości, w tym w formularzach 1040 do rozliczeń indywidualnych osób fizycznych, którym – dowodzono – można zaradzić w krótkiej perspektywie. Ze zrozumiałych względów krótka perspektywa bardzo interesowała obecną administrację. Stąd spotkanie działań na poziomie praktycznym oraz polityki, bo tak właśnie dokonują się zmiany na szczeblu ogólnokrajowym, które następnie skapują tu do nas, siedzących w okopach czy coś w tym stylu, poprzez reorganizacje i zmiany w kryteriach oceny pracowniczej, ponieważ 1040 wchodzi w zakres obowiązków zespołu od kontroli rutynowych. Czy mam objaśnić, jakiego rodzaju i w jakich obszarach kontrole się tu przeprowadza?

P.

Nie ma sprawy. Na największym poziomie ogólności Nota Spackmana wyodrębniła wśród dających się wyeliminować, związanych z formularzem 1040 przyczyn luki trzy szerokie obszary, kategorie czy coś w tym rodzaju – niewykazanie, błędne wykazanie oraz niedopłatę. Niewykazanie należy w większości przypadków do zakresu CID, Wydziału Ścigania Przestępstw Podatkowych. Błędnym wykazaniem zajmuje się Dział Egzekucji Należności, z punktu widzenia filozofii i praktyki jednostka, która robi zupełnie inne rzeczy niż my tutaj, chociaż nasze wydziały – Kontrola i Należności – do spółki oczywiście z Audytem, tworzą trzon Inicjatywy. Lub – by zobrazować to w perspektywie hierarchii organizacyjnej – Pion Przyjęć. Zasadniczo jako kontrolerzy zajmujemy się tu przypadkami błędnego wykazania. Czy coś w tym stylu. Zanizony dochód, nieprzysługujące odpisy, przeszacowane koszty własne, nieprawidłowo skalkulowane odliczenia. Rozbieżności czy...

P.

Na najwyższym poziomie ogólności tezę Inicjatywy Spackmana, jak ją tu nazwaliśmy, tak pod względem filozofii, jak organizacji,

było założenie, że owe trzy składowe luki podatkowej dadzą się zniwelować poprzez zwiększenie wydajności IRS w działaniach związanych z przyjmowaniem zeznań. Nietrudno zrozumieć, dlaczego ten pogląd rozpałił wyobraźnię administracji politycznej jako potencjalna trzecia opcja, sposób na zaradzenie z każdą chwilą coraz bardziej niedopuszczalnym brakiem we wpływach bez podnoszenia stawek czy obcinania wydatków. Czy coś w tym stylu. Nie muszę chyba mówić, że podaję to wszystko w bardzo uproszczonej formie. Staram się objaśnić niezwykle obrót spraw, który dotknął strukturę i działania Służby na naszym poziomie regionalnym. Ten rok był, łagodnie mówiąc, bardzo ekscytujący. A zasadniczą przyczyną tej ekscytacji, no i w pewnej mierze kontrowersji, jest Inicjatywa Spackmana. Tak zaczęto na nią mówić. Gruntowne, szeroko zakrojone przeorientowanie myślenia Służby o niej samej i jej roli w polityce. Czy coś w tym stylu. Przepraszam... wszystko w porządku?

P. [Pauza, szumy]

...w tym stylu, które Trzy Szóstki także uznały za korzystnie rokujący, dowodził, że przy spełnieniu pewnych warunków natury technicznej z każdego dodatkowego dolara włożonego w roczny budżet Służby można było uzyskać ponad szesnaście dolarów w dodatkowych przychodach Departamentu Skarbu. Sporą część tego wywodu poświęcono rozważaniom nad specjalnym statusem i funkcją IRS jako agencji federalnej. Agencja federalna jest z definicji instytucją. Biurokracją. Ale Służba była także jedyną agencją w federalnym instrumentarium, która odpowiada za wpływy. Generowanie zysku. Znacząca jedyną, która była upoważniona do maksymalizowania zwrotu z każdego dolara, jaki zainwestowano w jej roczny budżet. W jej przypadku zatem, głosił wskrzeszony Spackman, istniały poważniejsze niż w przypadku innych agencji przesłanki, by IRS traktować, prawnie konstituować i prowadzić jak firmę – organizację *for profit* czy coś w tym stylu – nie zaś narzędzie biurokracji instytucjonalnej. U swej podstawy raport Spackmana był silnie antybiurokratyczny. Model w nim przedstawiany był bliższy klasycznemu modelowi wolnorynkowemu. Jego atrakcyjność w oczach prorynkowych konserwatystów obecnej administracji nie powinna zaskakiwać.

Żyjemy, ostatecznie, w epoce deregulacji. To, jak najlepiej i jak dalece w pewnym sensie zderegulować IRS – która oczywiście, będąc agencją federalną, została powołana do życia i funkcjonuje jako zbiór regulacji prawnych i mechanizmów egzekwowania prawa – stanowiło wrażliwą i wciąż ewoluującą kwestię czy coś w tym stylu. Niektórzy widzieli w Spackmanie ideologa. Nie każde zalecenie z pierwotnego dokumentu wcielono w życie – nie wszystko wciągnięto do agendy Inicjatywy. Ale w każdym razie czas był, z politycznego punktu widzenia, sprzyjający zasadniczym założeniom planu Spackmana. Trudno o przesadę, mówiąc o konsekwencjach tej zmiany w filozofii oraz uprawnieniach dla tych, którzy, jak my, realizują ją w terenie. Inicjatywę. Choćby nowy intensywny program rekrutacji i zwiększenie zatrudnienia w Służbie o dwadzieścia procent, pierwszy taki przyrost od 1978 i TRA. Myślę też o rozległych i bodaj niekończących się restrukturyzacjach Pionu Przyjęć, z czego najbardziej istotny [nie słychać] dla nas tutaj był fakt, że siedmiu komisarzy regionalnych otrzymało większą autonomię i władzę zgodnie z bardziej zdecentralizowaną filozofią działania Inicjatywy Spackmana.

P.

To kolejny skomplikowany temat, który wymaga rozległej wiedzy z zakresu prawa podatkowego USA oraz historii Służby jako części władzy wykonawczej jednocześnie nadzorowanej przez Kongres. Kluczowe zadanie tego, co znamy pod nazwą Inicjatywy Spackmana, wiązało się ze znalezieniem złotego środka między dwiema przeciwstawnymi tendencjami, które od dekad utrudniały działania Służby i z których jedną była decentralizacja narzucona przez Komisję Kongresu orzekającą w sprawie Kinga w 1952 roku, a drugą skrajnie biurokratyczna i polityczna centralizacja administracji krajowej, reprezentowana przez Trzy Szóstki. Czy coś w tym stylu. Można by powiedzieć, że lata sześćdziesiąte w historii Służby były epoką, w której pierwszorzędną rolę grał okręg. Lata osiemdziesiąte zaczynają wyglądać na epokę regionu. Czy coś w tym stylu. Co jest kompromisem w łonie organizacji pomiędzy licznymi okręgami a jednolitą administracją Trzech Szóstek. Decydowanie o administracji, strukturze, logistyce i procedurach zależy teraz dużo bardziej od komisarza i jego zastępców, którzy z kolei

rozdysponowują obowiązki zgodnie z elastycznymi, ale spójnymi wytycznymi, czy coś w tym stylu, co skutkuje w praktyce większą autonomią centrów.

P.

W każdym regionie po jednym Centrum Obsługi oraz, nie licząc jednego wyjątku, po jednym Centrum Kontroli. Czy mam wyjaśnić, o co chodzi z tym wyjątkiem?

P.

Zasadniczo Inicjatywa daje regionalnym centrom obsługi i kontroli znacząco większy margines dowolności, jeśli chodzi o strukturę, kadry i protokoły postępowania, co w rezultacie zwiększa kompetencje i odpowiedzialność dyrektorów tych placówek. Naczelną ideą jest tu uwolnienie tych dużych ośrodków przetwarzania spod władzy opresyjnych i skostniałych przepisów, które przeszkadzają im w efektywnym funkcjonowaniu. Czy coś w tym stylu. Jednocześnie ogromny nacisk kładzie się na wysiłki służące jednemu jedynemu, nadrzędnemu celowi: wynikom. Zwiększeniu wpływów. Ograniczeniu uchylania się od płacenia. Zmniejszeniu luki. Oczywiście nie chodzi tu dokładnie o wyrabianie norm – nie ma o tym nawet mowy, z uwagi na sprawiedliwość społeczną i opinię publiczną – ale jesteśmy blisko. Wszyscy tu oglądamy wiadomości, pani i ja, i owszem, wyłania się z tego obraz bardziej agresywnych audytów. Czy coś w tym stylu. Ale przesunięcia i akcenty w audytach to na ogół zmiany w natężeniu, ilościowe czy coś w tym stylu, wliczając w to wprowadzenie zautomatyzowanych audytów zdalnych, które leżą tu poza obszarem naszej wiedzy. Za to dla nas, w Kontrolach, nastąpiła dramatyczna, jakościowa zmiana w filozofii działania i protokołach. Odczuła ją nawet najskromniejsza pracownica 9. szczebla przy swojej konsoli do kart perforowanych. Jeśli Audyty uznać za broń Inicjatywy czy coś w tym stylu, to my w Kontrolach jesteśmy telemetrami, których zadaniem jest ustalenie, gdzie najlepiej skierować tę broń. Wobec deregulacji stoimy teraz tylko przed jedną kwestią: które zeznania przyniosą największe zyski po audycie i jak najwydajniej je zidentyfikować?

947676541

Mam ponadprzeciętnie wysoką odporność na ból.

928514387

No więc mój tato lubił kosić trawnik, dzieląc go na małe kwadraty i pasy. Najpierw kosił wschodni narożnik podwórka od ulicy, wchodził na chwilę do domu, później zajmował się południowo-zachodnim pasem trawnika na tyłach i niewielkim kwadratem przy płocie od południa, znowu wracał i tak dalej. Miał mnóstwo podobnych małych rytuałów, taki właśnie był. Wiecie? Długo trwało, zanim zrozumiałem, że on tak robił z tym trawnikiem, bo lubił mieć wrażenie, że coś skończył. Że miał zadanie do wykonania i je wykonał. To takie konkretne przyjemne uczucie, jakby się było maszyną, która wie, że dobrze działa, i robi to, do czego została przeznaczona. Wiecie, o czym mówię? Dzieląc trawnik na siedemnaście małych sekcji, co nasza mama brała jak zwykle za odpał, miał to wrażenie kończenia roboty nie jeden, a siedemnaście razy. Takie: „Skończyłem. Znowu skończyłem. Hej, patrzcie, znowu skończyłem”.

Trochę podobnie jak z tamtym jest tutaj w pracy. W rutynowych. Lubię to. Przeciętny formularz 1040 zabiera około dwudziestu dwóch minut – przegląd, sprawdzenie i wypełnienie notatki. Może nieco więcej w zależności od kryteriów, niektóre zespoły podkreślają kryteria. Wiecie. Ale nigdy więcej niż pół godziny. Każdy zrobiony daje wam to konkretne miłe uczucie.

Rzecz w tym, że formularze zeznań nigdy się nie kończą. Zawsze jest kolejny do przejrzania. Nigdy tak naprawdę nie kończycie. Chociaż, z drugiej strony, czy podobnie nie było z trawnikiem, co? Przynajmniej wtedy, jak dobrze popadało. Kiedy docierał wreszcie do ostatniej małej sekcji, którą sobie wyznaczył, pierwsza była już gotowa do ponownego koszenia. Lubiał krótko przycięty, zadbane trawnik. Jeśli się tak nad tym zastanowić, to spędzał tam masę czasu. Masę swojego czasu.

951876833

To szło albo w cyklu *Twilight Zone* albo w *Outer Limits* – w którymś z nich. Jest koleś z klaustrofobią, któremu się pogarsza, aż w końcu

z tej klaustrofobii zaczyna wrzeszczeć i bzikować, więc odwożą go do zakładu dla obłąkanych i w zakładzie izolują go, spętanego kaftanem bezpieczeństwa, w ciasnym, maleńkim pomieszczeniu z odpływem w podłodze, pomieszczeniu wielkości szafy, no sami widzicie, że w najgorszym z możliwych dla klaustrofobików miejscu, ale tłumaczą mu przez szparę w drzwiach, że zgodnie z obowiązującymi zasadami i procedurami, jeżeli ktoś krzyczy, należy go umieścić w odosobnieniu. Gość przepadł, zostanie tam przez resztę życia – ponieważ póki wrzeszczy i wali sobą o ściany, żeby pozbawić się przytomności, oni będą go trzymać w tym małym pomieszczeniu, a póki jest w tym małym pomieszczeniu, będzie wrzeszczał, bo cały problem polega na tym, że ma klaustrofobię. Jest żywym dowodem na to, że zasady i procedury muszą zostawiać pewien margines swobody działania, bo inaczej dojdzie do jakiejś groteskowej skuchy i ktoś skończy w piekle na ziemi. Tamten odcinek nawet nosił tytuł *Zasady i procedury*, i żadne z nas nigdy go nie zapomniało.

987613397

Nie sądzę, bym miał do powiedzenia cokolwiek, czego nie napisano w Kodeksie albo w *Podręczniku*.

943756788

Matka nazywała to zapatrzeniem. Wyrażała się tak o moim ojcu, o jego nawyku, który przejawiał w środku praktycznie każdej czynności. Był sympatyczną osobą, księgowym okręgu szkolnego. Zapatrzenie odnosiło się do nieruchomego gapienia się na coś z beznamiętną miną przez długi czas. To się zdarza, gdy człowiek się nie wyśpi albo gdy wyśpi się za bardzo, albo gdy się przeje, albo jest rozproszony, albo po prostu buja w obłokach. Tyle że to nie jest bujanie w obłokach, ponieważ wiąże się z patrzeniem na coś. Gapieniem się. Zwykle na coś tuż przed wami – półkę regału czy dekorację pośrodku stołu w jadalni albo na waszą córkę, na dziecko. Ale w zapatrzeniu tak naprawdę nie patrzycie na to, na co wygląda, że patrzycie, bo tego nawet nie zauważacie – ale też wcale nie myślicie o czymś innym. Tak naprawdę umysłowo w ogóle się nie

angażujecie, tylko że patrzycie uparcie, sprawiając wrażenie głębokiej koncentracji. To tak, jakby komuś zacięła się koncentracja, tak jak gdy czasami koła samochodu ugrzęzną w śniegu i obracają się energicznie, ale się nie posuwają, choć sprawia to wrażenie intensywnej koncentracji. I teraz ja też tak robię. Sama się na tym łapię. To nie jest nieprzyjemne, za to dziwne. Coś z człowieka uchodzi – twarz wisi luźno, bez mięśni, bez wyrazu. Wiem, że to przeraża moje dzieci. Tak jakby wasza twarz, wasza uwaga, należała do kogoś innego. Czasami w łazience, kiedy spoglądam w lustro, zdarza mi się ocknąć i złapać na tym, że w zapatrzeniu w ogóle się nie rozpoznaję. Ojciec nie żyje od dwunastu lat.

To tutaj nowe wyzwanie. Wcześniej nie było gwarancji, że patrząc na kontrolera z zewnątrz, odróżni się kogoś, kto wykonuje porządnie swoją pracę, od kogoś, kto się zapatrzył, kto gapi się na teczki zeznań, ale się w nie nie wczytuje, tak naprawdę nie poświęca im uwagi. Jeśli tylko przerabialiście swój określony przydział zeznań każdego dnia, nie mogli mieć pewności. Nie żebym to robiła, moje zapatrzenia zdarzają się po dniu tutaj, albo przed, kiedy się przygotowuję. Ale wiem, że byliby zaniepokojeni – kto jest dobrym kontrolerem, a kto ich kiwa, spędzając dzień w zapatrzeniu albo myśląc o czym innym. To się zdarza. Ale teraz, od tego roku mogą się dowiedzieć, wiedzą, kto pracuje. To wychodzi później, ta różnica. Ponieważ teraz notują wasze wyniki przy detekcji luk w przychodach, a nie wasz przerób. Tak wygląda zmiana z naszego punktu widzenia. Teraz to jest prostsze, szukamy czegoś, co potencjalnie wywoła alarm, nie chodzi już o liczbę zeznań, którą damy radę przerobić. To pomaga nam utrzymać wyteżoną uwagę.

984057863

Mieszkaliśmy za miastem, przy jednej z asfaltowych dróg. Sprawiliśmy sobie wielkiego psa, którego tato trzymał na łańcuchu na podwórku od frontu. Mieszaniec owczarka niemieckiego. Nie cierpiałem tego łańcucha, ale nie mieliśmy płotu, a mieszkaliśmy zaraz przy drodze. Pies nienawidził łańcucha. Ale miał swoją godność. Miał tak, że nigdy nie oddalał się na długość tego łańcucha. Właściwie nie odchodził nawet na tyle, by łańcuch wyglądał na napięty. Nawet gdy przyjechał listonosz albo

domokrążca. Z poczucia godności ten pies zachowywał się tak, jakby wybrał sobie tę przestrzeń, którą akurat, tak się złożyło, zakreślał promień wyznaczany przez długość łańcucha. Nic, co było dalej, go nie interesowało. Zero zainteresowania. Więc nie zauważał już łańcucha. Nie traktował go z nienawiścią. Łańcucha. Po prostu się zawziął i ten nie miał dla niego znaczenia. Może nie udawał – może naprawdę wybrał ów mały krąg na swój świat. Miał w sobie jakąś siłę. Całe życie na tym łańcuchu. Kochałem to cholerne psisko.

§15

Nieznana, ale prawdziwa ciekawostka z dziedziny zjawisk paranormalnych: istnieją jasnowidze danych. W literaturze fachowej znani także jako mistycy danych, a sam zespół jako IPF (intuicja przypadkowych faktów). U badanych ich nagłe wglądy czy natężenia świadomości strukturą przypominają tę (w porównaniu z którą są jednak dalece bardziej nieinteresujące i przyziemne) radykalnie użyteczną wieszczą wiedzę, kojarzoną z percepcją pozazmysłową albo prekognicją. To z kolei tłumaczy, dlaczego fenomen ten jest tak rzadko badany czy opisywany, jak i to, dlaczego osoby, których IPF dotyczy, niemal jednogłośnie wyrażają się o niej w kategoriach przypadłości czy schorzenia. W zaledwie kilku istniejących uznanych publikacjach i monografiach znaleźć można obfitość przykładów; o tak – obfitość w połączeniu z brakiem zastosowania i zakłócaniem przebiegu normalnych myśli tudzież rozpraszaniem uwagi stanowi istotę zjawiska IPF. Drugie imię przyjaciela z dzieciństwa nieznanego mijanego na korytarzu. To, że osoba, obok której usiadło się w kinie, znajdowała się kiedyś szesnaście samochodów za nami na międzystanowej piątce w pobliżu McKittrick w Kalifornii w ciepły deszczowy dzień w październiku 1971 roku. Przychodzą znikąd, są niewygodne i wytrącają z równowagi, jak wszelkie parapsychologiczne inwazje. Ilu ludzi spoglądało w kierunku południowo-wschodnim, przyglądając się egzekucji Guya Fawkesa w 1606 roku. Ile klatek liczy sobie *Do utraty tchu*. To, że ktoś o nazwisku Fangi czy Fangio wygrał Grand Prix Formuły 1 w 1959 roku. Liczba egipskich bóstw o głowach zwierzęcych zamiast ludzkich. Długość i średni obwód jelita cienkiego urzędującego sekretarza obrony Caspara Weinbergera. Dokładna (nie szacunkowa) wysokość wierzchołka wulkanu Erebus, ale już nie to, że Erebus to wulkan ani gdzie się znajduje.

W przypadku jasnowidza danych, księgowego 9. szczebla Claude'a Sylvanshine'a, dnia, dajmy na to, 12 lipca 1981 roku,

będzie to dokładna waga i prędkość pociągu jadącego w kierunku południowo-zachodnim z Prešova w Czechosłowacji właśnie w chwili, gdy Sylvanshine powinien weryfikować kwity 1099-INT dołączone do zeznania podatkowego Edmunda i Willi Kosaiców, w których domu okiennice w 1978 wymieniał mąż kobiety z trzema z rzędu wygranymi w bingo w parafii św. Brygidy w Troy, w stanie Michigan, i to pomimo tego, że w adresie zamieszkania Kosaiców figuruje Urbandale, Iowa (powody sprzeczności danych pochodzących z IPF nie są znane Sylvanshine'owi, dla którego te faktoidy stanowią jeszcze jeden wymagający zabiegów opędzania się czynnik rozpraszający pośród hałasu i skandalicznie niskiego morale filadelfijskiego RCK). Dalej imię tolteckiego boga kukurydzy, tyle że zapisane tolteckimi hieroglifami, przez co Sylvanshine'owi jawi się tylko jako abstrakcyjny rysunek niewiadomego pochodzenia. Nazwisko laureata Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii łamane przez medycyny za rok 1950.

Dana: co najmniej jedną trzecią jasnowidzów i magów starożytnych władców wylano bądź stracono już na początku pełnienia przez nich tej funkcji, okazywało się bowiem, że większość z tego, co przewidywali lub przeczuwali, jest nieprzydatna. Nie błędna – po prostu nieprzydatna, bez znaczenia. Prawdziwa funkcja wyrostka robaczkowego. Imię, jakie Norbert Wiener nadał małej skórzanej piłce, jedynemu towarzyszowi swego chorowitego dzieciństwa. Liczba źdźbeł trawy przed domem listonosza. Wdzierają się, trzaskają, łomoczą. Spojrzenie Sylvanshine'a jest zawsze tak wyteżone i niepokojące między innymi dlatego, że stara się odsiać w głowie wszelkie uzyskane w sposób paranormalny a uciążliwe fakty. Ilość miękiszu w pewnym gatunku paproci w poczekalni gabinetu ortodonta w Athens w Georgii, ale nigdy czym jest miękisz. Że mistrz WBA w wadze piórkowej z 1938 roku miał lekką skoliozę odcinka Th10-Th12. Nie żeby to wszystko sprawdzał – człowiek nie tropi tych faktów, są jak przynęty wabiące donikąd. Wie to z własnego trudnego doświadczenia. Tempo, w jakim system gwiazdny ML435 oddala się od Drogi Mlecznej, mierzone w jednostkach astronomicznych. Nikomu nie mówi o tych wtargnięciach. Niektóre bywają ze sobą powiązane, ale rzadko kiedy w sposób, który ktoś obdarzony prawdziwą percepcją pozazmysłową

nazwałby znaczeniem. Waga metryczna wszystkich kłaczków w kieszeniach wszystkich osób zebranych w obserwatorium astronomicznym w Ford Davis w Teksasie tego dnia w 1974 roku, gdy zapowiadane zaćmienie Słońca przesłoniły chmury. Być może jeden na cztery tysiące takich faktów okazuje się istotny bądź użyteczny. Większość działa raczej tak jak ktoś, kto śpiewa nam do ucha hymn Stanów Zjednoczonych, gdy recytujemy wiersz w konkursie recytatorskim. Claude Sylvanshine nie może tego zatrzymać. To, że imię zmarłej na koklusz w 1844 roku siostrzyczki prapraprababki osoby, którą mija na ulicy, brzmiało Hesper. Koszty, liczone w dolarach z uwzględnieniem inflacji, tamtego zaćmienia; numer licencji FCC chrześcijańskiej stacji radiowej, której słuchał dyrektor obserwatorium, jadąc do domu, by na miejscu zastać żonę w dezabilu, a na kuchennym blacie znaleźć czapkę mleczarza. Kształt chmur tego popołudnia, gdy dwoje ludzi, których nigdy nie spotkał, poczęło dziecko, poronione po sześciu tygodniach. Że pionierem w dziedzinie walizek na kółkach z uchwytem był eksmąż stewardesy z People Express Airlines, który doprowadził się niemal do obłądu, poświęciwszy ponad osiemnaście miesięcy na przekopywanie się przez specyfikacje producentów akcesoriów podróży i oczekujące na rozpatrzenie wnioski patentowe, ponieważ nie mógł uwierzyć, że nikomu nie przyszło jeszcze do głowy, by coś takiego zacząć produkować na masową skalę. Wydawany przez USPTO numer rejestracyjny maszyny, która naklejała papierowe fragmenty czapki mleczarza. Średnia masa cząsteczkowa torfu. Przypadłość utrzymywana jest w tajemnicy przed wszystkimi, odkąd w czwartej klasie okazało się, że Sylvanshine zna imię kota towarzysza dzieciństwa pierwszej miłości męża swojej wychowawczyni, kota, który stracił wasy po jednej stronie pyszczka w wyniku nieszczęśliwej przygody przy piecu węglowym w Ashtabula w Ohio, co doczekało się weryfikacji, dopiero kiedy Sylvanshine stworzył małą ilustrowaną książeczkę, a mąż wychowawczyni zobaczył w niej imię i lateralnie bezwasa, narysowaną kredkami podobiznę Scrappera, poblądł jak kreda i śnił intensywnie przez trzy noce, o czym nikt się nie dowiedział.

Jasnowidz danych żyje na pół etatu w świecie kapryśnych, wrzących ciekawostek, których nikt nie zna ani nie chciałby poznać,

nawet gdyby miał taką możliwość. Populacja Brunei. Różnica między śluzem a flegmą. Od jak dawna do spodniej powierzchni czwartego (licząc od prawej) fotela w trzecim rzędzie kina Virginia Theater w Cranston, Rhode Island, przylega przeżuta guma, ale danych o tym, kto i po co ją tam przykleił – brak. To, jakie fakty wtargną, jest nie do przewidzenia. Wieczne bóle głowy. Dane czasem w formie wizualnej i dziwnie podświetlone, jakby nieskończenie jasnym światłem pochodzącym z nieskończonej dali. Ilość niestrawionego czerwonego mięsa w okrężnicy czterdziestotrzyletniego mężczyzny, mieszkańca Ghent, liczona w gramach. Związek pomiędzy turecką lirą a jugosłowiańskim dinarem. Rok śmierci badacza głębin oceanicznych Williama Beebe'a.

Kęs CupCake z Hostess. Wie, gdzie je zrobiono; wie, kto obsługiwał maszynę, która rozprowadza na wierzchu cienką warstwę czekoladowej polewy; zna wagę tej osoby, rozmiar buta, średni wynik w kręgle, średnią w rozgrywkach bejsbolowych Legionu Amerykańskiego; zna wymiary pomieszczenia, w którym w tej chwili przebywa ta osoba. Przytłaczające.

§16

Lane Dean Jr. i dwóch starszych kontrolerów z innego pawilonu stoją na dworze, przed drzwiami jednego z wyjść bez zamontowanego alarmu między pawilonami, na heksagramie z cementu otoczonym dobrze utrzymaną trawą, patrzą na słońce rozlane po ugorach ciągnących się na południe od RCK. Żaden z nich nie pali; zwyczajnie wyszli na chwilę. Lane Dean nie przyszedł razem z tamtymi dwoma; po prostu akurat wyszedł na przerwę, przewietrzyć się, w tym samym czasie co oni. Wciąż poszukuje naprawdę atrakcyjnego, dającego urozmaicenie miejsca, w które mógłby przychodzić w trakcie przerw; one są zbyt ważne. Ci dwaj pozostali goście znają się albo pracują w tym samym zespole; przyszli razem; czuć, że łączy ich rutyna długiego stania.

Jeden z mężczyzn rozciąga się, odchylając jakoś nienaturalnie ramiona.

– Ożeż – mówi. – Midge i ja poszliśmy do Bodnarów w sobotę. Znasz Hanka Bodnara z zespołu K w Kontrolach Kapitałowych, tego, co ma okulary ze szklami, które same się przyciemniają, to się jakoś nazywało.

Mężczyzna trzyma ręce za plecami i szybko przestępuje z palców na pięty, jak ktoś czekający na autobus.

– Ehe. – Drugi z mężczyzn, może pięć lat młodszy od tego, który był u Bodnarów, przygląda się z uwagą niezłośliwej cyscie czy narośli po wewnętrznej stronie nadgarstka. Ciepło kumuluje się przed południem, a elektryczny odgłos szarańczy w dzikich trawach to podnosi się, to opada w tych obszarach pól, w które właśnie bije słońce. Żaden z mężczyzn nie przedstawił się Lane'owi Deanowi, który stoi od nich dalej niż oni od siebie nawzajem, nie tak jednak daleko, by można go uznać za całkowicie niezwiązanego z rozmową. Może szanują jego prywatność, bo widzą, że jest nowy i dopiero się przyzwyczajają do niewiarygodnej monotonii pracy przy kontrolach. Może są nieśmiali i skrupowani i nie są pewni, jak powinni się przedstawić. Lane Dean, któremu nogawki spodni podjechały tak

wysoko, że będzie musiał pójść do kabiny w męskim, żeby je wydobyć, skąd trzeba, miałyby ochotę wybiec na pola w upale i biegać po nich w kółko, młóćąc rękami.

– Byliśmy z nimi umówieni na weekend przed... zaraz, który to był... przed siódmym – mówi pierwszy mężczyzna, spoglądając na krajobraz, w którym nie ma nic konkretnego, na czym można by zawiesić oko – ale nasza najmłodsza miała temperaturę i zaczerwienione gardło i Midge nie chciała jej z gorączką zostawiać z opiekunką. Więc zadzwoniła, żeby odwołać, i Midge i Alice Bodnar dogadały się, że przesuniemy to o tydzień, dokładnie o siedem dni, co do dnia, żeby było łatwiej zapamiętać. Wiesz, jakie bywają mamy misie, kiedy ich małe dostaną gorączki.

– Oj, żebym nie wiedział – włącza się Lane Dean z dystansu kilku stóp, śmiejąc się odrobinę zbyt serdecznie. Jeden but znajduje się w cieniu rzucanym przez nawis pawilonu, a drugi w plamie porannego słońca. Lane'a Deana zaczyna właśnie ogarniać rozpacz w związku z faktem, że piętnaście minut przerwy nieubłagane znika sekunda po sekundzie i że będzie musiał wrócić i sprawdzać zeznania przez kolejne dwie godziny do następnej przerwy. Widzi pusty styropianowy kubek, przewrócony na bok na kratce popielniczki małego kosza na śmieci we wnęce. Uczestnictwo w konwersacji sprawia, że czas płynie inaczej; trudno stwierdzić, czy lepiej, czy gorzej. Drugi mężczyzna ciągle przygląda się temu czemuś na nadgarstku, trzymając przedramię uniesione w taki sposób, jak to robią chirurdzy po szorowaniu rąk. Jeżeli uznać odgłosy szarańczy za ich rzeczywisty krzyk, to rzecz staje się znacznie bardziej niepokojąca. Standardową procedurą jest niesłyszenie; po chwili już są poza twoim rejestrem.

– Tak że tak – mówi pierwszy kontroler – przychodzimy, wypijamy po drinku. Midge i Alice Bodnar zaczynają rozmawiać o nowych zasłonach, które chcą kupić do salonu, i nie mogą skończyć. Suchy temat. Rozmowa żon. Więc ja i Hank kończymy w jego norze, bo musisz wiedzieć, że Hank zbiera monety, poważnie, jest konkretnym kolekcjonerem monet, o ile się orientuję, nie tych kartonowych albumów z okrągłymi otworami; naprawdę zna się na rzeczy. I chciał mi pokazać zdjęcie monety, którą myślał dodać do kolekcji.

Drugi z mężczyzn po raz pierwszy podniósł spojrzenie z nadgarstka, gdy ten opowiadający wspomniał kolekcjonowanie monet, hobby, które Lane'owi Deanowi, jako chrześcijaninowi, zawsze wydawało się pod wieloma względami upodlające i spaczone.

– Chyba pięciocentówka – mówi pierwszy gość. Raz po raz popada w coś niemal na podobieństwo monologów, podczas gdy drugi mężczyzna to zaczyna, to znów przestaje przyglądać się tej jakby narośli. Widać, że to wymiana, jaką ci dwaj prowadzą od wielu, wielu lat, przyzwyczajenie, którego już nawet nie są świadomi.

– Nie ta z bawołem, tylko jakaś inna pięciocentówka z alternatywnym rewersem, dobrze znana; nie znam się za bardzo na monetach, ale nawet ja o niej słyszałem, czyli musi być dość znana. Ale coś nie mogę wpaść na właściwe określenie.

Jego śmiech brzmi niemal cierpiętniczo.

– Kompletnie wypadło mi z głowy. Nie przypomnę sobie.

– Z Alice Bodnar jest niezła kuchareczka – mówi drugi facet. Plastikowe usztywnienia jasnobrązowego przypinanego krawata ujawniają się nieznacznie tuż przy krawędzi kołnierzyka koszuli. Węzeł krawata sam w sobie jest ciasny jak pięść, nie ma mowy o luzowaniu. Z miejsca, w którym stoi, Lane Dean może lepiej, bardziej dyskretnie przyglądać się drugiemu z kontrolerów. Narośl po wewnętrznej stronie jego nadgarstka jest wielkości dziecięcego nosa i składa się z czegoś, co wygląda jak róg czy twardy naroślowaty materiał, i sprawia wrażenie zaczerwienionej i trochę jakby miał tam zapalenie, choć to może dlatego, że koleś tyle przy tym majstruje. Ale jak miałyby nie majstrować? Lane Dean wie, że mógłby niezdrowo zafiksować się na sprawie z nadgarstkiem faceta, gdyby pracowali w przyległych tingle'ach w tym samym pawilonie; mógłby usiłować na to patrzeć tak, żeby nie zostać zauważonym, podejmować postanowienia, że nie będzie na to patrzył itd. Czuje pewną grozę na myśl o tym, że praktycznie zazdrości osobie siedzącej przy tamtym biurku, wyobraża sobie zaczerwienioną cystę i to, jak dobrze spisuje się w roli przedmiotu rozpraszającego i absorbującego, czegoś, czemu można poświęcać wiele zabiegów, tak jak wrona, która gromadzi błyszczące niepotrzebne drobiazgi, na

jakie się natknie, choćby skrawki folii aluminiowej czy drobne ogniwa zerwanego łańcuszka. Czuje dziwaczne pragnienie, by spytać gościa o tę narośl, o co w niej chodzi, jak długo itd. Stało się dokładnie tak, jak powiedział mu tamten człowiek: Lane Dean nie musi już patrzeć na zegarek na przerwach. Zostało sześć minut.

– Taaa, no więc był cały plan, żeby poddusić filety z łososia i zrobić obiad na ganku z łososiem w tym ponoć specjalnym sosie szałwiowym, który Midge i Alice chciały zrobić, i zapiekanymi ziemniakami... chyba zapiekanymi; może mówi się na to *au gratin*. I z wielką sałatką, taką, że nie było mowy o podawaniu sobie miski; musiała mieć osobny mały stół.

Drugi mężczyzna odwijają teraz ostrożnie rękaw i zapina na nadgarstku z tym czymś, chociaż Dean mógłby się założyć, że kiedy gość siada nad zeznaniami, a rękaw odrobinę mu się podciąga, widać nieznacznie brzeg czerwonego półcienia cysty oraz że ruch rękawa wte i wewte w ciągu dnia przy kontroli może być częściowo odpowiedzialny za jej zaczerwienienie i niezdrowy wygląd – możliwe, że to boli, w ledwie uchwytny, drażniący sposób, za każdym razem, gdy rękaw mężczyzny przemieszcza się w dół lub w górę po niewielkiej zrogowaciałej narośli.

– Ale dzień był taki ładny. Hank i ja siedzieliśmy w norze, on tam ma okna z gatunku tych dużych, przez które widać część trawnika od frontu i ulicy; dzieciaki z sąsiedztwa jeździły na rowerach wte i wewte i wrzeszczały, i w ogóle bawiły się na całego. Zdecydowaliśmy, właściwie Hank zdecydował, że co tam, jest tak cholernie ładnie, zobaczymy, co dziewczyny powiedzą na grilla. No więc wyciągnęliśmy grilla Hanka, wielkiego webera na kółkach, tak że możesz nim jeździć, jak odchyłisz do siebie; trzy nogi, ale dwie z kółkami, wiesz, o czym mówię.

Drugi mężczyzna wyciąga szyję i spluwa pewnie przez zęby na trawę przy brzegu heksagramu. Ma może czterdziestkę, w słońcu widać siwe pasma we włosach z boku głowy, zauważa Lane Dean. Lane Dean wyobraża sobie siebie, jak wybiega na pola i zatacza wielkie koło, wymachując rękami jak Roddy McDowall.

– I tak zrobiliśmy, wytoczyliśmy go – mówi pierwszy mężczyzna.
– I upiekliśmy łososia na grillu, zamiast go dusić, a tak poza tym to wszystko było tak samo, a Midge i Alice gadały, skąd Bodnarowie

mają tę salaterkę, taką z drobnymi żłobieniami przy brzegach, musiała ważyć z pięć funtów. Hank grillował na tarasie, a zjedliśmy na werandzie, przez owady.

– Co masz na myśli? – pyta Lane Dean, świadomy lekko histerycznego tonu swojego pytania.

– No – mówi pierwszy, przysadzistszy mężczyzna – słońce się chowało. Kopruchy ciągną z pola golfowego przez Fairhaven. Nie było mowy o siedzeniu na patio, chyba żeby się im dać zeznać żywcem. Nikt nawet nie musiał nic mówić.

Mężczyzna widzi, że Lane Dean wciąż na niego patrzy, przeginając głowę ze zbytnią gorliwością, na znak zaciekawienia, którego w najmniejszym stopniu nie odczuwa.

– No wiesz, to weranda z moskitierą.

Drugi mężczyzna patrzy na Lane'a Deana, jakby pytał: „Kim jest ten koleś?”.

Mężczyzna, który był na kolacji w domu tamtych ludzi, śmieje się.

– Same zalety obu światów. Weranda z moskitierą.

– O ile nie pada – mówi drugi mężczyzna. Obaj śmieją się boleśnie.

§17

Od małego wyobrażałem sobie ludzi ze skarbówki jako taki inny rodzaj instytucjonalnych bohaterów, biurokratycznych bohaterów przez małe b, jak ludzi z policji, straży pożarnej, pracowników opieki społecznej, Czerwonego Krzyża, wolontariuszy z VISTA, ludzi zajmujących się danymi w SSI czy nawet jakichś duchownych albo religijnie zaangażowanych świeckich – tych, którzy starają się cerować dziury pozostawione w tkance społeczności przez wszystkich tych bardziej samolubnych, nieczułych ludzi stawiających siebie i swoje na pierwszym miejscu. Znaczą bardziej jak personel biurowy policji i straży pożarnej, i niższą kadre urzędniczą niż jak tych, których wszyscy znają i o których dokonaniach piszą gazety. Nie chodzi mi o takich bohaterów, co „kładą swoje życie na szali”. Chyba chodzi mi o to, że są jeszcze inne typy. Sam chciałem być kimś takim. Jednym z tych, których postawa wydaje się jeszcze bardziej heroiczna, bo nikt ich nie oklaskuje, nikt nawet o nich nie pomyśli, a jeśli już, to raczej jak o wrogu. O kimś, kto zwykle jest w komitecie porządkowym i sprząta po zabawie, a nie gra w kapeli albo towarzyszy królowej balu, jeśli wiecie, o czym mówię. Tym cichym, co zamiata i jest od brudnej roboty. Wiecie.

§18

I Nazwiska Biurowe wracają. To jeszcze jeden plus pracy pod Glendenningiem. Nie mam nic do Błatego Króla, ale panuje konsensus, że Glendenning bardziej dba o morale agentów, a Nazwiska Biurowe to jeden z przykładów.

[głos z offu]

Są dokładnie tym, co sugeruje nazwa. Zamiast własnego nazwiska. Na biurku jest tabliczka z waszym Nazwiskiem Biurowym. Z waszym pseudonimem aberracyjnym, jak to się u nas mówi. Nie martwicie się wtedy, że obywatel, któremu trzeba może trochę natrzeć uszu, zapisze sobie wasze nazwisko, dowie się, gdzie mieszkanie – nie myślcie, że agenci o tym nie myślą!

[głos z offu]

Choć nie jest dokładnie tak jak przed Bładym Królem. To poszło za daleko, nie ma co do tego wątpliwości. Nie ma teraz jawnie jajcarskich Nazwisk Biurowych. Które szczerze mówiąc, starzały się szybko i nikt za nimi nie tęskni; nikt nie chce, żeby podatnik miał go za przygłupa. Nam tu zdecydowanie daleko do głupkowatości. Koniec z takimi jak Phil Mypockets czy Mike Hunt albo Seymour Booty. Chociaż nikt, a już w żadnym razie pan Glendenning, nie powie wam, że nie wolno wam się posługiwać Nazwiskiem Biurowym jak narzędziem. W wielkiej batalii o serca i umysły. Mamy rotację; staż pracy decyduje o kolejności wyboru. W tym kwartale moje Nazwisko Biurowe to Eugene Fusz – widzicie je właśnie tam na tabliczce. Wyglądają teraz nieźle. Do narzędzi należą tabliczki z nazwiskami, co do których typ nie będzie miał pewności, jak je wymówić. Czy bardziej jak „fuse” czy może „fuss”, a może „fuzz”? Wiadomo, że obywatel nie chce was obrazić. Inne dobre to Fuchs, Traut, Wiener, Ojerkis, Bürger. Tünivich, Schoewder, Wënkopf. Powstały ponad czterdzieści trzy tabliczki. La Bialle, Bouhel. Umlauty zawsze się sprawdzają; umlauty szczególnie ich dezorientują. To jeszcze jedna ministrategia wyprowadzania z równowagi. Do tego wąski uśmiech półgębkiem w pochmurny

dzień i tak dalej. Hanratty złożył wniosek o tabliczkę z nazwiskiem Peanys na trzeci kwartał – Rosebury powiedział, że go rozpatrują. Istnieje w końcu pewna granica, gdy Glendenning dowodzi. Chodzi o wpływy z podatków. Nie mamy tu jakiegoś festiwalu podśmiechujek.

§19

– Jest coś bardzo zastanawiającego w tym, jak wychowanie obywatelskie ma się do samolubstwa, a teraz właśnie zbieramy tego żniwo. Tu, w Stanach Zjednoczonych, oczekujemy, że rząd i prawo będą naszym sumieniem. Ktoś powiedziałby: naszym superego. To ma jakiś związek z liberalnym indywidualizmem i jakiś związek z kapitalizmem, ale z teorii nie rozumiem za wiele; rozumiem to, z czym mam do czynienia. Amerykanie w pewnym sensie powariowali. Infantyilizujemy się. Nie myślimy o sobie jako obywatelach, częściach większej całości, wobec której mamy zasadnicze obowiązki. Myślimy o sobie jako obywatelach, kiedy przychodzi do naszych praw i przywilejów, ale już nie, kiedy idzie o obowiązki. Zrzekamy się naszych obywatelskich powinności, cedując je na rząd, i w konsekwencji oczekujemy od niego legislacji moralności. Mówię przede wszystkim o ekonomii i biznesie, bo to moja dziedzina.

– Jak zatrzymać ten upadek?

– Nie mam pojęcia jak. Jako obywatele zrzekamy się swojej autonomii w coraz większym stopniu, ale jeżeli my, rząd, zabierzemy obywatelom przysługujące im prawo do zrzekania się własnej autonomii, automatycznie pozbawimy ich właśnie autonomii. To paradoks. Obywatelom przysługuje konstytucyjne prawo do oddania piłki korporacjom i rządowi, od którego oczekujemy, że będzie sprawował kontrolę nad tymi pierwszymi. Korporacjom coraz lepiej idzie uwodzenie nas ich własnym sposobem myślenia: zyski to *telos*, odpowiedzialność zaś to symbol uświęcony tradycją, którego w realnej postaci należy unikać. Spryt nietożsamy z mądrością. Pragnienie i posiadanie w miejsce myślenia i działania. Nie zatrzymamy tego. Podejrzewam, że w końcu wydarzy się jakaś katastrofa, kryzys, hiperinflacja, i wtedy się okaże. Albo oprzytomniejemy i weźmiemy we własne ręce swoją wolność, albo kompletnie się rozlecimy. Jak Rzym, który zwyciężył własny lud.

– Rozumiem niechęć podatników do rozstawania się z pieniędzmi. To ludzka rzecz. Mnie też się nie podobało, jak mi wchodzili z audytem. Ale, do cholery, fakty z przeciwnej szali ważą więcej: wybraliśmy tych gości, chcemy tu mieszkać, chcemy dobrych dróg i dobrej armii, która nas obroni. Więc się, człowieku, dorzucasz.

– Trochę za bardzo upraszczasz.

– To tak, jakby... Wyobraźcie sobie, że jesteście w szalupie z innymi rozbitkami i macie określoną ilość jedzenia, i musicie je pomiędzy siebie rozdzielić. Macie go tylko tyle a tyle i trzeba nim obdzielić wszystkich, a każdy jest bardzo głodny. Oczywiście, chciałbyś zjeść wszystko, umierasz z głodu. Dokładnie tak samo jak pozostali. Gdybyś zjadł wszystko, nie mógłbyś z tym potem żyć.

– Pozostali by cię zabili.

– Chodzi mi o mechanizm psychologiczny. Pewnie, że chcesz zjeść wszystko, pewnie, że chcesz zatrzymać każdy grosz, jaki zarabiasz. Ale tego nie robisz, dokładasz się, bo tak trzeba dla dobra całej łodzi. Masz jakby obowiązek względem pozostałych. I obowiązek względem siebie, by nie okazać się typem osoby, która czeka, aż wszyscy zasną, żeby samemu wszystko zjeść.

– Mówi pan, jakby to była lekcja wychowania obywatelskiego.

– Którego ty nigdy nie miałeś, mogę się założyć. Ile masz lat, dwadzieścia osiem? Czy w twojej szkole, jak byłeś mały, uczyli jeszcze wychowania obywatelskiego? Wiesz w ogóle, co to było?

– To coś, co wprowadzili do szkół w czasach zimnej wojny. Bill o prawach, Konstytucja, przysięga na wierność sztandarowi, doniosłe znaczenie chodzenia na wybory.

– Edukacja obywatelska jako poddziedzina nauk politycznych, cytuję: zajmuje się pojęciem obywatelstwa oraz prawami i obowiązkami obywateli i obywaterek Stanów Zjednoczonych.

– Obowiązek to dosyć mocne słowo. Nie mówię, że mają obowiązek płacić podatki. Mówię tylko, że niepłacenie nie ma najmniejszego sensu. Poza tym złapiemy was, jak nie zapłacicie.

– To chyba nie będzie rozmowa, na którą byście mieli ochotę, ale jeśli naprawdę chcecie znać mój pogląd, to wam powiem.

– Niech pan daje.

– Myślę, że to nie przypadek, że już nie naucza się wychowania obywatelskiego ani że młody człowiek, taki jak ty, krzywi się na

dźwięk słowa *obowiązek*.

– Twierdzi pan, że staliśmy się słabi.

– Twierdę, że lata sześćdziesiąte, świeć Panie nad nimi, którym zawdzięczamy przebudzenie ludzkiej świadomości w całej masie kwestii, jak rasizm i feminizm...

– O Wietnamie nie wspominając...

– Nie, wspomnijmy o nim, bo właśnie wtedy pojawiło się pokolenie, którego większa część po raz pierwszy zakwestionowała autorytety i stwierdziła, że jej prywatne poglądy na wojnę są ważniejsze niż obowiązek, by pójść walczyć, jeżeli tego zażądają od nich ich prawomocnie wybrani przywódcy.

– Innymi słowy, że najważniejszą powinnością była dla nich ta wobec *siebie samych*?

– Dobrze, ale siebie samych jako *kogo*?

– Wiecie, mam wrażenie, że trochę to splotacie. Przecież nie było tak, że każdy, kto manifestował niezgodę na Wietnam, robił to z poczucia obowiązku. Protestowanie przeciwko wojnie stało się modne.

– Ani kwestia podejścia „mam obowiązek względem siebie”, ani kwestia mody nie są tu bez znaczenia.

– Mówi pan, że protesty przeciw wojnie w Wietnamie przyniosły oszustwa podatkowe?

– Nie, mówi, że przyniosły nam egoizm, który każe nam rzucać się na całe jedzenie w łodzi.

– Bynajmniej, sądzę natomiast, że cokolwiek sprawiło, że sprzeciw wobec wojny stał się czymś modnym, otwarło to furtkę kryzysowi, który doprowadzi nas do upadku jako państwo. Schyłkowi demokratycznego eksperymentu.

– Czy już wam wspomniałem, że to konserwatysta?

– To tylko metka. Jest mnóstwo rodzajów konserwatystów, w zależności od tego, co kto stara się zakonserwować.

– Lata sześćdziesiąte były początkiem upadku Ameryki w dekadencję i samolubny indywidualizm... czasem pokolenia Ja.

– W sumie to więcej dekadencji było w latach dwudziestych niż sześćdziesiątych.

– Wiecie, co myślę? Myślę, że Konstytucja i *Federalista*, które napisano w tym kraju, były niewiarygodnie etycznym

i dalekowzrocznym osiągnięciem. Bo naprawdę po raz pierwszy w nowożytnej historii sprawujący władzę ustanowili system, w którym zwierzchność obywateli nad ich własnym rządem miała przybrać realny wymiar, nie była kwestią czysto symboliczną. To była rzecz bezcenna i jako taka przejdzie do historii, tak jak Ateny i *Magna Carta*. Sam fakt, że była to utopia, która przez dwieście lat rzeczywiście sprawdzała się w działaniu, czyni ją więcej niż bezcenną, to cud, dosłownie. I... i mam tu na myśli Jeffersona, Madisona, Adama, Franklina, właściwych Ojców Kościoła... Tym, co uczyniło amerykański eksperyment czymś więcej niż wielką wizją i co sprawiło, że niemal się powiódł, była nie tylko inteligencja tych ludzi, ale głębokie moralne oświecenie, ich poczucie obywatelskości. Tak naprawdę bardziej troszczyli się o naród i obywateli niż o siebie. Mogli powołać Amerykę do istnienia jako oligarchię, w której potężni przemysłowcy ze Wschodniego Wybrzeża i właściciele ziemscy z Południa mieliby całą władzę i rządili żelazną ręką obleczoną w białą rękawiczkę liberalnej retoryki. Czy muszę wspominać o Robespierre, bolszewikach, Ajatollahu? Ci ojcowie założyciele byli geniuszami cnót obywatelskich. Byli bohaterami. Większość swych wysiłków włożyli w ograniczenie władzy rządu.

- Mechanizmy równowagi.
- Władza w ręce ludu.
- Wiedzieli, że władza potrafi demoralizować...
- Ten sam Jefferson, który ponoć dymał własne niewolnice i dorobił się całych miotów małych Mulatów.
- Wierzyli, że władza centralna rozproszona wśród nieobojętnego, wykształconego, zaangażowanego obywatelsko elektoratu to gwarancja, że Ameryka nie wyrodzi się w jeszcze jedną wersję kraju szlachty i wieśniaków, panów i chłopów pańszczyźnianych.
- Elektoratu wykształconych białych posiadaczy ziemskich płci męskiej, nie zapominajmy o tym.
- I tu mamy jeden z paradoksów dwudziestego wieku, z zenitem w latach sześćdziesiątych. Czy jest rzeczą słuszną uczynić świat sprawiedliwszym i pozwolić ogółowi społeczeństwa głosować? Ależ tak, jak najbardziej, w teorii. A jednak tak łatwo nam przychodzi oceniać przodków przez pryzmat naszego tu i teraz, zamiast

spróbować zobaczyć świat takim, jakim oni mogli go widzieć. Decyzja ojców założycieli, by przyznać prawo głosu jedynie bogatym, wykształconym i posiadającym areale mężczyznom, miała na celu przekazanie steru w ręce ludzi najbardziej podobnych do nich...

– Panie Glendenning, nie brzmi mi to wcale tak świeżo ani eksperymentalnie.

– Wierzyli w racjonalność, wierzyli, że ludzie cieszący się przywilejami, odcytani, wykształceni i moralnie wyrobieni będą w stanie kontynuować ich dzieło, podejmować rozsądne i oparte na wewnętrznej dyscyplinie decyzje dla dobra narodu, a nie po prostu służyć własnym interesom.

– To faktycznie barwna i pomysłowa racjonalizacja rasizmu i męskiego szowinizmu, to na pewno.

– To byli bohaterowie, i jak wszyscy prawdziwi bohaterowie byli skromni i nie uważali siebie wcale za takich wyjątkowych. Zakładali, że ich następcy będą tacy jak oni: racjonalni, honorowi, zaangażowani społecznie. Że będzie ich cechować co najmniej taka sama troska o dobro wspólne co o własny zysk.

– I jak to wszystko się ma do lat sześćdziesiątych?

– A zamiast nich mamy dzisiejszych wykastrowanych albo kłamliwych przywódców.

– Wybieramy to, na co zasługujemy.

– Ale to naprawdę bardzo dziwne. Że potrafili być tacy przewidujący i dalekowzroczni, by ustanowić ograniczenia zapobiegające akumulacji kompetencji przez którąkolwiek z władz, ze swoją zdrową nieufnością wobec rządu, a jednak nie przeszkadzało im to żywić naiwnej wiary w cnoty obywatelskie zwykłych ludzi.

– Nasi przywódcy, nasz rząd to my, my wszyscy, a zatem jeśli są skorumpowani i słabi, to dlatego, że my tacy jesteśmy.

– Nie lubię, kiedy podsumowujesz to, co mówię, i wszystko przekręcasz, ale zupełnie nie wiem, co na to odpowiedzieć. Bo chodzi o coś mocniejszego. Nie sądzę, żeby problem tkwił w naszych przywódcach. Głosowałem na Forda i pewnie zagłosuję na Busha albo i na Reagana, i głosuję tak z pełnym przekonaniem. Ale to, o czym mówię, widzimy tutaj, u podatników. To my jesteśmy

rządem, jego najgorszym obliczem: pazernym wierzyicielem, srogim rodzicem.

– Nienawidzą nas.

– Nienawidzą rządu, my jesteśmy tylko najwygodniejszym wcieleniem tego, czego nienawidzą. Rząd to naród, mniejsza o różne komplikacje, ale postanowiliśmy go odrzucić i udawać, że on to nie my; udajemy, że to jakiś groźny Obcy, który dybie na nasze swobody, zabiera nam pieniądze, by je rozdystrybuować, wyznaczyć ustawami granice naszej moralności w kwestiach prochów, aborcji, środowiska; Wielki Brat, Establishment...

– Mężczyzna.

– Przy czym zastanawia w tym wszystkim fakt, że nienawidzimy go za to, że wydaje się uzurpować dokładnie te obywatelskie role, które na niego scedowaliśmy.

– Odwracając mechanizm ojców założycieli, jakim było oddanie władzy politycznej obywatelom, a nie rządowi.

– Zgoda rządzonych.

– Ale to sięga dalej, a pojęcie wolności osobistej i apetytu, i moralnego mandatu, tak charakterystyczne dla lat sześćdziesiątych, ma z tym coś wspólnego, ale za diabła nie jestem w stanie powiedzieć co. Tylko tyle, że dzieje się coś dziwnego, jeśli chodzi o wychowanie obywatelskie i egoizm w tym kraju, a my tutaj, w Służbie, mamy okazję oglądać niektóre z najbardziej skrajnych tego przejawów. Obecnie my, obywatele, biznesmeni i konsumenci, i cała reszta, oczekujemy od rządu i prawa, że będą pełnić funkcję naszego sumienia.

– Czy aby nie w tym celu ustanawia się prawa?

– Masz na myśli nasze superego? *In loco parentis*?

– To ma coś wspólnego z liberalnym indywidualizmem i coś wspólnego z zawyżoną w Konstytucji oceną indywidualnej dzielności, a także coś wspólnego z kapitalizmem doby konsumpcyjnej...

– To dosyć niejasne.

– Owszem, to jest niejasne. Nie jestem politologiem. Za to konsekwencje tego stanu już nie są niejasne; materialna rzeczywistość tych konsekwencji to właśnie to, czym zajmujemy się w naszej pracy.

– Ale Służba działała już na długo przed dekadencją epoką lat sześćdziesiątych.

– Pozwól mu skończyć.

– Uważam, że Amerykanie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym to szaleńcy. Powariowali. Jakoś się cofnęli.

– Ten, cytuję, brak dyscypliny i poszanowania dla autorytetu, cechujący dekadencję lata siedemdziesiąte.

– Jeśli się nie zamkniesz, to wyniosę cię na dach windy i siedź tam sobie.

– Mogę brzmieć jak reakcjonista, wiem o tym. Ale wszyscy to odczuwamy. Zmienił się nasz sposób myślenia o sobie jako obywatelach. Już nie myślimy o sobie jako obywatelach w dawnym znaczeniu, wyobrażających sobie siebie jako małe cząstki czegoś większego i nieskończenie ważniejszego, wobec czego mają poważne zobowiązania. Za to nadal myślimy o sobie jako obywatelach w sensie beneficjentów; w istocie jesteśmy świadomi praw, które przysługują nam jako obywatelom USA, i obowiązków narodu wobec nas i dbamy o to, by każdy z nas dostał swój kawałek amerykańskiego ciasta. Obecnie myślimy o sobie jako o tych, co zjadają ciasto, nie o tych, którzy je pieką. Kto wobec tego piecze to ciasto?

– Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie...

– Korporacje pieką ciasto. One je pieką, a my zjadamy.

– W tym chyba, między innymi, przejawia się moja naiwność; że nie chcę wpisywać problemu w ramy polityczne, podczas gdy prawdopodobnie jest on polityczny z zasady. Coś ważnego wydarzyło się, kiedy na poziomie osobistym uznaliśmy, że to w porządku zrzec się indywidualnej odpowiedzialności za wspólne dobro i pozwolić, by martwił się nim rząd, abyśmy my w tym czasie mogli się zajmować własnymi indywidualnymi sprawami i walkami toczonymi we własnym interesie, i zaspokajać swe rozliczne apetyty.

– Częścią winy można na pewno obarczyć korporacje i przemysł reklamowy.

– Ja jednak jakoś nie myślę o korporacjach jako osobach. Korporacje to maszyny do przynoszenia zysków; tak je pomysłowo zaprojektowano. To śmieszne przypisywać korporacjom obywatelskie powinności czy moralne zobowiązania.

– Ale w tym cały mroczny geniusz korporacji, że dopuszcza indywidualny zysk bez indywidualnych zobowiązań. Pracownicy mają zobowiązania względem kierowników, kierownicy względem dyrektora, on z kolei odpowiada przed radą nadzorczą, a wreszcie rada nadzorcza przed akcjonariuszami, a więc tymi samymi klientami, których przy pierwszej nadarzającej się okazji korporacja wydyma, powołując się na zyski, które to zyski, w postaci dywidend, wypłaca nikomu innemu tylko tym akcjonariuszom, których korporacja dyma w ich własnym imieniu. To taka fuga spychanej odpowiedzialności.

– Pomijasz związki zawodowe, reprezentujące interesy pracowników, no i fundusze wspólnego inwestowania, a do tego wpływ polityki SEC względem cen akcji na podstawę opodatkowania.

– X, jesteś istnym geniuszem komentarzy bez związku. To nie są zajęcia seminaryjne. DeWitt próbuje nam pokazać sedno czegoś istotnego.

– Korporacje to nie obywatele czy sąsiedzi albo rodzice. Nie mogą głosować ani odbywać służby wojskowej. Nie uczą się na pamięć przysięgi na wierność fladze. Nie mają duszy. Są maszynami generującymi wpływy. Nie widzę tu problemu. Myślę, że jest czymś absurdalnym przypisywać im moralne czy obywatelskie obowiązki. Ich jedyne obowiązki są natury strategicznej, a chociaż ich struktury bywają bardzo skomplikowane, ostatecznie korporacje nie są podmiotami obywatelskimi. Jeśli chodzi o korporacje, to tu nie przeszkadza mi, że rząd egzekwuje ich wywiązywanie się ze statutów albo że polityka regulacyjna pełni u nich funkcję sumienia. Przeszkadza mi natomiast to, że my, jako obywatele, przyjęliśmy postawę właściwą korporacjom. Że ostatecznie odpowiadamy tylko przed sobą. Że jeśli coś nie jest nielegalne albo nie pociąga za sobą bezpośrednich przykrych konsekwencji dla nas, to jest okej.

– Coraz bardziej żałuję, że dałem się wciągnąć w tę rozmowę. To... lubisz może filmy?

– No pewnie.

– Żartujesz?

– Nic mnie tak nie cieszy jak perspektywa popołudnia, gdy za oknem deszcz, a ja siadam wygodnie przed ekranem z dobrym

filmem z magnetowidu.

– Przypuśćmy, że dowiedziono by istnienia korelacji między rosnącym poziomem przemocy w amerykańskich filmach a wzrostem częstotliwości popełnianych brutalnych przestępstw. Znaczący przypuśćmy, że statystyki nie tylko *wskazywałyby*, ale rzeczywiście *dowodziłyby ponad wszelką wątpliwość*, że rosnąca liczba brutalnych filmów z sugestywnie pokazaną przemocą, takich jak *Mechaniczna pomarańcza* czy *Ojciec chrzestny* albo *Egzorcysta*, pozostaje w związku przyczynowym z rzeczywistymi statystykami aktów rozmyślnego uszkodzenia ciała.

– Nie zapominajmy o *Dzikiem bandzie*. A *Mechaniczna pomarańcza* to brytyjska produkcja.

– Cicho bądź.

– Dobrze, ale zdefiniuj mi słowo „brutalny”. Czy nie jest tak, że ono może mieć bardzo różne znaczenie dla różnych osób?

– X, wywalę cię z tej windy, klnę się na Boga, że to zrobię.

– Czego oczekivalibyśmy od hollywoodzkich korporacji, które robią te filmy? Czy naprawdę żądalibyśmy, by zaczęły się przejmować wpływem swoich filmów na wzrost przemocy w kulturze? Możemy pobawić się w zatroskanych obywateli i wysyłać im niemiłe listy. Ale korporacje odpowiedzą, okrasivszy to PR-owskimi głodnymi kawałkami, że po to robią filmy, żeby zarabiać pieniądze dla swoich akcjonariuszy, i że mają najzwyczajniej gdzieś, co o ich produkcjach mówią jakieś statystyki, chyba że rząd zmusiłby je do ograniczenia brutalności.

– Co rozbiłoby się o pierwszą poprawkę, i to z hukiem.

– Nie wydaje mi się, żeby hollywoodzkie studia były własnością akcjonariuszy; sądzę, że ogromna większość z nich należy do spółek macierzystych.

– Albo, o, taka sytuacja. Powiedzmy, że zwykli widzowie przestaliby walić stadami do kin na ultrabrutalne filmy. Ludzie od filmów mogą zawsze powiedzieć, że nie robią nic innego niż to, po co stworzono korporacje: odpowiadają na popyt i zarabiają na tym tyle, na ile tylko prawo im pozwala.

– Nudzi mnie ta rozmowa.

– Czasami to, co ważne, jest nudne. Czasami tym czymś jest praca. Czasami tym, co ważne, nie jest twórczość dla twojej

rozrywki, X.

– O co mi chodzi... I przepraszam, X, bo gdybym miał większą wiedzę o tym, o czym mówiłem, mógłbym szybciej przejść do sedna, ale nie rozmawiam o tym na co dzień i raczej niespecjalnie byłem w stanie kiedykolwiek ubrać to w słowa, które trzymałyby się kupy; to wszystko przypomina zwykle bardziej tornado w głowie, kiedy jadę rano do pracy, myśląc o sprawach do załatwienia danego dnia. Z filmami chodzi mi tylko o jedną rzecz. Czy te statystyki spowodowałyby znaczne przerzedzenie w tłumach wybierających się na te ultradrastyczne filmy? Nie. I na tym polega szaleństwo. O to mi chodzi. A co byśmy robili? Psioczylibyśmy przy dystrybutorze z wodą na te cholerne bezduszne korporacje, które w dupie mają kondycję narodu i patrzą tylko, aby się nachapać. Część może napisała by artykuł do „Journal Star” albo nawet list do swojego kongresmena. Potrzebujemy ustawy. Uregulujcie to prawnie, powiedzielibyśmy. Ale niech przyjdzie sobota; wieczorem widzimy ich w kinie na jakimś pierwszym z brzegu brutalnym filmie, na jaki im i ich pani przyszła chęć.

– To tak, jakby oczekiwali od rządu, że ten wejdzie w rolę rodzica, który zabierze niebezpieczną zabawkę. A dopóki tego nie zrobi, będą się nią bawić w najlepsze. Bo to zabawka niebezpieczna dla *innych*.

– Nie uważają siebie za odpowiedzialnych.

– Myślę, że zmiana, która zaszła, polega na tym, że nie uważają już siebie za *osobiście* odpowiedzialnych. W ich przekonaniu osobisty zakup biletu na *Egzorcystę* nie jest właśnie tym, co napędza popyt, który każe maszynom korporacji wypuszczać kolejne i kolejne brutalne filmy, żeby ten popyt zaspokoić.

– Oczekują od rządu, że coś z tym zrobi.

– Albo od korporacji, że wyhodują sobie dusze.

– Ten przykład znacznie jaśniej pokazuje, co ma pan na myśli, panie Glendenning – powiedziałem.

– Nie jestem pewien, czy *Egzorcysta* to najlepszy przykład. *Egzorcysta* jest nie tyle brutalny ile odrażający. Za to *Ojciec chrzestny*, ten jest dopiero brutalny.

– Nigdy nie widziałem *Egzorcysty*, ponieważ Pani G. oświadczyła, że prędzej da sobie obciąć wszystkie palce u rąk i stóp tępymi

nożycami, niż pójdzie na taką szmirę. Ale słyszałem i czytałem, że to piekielnie brutalna rzecz.

– Myślę, że ten syndrom to bardziej syndrom niegłosowania, to myślenie typu „jestem-tak-mały-a-masa-wszystkich-innych-tak-wielka-że-jaką-to-robi-różnicę-co-ja-zrobię”, przez co zamiast pójść na głosowanie, zostają w domu i oglądają *Aniołki Charliego*.

– A później psioczą na swoich wybranych przywódców.

– Więc może to nie tyle poczucie braku odpowiedzialności u pojedynczego obywatela, ile poczucie, że jest tak mały, a rząd i reszta kraju są tak wielkie, że on nie ma żadnego rzeczywistego wpływu, i dlatego powinien zadbać o samego siebie najlepiej, jak potrafi.

– Już nie wspominając o tym, jak działają wielkie korporacje; że niby jak jeden gość, który nie kupi biletu na *Ojca chrzestnego*, jest w stanie wyrzucić presję na Paramount Pictures? Co oczywiście jest sranie w banię; to tylko sposób racjonalizowania sobie niewzięcia odpowiedzialności za tę małą część wpływu na kierunek, w którym zmierza kraj.

– To wszystko się w tym zawiera, tak sędzę. I trudno mi stwierdzić, gdzie jest różnica. I pilnuję się, żeby nie wyjść na starego pierdziela, mówiąc, że ludziom brak dziś postawy obywatelskiej, jaką pamiętam ze starych dobrych czasów, i że kraj schodzi na psy. Ale wygląda na to, że obywatele, obojętnie, czy w kwestii podatków, czy śmiecenia, wszystko jedno, rzeczywiście wtedy czuli się częścią Wszystkiego, czuli, że muszą chwycić swój kawałek liny, że muszą pchać swój wózek i wierzyć, że to, co robią, ma jakieś znaczenie, takie samo jak to, co robią Wszyscy Inni, jeśli ten kraj ma pozostać miejscem do życia.

– Obywatel czuje się wyalienowany. Ja sam jeden przeciw wszystkim innym.

– „Alienacja” to jedno z tych wielkich słów, które zawdzięczamy latom sześćdziesiątym.

– Tylko jak to wyalienowane, małe, samolubne „to niczego nie zmieni” zrodziło się w latach sześćdziesiątych, skoro jeśli było w nich coś dobrego, to właśnie to, jak nam pokazały, że podobnie myślący obywatele są w stanie myśleć samodzielnie, a nie po prostu łykać to, co mówi establishment, i że są w stanie się zjednoczyć

i maszerować, i agitować na rzecz zmiany, i że prawdziwa zmiana jest możliwa; wycofujemy się z Wietnamu, mamy państwo opiekuńcze i Civil Rights Act, i ruch kobiecy?

– To dlatego, że korporacje weszły do gry i sprowadziły wszystkie autentyczne zasady i dążenia, i ideologie do zestawu mód i postaw; doprowadziły do tego, że Bunt stał się modną pozą, a nie prawdziwą siłą.

– Okropnie łatwo jest obwiniać korporacje, X.

– A czy sam termin „korporacja” nie pochodzi od *ciała*, coś na kształt „przekształcone w ciało”. Stworzono sztucznych ludzi. Która to poprawka, chyba czternasta, przyznała korporacjom wszystkie prawa i obowiązki obywateli?

– Nie, czternastą poprawkę wprowadzono jako instrument Rekonstrukcji i chodziło w niej o nadanie pełnego obywatelstwa wyzwolonym niewolnikom, a tylko jakiś korporacyjny cwaniak przekonał Sąd Najwyższy, że korporacje spełniają kryteria czternastej poprawki.

– Mówimy o korporacjach typu C, tak?

– Ale naprawdę... nie ma nawet jasności, ilekroć pada słowo „korporacja”, czy mówimy o spółkach C czy S, czy o LLC, stowarzyszeniach firm, a jeszcze mamy korporacje zamknięte i publiczne plus te pseudokorporacje, które faktycznie są zwykłymi spółkami komandytowymi nafaszerowanymi długami bez prawa regresu, żeby generować straty na papierze, które zwyczajnie pasożytują na systemie podatkowym.

– Do tego korpo C przynoszą nam dochód dzięki podwójnemu opodatkowaniu, więc trudno by je było uznać za samo zło w sferze wpływów z podatków.

– X, posyłam ci spojrzenie wyrażające całkowitą pogardę i drwinę; co ty sobie wyobrażasz, że czym my się tu zajmujemy, co?

– Już nie wspominając o funduszach powierniczych, które działają prawie identycznie jak korporacje. No i są jeszcze franczyzy, fundusze inwestycyjne, fundacje non profit, powołane jako instrumenty korporacyjne.

– To wszystko nie ma nic do rzeczy. I na dobrą sprawę wcale nie mówię tu o tym, co tu robimy, chyba że w tym sensie, w jakim pozwala nam to oglądać z bliska postawy obywateli, bo trudno o coś

bardziej miarodajnego niż zapłacenie podatku, co, jakkolwiek by było, wiąże się z oddaniem twoich pieniędzy, podczas gdy zobowiązania względem ciebie i twoje przyszłe zyski z tytułu zwrotu tego podatku są abstrakcją, na tym poziomie abstrakcji co naród i jego rząd, i dobro ogółu, stąd stosunek do płacenia podatków jest chyba takim polem, na którym czyjaś postawa obywatelska objawia się tak jaskrawo, że bardziej się chyba nie da.

– Czy to jednak nie trzynastą poprawkę wykorzystali czarni i korporacje?

– Panie G., niech mi pan pozwoli go stąd wyrzucić, błagam pana.

– Proszę, tu jeszcze coś, co nie bez racji można nam zarzucić. W latach trzydziestych i czterdziestych dziewiętnastego wieku poszczególne stany zaczęły wydawać certyfikaty co większym i bardziej sformalizowanym spółkom. I właśnie w tysiąc osiemset czterdziestym czy czterdziestym pierwszym de Tocqueville ogłosił drukiem swoją książkę o Amerykanach, i w niej w którymś miejscu zauważa, że demokracje i ich indywidualizm mają to do siebie, że z samej swej natury powodują u obywatela erozję poczucia prawdziwej wspólnoty, poczucia, że ma rzeczywistych, prawdziwych współobywateli, których zainteresowania i obawy są takie same jak jego. To dość upiorna ironia, jeśli się chwilę zastanowić, jako że forma rządów stworzona w celu zaprowadzenia równości czyni posługujących się nią obywateli indywidualistycznymi i skupionymi na sobie, tak że koniec końców zmieniają się w solipsystów, narcyzów, którzy nie widzą dalej niż czubek własnego nosa.

– De Tocqueville mówi też o kapitalizmie i rynkach, które towarzyszą demokracji, nie odstępując jej praktycznie na krok.

– To raczej nie jest to, o czym chciałem dyskutować. Obwinianie korporacji przychodzi nam łatwo. DeWittowi chodzi o to, że jeśli uważasz, że korporacje są złe i zadaniem rządu jest je umoralnić, to sam uciekasz od własnej odpowiedzialności obywatelskiej. Wtedy traktujesz rząd jak swojego starszego brata, a korporację jak znęcającego się nad słabszymi sadystę, na którego twój starszy brat ma być straszakiem.

– Według de Tocqueville'a cechą charakteru obywatela demokratycznego państwa jest być jak liść, który nie wierzy

w istnienie drzewa, którego sam jest częścią.

– Zastanawiająca, choć raczej w dość przygnębiający sposób, jest ta cicha hipokryzja: oto ja, obywatel, będę kupował wielkie paliwożerne gabloty, które zabijają drzewa, a do tego bilety na *Egzorcystę* tak długo, jak rząd nie ustanowi odpowiedniego prawa, za to kiedy już je ustanowi, będę gadał o Wielkim Bracie i o tym, że rząd powinien dać nam żyć.

– Popatrz sobie na przykład na statystyki oszustw w zeznaniach i odsetek odwołań po audytach.

– To bardziej tak, jakbym domagał się prawa, które wypalania hektolitrów benzyny i chodzenia na *Dziką bandę* zabroni *tobie*, ale *mnie* już nie.

– Już słychać te wszystkie „Nie w moim ogródku”.

– Kobieta ginie zadżgana nad rzeką, jej krzyki słychać z każdego domu przy ulicy, nikt nie wytknie choćby nosa za drzwi.

– Nie angażować się.

– Coś się porobiło z ludźmi.

– Mówią: „Te cholerne koncerty tytoniowe” i dalej palą w najlepsze.

– To nie fair zbywać wszelkie zarzuty pod adresem roli korporacji w tym uwiadzie postawy obywatelskiej, uznając każdy taki głos za stadny odruch demonizowania wielkich przedsiębiorstw. Korporacyjny program maksymalizacji zysków poprzez generowanie popytu i próby uczynienia go sztywnym może odgrywać rolę katalizatora w syndromie, który pan Glendenning usiłuje nam tu nakreślić, dzięki czemu zainteresowany nie jawi się jako diabeł czy ktoś pragnący dominacji nad światem.

– Zdaje się, że Nichols ma tu znowu do wtrącenia swoje jakże cenne trzy grosze.

– Myślę, że chce nam coś powiedzieć.

– Bo wydaje mi się, że to coś więcej niż polityka, niż wychowanie obywatelskie.

– Ja w każdym razie cię słucham, Stuart.

– Nawet nie jak liście na drzewie, ale raczej na ziemi, przeganiane wiatrem raz wte, raz wewte, a za każdym razem, gdy wiatr zawieje, obywatel myśli sobie: „Teraz polecę w tę stronę; to moja decyzja”.

– Przy czym wiatrem jest korporacyjna zmosfera Nicholasa.

– To niemal coś jakby bardziej kwestia ze świata metafizyki.

– Wio, koniku!

– Hej, ho!

– Powiedzmy, że żyjemy w pewnym społeczno-gospodarczym okresie przejściowym pomiędzy erą demokracji doby industrialnej a fazą, która następuje po niej, przy czym w demokracjach industrialnych chodziło o produkcję i stan gospodarki zależał od ciągłego zwiększania produkcji, sama demokracja zaś była polem rozgrywki między zapotrzebowaniem przemysłu na ustawodawstwo sprzyjające produkcji a potrzebą obywateli, by korzystać z owoców produkcji, ale mieć też zapewnioną ochronę podstawowych praw przed tępym naciskiem na produkcję i profity ze strony przemysłu.

– Nie wiem, co ma do tego metafizyka, Nichols.

– Może nie chodzi o metafizykę. Może chodzi o coś egzystencjalnego. Mam na myśli głęboki strach jednostkowego amerykańskiego obywatela, ten sam pierwotny strach, który odczuwamy ja i ty i który odczuwa każdy, tyle że nikt o tym nie mówi, poza egzystencjalistami za pomocą zawilej francuskiej prozy. Albo z wyjątkiem Pascala. Nasza małość, nasza znikomość i śmiertelność, twoja i moja, to, o czym staramy się przez cały czas nie myśleć wprost, że jesteśmy mali i zdani na łaskę wielkich sił, że czas ciągle upływa i że z każdym mijającym dniem tracimy kolejny dzień, który nigdy nie wróci, że skończyło się dzieciństwo, że nastoletniość za nami i prężna młodość, a wkrótce także dorosłość, że wszystko, na co patrzymy, rozkłada się i przemija, to wszystko przemija, i my tak samo, tak samo ja, a biorąc pod uwagę, jak szybko przeleciały mi pierwsze czterdzieści dwa lata, niedługo potrwa, nim ja też przeminę, że posłużę się słowem, które ktoś uznał kiedyś za oddające ten sens lepiej niż „umrzeć”, przeminąć; wystarczy, że to usłyszę, a momentalnie czuję się jak o zmierzchu jakiejś zimowej niedzieli...

– Ktoś ma zegarek? Ile tu już jesteśmy, trzy godziny?

– I jakby tego było mało, także każdy, kto mnie znał albo chociaż wie o moim istnieniu, umrze; i jeszcze wszyscy, którzy znają tych ludzi i mogliby wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kiedyś o mnie słyszeć, umrą, no i tak dalej, a nagrobki i pomniki, na które wydajemy pieniądze po to, żeby nie ulec zapomnieniu, przetrwają

ile: sto? dwieście lat? po czym się rozsypią, a trawa i insekty, które będą odżywiać się moim rozkładem, zginą, i ich potomstwo, a jeżeli zostaną skremowany, drzewa nawiezione moim popiołem rozrzuconym na wietrze umrą albo zostaną ścięte i spróchnieją, i nim miną jakieś trzy czy cztery pokolenia, będzie tak, jakbym nigdy nie istniał, nie tylko przeminę, ale do tego będzie tak, jak gdyby mnie nigdy nie było, i ludzie w takim dwa tysiące sto czwartym czy kiedyś nie poświęcą więcej myśli Stuartowi A. Nicholowskiemu Juniorowi, niż wy czy ja poświęcamy Johnowi T. Smithowi, tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt–tysiąc osiemset sześćdziesiąt cztery, pochodzącemu z Livingstone w Wirginii, czy innemu takiemu. Ze wszystko płonie, powoli płonie, a my wszyscy jesteśmy o mniej niż milion oddechów od niepamięci bardziej totalnej, niż jesteśmy to sobie w stanie choćby spróbować wyobrazić, i właściwie chyba stąd się bierze ta maniakalna amerykańska obsesja produkcji, produkujemy, produkujemy, wpływamy na świat, przyczyniamy się, kształtujemy – po to, żeby odwrócić uwagę od tego, że jesteśmy zupełnie nic nieznaczący i przemijalni.

– I to ma być to odkrycie. Z ostatniej chwili: wszyscy umrzemy.

– Jak ci się wydaje, dlaczego ludzie kupują ubezpieczenia?

– Dajcie mu skończyć.

– To już nie jest zwyczajnie nudne, to już jest przygnębiające.

– Kapitalista doby postprodukcyjnej ma coś wspólnego ze śmiercią edukacji obywatelskiej. Ale podobnie lęk przed znikomością i śmiercią, i tym, że wszystko płonie.

– Wyczuwam tu Rousseau gdzieś u podstawy, na podobnej zasadzie jak to, co wcześniej mówiłeś o de Tocqueville’u.

– I jak zwykle DeWitt jest kilka kroków przede mną. Możliwe, że to ma swoje początki już u Rousseau i w *Magna Carta*, i w Rewolucji Francuskiej. Ten akcent kładziony na indywidualność jednostek i na prawa, i uprawnienia jednostek, nie na ich obowiązki. Ale korporacje i marketing, i PR, i kreowanie pragnienia i potrzeb, którym się karmi szaleńcza produkcja, to, w jaki sposób współczesna reklama i marketing uwodzą jednostkę, schlebiając wszystkim jej drobnym urojeniom, za pomocą których odpychamy od siebie grozę osobistej znikomości i przemijalności, co pozwala się łudzić, że

jednostka jest centrum wszechświata, tym, co najważniejsze; mam na myśli jednostkę, małego człowieka przed telewizorem czy słuchającego radia, czy przerzucającego strony kolorowego magazynu albo spoglądającego na billboard, czy robiącego coś z miliona innych rzeczy, za pośrednictwem których obcuje z wielką błagą Burson-Marsteller'a czy Saachi & Saachi obliczoną na wmawianie mu, że to on jest drzewem, że w pierwszej kolejności jest odpowiedzialny za własne szczęście, że wszyscy inni są wielką abstrakcyjną szarą masą, od której odróżnianie się decyduje o jego życiu, o tym, że jest jednostką, o jego *szczęściu*.

– Robić swoje.

– To twoja para kaloszy.

– Zrzucenie kajdan autorytaryzmu i konformizmu, autorytarne konformizmu.

– Obawiam się, że wkrótce będę musiał do kibla.

– No to już bliższe sześćdziesiątkom niż Rewolucji Francuskiej, bracie, jak coś.

– Ale, o ile nadażam za DeWittem, sednem był ten moment w latach sześćdziesiątych, kiedy bunt przeciwko konformizmowi stał się modny, stał się pozą, sposobem na to, żeby być *cool* w oczach ludzi z twojego pokolenia, na których chciałeś zrobić wrażenie i których akceptacji szukałeś.

– O zaliczeniu nie wspominając.– Ponieważ z chwilą, kiedy to staje się nie po prostu pewną postawą, ale postawą modną, wówczas korporacje i ich agencje reklamy przystępują do dzieła i zaczynają ją wzmacniać i uwodzić ludzi za jej pomocą, żeby ci kupowali rzeczy, które korporacje produkują.

– Pierwszy był Seven Up z psychodelią rodem z *Sierżanta Pieprza* i dzieciakami w bokobrodach mówiącymi „the Uncola”.

– Ale czekaj. Rebelia lat sześćdziesiątych na wiele sposobów zwracała się przeciwko korporacji i kompleksowi industrialno-militarnemu.

– Gościowi w szarej flaneli.

– O co w ogóle chodzi z tą szarą flanelą? Czy ktoś widział kiedyś kogoś w szarej flaneli?

– Jedyna flanela u mnie to piżama, koleś.

– Czy pan Glendenning jest w ogóle przytomny?

- Wygląda sakramencko blado.
- Każdy wygląda blado w ciemności, koleś.
- No bo czy istnieje pełniejszy symbol konformizmu i marszu noga w nogę niż korporacja? Linie produkcyjne i odbijanie karty, i pięcie się po drabinie aż do biura w rogu? Robiłeś audyty w Rayburn-Thrapp, Gaines. Tym gościom nie wolno się nawet podetrzeć, jeśli nie ma tego w rozporządzeniu.
- Ale nie rozmawiamy o wewnętrznych realiach korporacji. Rozmawiamy o twarzy i głosie, którymi w latach sześćdziesiątych zaczynają się posługiwać korporacyjni spece od reklamy, żeby przekonać klienta, że potrzebuje całego tego majdanu. Zaczynają mówić o przywiązaniu psychiki klienta do konformizmu i że sposobem na wyrwanie się spod władzy konformizmu jest nie *robienie* pewnych rzeczy, ale *kupowanie* pewnych towarów. Kupowanie ubrań czy napojów gazowanych, czy samochodów, czy krawata pewnej marki ma urastać do rangi gestu o tej samej wadze ideologicznej co noszenie brody czy protestowanie przeciwko wojnie.
- Virginia Slims i feministki.
- Alka-Seltzer.
- Zdaje się, że gdzieś mi umknął ten związek z „wkrótce umrę”.
- Wydaje mi się, że Stuart pokazuje nam przejście od modelu produkcyjnego amerykańskiej demokracji do czegoś bardziej w stylu modelu konsumpcyjnego, w którym podejście zespołowe korporacyjnej produkcji wyparł jednoosobowy biznes, jakim jest bycie konsumentem. Że przestajemy być obywatelami, którzy coś produkują, i zamieniamy się w obywateli konsumujących.
- Tylko poczekajcie szesnaście kwartałów do osiemdziesiątego czwartego. Tylko poczekajcie, jak ruszy zalew reklam i PR-u, które promują taki czy owaki produkt jako sposób ucieczki od szarych totalitarystycznych realiów orwellowskiej współczesności roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego.
- Jak kupno tego, a nie innego modelu maszyny do pisania ma się przysłużyć sabotowaniu kontroli sprawowanej przez rząd?
- Za kilka lat nie będzie rządu, nie rozumiesz tego?
- Nie będzie też maszyn do pisania. Wszyscy będą mieli klawiatury podpięte do jakiegoś centralnego waksu, tak że nie

trzeba będzie nic drukować.

– Biuro bez makulatury.

– Przez co nasz Stu stanie się zbędny.

– Nie, nie dostrzegacie, jaki w tym tkwi geniusz. Wszystko będzie się rozgrywać w świecie wizerunków. Będziemy mieli w polityce jakiś niewiarygodny konsensus, że musimy się wyswobodzić z ograniczeń krępujących naszą wolność i z obowiązku przystawania do reszty, z martwego fluorescencyjnego świata biur i bilansów, z obowiązku noszenia krawatów i słuchania muzaku, ale korporacje zdołają przedstawić schematy konsumpcji jako sposób na wyzwolenie: używaj takiego kalkulatora, słuchaj takiej muzyki, noś takie buty, ponieważ wszyscy inni noszą konformistyczne buty. To będzie taka era niewiarygodnego dostatku i konformizmu, i demografii mas, w której wszelkie symbole i retoryka będą przywoływać obrazy rewolucji i kryzysu oraz śmiałych, spoglądających przed siebie jednostek, odważających się maszerować w takt własnego wewnętrznego werbla, sprzymierzywszy się z markami, które inwestują miliony w zbuntowany wizerunek. Taka zmasowana PR-owa kampania opiewająca indywidualność ugruntuje rentowność gigantycznych rynków ufundowanych na ludziach, których wrodzone przekonanie, że są jedyni, bezkonkurencyjni, że nie są stadni, będzie mile łechtane na każdym kroku.

– Ale jaka jest rola rządu w tym scenariuszu na tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty?

– Taka, jak powiedział DeWitt: rząd będzie rodzicem, z całym ambiwalentnym inwentarzem miłości i nienawiści, potrzeby i buntu, jaki otacza figurę rodzica w umyśle nastolatka, bo przy tej okazji pozwolę sobie nie zgodzić się z DeWittem pod tym względem, że uważam, że nasz naród dzisiaj jest nie tyle dziecinny, ile nastoletni, czyli ambiwalentny w swojej tęsknocie za autorytarną strukturą z jednej strony a kresem rodzicielskiej hegemonii z drugiej.

– Będziemy glinami, po które dzwonią, kiedy impreza wymyka się spod kontroli.

– Widzicie, dokąd to zmierza. Ta niesamowita polityczna apatia po Watergate i Wietnamie i instytucjonalizacja oddolnego buntu mniejszości tylko się pogłębią. Polityka polega na konsensusie,

a reklamowe dziedzictwo lat sześćdziesiątych ukazuje konsensus jako formę represji. Chodzenie na wybory będzie niemodne, Amerykanie głosują dziś portfelami. Jedyna rola, jaką w kulturze będzie odgrywał rząd, to rola rodzica tyrana, którego wszyscy nienawidzimy i potrzebujemy. Tylko czekać, aż wybierzemy kogoś, kto zdoła upozować się na Buntownika, może nawet kowboja, ale o kim ostatecznie wiemy, że jest zwierzęciem biurokratycznym, kto będzie działał wewnątrz maszyny rządu, zamiast naiwnie rozbijać się o niego głową, jak to robi biedny Jimmy już czwarty rok z rządu.

– Carter uosabia zatem ostatnie tchnienie idealizmu lat sześćdziesiątych w stylu New Frontier. W psychice wyborców jego oczywista przyzwoitość i polityczna impotencja zlały się w jedno.

– Tylko czekać na kandydata, który będzie w stanie zrobić z elektoratem to samo, czego uczą się korporacje, tak że Rząd, albo lepiej: Wielki Rząd, Wielki Brat, Inwazyjny Rząd, stanie się wizerunkiem, w opozycji do którego nasz kandydat będzie się definiował. Choć paradoksalnie, żeby ta persona cokolwiek mogła, musi być bestią z rządu, Insajderem, ze świtą biurokratów i wykonawców, którym nie zadrzy powieka. No i oczywiście z potężną kampanią dzięki uprzejmości zgadnijcie kogo.

– Jesteśmy naprawdę baaardzo daleko od tego, co chciałem wam przedstawić jako mój pogląd na stosunek podatników do rządu.

– To charakteryzuje Reagana nawet lepiej niż Busha.

– Symbolizm Reagana jest zbyt śmiały. To tylko moja opinia. Oczywiście dla Służby cudowne w potencjalnej prezydenturze Reagana jest to, że on oficjalnie opowiada się przeciwko podatkom. Otwarcie, bez kręcenia. Żadnego podwyższania stawek; w New Hampshire miał autentycznie powiedzieć, że chce obniżenia stóp w przedziałach krańcowych.

– To ma być dobre dla Służby? Kolejny polityk zbija kapitał na rozwalaniu systemu podatkowego?

– Gdyby mnie ktoś zapytał: widzę mandat dla administracji Bush-Reagan. Reagan odpowiedzialny za symbolizm, taki Kowboj, a Bush, spokojny człowiek systemu, od mało seksownej roboty, jaką jest faktyczne zarządzanie.

– Nie mówiąc już o jego retoryce zwiększenia finansowania obronności. Niby jak pogodzić obniżenie stóp krańcowych

z większymi wydatkami na obronność?

– Nawet dziecko dostrzegłoby w tym sprzeczność.

– Stuart mówi, że to dobre dla Służby, ponieważ obniżenie stóp krańcowych i jednocześnie zwiększenie wydatków jest możliwe tylko pod warunkiem podniesienia wydajności egzekucji należności.

– Co oznacza, że dostajemy wolną rękę. Że w Służbie wzrastają płace.

– Ale także cichą redukcję ograniczeń naszych mechanizmów kontroli i egzekucji. Reagan obsadzi nas w roli pazernego Wielkiego Brata w czarnym kapeluszu, który jest mu potrzebny. To my, księgowi o ściągniętych wargach, w nijakich garniturach i grubych okularach, naciskający klawisze sumatorów, stajemy się Rządem: władzą, której wszyscy nienawidzą. A tymczasem Reagan potraja Służbie budżet i nie na żarty stawia na technologię i efektywność. Dla Służby to będzie najlepszy czas od czterdziestego piątego.

– Co jednocześnie wzmoże nienawiść obywateli do Służby.

– Co paradoksalnie będzie Reaganowi potrzebne. Bardziej agresywne podejście Służby do podatników, zwłaszcza przy odpowiednim nagłośnieniu w mediach, podtrzymałoby w umysłach elektoratu wizerunek Wielkiego Rządu, wobec którego Prezydent Buntownik z Zewnątrz mógłby ustawiać się w ciągłej opozycji i który mógłby potępiać jako rządową ingerencję w życie prywatne i portfele ciężko pracujących Amerykanów, ingerencję z gatunku właśnie tych, dla walki z którymi ubiegał się o urząd.

– Twierdzisz, że następny prezydent będzie w stanie ustawiać się w *ciągłej* opozycji jako Outsider i Renegat, mieszkając w Białym Domu?

– Nie doceniasz zapotrzebowania podatnika na kłamstwo, na powierzchowną retorykę, którą do woli mogą sobie nucić, podczas gdy głęboko w środku mogą być spokojni, że Tatuś ma wszystko pod kontrolą i wszyscy są bezpieczni. To samo robią nastolatki, obnosząc się z buntem przeciw rodzicielskiej władzy, jednocześnie pożyczając od Tatusia samochód i płacąc jego kartą za benzynę. Nowy lider nie będzie okłamywał obywateli; robi to, co, jak pokazali korporacyjni pionierzy, sprawdza się dużo lepiej: przyjmie taki kostium i retorykę, które pozwolą ludziom okłamywać samych siebie.

– Wróćmy na chwilę do tego, jak Bush albo Reagan potroją budżet Służby, co? Czy na poziomie regionu to dla nas korzystne? Co to oznacza dla takiej Peorii czy takiego Creve Coeur?

– Oczywiście cudowna podwójna ironia, jaką przynosi nam kandydat spod znaku Ograniczyć Rząd, polega na tym, że finansują go korporacje będące właśnie tymi plecami, z których rząd najchętniej zdziera skórę. Jak zauważył DeWitt, to korporacje, których mózdków wielkości orzeszka nie rozjarza nic poza zyskiem netto i ekspansją. W głębi duszy oczekujemy od rządu, że ograniczy ich wpływy, ponieważ sami nie dysponujemy aparatem, który by nam pozwolił opierać się ich konsumpcyjnym pokusom samą siłą charakteru; cieszą się uznaniem w oczach fałszywego buntownika ze względu na ich współczesną retorykę, która da Bushowi-Reaganowi zwycięstwo, a przecież to one skorzystają niepomniernie na leseferskiej deregulacji, którą Bush-Reagan będzie w stanie opchnąć elektoratowi, pozwalając mu wierzyć, że zainicjowano ją w jego własnym populistycznym interesie; innymi słowy, za prezydenta będziemy mieli symbolicznego Buntownika przeciwko sprawowanej przez niego samego władzy, którego wybór opłaciły nieludzkie, bezduszne maszyny do robienia pieniędzy, których panowanie nad społecznym i duchowym życiem Ameryki przekona Amerykanów, że bunt przeciw bezdusznej nieludzkości skorporacjonalizowanej egzystencji sprowadza się do kupowania od korporacji tych produktów, które najlepiej pokazują skorporacjonalizowany świat jako pusty i bezduszny. Będziemy mieli tyranie konformistycznego nonkonformizmu, pod przewodnictwem symbolicznego outsidera, którego do władzy wyniosło nasze głębokie przekonanie, że jego publiczny wizerunek to wierutna bzdura. Rządy wizerunku, który dlatego że tak pusty, napawa wszystkich przerażeniem; przecież są mali i w końcu umrą...

– Chryste Panie, ten znowu o śmierci.

– ...a ich przerażenie na myśl o tym, że mogliby być, jak gdyby nigdy nie istnieli, czyni ich o tyleż bardziej podatnymi na ontologiczny syreni śpiew na korporacyjną nutę gestaltu „kup-by-się-wyróżnić-i-w-ten-sposób-istnieć”.

§20

Tę spokojną, miłą rodzinę dwa domy od Lotwisa (obecnie na emeryturze po trzydziestu latach pracy w Okręgowym Rejestrze Aktów Prawnych) i jego żony zastąpiła samotna kobieta, o której historii i profesji nic nie było wiadomo, posiadaczka dwóch robiących sporo hałasu dużych psów. Nic w tym złego. Lotwis sam miał psa, który czasem czekał, podobnie jak psy innych ludzi w okolicy. Okolica była jedną z tych, gdzie psy ujadają za ogrodzeniami, a ludzie nieraz palą śmieci albo trzymają wraki aut u siebie na podwórku. Była teraz zaklasyfikowana jako półwiejska, chociaż za Eisenhowera, a także za Kennedy'ego i jeszcze za Johnsona figurowała w rejestrach jako osiedle drugiej klasy, a więc klasy deweloperskiej, w istocie pierwsze takie zarejestrowane osiedle w mieście. Szczęście mu nie sprzyjało, bo nie awansowało do rangi ekskluzywnych, co pozwoliłoby mu rosnąć dalej, jak to było w przypadku Hawthorne 1 i 2 czy Yankee Ridge, które zbudowano w latach siedemdziesiątych na przejętych przez miasto terenach wiejskich dalej na wschód. Składało się z dwudziestu ośmiu domów przy dwu przecinających się asfaltowych ulicach i takim pozostało, a południowa część miasta, która ciągnęła się w jego kierunku, nie była bynajmniej ekskluzywna; tworzył ją lekki przemysł i jakieś magazyny oraz firmy zbożowe, a jedyną zabudowę mieszkaniową, w znaczeniu jakichś podstawowych warunków mieszkalnych, stanowiło jedno duże i jedno małe osiedle przyczep, które przytulały się do starego przedmieścia odpowiednio od północy i zachodu; na południe od niego była autostrada i porządny kawał pól uprawnych ciągnący się aż do niewielkiego, przyjemnego Funk's Grove, położonego o trzynaście mil na południe, przy drodze nr 51. No i tak. W zasięgu wzroku Lotwisa, jeżeli wyszedłszy akurat na dach, uwijał się przy rynnach czy filtrze na komin, znajdowały się zakład złomowania samochodów, a także Wyroby Masarskie Hurtem i Specjalnie Dedykowane Southtown, czyli mówiąc mniej wyrafinowanym językiem – rzeźnie. Ale ludzie, którzy tu mieszkali,

a którzy pod okiem Lotwisów stopniowo się tu sprowadzali, tworząc tę wspólnotę sąsiedzką, byli ludźmi o niezależnym usposobieniu, gotowymi mieszkać w pobliżu osiedli przyczep i ubojni i otrzymywać pocztę od wiejskiego listonosza, który doręcza przesyłki własnym samochodem, wychylając się przez okno, żeby dosięgnąć skrzynek przy ulicy, w zamian za korzyści z zamieszkiwania w strefie drugiej klasy, bez ciasno upchanych domów i pełnych podpunktów rozporządzeń, w których mowa o paleniu śmieci czy odprowadzaniu brudnej wody z pralki do rynsztoka, czy o energicznych psach, które ujadają po nocach jak burza, bo traktują pilnowanie serio.

– Cieszę się, że mi to mówisz – odparła. Miała na imię Toni; przedstawiła się, kiedy zapukał do drzwi. – Teraz już wiem. Jeśli tym psom coś się stanie... Jeśli uciekną albo zaczną kuleć, cokolwiek, zabiję cię, twoją rodzinę, spalę wasz dom, a zgłiszcza zaorzę i posypię solą. Żyję wyłącznie dla tych psów. Jeśli będą miały ochotę sobie pobiegać, to tak zrobią. Jak ci się nie podoba, przyjdź i mi to powiedz. Ale jeżeli coś im się stanie, to winą obarczę cię i poświęcę życie i wolność, żeby zniszczyć cię i wszystkich, których kochasz.

Tak że Lotwis zostawił ją w spokoju.

§21

Przecierając oczy w geście sygnalizującym znużenie:

– Powiem bez owijania w bawełnę. Przy dwustu osiemnastu tysiącach dolarów dochodu brutto w Tabeli C pańskiego zeznania wykazuje pan netto trzydzieści siedem tysięcy dolarów.

– Wszystko jest udokumentowane. Dostarczyłem wszelkie kwity i druki W-2.

– Tak, W-2. Mamy sto siedemdziesiąt pięć tysięcy czterysta siedemdziesiąt jeden dolarów na W-2 za szesnaścioro pracowników: analityków, personelu pomocniczego, konsultantów.

– Wszystko tam jest. Macie kopie ich zeznań rocznych.

– Tyle że co mnie w nich uderza, to że wszyscy są w koszmarnie niskich przedziałach siatki płac. Koszmarnie nisko opłacani. Dlaczego nie ma czterech czy pięciu wysoko opłacanych?

– Logistyka mojej firmy jest złożona. Znaczna część pracy jest niskopłatna, za to czasochłonna.

– Tyle że akurat odwiedziłem jedną z pana analityczek, niejaką Thelmę Purler.

– Uhm.

– W Centrum Opieki Oakhaven, gdzie zamieszkuje.

– Uhm.

– Po którym porusza się na wózku inwalidzkim i musiała przykładać do ucha jedną z tych staroświeckich trąbek, żeby w ogóle usłyszeć pytania, a jej odpowiedź na nie brzmiała, chwileczkę... – przeszukując notatki – „Błeee, błee, pflle, błeeee”.

– Ja, mhm, no...

Wyłączając dyktafon, w którym nie ma kasety:

– Tak więc mamy do czynienia z potencjalnym oszustwem podatkowym, którym nie zajmuje się mój pion, tylko CID. Moglibyśmy odwiedzić, czy raczej odkopać, resztę pracowników. Pójdzie pan do więzienia. Powiem panu, co możemy zrobić. Ma pan godzinę na wypełnienie korekty do formularza 1040 za zeszły rok. Na którym pomija pan odliczenia z tytułu wynagrodzeń dla

pracowników. Płaci pan właściwą należną kwotę podatku, łącznie z karami za niedopłatę i spóźnienie. Następnie udaje się pan z pracownikiem tego pionu do pańskiego banku, gdzie wypisują nam czek kasowy na całość. Wówczas ja niszcę pańskie pierwotne zeznanie i Wydział Ścigania Przestępstw Podatkowych nie zostaje zawiadomiony.

§22

Nie jestem pewien, czy w ogóle wiem, co powiedzieć. Szczerze mówiąc, w znacznej mierze już tego nie pamiętam. Zdaje się, że moja pamięć nie działa już tak samo jak kiedyś. Możliwe, że tego typu praca zmienia człowieka. Nawet rutynowe kontrole. Pewnie faktycznie mogą pozmieniać coś w mózgu. Przeważnie czuję się teraz tak, jakbym był uwięziony w teraźniejszości. Gdybym skosztował napoju Tang, niczego bym sobie nie przypomniał, po prostu czułbym smak napoju Tang.

Z tego, co zrozumiałem, chcecie, żebym powiedział, skąd się wzięłem w tej pracy. Skąd przychodzę, że się tak wyrażę, i czym jest dla mnie Służba.

Myślę, że tak naprawdę byłem nihilistą w najgorszym wydaniu – takim, który nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest nihilistą. Byłem jak strzęp papieru na ulicy przeganiany wiatrem, który myśli sobie: „To teraz może polecę w tę stronę, a teraz może by w tamtą”. Moja odpowiedź na wszystko brzmiała „wszystko jedno”.

Zwłaszcza po szkole średniej, kiedy przez kilka lat dryfowałem od koledżu do koledżu, przewijając się w sumie przez trzy, z czego przez jeden dwukrotnie, a także studiując cztery albo pięć przedmiotów kierunkowych. Być może jeden z nich był dodatkowy. Na dobrą sprawę bimbałem sobie. W gruncie rzeczy brakowało mi motywacji, którą mój ojciec zwykł nazywać „inicjatywą”. Pamiętam też, że w tamtym czasie wszystko było niezwykle mętne i abstrakcyjne. Chodziłem na mnóstwo przedmiotów z psychologii i nauk politycznych, także z literatury. Przedmiotów, na których wszystko było mętne i abstrakcyjne, i zależne od interpretacji, a te interpretacje zależały z kolei od jeszcze innych interpretacji. Zwykle pisałem swoje prace na maszynie tego samego dnia, kiedy należało je oddać, i zwykle otrzymywałem jakąś czwórkę z komentarzem „Miejscami interesujące” albo „Nieźle”, wypisanym przez prowadzącego pod oceną. Wszystko to było tylko dla pozoru, nie miało żadnego znaczenia; nawet wnioski płynące z zajęć na tych

wszystkich przedmiotach był taki, że nic tak naprawdę nie ma określonego znaczenia, wszystko jest abstrakcyjne i może być interpretowane na nieskończenie wiele sposobów. Chociaż tym, co nie podlegało dyskusji, był fakt, że trzeba oddawać prace, że pozory jako takie trzeba zachowywać, choć nikt nigdy nie wytłumaczył nam dlaczego, jaka miała być nasza zasadnicza motywacja. Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że przez cały ten czas chodziłem tylko na jeden kurs z wprowadzenia do rachunkowości i że radziłem tam sobie, póki nie dotarliśmy do odpisów amortyzacji, tego, czy używać metody liniowej, czy metody degresywnej, i połączenie trudności i czystej nudy metod odpisów amortyzacyjnych pozbawiły mnie inicjatywy, zwłaszcza po tym, jak opuściłem kilka zajęć i narobiłem sobie tyłów, co przy odpisach amortyzacji ma skutek śmiertelny – tak że zarzuciłem ten kurs i nie dostałem zaliczenia. To było w Lindenhurst College – ten późniejszy kurs z wprowadzenia w DePaul nazywał się tak samo, ale miał nieco inaczej rozłożone akcenty. Pamiętam też, że mój ojciec złościł się z powodu niezaliczonego przedmiotu dużo bardziej niż z powodu słabej oceny, co jest zrozumiałe.

Mam w pamięci trzy okazje w trakcie tego nieskażonego motywacją okresu w moim życiu, kiedy rezygnowałem ze studiowania i próbowałem wykonywać jakąś tak zwaną prawdziwą pracę. W jednej pilnowałem podziemnego parkingu przy North Michigan, w innej sprawdzałem bilety przy wejściu na wydarzenia w Liberty Arena albo jeszcze też krótko pracowałem przy linii produkcyjnej w zakładzie produkującym Cheese Nabs, przy obsłudze nastrzykiwarki do serowego nadzienia, albo w firmie, która produkowała i kładła parkiety sal gimnastycznych. Następnie, po jakimś czasie, nie byłem w stanie wytrzymać nudy danego zajęcia, bo każde z nich było niewiarygodnie nudne i nieprowadzące donikąd, więc rzucałem je i zatrudniałem się gdzie indziej, a koniec końców podchodziłem kolejny raz do studiów. Mój transkrypt ocen przypominał twórczość kolażysty. Co zrozumiałe, ten stan rzeczy nadwyręzał cierpliwość mojego ojca, który pracował jako naczelnik Działu Systemów Rachunku Kosztów w urzędzie miejskim Chicago – choć sam zamieszkiwał w Libertyville, które można określić mianem północnego przedmieścia, popularnego wśród przedstawicieli

zamożniejszej klasy średniej. Zwykł mówić, oschle i z idealnie kamienną twarzą, że wróży mi wielką karierę w biegu na dwadzieścia metrów. W ten sposób nacierał mi uszu. Bardzo dużo czytał i lubił używać ciętych, sardonicznych wyrażeń. Chociaż pamiętam, jak raz, to było po tym, jak nie dostałem z czegoś zaliczenia, albo po tym, jak się dokądś wyniosłem, a teraz wracałem do domu, no więc byłem w kuchni i robiłem sobie coś do jedzenia, i usłyszałem, jak kłóci się z mamą i z Joyce i mówi, że własnego dupska bym nie znalazł, choćbym miał dwie wolne ręce. Zdaje się, że to był największy wybuch złości, jaki mu się zdarzył w trakcie całego tego niewyraźnego okresu. Nie pamiętam konkretnego kontekstu, ale kiedy pomyślę, jak bardzo zrównoważony i zamknięty w sobie był na ogół, jestem przekonany, że musiałem właśnie zrobić coś szczególnie nieodpowiedzialnego albo żalostnego, żeby go sprowokować. Nie przypominam sobie odpowiedzi mojej matki ani jak to właściwie było, że usłyszałem tamten komentarz, zwłaszcza że podsłuchiwanie własnych rodziców wydaje się czymś, co mogłoby robić tylko znacznie młodsze dziecko.

Moja matka była bardziej wyrozumiała i ilekroć ojciec brał się do nacierania mi uszu z powodu tego całego braku celu, ona do pewnego stopnia ujmowała się za mną, mówiąc, że próbuję odnaleźć swoją ścieżkę i że nie wszystkie ścieżki są oświetlone neonami jak pasy startowe, i że jestem to sobie winien: odnaleźć własną ścieżkę, a do tego czasu pozwolić, by sprawy biegły swoim torem. O ile dobrze wiem z podstaw psychologii, to dosyć typowa dynamika – syn się opieprza i brak mu celu, matka jest wyrozumiała, wierzy w potencjał syna i się za nim ujmuje, ojciec jest wkurzony i wiecznie krytykuje oraz naciera synowi uszu, ale i tak, gdy przychodzi co do czego, zawsze zaparafuje mu czek na chesne w kolejnym koledżu. Pamiętam, jak ojciec wyrażał się o pieniądzach jako „tym uniwersalnym rozwiązaniu wieloznaczności” przy okazji tych czeków na chesne. Muszę nadmienić, że moi rodzice zdążyli się do tego czasu polubownie rozwieść, co również było dość typowe dla tamtej epoki, tak że działała tam ta cała okółorozwodowa dynamika od strony psychologicznej. Ta sama dynamika była odgrywana prawdopodobnie w domach w całej Ameryce – dziecko starające się

jakby pasywnie buntować, będąc wciąż finansowo uwiązany do rodzica, i cała ta psychologia, która się z tym wiąże.

Tak czy siak, działo się to w okręgu Chicagoland w latach siedemdziesiątych, okresie, który dziś wydaje się tak samo abstrakcyjny i nieostry jak ja sam wtedy. Może to właśnie łączy Służbę i mnie – że tu i tam miniona dekada wydaje się dalece bardziej odległa, niż jest w rzeczywistości, ze względu na to, co zaszło w tym czasie. Co do mnie, miałem trudności ze zwracaniem uwagi na cokolwiek, tak że to, co teraz pamiętam, wydaje się pozbawione znaczenia. To, co naprawdę pamiętam, nie to, czego ogólne wrażenie zachowałem. Pamiętam, że miałem dość długie włosy, to znaczy długie po wszystkich czterech stronach głowy, choć mimo to zawsze rozdzielone po lewej stronie i utrzymywane w miejscu za pomocą spreju z ciemnoczerwonej puszką. Pamiętam kolor tej puszkę. Nie jestem w stanie myśleć o fryzurze z tamtego okresu i nieomal się nie skrzywić. Pamiętam rzeczy, które nosiłem: mnóstwo ciemnopomarańczowego i brązowego, „tureckich” tkanin z przewagą czerwieni, sztruksowe dzwony, włókno octanowe i nylon, kołnierzyki z rozcięciem, pikowane kamizelki. Miałem metalową pacyfę na szyję, która ważyła z pół funta. Buty typu boat albo żółte timberlandy i para brązowych skórzanych kozaków z cholewką nad kostkę, z zamkami po bokach, których jedyną częścią widoczną pod nogawkami dzwonów były ich ostre czubki. Ta mała drapiąca skórzana obroża wokół szyi. Komercyjna psychodelia. Obowiązkowa traperska kurtka z jeleniej skóry. Spodnie z denimu, których końce nogawek szorowały po ziemi, zamieniając się w białe włókna. Szerokie paski, getry, buty sportowe z Japonii. Standardowy ubiór. Pamiętam te pękate, nadmuchane zimowe kurtki z nylonu i puchu, które upodabniały nas wszystkich do balonów na świątecznej paradzie. Chropowate białe spodnie malarskie z pętelkami na hipotetyczne narzędzia wzdłuż nogawki. Pamiętam, jak wszyscy pogardzali Geraldem Fordem, nie tyle za ułaskawienie Nixona, ile za ciągłe wpadki. Wszyscy mieli go w pogardzie. Bardzo niebieskie dżinsy firmowane przez znanych projektantów. Przypominam sobie z telewizji, jak feministyczna tenisistka Billie Jean King wygrała z zawodnikiem wyglądającym na starszego i słabowitego i jak moja matka i jej przyjaciółki bardzo się

tym podniecały. „Męska szowinistyczna świnią”, „siła kobiet” i „stagflacja” wydawały mi się niejasne, jakbym słuchał odgłosów tła jednym uchem. Nie pamiętam, na co kierowałem swoją właściwą uwagę, dokąd to wszystko właściwie zmierzało. Niczego nigdy nie robiłem, a jednocześnie zwykle nie potrafiłem usiedzieć w miejscu i zdać sobie sprawy z tego, co naprawdę się dzieje. Trudno to wytłumaczyć. Trochę pamiętam młodszego Cronkite’a, Barbarę Walters i Harry’ego Reasonera; nie wydaje mi się, żebym oglądał dużo wiadomości. I tu tak samo – podejrzewam, że było to bardziej typowe, niż mi się wtedy wydawało. Jedną z rzeczy, jakich człowiek uczy się w kontrolach rutynowych, jest to, jak zdeorganizowana i nieuważna jest większość ludzi, jak mało uwagi poświęca temu, co dzieje się poza ich własną sferą. Ktoś taki jak Howard K. Smith był też dużym nazwiskiem w wiadomościach, tak sobie przypominam. Teraz już prawie nigdzie nie słyszy się słowa „getto”. Pamiętam Acapulco Gold kontra Colombia Gold, Ritalin kontra Ritadex, Cylert i Obetrol, Laverne i Shirley, Carnation Instant Breakfast i dyskotekową gorączkę z Johnem Travoltą, i dziecięce T-shirty z Fonzem. I jeszcze koszulki „Keep On Truckin”, uwielbiane przez moją matkę, na których nadrukach buty i podeszwy przedstawionych postaci wyglądały na anormalnie duże. To, że wolałem, tak jak większość dzieci w moim wieku, Tang od prawdziwego soku pomarańczowego. Marka Spitz’a i Johnny’ego Carsona, pokazywane w telewizji obchody dwustulecia w 1976 z całymi flotyllami starodawnych statków wpływającymi do zatoki. Palenie zioła po szkole w liceum, a potem oglądanie telewizji i wyjadanie Tangu ze słoja za pomocą palca, to, jak zwilżałem palec i zanurzałem w proszku, wiele razy, aż kiedy wreszcie spoglądałem do środka, nie mogłem uwierzyć, że zniknęło aż tyle jego zawartości. To, jak siedziałem z moimi kumplami przewalakami, i tak dalej – i nic z tego nie miało znaczenia. Tak jakbym był wtedy martwy albo pogrążony we śnie i o tym nie wiedział, jak to mówią w Wisconsin: „nawet kopyt nie umiał wyciągnąć”.

Pamiętam, jak w liceum załatwiałem Dexedrine od chłopaka, którego matce przepisano te piguły, bo ją nosiło, i ich dziwny smak, i to, jak cudownie sprawiała, że zniknął problem z liczeniem podczas czytania czy mówienia (nazywano je czarnymi pięknosciami), ale

też jak po pewnym czasie powodowały ból w dolnym odcinku pleców i zaczynało naprawdę okropnie jechać po nich z ust. Posmak w ustach przypominał opary ze słoja z martwą zakonserwowaną żabą w sali do biologii, tuż po otwarciu naczynia. Wciąż robi mi się niedobrze, gdy o tym pomyślę. Był też okres, kiedy matka chodziła jak struta, po tym jak Richard Nixon tak łatwo wygrał kolejne wybory, co zapamiętałem, ponieważ mniej więcej wtedy spróbowałem Ritalinu, który kupowałem od koleśka na zajęciach z kultur świata, którego młodszemu bratu, chodzącemu jeszcze do podstawówki, Ritalin miał przepisać lekarz nie bardzo pilnujący porządku w receptach, który zdaniem części ludzi nie był niczym specjalnym w porównaniu z czarnymi pięknościami, Ritalin nie był, ale ja za nim przepadałem, początkowo dlatego, że sprawiał, że siedzenie i uczenie się przez długie okresy stawało się możliwe, a nawet interesujące, i naprawdę bardzo go lubiłem, ale trudno było go dostać, zwłaszcza po tym, jak pewnego dnia młodszy braciszek dostał w szkole delirki z powodu nieprzyjmowania Ritalinu i rodzice oraz lekarz odkryli nieprawidłowości w receptach, i z dnia na dzień zniknął przyszczaty gość w różowych okularach przeciwsłonecznych sprzedający Ritalin po cztery dolary za tabletkę wprost ze swojej szafki na korytarzu ogólniaka.

Mam wrażenie, że pamiętam, jak mój ojciec w 1976 przewidział prezydenturę Ronalda Reagana i jak nawet przekazał im darowiznę na kampanię, chociaż z perspektywy czasu zdaje mi się, że Reagan nawet nie startował w '76. Tak wyglądało moje życie przed nagłą zmianą kierunku i zanim ostatecznie wstąpiłem w szeregi Służby. Dziewczyny nosiły czapki albo dżinsowe kapelusze, ale koleśki w kapeluszach byli generalnie niecool. Bejsbolówki były dla buraków z południa stanu. Ale starsi mężczyźni, reprezentujący sobą jakikolwiek autorytet, wciąż czasem jeszcze nosili fedory. Pamiętam kapelusz mojego ojca niemal lepiej od jego twarzy pod rondem. Kiedyś wyobrażałem sobie, jak wygląda twarz mojego ojca, kiedy jest sam – znaczy wyraz twarzy i oczy – kiedy był sam ze sobą w swoim biurze w ratuszu i nie było nikogo, dla kogo trzeba by było przybierać jakiś wyraz. Pamiętam, że mój ojciec w weekendy zakładał madrasowe szorty i czarne skarpety i tak kosił trawnik, a ja czasami wyglądałem przez okno, żeby zobaczyć, jak też wygląda

w tym stroju, by poczuć prawdziwy ból na myśl o tym, że jestem z nim spokrewniony. Pamiętam, że wszyscy udawali samurajów albo mówili „Proszę?” w najróżniejszych i najdziwniejszych kontekstach – to było *cool*. Chcąc okazać aprobatę albo entuzjazm, mówiliśmy „kapitalnie”. Na studiach słowo „kapitalnie” słyszało się pięć tysięcy razy w ciągu dnia. Pamiętam niektóre z moich prób zapuszczenia bokobrodów w DePaul; zawsze kończyło się tym, że decydowałem się je zgolić, ponieważ w pewnym momencie zaczynały wyglądać zupełnie jak włosy łonowe. Pamiętam zapach żelu Brylcreem w otoku kapelusza ojca, *Głębokie gardło*, Howarda Cosella, gardło mamy i to, jak widać w nim było wiązadła, kiedy ona i Joyce wybuchały śmiechem. Jak wyrzucała ręce w powietrze albo chwytiała się za brzuch. Mama zawsze traktowała śmiech bardzo fizycznie – śmieje się całym ciałem.

Było także słowo „aksamitny”, używane bez przerwy, chociaż już na samym początku, jak zaczęto się nim posługiwać, mnie drażniło; po prostu mi się nie podobało. Mimo to prawdopodobnie sam też się nim czasem posługiwałem, nie zdając sobie z tego sprawy.

Moja matka jest z gatunku raczej suchych starszych kobiet, które z wiekiem, zamiast się rozdymać, stają się niemal chude i twarde, węzłowate z wystającymi stawami, a ich kości policzkowe są coraz wyraźniej zarysowane. Pamiętam, że gdy widzieliśmy się po jakiejś przerwie, czasami przychodziły mi na myśl płatki suszonej wołowiny. Swego czasu była całkiem ładna, a jej późniejsza utrata masy miała częściowo podłoże nerwowe, ponieważ po historii z moim ojcem z nerwami matki zaczęło być źle. Co prawda, jeszcze jednym czynnikiem, który wpłynął na to, że trzymała moją stronę, gdy ojciec miał pretensje o dryfowanie od koledżu do koledżu, był problem z czytaniem w podstawówce, kiedy mieszkaliśmy w Rockford, a ojciec pracował dla tamtejszego urzędu miejskiego. To było w połowie lat sześćdziesiątych, w podstawówce w Machesney Park. Przeszedłem przez okres, w którym nie potrafiłem czytać. To znaczy właściwie potrafiłem – moja mama wiedziała, że potrafię, po tym jak wcześniej wspólnie czytaliśmy bajki. Ale przez niemal dwa lata w Machesney zamiast coś czytać, liczyłem, z ilu słów składa się zdanie, zupełnie jakby czytanie było tym samym co liczenie wyrazów. Na przykład: „I przybiegło Żółte

Psisko, i przegnało dzikie wieprze” równałoby się ośmiu słowom, które policzylibym po kolei, od jednego do ośmiu, zamiast zdaniu, które sprawiało, że jeszcze bardziej kochało się Żółte Psisko z książki. Był to dziwny defekt mojej maszynki rozwojowej w tamtym czasie, z którego wynikało wiele kłopotów i wstydu i który był jednym z powodów naszej ostatecznej przeprowadzki na teren Chicagoland, ponieważ przez chwilę wyglądało na to, że będę musiał chodzić do szkoły specjalnej w Lake Forest. Bardzo niewiele pamiętam z tego czasu poza uczuciem, że wcale specjalnie nie chciałem ani nie zamierzałem liczyć słów, tylko po prostu nie byłem w stanie nic na to poradzić – to było frustrujące i dziwaczne. Pogłębiało się w sytuacjach stresu czy zdenerwowania, co jest dość typowe w takich przypadkach. W każdym razie tendencja mojej matki, by zaciekle bronić mojego prawa do doświadczenia i uczenia się świata po swojemu, po części ma swój początek w tamtym okresie, kiedy kuratorium oświaty okręgu Rockford zareagowało na mój problem z czytaniem, podejmując różne działania, których ona wcale nie uważała za pomocne ani sprawiedliwe. W jakimś stopniu jej praca nad samouświadomieniem oraz przystąpienie do ruchu feministycznego lat siedemdziesiątych prawdopodobnie też mają swój rodowód w tamtej walce z biurokracją Drugiego Okręgu. Jeszcze dzisiaj zdarzają mi się takie nawroty, kiedy liczę słowa albo liczenie idzie swoim torem, kiedy czytam czy mówię, na zasadzie szumów tła albo autonomicznego procesu na podobieństwo oddychania.

Na przykład jak na razie wypowiedziałem 2614 słów, odkąd zacząłem. To znaczy 2614 słów, zanim powiedziałem „na razie wypowiedziałem”, natomiast 2618, jeśli doliczyć „jak na razie wypowiedziałem”, co ja akurat robię. Liczę liczebniaki jako jedno słowo, niezależnie od ich wielkości. Nie żeby to miało jakieś znaczenie – to raczej coś jak tik umysłowy. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się zaczęło. Pamiętam, że nie miałem trudności z nauką czytania ani z czytaniem książeczek o Samie i Ann, z których dzieci uczą się czytać, więc to musiało być po drugiej klasie. Wiem, że moja matka, kiedy mieszkała jako dziecko w Beloit w Wisconsin, gdzie się wychowała, odwiedzała tam ciocię, która musiała w kółko myć ręce i nie mogła przestać, co tylko postępowało, aż nasiliło się

do tego stopnia, że trzeba było ją umieścić w zakładzie opieki. Zdaje się, że pamiętam, jak myślałem, że moja matka w jakiś sposób łączy to moje liczenie z tą ciocią nad zlewem, zamiast uznać je za formę upośledzenia czy niezdolność do siedzenia i czytania, jak polecono – tak bowiem widziały tę sprawę władze szkolne w Rockford. Tak czy inaczej, stąd jej nienawiść do tradycyjnych instytucji i władz, co działało jako jeszcze jeden czynnik, który wpłynął na jej oddalenie się od mojego ojca, co zagroziło ich małżeństwu i tak dalej.

Pamiętam, jak kiedyś w 1975 albo '76 zostawiłem sobie bak tylko po jednej stronie twarzy i tak chodziłem przez jakiś czas, wierząc, że ten jeden bokobród czyni mnie nonkonformistą – bez kitu – i jak na imprezach wdawałem się w długie, poważne rozmowy z dziewczynami, które pytały mnie, jakie jest „znaczenie” tego pojedynczego bokobrodu. Dużo z tego, co wtedy mówiłem i w co wierzyłem w tamtym czasie, przyprawia mnie dosłownie o grymas zażenowania, gdy sobie o tym przypominę. Pamiętam KISS, REO Speedwagon, Cheap Trick, Styx, Jethro Tull, Rush, Deep Purple i oczywiście starych dobrych Pink Floydów. Pamiętam BASIC i COBOL. Na COBOL-u chodził sprzęt mojego ojca w jego biurze w systemach kosztowych. Miał niesamowicie dużą wiedzę o komputerach tamtej epoki. Pamiętam szerokie kieszonkowe tranzystorówki Sony i to, jak wielu czarnych w mieście trzymało radia tuż przy uchu, podczas gdy białe dzieciaki z przedmieść używały dodatkowej niewielkiej słuchawki, takiej, jakich używają w dochodzeniówce, którą trzeba było czyścić prawie codziennie, bo inaczej robiła się naprawdę syfna. Był kryzys energetyczny i recesja, i stagflacja, chociaż nie pamiętam kolejności, w jakiej po sobie następowały – wiem na pewno, że do zasadniczej fazy kryzysu ekonomicznego musiało dojść, kiedy znowu mieszkałem w domu, po historii z Lindenhurst College, bo wyjeździłem wtedy cały bak mojej mamie, rozbijając się po nocach z dawnymi kumplami z liceum, czym mój ojciec, jak można się domyślać, nie był zachwycony. Zdaje się, że w tamtym czasie Nowy Jork był nawet przez chwilę bankrutem. I był też katastrofalny eksperyment roku 1977, kiedy stan Illinois postanowił nadać podatkowi od sprzedaży charakter progresywny, co bardzo zdenerwowało mojego ojca, a czego ja z kolei nie rozumiałem i nie interesowałem się tym specjalnie.

Później, oczywiście, zrozumiałem, dlaczego progresywny podatek od sprzedaży to tak fatalny pomysł, a chaos, który wywołał, praktycznie kosztował ówczesnego gubernatora stanowisko. W każdym razie nie pamiętam, żebym wtedy zaobserwował cokolwiek poza anormalnie wielkimi tłumami i zamieszaniem w trakcie świątecznych zakupów pod koniec siedemdziesiątego siódmego. Nie wiem, czy to ma coś do rzeczy. Wątpię, żeby kogokolwiek spoza stanu to interesowało, chociaż starsze skorki w kontrolach rutynowych wciąż czasem opowiadają sobie o tym dowcipy.

Pamiętam, że reagowałem autentyczną fizyczną nienawiścią na dźwięk większości komercyjnych rockowych kawałków – takich granych na dyskotekach, których, jeśli się było *cool*, praktycznie trzeba było nienawidzić, podobnie jak wszystkich zespołów z jednowyrazowym toponimem w nazwie. Boston, Kansas, Chicago, America – wciąż czuję do nich niemal cielesną nienawiść. I jeszcze to, że wierzyłem, że ja i może jeden czy dwóch moich znajomych należymy do bardzo nielicznej garstki, która naprawdę rozumie, co Pink Floyd próbują przekazać swoją muzyką. To żenujące. Mam wrażenie, że większość tych wspomnień należy do kogoś innego. Prawie że nie pamiętam wczesnego dzieciństwa, w większości to po prostu dziwne krótkie, pojedyncze przebiegi. Im bardziej jednak wyrywkowa staje się moja pamięć, tym bardziej odczuwam ją jako autentycznie moją, co jest dziwne. Zastanawia mnie, czy ktokolwiek czuje się, jakby był tą samą osobą, którą przypomina sobie z przeszłości. To by chyba przyprawiło człowieka o załamanie nerwowe. To prawdopodobnie w ogóle byłoby bez sensu.

Nie wiem, czy tyle wystarczy. Nie wiem, co inni wam powiedzieli.

Na tego typu nihilistę wszyscy mówiliśmy w tamtym czasie „przewalaka”.

Pamiętam, że mieszkałem w wielopiętrowym akademiku UIC z bardzo modziarskim, takim „na-bieżąco-ze-wszystkim” studentem drugiego roku z Naperville, który też nosił bokobrody i skórzaną obrózkę i grał na gitarze. Uważał siebie za nonkonformistę i podobnie jak ja był także bardzo niewyraźnym i nihilistycznym typem, mocno wkręconym w szkolną ćpająco-przewalającą społeczność, i woził się, trzeba przyznać, naprawdę niekiepskim

firebirdem rocznik '72, na którego ubezpieczenie, jak się ostatecznie okazało, łożyli jego rodzice. Nie mogę sobie za nic przypomnieć, jak się nazywał. UIC to skrót od University of Illinois, Chicago, olbrzymi miejski uniwersytet. Akademik, w którym mieszkaliśmy, stał tuż przy Roosevelta, a z największego okna mieliśmy widok wprost na ogromną śródmiejską klinikę podiatryczną, też nie pamiętam, jak się nazywała, która miała wielką neonową tablicę, obracającą się na maszcie we wszystkie dni pracujące od ósmej rano do ósmej wieczór, z jej nazwą i łatwym do zapamiętania numerem, zakończonym na 3668 po jednej stronie, oraz z wielgachnym kolorowym konturem ludzkiej stopy (biorąc pod uwagę proporcje, obstawialiśmy, że kobiecej), no i pamiętam, że ten współlokator i ja stworzyliśmy sobie coś jakby rytuał polegający na tym, że zaczajaliśmy się co wieczór o ósmej we właściwym miejscu przy oknie, czekając, aż neon ze stopą zgaśnie i przestanie się obracać po zamknięciu kliniki. Zawsze gaśł równocześnie ze światłem w oknach kliniki, co dało podstawy naszej teorii, że wszystko tam chodzi na jednym obwodzie. Ruch obrotowy tablicy nie ustawał natychmiast. Raczej powoli zwalniał w sposób, który niemal przywodził na myśl atmosferę wyczekiwania na zatrzymanie rodem z *Koła fortuny*. W tym rytuale chodziło o to, że jeśli tablica zatrzymała się ze stopą po niewidocznej stronie, to szliśmy do biblioteki UIC się uczyć, ale jeżeli stopa albo jej znaczny fragment zwrócone były frontem do naszego okna, wtedy uznawaliśmy, że „ukazał się nam znak” (ten dwuznacznik był niewiarygodnie banalny), i natychmiast rzucaliśmy naukę czy inny ciężący na nas obowiązek, i szliśmy do Kapelusza – pubu, który był akurat wtedy na czasie wśród studentów UIC i chodziło się tam na koncerty – żeby pić piwo i grać w moneciaka, i opowiadać pozostałym dzieciakom, którym rodzice opłacali chesne, o rytuale obracającej się stopy w sposób, który pozwalał nam wszystkim widzieć siebie jako nihilistycznie przewalackich i zadających szyku. Wspomnienia takie jak to budzą we mnie szczere zażenowanie. Pamiętam znak kliniki podiatrycznej i Kapelusza, a także to, jak wyglądało wnętrze, a nawet jak pachniało, ale nie pamiętam, jak nazywał się tamten współlokator, i to pomimo tego, że wychodziliśmy razem trzy albo cztery razy w tygodniu w ciągu tamtego roku. Kapelusza w niczym nie

przypominał Meibeyera, czyli głównego, powiedzmy, że pubu, odwiedzanego przez wykonujących rutynowe kontrole w tutejszym RCK i także wykorzystującego motyw kapelusza, ze skomplikowanym wieszakiem obwieszonym kapeluszami, choć w tym przypadku chodzi o historyczne kapelusze IRS i CPA, kapelusze poważnych dorosłych ludzi. Czyli że podobieństwo jest tu tylko zbiegiem okoliczności. Były w zasadzie dwa Kapelusze, coś jakby franczyza – był ten jeden na kampusie UIC, na rogu Cermak i Western, i był ten drugi w Hyde Parku, dla bardziej zmotywowanych, skoncentrowanych dzieciaków z U of Chicago. Wszyscy w naszym Kapeluszu mówili na tamten Kapelusze w Hyde Parku „Jarmułka”. Ten mój współlokator to nie był zły czy przewrotny koleś, chociaż okazało się, że na swojej gitarze potrafi zagrać tylko trzy czy cztery piosenki, co robił na okrągło, a handlowanie przez siebie narkotykami tłumaczył bezczelnie jako formę społecznego buntu, a nie czysty kapitalizm, i już wtedy wiedziałem, że jest totalnym konformistą, sformatowanym według wszystkich standardów tak zwanego nonkonformizmu późnych lat siedemdziesiątych, i czasem patrzyłem na niego z wyższością. Może nim trochę pogardzałem. Zupełnie jakby mnie ten problem nie dotyczył – ale tego rodzaju jaskrawa projekcja i przeniesienie stanowiły element nihilistycznej obłudy całego tamtego czasu.

Pamiętam „Uncołę” i to, jak reklamy Noxzemy nachalnie jechały na aluzjach do chędożenia. Mam wrażenie, że pamiętam mnóstwo drewnianych wzorów na rzeczach, które nie były z drewna, i modele kombi z bocznymi panelami karoserii mającymi imitować boazerię. Pamiętam Jimmy’ego Cartera, jak wygłasza orędzie do narodu w swetrze, i coś na temat brata Cartera, że miał ponoć publicznie robić z siebie buca i przynosić prezydentowi wstyd przez sam fakt pokrewieństwa.

Nie sądzę, żebym wtedy głosował. Prawda jest taka, że nie pamiętam, czy głosowałem, czy nie. Całkiem możliwe, że zamierzałem głosować i mówiłem, że idę, po czym coś mnie od tego oderwało i w końcu się nie zebrałem. To byłoby zgodne ze standardem mojego typowego zachowania w tamtym okresie.

Oczywiście chyba rozumie się samo przez się, że w tamtym czasie ostro balowałem. Nie wiem, ile powinienem o tym opowiadać. Ale

nie balowałem ani więcej, ani mniej niż wszyscy inni, których znałem – tak naprawdę bardzo zdecydowanie ani więcej, ani mniej. Wszyscy, których znałem czy z którymi się zadawałem, byli przewalakami i wszyscy sami o tym wiedzieliśmy. Było w dobrym tonie wstydzić się tego. Pokrecony rodzaj narcystycznej rozpacz. Albo po prostu czuć się pozbawionym celu i zagubionym – idealizowaliśmy to. Brałem Ritalin i niektóre rodzaje speeda, jak Cylert, co było dosyć nietypowe, ale każdy miał swoje idiosynkratyczne preferencje w kwestii imprezowania. Nie łykałem jakichś niewiarygodnych ilości speeda, bo te rodzaje, które mi odpowiadały, trudno było dostać. Człowiek musiał się raczej na nie natknąć. Współlokator z firebirdem miał obsesję na punkcie haszyszu, któremu przypisywał „aksamitność”.

Patrząc wstecz, wątpię, czy kiedykolwiek przyszło mi do głowy, że to, co ja odczuwam wobec tamtego współlokatora, było tym, co mój ojciec odczuwa wobec mnie – że jestem takim samym konformistą jak on, a do tego hipokrytą, „buntownikiem”, który tak naprawdę drenuje społeczeństwo w osobach własnych rodziców. Chciałbym móc powiedzieć, że byłem dostatecznie świadomy, by ta sprzeczność zaświtała mi w głowie w tamtym czasie, choć prawdopodobnie raczej obróciłbym ją po prostu w jakiś błyskotliwy nihilistyczny żart. A jednocześnie wiem, że czasem doskwierał mi mój brak celu i inicjatywy, to, jak wtedy wszystko wydawało się abstrakcyjne i dopuszczające każdą interpretację, a nawet to, jak niewyraźne i nic nieznaczące wydawały mi się moje wspomnienia. Z kolei mój ojciec, wiem o tym, pamiętał wszystko – zwłaszcza szczegóły fizyczne, dokładne daty i godziny spotkań oraz cudze stwierdzenia z przeszłości, których treść nie dawała się pogodzić z treścią stwierdzeń właśnie wypowiedzianych. Ale też, jak miałem się przekonać, tego rodzaju pełna uwaga i totalna pamięć stanowiły część jego pracy.

Tak naprawdę to byłem naiwny. Na przykład wiedziałem, że kłamię, ale rzadko kiedy zakładałem, że inni wokół mnie też mogliby kłamać. Teraz zdaję sobie sprawę z tego, ile w czymś takim jest zarozumiałości i jak bardzo niewyraźna staje się od tego rzeczywistość. Byłem tak naprawdę dzieckiem. Prawda jest taka, że większości z tego, co naprawdę o sobie wiem, dowiedziałem się,

pracując dla Służby. To może brzmieć jak przesadne lizodupstwo, ale taka jest prawda. Jestem tu od pięciu lat i nauczyłem się niesamowicie dużo.

W każdym razie przypominam sobie też palenie zioła z matką i jej partnerką Joyce. Hodowały własne, które nie było specjalnie mocne, ale nie o to chodziło, ponieważ w ich przypadku szło bardziej o wyzwoloną polityczną deklarację niż o bycie na haju, a moja matka niemal poczytywała sobie za obowiązek palić zioło, ilekroć przychodziłem w odwiedziny, a chociaż było mi trochę nieswojo, to nie pamiętam, żebym kiedykolwiek im odmówił, kiedy chciały, żebym z nimi „przypalił”, nawet jeżeli czułem się nieco zażenowany, słysząc z ich ust podobne studenckie odzywki. W tamtym czasie matka i Joyce prowadziły małą feministyczną księgarnię, której finansowanie pieniędzmi z tytułu ugody rozwodowej było nie w smak mojemu ojcu. I pamiętam, jak siedzieliśmy kiedyś w ich mieszkaniu w Wrigleyville na workach, podając sobie jednego z ich wielgachnych, po amatorsku skręconych doobersteinów (co było wówczas szpanerskim, przewalackim określeniem jointa, przynajmniej na terenie Chicagolandu), i słuchaliśmy, jak matka i Joyce streszczają bardzo żywe, pełne szczegółów wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, przy czym obie wybuchały śmiechem albo płaczem i głaskały się wzajemnie po włosach w geście emocjonalnego wsparcia, co mi w zasadzie nie przeszkadzało – to, że się dotykają albo całują na moich oczach – a przynajmniej do tamtego czasu zdążyłem się już przyzwyczaić, za to pamiętam, że odczuwałem coraz większą paranoję i nerwowość, ponieważ kiedy starałem się pomyśleć o jakichś moich wspomnieniach z dzieciństwa, jedynym naprawdę żywym było to, w którym wcieram Glovolium w rękawicę bejsbolową Rawlingsa, którą dostałem od ojca, i właśnie ten dzień, kiedy dostałem rękawicę z serii Johnny Bench Autograph, zapamiętałem bardzo dobrze, chociaż oczywiście u Mamy i Joyce sentymentalne opowieści o tym, jak to ojciec kiedyś mi coś podarował, nie były specjalnie mile widziane. Najgorsze było, kiedy usłyszałem matkę, jak opowiada wszystkie wspomnienia i anegdoty z mojego dzieciństwa, i kiedy sobie uświadomiłem, że w rzeczywistości pamięta znacznie więcej z mojego wczesnego dzieciństwa niż ja, tak jakby dokonała zajęcia

czy konfiskaty wspomnień i doświadczeń, które w praktyce były moje. Oczywiście, kiedy to sobie wówczas werbalizowałem, nie użyłem terminu „zajęcie”. To bardziej termin ze słownika Służby. Ale palenie zioła z moją mamą i Joyce zazwyczaj nie było ani trochę przyjemne, a często totalnie mnie rozwalało, kiedy tak o tym teraz myślę – a jednak robiłem to z nimi niemal za każdym razem. Wątpię, aby moja mama sama to jakoś szczególnie lubiła. Było w tym jakieś silenie się na dobrą zabawę i wyzwolenie. Gdy o tym teraz myślę, mam wrażenie, że moja mama chciała, żebym postrzegał ją jako zmieniającą się i dorastającą razem ze mną, jakbyśmy oboje byli po tej samej stronie przepaści pokoleniowej, jakbyśmy nadal byli tak blisko jak wtedy, gdy byłem dzieckiem. Ze oboje jesteśmy nonkonformistami i symbolicznie pokazujemy mojemu ojcu środkowy palec. W każdym razie palenie zioła z nią i Joyce zawsze trąciło mi hipokryzją. Moi rodzice rozstali się w lutym '72, w tym samym tygodniu, w którym Edmund Muskie płakał przed kamerami w trakcie wystąpienia w czasie swojej kampanii, a telewizje pokazywały w kółko, jak płacze. Nie pamiętam, z jakiego powodu płakał, ale to definitywnie pogrzebało jego szanse w kampanii. Słowo „nihilista” poznałem w szóstym tygodniu zajęć teatralnych w liceum. Jestem pewien, że nie żywiłem autentycznej wrogości wobec Joyce, to tak na marginesie, za to pamiętam, że czułem się zawsze trochę zdenerwowany, gdy byliśmy sam na sam, i że uspokajałem się, kiedy moja mama wracała i mogłem zwracać się do nich obu jako pary, zamiast starać się prowadzić konwersację z Joyce, co było skomplikowane, ponieważ zawsze istniało chyba więcej takich tematów i spraw, o których należało pamiętać, by ich nie poruszać, niż takich, o których można było mówić, wobec czego próba prowadzenia z nią obojętnej rozmowy przypominała slalom w Devil's Head, i to przy bramkach ustawionych co kilka cali.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że mój ojciec był tak naprawdę dowcipny i wyrobiony intelektualnie. Wtedy chyba myślałem o nim jak o kimś, kto prawie nie czuje, jak o robocie czy niewolniku konformizmu. To prawda, że był pedantyczny, analny i krytykował bez ogródek. Był w stu procentach reprezentantem konwencjonalnego establishmentu i stał zdecydowanie po drugiej

stronie przepaści pokoleniowej – miał czterdzieści dziewięć lat, kiedy zmarł w grudniu '77, co oczywiście oznacza, że dorastał w czasach Wielkiego Kryzysu. Ale nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek doceniał jego poczucie humoru – miał w zwyczaju jakby ubierać swoje proestablishmentowe poglądy w cierpki, ironiczny styl, tak że nawet nie pamiętam, bym wtedy rozumiał cokolwiek z jego żartów. Zdaje się, że nie miałem wówczas za bardzo poczucia humoru albo po dziecięcemu brałem wszystko, co mówił, za osobisty przytyk czy osąd. Było to i owo, co na jego temat wiedziałem, czego dowiadywałem się po trochu przez lata dzieciństwa, głównie od mamy. Jak to, że był bardzo, bardzo nieśmiały, kiedy się poznali. To, że nie chciał zakończyć edukacji na wyższej szkole technicznej, ale miał rachunki do opłacenia – służył w Korei w wojskach zaopatrzeniowych, ale zanim go wzięli, byli już z mamą małżeństwem, więc po powrocie do cywila musiał od razu szukać pracy. Tak robili wtedy ludzie w jej wieku – jeśli spotkałeś właściwą osobę, a byliście przynajmniej po liceum, to braliście ślub, nawet o tym nie myśląc, nie zadając sobie samemu pytań. Chodzi mi o to, że był bardzo bystry i trochę niespełniony, jak wielu ludzi z jego pokolenia. Pracował ciężko, bo musiał, a jego marzenia poszły w odstawkę. Tyle ze strony mojej matki, ale to zgadzało się z pewnymi szczegółami, z których nawet ja nie mogłem sobie nie zdawać sprawy. Na przykład z tym, że ojciec cały czas czytał. Zawsze coś czytał. To była cała jego rozrywka, zwłaszcza po rozwodzie – zawsze wracał do domu z biblioteki ze stosem książek z tym bibliotecznym przeźroczystym plastikiem na okładkach. Nigdy mnie nie interesowało, co to były za książki ani dlaczego tyle czyta – nigdy nie mówił o tym, co czyta. Nawet nie wiem, jakie lubił najbardziej, znaczy historyczne, kryminały czy jakieś inne. Patrząc wstecz, myślę, że był samotny, zwłaszcza po rozwodzie, ponieważ jedyni ludzie, których można było nazwać jego znajomymi, to byli koledzy z pracy, a sądzę, że w gruncie rzeczy uważał swoją pracę za nudną – nie wydaje mi się, żeby czuł się szczególnie osobiście związany z budżetem i protokołami wydatków miasta Chicago, tym bardziej że przeprowadzka tutaj nie była jego pomysłem – i myślę, że książki i kwestie intelektualne były jednym z jego sposobów na ucieczkę przed nudą. Był naprawdę bardzo błyskotliwym

człowiekiem. Żałuję, że nie pamiętam więcej rzeczy, które zwykł mawiać – wtedy chyba brałem je bardziej za wyraz nieprzychylności czy krytyki niż za żarty z nas obu. Pamiętam, że o tak zwanym młodszym pokoleniu (czyli moim) mówił „to coś, co Ameryka sama sobie uczyniła”. To nie najlepszy przykład. Chodzi mi o to, że trochę jakby myślał, że wina leży po obu stronach – że coś jest nie tak z dorosłymi w całym kraju, skoro wychowali dzieciaki, jakimi byliśmy w latach siedemdziesiątych. Pamiętam taką sytuację w październiku czy listopadzie '76 – miałem wtedy dwadzieścia jeden lat – w trakcie kolejnego okresu bez studiowania, po zapisie do DePaul, gdzie w sumie żadną miarą mi nie poszło, tam, w DePaul, za pierwszym razem. Generalnie to była katastrofa. Praktycznie kazano mi odejść, co zdarzyło się tylko tamten jeden raz. Na pozostałych, w Lindenhurst College i później na UIC, to ja sam postanowiłem zrezygnować. W każdym razie w tamtym okresie bez studiowania pracowałem na drugą zmianę w fabryce Cheese Nabs w Buffalo Grove i mieszkalem wtedy u ojca w Libertyville. Nie było mowy, żebym kimał u matki i Joyce w Wrigleyville, gdzie pokoje miały zamiast drzwi kotary z koralików. Ale nie musiałem odbijać karty w tej bezmyślnej robocie wcześniej niż o szóstej, więc zwykle spędzałem w domu całe popołudnia przed wyjściem. I czasami w trakcie tego okresu mój ojciec wyjeżdżał na kilka dni – podobnie jak Służba, oddziały finansowe urzędu miejskiego w Chicago wysyłały zawsze swoich bardziej fachowych ludzi na konferencje i szkolenia, które, jak miałem okazję przekonać się tu, w Służbie, nie przypominają tych wielkich pijackich zjazdów firm z sektora prywatnego, ale są zwykle wysoce intensywne i poświęcone pracy. Ojciec mówił, że szkolenia, na które wysyłał go urząd, są najczęściej po prostu nużące, którego to słowa używał całkiem obficie, *nużące*. Więc w trakcie tych jego wyjazdów w domu zostawałem tylko ja, tak że możecie sobie wyobrazić, co się tam działo, kiedy zostawałem sam, zwłaszcza w weekendy, mimo że miałem za zadanie pilnować domu pod jego nieobecność. Ale mam takie wspomnienie, jak wrócił z jednego z tych wyjazdów któregoś popołudnia '76, jakiś dzień czy dwa wcześniej, niż myślałem, że ma wrócić, jak wchodzi frontowymi drzwiami i znajduje mnie i dwóch moich tak zwanych przyjaciół z liceum Libertyville South w salonie,

który ze względu na układ architektoniczny z nieco podniesionym gankiem i drzwiami był w efekcie salonem ze spadkiem, który zaczynał się mniej więcej zaraz za frontowymi drzwiami, skąd ciągiem kilku schodków schodziło się w zagłębienie salonu, a drugimi schodami wchodziło się na piętro. W architekturze ten typ domu znany jest jako *raised ranch* i tego typu była większość domów przy naszej ulicy, z drugim ciągiem schodów prowadzącym z korytarza na piętrze do garażu, na którym praktycznie wspiera się część piętra, tak że garaż jest, strukturalnie rzecz biorąc, niezbędną częścią domu, co jest cechą wyróżniającą założenia *raised ranch*. W chwili jego wejścia dwóch z nas leżało rozwalonych na sofie, trzymając brudne stopy na jego specjalnym stoliku, a po dywanach walały się puszki po piwie i opakowania z Taco Bell (puszki były puszkami po piwie mojego ojca, które kupował w hurtowych ilościach dwa razy do roku i przechowywał w schowku na narzędzia, i zazwyczaj wypijał wszystkiego może dwie puszki na tydzień), my rozwaleni, na najgorszym kacu, i oglądamy *Poszukiwaczy* na WGN, a jeden z kumpli słucha Deep Purple na słuchawkach stereo mojego ojca, używanych przez niego do słuchania muzyki poważnej, a specjalny dębowy czy klonowy blat jest cały w kręgach ze skroplonej pary z puszek, bo podkreśliłmy ogrzewanie w domu zdecydowanie powyżej poziomu, który on zwykle uznawał za dopuszczalny, biorąc pod uwagę zużycie energii i koszty, a kumpel obok mnie na sofie właśnie bierze ogromnego bucha z rurki – ten koleś sływał z umiejętności brania potężnych machów. Do tego cały salon cuchnie. Tak więc w tym wspomnieniu, gdy słyszę nagle charakterystyczny odgłos jego kroków na szerokim drewnianym ganku, a w następnej sekundzie mój ojciec gwałtownie wkracza do domu na fali bardzo zimnego, rześkiego powietrza, w kapeluszu i z torbą podróżną, znajduję się w stanie paraliżującego szoku udupionego na dobre dzieciaka i siedzę tylko sparaliżowany, niezdolny do niczego, a jednak widzę każdą kolejną klatkę jego wejścia z przerażającą ostrością i jasnością – i to, jak stoi na szczycie tych kilku schodków, po których schodziło się do salonu, i zdejmuje kapelusz tym charakterystycznym dla niego ruchem, w który zaangażowana była zarówno ręka, jak i głowa, obejmując wzrokiem scenerię i nas trzech (nigdy nie ukrywał, że nie za bardzo lubi tych

starych kumpli z liceum, tych samych gości, z którymi imprezowałem, kiedy z wozu mojej mamy ukradziono korek wlewu paliwa, a bak opróżniono, a żaden z nas nie miał już pieniędzy, tak że musiałem dzwonić po ojca, a on musiał wsiąść po pracy w kolejkę do nas, żebym mógł odwieźć le cara mamie i Joyce, które go współużytkowały i wykorzystywały przy prowadzeniu swojej firmy księgarskiej), rozwalonych, zupełnie zniszczonych i sparaliżowanych, jeden z kumpli ma na sobie szmatowaty T-shirt z napisem PIERDOL SIĘ, drugi krztusi się olbrzymim buchem z powodu doznanego szoku, tak że pióropusz dymu z zioła żegluję przez pokój w stronę mojego ojca – krótko mówiąc, zapamiętałem tę scenę jako najbardziej niesmaczne potwierdzenie słuszności najgorszych stereotypów przepaści międzypokoleniowej i rodzicielskiej odrazy dla ich dekadentkich, przewalackich dzieci, z moim ojcem powoli stawiającym na podłodze torbę i neseser, po prostu stojącym, z twarzą bez emocji, nieodzywającym się przez nieznośnie długą chwilę, po której upływie wreszcie powoli wykonał gest polegający na uniesieniu nieco jednej ręki i spojrzeniu w górę i powiedział: „Patrzcie na moje dzieła (...) i gińcie z rozpacz!” po czym podniósł torbę podróżną i bez słowa poszedł po schodach na górę, do ich dawnej sypialni i zamknął drzwi. Nie trzasnął nimi, ale słychać było, że zamknął je za sobą dość zdecydowanym ruchem. Dziwne, ale to wspomnienie, które jest okrutnie ostre i szczegółowe aż do tego momentu, nagle zupełnie się urywa, jak zapis na taśmie magnetofonowej, która się właśnie skończyła, i nie wiem, co było później, znaczy, czy wyrzuciłem kumpli i w pośpiechu starałem się wszystko sprzątnąć, i przekręciłem termostat z powrotem na sześćdziesiąt osiem stopni, za to dobrze pamiętam, że czułem się kompletnie gównianie, nie tyle, jakbym został „udupiony” albo znalazł się w tarapatach, ile po prostu dziecinnie, jak zepsute, samolubne małe dziecko, oraz że wyobrażałem sobie, jak musiałem wyglądać w jego oczach, siedząc w śmieciach w jego domu, naprany, z brudnymi stopami na zaplamionym stoliku, na który on i moja mama specjalnie odkładali i który kupili w sklepie z antykami w Rockford, kiedy byli jeszcze młodzi i nie mieli za dużo pieniędzy, i do którego był przywiązany i w który bez przerwy wcierał olejek cytrynowy i mówił, że prosi tylko o to, żebym nie

kładł na nim nóg i używał tacy – znaczy zupełnie, jakbym przez sekundę–dwie faktycznie czuł to, co on musiał czuć, i przez moment zobaczyłem siebie jego oczami, co w sumie było jeszcze gorsze, gorsze, niż gdyby był wściekły czy gdyby krzyczał, czego nigdy nie robił, nawet kiedy ponownie znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu, co zresztą nie wiem, kiedy nastąpiło, czy na przykład wymknąłem się z domu, kiedy już wszystko sprzątnąłem, czy zostałem, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Nie wiem, co zrobiłem. Nie zrozumiałem nawet tego, co powiedział, choć oczywiście rozumiałem, że był to sarkazm i w jakimś sensie obwinił siebie o stworzenie „dzieła”, które właśnie porozrzucało po podłodze opakowania i torby z Taco Bell, zamiast zadać sobie trochę trudu i zrobić całe osiem kroków, żeby je wyrzucić. Chociaż później natknąłem się na wiersz, którego fragment, jak się okazało, cytował, w jakimś dziwacznym kontekście, w Centrum Obsługi Podatnika w Indianapolis, i oczy dosłownie wyszły mi z orbit, bo tam wtedy nawet nie miałem pojęcia, że cytuje wiersz, do tego słynny, napisany przez tego samego poetę, który najwyraźniej napisał też oryginalnego *Frankensteina*. I nawet nie miałem pojęcia, że mój ojciec czytywał brytyjską poezję, o cytowaniu z niej w momentach wzburzenia nie wspominając. W skrócie – był prawdopodobnie dużo ciekawszy, niż sądziłem, i nie pamiętam, żebym zdał sobie sprawę z tego, jak mało tak naprawdę o nim wiem, aż do chwili, kiedy jego już nie było i było za późno. Przypuszczam, że tego rodzaju żal jest również czymś typowym.

Tak czy siak, to jedno okropne wspomnienie, w którym podnoszę wzrok z sofy i widzę siebie jego oczami, a on z klasą daje upust poziomowi swojego zasmucenia i niesmaku – to nieźle podsumowuje cały tamten okres, kiedy teraz o tym myślę. Pamiętam też, jak się nazywali ci dawni przyjaciele z tamtego przesranego dnia, ale to oczywiście nieistotne.

Sprawy zaczęły nabierać życia, ostrości i konkretności w '78 i z dzisiejszej perspektywy chyba zgadzam się z mamą i z Joyce, że to był rok, w którym „znalazłem siebie” albo „wyzbyłem się tego, co dziecięce”, i rozpocząłem proces rozwijania w sobie jakiejś inicjatywy i nadawania kierunku mojemu życiu, co oczywiście doprowadziło mnie do wstąpienia w szeregi Służby.

Choć to nie ma bezpośredniego związku z wyborem kariery w IRS, jest prawdą, że śmierć mojego ojca w wypadku w trakcie podróży komunikacją publiczną pod koniec 1977 roku była nagłym, okropnym i życiowo przełomowym zdarzeniem, którego powtórki w jakiegokolwiek formie mam oczywiście nadzieję nigdy nie musieć doświadczać. Dla mojej matki było to szczególnie trudne, tak że musiała brać leki uspokajające i stała się psychicznie niezdolna do sprzedaży domu ojca, i zostawiła Joyce i ich księgarnię, i przeprowadziła się do domu w Libertyville, gdzie mieszka do dzisiaj, trzymając na wierzchu niektóre zdjęcia mojego ojca i ich obojga jako pary. To przykra sytuacja, a kozetkowy psycholog powiedziałby może, że w jakiś sposób winiła siebie za wypadek, mimo że ja bardziej niż ktokolwiek mogłem autorytatywnie stwierdzić, że nie miała racji i że jeśli przeanalizować wszystkie okoliczności, wypadek nie był niczyją winą. Byłem tam, kiedy to się stało – ten wypadek – i nie ma najmniejszej wątpliwości, że to było stuprocentowo okropne. Jeszcze dzisiaj pamiętam wszystko w tak jaskrawych, wyrazistych szczegółach, że bardziej przypomina to nagranie niż wspomnienie, co podobno nie jest rzadkością w przypadku traumatycznych zdarzeń – a jednak nie dało się opowiedzieć mojej mamie, co dokładnie się stało, od początku do końca, nie rujnując jej prawie doszczętnie, tak bardzo była pogrążona w żałobie, choć prawie każdy stwierdziłby, że spora część jej żałoby brała się z nierozwiązanych konfliktów wewnętrznych i kompleksów z powodu ich małżeństwa i kryzysu tożsamości, który przeszła w 1972, w wieku czterdziestu czy czterdziestu jeden lat, a także rozwodu, z którymi nigdy wcześniej się tak naprawdę nie uporała, ponieważ tak głęboko zaangażowała się w ruch feministyczny i uświadamianie oraz w swoje nowe towarzystwo dziwacznych, przeważnie mających problemy z nadwagą kobiet, z których wszystkie były po czterdziestce, a także w swoją nową tożsamość płciową u boku Joyce, praktycznie z marszu, co – jestem pewien – musiało stanowić nieomal śmiertelny cios dla mojego ojca, biorąc pod uwagę to, jak bardzo był rygorystyczny i konserwatywny, chociaż on i ja nigdy o tym otwarciu nie rozmawialiśmy, a on i matka zdołali pozostać stosunkowo dobrymi przyjaciółmi i nigdy nie słyszałem go, by wyciągał te sprawy, poza

sporadycznym narzekaniem, że aż tyle z jego polubownie uzgodnionych wpłat na jej rzecz idzie na księgarnię, którą zdarzało mu się określić mianem „tego finansowego wiru” albo po prostu „wiru” – co samo w sobie stanowi całą osobną historię. Tak że nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy, jakkolwiek wątpię, by było to aż tak niespotykane w tego typu sprawach.

Gdybym miał opisać ojca, po pierwsze, powiedziałbym, że małżeństwo moich rodziców było jednym z tych bardzo nielicznych widzianych przeze mnie, w których żona jest wyraźnie wyższa od męża. Mój ojciec miał metr sześćdziesiąt osiem czy dziewięć i nie był gruby, chociaż krępy, tak jak to bywa w przypadku wielu niewysokich mężczyzn po czterdziestce. Mógł ważyć koło pięćdziesięciu kilo. Wyglądał dobrze w garniturze – jego ciało, jak ciała wielu mężczyzn z jego pokolenia, niemal sprawiało wrażenie zaprojektowanego w celu wypełniania i podtrzymywania na sobie garnituru. I miał kilka dobrych sztuk, w większości z marynarką zapinaną na jeden guzik, z jednym szlicem, stonowanych i zachowawczych, głównie całorocznych, z wełny czesankowej, z wyjątkiem może jednego czy dwóch seersuckerów na upały, do których nigdy nie zakładał kapelusza. Zasluguje na uznanie – przynajmniej z perspektywy czasu – to, że odrzucał tak zwane nowoczesne szerokie krawaty, jaskrawe kolory, zwięzane klapy, a fenomen garniturów sportowych i sztruksowych marynarek przyprawiał go o mdłości. Jego garnitury nie były szyte na miarę, natomiast prawie wszystkie były od Jacka Fagmana, bardzo starego i szanowanego sklepu z odzieżą męską w Winnetka, w którym kupował, odkąd nasza rodzina przeprowadziła się do Chicagolandu w 1964, a niektóre z nich były naprawdę ładne. Po domu, „w cywilu”, jak mówił, nosił swobodniejsze spodnie i koszule z podwójnie tkaną dzianiną, czasami pod swetrem albo kamizelką – najbardziej lubił te w romby. Czasami zakładał sweter zapinany na guziki, ale jak sądzę, zdawał sobie sprawę, że w tego rodzaju swetrach wygląda na odrobinę zbyt tęgiego. Latem zdarzało mu się straszyć kompletem bermudy plus czarne skarpety od garnituru, które, jak się okazało, były jedynym rodzajem skarpet, jakie mój ojciec posiadał. Jedną sportową marynarką, 36R z ciemnogrnatowego szantungu, pamiętająca czasy jego pierwszych

spotkań z moją matką, o czym dowiedziałem się od niej; samo wspomnienie tej marynarki po wypadku było dla niej trudne, nie mówiąc o pomocy mi w podjęciu decyzji, co z nią zrobić. W garderobie wisały jego najlepszy i trzeci najlepszy płaszcz, także od Jacka Fagmana, z pustym wieszakiem nadal pomiędzy nimi. O swoje wyjściowe i służbowe obuwie dbał za pomocą prawideł; niektóre odziedziczył po swoim ojcu („niektóre” odnosi się oczywiście do prawideł, nie do butów). Była też para skórzanych sandałów, które dostał kiedyś na Boże Narodzenie i których nie tylko nigdy nie założył, ale nawet nie odczepił od nich metki, jak się okazało, kiedy przypadł mi w udziale obowiązek przejrzenia i opróżnienia jego garderoby. Pomysł, żeby umieścić w butach wkładki podwyższające, nigdy nie przyszedłby mojemu ojcu do głowy. Przedtem, zdaje się, ani razu na oczy nie widziałem prawideł i nie wiedziałem, do czego służą, ponieważ nigdy nie troszczyłem się o żadne buty ani ich nie ceniłem.

Włosy mojego ojca, które najpewniej miały kolor jasnobrażowy albo blond, gdy był młodszy, początkowo pociemniały, a następnie zalały się siwizną, w dotyku twardsze od moich, miały tendencję do zwijania się w loki na potylicy w wilgotne dni. Kark miał zawsze czerwony; jego cera była rumiana rumianością czy czerwonością typową dla twarzy niektórych starszych mężczyzn słusznej postury. Do pewnego stopnia ta czerwoność była prawdopodobnie cechą wrodzoną, a do pewnego stopnia miała podłoże psychologiczne – jak większość mężczyzn z jego pokolenia był jednocześnie bardzo nerwowy i skrajnie powściągliwy, osobowość typu A, jednak z dominującym superego, miał na tyle silne zahamowania, że ujawniały się przeważnie w postaci przesadnej godności i precyzji ruchów. Prawie nigdy nie pozwalał sobie na żadne wyraziste czy komunikujące coś miny. Ale nie był spokojną osobą. Nie wyrażał się ani nie działał w sposób nerwowy, ale towarzyszyła mu aura intensywnego napięcia – pamiętam, że kiedy się rozluźniał, wydawał z siebie jakby ciche westchnienie. Kiedy myślę o tym teraz, sądzę, że gdyby nie wypadek, to jeszcze rok–dwa i zaczęłby przyjmować leki na nadciśnienie.

Pamiętam, że miałem świadomość, że ogólna postura czy postawa ojca sprawia wrażenie nietypowej dla niższego mężczyzny (ze

zrozumiałych powodów wielu niskich mężczyzn ma tendencję do trzymania się prosto jak tyczka) o tyle, że wprawdzie nie wyglądał, jakby się garbił, za to jakby był nieco zgięty w pasie, pochylony pod nieznacznym kątem, co pogłębiało jeszcze wrażenie napięcia czy złudzenie, jakby ciągle zmierzał dokądś pod wiatr. Wiem, że nie byłbym w stanie tego zrozumieć przed wstąpieniem do Służby, gdzie zobaczyłem postawę niektórych starszych kontrolerów, którzy od lat spędzają całe dni przy biurku czy w tingle'u, wychyleni sprawdzając zeznania podatkowe, głównie w celu określenia, które z nich należy poddać kontroli. Inaczej mówiąc, to postawa osoby, której codzienny wysiłek polega na siedzeniu praktycznie nieruchomo przy biurku i skupionej pracy nad czymś rok w rok.

Wiem bardzo niewiele o rzeczywistości zawodowej mojego ojca i cokolwiek tam, co się z tym wiązało, za to oczywiście wiem teraz, czym są systemy kosztowe.

Z pozoru podjęcie przeze mnie pracy w IRS może się wydawać powiązane z wypadkiem mojego ojca – a ujmując to bardziej humanistycznie, ze „stratą” ojca, który sam był księgowym. Obszarem, w którym ojciec się specjalizował, były systemy i procedury rachunkowe, skąd w sumie bliżej do przetwarzania danych niż do właściwej rachunkowości, o czym miałem dowiedzieć się później. Co do mnie, jestem jednak przekonany, że byłbym teraz w Służbie niezależnie od wszystkiego, jeśli weźmie się pod uwagę dramatyczne zdarzenie, które miało zupełnie zmienić moją ostrość widzenia i podejście, a do którego doszło następnej jesieni, w trzecim semestrze po powrocie na DePaul, kiedy ponownie chodziłem na wprowadzenie do rachunkowości, równoległe z amerykańską teorią polityczną, będącą jeszcze jednym kursem, z którego w Lindenhurst nie otrzymałem zaliczenia, zasadniczo dlatego, że nie przysiadłem nad nauką i nie wkładałem w nią wysiłku. Choć prawdą jest, że mogłem to zrobić – zapisać się drugi raz na wprowadzenie do rachunkowości – przynajmniej częściowo po to, by sprawić ojcu przyjemność czy spłacić dług wobec niego albo żeby chociaż zmniejszyć obrzydzenie do samego siebie, jakie odczuwałem, od kiedy wkroczył w środek nihilistycznego widowiska w salonie, o którym właśnie była mowa. Prawdopodobnie od tamtej sceny i reakcji mojego ojca minęło ledwie kilka dni, gdy linią

podmiejską CTA pojechałem do przystanku Lincoln Park i rozpocząłem starania o ponowny zapis na moje ostatnie dwa lata – tak wynikało z moich dotychczasowych punktów, cztery semestry – do DePaul, chociaż ze względu na pewne kwestie praktyczne nie mogłem się oficjalnie zapisać wcześniej niż na jesieni '77 (kolejna dłuższa historia) i dzięki temu, że przysiadłem, a także schowałem dumę do kieszeni i poprosiłem o dodatkową pomoc przy planach amortyzacji, wreszcie zdałem, obok wykładanej w DePaul wersji amerykańskiej teorii politycznej (którą nazywali tam amerykańską myślą polityczną, chociaż ta wersja i wersja z Lindenhurst były niemal identyczne) w semestrze zimowym 1978, jakkolwiek z ocenami, którymi niezupełnie mógłbym się chwalić, a to dlatego, że generalnie zaniedbałem poważną naukę do egzaminów końcowych z tych dwóch przedmiotów z uwagi na (nieco jakby na ironię) dramatyczne zdarzenie, które mnie spotkało przez przypadek w trakcie zupełnie innych zajęć w DePaul, na które nawet wcale nie uczęszczałem, tylko jakoś się tam przypałałem przez nieuwagę w trakcie ostatniej powtórki tuż przed przerwą świąteczną i które tak mną poruszyło i miało na mnie taki wpływ, że ledwie co zdołałem się przygotować do egzaminów z moich właściwych przedmiotów, tyle że tym razem nie z niechlujstwa czy gnuśności, ale dlatego, że zdecydowałem, że pora na istotne, długotrwałe i skupione przemyślenia po tamtym dramatycznym spotkaniu z jezuitą od zaawansowanej rachunkowości podatkowej, czyli zajęć, na które, jak wspominałem, przyszedłem przez pomyłkę.

Prawda jest taka, że praca w IRS przyciąga tylko pewne typy ludzi. Ludzi, którzy – jak powiedział tamten ojciec mający zastępstwo na ostatnich zajęciach z zaawansowanej rachunkowości podatkowej – są „powołani do rozliczeń”. Czyli mówimy o niemal szczególnym typie psychologicznym, jak się zdaje. Nie jest to bardzo często spotykany typ, może jeden na dziesięć tysięcy, ale chodzi o to, że osoba tego typu podejmująca decyzję, że chce naprawdę wstąpić do Służby, naprawdę tego chce, staje się pełna determinacji i trudno ją będzie sprowadzić z kursu, gdy już raz skoncentruje się na swoim powołaniu i aktywnie pozwoli mu się uwieść. A nawet ta jedna na dziesięć tysięcy osób w kraju tak dużym jak Ameryka daje pokaźną grupę – około dwudziestu tysięcy ludzi – dla której IRS

spełnia, tak pod względem zawodowym, jak i psychologicznym, wszystkie kryteria prawdziwego powołania. Tych dwadzieścia tysięcy czy coś koło tego stanowi jądro Służby – czy też jej serce – i nie wszyscy są osobami wysoko postawionymi w administracji IRS, chociaż niektórzy są. To dwadzieścia tysięcy z łącznej liczby ponad stu pięciu tysięcy pracowników Służby. I bez wątpienia istnieją kluczowe cechy wspólne dla tych ludzi, przewidywalne czynniki, które prędzej czy później dojdą do głosu i obudzą w człowieku prawdziwe poczucie powołania do rachunkowości podatkowej i zarządzania systemami, i podporządkowania się zasadom organizacji, do poświęcenia się świadczeniu pomocy we wdrażaniu i egzekwowaniu przepisów prawa podatkowego tego kraju, określonych w Tytule 26. Kodeksu Przepisów Federalnych oraz w wersji poprawionej Kodeksu Izby Rozliczeń Skarbowych z 1954 plus we wszystkich statutach i przepisach uchwalonych w reformie prawa podatkowego z 1969, reformie prawa podatkowego z 1976, Ustawie o wpływach z podatków z 1978 itd., itp. Czym są te czynniki i pobudki oraz do jakiego stopnia współwystępują z określonymi zdolnościami i dyspozycjami, na których zależy Służbie – to ciekawe kwestie, których zgłębieniem i liczbową analizą IRS aktywnie się interesuje. Co się tyczy mnie i tego, jak tu trafiłem, istotne jest tu to, że je w sobie odkryłem – te czynniki i cechy – i to odkryłem nagle, na skutek, jak mi się wówczas zdawało, zwykłej pomyłki z nierozgarnięcia.

Pomijałem dotąd kwestię konsumpcji narkotyków w tamtym okresie, a także związku pewnych narkotyków z tym, jak tu trafiłem, co w żadnym razie nie jest reklamą konsumpcji narkotyków, a jedynie stanowi część opowiadania o czynnikach, które ostatecznie wpłynęły na moje przystanie do Służby. Ale to związek niebezpośredni i skomplikowany. Jest rzeczą oczywistą, że prochy stanowiły sporą część ówczesnego pejzażu – to rzecz wiadoma. Pamiętam, że w późnych latach siedemdziesiątych rzekomo najbardziej *cool* na uczelnianych kampusach w rejonie Chicagolandu była kokaina, a zważywszy na to, jak bardzo chciałem w tamtym czasie przystawać do grupy, jestem pewien, że zażywałbym więcej kokainy czy „koki”, gdyby przypadły mi do gustu efekty. Ale mnie one nie kręciły, znaczy efekty mnie nie

kręciły. Nie wywoływała u mnie euforycznego pobudzenia, raczej sprawiała, że czułem się, jakbym wypił kilkanaście filiżanek kawy na pusty żołądek. To było okropne uczucie, mimo że ludzie naokoło, jak na przykład Steve Edwards, mówili, że wrażenia po kokainie są lepsze od czegokolwiek na świecie. Nie rozumiałem tego. Nie podobało mi się także to, jak ludziom, którzy właśnie przyćpali kokę, oczy wychodziły z orbit, usta przemieszczały im się po twarzy na różne dziwne, niekontrolowane sposoby, a także to, że nawet płytkie czy banalne spostrzeżenia nagle wydawały im się niewiarygodnie głębokie. Moje ogólne wspomnienie tego kokainowego okresu sprowadza się do sytuacji, w której znalazłem się na jakiejś imprezie z kimś na kokainie, kto mówił do mnie tak szybko i intensywnie, a ja starałem się delikatnie wycofać, ale za każdym razem, gdy robiłem krok do tyłu, ta osoba robiła krok w moją stronę i tak dalej, aż przygwaździła mnie do ściany, tak że stałem dosłownie przyparty do muru, a ta osoba nawijała bardzo szybko kilka cali od mojej twarzy, co wcale mi się nie podobało. To faktycznie zdarzało się na imprezach w tamtym okresie. Wydaje mi się, że dzielę z ojcem niektóre zahamowania. Przebywanie w niewielkiej odległości od kogoś, kto jest bardzo podniecony albo wzburzony, to coś, z czym zawsze miałem kłopot, co jest jednym z powodów, dla których Dział ds. Audytów nie wchodził w grę już na etapie selekcji i przydziału w OSiE, co – spieszę objaśnić – jest skrótem od Ośrodka Szkolenia i Ewaluacji, w którym zaczynało około jednej czwartej dzisiejszego personelu Służby na stanowiskach powyżej 9. szczebla, zwłaszcza ci, którzy, tak jak ja, przyszli z programu rekrutacyjnego. W tej chwili działają dwa takie ośrodki – jeden w Indianapolis, a drugi, nieco większy, w Columbus w Ohio. Oba OSiE są oddziałami Szkoły Skarbowej, jak potocznie się je nazywa, ponieważ Służba jest w praktyce odgałęzieniem Departamentu Skarbu USA. Chociaż pod Departament Skarbu podpada także wszystko, począwszy od Biura ds. Alkoholu, Wyrobów Tytoniowych i Broni Palnej, a skończywszy na US Secret Service, w związku z czym określenie „Szkoła Skarbowa” odnosi się do kilkunastu różnych programów i obiektów szkoleniowych, w tym Federalnej Akademii Wymiaru Sprawiedliwości w Athens w Georgii, do której wysyła się tych z OSiE z przydziałem do CID na specjalne

szkolenie, które odbywają wspólnie z funkcjonariuszami BAWTiBP, DEA, marshalami i tak dalej.

W każdym razie uspokajacze typu Seconal czy Valium tylko sprawiały, że chciało mi się spać i spałem – niepodatny na jakikolwiek hałas, jaki się akurat rozlegał, w tym alarmy budzików – przez kolejnych czternaście godzin, w związku z czym również nie miały wysokich notowań na mojej liście. Musicie wiedzieć, że większość z tych substancji była w tamtym czasie zarówno mocno rozpowszechniona, jak i łatwo dostępna. Tak było zwłaszcza na UIC, gdzie współlokator, z którym obserwowaliśmy stopę i tak często bawiliśmy w Kapeluszu, był czymś w rodzaju chodzącego automatu sprzedającego substancje rekreacyjne, po tym jak nawiązał stosunki ze średniego kalibru dilerami z zachodnich przedmieść, o których wystarczyło go spytać, żeby zaczynał zachowywać się skrajnie paranoicznie i podejrzliwie, zupełnie jakby to byli mafiosi, a nie najczęściej po prostu młode małżeństwa z apartamentowców. Wiem, że we mnie jako współlokatorze podobało mu się to, że było tyle rodzajów narkotyków, których nie lubiłem albo które mi nie wchodziły, że nie musiał się ciągle martwić, że odkryję jego towar – trzymany zwykle przez niego w dwóch futerałach na gitarę z tyłu jego połowy naszej szafy, czego domyśliłby się każdy idiota, biorąc pod uwagę jego zachowanie w okolicach szafy czy liczbę futerałów na jedną jedyną gitarę, na której grał w kółko te dwie piosenki – ani że mu coś zakoszę. Jak większość handlujących studentów nie sprzedawał kokainy; w grę wchodziły zbyt duże pieniądze, o nagranych gościach łomoczących do drzwi o trzeciej nad ranem nie wspominając, tak że kokainą zajmowali się raczej nieco starsi kolesie w skórzanych kapeluszach, z niewielkim szczurzym wąsem, prowadzący swoje interesy w pubach takich jak Kapelusz czy U Króla Filipa, który był innym modnym wtedy lokalem, nieopodal siedziby giełdy towarowej przy Monroe, gdzie kolesie ci obsługiwali także co młodszych maklerów.

Tamten współlokator z UIC był zwykle solidnie zaopatrzony w psychodeliki, które wówczas zdążyły już na dobre zadomowić się w mainstreamie, choć mnie osobiście przerażały, głównie dlatego, że pamiętałem, co spotkało córkę Arta Linklettera (moi rodzice bardzo lubili oglądać Arta Linklettera, kiedy byłem dzieckiem).

Jak każdy normalny student przepadałem za alkoholem, zwłaszcza za piwem spożywanym w pubach, chociaż nie lubiłem upijać się do zrzygania – nudności są czymś, czego po prostu nie jestem w stanie znieść. Wolę już ból niż mdłości. Ale – jak prawie każdy, kto nie był ewangelikiem albo członkiem Krucjaty Studenckiej – lubiłem także marihuanę, którą na obszarze Chicagolandu w tamtym czasie nazywano ziołem albo gandzią. (Żadna z osób, które znałem, nie nazywała kokainy koką, zioło trawą nazywali natomiast jedynie ci pozujący na hipisów, bo to określenie było modne w latach sześćdziesiątych, ale w tamtym czasie zdążyło wyjść z użycia). To moje spożywanie zioła miało swój szczyt w liceum, ale czasami przypalałem też na studiach, choć przypuszczam, że była to w znacznej mierze kwestia robienia tego, co wszyscy wokół – na przykład w Lindenhurst prawie każdy palił marihuanę bez przerwy, w tym w przestrzeni publicznej na południowym dziedzińcu kampusu w środy, które wszyscy nazywali „haszrodami”. Pozwolę sobie nadmienić, że w związku z obecnym zatrudnieniem w IRS dni palenia zioła to dla mnie odległa przeszłość. Po pierwsze, Służba jest w praktyce agencją wymiaru sprawiedliwości i takie zachowanie byłoby obłudne i niewłaściwe. Na podobnej zasadzie cała kultura pracy Działu Kontroli nie sprzyja paleniu zioła, ponieważ nawet rutynowe kontrole wymagają bardzo jasnego, zorganizowanego i metodycznego stanu umysłu, charakteryzującego się zdolnością do długotrwałej koncentracji, a co ważniejsze – zdolnością wyboru obiektu skupienia uwagi oraz ignorowania obiektów niepożądanych, a więc zdolnością, którą marihuana najzwyczajniej w świecie niweczy.

Istniała jednak przez cały tamten czas kwestia sporadycznego zażywania Obetrolu, który jest chemicznie spokrewniony z Dexedrine, ale nie powodował tego efektu ohydny oddechu i posmaku w ustach co Dexedrine. Był także spokrewniony z Ritalinem, ale dużo łatwiejszy do zdobycia, ponieważ Obetrol był numerem jeden wśród sprzedawanych na receptę supresantów łaknienia, zapisywanym przez lekarzy otyłym kobietom w połowie lat siedemdziesiątych, który bardzo lubiłem, poniekąd z tych samych powodów, dla których wcześniej tak bardzo lubiłem Ritalin, choć również częściowo – biorąc pod uwagę, że teraz miałem już

o pięć lat więcej niż wtedy w liceum – z innych powodów, które trudno wytłumaczyć. Moja słabość do Obetrolu miała związek z samoświadomością, którą na własny użytek nazywałem „rozdwajaniem”. Trudno to wytłumaczyć. Weźcie na przykład zioło – zdaniem niektórych zioło ma wpędzać ich w paranoję. Ale dla mnie, jakkolwiek lubiłem zioło w pewnych sytuacjach, problem był bardziej specyficzny – palenie zioła sprawiało, że stawałem się świadomy swojej obecności, czasami do tego stopnia, że trudno mi było przebywać w towarzystwie innych ludzi. Był to jeszcze jeden powód, dla którego upalanie się razem z mamą i Joyce było takie niezręczne i nerwowe – prawda jest taka, że właściwie wołałem palić zioło samemu, żeby ujarać się w samotności i po prostu tak odpłynąć. Mówię o tym w kontraście do Obetrolu, który można było zażywać jak zwykłą kapsułkę albo rozkręcić kapsułkę i zetrzeć drobne kuleczki ze środka na proszek i wciągać nosem przez słomkę albo zwinięty banknot. Ale wciąganie Obetrolu powoduje dość potworne pieczenie w nosie, więc zwykle wołałem staroświecki sposób, co na własny użytek nazywałem obetrolowaniem. Nie żebym obetrolował przez cały czas – Obetrol był u mnie raczej środkiem rekreacyjnym i nie zawsze łatwo dostępnym, bowiem jego dostępność zależała od tego, czy podejście do odchudzania tych otyłych dziewczyn, które człowiek znał w danym koledżu czy akademiku, było poważne, czy nie, a to w niektórych przypadkach było poważne, w innych nie było, czyli tak jak ze wszystkim. Jedną studentką, u której się zaopatrywałem przez prawie cały rok w DePaul, nie była nawet specjalnie otyła – jej matka przysyłała jej tabletki razem z upieczonymi przez siebie ciasteczkami – najwyraźniej matka cierpiała z powodu poważnych konfliktów psychologicznych związanych z jedzeniem i z masą ciała i starała się projektować je na własną córkę, która może nie była od razu jakąś laską, ale która neurozę matki na punkcie jej wagi traktowała bardzo na luzie i *blasé* i która podchodziła do tego z postawą w stylu „wszystko jedno”, ograniczając się do opylania Obetrolu po dwa dolary za sztukę i dzielenia się ciasteczkami ze współlokatorką. Był też jeden gość w tym wysokim akademiku przy Roosevelta, któremu lekarz przepisywał je na narkolepsję – czasami gość po prostu zasypiał w środku jakiejś czynności, więc przyjmował Obetrol

z medycznej konieczności, jako że najwidoczniej lek bardzo pomagał na narkolepsję – i czasami, gdy się rozrzewnił, rozdawał kilka kapsułek, ale nigdy ich nie sprzedawał ani nimi nie handlował – twierdził, że to grozi złą karmą. Ale na ogół nie były trudno dostępne, chociaż współlokator z UIC nie sprzedawał pigułek Obetrolu i nacierał mi uszu, widząc, że w nich gustuję, nazywając te stymulanty „małymi pomocnikami mamusi” i mówiąc, że każdy, kto ma na nie ochotę, może zadzwonić do drzwi pierwszej z brzegu otyłej gospodyni domowej w Chicagolandzie, co było oczywiście przesadą. Nie cieszyły się jednak wcale wielką popularnością. Nie miały nawet slangowych nazw czy eufemizmów, za pomocą których można by o nich mówić – jeśli się ich szukało, trzeba było po prostu posłużyć się nazwą handlową, co z jakiegoś powodu wydawało się strasznie niecool, a spośród osób, które znałem, niedostatecznie wiele było nimi zainteresowanych, żeby „obetrołowanie” miało szansę stać się modnym terminem.

Zioło wspominał tu przez kontrast. Obetrołowanie nie sprawiało, że stawałem się świadomy swojej obecności. Za to sprawiało, że stawałem się dużo bardziej samoświadomy. Jeśli byłem akurat w pokoju, połknąwszy wcześniej popity szklanką wody Obetrol czy dwa, które zaczynały działać, to nie tylko znajdowałem się w tym pokoju, ale też byłem świadomy tego, że znajduję się w tym pokoju. Pamiętam, że wręcz myślałem albo mówiłem do siebie, cicho, ale bardzo wyraźnie: „Jestem w tym pokoju”. Trudno to wytłumaczyć. Wtedy nazywałem to „rozdwarzaniem”, ale i tak nie jestem do końca pewien, co przez to rozumiałem ani co było dla mnie takiego doniosłego i cool w tym, że nie tylko byłem w pokoju, ale że byłem totalnie świadomy tego, że w nim jestem, siedzę w pewnym fotelu w pewnej pozycji, słuchając pewnego utworu z pewnego albumu, którego okładka to pewna określona kombinacja kolorów i wzorów, w stanie świadomości podwyższonej do tego stopnia, bym mógł świadomie powiedzieć do siebie: *Jestem teraz w tym pokoju. Cięż stopy obraca się na wschodniej ścianie. W cieniu nie da się dopatrzeć stopy ze względu na zniekształcenie cienia kątem padania światła, wynikającym z pozycji słońca za obrotowym znakiem stopy. Siedzę wyprostowany w ciemnozielonym fotelu ze śladem po papierosie wypalonym w prawym oparciu ręki. Ślad po papierosie jest czarny*

i idealnie okrągły. Utworem, którego słucham, jest The Big Ship z albumu Another Green World Briana Eno, którego okładka to kolorowe wycinankowe sylwetki wewnątrz białej ramki. Taka liczba szczegółów może się wydawać niestrawna, ale wcale taka nie była. Odczuwałem to jako coś w rodzaju wynurzania się, jakkolwiek na niedługo, z niewyraźnego nurtu życia, z którym wtedy płynąłem. Jak gdybym był maszyną, która nagle sobie uświadamia, że jest człowiekiem i nie musi w kółko powtarzać bezmyślnie zaprogramowanych czynności. Miało to też związek z uwagą. To było coś innego niż w przypadku rekreacyjnych prochów, które sprawiały, że kolory były jaśniejsze, a muzyka bardziej intensywna. Na intensywności przybierała świadomość mojego miejsca w tym wszystkim, to, że mogłem temu naprawdę poświęcać uwagę. Chodzi o to, że na przykład patrzyłem na ściany pokoju w akademiku pomalowane na zakładowooliwkowo czy beżowo i nie tylko je widziałem, ale miałem świadomość tego, że je widzę (to był tamten akademik UIC) i że na co dzień mieszkam w tych ścianach i prawdopodobnie ich zakładowy odcień wpływa na mnie na różne, ledwie zauważalne sposoby, ale że zwykle nie byłem świadomy tego, jak działają na moje samopoczucie, ani tego, jak to właściwie jest na nie patrzeć, a zwykle nie byłem świadomy nawet ich barwy i faktury, ponieważ nigdy nie przyglądałem im się dokładnie i w skupieniu. Było to dosyć uderzające. Miały z grubsza gładką fakturę, ale jeśli popatrzyło się naprawdę uważnie, można było dostrzec również sporo grudek i włókien, które malarze zwykle zostawiają, gdy płaci im się od roboty, a nie od godziny, co motywuje ich do pośpiechu. Jeżeli naprawdę się czemuś przyjrzeć, niemal zawsze da się odgadnąć, na podstawie jakiej umowy pracowała osoba, która to wykonała. Albo to z cieniem znaku i tym, jak położenie i wysokość słońca w danej chwili wpływa na kształt cienia, który przeważnie sprawiał wrażenie, jakby się zwięzał i rozszerzał, w miarę jak rzeczywisty znak po przeciwnej stronie ulicy obracał się wokół własnej osi; albo jak włączanie i wyłączanie lampki biurkowej obok krzesła zmieniało wzajemny stosunek światła i rozmaitych przedmiotów w pokoju, przejawiający się w cieniach na ścianach, a nawet w określonym odcieniu ścian i sufitu, i to wpływało na wszystko, i że – poprzez „rozdawanie” –

byłem także świadomy tego, że na przemian wyłączam i włączam lampkę, dostrzegając zmiany i to, jak na mnie wpływają, a także jak na mnie wpływa ich dostrzeganie. To może brzmi abstrakcyjnie albo jakby to mówił ktoś na bani, ale właśnie nie. Dla mnie było w tym coś żywego. Było w tym coś, co ceniłem. Mogłem słuchać Floydów albo którejs z płyt, które mój współlokator w kółko puszczał w swoim pokoju, na przykład *Sierżanta Pieprza*, i nie tylko słyszałem muzykę i każdą nutę, i zmianę akordu czy tonacji albo rozwiązanie akordu, ale przy tym wszystkim wiedziałem, utrzymując ten sam poziom świadomości i zdolności rozpoznawania, że właśnie to wszystko robię, to znaczy naprawdę słucham: *W tej chwili słucham drugiego refrenu w Fixing a Hole Beatlesów*, a do tego jeszcze byłem świadomy dokładnych uczuć i wrażeń, które muzyka we mnie wyzwała. Wszystko to może brzmi milusio hipiśnie, ta łączność z własnymi uczuciami i te sprawy. Ale jak pokazuje moje doświadczenie tamtego czasu, większość ludzi zawsze coś odczuwa albo ma do czegoś jakiś stosunek, albo poświęca uwagę jednej rzeczy czy części jakiejś rzeczy bez świadomości, że to robi. Robimy to automatycznie, coś jak z biciem serca. Czasami siedziałem w pokoju i uświadamiałem sobie, jak wielkim wysiłkiem jest skupiać uwagę tylko na uderzeniach własnego serca dłużej niż jakąś minutę – prawie jakby bicie waszego serca chciało pozostawać poza świadomością, jak gwiazda rocka unikająca światła jupiterów. Ale poczućcie je, jeśli się rozdwoicie i poświęćcie mu uwagę. Tak samo z muzyką, tu też rozdwarzanie się było bardzo uważnym słuchaniem, a zarazem odczuwaniem wszelkich emocji, jakie muzyka wywoływała (bo dlatego, rzecz jasna, słuchamy muzyki – ponieważ sprawia, że czujemy pewne rzeczy, inaczej byłaby jedynie hałasem), i chodzi nie tylko o samo ich odczuwanie przy słuchaniu, ale świadomość tych emocji, tak że można powiedzieć do siebie: *Ta piosenka sprawia, że jest mi ciepło i bezpiecznie jak małemu chłopcu, którego właśnie wyjęto z kąpieli i owinięto w ręczniki, wyprane tyle razy, że są niewiarygodnie miękkie, a jednocześnie jest mi smutno; jest jakaś pustka w środku tego ciepła, trochę jak smutek pustego kościoła albo sali szkolnej z mnóstwem okien, przez które widać tylko deszcz na ulicy, tak jakby w samym jądrze tego wrażenia bezpieczeństwa, otulenia, znajdowało się ziarno pustki*. Nie żeby dokładnie tak się o tym

powiedziało, ale chodzi o to, że było to dostatecznie wyraźne i namacalne, że gdyby się chciało, można by to opisać tak szczegółowo. I jeszcze ta świadomość tej wyrazistości. W każdym razie dlatego przepadałem za Obetolem. Nie chodziło tylko o odloty przy ładnej muzyce czy przyszpilanie kogoś do ściany na imprezie.

I to nie były tylko dobre czy przyjemne rzeczy, te, których się było świadomym na Obetolu czy Cylercie. Niektóre sprawy, których świadomość wywoływały, nie były niczym przyjemnym, a po prostu rzeczywistością. Jak na przykład to, że siedzę w niewielkim dużym pokoju akademika UIC i słucham współlokatora-łamane-przez-buntownika-przeciw-społecznym-schematom z Naperville, jak w swoim pokoju rozmawia przez telefon (ten tak zwany nonkonformista miał doprowadzony własny telefon, za który płacił... zgadnijcie kto) z jakąś koleżanką, czego nie dało się nie słyszeć przez ścianę, o ile nie leciała muzyka czy telewizor, bo ściany słynęły z tego, że dało się je przebić pięścią, jeżeli było się typem, który przywala w ściany... No więc że słucham, jak częstuje tamtą dziewczynę przypochlebczą gadką i nie tylko czuję do niego jakby niechęć i zażenowanie sposobem, w jaki rozmawia z dziewczynami (tak jakby ktokolwiek, kto poświęcił temu choćby odrobinę uwagi, mógł nie zauważyć, jak bardzo się stara stwarzać wrażenie, że jest fajny i myśli radykalnie, nie mając przy tym najmniejszego pojęcia, jak to naprawdę wygląda, a mianowicie szczeniacko, asekurancko, próżno), i słucham tego, i czuję to wszystko, ale mam też nieprzyjemną świadomość, że tego słucham i to czuję, to znaczy, że świadomie odczuwam i zdaję sobie sprawę z tych wewnętrznych reakcji, a nie tylko pozwalam, żeby u mnie zachodziły, właściwie ich nie zauważając. Chyba nie tłumaczę tego najlepiej. Coś jak to, że jest się w stanie powiedzieć do siebie: *Udaję, że tu siedzę i czytam Upadek Alberta Camusa na egzamin semestralny z literatury alienacji, ale w rzeczywistości podstuchuję, jak Steve usiłuje przez telefon wywrzeć pewne wrażenie na dziewczynie, i czuję zażenowanie i pogardę dla niego, i myślę, że jest pozerem, a jednocześnie mam nieprzyjemną świadomość przypadków, kiedy ja też starałem się sprawiać wrażenie bardzo wyluzowanego i cynicznego, żeby komuś zaimponować, czyli że nie tylko jakbym czuł*

niechęć wobec Steve'a, co, tak mówiąc całkiem szczerze, jest prawdą, ale częściowo pogardzam nim dlatego, że kiedy słyszę, jak rozmawia przez telefon, dostrzegam podobieństwa i uświadamiam sobie rzeczy w moim zachowaniu, które każą mi się wstydzić, ale nie wiem, jak z nimi skończyć – powiedzmy, jeśli przestanę się starać uchodzić za nihilistę, nawet we własnych oczach, to co się wtedy stanie, jaki ja wtedy będę? I czy w ogóle będę to pamiętał, kiedy nie będę już na Obetrolu, czy zwyczajnie powrócę do stanu irytacji Steve'em Edwardsem, nie dając sobie nawet szans na dostrzeżenie tego faktu ani jego powodu? Czy to ma sens? To bywało przerażające, ponieważ widziałem to wszystko niepokojąco wyraźnie, jakkolwiek w tamtym czasie nie użyłbym słowa „nihilizm” inaczej niż z zamiarem, by brzmiało to fajnie albo jak aluzja, choć przed samym sobą w chwilach jasności, jaką dawało rozdwojenie, nie kusiło mnie to, bo też tego rodzaju rzeczy robiłem wyłącznie, kiedy nie zdawałem sobie sprawy z moich rzeczywistych pobudek, tylko działałem na jakimś dziwnym robocim autopilocie. Przy czym, gdy wziąłem Obetrol (albo kiedyś w DePaul jego analog, Cylert, który był dostępny tylko w dziesięciomiligramowych tabletkach i miałem do niego dostęp tylko jednorazowo w bardzo wyjątkowej sytuacji, która się już nie powtórzyła), zwykle docierało do mnie, że przez większość czasu nie mam nawet świadomości tego, co się dzieje. To jakby wsiąść do pociągu, zamiast usiąść za kierownicą, gdzie trzeba się orientować i decydować, w którym miejscu skręcić. Siedząc w pociągu, można po prostu odpłynąć i dać się wieźć, co jako wrażenie przypominało mi w znacznej mierze moje zachowanie. I tego też byłem świadomy na tych stymulantach, a także faktu, że jestem tego świadomy. Rozpoznania były jednak krótkotrwałe, tak że później, po tym jak Obetrol przestawał działać – co zwykle wiązało się z silnym bólem głowy – miałem wrażenie, jakbym zapamiętywał ledwo co z tych rzeczy, których stawałem się świadomy. Wspomnienie wrażenia nagłego przebudzenia i doświadczenia świadomości było mgliste i rozmyte jak coś, co wydaje się wam, że widzicie na obrzeżach pola widzenia, ale znika, kiedy staracie się spojrzeć na to wprost. Albo jak fragment wspomnienia, co do którego nie macie pewności, czy jest prawdziwe, czy wam się przyśniło. Dokładnie tak jak, rzecz jasna, przewidywałem i jak się tego obawiałem, gdy byłem rozdwojony.

Tak więc nie była to czysta zabawa, przy czym właśnie dlatego obetrolowanie wydawało mi się czymś prawdziwym i istotnym, a nie po prostu ogłupiającym i przyjemnym jak zioło. Czasem to, co czułem, było nieprzyjemnie wyraziste. Tak jakbym nie tylko uzmysławiał sobie własną niechęć wobec współlokatora i jego dżinsowych koszul, i gitary, i wszystkich tak zwanych znajomych, którzy wpadali i musieli udawać, że go lubią i myślą, że jest *cool*, żeby dostać od niego po swoim gramie haszu czy czegoś tam, i to nie tylko niechęć wobec całej sytuacji ze wspólnym mieszkaniem czy nawet nihilistycznego rytuału ze stopą i Kapeluszem, co do którego udawaliśmy, że jest dużo śmieszniejszy i bardziej *cool*, niż był w rzeczywistości (bo nie był to jednorazowy czy kilkukrotny wygłup, tylko praktycznie robiliśmy to przez cały czas; tak naprawdę to stanowiło wymówkę, żeby się nie uczyć i nie pracować, tylko trwać w przewalactwie, podczas gdy nasi rodzice opłacali nam chesne, wikt i opierunek), ale także jakbym uzmysławiał sobie, gdy naprawdę się temu przyglądałem, że jakaś część mnie postanowiła mieć Steve'a Edwardsa za współlokatora, ponieważ jakaś część mnie jakby lubiła nim pogardzać i katalogować dowody na jego hipokryzję, które sprawiały, że czułem pewien zaprawiony zażenowaniem niesmak, i że muszą istnieć pewne psychologiczne powody, dla których mieszkałem, jadałem, imprezowałem i zadawałem się z osobą, którą nie za bardzo lubię i szanuję... co prawdopodobnie oznaczało, że sam siebie za bardzo nie darzyłem szacunkiem i dlatego byłem takim konformistą. I rzecz w tym, że kiedy tak siedziałem, podsłuchując Steve'a, jak opowiada tamtej dziewczynie przez telefon, że zawsze uważał, że jedyną nadzieją dla rodzaju ludzkiego jest przestać postrzegać dzisiejsze kobiety jako obiekty seksualne, artykułowałem sobie to wszystko bardzo jasno i przytomnie, zamiast po prostu dryfować i doświadczać wszystkich tych wrażeń i reakcji związanych ze Steve'em, nie uświadamiając sobie ich do końca. Tak więc generalnie chodziło w tym o uzmysławianie sobie, jak nieuważny jestem zazwyczaj i że gdy skończy się efekt speeda, zwyczajnie powrócę do tego uśpienia. Czyli że to nie była tylko zabawa. Ale na pewno dawało to wrażenie *intensywności życia* i pewnie dlatego to lubiłem. Miałem wrażenie, jakbym *należał* do siebie. A nie jakbym siebie tylko *wynajmował* czy

coś – nie wiem. Ale ta analogia jest zbyt łatwa, jak tani bon mot. To, o co w tym chodzi, jest trudne do wytłumaczenia, a ja już pewnie za długo wokół tego krążę. Oczywiście nie usiłuję tu przemycać żadnego komunikatu zachęcającego do zażywania narkotyków. Chociaż były ważne. Dzisiaj lubię myśleć, że Obetrol i inne typy speeda były czymś w rodzaju drogowskazów czy znaków drogowych, pokazujących mi, co byłoby możliwe, gdybym stał się bardziej świadomy i obecny w codziennym życiu. W tym sensie uważam, że zażywanie tych narkotyków było dla mnie cennym doświadczeniem, bo generalnie byłem tak nieodpowiedzialny i żyłem bez jakiegokolwiek celu, że potrzebowałem bardzo jasnej, dosadnej podpowiedzi, że bycie w pełni żywą, odpowiedzialną, autonomiczną dorosłą osobą to coś znacznie więcej, niż sobie wówczas potrafiłem wyobrazić.

Z drugiej strony wiadomo, że kluczową kwestią jest umiar. Nie można było cały czas brać Obetrolu i siedzieć w rozdwojeniu i świadomości, i spodziewać się, że się będzie w stanie skutecznie robić swoje. Pamiętam, jak na przykład nie zdążyłem przeczytać *Upadku* Camusa na czas i jak musiałem totalnie lawirować, żeby zaliczyć semestr z literatury alienacji – innymi słowy, oszukiwałem, przynajmniej pośrednio – i jak nie czułem w związku z tym nic, może poza jakąś cyniczną, zaprawioną niesmakiem ulgą, gdy przeczytałem komentarz przy czwórce „Miejscami interesujące!”. Czyli bezsensowne bzdury pod bezsensownymi bzdurami. Ale nie dało się zaprzeczyć, że to było mocne – poczucie, że wszystko, co ważne, było tu, na miejscu, i zdarzało mi się obudzić w pół kroku, w samym środku tych bezsensownych bzdur i nagle to sobie uzmysłowić. Trudno to wytłumaczyć. Tak naprawdę to myślę, że Obetrol i rozdwanie były pierwszymi iskrami tego jakby impulsu, który doprowadził mnie do pracy w Służbie i do określonych problemów i priorytetów, którymi zajmujemy się w Regionalnym Centrum Kontroli. To miało jakiś związek z uwagą i zdolnością decydowania, czemu poświęcić uwagę, i ze świadomością dokonywania tego wyboru, faktem, że to wybór. Nie jestem szczególnie bystry, ale myślę, że nawet w tym żalonym, bezcelowym okresie gdzieś głęboko wiedziałem, że moje życie to coś więcej niż tylko proste psychologiczne impulsy poszukiwania

przyjemności i próżność, którym pozwalałam mną kierować. Że istnieją we mnie pokłady czegoś, co nie jest ściemą ani dziecinadą, ale czymś istotnym, i że one nie są czymś abstrakcyjnym, ale tak naprawdę czymś bardziej realnym niż moje ubrania albo wizerunek, i że płoną niemal świętym ogniem (mówię poważnie; nie chodzi mi o to, żeby to wyglądało na bardziej dramatyczne, niż było w rzeczywistości), i że te najrzeczywistsze, najistotniejsze części nie wiążą się z popędami czy apetytami, ale ze zwykłą uwagą, świadomością, które byłyby ze mną, gdyby udało mi się podtrzymać ten stan świadomości poza hajem na speedzie.

Ale nie mogłem. Jak już wspomniałem, zwykle po wszystkim nie mogłem sobie nawet przypomnieć, co wydawało mi się takie wyraźne i doniosłe w tym, czego stawałem się świadomy, siedząc w tym tanim zielonym fotelu po poprzednim lokatorze, który ten ktoś po prostu zostawił w pokoju, gdy wyprowadzał się z akademika, i w którym jakaś część ramy pod obiciem była pęknięta czy wygięta, tak że jakby przechylał się w jedną stronę, gdy człowiek się w nim odchyłał, więc trzeba było w nim siedzieć wyprostowanym, co dawało dziwne wrażenie. Cały epizod rozdwojenia następnego ranka spowijało już coś w rodzaju mentalnej mgły, zwłaszcza jeśli wstałem późno, a tak było zazwyczaj, zważywszy na to, co w sumie kwalifikuje się jako wpływ amfetaminy na zasypianie – tak że musiałem właściwie z miejsca zasuwać na zajęcia, w pędzie nie zauważając nikogo i niczego na swojej drodze. Krótko mówiąc, byłem jednym z tych typów, których przeraża perspektywa spóźnienia, a mimo to zawsze biegną na ostatnią chwilę. Jeżeli przyszedłem dokądś spóźniony, często byłem z początku zbyt spięty, żeby w ogóle kojarzyć, co się dzieje. Wiem, że odziedziczyłem lęk przed spóźnieniem po ojcu. Plus jest prawdą, że czasami pobudzona świadomość i autoartykulacja przy obetrolowym rozdwojeniu potrafiła wymknąć się spod kontroli: *Teraz jestem świadomy tego, że uświadamiam sobie, że siedzę dziwnie prosto, teraz jestem świadomy swędzenia po lewej stronie szyi, teraz jestem świadomy, że rozważam możliwość podrapania się, a teraz, że skupiam uwagę na tym rozważaniu i na odczuwaniu ambiwalencji decyzji o podrapaniu się, a przy tym na związku tych rozważań z intensywnością swędzenia.* Czyli że istniała granica w rozdzwajaniu

się, po przekroczeniu której element możliwości wyboru przedmiotu uwagi zniknął, a świadomość mogła zamienić się w gabinet luster samoświadomych wrażeń, myśli oraz świadomości świadomości uświadomienia sobie tego. To było ukierunkowywanie uwagi bez dokonywania wyboru, to znaczy utrata zdolności koncentrowania się na jednej wybranej rzeczy, co zresztą stanowiło jeszcze jedną przesłankę przemawiającą za umiarkowanym użyciem Obetrolu, zwłaszcza późno w nocy – muszę przyznać się do tego, że wiadomo mi o jednym czy dwóch incydentach, kiedy tak bardzo pogubiłem się w korytarzach nawarstwionych świadomości świadomości, że załatwiłem się na sofę, tak jak siedziałem (to było w Lindenhurst College, gdzie mieszkało się po trzech na studio, którego centrum stanowił częściowo umeblowany salon z sofą), co już wówczas uderzyło mnie jako wyraźny znak utraty podstawowych priorytetów i niezdolności do zajmowania się własnymi sprawami. Z jakiegoś powodu przed oczami staje mi czasami scena, w której usiłuję wyjaśnić ojcu, jak to jest, że czasami potrafię się wprowadzić w stan tak totalnego skupienia i świadomości, że siedząc, moczę spodnie, ale obraz urywa się w momencie, w którym on składa usta do odpowiedzi, i jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że to nie jest prawdziwe wspomnienie (skąd niby miałby się dowiedzieć o sofie gdzieś tam w Lindenhurst?).

A skoro już o nim mowa, to chcę powiedzieć, że naprawdę brakuje mi ojca i czułem żal w związku z tym, co się stało, a czasem jest mi dość smutno, kiedy pomyślę, że nie może zobaczyć ścieżki kariery, którą dla siebie wybrałem, ani zmian, które w związku z tym zaszły we mnie jako osobie, ani niektórych spośród moich ocen pracowniczych PP-47, ani że nie możemy pogadać o systemach kosztowych czy księgowości dochodzeniowej ze znacznie doroślejszej perspektywy.

A mimo to tamte przebłyski głębszej świadomości, po narkotykach czy bez nich – bo można by się spierać co do tego, na ile ostatecznie ma to znaczenie – prawdopodobnie wywarły bardziej bezpośredni wpływ na zmianę mojego życia i ścieżki oraz moje wstąpienie do Służby w 1979 roku niż wypadek mojego ojca czy bodaj jeszcze bardziej dramatyczne przeżycie na powtórkowych zajęciach z rachunkowości podatkowej, na które trafiłem przez

pomyłkę w trakcie mojego drugiego, ostatecznie znacznie solidniejszego i udanego podejścia do studiów w DePaul. Wspomniałem już o tej omyłkowej powtórcie przed egzaminem. W kilku słowach – cała ta historia wzięła się stąd, że kampus DePaul w Lincoln Park miał dwa nowe bardzo podobne do siebie budynki, które były niemal swoimi lustrzanymi odbiciami, połączone na wysokości parteru, a także (za pośrednictwem kładki całkiem podobnej do tej, którą mamy tu w RCK na Środkowy Zachód) na wysokości drugiego piętra, przy czym wydziały Rachunkowości i Nauk Politycznych w DePaul mieściły się każdy w innym budynku tego bliźniaczego założenia, których nazw nie przypominam sobie w tej chwili. Nazw tych budynków. To były ostatnie w harmonogramie zajęcia semestru zimowego w '78 i mieliśmy na nich powtórkę tematów na egzamin z amerykańskiej myśli politycznej, na którym miały być same pytania otwarte, i po drodze na ostatnią powtórkę usiłowałem przejść w głowie zagadnienia, co do których chciałem mieć pewność, że ktoś na zajęciach o nie zapyta – to nie musiałem być ja – w sensie stopnia szczegółowości oczekiwanej odpowiedzi na egzaminie. Poza wprowadzeniem do rachunkowości nadal chodziłem w większości na kursy z psychologii i nauk politycznych, przy czym na te drugie głównie dlatego, że były mi potrzebne przy zgłaszaniu przedmiotu kierunkowego, co było wymogiem przy staraniu się o absolutorium – tyle że teraz, gdy już nie chodziło mi o to, żeby po prostu prześlizgiwać się za pomocą jakiegoś kitu wysmażonego na kolanie na ostatnią chwilę, te zajęcia były oczywiście dużo trudniejsze i kosztowały mnie dużo więcej czasu. Pamiętam, że większą część amerykańskiej myśli politycznej w wydaniu DePaul stanowiły omówienia esejów z *Federalisty* autorstwa Madisona *et al.*, które miałem już wcześniej w Lindenhurst, ale z których prawie nic nie pamiętałem. W skrócie – byłem tak skupiony na myśleniu o powtórkowych zajęciach i egzaminie końcowym, że wszedłem na kampus nie tym wejściem, nie zauważywszy tego, i znalazłem się we właściwej sali, tyle że na drugim piętrze niewłaściwego budynku, a sala ta była tak bliźniaczo podobna do właściwej sali w przyległym budynku, że nie od razu dostrzegłem swoją pomyłkę. I okazało się, że w niej odbywa się powtórka przed egzaminem z zaawansowanych zagadnień

rachunkowości, mitycznie trudnego kursu w DePaul, na Wydziale Rachunkowości, uznawanego za odpowiednik tego, czym dla studentów kierunków ścisłych jest chemia organiczna – za ostatnią przeszkodę, kurs odsiewczy, na który zapis wymagał spełnienia szeregu warunków wstępnych, dedykowany wyłącznie studiującym rachunkowość jako przedmiot kierunkowy oraz doktorantom i ponoć wykładany przez kilku ostatnich jezuitów w DePaul, znaczy takich w oficjalnych czarno-białych uniformach, bez krzty poczucia humoru czy potrzeby bycia lubianymi przez studentów albo „szukania wspólnego języka”. Jezuici w DePaul cieszyli się złą sławą nieaksamitnych. Mój ojciec, nawiasem mówiąc, otrzymał wychowanie katolickie, chociaż jako dorosłego z Kościołem nie łączyło go zbyt wiele, a może zgoła nic. Moja mama pochodzi z rodziny wyznającej luteranizm. Jak wiele dzieci z mojego pokolenia nie wychowywano mnie w żadnej wierze. Ale tamto wtedy, w identycznej sali wykładowej, okazało się też jednym z najbardziej nieoczekiwanych w swojej intensywności, elektryzujących zdarzeń w moim życiu do wówczas i wywarło na mnie takie wrażenie, że do dzisiaj pamiętam, co miałem na sobie, gdy tam siedziałem: akryłowy sweter w czerwone i brązowe pasy, białe spodnie malarskie i trampki z Timberlanda, których kolor mój współlokator (poważny student chemii, nigdy więcej Steve’ów Edwardsów i obrotowych stóp) nazwał żółcią pieskogównianą, z rozwiązanymi sznurowadłami, czyli tak jak nosili swoje timberlandy wszyscy, których znałem i z którymi się spotykałem tamtego roku.

A tak przy okazji, nie wydaje mi się, żeby świadomość była czymś innym niż myślenie. Jestem, jak sędzę, podobny do większości ludzi w tym, że nie organizuję swoich najważniejszych myśli w wielkie, intencjonalne bloki, nie siedzę na krześle nieprzerwanie przez dłuższy czas, wiedząc z góry, o czym będę myślał, dajmy na to: *Zamierzam rozmyślać nad życiem i moim w nim miejscem, i nad tym, co jest dla mnie naprawdę ważne, bym mógł formułować wyraźne, jasno określone cele i plany mojej ścieżki w dorosłym życiu*, po czym siedzę i myślę o tym, aż dojdę do jakichś wniosków. To nie działa w ten sposób. Jeśli chodzi o mnie, najważniejsze przemyślenia przychodzą mi do głowy w sposób incydentalny, przypadkowy, niemal

marzycielski. Przy robieniu kanapki, pod prysznicem, na krześle z kutego żelaza w przestrzeni gastronomicznej galerii handlowej w Lakehurst, w oczekiwaniu na kogoś, kto się spóźnia, w wagonie kolejki CTA, kiedy spoglądam jednocześnie na przesuujące się widoki za oknem i własne niewyraźne odbicie nakładające się na nie na szybie – i nagle okazuje się, że człowiek myśli o rzeczach, które są koniec końców ważne. To niemal przeciwieństwo świadomości, jeśli się nad tym zastanowić. Wydaje mi się, że to doświadczenie niezamierzonego myślenia jest szeroko rozpowszechnione, o ile nie dotyczy wszystkich, chociaż nie jest czymś, o czym można tak naprawdę opowiedzieć komuś innemu, bo koniec końców okazuje się tak abstrakcyjne i trudne do wytłumaczenia. Z kolei gdy w kontrolowanym przyływie skoncentrowanych przemyśleń, gdy usiądzie się ze świadomym zamiarem skonfrontowania się z zasadniczymi pytaniami, takimi jak *Czy jestem teraz szczęśliwy?* albo *O co mi ostatecznie chodzi i w co wierzę?* czy też (zwłaszcza jeśli jakiś autorytet właśnie natarł wam uszu) *Czy jestem zasadniczo kimś wartościowym, kto przyczynia się do powszechnego dobra, czy raczej kimś, kto dryfuje, kimś obojętnym i nihilistycznym*, wtedy pytania często zostają bez odpowiedzi, ale bardziej tak, jakby zajechane na śmierć, tak pogryzione z każdej strony i zbombardowane pod każdym kątem zastrzeżeniami i komplikacjami, że stają się w końcu jeszcze bardziej abstrakcyjne niż na początku i przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nic się w ten sposób nie osiąga, przynajmniej z tego, co mi wiadomo. Z całą pewnością – a potwierdzają to wszelkie dowody – ani św. Paweł, ani Marcin Luter, ani autorzy *Federalisty*, ani nawet prezydent Reagan nie zmienili kierunku swojego życia w taki sposób – działo się to bardziej za sprawą przypadku.

Co się tyczy mojego ojca, muszę przyznać, że nie wiem, jak wyglądały konkretne fundamentalne przemyślenia, które kazały mu obrać kierunki, w których podążał przez całe życie. Nie wiem nawet, czy w jego przypadku w ogóle były jakieś wielkie świadome przemyślenia. Podobnie jak wielu mężczyzn z jego pokolenia mógł być jednym z tych ludzi, którzy są w stanie działać na autopilocie. W jego wizji życia pewne rzeczy się robiło i już, po prostu trzeba było je robić – jak na przykład chodzić co dzień do pracy. Całkiem

możliwe, że to także element przepaści pokoleniowej. Nie wydaje mi się, żeby ojciec kochał swoją pracę dla urzędu miejskiego, ale z drugiej strony nie jestem pewien, czy kiedykolwiek zadawał sobie duże pytania typu: Czy lubię moją pracę? Czy na pewno chcę, żeby przy niej upłynęło mi życie? Czy daje mi takie spełnienie, o jakim marzyłem jako rekrut w Korei, czytając w nocy na pryczy w koszarach poezję brytyjską? Miał rodzinę do utrzymania, to była jego praca, wstawał codziennie i ją wykonywał, i tyle, wszystko inne to bezsensowne roztkliwianie się nad sobą. Możliwe, że tak właśnie wyglądała ogólna suma jego rozmyślań na ten temat. Zasadniczo powiedział „wszystko jedno” swojemu losowi, choć oczywiście w zupełnie inny sposób niż dryfujący bez celu przewalacy z mojego pokolenia mówili „wszystko jedno”.

Z kolei moja matka zmieniła kierunek swojego życia w sposób bardzo radykalny, ale tu także nie wiem, czy był to wynik wytężonego myślenia. Tak naprawdę to wątpię. Po prostu tego typu rzeczy tak nie działają. Prawda jest taka, że większość wyborów mojej matki ma podłoże emocjonalne. To jeszcze jedna dynamika wspólna dla przedstawicieli jej pokolenia. Myślę, że chciała wierzyć, że feministyczne uświadamianie i Joyce, i cała sprawa z nią i Joyce, i z rozwodem były wynikiem myślenia, jakiejś świadomej zmiany filozofii życiowej. Ale w rzeczywistości to były emocje. Przeżyła coś w rodzaju załamania nerwowego w 1971, chociaż nikt nawet nie użył tego określenia. A może wystrzegą się mówienia „załamanie nerwowe”, by zamiast tego mówić, że była to nagła, świadoma zmiana przekonań i ukierunkowania. No i jak tu się z czymś takim kłócić? Żałuję, że nie rozumiałem tego wtedy, ponieważ pod pewnymi względami byłem dość nieprzyjemny i okazywałem jej lekceważenie w związku z tą historią z Joyce i rozwodem. Prawie jakbym podświadomie trzymał stronę ojca i wziął na siebie wygłaszanie wszystkich tych nieprzyjemnych, protekcyjnych stwierdzeń, na których wypowiedzenie on nigdy by sobie nie pozwolił, gdyż miał na to zbyt dużo samokontroli i poczucia godności. Nawet spekulowanie na ten temat jest prawdopodobnie jałowe – jak mawiał mój ojciec, inni zrobią to, co będą chcieli zrobić, więc wszystko, co tak naprawdę możesz, to rozegrać karty, które dostałeś od życia, najlepiej, jak potrafisz. Nie byłem w stanie

stwierdzić z pełnym przekonaniem, czy w ogóle za nią tęsknił albo odczuwał smutek. Kiedy myślę o nim teraz, widzę, że był samotny, że było mu bardzo trudno, rozwiedzionemu i samemu w tamtym domu w Libertyville. Po rozwodzie pod różnymi względami czuł się prawdopodobnie wolny, co oczywiście ma swoje dobre strony – mógł wychodzić i wracać, kiedy mu się podobało, a gdy z jakiegoś powodu nacierał mi uszu, nie musiał się martwić o odpowiedni dobór słów ani kłócić się z kimś, kto trzymał moją stronę niezależnie od wszystkiego. Ale na skali psychologicznego kontinuum wolności tego typu bardzo blisko do samotności. Jedynymi ludźmi, wobec których jesteśmy ostatecznie „wolni” w ten sposób, są obcy i w tym sensie ojciec miał rację, gdy stawiał znak równości między pieniędzmi i kapitalizmem a wolnością, ponieważ kupno czy sprzedaż czegoś nie zobowiązuje cię do czegokolwiek, co nie zostało zapisane w umowie... Choć jest jeszcze umowa społeczna, która ma zastosowanie, gdy przychodzi do zobowiązania płacenia swojej części podatków, i sądzę, że ojciec zgodziłby się ze stwierdzeniem pana Glendenniga, że „prawdziwa wolność to wolność do podporządkowania się prawu”. To wszystko prawdopodobnie nie ma wielkiego sensu. Tak czy siak, jak na razie to tylko moje abstrakcyjne spekulacje, bo nigdy tak naprawdę nie rozmawiałem z żadnym z rodziców o ich dorosłym życiu. Po prostu nie jest to coś, o czym rodzice dyskutują z dziećmi, przynajmniej nie robili tak w tamtej epoce.

Tak czy siak, przyda się tu prawdopodobnie pewien kontekst. Najprostszy sposób na zdefiniowanie podatku to powiedzieć, że kwota podatku, oznaczona symbolem T, jest równa iloczynowi podstawy opodatkowania i stawki podatku. Przedstawia się to zwykle jako $T = B \times R$, co daje nam wzór $R = T/B$, który jest wzorem pozwalającym ustalić, czy dana stawka podatku jest progresywna, regresywna czy proporcjonalna. To z absolutnych podstaw rachunkowości podatkowej. Większość personelu IRS jest z tym za pan brat do tego stopnia, że nie musimy o tym nawet myśleć. W każdym razie kluczową zmienną jest stosunek T do B. Jeżeli stosunek T do B pozostaje taki sam niezależnie od tego, czy B, podstawa opodatkowania, jest wyższa czy niższa, wówczas podatek jest proporcjonalny. Znany również pod nazwą podatku ze stawką

ryczałtową. Z podatkiem progresywnym mamy do czynienia, kiedy wskaźnik stosunku T/B rośnie w miarę wzrostu B i zmniejsza się wraz z niższymi wartościami B – co jest generalnie tą samą zasadą, według której działa obecne opodatkowanie skrajnych progów dochodowych, gdzie płaci się zero procent za pierwsze 2300 z zarobionych dolarów, czternaście procent za kolejne 1100, szesnaście procent za następne 1100 i tak dalej, aż do siedemdziesięciu procent za wszystko powyżej 108 300 dolarów, przy czym to, o czym mówię, jest elementem obecnej polityki Departamentu Skarbu, zgodnie z którą, w teorii, im wyższy jest wasz roczny dochód, tym proporcjonalnie większy fragment waszego dochodu powinno reprezentować wasze zobowiązanie podatkowe, choć oczywiście w praktyce to nie zawsze działa w ten sposób, zważywszy na rozmaite odliczenia i zapisy stanowiące część współczesnej kodyfikacji podatkowej. W każdym razie progresywne tabele podatkowe można zilustrować za pomocą prostego diagramu słupkowego o tendencji wzrostowej, w którym kolejne słupki przedstawiają kolejne progi podatkowe. Czasami podatek progresywny bywa nazywany podatkiem stopniowo rosnącym, chociaż Służba nie używa tego terminu. Z kolei podatek regresywny to podatek, w którym stosunek T/B wzrasta wraz ze zmniejszaniem się B , co oznacza tyle, że płacicie najwyższe stawki przy najniższych kwotach, co najpewniej ma niewiele sensu z punktu widzenia sprawiedliwości i umowy społecznej. Ale podatki regresywne lubią chodzić w przebraniu – na przykład przeciwnicy loterii stanowych i podatku akcyzowego na papierosy często twierdzą, że te rzeczy są w istocie zamaskowanym podatkiem regresywnym. Służba nie zabiera stanowiska w tej sprawie. Tak czy siak, podatki dochodowe są niemal zawsze progresywne, zważywszy na demokratyczne ideały naszego kraju. Za to macie tu niektóre rodzaje podatków, które zwykle są proporcjonalne czy też ryczałtowane: podatek od nieruchomości, podatek od dóbr osobistych, cła, akcyza, a zwłaszcza podatek obrotowy.

Jak wiele osób tutaj pamięta, w 1977 roku, w czasie wysokiej inflacji, głębokich deficytów i mojego drugiego podejścia do studiów na DePaul, stan Illinois objęto eksperymentem fiskalnym polegającym na zmianie stanowego podatku obrotowego

z proporcjonalnego na progresywny. To był prawdopodobnie pierwszy raz, kiedy widziałem, jak realizacja polityki podatkowej może rzeczywiście wpływać na życie ludzi. Jak wspomniałem, podatek obrotowy ma zwykle prawie bez wyjątku postać proporcjonalną. Jeśli dobrze rozumiem, za pomysłem, żeby spróbować progresywnych podatków obrotowych, stał plan zwiększenia wpływów w taki sposób, by nie obciążać ubogich mieszkańców, a także by nie odstraszać inwestorów, plus jeszcze, żeby zwalczać inflację poprzez opodatkowanie konsumpcji. Logika była taka, że im więcej kupowałeś, tym wyższy płaciłeś podatek, co miało pomóc w ograniczeniu popytu i uspokoić inflację. Pomysł progresywnego podatku obrotowego zrodził się w głowie kogoś, kto piastował wysokie stanowisko w Biurze stanowego sekretarza skarbu w 1977. Kim była ta osoba i czy skończyła z brązową czapką na głowie w następstwie późniejszej katastrofy – tego nie wiem, ale zarówno stanowy sekretarz skarbu, jak i gubernator Illinois jak najbardziej pożegnali się z pracą w konsekwencji fiaska tej historii. Ktokolwiek ostatecznie zawinił, cała sprawa była sporą gafą z punktu widzenia strategii podatkowej, której można było łatwo uniknąć, gdyby ktoś z Biura Stanowego Sekretarza Skarbu zadał sobie trud zasięgnięcia opinii Służby na temat celowości tego planu. Mimo istnienia w granicach stanu Illinois zarówno Biura komisarza na Region Środkowo-Zachodni, jak i Regionalnego Centrum Kontroli, takiego działania – jak to już ustalono – nie podjęto. Chociaż skuteczna ściągalność podatków przez stanowe agencje jest zależna od federalnych formularzy zeznań oraz Zbiorów Głównych w systemie komputerowym Służby, istnieje tradycja autonomii i braku zaufania stanowych biur podatkowych do agencji federalnych takich jak IRS, co czasami prowadzi do zasadniczych wpadek komunikacyjnych, czego katastrofa z podatkiem obrotowym w Illinois '77 jest, z punktu widzenia Służby, klasycznym przykładem, który dał również początek wielu dowcipom i anegdotom. Jak niemal każdy tutaj w 047 byłby im powiedział, fundamentalną zasadą skutecznej ściągalności podatku jest mieć w pamięci, że podatnik będzie zawsze działał w swoim interesie fiskalnym. To podstawowe prawo ekonomiczne. W podatkach oznacza tyle, że podatnik zrobi zawsze wszystko, na co zezwala mu

prawo, żeby zminimalizować swój podatek. Taka jest ludzka natura, której władze Illinois albo nie zrozumiały, albo pokpiły sprawę przełożenia sobie wszystkich jej konsekwencji na transakcje objęte podatkiem obrotowym. Może w tym przypadku Biuro Stanowego Sekretarza Skarbu dopuściło do sytuacji, w której cała sprawa stała się tak złożona i skomplikowana, że nie dostrzegli tego, co mieli przed samym nosem – że podstawa B podatku progresywnego nie może być czymś łatwo podzielny. Jeżeli można ją łatwo podzielić, wówczas przeciętny podatnik, działając we własnym interesie ekonomicznym, zrobi wszystko, czego nie zabrania prawo, żeby podzielić B na dwa lub więcej mniejszych B celem uniknięcia efektu progresji. I tak się właśnie stało pod koniec 1977 roku. Rezultatem był chaos w sprzedaży detalicznej. W takim na przykład supermarkecie klienci nie brali na raz trzech dużych toreb zakupów za łączną kwotę 78\$, by zapłacić odpowiednio 6, 6,8 i 8,5 procent podatku za części zakupów, których łączna cena przekraczała odpowiednio 5\$, 20\$ i 42\$, ponieważ zostali zmotywowani do nadawania swoim sprawunkom postaci osobnych małych zakupów na kwotę nieprzekraczającą 4,99\$, by skorzystać z o ileż bardziej atrakcyjnej stawki 3,75 procent podatku od zakupów poniżej 5,00\$. Różnica między 8 a 3,75 to więcej, niż trzeba, by wytworzył się bodziec, a do gry włączył się interes ekonomiczny obywatela. Tak więc nagle wszyscy w sklepie robili zakupy za mniej niż 5,00\$, biegli do samochodu, żeby schować tam swoją małą torbę, po czym wracali i kupowali kolejną porcję za mniej niż piątkę, z którą biegli do samochodu, i tak dalej. Kolejki do kas zaczynały się na samych tyłach supermarketu. W domach towarowych było nie lepiej, a wiem, że na stacjach benzynowych było jeszcze gorzej – ledwie kilka miesięcy po szoku naftowym wywołanym embargiem państw OPEC i bójkach w kolejkach na stacjach benzynowych spowodowanych racjonowaniem, w Illinois tamtej jesieni również dochodziło do sprzeczek wszczypanych przez kierowców zmuszonych do stania, kiedy osoba przed nimi usiłowała zatankować za 4,99\$, biegła zapłacić, wracała, żeby zresetować dystrybutor, znowu nalać równowartość 4,99\$ i tak dalej. Najkrócej rzecz ujmując, było to zupełne przeciwieństwo aksamitności. A administracyjne obciążenie koniecznością obliczania podatku od

sprzedaży dla czterech osobnych progów omal nie wykończyło sprzedaży detalicznej. Tam, gdzie mieli kasy fiskalne i systemy księgowania, systemy padały. O ile dobrze rozumiem, wieść o wysokich kosztach administracyjnych nowego obciążenia dla księgowości dotarła, gdzie trzeba, windując inflację, co jeszcze bardziej rozsierdziło konsumentów i tak dostatecznie wnerwionych, albowiem z powodu progresywnego podatku od sprzedaży zostali poddani przymusowi ekonomicznemu ustawiania się w kolejce tuzin albo nierzadko więcej razy. Słyszało się o zamieszkach, szczególnie w południowej części stanu, która graniczy z Kentucky, a o mieszkańcach tamtych stron trudno powiedzieć, żeby podchodzili ze zrozumieniem czy sympatią do rządowej potrzeby notowania wpływów z podatków. Prawda jest taka, że północ, środek i południe Illinois to pod względem kulturowym praktycznie odrębne kraje. Ale chaos zapanował w całym stanie. Spalono kukłę sekretarza skarbu. Banki nie dawały rady wypłacać jednodolarówek i bilonu. Z perspektywy kosztów administracyjnych najgorsze przyszło, gdy przedsiębiorcy zwęszyli interes i zaczęli posługiwać się sloganem „Rozdzielne!”, żeby zachęcać do zakupu. Byli wśród nich na przykład dilerzy używanych aut, którzy gotowi byli wam sprzedać samochód jako zbiór osobnych drobnych transakcji zakupu przedniego zderzaka, prawego tylnego błotnika, cewki alternatora, świecy zapłonowej i tak dalej, tak że zakup składał się z tysięcy osobnych transakcji opiewających na 4,99\$. Rzecz jasna było to w praktyce legalne i inni sprzedawcy od dużych zakupów wkrótce zaczęli ich naśladować; ale wydaje mi się, że dopiero kiedy pośrednicy nieruchomości także zaczęli praktykować rozdzielanie, wszystko na dobre zaczęło się sypać. Banki, brokerzy kredytów hipotecznych, maklerzy towarów i obligacji i Izba Podatkowa Illinois – ich systemy przetwarzania danych trzeszczały w posadach; progresywny podatek obrotowy wywołał istną falę potopową danych z rozdzielnych transakcji, która pogrążyła istniejącą technologię. Całą rzecz odwołano po niecałych czterech miesiącach. Stanowi prawodawcy musieli nawet zjechać do Springfield w święta na posiedzenie w sprawie jej odwołania, bo też ten okres był dla handlu detalicznego najbardziej katastrofalny – świąteczne zakupy w 1977 były koszmarem, który ludzie stąd, ze stanu, potrafią jeszcze

gorzko wspominać, gdy zdarzy im się utknąć w kolejce do kasy, choć minęło już tyle lat. Trochę tak, jak ludzie w trakcie wielkich upałów czy dusznych dni wspominają inne straszliwe fale letnich upałów, które utkwily im w pamięci. Tak na marginesie, Springfield jest stolicą Illinois, a także miejscem pełnym niezliczonych pamiątek po Lincolnie.

W każdym razie w tym właśnie czasie mój ojciec niespodziewanie poniósł śmierć w wypadku na podziemnym odcinku kolejki CTA w Chicago, w środku niewypowiedziane koszmarnego i chaotycznego szczytu gorączki świątecznych zakupów w grudniu 1977 roku, a sam wypadek zdarzył się w trakcie jego własnych świątecznych zakupów, co prawdopodobnie przydało jeszcze całej sprawie tragizmu. Do wypadku nie doszło na słynnym odcinku „E1” CTA – ja i on byliśmy na stacji Washington Square, na którą dotarliśmy z Libertyville linią podmiejską, żeby się tam przesiąść w metro do śródmieścia. Zdaje się, że naszym celem był sklep z pamiątkami Instytutu Sztuki. Pamiętam, że byłem u ojca na weekend, co najmniej częściowo dlatego, że miałem sporo do nauki przed pierwszą turą egzaminów od czasu wznowienia przeze mnie studiów w DePaul, gdzie mieszkałem w akademiku kampusu na terenie Loop. Patrząc wstecz, widzę, że częściowo powodem, dla którego przyjechałem do Libertyville, żeby zakuwać, było może pragnienie, by ojciec miał szansę zobaczyć, jak przykładam się do nauki w trakcie weekendu, choć nie pamiętam, że bym wtedy miał świadomość tej motywacji. A tym, którzy nie wiedzą, wyjaśnię, że system kolejowy Chicagowskiego Transportu Aglomeracyjnego to płątanina tras kolejek nadziemnych, konwencjonalnego metra i szybkiej kolei podmiejskiej. Zgodnie z wcześniejszą umową wybrałem się z nim do miasta w sobotę, żeby pomóc mu znaleźć jakiś prezent na święta dla mamy i Joyce – co, jak sądzę, przychodziło mu każdego roku z trudnością – a także chyba dla jego siostry, która mieszka z mężem i dziećmi w Fair Oaks w Oklahomie.

Więc generalnie to, co się stało na stacji Washington Square, gdzie przesiadaliśmy się do śródmieścia, zaczęło się od tego, że zeszliśmy po cementowych schodach do podziemia na wypełniony tłumem i ciepłem peron – nawet w grudniu w tunelach metra w Chicago bywa często gorąco, choć nawet w przybliżeniu nie tak

nieznośnie jak latem, ale z drugiej strony tego ciepła w zimie doświadcza się dodatkowo w zimowej kurtce i szaliku, a przy tym panował niesamowity tłok, ponieważ było to w trakcie gorączki świątecznych zakupów, którą tego roku potęgował jeszcze progresywny podatek obrotowy. W każdym razie pamiętam, że stanęliśmy u podstawy schodów i twarzą w twarz z tłumem w chwili, kiedy pociąg wjechał na peron – stal nierdzewna i plastik z całymi oraz częściowo odklejonymi kalkomaniami stroików świątecznych wokół niektórych okien – i drzwi automatyczne się otwały, wydając pneumatyczny odgłos, i pociąg stał przez chwilę, aż masy obładowanych mnóstwem drobnych zakupów konsumentów wyleją się z niego i wleją do środka. Jeśli chodzi o stopień zatłoczenia, były to także godziny zakupowego szczytu sobotniego popołudnia. Ojciec chciał zrobić zakupy rano, zanim tłok w śródmieściu sięgnie niekontrolowanych rozmiarów, ale zasnęłam, a on na mnie zaczekał, mimo że nie był tym zachwycony, czego też nie ukrywał. Wyruszyliśmy w końcu po obiedzie – który w moim przypadku był śniadaniem – i już na linii podmiejskiej w stronę centrum panował wyraźny tłok. Teraz zjawiliśmy się na jeszcze bardziej zatłoczonym peronie w chwili, którą większość użytkowników metra uzna za niefortunną i dosyć stresującą, kiedy pociąg stoi z otwartymi drzwiami, ale nie wiadomo na pewno, jak długo jeszcze drzwi pozostaną otwarte, gdy człowiek meandruje w tłumie, starając się dotrzeć do wagonu, zanim drzwi się zamkną. Tak naprawdę nie chcecie ruszać pędem czy roztrącać ludzi, bo ta racjonalniejsza część was wie, że nie jest to w żadnym wypadku sprawa życia i śmierci i w najgorszym razie skład odjedzie wam sprzed nosa i będziecie musieli poczekać kilka minut na gorącym i zatłoczonym peronie. A i tak zawsze odzywa się ta inna część was, a w każdym razie mnie, a także – jestem tego pewien, patrząc wstecz – mojego ojca, która niemal panikuje. Myśl o tym, że drzwi się zamkną i pociąg odjedzie, uwożąc ze sobą tłumy, którym udało się zdążyć, właśnie w momencie, kiedy docieracie do krawędzi peronu, wyzwala jakieś dziwne, mimowolne uczucie lęku czy obawy – nie wydaje mi się, żeby w psychologii istniało na to jakieś specjalne słowo, choć przypuszczalnie ma to związek z pierwotnymi, prehistorycznymi lękami, że jakoś ominie was wasza porcja

zdobyczy upolowanej przez plemię albo zmrok zaskoczy was samych pośrodku sawanny – a chociaż ja i on z całą pewnością nigdy o tym nie rozmawialiśmy, podejrzewam, że ten głęboko zakorzeniony, mimowolny niepokój związany z wsiadaniem do pociągów tuż przed odjazdem był szczególnie źle tolerowany przez mojego ojca, człowieka w najwyższym stopniu zorganizowanego i przestrzegającego osobistej dyscypliny oraz precyzyjnych rozkładów, który zawsze wszędzie pojawiał się punktualnie i u którego pierwotna obawa stracenia czegoś w ostatniej chwili występowała szczególnie intensywnie – chociaż z drugiej strony był również człowiekiem o niezmiernej wręcz godności osobistej i opanowaniu, w związku z czym nigdy by sobie nie pozwolił, by ktoś zobaczył go, jak roztrąca ludzi łokciami czy biegnie przez peron z wzdętym pędem płaszczem i ręką przytrzymującą ciemnoszary kapelusz, z podzwaniającymi głośno w kieszeni drobnymi i kluczami; co to, to nie, chyba że poczuł jakąś intensywną, irracjonalną presję, by złapać pociąg, na tej zasadzie, na jakiej często najbardziej zdyscyplinowanym, zorganizowanym, noszącym się z godnością ludziom, którzy, jak się okazuje, są pod szalenie intensywnym ciśnieniem ze strony wyparć czy superego, zdarza się jakby stracić nad sobą panowanie z powodu jakiejś drobnostki i – jeśli ciśnienie jest odpowiednio duże – zachować się w sposób, który może w pierwszej chwili wydać się wam totalnie niespójny z waszym postrzeganiem tej osoby. Nie widziałem jego oczu ani wyrazu twarzy; na peronie znajdowałem się za nim, częściowo dlatego, że na ogół chodził szybciej ode mnie – jako dziecko słyszałem od niego często, że się guzdram – chociaż tamtego dnia powodem poniekąd była też trwająca między nami psychologiczna potyczka, wywołana faktem, że zasnęłam, w związku z czym był przeze mnie – patrząc z jego perspektywy – „spóźniony”, przez co jego energiczne kroki i pośpiech na stacji CTA miały w sobie coś z wyraźnie okazywanego zniecierpliwienia, na co odpowiadałem, celowo nie przyspieszając mojego zwykłego tempa ani nie czyniąc wysiłków, żeby za nim nadążyć, trzymając się wystarczająco daleko za nim, by go to drażniło, ale nie na tyle, by dać mu pretekst do odwrócenia się i natarcia mi z tego powodu uszu, a także przybrałem taką jakby rozmemłaną, apatyczną pozę – faktycznie

całkiem jak guzdrające się dziecko, choć wtedy nigdy bym przed sobą tego nie przyznał. Innymi słowy, sytuacja wyglądała tak, że on był wkurzony, a ja stroiłem fochy, ale żaden z nas nie zdawał sobie z tego świadomie sprawy, ani z tego, jak notorycznie odbywamy tego typu psychologiczne potyczki – gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że tego rodzaju rzeczy robiliśmy sobie ciągle. To taka typowa dynamika między synami a ojcami. Mogła nawet w jakiejś mierze wpływać na moją nieświadomą motywację stojącą za biernym dryfowaniem i beczynnym Leserstvem we wszystkich koledżach, za które on płacił swoim codziennym wstawaniem wcześniej rano do pracy. Oczywiście żadnej z tych rzeczy nie uzmysławiałem sobie w tamtym czasie, a już w żadnym wypadku ani ja, ani on nie przyznaliśmy tego przed sobą ani o tym nie dyskutowaliśmy. W pewnym sensie można powiedzieć, że mój ojciec zmarł, zanim którykolwiek z nas zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo obaj się angażowaliśmy w te małostkowe rytualne konflikty albo jak bardzo to, że moja matka tak często była stawiana w roli mediatora między nami, odbiło się na ich małżeństwie, bo wszyscy odgrywaliśmy nasze modelowe role, czego żadne z nas nie było świadome, jak maszyny wykonujące zaprogramowane ruchy.

Pamiętam, jak – przedzierając się w pośpiechu przez tłum na peronie – widziałem, że odwraca się bokiem, żeby precyzyjnie się między dwiema grubymi, powolnymi Latynoskami, które zmierzały w kierunku otwartych drzwi wagonu z torbami na zakupy z uchwytami ze szpagatu, z których jedną ojciec zahaczył nogą, tak że kołysała się w przód i w tył. Nie wiem, czy te kobiety były razem, czy to ich rozmiary i napór otaczającego je tłumy zmusiły je do stąpania tuż obok siebie. Nie było ich wśród osób przesłuchiwanym po wypadku, co oznacza, że zdążyły wsiąść do swojego pociągu, nim to się stało. Wtedy byłem już jedynie osiem do dziesięciu stóp za nim i wyraźnie przyspieszałem, żeby go dogonić, bo przed nami do odjazdu szykował się pociąg do śródmieścia, przed oczami miałem już wizję, w której mój ojciec wsiada w ostatniej chwili, za to ja zostaję za bardzo z tyłu, staję przed drzwiami w momencie, gdy się zamykają, i widzę wyraz twarzy ojca w obwódce z naklejek świątecznych stroików z ostrokrzewu, i spoglądamy na siebie z przeciwnych stron przeszklonych połączeń drzwi, a pociąg z nim

rusza – myślę, że każdy może sobie wyobrazić, jak wkurzony i zde gustowany byłby, a przy tym także jak utwierdzony czułby się w przekonaniu o swojej racji i jak triumfowałby w naszej małej psychologicznej walce spod znaku pośpiechu i „spóźnienia”, tak więc czułem teraz, jak rośnie mój niepokój na myśl o tym, że zdąży wsiąść, a ja spóźnię się w ostatnim momencie, tak że w tamtej chwili starałem się skrócić dzielący nas dystans. Do dzisiaj nie wiem, czy ojciec zdawał sobie sprawę z tego, że jestem prawie tuż za nim i że sam niemal taranuję i roztrącam ludzi, starając się nadążyć, ponieważ z tego, co wiem, nie obejrzał się przez ramię ani nie wykonał w moją stronę żadnego gestu, gdy zmierzał do drzwi. Przez całe postępowanie sądowe toczące się w następstwie zdarzenia nikt z pozwanych ani reprezentujących ich prawników nie zakwestionował faktu, że pociągom CTA nie wolno ruszać z miejsca, póki wszystkie drzwi nie są w pełni zamknięte. Podobnie nikt nie podawał w wątpliwość mojej relacji z dokładnego przebiegu zdarzenia, z którego – z racji tego, że znajdowałem się już tylko kilka stóp za nim – jako naoczny świadek złożyłem zdaniami wszystkich zatrważająco szczegółowe zeznania. Dwa skrzydła drzwi wagonu zaczęły się zsuwać ku sobie z charakterystycznym pneumatycznym dźwiękiem w chwili, w której ojciec dopadł do nich i wetknął między nie rękę, żeby je zatrzymać i wcisnąć się do środka, i drzwi zamknęły mu się na rękę – najwyraźniej zbyt mocno, by mój ojciec mógł przez szczelinę precyzyjnie wcisnąć się do wagonu resztą ciała, ale z drugiej strony też by dało się je z powrotem rozewrzeć na tyle, by mógł wyswobodzić ramię, co – jak się okazało – było skutkiem możliwej awarii mechanizmów kontrolujących siłę, z jaką zamykały się drzwi – a pociąg rozpoczął bieg, co było kolejną jawną usterką – specjalne wyłączniki między czujnikami zamykania drzwi a konsolą motorniczego mają za zadanie odłączyć napęd, jeżeli którekolwiek drzwi w którymkolwiek wagonie pozostają otwarte (jak można sobie wyobrazić, w trakcie postępowania sądowego w następstwie wypadku sporo się wszyscy dowiedzieliśmy o konstrukcji i normach bezpieczeństwa pociągów CTA) – zmuszając mojego ojca do coraz szybszego truchtu równoległe do pociągu i zaprzestania przytrzymywania kapelusza, by zamiast tego walić pięścią w drzwi, gdy jednocześnie wewnątrz wagonu metra dwóch

lub może trzech mężczyzn zdążyło już rzucić się do wąskiej szpary w drzwiach i usiłowało rozewrzeć je albo podważyć, żeby przynajmniej umożliwić mojemu ojcu wydobyć rękę. Kapelusz ojca, o który dbał również za pomocą specjalnego prawidła, odfrunął i zniknął na peronie wśród gęstego tłumu, w którym pojawił się rozszerzający się prześwit czy wyrwa – przez co mam na myśli jej pojawienie się w tłumie na dalszym odcinku peronu, co mogłem zobaczyć z miejsca, w którym zostałem uwięziony przez ciżbę przy krawędzi, w punkcie pozostającym coraz bardziej w tyle za wyrwą czy szczeliną, która otwierała się w tłumie na stacji w coraz odleglejszych jej sektorach, w miarę jak przyspieszający pociąg zmuszał mojego ojca do coraz szybszego biegu u swego boku, a ludzie odsuwali się albo uskakiwali, żeby uchronić się przed zepchnięciem na tory. Zważywszy na to, że wielu spośród tych ludzi trzymało w ręku liczne drobne pakunki i torby z nabytymi rozdzielnie towarami, widziano, jak sporo tych ostatnich wędruje w powietrze, by przez chwilę się w nim obracać lub rozsypywać swoją zawartość na różne sposoby ponad rozwierającą się wyrwą, na skutek awaryjnego wyrzucenia za burtę przez właścicieli, nagłym susem schodzących z drogi mojemu ojcu, tak więc pojawieniu się wyrwy towarzyszyło też złudzenie, jakby wypluwała ona czy przynosiła deszcz dóbr konsumpcyjnych. Do tego kwestie przyczyny wypadku okazały się niewiarygodnie zawile. Z norm bezpieczeństwa producenta dla pneumatyki drzwi nie wynikało dostatecznie jasno, jak możliwe było zamknięcie się drzwi z siłą, która nie pozwalałaby zdrowemu dorosłemu mężczyźnie na wycofanie ramienia, co oznaczało, że twierdzenie, przy którym obstawał producent, jakoby ojciec – być może na skutek paniki albo obrażeń, jakich doznało jego ramię – nie podjął stosownego działania w celu wyswobodzenia ręki, było trudne do obalenia. Pasażerowie metra płci męskiej, którzy mieli starać się siłą rozewrzeć drzwi od środka, zniknęli w tunelu wraz z oddalającym się pociągiem i nie udało się ich zidentyfikować, po części z uwagi na fakt, że śledczy z Wydziału Transportu i z policji nie prowadzili działań zmierzających do identyfikacji dostatecznie energicznie, być może dlatego, że było jasne jeszcze na miejscu, że zdarzenie kwalifikuje się jako sprawa cywilna, a nie kryminalna. Co prawda, pierwszy z prawników mojej

matki zamieścić ogłoszenia w „Tribune” i „Sun-Timesie” wzywające tych dwóch czy trzech pasażerów do ujawnienia się i złożenia zeznań w postępowaniu sądowym, ale ze względu na, jak twierdzili w gazetach, koszty i realizowalność, te ogłoszenia były dość małe i pochowane w rubryce ogłoszeń drobnych na ostatnich stronach gazety i ukazywały się, jak później stwierdziła moja matka, przez stanowczo zbyt krótki i nieagresywny okres, w którym wielu mieszkańców Chicagolandu tak czy inaczej wyjeżdżała na święta – tak że to ostatecznie złożyło się na jeszcze jeden przewlekłe dyskutowany, skomplikowany element drugiej fazy sporu.

Na stacji Washington Square oficjalne „miejsce zdarzenia” – które w przypadku wystąpienia ofiar śmiertelnych zostaje w świetle prawa uznane za „miejsce, w którym nastąpił zgon lub obrażenia skutkujące zgonem” – zlokalizowano na 65. jardzie, licząc od końca peronu, już w tunelu w stronę śródmieścia, w którym to punkcie, jak ustalono, pociąg poruszał się z prędkością od 51 do 54 mil na godzinę, a górne części ciała mojego ojca miały w nim uderzyć o żelazne pręty drabinki wystającej z zachodniej ściany tunelu (drabinę tę zamontowano, aby personel techniczny CTA miał dostęp do skrzynki z wielotorowymi obwodami w suficie tunelu), a trauma, dezorientacja, szok, hałas, krzyki, deszcz małych pojedynczych zakupów oraz przypominająca niemal paniczny bieg ewakuacja peronu, gdy mój ojciec coraz gwałtowniej, coraz szybciej torował sobie drogę wśród gęstego tłumu ludzi z zakupami, zdyskwalifikowały nawet te nieliczne osoby, które pozostały na miejscu (większość z obrażeniami lub zgłaszająca odniesienie obrażeń) jako „wiarygodnych” świadków, których władze mogłyby przesłuchać. Szok jest najwyraźniej powszechną reakcją w sytuacjach drastycznej śmierci. Niecałą godzinę po wypadku wszystko, co przygodni świadkowie zdawali sobie przypominać, to były wrzaski, utrata świątecznych zakupów, obawa o własne bezpieczeństwo, a także sugestywne, lecz fragmentaryczne szczegóły wyrazu twarzy i zachowania mojego ojca, różne ułożenia jego płaszcza i szalika w spotkaniu z masami powietrza oraz kolejne obrażenia, których najwyraźniej doznawał, gdy unoszony z coraz większą prędkością przez pociąg w kierunku końca peronu, zderzał się zupełnie lub częściowo z licznymi wyrzuconymi w powietrze

pakunkami i torbami ze sklepów, stalowymi nitami filaru oraz należącym do starszego pasażera stalowym bądź aluminiowym wózkiem na zakupy – ten ostatni przedmiot w wyniku uderzenia przeleciał jakoś przez wyspę peronu i wylądował na torach dla kierunku północnego, wzniesając iskrzenie w zetknięciu z trzecią szyną, co tylko wzmogło chaos, jaki ogarnął tłum. Pamiętam, jak przesłuchiowano młodego Latynosa czy Portorykańczyka, który miał na głowie coś w rodzaju ciasnej czarnej siatki na włosy i trzymał w ręku prawy but mojego ojca, mokasyn Florsheima z frędzlem, którego nosek i sztuper były tak starte o cement peronu, że podeszwa z przodu buta puściła i zwisała luźno, jak i to, że ten mężczyzna nie umiał sobie przypomnieć, jak to się stało, że go trzyma. U niego także potem stwierdzono szok i pamiętam, że widziałem tego Latynosa jeszcze później na izbie przyjęć oddziału ratunkowego – to było w Loyola Marymount Hospital, jedną czy dwie przecznice od stacji Washington Square – jak siedząc na plastikowym krześle, próbuje wypełniać formularze na podkładce, do której za pomocą białego sznurka przyczepiony był cienkopis, nadal z tym butem w ręku.

A spór sądowy o śmierć w wyniku cudzego zaniedbania był, jak już wspomniałem, niesamowicie złożony, chociaż technicznie rzecz biorąc, nigdy nie wyszedł poza wstępne fazy, w których chodziło o ustalenie, czy Urząd Miasta Chicago, CTA, Wydział Infrastruktury CTA (okazało się, że linka hamulca bezpieczeństwa w wagonie, do którego ojciec został wbrew swej woli doczepiony, została przecięta przez wandalów, jakkolwiek w opiniach biegłych nie było zgodności co do tego, czy ten dowód w sprawie nosi ślady niedawnego przecięcia, czy może przecięto ją całe tygodnie wcześniej. Najwidoczniej wynik oględzin pod mikroskopem przeciętych plastikowych włókien może być interpretowany na dowolne sposoby, o ile mogą przynieść komuś korzyść), oficjalny producent składu, maszynista, jego bezpośredni zwierzchnik, AFSCME, a także z górą dwa tuziny podwykonawców i dostawców rozmaitych podzespołów do różnych układów, które według opinii biegłych inżynierów zaangażowanych na wniosek naszych prawników miały odegrać rolę w wypadku, powinni, jako pozwani, usłyszeć zarzuty bezwzględnej odpowiedzialności, odpowiedzialności, zaniedbania

czy może NNS, inaczej: niedochowania należytej staranności. Według słów mojej matki przedstawiciel do kontaktów z klientem naszego zespołu prawników miał jej wyjawiać, że mnogość podmiotów imiennie pozwanych to tylko początkowe zagranie strategiczne i że koniec końców chodzi nam o pozwanie Urzędu Miasta Chicago – który, jak na ironię, był oczywiście pracodawcą ojca – powołując się na powszechne prawo przewozowe oraz precedens sprawy Ybarra przeciwko Coca-Coli, by wykazać, że ostateczna odpowiedzialność spoczywa na barkach tego spośród pozwanych, który w przypadku powzięcia kroków w celu zapobieżenia zdarzeniu miał największą szansę mu zapobiec, ponosząc przy tym najniższe koszty – prawdopodobnie poprzez domaganie się bardziej restrykcyjnych zapisów w kwestii kontroli jakości pneumatyki i czujników drzwi w umowie CTA z głównym producentem składu, który to obowiązek spoczywał, jakbyśmy nie dość mieli ironii, przynajmniej częściowo na podległym Biuru Kwestora Urzędu Miasta Chicago Dziale Systemów Rachunku Kosztów, gdzie jednym z obowiązków mojego ojca była ocena kosztów wstępnych względem ryzyka w pewnych typach umów zawieranych przez agencje Urzędu, chociaż, na całe szczęście, okazało się, że wydatki na środki trwałe CTA były pod kontrolą innej komórki czy zespołu w systemach kosztowych. W każdym razie ku zgrozie mojej matki, Joyce i mojej stało się dla nas jasne, że głównym kryterium, jakim posługuje się nasza firma prawnicza przy wytaczaniu pozwów o odpowiedzialność danej kategorii odpowiednim firmom, agencjom i agendum miejskim, są środki pieniężne, którymi te rozporządzają, oraz historia ich ubezpieczycieli w zakresie orzecznictwa w podobnych sprawach – czyli że w całym postępowaniu chodziło o liczby i pieniądze, a nie o takie rzeczy jak sprawiedliwość, odpowiedzialność czy zapobieżenie kolejnym bezsensownym, zupełnie uwłaczającym śmierciom na oczach świadków w wyniku cudzego zaniedbania. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy tłumaczę to, jak należy. Jak wspominałem, cały proces sądowy był tak skomplikowany, że niemal wymyka się opisowi, a młodszy prawnik, którego zespół adwokacki oddelegował do powiadamiania nas przez pierwsze szesnaście miesięcy o rozwoju sprawy oraz ewoluujących

strategiach, nie był wcale najbardziej skorym do wyjaśnień ani najbardziej empatycznym radcą, jakiego można by sobie życzyć. Do tego rozumie się samo przez się, że byliśmy także naprawdę przybici, a moja matka – której emocjonalny dobrostan zawsze był bardzo kruchy od czasu załamania czy też gwałtownych zmian lat 1971–72 oraz rozvodu w ich następstwie – na przemian popadała i wychodziła z czegoś, co można by chyba określić mianem szoku dysocjacyjnego albo reakcji konwersji, i wprowadziła się na powrót do domu w Libertyville, który dzieliła była z moim ojcem przed ich rozstaniem, rzekomo „tylko na chwilę”, z powodów, które zmieniały się za każdym razem, kiedy ja czy Joyce pytaliśmy ją, czy aby na pewno ta przeprowadzka z powrotem to dobry pomysł, i generalnie nie była w żadnym razie w dobrej formie z psychologicznego punktu widzenia. Właściwie już po pierwszej rundzie zeznań w postępowaniu pomocniczym pomiędzy jednym z pozwanych a jego firmą ubezpieczeniową, mającym ustalić procentowy udział polisy OC w pokryciu kosztów sądowych obrony w wytoczonym przez nas procesie – kiedy to, by skomplikować sprawy jeszcze bardziej, niegdysiejszy partner w firmie prawniczej kierującej zespołem reprezentującym mamę i Joyce okazał się reprezentować wspomnianą firmę ubezpieczeniową pozwanego, z siedzibą krajową w Glenview, co pociągnęło za sobą dodatkowy szereg dochodzeń i zeznań w celu ustalenia, czy fakt ten w jakikolwiek sposób nie stanowi o konflikcie interesów, tak że z uwagi na procedurę trzeba to było, to znaczy to postępowanie pomocnicze, rozstrzygnąć lub zakończyć ugodą jeszcze przed składaniem zeznań w naszym procesie, który tymczasem doczekał się podwójnej klasyfikacji, jako sprawa o odpowiedzialność cywilną oraz śmierć w wyniku cudzego zaniedbania, i był tak złożony, że trwało niemal rok, nim zespół prawników doszedł do porozumienia co do samej klasyfikacji sprawy – stan emocjonalny mojej matki osiągnął punkt, w którym zdecydowała o odstąpieniu od powództwa, czym osobiście uraziła Joyce, ale na co Joyce nie mogła z prawnego punktu widzenia nic poradzić, każąc jej coś czy wpływając na nią, w związku z czym toczyły się potem złożone domowe zmagania, w których Joyce starała się, bez wiedzy mojej matki, namówić mnie do ponownego wytoczenia procesu, w którym to ja, mając ukończone dwadzieścia

jeden lat i będąc synem i osobą na utrzymaniu zmarłego, byłbym wyłącznym powodem. Z uwagi jednak na złożone okoliczności – z których naczelną był fakt, że figurowałem jako osoba na utrzymaniu w zeznaniach podatkowych za rok 1977 obojga rodziców, co w przypadku mojej matki dzisiaj natychmiast zweryfikowano by negatywnie już na poziomie rutynowego audytu biurowego, ale co w bardziej prymitywnej rzeczywistości Kontroli w Służbie tamtej epoki zostało przeoczone – okazało się, że by móc to zrobić, musiałbym najpierw doprowadzić do uznania matki za *non compos mentis*, co wymagałoby przymusowego umieszczenia jej na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym, nim wolno by nam było ubiegać się o prawne orzeczenie biegłego psychiatry, na co nikt w rodzinie nie miał ochoty. Tak więc po szesnastu miesiącach cały spór sądowy dobiegł końca, jeśli nie liczyć sprawy, jaką wytoczył mojej matce reprezentujący nas do tej pory zespół prawniczy w celu odzyskania honorariów i wydatków, z których – jak się wydawało – wyraźnie rezygnował w umowie zawartej z nim przez Joyce i matkę na rzecz zryczałtowanego czterdziestoprocentowego honorarium w przypadku wygranej. Abstrakcyjne argumenty, za pomocą których nasza była kancelaria starała się doprowadzić do unieważnienia tamtej umowy ze względu na jakąś nieścisłość w języku prawniczym w jednej z sekcji kontraktu, który przecież oni sami przygotowali, nigdy nie zostały mi wyjaśnione czy wytłumaczone na tyle, żebym mógł stwierdzić, czy były czymś więcej niż kpina, jako że na tym etapie zdążyłem już rozpocząć ostatni semestr w DePaul, a także proces rekrutacji do Służby, a matka i Joyce musiały wynająć kolejnego prawnika, który miał reprezentować matkę w procesie z poprzednimi prawnikami, który – możecie mi nie wierzyć – ciągnie się po dziś dzień i jest jednym z głównych powodów, które moja matka wylicza, gdy uzasadnia nam, dlaczego stała się praktycznie odludkiem w domu w Libertyville, w którym mieszka nadal, oraz dlaczego odcięto jej telefon, chociaż dowody na znaczne pogorszenie się jej stanu psychicznego zaczęły się ujawniać dużo wcześniej, właściwie to być może jeszcze w trakcie pierwszego procesu, kiedy wprowadziła się do domu ojca wkrótce po wypadku, przy czym pierwszym symptomem, jaki sobie przypominam, było jej postępujące zaabsorbowanie dobrobytem ptaków z gniazda zięb czy

szpaków, mieszczącego się od lat na belce stropowej dużego otwartego ganku, który był jedną z głównych atrakcji domu w Libertyville, gdy moi rodzice podjęli decyzję o przeprowadzce, a jak jej obsesja rozpoczęła się od jednego gniazda, tak postępowała, przenosząc się na wszystkie ptaki z okolicy, którym matka zakładała na ganku i na trawniku przed domem coraz to nowsze karmniki, stojące i wiszące rurkowe, a także kupowała dla ptaków i zostawiała im na schodach ganku coraz więcej ziarna, a w końcu też wszelkiego rodzaju jedzenia dla ludzi i różnych „ptasich zapasów”, a nawet, w chwili największego kryzysu, dołączyły do nich maleńkie meble z domku dla lalek z jej dzieciństwa w Beloit, o którym wiedziałem, że traktowała go jako cenną pamiątkę, bo słyszałem najróżniejsze anegdoty z dzieciństwa, w których opowiadała Joyce, jak wielkim skarbem był dla niej ten przedmiot i że wyposażała go w miniaturowe meble, i który trzymała przez wiele lat w schowku w domu w Libertyville razem z pamiątkami z mojego wczesnego dzieciństwa w Rockford, i Joyce, która pozostała wierną przyjaciółką mojej matki, a czasem bywała wręcz jej pielęgniarką – pomimo tego, że w 1979 roku zakochała się po uszy w prawniku, który pomagał im zwinąć Księgarnię pod Wziernikiem zgodnie z zapisami rozdziału 13 prawa upadłościowego i obecnie jest jego żoną, i mieszka razem z nim i dwojgiem jego dzieci w Wilmette – Joyce zgadza się, że nużące, skomplikowane i cynicznie przeciągające się w nieskończoność prawne efekty uboczne wypadku w dużej mierze dołożyły się do powodów, przez które matce nie udało się przerobić traumy śmierci mojego ojca ani przepracować pewnych wcześniejszych, związanych z 1971 rokiem nierozwiązanych emocji i konfliktów, które wypadek wydobył teraz gwałtownie na powierzchnię. Chociaż moim zdaniem kiedyś wreszcie trzeba wziąć to na klatę i rozegrać karty, które dostało się od życia, najlepiej, jak się potrafi, i żyć dalej.

Ale pamiętam, jak raz, któregoś popołudnia, kiedy zapłacił mi za pomoc przy jakiejś lekkiej robocie na podwórku, zapytałem ojca, dlaczego bodaj nigdy nie udzielał mi dosłownych życiowych porad, tak jak to robili ojcowie moich znajomych. Wtedy to, że nie udzielał mi rad, miałem za dowód już to jego niezwyklej małomówności i tłumienia emocji, już to niedostatecznego zainteresowania mną.

Obecnie zdaję sobie sprawę z tego, że prawdziwym powodem nie było to pierwsze, a już tym bardziej nie to drugie, ale raczej to, że mój ojciec był na swój szczególny sposób całkiem mądry, przynajmniej jeśli chodzi o niektóre sprawy. W tym przypadku był dostatecznie mądry, żeby odnosić się z nieufnością do własnego pragnienia, by uchodzić za mądrego, w związku z czym postanowił sobie na to nie pozwalać – mógł przez to sprawiać wrażenie powściągliwego i obojętnego, ale tak naprawdę chodziło tu o dyscyplinę. Był dorosły; miał nad sobą kontrolę. To w znacznej mierze moje własne teoretyzowanie, ale obstawiam, że powodem, dla którego nie przekazywał mi mądrości, jak inni ojcowie, był fakt, że rozumiał, że porada – nawet mądra porada – tak naprawdę nic nie daje temu, komu się jej udziela, niczego w nim nie zmienia, a wręcz potrafi w nim namieszać, kiedy przyjmujący poradę odczuje szeroką przepaść między względną prostotą porady a zupełnie pogmatwanym skomplikowaniem własnego położenia i własnej ścieżki. Nie mówię o tym, jak należy. Jeżeli zaczniecie myśleć, że inni naprawdę są w stanie żyć według jasnych, prostych zasad wyznaczanych przez dobre rady, może to sprawić, że poczujecie się jeszcze gorsi z powodu własnej niedoskonałości. Może doprowadzić do użalania się nad sobą, które – jak sądzę – mój ojciec uważał za wielkiego nieprzyjaciela życia i przyczynek do nihilizmu. Choć to nie tak, że on i ja rozmawialiśmy o tym na jakimś głębokim poziomie – byłoby to zbyt bliskie udzielaniu wskazówek. Nie pamiętam, jak dokładnie odpowiedział na pytanie, które mu zadałem tamtego dnia. Pamiętam, że je zadałem, łącznie z tym, gdzie wtedy staliśmy, i wrażeniem dotykowym wywołanym trzymaniem w rękę grabi, gdy go pytam, ale tuż po tym jest biała plama. Obstawiam, opierając się na znajomości dynamiki naszej relacji, że powiedziałyby, że jego próby radzenia mi, co należy albo czego nie należy robić, byłyby jak historyjka tego królika z książki dla dzieci, który „błaga”, by nie wrzucać go w kolczaste zarośla. Tylko nie pamiętam, jak on się nazywał. No ale oczywiście chodziło o to, że czuł, że to by miało rezultat odwrotny do zamierzonego. Może nawet sobie z tego cierpko zażartował, tak jakby pytanie było komiczne, zważywszy na to, że nie brało pod uwagę dynamiki naszej relacji, i zważywszy na oczywistą odpowiedź. Równie dobrze

mógłbym był go spytać, czy uważa, że nie szanuję jego albo jego rad. Mógłby udawać rozbawionego myślą, że do tego stopnia nie znam samego siebie, że chociaż jestem niezdolny do szacunku, to nawet nie zdaję sobie z tego sprawy. Możliwe, że – jak już wspomniałem – po prostu nieszczególnie za mną przepadał i że posługiwał się cierpkim, wyrafinowanym humorem, żeby jakoś samemu sobie radzić z tym faktem. Wyobrażam sobie, że człowiekowi, który nie jest w stanie polubić swojego potomstwa, musi być ciężko. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z poczuciem winy. Wiem, że nawet rozlazły, bezkostny sposób, w jaki rozwaliałem się przed telewizorem albo słuchałem muzyki, wkurzał go – nie z bezpośredniego doświadczenia, ale była to jedna z rzeczy, których się dowiedziałem, podsłuchując jego kłótnie z matką. Cokolwiek się przez to rozumie, zasadniczo zgadzam się z twierdzeniem, że rodzice instynktownie „kochają” swoje potomstwo niezależnie od wszystkiego – ewolucyjny argument, który się za nim kryje, jest nazbyt oczywisty, by go ignorować. Ale „lubienie” czy darzenie go sympatią jako osób wydaje się kompletnie inną sprawą. Możliwe, że psychologowie krążą nie tam, gdzie trzeba, w swoim zaabsorbowaniu potrzebą dziecka, by czuć się kochanym przez ojca czy innego rodzica. Wydaje się, że warto zatrzymać się na dłużej nad kwestią pragnienia dziecka, by czuć, że rodzic rzeczywiście je lubi, skoro miłość jest sama w sobie tak automatyczna i wprogramowana w rodzica, że jej wyrazy nie są najlepszym miernikiem w teście na to, z czego typowe dziecko tak usilnie stara się jakby zdać test. Nie tak znowu to różne od przekonania osób religijnych, że są „bezwarunkowo kochane” przez Boga – skoro rzeczony Boga definiuje się jako istotę, która kocha w ten sposób automatycznie i powszechnie, to nie musi wcale mieć cokolwiek wspólnego z nimi, więc trudno zrozumieć, dlaczego osoby religijne twierdzą, że czerpią taką otuchę z faktu bycia kochanymi przez Boga. Nie chodzi mi tu o to, że dosłownie każde uczucie i emocję należy odbierać osobiście, jakby miały dotyczyć tylko nas, a jedynie o to, że – ze względu na najprostsze mechanizmy psychologiczne – trudno tak ich nie odbierać, kiedy chodzi o własnego ojca – taka już ludzka natura.

Tak czy owak, wszystko to mieści się w pytaniu o to, jak trafiłem do Kontroli na tej placówce – o te niespodziewane zbiegi okoliczności, zmiany priorytetów i ukierunkowania. Rzecz jasna, do tego rodzaju niespodziewanych zwrotów może dojść na najróżniejsze sposoby i niebezpiecznie jest zbyt wiele sobie na ich podstawie obiecywać. Pamiętam, że miałem jednego współlokatora – to było w Lindenhurst – który był zadeklarowanym chrześcijaninem. Właściwie w Lindenhurst miałem dwóch współlokatorów w mieszkaniu akademika, gdzie do wspólnego „pokoju socjalnego” przylegały trzy sypialnie jedyne, każda z osobnym wyjściem, co było doskonałym rozwiązaniem mieszkaniowym – ale, co istotne, jeden z tych współlokatorów był chrześcijaninem, podobnie jak jego dziewczyna. Lindenhurst, pierwszy koledź, do którego uczęszczałem, był osobliwym miejscem jako szkoła pełna przede wszystkim hipisów i przewalaków z okolic Chicagolandu, ale posiadająca także żarliwie chrześcijańską mniejszość, która była zupełnie odklejona od życia uczelni. Mówiąc „chrześcijańską”, mam na myśli ewangelicką, jak siostra Jimmy’ego Cartera, która – o ile dobrze pamiętam – miała chodzić po ludziach i odprawiać egzorcyzmy. Fakt, że członkowie tego ewangelickiego odłamu protestantyzmu nazywają siebie po prostu „chrześcijanami”, tak jakby istnieli tylko jedni prawdziwi, zwykle wystarczy, żeby ich podsumować, tak przynajmniej było, jeśli chodzi o mnie wtedy. Ten trafił do nas za pośrednictwem trzeciego mieszkańca naszego lokalu, którego znałem i lubiłem i który nagrał nam układ z mieszkaniem z osobnymi wyjściami w taki sposób, że ja i chrześcijanin nie spotkaliśmy się ani razu, zanim nie było już za późno. Chrześcijanin zdecydowanie nie był kimś, kogo bym pragnął na współlokatora, chociaż trzeba mu przyznać, że niespecjalnie się przejmował moim stylem życia ani tym, z czym wiązało się dzielenie ze mną mieszkania. W każdym razie ten układ okazał się wybitnie okresowy. Pamiętam, że pochodził z północnej Indiany, gorliwie udzielał się w szkolnej organizacji znanej jako Krucjata Studencka i miał wiele par chinosów w kant oraz niebieskich marynarek i butów żeglarskich, i uśmiech, jakby ktoś podłączył go do prądu. Miał też ewangelicką jak on dziewczynę czy platoniczną przyjaciółkę, która bardzo często do nas przychodziła – z tego, co

widziałem, praktycznie tam mieszkała – i mam w pamięci wyraźnie i ze szczegółami, jak raz wszyscy troje znajdowaliśmy się w tej przestrzeni współdzielonej, która w nomenklaturze tych akademików nosiła nazwę „pokoju socjalnego”, ale w której często lubiłem przesiadywać na starej miękkiej winylowej kanapie trzeciego lokatora, zamiast w mojej małej sypialni, i czytać, rozdawać się na Obetrolu albo palić zioło przez mosiężną lufkę, oglądając telewizję, prowokując wszelkie przewidywalne zatargi z chrześcijaninem, który lubił traktować pokój socjalny jak miejsce zebrań chrześcijańskiej wspólnoty, na których jego dziewczyna i inni nabuzowani znajomi chrześcijanie pili oranżadkę Fresca i wspólnotowo omawiali sprawy Krucjaty Studenckiej czy też spełnianie się apokaliptycznego proroctwa i tak dalej, i lubił nacierać mi uszu i przypominać mi, że nazwa tego pomieszczenia to „pokój socjalny”, ilekroć pytałem ich, czy zamiast tu siedzieć, nie powinni aby roznosić jakichś przerażających broszur czy coś. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się oczywiste, że lubiłem pogardzać tym chrześcijaninem, ponieważ mogłem udawać przed sobą, że samozadowolenie i zadufanie w sobie tych ewangelików było jedyną prawdziwą antytezą czy alternatywą dla cynicznej, nihilistycznej przewalackiej postawy, jaką zaczynałem w sobie kultywować. Jakby nie istniało nic między tymi dwiema skrajnościami – co, jak na ironię, było dokładnie tym samym, w co wierzyli ci ewangelicy. Byłem więc znacznie bardziej podobny do chrześcijanina, niż którykolwiek z nas byłby gotów przyznać. Oczywiście, mając zaledwie dziewiętnaście lat, kompletnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wtedy wiedziałem tylko, że pogardzam chrześcijaninem, i odczuwałem przyjemność, nazywając go „dzieckiem Pepsodentu” i narzekając na niego trzeciemu lokatorowi, który poza studiami grał też w zespole rockowym i zwykle nie przebywał za dużo w mieszkaniu, zostawiając chrześcijaninowi i mnie swobodę drażnienia się nawzajem i oceniania, i posługiwania się sobą nawzajem do utwierdzania się w naszych podszytych samozadowoleniem uprzedzeniach.

Tak czy owak, któregoś razu ja, współlokator chrześcijanin i jego dziewczyna – która na dobrą sprawę mogła być jego narzeczoną – siedzieliśmy wszyscy w pokoju socjalnym i z jakiegoś powodu,

całkiem możliwe, że niczym niesprowokowana, dziewczyna uznała za stosowne opowiedzieć mi, jak została „ocalona” czy też „narodziła się na nowo” i stała się chrześcijanką. W pamięci nie zostało mi z niej prawie nic poza tym, że nosiła szpiczaste skórzane kowbojskie buty z kwiatowymi ozdobami – nie chodzi tu o rysunczki kwiatków czy pojedyncze motywy kwiatowe, ale bogato ilustrowane, pełne szczegółów, fotorealistyczne wyobrażenie jakiejś łąki czy ogrodu w pełnym rozkwicie, tak że te buty przypominały raczej kalendarz czy laurkę. Jej świadectwo, na tyle, na ile sobie przypominam, dotyczyło pewnego dnia z nieokreślonej przeszłości, dnia, w którym, jak powiedziała, czuła się zupełnie opuszczona i zagubiona, i praktycznie u kresu sił, krążąc jakby bez celu po psychologicznej pustyni dekadencji i materializmu naszego młodego pokolenia i tak dalej, i tak dalej. Gorliwi chrześcijanie zawsze pamiętają siebie – a przez to wyobrażają sobie tak wszystkich poza własną sektą – jako zagubionych i pozbawionych nadziei, i z trudem trzymających się jakiegokolwiek wewnętrznego poczucia wartości czy choćby powodu, by żyć, zanim nastąpiło ich „ocalenie”. I że gdy tamtego dnia akurat jechała wiejską drogą, gdzieś poza rodzinnym miasteczkiem, włączając się po prostu, jeżdżąc bez celu jednym z amc pacerów jej rodziców, bez wyraźnego powodu, z którego by sobie zdawała sprawę, wjechała nagle na parking, który okazał się parkingiem ewangelickiej chrześcijańskiej świątyni, gdzie akurat odbywała się ewangelicka msza, i jak – znów twierdziła, że bez wyraźnego powodu czy motywu, który byłaby w stanie nazwać – weszła i usiadła z tyłu kościoła na jednym z tych wyściełanych pluszem, podobnych do siedzeń w kinie krzesel, jakie w ich kościołach spotyka się częściej niż drewniane ławki, i zaraz po tym, jak usiadła, kaznodzieja czy wielebny, czy jakkolwiek ich tam u siebie nazywali, miał powiedzieć: „Jest tu dzisiaj z nami, w naszym zgromadzeniu ktoś, kto czuje, że się zagubił, nie ma nadziei i jest u kresu sił, i trzeba, żeby wiedział, że Jezus bardzo, bardzo go kocha”, po czym – opisując swoją historię w pokoju socjalnym – dziewczyna dała świadectwo, jak to ją olśniło i głęboko poruszyło, i powiedziała, że od razu poczuła głęboko w środku ogromną, dramatyczną przemianę duchową, w trakcie której, powiedziała, poczuła się kompletnie uspokojona i bezwarunkowo

zrozumiana i pokochana, tak jakby nagle jej życie miało już sens i kierunek, mimo wszystko, i tak dalej, i tak dalej, a także, co więcej, od tamtego czasu nie miała doła czy uczucia pustki, nie, odkąd pastor czy ksiądz, czy kto tam jeszcze wybrał właśnie tę chwilę, by wyciągnąć do niej rękę ponad głowami pozostałych ewangelickich chrześcijan, siedzących tam i wachlujących się bezpłatnymi wachlarzami z błyszczącymi barwnymi nadrukami reklamującymi kościół, i jakby werbalnie odsunął ich na bok, i jakoś zwrócił się bezpośrednio do tej dziewczyny, i odniósł do jej sytuacji w tym momencie, do jej głębokiej duchowej potrzeby. Mówiła o sobie, jakby była samochodem, z którego silnika wyciągnięto tłoki i wyszlifowano jego zawory. Patrząc wstecz, oczywiście widzę, że istnieją tu pewne zbieżności z moim przypadkiem, ale wtedy jedyną moją reakcją na to było rozdrażnienie – oboje zawsze cholernie mnie drażnili i nie pamiętam, co mogłem robić, przesiadując tam tego dnia, wszystkich okoliczności – i pamiętam, że ostentacyjnie wypychałem sobie językiem policzek w taki sposób, żeby było widać, że policzek mi się wybrzuszył, i posłałem dziewczynie w butach z cholewami pobłażliwe, ironiczne spojrzenie, i zapytałem ją, co dokładnie sprawiło, że pomyślała, że ewangelicki pastor mówi właśnie do niej, mając na myśli ją w szczególności, skoro prawdopodobnie wszyscy inni siedzący na audytorium kościoła czuli się tak samo jak ona, bo praktycznie każdy Amerykanin z krwi i kości w obecnej (względem tamtego czasu) epoce późnego Wietnamu i Watergate czuje się opuszczony i rozczarowany, i zdemotywowany, pozbawiony celu i zagubiony, i co, gdyby się okazało, że słowa kaznodziei czy księdza „Ktoś tu jest zagubiony i brak mu nadziei” to ekwiwalent tych horoskopów z „Chicago Sun-Times”, które celowo pisze się w tak uniwersalnie ogólny sposób, by zawsze dawały ich czytelnikom (jak Joyce, czytająca je co rano nad sokiem z warzyw, który przygotowywała sobie w specjalnym urządzeniu) ten szczególny dreszczyk poczucia wyjątkowości i wglądu, wykorzystując fakt psychologiczny, że większość ludzi jest narcystyczna i podatna na iluzję, która sprawia, że mają się za jedyną osobę, która coś takiego czuje. Innymi słowy, tylko udawałem, że zadaję jej pytanie – w rzeczywistości dawałem tej dziewczynie-przyjaciółce protekcyjny wykładzik na temat

ludzkiego narcyzmu i złudzenia wyjątkowości w stylu grubego przemysłowca u Dickensa albo w *Dicku Szmciarzu*, który po sutym obiedzie odchyła się na oparcie krzesła i zaplótłszy dłonie na wielgachnym brzuchu, nie wyobraża sobie, jak ktokolwiek na świecie mógłby być w tej chwili głodny. Pamiętam też, że dziewczyna chrześcijanina była tęgą, miedzianowłosą dziewoją, u której z jednym z tych zębów, które są po obu stronach siekaczy, było coś nie tak, ponieważ w trakcie rozmowy tamtego dnia posłała mi wielki uśmiech pełen samozadowolenia i powiedziała, że bynajmniej, wcale jej się nie wydaje, żeby moje cyniczne porównanie miało w jakikolwiek sposób obalać czy unieważniać jej przełomowe doświadczenie Chrystusa tamtego dnia albo jego wpływ na jej wewnętrzną odnowę, ani trochę. Możliwe, że w tamtym momencie spojrzała na chrześcijanina w oczekiwaniu na słowa wsparcia albo na „amen” czy coś – nie pamiętam, co w trakcie tej rozmowy robił chrześcijanin. Pamiętam za to, że odwdzięczyłem się jej natychmiast, prezentując jej przesadnie szeroki uśmiech i mówiąc: „Spoko, wszystko jedno”, i pomyślałem, że szkoda czasu na dyskusje z nią i co ja w ogóle tutaj robię, rozmawiając z nimi, i że ona i „dziecko Pepsodentu” są sobie warci – i wiem, że jakoś wkrótce po tym zostawiłem ich w pokoju socjalnym i się zmyłem, myśląc o całej rozmowie i czując się poniekąd zagubiony i pusty w środku, ale też pocieszony, że jestem przynajmniej lepszy od takich narcystycznych buraków jak tych dwoje tak zwanych chrześcijan. A w nieco późniejszym wspomnieniu stoję na imprezie z piwem w czerwonym plastikowym kubku i opowiadam komuś anegdotę z tą rozmową w taki sposób, żeby wyjść na bystrego i zabawnego, a dziewczynę przedstawić jako skończoną idiotkę. Wiem, że byłem prawie zawsze bohaterem wszelkich anegdot i historyjek, które opowiadałem ludziom w tamtym czasie – co, podobnie jak sprawa jednego bokobrodu, należy do wspomnień przyprawiających mnie nieomal o grymas zażenowania.

Tak czy inaczej, mam wrażenie, jakby to było bardzo dawno temu. Ale w tym, że w ogóle wspominam tę rozmowę, chodzi chyba o to, że za historią „zbawienia” tej chrześcijanki krył się istotny fakt, którego wówczas po prostu nie rozumiałem – i prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby rozumieli go także ona czy chrześcijanin. To

prawda, że jej opowieść była głupia i fałszywa, ale to nie znaczy, że nie przeżyła tego, czego doświadczyła w kościele tamtego dnia, ani że nie miało to prawdziwych konsekwencji w jej życiu. Nie przedstawiam tego za dobrze, ale jednocześnie miałem rację i myliłem się co do jej historyjki. Myślę, że tak naprawdę ogromne, nagłe, dramatyczne, niespodziewane, zmieniające życie doświadczenia są nieprzetłumaczalne czy nie do zrozumienia przez inne osoby, a to dlatego, że one naprawdę są *jednostkowe* i wyjątkowe, ale nie w tym znaczeniu *jednostkowe*, w jakim rozumiała je chrześcijanka. Ich siła jest bowiem nie tylko rezultatem danego przeżycia, ale także okoliczności, w jakich ono was spotyka, ze wszystkim, co stanowi o doświadczeniu życia, które was do niego doprowadziło i uczyniło was dokładnie tym, kim i czym jesteście w chwili, gdy to przeżycie was spotyka. Czy to w ogóle brzmi sensownie? Trudno to wytłumaczyć. Tym, co w swojej historii pominęła dziewczyna w wysokich butach z łąką, były powody, dla których czuła się właśnie wtedy tak szczególnie opuszczona i zagubiona, a przez to psychologicznie tak „naprowadzona” na odbiór ogólnej kwestii, wygłoszonej przez pastora bez konkretnego adresata, w tak osobisty sposób. Zgoda, może sama nie pamiętała tych powodów. W każdym razie wszystkim, co naprawdę opowiedziała, był dramatyczny finał jej historyjki, czyli kwestia wygłoszona przez kaznodzieję, oraz nagłe wewnętrzne przemiany, które w efekcie poczuła, co było trochę jak opowiedzenie komuś samej puenty dowcipu w oczekiwaniu, że ten ktoś się roześmieje. Jak ująłby to Chris Acquistipace, jej opowieść to same dane; brakowało w niej struktury faktów. Z drugiej strony możliwe, że 23 380 wypowiedzianych dotąd przeze mnie słów historii mojego życia nie wyda się istotne albo nie będzie miało sensu dla kogokolwiek poza mną – co czyniłoby je nie tak znowu różnymi od próby wyjaśnienia chrześcijanki, jak znalazła się tam, gdzie się znajdowała, zakładając, że była szczerą, gdy mówiła o dramatycznych zmianach wewnątrz. Oczywiście, łatwo jest zwodzić samego siebie.

W każdym razie, jak wspomniano, zasadniczym elementem w mojej historii wstąpienia do Służby jest znalezienie się w niewłaściwej, choć identycznej jak właściwa, sali w DePaul

w grudniu 1978 roku, kiedy to byłem tak zaprzątnięty wysiłkiem utrzymania koncentracji na zajęcia powtórkowe z *Federalisty*, że aż do czasu wejścia do sali profesora nie zauważyłem swojej pomyłki. Nie miałem pojęcia, czy jest tym właściwym budzącym grozę jezuitą, czy nie. Dopiero później się dowiedziałem, że nie był formalnie wykładowcą zaawansowanej rachunkowości podatkowej – najwyraźniej właściwy jezuita prowadzący ten kurs miał jakiś wypadek natury osobistej i właśnie ten nauczyciel sprawował zastępstwo przez ostatnie dwa tygodnie. Stąd początkowa dezorientacja. Pamiętam, jak pomyślałem, że jak na jezuitę profesor nosi się zdecydowanie po cywilnemu. Miał na sobie archaicznie klasyczny ciemnoszary garnitur, za którego kanciastym wyglądem mogła faktycznie stać flanela, a wysoki połysk jego butów oślepił, kiedy światło jarzeniówek z sufitu padało na nie pod określonym kątem. Sprawiał wrażenie gibkiego i precyzyjnego; jego ruchy cechowała energiczna oszczędność człowieka, który wie, że czas należy do cennych aktywów. Co do uświadomienia sobie mojej pomyłki, wtedy właśnie zaprzestałem mentalnej powtórki *Federalisty* i stałem się świadomy wyraźnie odmiennej aury panującej wśród studentów w sali. Kilku miało krawaty pod wełnianymi kamizelkami; niektóre z nich autentycznie były w romby. Buty w zasięgu mojego wzroku co do jednego były czarnymi lub brązowymi skórzanymi półbutami wyjściowymi ze starannie zawiązanymi sznurowadłami. Do dziś nie wiem dokładnie, jak wszedłem nie do tego budynku. Nie jestem osobą, która łatwo się gubi, a poza tym znałem Garnier Hall, bo odbywały się w nim też zajęcia z wprowadzenia do rachunkowości. Tak czy owak, powtórzę, że tamtego dnia jakimś sposobem trafiłem do sali 311 w Garnier Hall zamiast na moje zajęcia z nauk politycznych w identycznej sali 311 w Daniel Hall, która znajdowała się po przeciwnej stronie kładki, i usiadłem pod ścianą w rzędzie w pobliżu samego końca sali, w miejscu, którego opuszczenie – gdy już wydobyłem się z mojego zaabsorbowania i uświadomiłem sobie pomyłkę – spowodowałyby mnóstwo zamieszania i przemieszczania toreb i puchowych kurtek – sala była całkowicie wypełniona, gdy wszedł do niej wykładowca na zastępstwie. Później dowiedziałem się, że kilku sprawiających wrażenie najpoważniejszych i dorosłych

studentów z autentycznymi aktówkami i skoroszytami harmonijkowymi zamiast plecaków to doktoranci programu zaawansowanych studiów biznesowych – tak bardzo zaawansowany był ten kurs zaawansowanej rachunkowości podatkowej. Właściwie cały Wydział Rachunkowości w DePaul miał opinię poważnego i mocnego – rachunkowość i zarządzanie w biznesie były tymi stronami uczelni, z których DePaul słynęło i na których wychwalanie poświęcono sporo miejsca w broszurach i materiałach promocyjnych. Oczywiście nie z tego powodu zapisałem się po raz drugi na DePaul – rachunkowość nie interesowała mnie prawie wcale, może jedynie, jak już wspominałem, o tyle, że chciałem coś udowodnić czy wynagrodzić mojemu ojcu, w końcu zdając kurs wprowadzenia do tego przedmiotu. Program rachunkowości oferowany przez uczelnię okazał się wymagający i renomowany do tego stopnia, że prawie połowa sali na tych zajęciach z zaawansowanej rachunkowości podatkowej była już zapisana na egzamin na certyfikat biegłego rewidenta w sesji lutowej '79, jakkolwiek wtedy ledwie się orientowałem, czym w ogóle jest ten egzamin zawodowy albo że przygotowanie do niego wymaga kilku miesięcy nauki i ćwiczeń. Na przykład dowiedziałem się później, że egzamin końcowy z zaawansowanej rachunkowości podatkowej skonstruowano właściwie jako model niektórych sekcji podatkowych egzaminu na biegłego rewidenta w mikroskali. Tak na marginesie, mój ojciec także posiadał certyfikat biegłego rewidenta, jakkolwiek rzadko mu się on przydawał w pracy dla urzędu miasta. Patrząc jednak wstecz i w świetle tego, co wynikło z wydarzeń tamtego dnia, nie jestem wcale pewny, czy opuściłbym pomieszczenie, gdyby logistyka wyjścia nie była tak niezręczna – zwłaszcza po wejściu wykładowcy na zastępstwie. Mimo że naprawdę potrzebowałem tej powtórki materiału przed egzaminem z amerykańskiej myśli politycznej, możliwe, że zostałem i tak. Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Pamiętam, że wkroczył energicznie i powiesił płaszcz i kapelusz na haku stojaka do flagi w rogu. Do dzisiaj nie mam pewności, czy to, że przypałałem się do sali 311 w nie tym budynku tuż przed sesją egzaminacyjną, nie było jeszcze jednym drobnym przejawem mojej nieodpowiedzialności. Ale nie da się analizować podobnych nagłych, dramatycznych przeżyć w ten

sposób – zwłaszcza z perspektywy czasu, która jest, jak wiadomo, podstępna (choć oczywiście nie rozumiałem tego w czasie rozmowy z chrześcijanką w wysokich butach).

W tamtej chwili nie wiedziałem, ile lat ma wykładowca na zastępstwie (jak wspominałem, dopiero później dowiedziałem się, że miał zastępstwo za właściwego jezuitę prowadzącego kurs, którego nieobecności nikt nie opłakiwał) ani nawet jak się nazywa. Wcześniej z zastępstwami nauczycieli spotykałem się głównie w liceum. Co do jego wieku, wiedziałem tylko tyle, że zawiera się w tym amorficznym (dla mnie) przedziale pomiędzy czterdziestką a sześćdziesiątką. Nie wiem, jak go opisać, ale robił wrażenie już od pierwszej chwili. Był szczupły, a w jasnym świetle pomieszczenia wyglądał na bladego w sposób, który był raczej świetlisty niż chorobliwy, a włosy koloru stali miał ostrzyżone na jeża, miał też jakby wydatne kości twarzy. Z grubsza przypominał mi kogoś z przedpotopowej fotografii albo dagerotypu. Jego spodnie od garnituru miały podwójne kanty, co dopełniało wrażenia pudełkowej sztywności. Miał także dobrą postawę, którą mój ojciec nazywał „posturą” osoby – wyprostowaną i z wypiętą piersią, ale bez wrażenia sztywności – i kiedy wkroczył energicznie ze swoją harmonijkową teczką, wypełnioną starannie ułożonymi i oznaczonymi materiałami, wszyscy studenci obecni w sali wydawali się nieświadomie przesuwac tak, aby siedzieć nieco prościej w swoich niewielkich ławkach. Opuścił ekran na tablicę w sposób całkiem podobny do zaciągania okiennej rolety, dotykając uchwyty ekranu przez chustkę do nosa. O ile pamięć mnie nie myli, niemal wszyscy studenci w sali byli płci męskiej. Kilkoro było azjatyckiego pochodzenia. Wydobywał i układał materiały, spoglądając na blat biurka z dyskretnym uśmiechem. Tak naprawdę witał się po nauczycielsku z salą studentów bez patrzenia na nich. Oni za to, co do jednego, utkwili w nim wzrok. W sali było inaczej niż w trakcie zajęć z nauk politycznych czy psychologii, czy nawet wprowadzenia do rachunkowości, na których zawsze po podłodze walały się rzeczy, a ludzie siedzieli rozwaleni, osunięci na kość ogonową i jawnie podnosili wzrok na zegar albo ziewali, i zawsze słyhać było nieprzerwany, niespokojny szemrzący półgłos, wobec którego profesor od podstaw rachunkowości zachowywał się tak,

jakby wcale go nie było – może zwykli wykładowcy nie słyszeli już hałasu albo uodpornili się na jawne znudzenie i nieuwagę studentów. Gdy jednak do sali wszedł profesor pełniący zastępstwo za prowadzącego rachunkowość, napięcie panujące w pomieszczeniu uległo zmianie. Nie wiem, jak to opisać. Nie umiem też w pełni racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego zostałem – a to, jak wspominałem, oznaczało nieobecność na ostatniej powtórcie materiału z amerykańskiej myśli politycznej. Wtedy dalsze siedzenie w niewłaściwej sali wydawało mi się jeszcze jednym lekkomyślnym, niekontrolowanym impulsem. Może było mi niezręcznie na myśl, że profesor zobaczy, jak wychodzę. W odróżnieniu od chrześcijanki chyba nigdy nie rozpoznaję ważnych momentów na bieżąco – zawsze wydają się odciągać uwagę od tego, co akurat powinienem robić. Mogę spróbować to wyjaśnić, mówiąc, że coś w nim było – w profesorze na zastępstwie. W jego wyrazie twarzy była ta sama wypalona, wydrażona koncentracja, jaką widuje się na zdjęciach przedstawiających weteranów, którzy służyli na którejś z prawdziwych wojen, to znaczy – walczyli. Jego oczy ogarniały nas wszystkich jako grupę. Wiem, że nagle poczułem zmieszanie na myśl o moich spodniach malarskich i niezasnurowanych timberlandach, ale nawet jeśli wykładowca zwrócił na nie uwagę, nie dał tego po sobie poznać. Żeby zasygnalizować oficjalny początek zajęć, spojrzął na zegarek, wykonawszy krótki ruch, którym skierował nadgarstek przed siebie, a potem do środka, na podobieństwo wyprowadzania lewego sierpowego, którego gwałtowność podciągnęła mu rękaw marynarki, odsłaniając nieznacznie piageta ze stali nierdzewnej, który wtedy wydał mi się zaskakująco wyzywający jak na zegarek jezuity.

Posługiwał się białym ekranem i foliogramami – w odróżnieniu od profesora od podstaw nie pisał niczego kredą na tablicy – a kiedy umieścił pierwszy foliogram w rzutniku i światła w sali zgasły, jego twarz była podświetlona od dołu, jak twarz artysty kabaretowego, co jeszcze bardziej podkreśliło jej wydrażoną intensywność i kościstą strukturę. Pamiętam, że w mojej głowie panował rodzaj elektrycznego chłodu. Diagram na ekranie za jego plecami przedstawiał krzywą wzrostu z wykresami kolumnowymi poniżej jej kolejnych odcinków, z początku pnącą się stromo i wypłaszczającą

cokolwiek u szczytu. Przypominała odrobinę fale, która zaraz się załamie. Diagram był niepodpisany i dopiero później miałem rozpoznać w nim progresywnie ustalane tabele dla skrajnych stawek federalnego podatku dochodowego za rok 1976. Czułem się ponadprzeciętnie świadomy i przytomny, ale w odmienny sposób niż w trakcie rozdwojenia czy po Cylercie. Pojawiły się też różne krzywe i równania oraz cytaty z §62 KPUSA z objaśnieniami, których liczne podpunkty nawiązywały do złożonych przepisów wyznaczających różnicę między odliczeniami „z tytułu” dochodu brutto a odliczeniami „od” dochodu brutto, która według słów wykładowcy na zastępstwie miała stanowić podstawę praktycznie każdej naprawdę skutecznej współczesnej indywidualnej strategii planowania podatkowego. Tu – chociaż z tego zdałem sobie sprawę dopiero później, po rekrutacji – miał na myśli takie planowanie własnych interesów, by możliwie jak najwięcej odliczeń było odliczeniami „z tytułu” dochodu brutto, jako że wszystko, począwszy od odpisu standardowego, na odpisach kosztów leczenia skończywszy, ustala się dla progów uzgadnianych z dochodem brutto (ponieważ *progi* oznaczają, że na przykład tylko te wydatki na leczenie, które przekroczyły trzy procent dochodu brutto, kwalifikują się do odpisu, było także z korzyścią dla przeciętnego podatnika, by wykazać się dochodem brutto – nazywanym także trzydziestką jedynką, jako że na formularzach 1040 z tamtego okresu dochód brutto wpisywało się w linijkę 31 – tak niskim, jak to tylko możliwe).

Jakkolwiek przytomny i świadomy się wtedy czułem, prawdopodobnie bardziej zdawałem sobie sprawę z oddziaływania wykładu na mnie niż z jego treści, która w dużej mierze przerastała moje możliwości – co jest zrozumiałe, ponieważ wtedy nie miałem jeszcze skończonych podstaw rachunkowości – a jednak trudno było mi się od niej oderwać czy być nią poruszony. Po części było tak ze względu na sposób prezentacji zastępującego profesora, a ten cechowała wartkość, zorganizowanie, brak teatralności i obojętność charakterystyczne dla wypowiedzi ludzi, którzy wiedzą, że to, co mówią, ma za dużą wartość, by rozmieniać ją na drobne cackaniem się ze sposobem wygłaszania czy „nawiązywaniem więzi” ze studentami. Innymi słowy, wykład miał w sobie jakąś żarliwą

uczciwość, która dawała o sobie znać nie poprzez styl, ale jego brak. Czułem, że nagle, po raz pierwszy, pojąłem znaczenie używanego przez ojca wyrażenia „do rzeczy” i zrozumiałem, dlaczego przy jego pomocy komunikował aprobatę.

Pamiętam, jak zauważyłem, że wszyscy studenci w sali notują, co na zajęciach z rachunkowości oznacza konieczność internalizacji i zapisania danego faktu czy spostrzeżenia profesora przy równoczesnym uważnym słuchaniu kolejnego punktu, aby móc to następnie również zanotować, co wymaga swego rodzaju intensywnie podzielnej uwagi, której nie nabyłem wcześniej niż po dłuższym czasie spędzonym w OSiE w Indianapolis w kolejnym roku. To było zupełnie inne notowanie niż na zajęciach z przedmiotów humanistycznych, które składało się głównie z bazgrołów i z ogólnych, abstrakcyjnych zarysów tematów i idei. Poza tym słuchacze zaawansowanej rachunkowości podatkowej mieli liczne ołówki ułożone w szeregu na blatach, wszystkie niemożliwie dobrze naostrzone. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie miałem przy sobie naostrzonego ołówka, gdy był mi potrzebny; nigdy nie zadałem sobie trudu przechowywania ich uporządkowanych i naostrzonych. Jedynymi oznakami czegoś, co można by uznać za cierpkie poczucie humoru w trakcie wykładu, były sporadyczne stwierdzenia bądź cytaty, które zastępujący profesor wplatał w diagramy, czasami pisząc je na wyświetlanym foliogramie, rzucając na ekran bez komentarza i zatrzymując się na moment, w którym wszyscy notowali je, jak szybko mogli, zanim zmieniał foliogram. Wciąż mam w pamięci jeden taki przykład: „Tym, co dziś trzeba nam odkryć na niwie społecznej, jest moralny odpowiednik wojny”, z atrybucją wyrażoną jedynie słowem „James”, które, jak wówczas myślałem, odsyłało nas do biblijnego apostoła Jakuba, z oczywistych względów – choć nie powiedział nic, co by wyjaśniało cytat albo wzmacniało jego efekt, gdy sześć rzędów studentów (okulary niektórych z nich odbijały światło z ekranu w sposób, który nadawał ich twarzom jawnie robotyczny, konformistyczny wyraz, z cienkimi kwadratami białego światła w miejscach, gdzie powinny znajdować się ich oczy – pamiętam, jak mnie to uderzyło) posłusznie go zanotowało. Albo jeszcze jeden

przykład, wypisany drukowanymi literami na osobnym foliogramie i przypisywany Karolowi Marksowi, znanemu ojcu marksizmu:

Spółczeństwo komunistyczne umożliwia mi robienie dziś tego, a jutro owego, pozwala mi rano polować, po południu łowić ryby, wieczorem paść bydło, po jedzeniu krytykować, słowem – robić to, na co mam ochotę

do którego jedyną gloszę stanowił cierpki komentarz: „Podkreślenie dodane”.

Chcę powiedzieć, że ostatecznie rzecz miała o wiele więcej wspólnego z przeżyciem ewangeliczki w wysokich butach, niż byłem wtedy gotów przyznać. Oczywiście tą liczącą w tej chwili 2005 słów historią mojego wspomnienia nie mógłbym kogokolwiek przekonać, że immanentna, obiektywna natura wykładu zastępującego profesora każdego przykułaby do krzesła i kazała mu zapomnieć o końcowych zajęciach powtórkowych przed egzaminem z amerykańskiej myśli politycznej ani że wiele spośród tego, co katolicki duchowny (tak sądziłem) mówił czy wyświetlał, było skierowane bezpośrednio do mnie. Mogę za to przynajmniej pomóc w wyjaśnieniu tego, dlaczego byłem tak silnie „naprowadzony” na przeżywanie tego w ten sposób, zdążyłem już bowiem poznać przedsmak czy doświadczyć *wstrząsów wstępnych* tego przeżycia na krótko przed tym, jak doszło do pomyłki z salą do zajęć powtórkowych, choć dopiero później, z perspektywy czasu, zrozumiałem, że tak było – to znaczy, że tak było z tym przeżyciem.

Pamiętam dokładnie, że kilka dni wcześniej – to znaczy w poniedziałek ostatniego tygodnia zwykłych zajęć w semestrze zimowym '78 – siedziałem rozwalony i pozbawiony motywacji na starej żółtej sztruksowej kanapie w naszym pokoju w akademiku DePaul w środku popołudnia. Byłem sam, w nylonowych spodniach od dresu i czarnym T-shircie z Floydami, i usiłowałem obracać piłkę do nogi na końcu palca, oglądając telenowelę *A świat się kręci* na stojącym w pokoju małym czarno-białym telewizorze Zenitha – bez obetrolowania ani upalania się czymś szczególnym, ale zasadniczo nadal jako niezmotywowany nierób. Oczywiście zawsze mogłem

poczytać i pouczyć się do egzaminów, ale byłem przewalaka. Siedziałem rozplaszczony na kanapie, osunięty na kość ogonową – tak że wszystko na ekranie małego telewizora odbywało się w obramowaniu moich kolan – i oglądając *A świat się kręci*, bezproduktywnie, bezcelowo obracając piłkę do nogi. Formalnie telewizor należał do współlokatora, ale on był poważnym studentem przygotowującym się do medycyny, chociaż zadał sobie trud dosztukowania odpowiednio powyginanego drucianego wieszaka, który zastępował brakującą antenę Zenitha, dzięki czemu telewizor w ogóle odbierał. *A świat się kręci* puszczał na CBS od pierwszej do drugiej po południu. To było coś, co nadal robiłem w nadmiarze w trakcie tamtego ostatniego roku, to siedzenie i tracenie czasu przed małym zenithem, i przy różnych okazjach pasywnie dawałem się zassać popołudniowym telenowelom na CBS, których bohaterowie mówili i gestykulowali teatralnie, i rozmawiali ze sobą bez żadnych zająknięć czy, jak się zdawało, bez jakichkolwiek spadków intensywności, przez co było w tym wszystkim coś niemal hipnotycznego, zwłaszcza że nie miałem zajęć w poniedziałki czy piątki, więc było niesamowicie łatwo tak siedzieć i dać się zassać. Pamiętam, że wielu innych studentów w DePaul miało fazę na lecącą na ABC telenowelę *Szpital miejski*, gromadząc się wielkimi, wygłodniałymi i ryczącymi śmiechem stadami, żeby go oglądać (za modne alibi podając polewanie z tego serialu), ale z powodów, które prawdopodobnie miały coś wspólnego ze śnieżącym odbiorem zenitha, byłem w tamtym roku bardziej stałym widzem CBS, ze szczególnym uwzględnieniem *A świat się kręci* oraz *Gwiazdy przewodniej*, która szła po *A świat się kręci*, o drugiej po południu w tygodniu, i pod pewnymi względami była jeszcze bardziej hipnotyczna.

W każdym razie siedziałem tak, próbując kręcić piłką na palcu i oglądając operę mydlaną, która była też porządnie naładowana reklamami – zwłaszcza w drugiej połowie, którą w operach mydlanych zwykle faszerują większą dawką reklam, ponieważ liczą na to, że jesteście już przyssani i zahipnotyzowani i zostaniecie na więcej reklam – i na końcu każdej przerwy reklamowej pojawiała się ujęcie obracającej się Ziemi widzianej z kosmosu, czemu towarzyszył głos spikera CBS: „Oglądacie *A świat się kręci*”, który to

komunikat właśnie tamtego dnia spiker wygłaszał za każdym razem jakby bardziej dobitnie: „Oglądacie *A świat się kręci*”, aż zaczął brzmieć niemal tak, jakby nie dowierzał własnym słowom: „Oglądacie *A świat się kręci*”, aż poraziła mnie nagle naga rzeczywistość stojąca za tym stwierdzeniem. Nie chodzi mi o żadną ironiczną metaforę w stylu studentów kierunków humanistycznych, ale dosłowność tego, co gość mówił, normalny poziom tego, co na powierzchni. Nie wiem, ile razy słyszałem to w trakcie tamtego roku, siedząc i oglądając *A świat się kręci*, ale nagle uświadomiłem sobie, że spiker w rzeczywistości mówił raz za razem, co dosłownie robię. A oprócz tego zrozumiałem, że słyszałem, jak mówiono mi to niezliczoną ilość razy (tak jak powiedziałem, spiker wygłaszał swoją kwestię po każdym bloku reklamowym następującym po danym fragmencie odcinka), zawsze bez choćby minimalnej świadomości tego, czym dosłownie jest rzeczywistość stojąca za tym, co robię. Powinienem tu dodać, że nie obetrolowałem w tamtej chwili, kiedy osiągnąłem świadomość. Ona była inna. To było tak, jakby spiker CBS mówił bezpośrednio do mnie, potrząsając moją nogą czy ramieniem, jakby próbował wyrwać kogoś ze snu: „Oglądacie *A świat się kręci*”. Trudno to wytłumaczyć. I w tym, co mnie uderzyło, nie chodziło nawet o oczywistą dwuznaczność. To było bardziej dosłowne, co poniekąd sprawiało, że trudniej to było pojąć. Wszystko to dotarło do mnie, gdy tak siedziałem. Wrażenie nie mogło być bardziej konkretne, nawet gdyby spiker sam powiedział: „Siedzisz na starej żółtej kanapie w akademiku, obracając na czubku palca czarno-białą piłkę do nogi i oglądając *A świat się kręci*, nie uświadamiając sobie nawet przez chwilę, że to właśnie robisz”. I to mnie uderzyło. Tu nawet nie chodziło o to, czy jestem nieodpowiedzialny, czy jestem przewalaka – było bardziej tak, jakby mnie wcale nie było. Prawda jest taka, że zdałem sobie sprawę z oczywistego podwójnego znaczenia „Oglądacie *A świat się kręci*” nie prędzej niż trzy dni później – z budzącego wręcz grozę sensu tej zabawy słownej o pasywnym marnowaniu czasu, jakim jest oglądanie czegoś, czego odbiór przez wieszak nie jest wcale najlepszy, podczas gdy przez cały ten czas na świecie dzieją się prawdziwe rzeczy, a ludzie z inicjatywą i celami dbają o swoje sprawy, działając energicznie i rzeczowo – czyli dopiero w czwartek

rano, kiedy to drugie znaczenie dotarło do mnie pod prysznicem, nim się ubrałem i wybiegłem na zajęcia, które – przynajmniej w świadomym założeniu – miały być powtórką przed egzaminem końcowym z amerykańskiej myśli politycznej. Co mogło, jak przypuszczam, stanowić powód, dla którego byłem tak bardzo pogrążony w myślach i skierowałem się do wejścia nie tego budynku. W każdym razie wtedy, w poniedziałkowe popołudnie, tym, co do mnie dotarło, była reiteracja prostego faktu mojej aktywności, która oczywiście sprowadzała się do niczego – trwałem w rozplaszczeniu, jak coś, co nie posiada kości, nie angażując się choćby w tę powierzchniową rzeczywistość, w której oglądałem przez rozstawione kolana, jak Victor wypiera się ojcostwa przed Jeanette (choć syn Jeanette ma tę samą niezmiernie rzadką chorobę krwi, przez którą Victor wielokrotnie lądował w szpitalu przez większość semestru. Pamiętam, jak przyszło mi do głowy, że Victor może w jakimś sensie naprawdę „wierzyć” we własne zaprzeczenia, bo zasadniczo sprawiał wrażenie kogoś takiego).

Ale nie jest też tak, żebym świadomie rozmyślał nad tym wszystkim akurat wtedy. Wtedy miałem tylko świadomość konkretnego oddziaływania komunikatu spikera oraz świtającego mi w głowie rozpoznania, że całe to bezcelowe dryfowanie i lenistwo, i „przewalactwo”, z którym w tamtej epoce tak wielu z nas lubiło się obnosić, utrzymując, że wyniosło je do rangi nihilistycznej formy sztuki, i o którym tylu z nas myślało, że jest fajne i zabawne (ja też uważałem, że jest fajne, a przynajmniej wierzyłem, że tak uważam – było coś niemal romantycznego w rażącym marnotrawstwie i dryfowaniu, za których określenie mianem marazmu, z którego naród powinien się otrząsnąć, Jimmy Carter był wyszydzany), a w rzeczywistości nie było śmieszne, ani odrobinę, tylko w gruncie rzeczy raczej przerażające czy smutne, a może było jeszcze czym innym – czymś, czego nie byłem w stanie nazwać, ponieważ nie miało nazwy. Wiedziałem, siedząc tam, że możliwe, że jestem prawdziwym nihilistą, że to nie zawsze była po prostu modna poza. Że dryfowałem i rzucałem studia, ponieważ nic nie miało znaczenia, żaden wybór nie był lepszy od pozostałych. Że miałem na swój sposób za dużo wolności albo że ta wolność nie była wcale prawdziwa – mogłem wybierać „wszystko jedno”, bo tak naprawdę

nie miało to żadnego znaczenia. Ale że było tak także ze względu na mój wybór – na swój sposób uznałem, że nic nie będzie mieć dla mnie znaczenia. To wszystko było dużo mniej abstrakcyjne, niż się wydaje, kiedy teraz próbuję to wyjaśnić. To wszystko działo się, kiedy tak po prostu siedziałem, obracając piłkę. Chodziło o to, że dokonawszy tego wyboru, ja też nie miałem dla siebie znaczenia. Nic za mną nie stało. Jeżeli chciałem się liczyć – choćby tylko dla siebie – musiałem stać się mniej wolny, dokonując jakiegoś definitywnego wyboru. Nawet gdyby miało to być wyłącznie aktem woli. Wszystkie te rozpoznania były bardzo nagłe i nieostre, a to uzmysłowienie sobie kwestii wyboru i znaczenia miało swoje granice – starałem się też oglądać *A świat się kręci*, w którym poziom dramatyizmu wzrastał zwykle stopniowo, osiągając kulminację pod koniec odcinka, ponieważ zawsze się starali, żebyście pamiętali, by śledzić rozwój akcji następnego dnia. Ale chodzi o to, że na jakimś poziomie uświadomiłem sobie, że niezależnie od tego, czym była potencjalnie „zbląkana dusza”, ja właśnie nią byłem – i że takie bycie nie jest czymś fajnym ani czymś zabawnym. I jak już wspomniałem, raptem kilka dni później wylądowałem przez pomyłkę po drugiej stronie kładki na ostatnich zajęciach z zaawansowanej rachunkowości podatkowej, przedmiotu, który – podkreślę to jeszcze raz – w tamtym momencie interesował mnie tyle co nic, jak mi się wydawało. Jak większość osób spoza branży wyobrażałem sobie rachunkowość podatkową jako domenę skrupulatnych ludzików w grubych okularach i z imponującymi kolekcjami znaczków, czyli mniej więcej jako przeciwieństwo kogoś modnego czy fajnego – a przeżycie, w którym słyszałem, jak spiker CBS raz po raz streszczał powierzchnię rzeczywistości, w którym nagle naprawdę zdawałem sobie sprawę z tego, że go słyszę i że widzę mały ekran między moimi kolanami poniżej obracającej się na czubku mojego palca piłki, po części doprowadziło mnie do stanu, w którym, jak sądzę, mniejsza o to, czy przez przypadek, czy nie, byłem w stanie usłyszeć coś, co zmieniło kierunek moich dążeń.

Pamiętam, że na korytarzu drugiego piętra zadzwonił dzwonek obwieszczający koniec programowego czasu zajęć z zaawansowanej rachunkowości podatkowej, a żadne ze studentów nie zrobiło nic z tych rzeczy, jakie robią studenci kierunków humanistycznych,

którzy zaczynają się wiercić, zbierając swoje materiały, albo wychylają się z ławek, żeby podnieść z podłogi torby i teczki, nawet kiedy zastępujący wykładowca wyłączył projektor i zwinął ekran sprawnym ruchem prawej ręki, chowając następnie chusteczkę do kieszeni marynarki. Wszyscy trwali nadal w ciszy i skupieniu. Przypominam sobie, że kiedy światła w suficie sali znów się zaświeciły, dostrzegłem, że notatki starszego wąsatego studenta obok mnie są wprost niewiarygodnie schludne i uporządkowane, z głównymi punktami wykładu oznaczonymi cyframi rzymskimi oraz minuskułami, wewnątrztekstową numeracją i obustronnymi wcięciami przy nagłówkach śródtekstowych i kolejnych punktach wyводу. Samo jego pismo wyglądało niemal jak automatyczne, tak było dobre. A to wszystko pomimo faktu, że notatki powstały praktycznie w ciemności. Kilka zegarków elektronicznych zapikało równocześnie. Tak jak jej lustrzany odpowiednik po drugiej stronie kładki podłoga w Garnierze na piętrze z salą 311 wyłożona była kafelkami we wzór, który w zależności od perspektywy czy kąta patrzenia był szachownicą albo układanką z diamentów w barwach instytucjonalnych beżów i brązów. Wszystko to pamiętam bardzo wyraźnie.

Chociaż upłynął ponad rok, zanim je zrozumiałem, podaję tu tylko kilka głównych obszarów, których dotyczył wykład sprawującego zastępstwo profesora, zgodnie z zapisem w notatkach tego starszego studenta, po usunięciu numeracji:

dochód przypisany -> formuła Haiga-Simonsa

wpływy konstruktywne

spółki komandytowe, straty z tytułu inwestycji pasywnych

amortyzacja i kapitalizacja -> RPP z 1976 r. §266

odpisy amortyzacyjne -> stawki wg klasyfikacji środków trwałych

zasada kasowa a metoda memoriału -> konsekwencje dla dochodu brutto

darowizny *inter vivo* a RPP 76

strategia stelaża - techniki

4 kryteria wymiany nieopodatkowanej

strategia podatkowa klienta („optymalizacja transakcji”)
a strategia kontrolna IRS („kompresja transakcji”)

To były, jak wspomniałem, ostatnie normalne zajęcia przed końcem semestru. Końcówka ostatnich planowych zajęć na przedmiotach humanistycznych, na które zwykle uczęszczać, była zwykle chwilą, kiedy młodszy profesor starał się wygłosić jakieś efektowne, pokazujące jego dystans do siebie podsumowanie – „Panie Gorton, czy mógłby pan streścić wszystko, czego uczyliśmy się przez ostatnie szesnaście tygodni?” – a także przekazać wskazówki i uwagi dotyczące logistyki egzaminu końcowego czy pracy semestralnej oraz sposobu oceniania i prawdopodobnie życzył nam udanej przerwy świątecznej (do Bożego Narodzenia ’78 zostały dwa tygodnie). Ale na zaawansowanej rachunkowości podatkowej, gdy profesor na zastępstwie odwrócił się po zwinięciu ekranu, nie okazał żadnej z cielesnych oznak towarzyszących zakończeniu czegoś czy przejściu do instrukcji końcowych bądź podsumowania. Stał naprawdę nieruchomo – znacznie bardziej nieruchomo, niż stoi większość ludzi, gdy stoi nieruchomo. Jak dotąd powiedział 8206 słów, wliczając w to wyrażenia liczbowe i operatory. Wszyscy starsi goście i Azjaci po prostu siedzieli i zdawało się, jakby nauczyciel pozostawał w kontakcie wzrokowym z całą naszą czterdziestką ósemką naraz. Miałem świadomość, że część z otaczającej tego profesora na zastępstwie aury czerstwego, powściągliwego i niewymuszonego autorytetu bierze się stąd, że najstarsi studenci, wszyscy co do jednego, darzą taką uwagą każde jego słowo i gest. Było jasne, że szanują tego wykładowcę i że jest to szacunek, którego nie otrzymuje pod warunkiem odwzajemniania czy udawanej wzajemności. Nie zależało mu na „tworzeniu więzi” ani na tym, żeby się podobać. Ale nie był też wrogi czy protekcyjny. Wrażenie, jakie sprawiał, to wrażenie kogoś „obojętnego” – nie w nic nieznaczący, zawieszony w powietrzu, nihilistyczny sposób, a bardziej w sposób, jaki charakteryzuje opanowanie, pewność siebie. Trudno to opisać, chociaż bardzo wyraźnie pamiętam tę świadomość. Słowem, które ciągle przychodziło mi na myśl, gdy spoglądał na nas, a my patrzyliśmy i czekaliśmy – chociaż to wszystko było bardzo szybkie – była *wiarygodność*, jak we frazie

nadwyżenie wiarygodności ze skandalu Watergate, który przetaczał się przez kraj praktycznie za mojej bytności w Lindenhurst. Odgłosy opuszczania sal po innych zajęciach z rachunkowości, ekonomii i zarządzania w biznesie ignorowano. Zamiast pozbierać swoje materiały, profesor na zastępstwie – którego, jak wspominałem, uważałem wtedy za jezuitę w cywilu – założył ręce za siebie i zastygł, patrząc na nas. Białka jego oczu były niesamowicie białe, tak jak zwykle wyglądają białka kogoś o ciemnej karnacji. Zapomniałem kolor tęczówek. Tyle że jego karnacja była karnacją kogoś, kto rzadko przebywa na słońcu. Wyglądał, jakby czuł się u siebie w świetle instytucjonalnych lamp fluorescencyjnych. Jego muszka leżała idealnie prosto, mimo że była z tych wiązanych, nie przypinanych na klips.

Powiedział:

– Stosowną rzeczą wydawałoby się zatem jakieś podsumowanie. Jakaś hortacja.

(Niewykluczone, że nie dosłyszałem i tak naprawdę użył słowa „adhortacja”). Spojrzał szybko na zegarek, wykonując ten sam ruch złożony z kątów prostych.

– W porządku – powiedział. Lekki uśmiech tańczył mu wokół ust, kiedy mówił „W porządku”, ale było jasne, że nie żartuje ani nie próbuje odrobinę kwestionować powagi tego, co za chwilę powie, w sposób, w jaki tylu wykładowców przedmiotów humanistycznych potrafiło parodiować samych siebie czy swoje hortacje, żeby nie wypaść niecool. Dopiero później, w OSiE Służby, dotarło do mnie, że ten zastępujący profesor był autentycznie pierwszym nauczycielem we wszystkich szkołach, pomiędzy którymi dryfowałem, który wydawał się w stu procentach nie przejmować tym, czy jest lubiany ani czy jest postrzegany jako fajny czy sympatyczny przez studentów, i uświadomiłem sobie – gdy już przystałem do Służby – jak imponującą cechą potrafi być tego rodzaju obojętność u autorytetu. Właściwie z perspektywy czasu myślę, że profesor na zastępstwie mógł być pierwszym prawdziwym autorytetem, który spotkałem, to znaczy postacią z prawdziwym autorytetem, a nie po prostu kimś z władzą pozwalającą mu sądzić albo nacierać ludziom uszu z pozycji swojego brzegu pokoleniowej przepaści, i po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, że „autorytet” jest

tak naprawdę czymś rzeczywistym i autentycznym, że prawdziwy autorytet to nie to samo co kumpel czy ktoś, kto się wami przejmuje, a jednak może mieć na was dobry wpływ, i że relacja z autorytetem nie jest „demokratyczna” czy równościowa, a mimo to może być pożyteczna dla obu stron. Zdaje się, że nie tłumaczę tego za dobrze – ale prawdą jest, że czułem się wybrany, przeszywany spojrzeniem tych oczu, których nie darzyłem ani sympatią, ani niechęcią, ale których z całą pewnością byłem świadomy. To był jakiś rodzaj władzy, którą sprawował i którą mu dobrowolnie przyznawałem. Ten szacunek nie był tym samym co przymus, chociaż był jakąś władzą. To wszystko było bardzo dziwne. Zauważyłem też, że stoi teraz z rękami założonymi na plecach, w pozycji przypominającej wojskową „postawę swobodną”.

Powiedział do studentów rachunkowości:

– Dobrze więc. Zanim stąd wyjdziecie, by powrócić do prymitywnych makiet ludzkiego życia, które do tej pory utożsamialiście z prawdziwym życiem, pozwolę sobie poinformować was o pewnych prawdach. Następnie przedstawię opinię co do tego, jak z największą korzyścią dla siebie przyjąć te prawdy i się do nich ustosunkować.

(Natychmiast stało się dla mnie jasne, że raczej nie mówi o egzaminie końcowym z zaawansowanej rachunkowości podatkowej).

Powiedział:

– Powróćcie do domów i rodzin na ferie świąteczne, a w tym odświętnym okresie poprzedzającym ostatni etap przygotowań do egzaminu certyfikacyjnego, możecie mi wierzyć, będziecie rozmyślać, poczujecie strach i zwątpienie. To naturalne. Wyda się wam, że oto po raz pierwszy czujecie strach, słysząc docinki waszych szkolnych kumpli na temat rachunkowości jako kariery, która się przed wami otwiera, zinterpretujecie aprobatę w uśmiechach waszych rodziców jako akceptację waszej kapitulacji; o, panowie, byłem tam przed wami, znam każdy kamień na ścieżce, którą podążacie. Bliska jest bowiem godzina. Słyszec, w tej najdosłowniej przerażającej chwili, gdy spoglądacie w dół przed skokiem naprzód, bolesne zapowiedzi najprawdziwszego kieratu profesji, którą wybieracie, pozbawionej emocjonujących

doświadczeń i okazji do błyszczenia na boiskach i parkietach sal balowych dotychczasowego życia.

To prawda, niektórych rzeczy nie łapałem – nie sądzę, żeby zbyt wielu z nas spędziło szczególnie dużo czasu, „błyszcząc na parkietach sal balowych”, ale to mogło wynikać z różnicy pokoleniowej – wiadomo, że użył tego jako metafory. Oczywiście zrozumiałem jego myśl, że księgowość nie jest szczególnie emocjonującą profesją.

Profesor na zastępstwie kontynuował:

– Doświadczać zobowiązania jako utraty możliwości, jako swego rodzaju śmierci, śmierci nieograniczonych perspektyw dzieciństwa, końca czasu rozpieszczania wyborem niedokonywanym pod przymusem, tak będzie, zapamiętajcie. Koniec dzieciństwa. Pierwsza z wielu śmierci. Wahanie to rzecz naturalna. Wątpliwość to rzecz naturalna.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Być może zechcecie wobec tego za te trzy tygodnie, o ile będziecie mieć taką ochotę, przypomnieć sobie tę salę, ten moment i informację, którą wam teraz przekażę.

Widać jasno, że nie cierpiał na nadmiar skromności i nie brakowało mu pewności siebie. Z drugiej strony jego przemowa na zajęciach zaawansowanej rachunkowości podatkowej nie brzmiała ani trochę tak dęcie i pedantycznie jak teraz, kiedy ją powtarzam – albo raczej jego podsumowanie było formalne i odrobinę poetyckie, ale nie w sposób sztuczny, jak naturalne przedłużenie tego, kim i czym był. To nie była poza. Pamiętam, jak myślałem, że może prowadzący opanował ten trik z plakatów z Wujem Samem i pewnych malowideł, dzięki czemu wygląda tak, jakby patrzył prosto na was, niezależnie od tego, pod jakim kątem względem niego się siedziało. Że być może wszyscy milczący i poważni starsi studenci (można było usłyszeć spadającą szpilkę) także czuli się wybrani i tak jakby zwracał się właśnie do nich – chociaż oczywiście to i tak niczego by nie zmieniło, jeśli chodzi o szczególne oddziaływanie na mnie, o co tu przede wszystkim chodziło, a o czym przekonałaby mnie już wcześniej historia chrześcijanki, gdybym był na tyle świadomy i uważny, żeby pojąć właściwy sens,

który starała się nią przekazać. Jak mówiłem, wersją mnie, która słuchała tamtej opowieści w '73 czy '74, było nihilistyczne dziecko.

Po jednej czy dwóch dalszych kwestiach, ciągle z rękami splecionymi za plecami, profesor sprawujący zastępstwo ciągnął:

– Pragnę was poinformować, że zawód księgowego, do którego aspirujecie, cechuje w istocie heroizm. Zauważcie, proszę, że powiedziałem „poinformować”, a nie „wyrazić opinię” czy „oświadczyć” ani też „zaryzykować przypuszczenie”. Prawda jest taka, że to, na progu czego się znajdziecie, powróciwszy do swoich domów na grog i kolędy, do swoich książek i do egzaminu certyfikacyjnego, to heroizm.

Naturalnie te słowa zabrzmiały podniośle i przykuły uwagę wszystkich. Pamiętam, że gdy to mówił, pomyślałem o cytacie z ekranu, który wzięłem za biblijny: „moralny ekwiwalent wojny”. Wydało mi się to dziwne, ale nie absurdalne. Uświadomiłem sobie, że myśląc o tym cytacie, może po raz pierwszy, rozważałem słowo *moralny* w innym kontekście niż jedna czy druga praca semestralna – to było częściowo to, z czego początkowo zacząłem sobie zdawać sprawę kilka dni wcześniej, przy okazji tego, co przeżyłem podczas oglądania *A świat się kręci*. Profesor sprawujący zastępstwo był nie więcej niż średniego wzrostu. Nie świdrował nas oczami ani nimi nie wodził. Oczy niektórych studentów, nieruchome, odbijały światło. Jedna czy dwie osoby wciąż notowały, ale poza tym nikt, z wyjątkiem prowadzącego, nie mówił ani się nie poruszał.

Kontynuując, bez zatrzymania, mówił:

– Wymagający? Prozaiczny? Mechaniczny w stopniu przypominającym kierat? Czasami. Często nużący? Możliwe. Ale testujący odwagę? Szlachetny? Godny, słodki pełen słodczy? Romantyczny? Rycerski? Heroiczny?

Kiedy zawiesił głos, nie zrobił tego po prostu dla efektu – przynajmniej niezupełnie.

– Panowie – powiedział – przez co chcę powiedzieć, obecni młodzieńcy, którzy aspirujecie do męskości, panowie, oto pewna prawda: znoszenie mozołu w czasie rzeczywistym, w ograniczonej przestrzeni jest właśnie prawdziwą odwagą. Taka wytrzymałość to,

tak się akurat składa, destylat tego, co dziś w tym świecie, którego nie wymyśliłem ani ja, ani wy, jest heroizmem. Heroizmem.

Postanowił wyraźnie zaznaczyć, że rozgląda się po sali, mierząc reakcje. Nikt się nie śmiał; kilka osób wyglądało na zdezorientowane. Pamiętam, że zaczynało mnie gnać do ubikacji. W świetle lamp fluorescencyjnych sali nie rzucał cienia w żadnym kierunku.

– Przez co – powiedział – mam na myśli prawdziwy heroizm, nie ten heroizm, który możecie znać z filmów czy opowieści z dzieciństwa. Jesteście praktycznie u kresu dzieciństwa; jesteście gotowi, by przyjąć ciężar prawdy, by go dźwigać. Prawda jest taka, że heroizm z waszych dziecięcych rozrywek nie był prawdziwym męstwem. Był teatrem. Wielki gest, moment decyzji, śmiertelne niebezpieczeństwo, nieprzyjaciel z zewnątrz, finałowa bitwa, której wynik przesądza o wszystkim; wszystko stworzone po to, by wyglądało heroicznie, by ekscytowało i zadowalało publiczność. Publiczność.

Wykonał gest, którego nie potrafię opisać.

– Panowie, witajcie w prawdziwym świecie, tu nie ma żadnej publiczności. Nikogo, kto biłby brawo, podziwiał. Nikogo, kto by na was patrzył. Czy rozumiecie? Oto prawda: rzeczywisty heroizm nie otrzymuje owacji, nikomu nie dostarcza rozrywki. Nikt nie ustawia się w kolejce, żeby go zobaczyć. Nikogo nie obchodzi.

Znowu zamilkł i uśmiechnął się w sposób, który nie był ani trochę autoparodią.

– Prawdziwy heroizm to wy, sami, w zamkniętej przestrzeni roboczej. Prawdziwy heroizm to minuty, godziny, tygodnie, rok za rokiem spędzone na wprowadzaniu w życie zasad uczciwości i rzetelnej pieczy, po cichu, skrupulatnie, to zabiegi, których nikt nie widzi i których nikt nie oklaskuje. Tak wygląda ten świat. Tylko wy i praca za waszym biurkiem. Wy i formularz zeznania, wy i dane o przepływach pieniężnych, wy i protokół inwentaryzacji, wy i plan amortyzacji, wy i liczby.

Jego ton był całkowicie rzeczowy. Nagle uprzytomniłem sobie, że nie mam pojęcia, ile słów wygłosił od czasu, kiedy zdążył powiedzieć to osiem tysięcy dwieście szóste, kończące powtórkę materiału. Świadomie odbierałem każdy szczegół sali wykładowej

jako bardzo wyrazisty i odcinający się mocną kreską, jakby starannie narysowany i zacieniowany, a mimo to byłem kompletnie skoncentrowany na zastępującym jezuitę, wygłaszającym tę dramatyczną czy może nawet romantyczną gadkę bez typowej dramatycznej otoczki i ozdobników, stojącym teraz zupełnie nieruchomo, z rękami znów schowanymi za plecami (wiedziałem, że ręce nie były splecione – z jakiegoś powodu byłem niemal pewny, że przedziej obejmuje prawy nadgarstek lewą dłonią), z płaszczyznami twarzy bez cieni w białym świetle. To było tak, jakbyśmy ja i on znajdowali się na przeciwnych końcach jakiejś rury czy przewodu i jakby naprawdę zwracał się w szczególności do mnie, chociaż w rzeczywistości coś takiego nie mogło się wydarzyć. Rzeczywistość w dosłownym sensie wyglądała tak, że ja byłem akurat ostatnim z jego adresatów, ponieważ, rzecz jasna, nawet nie uczyłem się na kurs z zaawansowanej rachunkowości podatkowej ani nie przygotowywałem się do złowrogiego egzaminu na biegłego, w przeciwieństwie do wielu studentów w sali, którzy – jak wszystko na to wskazywało – to właśnie robili. Niemniej – i żałuję, że nie zrozumiałem tego wcześniej, oszczędziłoby mi to bowiem masę czasu i cynicznego dryfowania – uczucie to uczucie, a z rezultatami się nie dyskutuje.

Tak czy owak, w tym czasie, zasadniczo rekapituluując swoje dotychczasowe uwagi, zastępujący mówił:

– Prawdziwy heroizm jest *a priori* nie do pogodzenia z publicznością i aplauzem czy choćby zwykłym dostrzeżeniem przez świat ludzkich spraw. W istocie – powiedział – im mniej dana praca wydaje się heroiczna czy ekscytująca albo im mniej się o niej mówi, albo choćby im mniej jest interesująca czy zajmująca, tym większy jest jej potencjał jako areny prawdziwego heroizmu, a tym samym wartość nominalna, której nie może się równać żadna ze znanych wam wartości.

Zdawało się, jakby przez salę przebiegł wtedy nagły dreszcz, a może ekstatyczny spazm, przeskakujący z jednego studenta ostatniego roku rachunkowości czy licencjata zarządzania na drugiego studenta ostatniego roku rachunkowości czy licencjata zarządzania tak błyskawicznie, że cały kolektyw zdawał się przez ułamek sekundy trząść – chociaż tu znowu nie mam stuprocentowej

pewności, że to się stało naprawdę, że to się stało poza mną, w rzeczywistej sali, a (ewentualny) moment kolektywnego spazmu był zbyt krótki, by uświadamiać go sobie bardziej niż migawkowo. Pamiętam też, że odczuwałem silną potrzebę schylenia się i zawiązania butów, od której nie przeszedłem do czynu.

Jednocześnie należy powiedzieć, że jezuita profesor na zastępstwie został mi w pamięci jako ktoś, kto posługiwał się pauzami i odcinkami ciszy w podobny sposób, jak bardziej konwencjonalni mówcy motywacyjni posługują się gestami i wyrażeniami. Powiedział:

– Wykazywać się ostrożnością i skrupulatnością w stosunku do każdego szczegółu wijącego się kłębowiska danych, a także do zasad i wyjątków, i przypadkowości, która leży u podstaw rachunkowości w prawdziwym świecie, oto czym jest heroizm. Troszczyć się całkowicie o interesy klienta oraz godzić te interesy z wysokimi wymogami etycznymi RSRF i obowiązującego prawa, zaiste, służyć tym, których nie interesuje służba, a jedynie wyniki, oto heroizm. Może to pierwszy raz, kiedy słyszycie prawdę ujętą jasno, wyraziście. Wycofanie. Poświęcenie. Służba. Poświęcić siebie pieczy nad cudzymi pieniędzmi, oto usunięcie się w cień, perduracja, poświęcenie, honor, nieustraszonność, męstwo. Przyjmijcie to do wiadomości lub nie, jak chcecie. Nauczycie się tego teraz albo później, świat ma dużo czasu. Rutyna, powtarzalność, monotonia, efemeryczność, nieistotność, abstrakcja, nieład, nuda, *Angst*, *ennui*, oto wrogowie prawdziwego bohatera i nie miejcie złudzeń, są naprawdę straszni. Są bowiem prawdziwi.

Jeden ze studentów rachunkowości podniósł rękę i zastępujący wykładowca przerwał, żeby odpowiedzieć na pytanie o podstawę z uwzględnieniem inflacji w klasyfikacji podatkowej prezentów. Właśnie na którymś etapie jego odpowiedzi usłyszałem, jak wykładowca użył wyrażenia „skorek IRS”. Od tamtego dnia nie słyszałem, by ktokolwiek posłużył się tym wyrażeniem poza Centrum Kontroli, w którym pracuję – jest to jedno z używanych wewnątrz Służby skrótowych określeń pewnej klasy kontrolerów zeznań podatkowych. Tak więc w świetle tego, co wiem dziś, to zdecydowanie powinno było uruchomić alarm, jeśli chodzi o doświadczenie i zawodową przeszłość wykładowcy. (Przy okazji,

RSRF to Rada Standardów Rachunkowości Finansowej, o czym, rzecz jasna, miałem się dowiedzieć, dopiero wstępując do Służby rok później). Jeszcze prawdopodobnie powinienem zwrócić uwagę na pewien paradoks związany z tym wspomnieniem – niezależnie od tego, jak byłem uważny i przejęty jego uwagami o odwadze i realnym świecie, nie miałem świadomości, że dramatyzm i blask, które chciałem widzieć w słowach zastępującego profesora, stały w sprzeczności z zasadniczą myślą, którą wyrażały. To jest doznałem głębokiego wstrząsu i zmiany pod wpływem hortacji, nie rozumiejąc, jak się okazuje, o czym mówi. Z perspektywy czasu wygląda to na kolejny dowód świadczący o tym, że byłem jeszcze bardziej „zagubiony” i nieprzytomny, niż to sobie uświadamiałem.

– Powiecie, że to przesada? – mówił. – Kowboj, paladyn, bohater? Panowie, odsyłam do podręczników historii. Bohater dnia wczorajszego przesuwiał ograniczenia i granice: penetrował, poskramiał, wyrąbywał, kształtował, tworzył, powoływał rzeczy do istnienia. Bohaterowie wczorajszego społeczeństwa generowali fakty. Bo też tym jest społeczeństwo, konglomeratem faktów. (Rzecz jasna, im więcej prawdziwych studentów zaawansowanej rachunkowości podatkowej wstawało i z ostrożną wychodziło, tym bardziej czułem się wybranym, jedynym odbiorcą. Temu starszemu studentowi zarządzania z dwoma bujnymi i perfekcyjnie przystrzyżonymi bokobrodami i niesamowitymi notatkami, siedzącemu obok mnie, udało się zamknąć metalowe zatrzaski aktówki bez jakiegokolwiek hałasu. Na drucianej półce pod blatem jego stolika leżało wydanie „Wall Street Journal”, którego albo nie czytał, albo też, co możliwe, czytał je i poskładał tak idealnie, że gazeta wyglądała na nietkniętą).

– Ale mamy teraz dzień dzisiejszy, dobę współczesną – mówił zastępujący profesor. (Z czym oczywiście trudno się było nie zgodzić). – W dzisiejszym świecie granice są nieruchome, a większość istotnych faktów już zaistniała. Panowie, wyzwanie granicy rzucone współczesnym bohaterom polega na porządkowaniu i rozmieszczaniu tych faktów. Klasyfikacja, organizacja, prezentacja. Mówiąc inaczej, ciasto zostało już upieczone, teraz gra toczy się o to, jak je pokroić. Panowie, aspirujecie do tego, by wziąć do ręki

nóż. Dzierżyć go. Odmierzać. Kształtować każdy kawałek kątem ustawienia ostrza i głębokością nacięcia.

Niezależnie od stopnia mojego zahipnotyzowania miałem już świadomość, że wykładowca powoli gmatwa się w swoich metaforach – trudno było oczekiwać od pozostających w sali Azjatów, że kowboje i kawałki ciasta dużo im powiedzą, ponieważ były to wybitnie amerykańskie obrazy. Podszedł do stojaka flagi w rogu sali i zdjął z niego kapelusz, ciemnoszarą fedorę, starą, ale bardzo zadbaną. Zamiast założyć kapelusz na głowę, uniósł go wysoko.

– Piekarz nosi nakrycie głowy – powiedział – ale jego nakrycie głowy nie jest naszym. Panowie, przygotujcie się na założenie kapelusza. Może zastanawialiście się kiedyś, dlaczego wszyscy prawdziwi księgowi noszą kapelusze? To dzisiejsi kowboje. Którymi i wy będziecie. Przemierzając amerykańską prerię. Pędząc stado w niekończących się strugach danych finansowych. Poprzez wiry, katarakty, ułożenia wariacji, grymaśne szczegóły. Wy zarządzacie danymi, zaganiacie je, kierujecie ich przepływem, prowadzicie tam, gdzie są potrzebne, w formie zgodnej z wymogami kodyfikacji. Wy robicie przy faktach, panowie, na które popyt istnieje, odkąd człowiek wydobył się z pierwotnej gnojówki. To wy, powiedzcie im to. Dosiadacie koni, obsadzacie mury, definiujecie, co jest ciastem, służycie.

Nie dało się nie zauważyć, jak inaczej wyglądał teraz w porównaniu z tym, jak prezentował się na początku. Ostatecznie nie było jasne, czy zaplanował i przygotował swoją końcową hortację czy ekshortację, czy też nie, czy może po prostu przemawiał płomiennie prosto z serca. Jego kapelusz był zauważalnie bardziej stylowy i sprawiał wrażenie bardziej europejskiego niż kapelusz mojego ojca – z bardziej fantazyjnie podkreślonym brzegiem ronda i wyszczerbionym piórkiem w otoku – musiał sobie liczyć przynajmniej dwadzieścia lat. Gdy uniósł ręce na zakończenie, jedna wciąż trzymała kapelusz...

– Panowie, wezwano was do rozliczeń.

Jeden czy dwóch spośród pozostałych studentów odpowiedziało oklaskami, czemu towarzyszył dość okropny odgłos, gdy klaszcze tylko kilka par rąk to tu, to tam – jak wymierzanie klapsów albo

seria ciosów w twarz otwartą dłonią kogoś niezrównoważonego. Pamiętam, że miałem przebłysk, w którym zobaczyłem coś, co leży w swoim łódeczku i z szeroko otwartą moką buzią bezsilnie wymachuje w powietrzu kończynami. I że potem szedłem z powrotem przez kładkę i na dół, opuszczając Daniel Hall, by udać się do biblioteki w dziwnym stanie hiperświadomego ogłuszenia, jednocześnie zdezorientowany i z bardzo jasnym umysłem, po czym wspomnienie tamtego zdarzenia w zasadzie się urywa.

Pamiętam, że pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem w trakcie przerwy świątecznej w Libertyville, było pójście do fryzjera. A potem pojechałem też do filii Carsona Piriego i Scotta w Mundelein i kupiłem ciemnoszary wełniany garnitur z marynarką bez rozcięcia i z wąskiego splotu oraz spodnie w podwójny kant, a ponadto obszerną marynarkę w kratę z szerokimi otwartymi klapami, której ostatecznie niemal nie nosiłem, ponieważ miała tendencję do podwijania się przy trzecim guziku i wyglądała prawie jak peplum, gdy była całkiem zapięta. Kupiłem także parę skórzanych brogów od Nunna Busha oraz trzy eleganckie koszule – dwa białe oksfordy i jedną jasnoniebieską Sea Island. Kołnierzyki wszystkich trzech były typu *button-down*.

Poza tym, że praktycznie zawlokłem matkę do Wrigleyville na świąteczny obiad u Joyce, spędziłem prawie całe święta w domu, rozpatrując możliwości i wymagania. Pamiętam, że próbowałem też świadomie przemyśleć wszystko dłużej i w pełni skoncentrowany. Moje wewnętrzne wrażenia na temat szkoły i dyplomu totalnie się zmieniły. Czułem się teraz nagle i kompletnie do tyłu. Było trochę jak z przelotnym zerknięciem na zegarek, przy którym człowiek odkrywa, że jest spóźniony na spotkanie, tyle że tutaj w grę wchodziła dużo większa skala. Miałem jeszcze jeden semestr nauki przed dyplomem i brakowało mi dokładnie dziewięciu kursów wymaganych przy dyplomie z rachunkowości, nie mówiąc o egzaminie na biegłego rewidenta. W centrum handlowym Galaxy przy Milwaukee Road kupiłem przewodnik Barrona po egzaminie certyfikacyjnym w Waldenbooks. Egzamin odbywał się trzy razy do roku i trwał dwa dni, i należało mieć za sobą najlepiej podstawy rachunkowości oraz rachunkowość finansową średniego stopnia, rachunkowość zarządczą, dwa semestry audytu, statystykę

w biznesie (która w DePaul była kolejnym legendarnie brutalnym kursem), podstawy przetwarzania danych, jeden, a najlepiej dwa semestry podatków, a do tego albo rachunkowość funduszy powierniczych, albo rachunkowość organizacji non profit oraz jeden lub więcej semestrów ekonomii. We wstawce drobnym drukiem zalecano także biegłość w przynajmniej jednym „zaawansowanym” języku komputerowym, takim jak COBOL. Jedynymi zajęciami z informatyki, na jakie chodziłem, było wprowadzenie do świata komputerów na UI-Chicago, gdzie głównie graliśmy w napisanego w jakimś prostym programie ping-ponga i pomagaliśmy profesorowi zrekolacjonować 51 000 kart perforowanych, na których przechowywał dane do projektu i które upuścił kiedyś na śliskich schodach. I tak dalej, i tak dalej. A jeszcze spojrzałem na podręcznik do statystyki, by odkryć, że trzeba znać całki i różniczki, a ja nie miałem nawet trygonometrii – w ostatniej klasie liceum zapisałem się na spojrzenia na współczesny teatr zamiast na trygonometrię, za co, jak pamiętam, ojciec natarł mi uszy. Właściwie moja nienawiść do algebry cz. II i zapowiedź, że po niej nie będę się już zajmował matematyką, doprowadziły do jednej z kilku naprawdę poważnych kłótni między moimi rodzicami, jakich byłem świadkiem na przestrzeni lat poprzedzających ich separację, co samo w sobie jest długą historią, ale pamiętam, że podsłuchałem, jak ojciec mówi, że ludzie dzielą się naprawdę tylko na dwa rodzaje: mianowicie tych, którzy rozumieją techniczne prawa działania świata (poprzez, rzecz jasna, matematykę i nauki ścisłe), oraz tych, którzy ich nie rozumieją, i podsłuchałem, że mamę bardzo rozgniewało i przygnębiło to, co uważała za brak elastyczności i małostkowość ojca, i słyszałem, jak odpowiedziała, że te dwa rodzaje ludzi to tak naprawdę ci na tyle sztywni i nietolerancyjni, i małostkowi, żeby wierzyć, że ludzie dzielą się tylko na dwa rodzaje, oraz ci, którzy uważają, że istnieją najróżniejsze rodzaje ludzi z ich własnymi wyjątkowymi darami i własnym przeznaczeniem oraz drogami przez życie, które muszą odnaleźć, i tak dalej. Każdy, kto z ukrycia przysłuchiwałby się tej kłótni, która zaczęła się jak zwykła wymiana zdań, ale eskalowała do postaci wyjątkowo gorącej, szybko doszedłby do wniosku, że w prawdziwym konflikcie chodziło o to, co moja matka postrzegała jako dwa skrajnie różne, niedające się ze

sobą pogodzić sposoby widzenia świata i traktowania ludzi, których powinno się kochać i wspierać. Na przykład to właśnie w trakcie tej kłótni podsłuchałem, jak ojciec mówi, że własnego dupska bym nie znalazł, choćby mi do niego przywiązać duży dzwonek, co moja mama uznała przede wszystkim za zimne, nieempatyczne ocenianie kogoś, kogo powinien kochać i wspierać, ale z perspektywy czasu widzę to tak, że to mógł być jedyny sposób, w jaki mój ojciec potrafił powiedzieć, że się o mnie martwi, że brak mi inicjatywy i celu i że jako ojciec nie wie, co ma robić. Jak dobrze wiadomo, rodzice potrafią skrajnie się między sobą różnić, jeśli chodzi o sposoby wyrażania miłości. Oczywiście moja interpretacja jest w znacznej mierze oparta na spekulacji – nie da się, rzecz jasna, dociec, co naprawdę miał na myśli.

W każdym razie wynikiem całego mojego skoncentrowanego myślenia i poszukiwania informacji w trakcie przerwy świątecznej był wniosek, że praktycznie będę musiał zaczynać studia od nowa, a miałem wtedy prawie dwadzieścia cztery lata. Sytuacja finansowa w domu podlegała zaś ciągłym zmianom z uwagi na złożone kwestie prawne związane z procesem o odszkodowanie z tytułu śmierci w wyniku cudzego zaniedbania, który w tamtym czasie się toczył.

Na marginesie dodam, że żadna liczba przeróbek nie mogła sprawić, bym wszedł w garnitury mojego ojca. W tamtym czasie nosiłem 40L/30 z nogawką o długości 34, podczas gdy gros garniturów ojca było w rozmiarach 36R/36/30. Garnitury oraz staromodną jedwabną marynarkę oddaliśmy na Goodwill, gdy już Joyce i ja opróżniliśmy jego szafę i gabinet oraz warsztat z większości rzeczy, co było bardzo przygnębiającym doświadczeniem. Matka, jak wspomniałem, spędzała coraz więcej czasu na obserwowaniu ptaków z okolicy, zbierających się przy rurkowych karmnikach, którymi poobwieszała ganek, oraz przy stojących karmnikach na podwórku (dom ojca miał duże okno panoramiczne z doskonałym widokiem na ganek, podwórko i ulicę) i często cały dzień spędzała w czerwonym szenilowym płaszczu kąpielowym i wielkich kudłatych kapciach, zaniedbując zarówno swoje sprawy, jak i swój wygląd, co wszystkich coraz bardziej martwiło.

Po świętach, akurat kiedy zaczynało padać, umówiłem się na rozmowę z dziekanem do spraw studenckich DePaul (który był zdecydowanie prawdziwym jezuitą i nosił oficjalny czarno-biały uniform, a na kłamce jego gabinetu zawieszono żółtą wstążeczkę), żeby opowiedzieć mu o moim przeżyciu na zaawansowanej rachunkowości podatkowej i zwrocie w moim nastawieniu oraz przesunięciu punktu ciężkości w moich zainteresowaniach, jak też o tym, że mam spore braki względem tych zainteresowań, oraz by poruszyć kwestię możliwości kontynuowania studiów może jeszcze rok z odroczoną płatnością czesnego, żebym mógł nadrobić niektóre deficyty w perspektywie dyplomu z rachunkowości. Ale było to niezręczne, ponieważ tak generalnie to gościłem już w gabinecie tego ojca trzy lata wcześniej, w – mówiąc łagodnie – bardzo odmiennych okolicznościach, a mianowicie nacierania uszu i słuchania ostrzeżeń, że grozi mi kara warunkowego pozostawiania na studiach, w odpowiedzi na co, zdaje się, naprawdę powiedziałem „Wszystko jedno”, czyli jedną z tych rzeczy, do których jezuita nie odnosi się z pobłażaniem. I tak, na tej rozmowie dziekan potraktował mnie protekcyjnie i sceptycznie, a także okazał rozbawienie – sprawiał wrażenie, jakby zmiana w moim wyglądzie i deklarowanej postawie życiowej bawiła go najbardziej ze wszystkiego, tak jakby uważał ją za żart albo kawał czy jakiś wybieg, który miałby mi pomóc kupić sobie rok ekstra, zanim musiałbym iść i radzić sobie w – jak to określił – „świecie ludzi”, i nie było mowy o tym, żebym mógł mu właściwie opisać te rozpoznania i wnioski, do jakich doszedłem przy oglądaniu popołudniowego pasma telewizyjnego oraz później, przyplątawszy się na niewłaściwe ostatnie zajęcia, i nie brzmieć przy tym dziecinnie czy jak ktoś niespełna rozumu, tak że zasadniczo pokazano mi drzwi.

To było na początku stycznia siedemdziesiątego dziewiątego, tego dnia, kiedy właśnie zaczynał padać śnieg – pamiętam, że przez okno podmiejskiej linii CTA z Lincoln Park do Libertyville patrzyłem, jak spadają duże pierwsze pojedyncze płatki, kołysząc się przypadkowo w powietrzu poruszonym przez pociąg, i myślałem: „Oto moja prymitywna makieta ludzkiego życia”. O ile dobrze pamiętam, żółte kokardki można było spotkać w całym mieście z powodu sytuacji

z zakładnikami na Bliskim Wschodzie i atakiem na ambasady USA. Bardzo niewiele wiedziałem o tym, co się działo dookoła, ponieważ nie oglądałem telewizji od czasu tamtego przeżycia w połowie grudnia z piłką do nogi i telenowelą *A świat się kręci*. Nie żebym podjął jakąś świadomą decyzję o wyrzeczeniu się telewizji. Po prostu nie pamiętam, żebym ją od tamtego czasu oglądał. Poza tym po przedświątecznych doświadczeniach czułem się teraz o wiele za bardzo zapóźniony, żeby pozwolić sobie tracić czas na oglądanie telewizji. Jakąś część mnie przerażało, że być może poderwałem się do działania i zmotywowałem za późno i że właśnie w ostatniej chwili „tracę” jakąś niepowtarzalną szansę na wyrzeczenie się nihilizmu i dokonanie jakiegoś znaczącego, rzeczywistego wyboru. To działo się, tak poza tym, w trakcie, jak miało się okazać, najgorszej śnieżycy we współczesnej historii Chicago, tak że na początku semestru wiosennego '79 wszystko było pogrążone w chaosie, ponieważ władze DePaul raz po raz anulowały zajęcia z uwagi na to, że nikt mieszkający poza kampusem nie mógł ręczyć, że dotrze na zajęcia, a z powodu zamrożonych rur nie otwarto połowy akademików, część dachu domu mojego ojca runęła zaś pod naporem nagromadzonego śniegu, w związku z czym mieliśmy spory kryzys budowlany, w którego usuwanie musiałem się zaangażować, ponieważ mama była zbyt obsesyjnie pochłonięta problemami logistycznymi ratowania całego ziarna, które zostawiła ptakom, przed zasypaniem śniegiem. Do tego większość pociągów CTA nie kursowała, a kursy autobusów odwoływano zniemacka, jeżeli stwierdzono, że pług nie radzą sobie z utrzymaniem przejezdności pewnych dróg, tak że co rano w tym pierwszym tygodniu musiałem wstawać bardzo wcześnie i słuchać radia, żeby się dowiedzieć, czy w DePaul w ogóle odbywają się danego dnia zajęcia, a jeśli tak, musiałem próbować na nie dobrać. Powinienem wspomnieć, że mój ojciec nie prowadził – był wyznawcą idei transportu publicznego – a moja matka dała Joyce le cara na mocy jednego z punktów porozumienia zawartego przy okazji likwidacji księgarni, w związku z czym nie dysponowałem samochodem, chociaż bywało, że Joyce mnie dokądś podwoziła, tyle że nie lubiłem się narzucać – przyjeżdżała głównie po to, żeby sprawdzić, co z mamą, której oczywiście się pogarszało i o którą wszyscy coraz

bardziej się martwiliśmy, przy czym później okazało się, że Joyce poświęciła masę czasu na zapoznawanie się z ofertą świadczeń i programów pomocy psychologicznej północnych hrabstw stanu, starając się ustalić, jakiego rodzaju specjalnej opieki moja matka potrzebuje i gdzie można ją znaleźć. Na przykład pomimo śniegu i niskich temperatur matka zarzuciła praktykę obserwowania ptaków z wnętrza domu przez okno na rzecz stania na lub w pobliżu schodów ganku i trzymania karmników wiszących w uniesionych rękach i wyglądała na gotową pozostać w tej pozycji na tyle długo, żeby nabawić się odmrożeń, o ile ktoś nie zainterweniował i nie zagnał jej do środka. Liczby i poziom hałasu ptaków także były już wtedy problematyczne, jak niektóre osoby z sąsiedztwa nie omieszkały zauważyć jeszcze przed śnieżycą.

Na jakimś poziomie jestem całkiem pewien, że to na falach WBBM-AM – bardzo suchej, konserwatywnej, nadającej wyłącznie wiadomości stacji, której słuchał mój ojciec, ale której doniesienia o odwołaniach w związku z pogodą były najbardziej obszerne w regionie – po raz pierwszy usłyszałem, jak ktoś wspomina o prowadzonym bardzo intensywnie nowym programie rekrutacyjnym Służby. „Służba” była dla niego oczywiście skrótowym zamiennikiem terminu Izba Rozliczeń Skarbowych, lepiej znanego podatnikom jako IRS. Ale mam też inne urywkowe wspomnienie, w którym po raz pierwszy widzę reklamę tego programu rekrutacyjnego w nagłych, dramatycznych okolicznościach, które teraz, z perspektywy czasu, wydają się tak znaczące i dramatyczne, że być może to prędzej wspomnienie snu czy fantazji z tamtego okresu, a chodzi w nim zasadniczo o to, że czekam w części gastronomicznej centrum handlowego Galaxy na moją matkę i Joyce, która pomagała jej w negocjowaniu kolejnej dużej dostawy z Fish n’Fowl Pet Plaza. Pewne elementy tej historii są bezsprzecznie wiarygodne. Prawdą jest, że zawsze sprawiało mi trudność oglądanie zamkniętych w klatkach zwierząt na sprzedaż – zawsze miałem problem z klatkami i oglądaniem stworzeń w zamknięciu – i często czekałem na mamę na zewnątrz, w części gastronomicznej, gdy ona z Joyce wchodziły do Fish n’Fowl. Przyjechałem z nimi, żeby pomóc nieść do samochodu worki z ziarnem, gdyby się okazało, że w sklepie odmówią dostawy albo ją

przełożą z powodu niesprzyjających warunków pogodowych. W każdym razie, jeśli wierzyć temu wspomnieniu, siedziałem przy jednym z plastikowych stolików w części gastronomicznej Galaxy Mall, gapiąc się nieobecny wzrokiem na perforacje w blacie w kształcie gwiazdek i półksiężyców, kiedy przez jedną z takich perforacji dostrzegłem fragment „Sun-Timesa”, którego ktoś najwyraźniej porzucił na podłodze pod stolikiem, otwartego na rubryce ogłoszeń biznesowych, a w tym wspomnieniu dostrzegam to znad stolika w ten sposób, że wiązka światła z oświetlenia w suficie strefy gastronomicznej pada poprzez jedną z perforacji w kształcie gwiazdki i oświetla – niczym symboliczny gwieździsty reflektor czy promień – jedno jedyne ogłoszenie spośród wszystkich innych znajdujących się na stronie ofert firm i ogłoszeń o pracy, akurat ogłoszenie o programie rekrutacyjnym IRS, który właśnie trwał w pewnych częściach kraju, wśród których był też Chicagoland. Tak tylko napomykam o tym wspomnieniu, niezależnie od tego, czy jest równie wiarygodne, jak to bardziej prozaiczne związane z WBBM, na zasadzie jeszcze jednej ilustracji mojego motywacyjnego „naprowadzenia” na karierę w Służbie.

Punkt rekrutacyjny IRS na region Chicagoland mieścił się w czymś w rodzaju tymczasowej przestrzeni biurowej na parterze od ulicy przy West Taylor Street, tuż obok kampusu UIC, na którym spędziłem smutny i obłudny rok akademicki 1975/76, a także praktycznie naprzeciwko Akademii Straży Pożarnej Chicago, której praktykanci pojawiali się czasem w Kapeluszu w pełnym rynsztunku, w błyszczących płaszczach i butach, i nie wolno im było zamawiać nic z gazem – co wiązało się z długim wyjaśnieniem, którego się nie podejmę. Z tej strony Autostrady Kennedy’ego nie było też widać obracającej się stopy. Tamta wielgachna stopa reprezentowała to, co dziecięce, to, czego pragnąłem się wyzbyć.

Pamiętam, że słońce wreszcie wyszło – chociaż później okazało się, że to tylko tymczasowa przerwa czy „okienko” w planie zamieci i za dwa dni miało przyjść jeszcze pogorszenie pogody. Na ziemi leżało teraz ze cztery czy pięć stóp świeżego śniegu, a jeszcze o wiele więcej w miejscach, w których szybkie pługi oczyściły ulice, tworząc wzdłuż nich gigantyczne zaspę, tak że trzeba było przejść czymś w rodzaju tunelu czy nawy, żeby dostać się do

chodnika, na którym było się skazanym na brnięcie, ilekroć przechodziło się obok posesji, której właściciel nie odznaczał się na tyle obywatelską postawą, by odsnieżyć swój kawałek chodnika. Miałem na sobie zielone sztruksowe dzwony, których końce nogawek podwinęły mi się wkrótce niemal do kolan, a moje ciężkie timberlandy (które, jak się okazało, nie miały wcale fenomenalnej przyczepności) były nabite śniegiem. Było tak jasno, że trudno było cokolwiek zobaczyć. Wyglądało to niemal jak wyprawa na Biegun. Jeżeli chodniki były zwyczajnie zbyt zawalone, należało wspinać się na przyzmy śniegu i złazić z powrotem na ulicę. Co zrozumiałe, ruch uliczny był niewielki. Ulice przypominały teraz kaniony o urwistych białych ścianach, a wysokie zasy i budynki dzielnicy finansowej w oddali rzucały skomplikowane cienie o ściętych wierzchołkach, czasem układające się w diagramy słupkowe, po których się szło. Złapałem autobus, który dowiózł mnie do parku Granta, ale nie dalej. Rzeka była skuta lodem, piętrzyły się na nim hałdy śniegu, który pług użył tam spychać. Tak przy okazji, wiem, że jest wątpliwe, by kogokolwiek spoza Chicagolandu interesowała jeszcze wielka śnieżycy w '79, ale dla mnie to był intensywny, przełomowy czas, którego wspomnienie jest niesamowicie wyraźne i ostre. Dla mnie ta zapamiętana sugestywność jest kolejnym dowodem istnienia wyraźnej linii demarkacyjnej rozgraniczającej moją świadomość i poczucie celowości na te sprzed i po zastępczym wykładowcy z rachunkowości podatkowej. Nie tyle chodziło o retorykę heroizmu i pędzenia stada, która w znacznej mierze wydawała mi się przesadzona, i to już wtedy (istnieją jakieś granice). Myślę, że po części tak motywująco podziałała na mnie sformułowana przez zastępującego wykładowcę diagnoza, według której świat i rzeczywistość miały być już z grubsza zgłębiane i uformowane, informacje składające się na realny świat już istniały, a teraz rozumny wybór leżał w gromadzeniu, doprowadzaniu, gdzie trzeba, i organizowaniu wzburzonego nurtu danych. To brzmiało wiarygodnie, chociaż chodziło o poziom, z którego istnienia wewnątrz mnie, jak sądzę, nie zdawałem sobie wtedy sprawy.

W każdym razie samo znalezienie tego miejsca zabrało mi chwilę. Pamiętam, że na kilku rogach ulic z zasp wystawały tylko wielokątne tarcze znaków STOP, a w wejściach do niektórych

sklepów klapki na pocztę zamarzyły w pozycji otwartej, tak że do środka na dywaniki nawiało im długie jęczory śniegu. Wiele miejskich pojazdów porządkowych i śmieciarek miało zamontowane na maskach blachy ustawione w klin i służyło za dodatkowe pługi w związku ze staraniami, jakie burmistrz Chicago podejmował, by sprostać oczekiwaniom opinii publicznej, pomstującej na niedostatecznie efektywne usuwanie śniegu. Przy Balbo widziałem przed domami pozostałości bałwanów, których wysokość wskazywała na wiek ich twórców. Śnieżycy wywiała im oczy i fajki lub zmieniała im elementy twarzy – z daleka wyglądały na złowieszcze albo obłąkane. Było bardzo cicho i tak jasno, że gdy zamknęło się oczy, widziało się tylko podświetloną krwistą czerwień. Słysząc było pojedyncze zgrzytliwe odgłosy szufel do odgarniania śniegu, a także odległy wysoki, warczący hałas, który dopiero potem przypomniał mi o jednym czy kilku pojazdach do odśnieżania na Roosevelt Road. Niektóre z bałwanów na podwórkach miały na głowie stare, wyrzucone kapelusze zakładane do biura, ojcowskie albo cudze. Z jednej z bardzo wysokich, zbitych zasp sterczał otwarty parasol i przypominam sobie kilka minut kopania w przerażeniu i wołania do dziury, ponieważ wyglądało to niemal tak, jakby ktoś z parasolem został nagle pogrzebany w pół kroku. Ale okazało się, że to tylko parasol, który ktoś porzucił, uprzednio otwarłszy i wepchnąwszy rękojeścią w zaspę, być może jako swego rodzaju kawał albo dając w tym gościu upust zamiłowaniu do igrania z umysłami innych ludzi.

Tak czy owak, okazało się, że Służba od niedawna wprowadza w życie program rekrutacji nowych pracowników kontraktowych na zasadach bardzo podobnych do tych, na jakich nowe zawodowe siły zbrojne pozyskują ochotników – poprzez intensywną reklamę i system zachęt. Jak się okazało, ta agresywna rekrutacja miała swoje dobrze uzasadnione instytucjonalne powody, z których tylko niektóre wiązały się z konkurencją ze strony prywatnego sektora rachunkowości.

Tak na marginesie, tylko niespecjalistyczne i masowe media określają wszystkich pracowników kontraktowych IRS mianem „agentów”. Wewnątrz Służby, gdzie personel częściej rozróżnia się pod kątem zatrudniających ich wydziałów, „agentami” zwykle

nazywa się tych z Wydziału Ścigania Przestępstw Podatkowych, który jest stosunkowo niewielki i zajmuje się przypadkami unikania płacenia podatków tak rażąco, że trzeba uciekać się do sankcji karnych w celu przykładowego skazania podatnika, co zasadniczo ma działać motywująco na regulowanie należności przez ogół. (A przy okazji, ze względu na to, że federalny system podatkowy działa nadal w przeważającej mierze na podstawie dobrowolnego stosowania się do jego reguł, psychologia relacji Służby do podatników jest złożona i wymaga stwarzania wśród opinii publicznej wrażenia niesamowitej wydajności i drobiazgowości, a przy tym stosowania agresywnego systemu sankcji, odsetek oraz, w sytuacjach skrajnych, postępowań karnych. W rzeczywistości jednak Wydział Ścigania odgrywa raczej rolę rozwiązania ostatecznego, jako że sankcje karne rzadko skutkują dodatkowymi wpływami – podatnik przebywający w więzieniu nie ma dochodów, w związku z czym oczywiście nie ma możliwości uregulowania zaległej płatności – podczas gdy wiarygodne zagrożenie postępowaniem sądowym może działać jako bodziec do spłaty i prawidłowej regulacji należności w przyszłości, a także wpływać motywująco na innych podatników, rozważających możliwość uchylania się od płacenia podatków. Innymi słowy, dla Służby „public relations” to w rzeczywistości istotny, złożony czynnik zarówno jej misji, jak i wydajności). I analogicznie – chociaż „kontroler” bywa powszechnie stosowanym określeniem (nawet wśród niektórych prywatnych doradców podatkowych), w IRS pracownika, który przeprowadza audyt – czy to w terenie, czy we właściwym biurze okręgowym – nazywa się wewnątrz Służby „audytorem”; terminem „kontroler” określa się pracownika, którego zadaniem jest selekcja pewnych deklaracji podatkowych celem przeprowadzenia audytu i który to pracownik sam nigdy nie ma bezpośrednio do czynienia z podatnikiem. Prowadzenie kontroli jest, jak już była mowa, obowiązkiem Regionalnych Centrów Kontroli, takich jak RCK na Region Środkowo-Zachodni w Peorii. Organizacyjnie kontrole, audyt i dochodzeniówka to wszystko działy Pionu Przyjęć IRS. Zarazem jednak prawdą jest, że niektórych audytorów średniego szczebla nazywa się w wewnętrznej hierarchii Służby „agentami podatkowymi”. Prawdą jest również, że

członkowie Wydziału Inspekcji Wewnętrznej bywają czasami klasyfikowani jako „agenci” ze względu na to, że Wydział Inspekcji jest czymś w rodzaju służb wewnętrznych w agencjach wymiaru sprawiedliwości. Zasadniczo ich zadaniem jest badanie spraw zarzutów o nadużycia i zachowania przestępcze, których mieliby dopuścić się pracownicy lub władze Służby. W strukturze administracyjnej WIW jest częścią Pionu Kontroli Wewnętrznej IRS, który obejmuje także Dział Kadr i Dział Systemów. Chodzi tu, jak sądzę, o to, że tak jak w przypadku większości dużych agencji federalnych, struktura i organizacja Służby jest wysoce złożona – faktycznie wewnątrz Pionu Kontroli Wewnętrznej istnieją wydziały, których jedynym zadaniem jest prowadzenie badań nad strukturą organizacyjną i ustalanie sposobów wpływania na maksymalizację wydajności pod kątem celów statutowych Służby.

Położony pośród paraliżu chicagowskiego Loopu punkt rekrutacyjny IRS nie był na pierwszy rzut oka szczególnie spektakularnym czy zachęcającym miejscem. Obok znajdowało się też biuro rekrutacji Sił Powietrznych USA, mieszczące się w tym samym lokalu na parterze, oddzielone od przestrzeni IRS jedynie dużym poliwinylowym przepierzeniem czy ekranem, a fakt, że w recepcji tego biura USAF puszczano w kółko symfoniczną wersję znanego tematu muzycznego *Off we go into the wild blue yonder*, mógł mieć jakiś związek z problemem z głową i twarzą rekrutera IRS, które momentami poruszały i ściągały się w spazmach i grymasach, tak że z początku nie dawało się patrzeć na człowieka i zachowywać w jego obecności jak gdyby nigdy nic. Ten pracownik IRS odpowiedzialny za rekrutację, wyglądający na nieogolonego, któremu przylizane pasmo włosów zajmowało może całą prawą połowę głowy, miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, a na klapie marynarki tworzącą skomplikowany wzór plamę, jego krawat zaś (chyba że to moje oczy nie zdołały się jeszcze przystosować po oślepiającym blasku towarzyszącym przedzieraniu się przez śnieg na południowy zachód z przystanku przy Fontannie Buckingham w parku Granta) mógł być rzeczywiście jednym z tych przypinanych. Z drugiej strony ja sam miałem plamy z roztopionego śniegu sięgające krocza oraz ziarno dla ptaków przyklejone do płaszcza puchowego, a pod tym ostatnim także wciągnięte jeden na

drugi dwa golfy, w związku z czym pewnie też nie wyglądałem zbyt korzystnie. (Jasna sprawa, że nie było mowy o założeniu któregośkolwiek z moich wyjściowych ubrań od Carsona, żeby przedzierać się przez sięgające szyi zaspy). Poza tym, że z za przepierzenia dobiegała rozpraszająca marszowa muzyka, w biurze rekrutacyjnym IRS było za gorąco i wypełniał je zapach kwaśnej kawy oraz dezodorantu w sztyfcie, którego marki nie byłem w stanie rozpoznać. Kilka pustych puszek po Nesbitt's wieńczyło przepelniony kosz na śmieci, wokół którego wałały się kule papieru, świadczące o jałowych godzinach wypełnionych próbami trafienia nimi do środka – rozrywką, którą dobrze znałem z „nauki” w bibliotece UIC w te wieczory, kiedy skazał mnie na nią znak stopy na klinice podiatrycznej. Pamiętam też otwarte pudełko donutów, na których lukrowa polewa nieapetycznie zmatowiała.

Nie byłem tam jednak po to, by cokolwiek oceniać ani by składać pochopne zobowiązania. Przyszedłem po to, żeby zweryfikować autentyczność niewiarygodnych wprost bonusów z tytułu wstąpienia do Służby, wymienionych w ogłoszeniu, które czy to słyszałem, czy może widziałem dwa dni wcześniej. Ostatecznie okazało się, że ze względu na burzę śnieżną pracownik rekrutacyjny dyżuruje bez przerwy, niezmienny przez nikogo już któryś dzień z rzędu, co prawdopodobnie było przyczyną jego stanu (przepisy regulujące wygląd i ubiór personelu Służby są zwykle dość rygorystyczne). Gdy ulicą przejeżdżał jeden z wielkich prowizorycznych miejskich pługów, od jego hałasu trzęsła się witryna, wychodząca na południe i nieprzyciemniana, co stanowiło jeszcze jedno możliwe wytłumaczenie dla ciemnych okularów rekrutera, które i tak uważałem za niepokojące. Biurko urzędnika miało z boku po jednej stronie flagi, a po drugiej wielką sztalugę z instytucjonalnymi wykresami i reklamami na wielkich kawałkach tektury, a na ścianie ponad nim zawieszono nieco krzywo oprawioną w ramy reprodukcję pieczęci Izby Rozliczeń Skarbowych, która – jak wyjaśnił pracownik rekrutacyjny – przedstawiała Bellerofonta zabijającego Chimere, a także łacińskie motto na długim, powiewającym sztandarze u dołu *Alicui tamen faciendum est*, które zasadniczo znaczy „Ten, który wykonuje trudną, niepopularną pracę”. Okazało się, że z przyczyn sięgających skodyfikowania federalnego podatku dochodowego

w roku 1913 Bellerofont pełnił funkcję oficjalnego symbolu czy reprezentacji Służby na podobnej zasadzie, na jakiej bielik amerykański bywa utożsamiany z całymi Stanami Zjednoczonymi.

W zamian za zobowiązanie się do pracy przez dwa do czterech lat, w zależności od rodzaju systemu motywacyjnego, Izba Rozliczeń Skarbowych oferowała kwotę do 14 450 dolarów na pokrycie studiów wyższych lub kontynuacji edukacji zawodowej. To jest oczywiście te 14 450 dolarów to kwota przed odprowadzeniem należnych podatków, co zakomunikował mi, pamiętam, ten rekruter IRS, z uśmiechem, którego nie potrafiłem zinterpretować. Również – za sprawą skomplikowanego rozwiązania, które pracownik rekrutacji zaznaczył mi na rozkładówce prezentującej wszystkie systemy motywacyjne w postaci skomplikowanych diagramów z liniami przerywanymi i napisami skrajnie drobnym drukiem – jeżeli w następstwie kontynuacji nauki uzyskało się wystawiany przez akredytowaną instytucję certyfikat biegłego rewidenta bądź magistra w dziedzinie rachunkowości lub podatków, wówczas miało zastosowanie kilka szczebli dalszych zachęt do przedłużenia umowy z IRS, w tym opcja uczęszczania na zajęcia w trakcie pracy w Regionalnym Centrum Kontroli bądź Regionalnym Centrum Obsługi, do których, jak wynikało z wyjaśnień rekrutera, kierowano zwykle nowszych członków personelu Służby na okres pierwszych kilku kwartałów po czymś, co odpowiedzialny za rekrutację urzędnik nazwał „SiEmem”. Celem nabycia uprawnień do pakietu motywacyjnego należało ukończyć dwunastotygodniowy kurs w Ośrodku Szkolenia i Ewaluacji IRS czy też OSiE, w którym również odbywały się raczej cynicznie skrócone przez rekrutera SiEmy. Poza tym pracownicy zawsze mówią „Służba”, mając na myśli IRS, a swoje miejsce pracy określają mianem „placówki” IRS, czas zatrudnienia zaś mierzą nie w latach czy miesiącach, ale za pomocą kalendarza Służby, opartego na czterech kwartałach podatkowych, których granice pokrywają się z urzędowymi terminami wysyłki kwartalnie rozliczanych opłat ryczałtowych, czyli 1040-EST, którego jedyną nietypową cechą jako kalendarza jest to, że drugi kwartał liczy się od 15 kwietnia do 15 czerwca, czyli trwa tylko dwa miesiące, a czwarty jest rozciągnięty pomiędzy 15 września a 15 stycznia następnego roku – powodem tego stanu

rzeczy jest głównie wymaganie, by ostatni kwartał domykał cały podlegający opodatkowaniu okres roczny z 31 grudnia włącznie. Urzędnik rekrutacyjny nie wyjaśniał żadnej z tych kwestii w aż tylu słowach – wiele z nich to właśnie te specjalne wewnątrzinstytucjonalne informacje, które przyswaja się w trakcie dorosłego życia zawodowego.

W każdym razie w biurze znajdowało się już do tego czasu także dwóch innych potencjalnych rekrutów, z których jednego zapamiętałem tylko jako kogoś w jaskrawym kombinezonie śniegowym i obdarzonego raczej niskim, wypukłym czołem. Za to drugi, starszy mężczyzna, miał sfatygowane adidas, których podeszwy trzymały się na taśmie maskującej czy duct tapie, i trząsał się w sposób, który nie wyglądał na mający cokolwiek wspólnego z temperaturą, i zrobił na mnie wrażenie kogoś, kto z dużym prawdopodobieństwem znajdował się w potrzebie albo mieszkał na ulicy, a nie faktycznie chciał się zrekrutować. W trakcie bardziej formalnej prezentacji rekrutera starałem się skupić i zapoznać z ulotką z programami motywacyjnymi i wiem, że w związku z tym umknęło mi kilka kluczowych szczegółów. Chociaż jednak czasami te szczegóły bywały zagłuszane przez talerze i kotły w crescendo dochodzącego zza przepierzenia motywu muzycznego Sił Powietrznych. My trzej, całe audytorium prezentacji rekrutacyjnej, siedzieliśmy na składanych metalowych krzesłach ustawionych na wprost biurka, z boku którego początkowo stał rekruter, obok sztalugi – pamiętam, że mężczyzna z niskim czołem obrócił krzesło i siedział przechylony do przodu, z rękami na oparciu krzesła i brodą na kostkach palców, podczas gdy trzeci członek naszego audytorium jadł pączka, umieściwszy uprzednio kilka w kieszeniach swojego wojskowego płaszcza w kolorze khaki. Pamiętam, że pracownik rekrutacyjny Służby wielokrotnie odwoływał się do rozbudowanego kolorowego schematu czy diagramu przedstawiającego strukturę administracyjną i organizację IRS. To przedstawienie zajmowało tak naprawdę więcej niż jeden schemat, w związku z czym rekruter – który kichnął parę razy, nie zasłaniając sobie nosa ani nawet nie odwracając głowy, i który doznawał kolejnych epizodów drobnych neurologicznych tików czy spazmów w pewnych momentach niedającego się nie usłyszeć *Off we go...* –

musiał co chwila przesuwać różne odcinki tektury na wierzch sztalugi, a całość była tak skomplikowana i składała się z tak wielu wydziałów i podwydziałów, oddziałów i kancelarii oraz podkancelarii koordynujących, jak również z podkancelarii równoległych i dwustronnych oraz działów wsparcia technicznego, że wydawało się niemożliwe, by dało się zrozumieć jej ogólny sens na tyle, by naprawdę się nią zainteresować, choć oczywiście umyślnie starałem się sprawiać wrażenie jak najbardziej uważnego i zainteresowanego, choćby tylko po to, by pokazać, że jestem kimś, kogo można wyszkolić do gromadzenia i przetwarzania dużych ilości informacji. W tamtej chwili byłem oczywiście nieświadomy, że początkowa selekcja potencjalnych rekrutów już trwa i że wygórowana złożoność i drobiazgowość prezentacji rekrutera stanowiły część mechanizmu „oceny usposobienia”, stosowanego przez Dział Kadr IRS od roku 1967. Nie rozumiałem też, że gdy drugi potencjalny rekrut (to znaczy ten, który nie przyszedł po prostu w poszukiwaniu ciepłego miejsca pod dachem) zaczął przysypiać na oparciu krzesła w reakcji na zawiałości prezentacji, skutecznie przekreślił tym swoje szanse jako kandydat na wszystkie stanowiska w IRS z wyjątkiem tych najniższych. Poza tym dostawało się ponad dwadzieścia różnych formularzy do wypełnienia, z których wiele było redundantnych – nie było dla mnie jasne, dlaczego nie można wypełnić po prostu jednego egzemplarza, a potem odbić na ksero w iluś kopiach, ale tu też postanowiłem nie dzielić się z nikim moją opinią i wpisywać te same podstawowe informacje kilka razy z rzędu.

W sumie, mimo że w całości składała się z zaledwie 5750 słów, początkowa prezentacja rekrutacyjna i rozpatrzenie trwały prawie trzy godziny, w trakcie których w kilku momentach rekruter przestawał mówić i siedział w ciężkiej, absurdalnej ciszy, która mogła sugerować, że śpi – okulary przeciwsłoneczne nie pozwalały tego zweryfikować. (Później miałem się dowiedzieć, że te niewytłumaczalne pauzy także były częścią wstępnej selekcji rekrutów i „oceny usposobienia”, że nędzne biuro było w rzeczywistości pod wysoce wyspecjalizowaną obserwacją wideo – jeden z wymaganych formularzy zawierał „Zgodę na nagrywanie”, zagrzebaną gdzieś pośród standardowych formuł jednej z klauzul,

czego oczywiście wtedy nie zauważyłem – oraz że nasze statystyki wiercenia się i ziewania, jak również pewne cechy charakterystyczne postawy, przyjmowanej pozycji i wyrazu twarzy w pewnych kontekstach miały zostać ocenione i porównane z różnymi wzorcami psychologicznymi i proroczymi formułami, które kilka lat wcześniej opracował Zespół ds. Rekrutacji i Szkoleń w Dziale Kadr Pionu Kontroli Wewnętrznej Służby, co z kolei stanowi bardzo długą, skomplikowaną historię, w której rolę odegrał kładziony przez Służbę w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nacisk na „przerób”, to znaczy jak najwyższą wydajność, jeśli chodzi o liczbę sprocesowanych, sprawdzonych, poddanych audytowi i uregulowanych finansowo zeznań w danym kwartale podatkowym. Jakkolwiek rozumienie pojęcia wydajności w Służbie miało się zmienić w latach osiemdziesiątych, gdy priorytety nowego rządu zaczęły skapywać za pośrednictwem Departamentu Skarbu i Trzech Szóstek, skutkując położeniem akcentu w całej instytucji na maksymalizację wpływów, nie zaś przerobu, to w tamtym czasie – to jest w 1979 roku – akcent w wymaganiach stawianych rekrutom w trakcie selekcji kładziono na to, by wybrać posiadających zestaw cech, które sprowadzały się do zdolności zachowania koncentracji w warunkach skrajnej nudy, skomplikowania, dezorientacji i braku całościowej informacji. By przywołać słowa jednego z instruktorów kontroli z OSiE w Indianapolis, Służba szukała „trybików, nie świec zapłonowych”.

Zaczynało się już robić ciemno i znowu sypać, kiedy wreszcie pracownik rekrutacyjny ogłosił, że proces dobiegł końca, i wręczył każdemu – do tego czasu było nas tam już pięciu czy sześciu, bo niektórzy z nas napłynęli w trakcie oficjalnej prezentacji – po stosie pakietów spiętych zszywaczami materiałów w błękitnym segregatorze IRS o łącznej objętości ryzy. Ostatnie instrukcje rekrutera sprowadzały się do tego, że ci z nas, którzy nadal czują się potencjalnie zainteresowani, powinni pójść do domu i uważnie przeczytać te materiały, po czym wrócić następnego dnia, który – o ile dobrze pamiętam – był piątkiem, na kolejny etap rekrutacji.

Szczerze powiedziawszy, spodziewałem się rozmowy i najróżniejszych pytań o moje wykształcenie, doświadczenie i cele zawodowe i życiowe. Sądziłem, że będą chcieli sprawdzić, czy

zgłaszam się z poważnymi zamiarami, a nie po to, by wycyckać IRS z refundacji opłat za chesne. Nic więc dziwnego, że spodziewałem się po Izbie Rozliczeń Skarbowych – której mój ojciec, mający z nią do czynienia w swojej pracy w administracji miejskiej na rozmaitych poziomach, lękał się i którą poważał – niezwyklej podejrzliwości na okoliczność jakiegokolwiek wycyckania czy okantowania, i pamiętam, że w trakcie długiej wędrówki z przystanku czułem się niespokojny, nie wiedząc, co powinienem mówić w odpowiedzi na ostre przesłuchanie pod kątem źródła mojego zainteresowania i celów. Martwiłem się tym, jak powiedzieć prawdę i nie wywołać u rekruterów Służby reakcji podobnej do niedawnej reakcji dziekana do spraw studenckich albo nie sprawić, że pomyślą o mnie podobnie, jak ja pomyślałem kiedyś o tamtej chrześcijance w butach w wielokwiatowe wzory we wspomnieniu z Lindenhurst, o którym już mówiłem. O ile sobie dobrze przypominam, nie musiałem jednak prawie nic mówić tego pierwszego dnia poza może „dzień dobry” przy wejściu i odpowiedziami na kilka niegroźnych pytań, no i oczywiście także podaniem własnego nazwiska. Niemal wszystkie dane wejściowe miały – jak już wspomniałem – postać wpisów w formularzach, z których wiele posiadało kody kreskowe w lewym dolnym rogu – ten szczegół zapamiętałem, ponieważ były to pierwsze w moim życiu kody kreskowe, z których obecności w pełni zdawałem sobie sprawę.

W każdym razie segregator z biura rekrutacji wyładowany zadaniem domowym zawierał rzeczy tak niewiarygodnie suche i hermetyczne, że praktycznie trzeba było czytać każdą linijkę po kilka razy, by wydobyć z niej jakikolwiek sens. Zdążyłem już trochę liznąć prawdziwego języka rachunkowości z podręczników do kursów rachunkowość zarządcza oraz audyt, część I, które właśnie trwały – o ile pogoda pozwoliła – w DePaul, ale w porównaniu z materiałami Służby te podręczniki wypadały jak dziecięca igraszka. Największy pakiet w segregatorze zawierał coś odbitego na kserokopiarce, której toner był na wyczerpaniu, pod tytułem *Wykaz regulacji proceduralnych*, który właściwie pokrywał się z §601 Tytułu 26. Kodeksu Przepisów Federalnych. Liczący 105 słów fragment strony, na której na chybił trafił go otwarłem, żeby zobaczyć, co

będę musiał spróbować przeczytać i przestudiować, zawierał ¶1910, §601.201a(1) (g), podsekcji xi:

Przy orzekaniu w sprawie zapytań dotyczących klasyfikacji organizacji jako spółki typu *limited partnership*, w której jedynym wspólnikiem jest osoba prawna, zob. P.p. 72-13, 1972-1 CB 735. Zob. też P.p. 74-17, 1974-1 CB 438 i P.p. 75-16, 1975-1 CB 676. Procedura podatkowa 74-17 podaje do wiadomości pewne zasady operacyjne Służby, dotyczące antecendentnej wysyłki orzeczeń z interpretacją dotyczącą klasyfikacji organizacji powołanych do życia jako spółki typu *limited partnership*. Procedura podatkowa 75-16 zawiera listę kontrolną, na której wyszczególniono niezbędne dane, często pomijane w nadsyłanych zapytaniach dotyczących klasyfikacji organizacji z perspektywy rozliczeń z federalną administracją podatkową.

Z grubsza całość była tak napisana. Nie wiedziałem też jeszcze wtedy, że będziemy musieli praktycznie nauczyć się na pamięć całego liczącego 82 617 słów *Wykazu regulacji proceduralnych* w trakcie pobytu w Ośrodku Szkolenia i Ewaluacji, nie tyle w celach zdobycia informacji (jako że każdy kontroler IRS dysponował *Wykazem regulacji proceduralnych*, zawartym w *Podręczniku Izby Rozliczeń*, który znajdował się u każdego w prawej szufladzie biurka, połączony z nią niewielkim łańcuszkiem, żeby nikt nie mógł go zabrać czy pożyczyć, ponieważ wszyscy musieliśmy mieć je zawsze przy swoich tingle'ach), ile w charakterze narzędzia diagnostycznego, pozwalającego sprawdzić, kto jest w stanie wysiedzieć godzinę za godziną, przykładając się do zadania, a kto nie, co oczywiście przekładało się na zdolność dawania sobie rady na rozmaitych poziomach skomplikowania i hermetyczności (z tego też powodu komponent poświęcony kontrolom na kursie treningowym w OSiE był znany w OSiE pod nazwą „obozu koncentracji”). Siedząc w moim dawnym dziecięcym pokoju w domu ojca w Libertyville (akademik w DePaul wciąż nie był otwarty, ponieważ popękały rury – burza śnieżna i jej konsekwencje nadal paraliżowały miasto), mogłem się jedynie domyślać, że

wymaganie od nas, byśmy przeczytali te materiały, było swego rodzaju testem czy przeszkodą, pomocną w ustaleniu, kto jest naprawdę zmotywowany i myśli o tym poważnie, a kto się po prostu przypalał, żeby wydebić od rządu łatwą kasę na chesne. Wyobrażałem sobie ciągle postać tego nędzarza, który zjadł wszystkie donuty na popołudniowej prezentacji, jak leży w kartonie po jakimś urzędzeniu w zaułku i czyta stronę z pakietu, a następnie ją podpala, żeby zapewnić sobie światło do przeczytania następnej. Myślę, że w pewnym sensie zasadniczo robiłem to samo – musiałem postawić krzyżyk na prawie wszystkich zadaniach na zajęcia z rachunkowości następnego dnia, żeby móc całą noc przekopywać się przez materiały Służby. Nie miałem przy tym poczucia robienia czegoś nieodpowiedzialnego, ale nie było w tym także romantyzmu czy heroizmu. Raczej musiałem po prostu wybrać, co jest ważniejsze.

Przeczytałem mniej więcej całość. Nie mam nawet pojęcia, ile to było w sumie słów. Zeszło mi prawie do piątej rano. Na samym końcu – nie na ostatniej stronie, tylko wciśnięte pomiędzy dwie strony transkryptu sprawy Unita Livestock Corporation przeciwko Stanom Zjednoczonym toczącej się w 1966 roku przed Sądem Podatkowym USA, pod koniec segregatora – było kilka nowych formularzy do wypełnienia, co utwierdziło mnie w przekonaniu o słuszności przeczucia, że to naprawdę test mający sprawdzić, czy jesteśmy wystarczająco zaangażowani i zainteresowani, żeby wziąć się z tym za bary i przeorać się przez to do końca. Nie mogę oczywiście powiedzieć, bym przeczytał to wszystko uważnie. Jednym z nielicznych pakietów, który nie powodował natychmiastowego matowienia oczu, było podsumowanie na temat Ośrodków Szkolenia i Ewaluacji oraz poszczególnych stanowisk dla pracowników bez wcześniejszego stażu otwartych dla rekrutów, którzy przeszli przeszkolenie w OSiE, o różnym poziomie wykształcenia i z różnymi pakietami motywacyjnymi. Istniały dwa Ośrodki Szkolenia i Ewaluacji IRS – w Indianapolis i w Columbus w Ohio – które w pakiecie prezentowano na zdjęciach i podawano dotyczące ich przepisy, nie było w nim natomiast nic o tym, jak takie szkolenie w ogóle wygląda. Jak to zwykle bywa ze zdjęciami odbitymi na ksero, obrazki przedstawiały głównie czarną masę

z nieokreślonymi białymi kształtami; tak naprawdę nic nie dało się z nich wywnioskować. Inaczej niż obecnie, protokół w tamtej epoce zakładał, że jeśli ktoś liczy na poważną pracę w Służbie, z etatem powyżej 9. szczebla w tabeli służby cywilnej, musi przejść kurs w OSiE, który trwał dwanaście tygodni. Trzeba było także wystąpić o przynależność do związku zawodowego pracowników Departamentu Skarbu, chociaż informacji o tym kryterium pakiet nie zawierał. W przeciwnym wypadku było się, zasadniczo, pracownikiem tymczasowym czy sezonowym, z których pracy Służba korzysta całkiem sporo, zwłaszcza na wstępnych etapach procesowania i kontroli. Pamiętam, że przedstawienie struktury Służby w *Wykazie stanowisk* było znacznie prostsze od diagramu z prezentacji rekrutera, chociaż w tym także była masa gwiazdek i pojedynczych oraz podwójnych linii łączących różne części siatki na stronie, a legenda do tych znaków została w połowie ucięta, ponieważ ktoś krzywo włożył materiały do kserokopiarki. W tamtej epoce sześć głównych węzłów czy też działów Służby to były Administracja, Przetwarzanie Zeznań, Przyjęcia, Należności, Kontrola Wewnętrzna, Usługi Wsparcia oraz coś, co nazywano Pionem Technicznym, jedyny pion Służby, który miał w nazwie na diagramie słowo *Pion*, co wówczas uznałem za dziwne. Każdy pion dzielił się z kolei, zgodnie z pionową hierarchią, na szereg podlegających mu wydziałów – łącznie było ich trzydzieści sześć, chociaż dzisiejsza Służba wyodrębnia ich czterdzieści osiem, wśród nich takie, których funkcje się zazębiają lub nachodzą na siebie, tak że ich działanie musi usprawniać i nadzorować Wydział Koordynacji Międzywydziałowej, który sam – nieco dezorientująco – podlega jednocześnie pod Administrację i Kontrolę Wewnętrzną. Każdy wydział dzielił się następnie na podwydziały, niektóre zapisane przy użyciu tak drobnej czcionki, że ich nazwy z trudem dawało się przeczytać. W Dziale Kontroli Pionu Przyjęć istniały na przykład stanowiska – jakkolwiek tylko te podane kursywą (i których po skserowaniu praktycznie nie dało się odczytać) wymagały kontraktu na szczeblu federalnym lub ukończenia kursu w OSiE – z zakresu prac biurowych, obsługi wózków, wprowadzania danych, przetwarzania danych, klasyfikacji, korespondencji, kontaktów z biurem okręgowym, kontaktów z biurem regionalnym, powielania,

zamówień publicznych, kontaktów audytorskich, sekretariatów, kadr, kontaktów z centrum obsługi podatnika, kontaktów z centrum komputerowym i tak dalej, a także oficjalne stanowiska „pracowników kontroli rutynowej”, pogrupowane (tak było w tamtej epoce, choć tu, w RCK na Środkowy Zachód, charakterystyki grup są znacząco inne) według typów deklaracji podatkowych, w których dany kontroler się specjalizował, oznaczone na diagramie jako 1040, 1040A, 1041, EST oraz „grube”, które to określenie stosuje się do złożonych deklaracji nr 1040, zawierających odpisy i załączniki z tytułu wpisów w więcej niż czterech tabelach. Poza tym zeznania 1120 i 1120S, składane przez firmy, sprawdzają specjaliści kontrolerzy znani w Kontrolach jako „głębinowi”, czego nie pokazano na stronie z materiałów rekrutacyjnych, ponieważ kontrole pogłębione wykonywane są przez elitarnych, wysoko wykwalifikowanych kontrolerów, którzy w budynku RCK mają własną specjalną przestrzeń biurową.

W każdym razie nadal pamiętam tę oczywistą myśl, że ten, kto naprawdę podchodzi do tego poważnie, robi co w jego mocy, żeby przeczytać całą zawartość segregatora, znajduje i uzupełnia właściwe sekcje formularzy z tyłu, po czym podejmuje wysiłek dotarcia komunikacją publiczną – o ile pogoda pozwoli – do punktu rekrutacyjnego przy West Taylor przed dziewiątą rano następnego dnia na coś, co na ostatniej stronie określano mianem „rozpatrzenia zaawansowanego”. Poza tym znowu padało całą noc, choć już nie tak mocno, i nie później niż o czwartej rano można było usłyszeć potworne odgłosy pługów śnieżnych Miejskiego Przedsiębiorstwa Infrastruktury w Libertyville, drapiących beton ulic za oknem mojego dzieciennego pokoju (również odgłosy ptaków o wschodzie słońca były niesamowite; sprawiały, że w oknach niektórych domów wzdłuż ulicy zapalały się światła włączane przez poirytowanych właścicieli), a CTA nadal jeździło tylko częściowo według rozkładu. Ale nawet pomimo tłumów zmierzających do pracy o tej porze dnia oraz trudnych warunków wędrówki z parku Granta zdołałem dotrzeć do punktu rekrutacyjnego w biurze za witryną nie później niż dwadzieścia minut po dziewiątej (jakkolwiek znów cały w śniegu), by nie zastać tam nikogo z poprzedniego dnia poza tym samym pracownikiem rekrutacyjnym Służby, sprawiającym

wrażenie jeszcze bardziej wyczerpanego i zaniedbanego, który – gdy wszedłem i powiedziałem, że jestem gotów na „rozpatrzenie zaawansowane”, i podałem mu formularze z zadania domowego, przez które się przekopałem – popatrzył najpierw na mnie, potem na formularze, po czym znowu na mnie, uśmiechając się do mnie dokładnie tak jak ktoś, kto w bożonarodzeniowy poranek właśnie rozpakował drogi prezent, który już ma.

§23

Sen: widziałem rzędy twarzy w skróconej perspektywie, nad którymi blade emocje pełgały jak światło odległego ogniska. Spokojna beznadziejność dorosłości. Złożony żal. Jedna czy dwie, te najbardziej żywe, wyglądały lepiej w swojej nijakości. Na wielu innych nie gościł żaden wyraz, jak na twarzach z monet. Z brzegu pracownicy biurowi uwijali się przy niekończących się drobnych czynnościach związanych z wysyłką poczty, przy układaniu w skoroszyty, sortowaniu, a twarze mieli beznamiętnie ptasie, pełne bezrozumnej energii, jaką można zaobserwować u owadów, roślin, ornitofauny. Sen sprawiał wrażenie trwającego długie godziny, jednak po przebudzeniu ręce Supermana (ten zegar dostałem w prezencie) były w tej samej pozycji co poprzednio, gdy sprawdzałem.

Ten sen to była moja psychika pouczająca mnie o nudzie. Jako dziecko nudziłem się bardzo często, chociaż tego stanu nie przedstawiałem sobie jako nudy – sądziłem, że bardzo często mi się *przykrzy*. Byłem marudnym, nerwowym, niespokojnym chłopcem. To słowa moich rodziców, które stały się moimi. W mokre, rozwlekłe niedzielne popołudnia, gdy mama i brat szli na recital, a tata drzemał na kanapie przed włączonym telewizorem, w którym leciał mecz Cincinnati Bengals, z librettem *Normy* otwartym na piersi, odczuwałem strzeliste, bezkresne znużenie, które wykracza poza znużenie i przechodzi w zatroskanie. Nie pamiętam jego przyczyn, za to pamiętam samo uczucie, a był to ten rodzaj zmartwienia, w którym brak jego właściwego przedmiotu czynił je potwornym, dryfującym. Wyglądałem za okno tylko po to, by zobaczyć szybę, a nie to, co było za nią. Myślałem o różnych grach i zabawkach, i rozwijających zabawach, które zawsze proponowała mi mama, ale te w moim znużeniu nie tylko jawiły mi się jako nieciekawe, ale wręcz nie byłem zdolny wyobrazić sobie, że ktoś mógłby dysponować wystarczającym zapasem bezmyślnej energii, by podjąć jakąkolwiek dziecięcą zabawę albo siedzieć w ciszy

dostatecznie długo, by przeczytać książkę z obrazkami – cały świat leżał bez życia, osłabły, nasiąkły troską. Słowa i uczucia moich rodziców stały się moimi, gdy przyjąłem na siebie obowiązki wynikające z mojej roli w rodzinnym dramacie, roli nerwowego, delikatnego syna, obiektu troski mojej mamy, podczas gdy mój brat był tym utalentowanym, dążącym do celu dzieckiem, którego gra na pianinie wypełniała dom po jego powrocie ze szkoły i zatrzymywała ciemność na zewnątrz, za oknami, tam, gdzie było jej miejsce. W toku psychoterapii po zejściu z moim własnym synem dokonałem swobodnego skojarzenia z moją prezentacją na lekcji poświęconej Ważnym Książkom, o Achillesie i Hektorze, w jedenastej klasie – i przypomniałem sobie, jak wówczas jasno sobie uzmysłowiłem, że moja rodzina to Achilles, mój brat to tarcza Achillesa, a ja to pięta rodziny, ta jej część, którą moja mama mocno ścisnęła, pozbawiając boskiej mocy, oraz że to rozpoznanie pojawiło się w trakcie mojej prezentacji i zniknęło tak szybko, że nie zdążyłem go zatrzymać, choć przez długi czas w okresie dojrzewania i wczesnej dorosłości myślałem o sobie w kategoriach pięty czy nogi – kiedy przyganiałem sobie w duchu, miało to postać nazywania siebie samego nogą, a poza tym rzeczywiście stopy, buty, skarpetki i kostki innych ludzi jako pierwsze zwracały moją uwagę w ich postaciach. Mój ojciec natomiast był tym pokonanym, acz nieugiętym wojownikiem, ścieranym na proch każdego dnia w batalii, której bezcelowość stanowiła część jej wyniszczającej mocy. Umiejscowienie mojej matki w ciele i ryszunku Achillesa pozostaje niejasne. Podobnie nie jestem pewien, czy mój brat zdawał sobie sprawę z tego, że jego popołudniowe ćwiczenia zawsze zbiegały się w czasie z powrotem ojca z pracy; myślę, że pod pewnymi względami u podstaw całej kariery pianistycznej mojego brata leżał warunek, aby o 17:42, gdy ojciec przychodzi do domu, zastawał tam światło i muzykę, że w pewnym sensie zależało od tego ojca życie – każdego wieczoru dokonywało się u niego przejście odwrotne do słonecznego, ze śmierci do życia.

Nic w tym dziwnego, że miałem trudności w podstawówce, z jej rzędami pustych twarzy i światłami nierzucającymi cienia, i siatką zbrojenia w szybach – zapamiętywanie i bezmyślne powtarzanie, tabliczka mnożenia, gramatyka i wykresy zdań, z jedyną dekoracją

sali w postaci liter alfabetu wyciętych z kolorowego kartonu, przytwierdzonych do korkowej listwy biegnącej wzdłuż górnej krawędzi tablicy. Każda sala mieściła trzydzieści ławek, ustawionych w pięć rzędów po sześć; w każdej klasie podłoga była wyłożona białymi płytkami z niepodobnymi do niczego chmurowatymi brązowymi i szarymi wzorami, które nie tworzyły jednolitej całości, ponieważ ten, kto kładł płytki, nie bardzo przejmował się zachowaniem ciągłości deseni. W każdej sali wisiał zegar ścienny produkcji Benrusa, bez dużej wskazówki, w którym wskazówka minutowa, zamiast przemieszczać się przy akompaniamencie ciągłego cichego tykania, przeskakiwała z wyraźnym pstryknięciem co minutę; szkolne zegary sprzężone były w jeden system z dzwonkiem, który odzywał się pięć minut przed pełną godziną, następnie o pełnej godzinie, po czym, nieco bardziej złowieszczo, dwie minuty później, postponując spóźnionych i przerywając nauczycielom ich wprowadzenia do lekcji. Szkoła pachniała klejem, gumowcami, zwarzonym jedzeniem ze stołówki i ciepłą biotyczną wonią wielu ciał, chemią, którą pociągnięte były płytki podłogowe, a zapachy te przybierały na intensywności, w miarę jak trzysta ssaków powoli ogrzewało sobą pomieszczenia. Większość uczących stanowiły aseksualne kobiety (to jest starsze od mojej mamy), surowe, choć wcale nie antypatyczne, oraz niewielka domieszka młodszych mężczyzn (jeden z nich, uczący nas matematyki w czwartej klasie, autentycznie nazywał się pan Goodnature), którzy do pracy z dziećmi trafili na fali mglistego politycznego idealizmu, jaki właśnie wtedy rodził się na uniwersytetach, daleko poza granicami mojego świata. Ci młodzi mężczyźni okazywali się najgorsi, niektórzy byli prawdziwymi służbistami, przygnębionymi i zgorzkniałymi, ponieważ idealizm, który ich do nas przywiódł, nie miał najmniejszych szans w starciu ze skamieniałą biurokracją Systemu Oświaty w Columbus ani z ospałą bezwolnością dzieci, które pragnęli zainspirować (czytaj: zindoktrynować) miękkim liberalizmem (słowo „pokój” odmieniali przez wszystkie przypadki), którego skuteczne zaszczepienie byłoby tylko repliką i pomnikiem wzniesionym ich własnej postawie; dzieci, które tymczasem siedziały pogrążone w sobie i instytucjonalnej

nudzie, której nie potrafiły nazwać, ale która do cna zdążyła zatruć ich dusze.

§24

Tu autor³⁵. Stawiłem się w Placówce IRS nr 047 w Lake James w Illinois³⁶ na postępowanie przyjęcia któregoś dnia w połowie maja 1985 roku. Bardzo możliwe, że dokładnie lub zaraz w pobliżu wtorku, 15 maja³⁷. W każdym razie odbyłem podróż do Peorii, mniejsza o to, którego dnia w maju, z domu rodzinnego w Philo, do którego mój powrót na chwilę był, no, powiedzmy, że nietriumfalny i w którym pewni członkowie mojej rodziny w pewnym sensie spoglądali niecierpliwie na zegarek przez cały czas mojego krótkiego tam pobytu. Nie wymieniając z imienia i nazwiska i nie podając szczegółów pozwalających na identyfikację konkretnych osób, powiedzmy tylko, że przeważająca w mojej rodzinie postawa dała się streścić w słowach: „Co takiego ostatnio dla mnie zrobiłeś?” albo może jeszcze lepiej: „Co takiego osiągnąłeś / zyskałeś / zdobyłeś ostatnio, co mogłoby w jakiś sposób (wyobrażony bądź nie) dobrze o nas świadczyć i co pozwoliłoby nam pławić się w odbitym świetle jakiegoś (prawdziwego bądź nie) osiągnięcia?”. Moja rodzina działała odrobinę jak przedsiębiorstwo komercyjne, kierujące się zasadą, że to, ile jesteście warci, określają wyłącznie wasze wyniki sprzedaży za ostatni kwartał. Chociaż, wiecie co, wszystko mi jedno. Zdecydowanie nie zaproponowano mi rodzinnego podwiezienia do Peorii, choć możliwe, że podrzucono mnie na dworzec autobusowy, który w Philo zajmował cały jeden kąt parkingu przed marketem IGA i który nie był tak daleko, ale przejście tego odcinka w oblepiającej wilgoci wczesnych godzin rannych (które na równinach południowego Środkowego Zachodu są jedną z dwóch, obok zmierzchu, ulubionych pór moskitów, a moskity tutaj to nie jakaś tam po prostu niedogodność, ale naprawdę poważna sprawa) byłoby koszmarem w moim trzyczęściowym sztruksowym garniturze, z dwiema ciężkimi walizkami (to było na kilka lat przed nagłym sukcesem tego kogoś w branży bagażowej, kto zdał sobie sprawę, że przy walizkach można by montować niewielkie kółka i teleskopowe uchwyty, tak by dało się je ciągnąć, co było właśnie

jednym z tych pomysłowych gwałtownych kroków naprzód, które czynią przedsiębiorczy kapitalizm tak ekscytującym systemem – motywując ludzi do wprowadzania udoskonaleń). Do tego miałem ze sobą moją ukochaną teczkę, odziedziczoną po starszym krewnym spoza grona najbliższych członków rodziny, który służył jako oficer sztabowy na Hawajach w drugiej połowie drugiej wojny światowej, która przypominała trochę aktówkę (ta teczka przypominała), tyle że nie miała uchwyty i nosiło się ją wetkniętą pod pachę, teczkę, w której trzymałem tego rodzaju prywatne bądź nieodzwonne rzeczy osobiste, przybory toaletowe, specjalny model etui na zatyczki do uszu, maści i balsamy dermatologiczne oraz ważne dokumenty, jakie każda myśląca osoba nosi przy sobie, zamiast zdawać się na łaskę i niełaskę transportu bagażowego. Wśród tych dokumentów znajdowała się moja niedawna korespondencja zarówno z ludźmi od objętego gwarancją kredytu studenckiego, jak i z Biurem komisarza regionalnego ds. kadr na Region Środkowo-Zachodni IRS, a także mój egzemplarz podpisanego kontraktu z IRS oraz formularz 141-PO, które składały się na moje „listy oddelegowania” do RCK na Region Środkowo-Zachodni, które oba (oba te dokumenty) należało najwyraźniej okazać, by otrzymać identyfikator Służby, o konieczności wyrobienia którego w trybie natychmiastowym miałem się dowiedzieć po przybyciu na „stanowisko przyjęć pracowników 9. szczebla” o pewnej określonej godzinie, podanej pismem ręcznym na rozmytej, niedbale odbitej pieczęcie z linią przywalonej u dołu „listów oddelegowania”³⁸. (Szybka dygresja. Z całym szacunkiem dla braku umiaru i zamiłowania do samobiczowania Chris „Nieistotny” Fogle z §22 mówił do rzeczy, jeśli chodzi o jedną kwestię. Biorąc pod uwagę sposób działania ludzkiego mózgu, to właśnie drobne, zmysłowo wyraziste szczegóły zapamiętuje się na przestrzeni czasu – i w odróżnieniu od niektórych autorów tak zwanych książek wspomnieniowych nie zamierzam udawać, że umysł działa w inny sposób niż w rzeczywistości. Jednocześnie spieszę uspokoić, że nie jestem Chrisem Fogle’em i nie będę was torturował bezmyślnym powtarzaniem każdego wrażenia i przelotnej myśli, które akurat zapamiętałem. Mnie tu chodzi o sztukę, a nie zwykłe odwzorowanie. To, czego nie rozumieli logoreiczni koledzy, tacy jak Chris Fogle, to

fakt, że istnieją diametralnie różne rodzaje prawdy, z których niektóre są nie do pogodzenia z niektórymi innymi. Przykład: stuprocentowo wierny, pełny katalog, w którym ujęto dokładny rozmiar i kształt każdego źdźbła trawy trawnika przed moim domem, jest „zgodny z prawdą”, ale nie jest to prawda, która kogokolwiek zainteresuje. To, co nadaje prawdzie znaczenie, czyni ją interesującą & c., jest jej istotność, której interpretacja wymaga z kolei nadzwyczajnej spostrzegawczości i wrażliwości na kontekst, pytania o wartość i ostateczny cel – w przeciwnym wypadku moglibyśmy być równie dobrze komputerami przekazującymi sobie nawzajem gołe dane).

W jednej z niezliczonych sprytnych skrytek i kieszeni z klapką we wnętrzu skórzanej teczki znajdował się też pewien dokument uzupełniający w postaci osobistej wewnątrzrodzinnej korespondencji od pewnego niewymienionego z imienia i nazwiska dalszego krewnego, który miał – jak by to dzisiaj powiedziano – „chody” w Biurze komisarza na Region Środkowo-Zachodni IRS w Joliet, na północy stanu³⁹, która, ściśle rzecz biorąc, wcale nie miała trafić do mnie (i która była nieco pomięta po wydobyciu jej z kosza na śmieci pewnego niewymienionego z imienia i nazwiska członka bliższej rodziny), a którą mieć przy sobie na wypadek jakiegoś biurokratycznego kryzysu czy jako ostatnią deskę ratunku wydawało się rzeczą rozważną⁴⁰. Generalnie mój stosunek do biurokracji był taki sam jak większości Amerykanów: nienawidziłem i bałem się ich (tj. tych biurokracji) i zasadniczo uważałem je za olbrzymie, zgrzytliwe, bezosobowe maszyny – to znaczy jawiły mi się jako nieelastycznie dosłowne i ograniczone zasadami, tak jak maszyny, a także podobnie jak maszyny tępe⁴¹. Licząc przynajmniej od zamieszania ze stanowym ORD i naszym ubezpieczycielem w siedemdziesiątym dziewiątym wokół warunków i objęcia ubezpieczeniem mojego warunkowego pozwolenia na prowadzenie pojazdów, z powodu incydentu tak śmiesznie nieistotnego, że ledwie można go było nazwać kolizją, moim pierwszym skojarzeniem ze słowem „biurokracja” był obraz kogoś z beznamiętną twarzą, siedzącego przy okienku, niesłuchającego żadnego z moich pytań ani tłumaczeń, że okoliczności, że nieporozumienie, tylko po prostu

odsyłającego do jakiegoś podręcznika z bezosobowymi przepisami, gdy przybija na moim formularzu pieczętkę z numerem, co oznaczało, że mogę się spodziewać jakichś dalszych frustrujących kłopotów i wydatków. Wątpię, by potrzebna wam była szczególna pomoc w zrozumieniu, dlaczego moje wówczas nieodległe doświadczenie z uczelnianą Radą Dyscyplinarną i Biurem Dziekana ds. Studenckich (vide §9 powyżej) nijak nie przyczyniło się do złagodzenia tego przekonania. Wstyd czy nie wstyd, ale uznałem, że każdy możliwy dodatkowy dowód potwierdzający znajomościowe chody może zrobić swoje, jeśli miałby mnie wydobyć z szarej kolejki bezimiennych błagalników w przypadku kłopotów czy zamieszania⁴² w Regionalnym Centrum Kontroli, które wyobrażałem sobie z góry na podobieństwo archibiurokratycznej wersji zamku Kafki, olbrzymiego RD-u albo Rady Dyscyplinarnej.

Tytułem zapowiedzi i wyjaśnienia z góry pewnych rzeczy uczciwie przyznaję się tu, że niektórych fragmentów tego dnia, kiedy przyjechałem na miejsce i przeszedłem procedurę przyjęcia, nie pamiętam za dobrze, przynajmniej częściowo ze względu na tsunami bodźców zmysłowych, danych technicznych i biurokratycznej komplikacji, które spadło na mnie, gdy zjawiłem się na miejscu i zostałem osobiście wzięty pod skrzydła i odeskortowany – przy takiej ilości okazanej troski, która jakkolwiek nieoczekiwana i dezorientująca, ucieszyłaby niemal każdego – do biura kadr RCK, omijając po drodze stanowisko przyjęć pracowników 9. szczebla (które znajdowało się nie wiadomo gdzie), którego znalezienie i ustawienie się do niego w kolejce nakazywały mi rozmazane i pełne literówek listy oddelegowania z mojej teczki. Jak to zwykle bywa w przypadku ludzkich umysłów zalanych nadmiarem danych wejściowych, zachowałem tylko przebłyski i niekompletne wycinki z tamtego dnia, których pewne wybrane porcje pozwolę sobie teraz zrelacjonować nie tylko w celu ukazania warunków panujących w RCK i w Służbie, ale także by powołać się na nie dla usprawiedliwienia mojej mogącej z początku wyglądać na bierną postawy (była to bardziej zwykła dezorientacja⁴³) wobec tego, co w wyraźnym świetle perspektywy czasu wydaje się oczywistym przypadkiem błędu w przyporządkowaniu czy opacznej interpretacji tożsamości. Tylko

że to nie było wtedy oczywiste; a chcieć, żeby ktoś od razu to zauważył, zinterpretował jako pomyłkę i podjął natychmiastowe kroki w celu jej skorygowania, to trochę jakby chcieć, by ktoś dostrzegł i poprawił jakąś nieprawidłowość w swoim otoczeniu dokładnie w chwili, w której w oczy nagle zaświeciło mu sto żarówek. Inaczej mówiąc, istnieje pewna porcja skomplikowanych danych, z jaką ludzki system nerwowy jest w stanie sobie poradzić.

Pamiętam dobrze, jak stałem na skraju parkingu supermarketu IGA w garniturze, z torbami i teczką, gdy świt oficjalnie się rozpoczął. Tym, którzy nigdy nie doświadczyli wschodu słońca na rolniczym Środkowym Zachodzie, podpowiem, że jest on mniej więcej tak łagodny i romantyczny jak niespodziewane włączenie przez kogoś światła w ciemnym pokoju. To dlatego, że teren jest tak płaski, że nic nie przesłania ani nie stopniuje pojawienia się słońca. Po prostu nagle jest. Temperatura momentalnie podnosi się o dziesięć stopni; moskity znikają, udając się do miejsca przegrupowania, gdziekolwiek się ono znajduje. Kawalek dalej na zachód dach kościoła pod wezwaniem św. Dymfny kładł się złożonym cieniem na połowie śródmieścia. Piłem nesbitt's z puszki, coś jakby moją wersję porannej kawy. Parking IGA przylega do głównej ulicy w centrum, która jest przedłużeniem drogi stanowej nr 130 i nosi fantazyjną nazwę. Zaraz po drugiej stronie tej Głównej Ulicy stały pękate dystrybutory i dinozaurze logo prowadzonej przez Clete'a stacji Sinclaira, pod którą w piątkowe wieczory zbierał się kwiat młodzieży z miejscowego liceum, by pić Pabst Blue Ribbon i wyciągać z pobliskich krzaków żaby i myszy, i rzucać nimi w pułapkę na owady Clete'a, której napięcie ten podwyższył do 225 woltów.

To był, o ile wiem, jedyny raz, kiedy podróżowałem komercyjnymi liniami autobusowymi i nie było to doświadczenie, które miałbym ochotę kiedyś powtórzyć. Autokar był brudny, a niektórzy pasażerowie wyglądali, jakby spędzili w trasie kilka dni, ze wszystkimi tego konsekwencjami dla higieny i braku podstawowych zahamowań. Pamiętam, że oparcia foteli sprawiały wrażenie nienaturalnie wysokich, a pod nogami miało się coś w rodzaju aluminiowego pręta, w oparciu ręki znajdował się zaś guzik do odchylenia oparcia, który w przypadku mojego fotela, jak

się okazało, nie działał prawidłowo. Umieszczona w oparciu ręki popielniczka z klapką była jednym wielkim koszmarem z wyzutych gum i petów, zbyt licznych, aby niewielka klapka mogła się domykać. Przypominam sobie widok zakonnic w przedniej części pojazdu, w liczbie dwóch czy więcej, w pełnych habitach, oraz myśl, że wymóg, by podróżowały obrzydliwymi komercyjnymi autokarami musi stanowić część ślubów ubóstwa obowiązujących w ich sekcje; niemniej nadal wydawało mi się to przerysowane i nie na miejscu. Jedna z zakonnic rozwiązywała krzyżówkę. Podróż trwała ponad cztery godziny *in toto*, jako że autobus zatrzymywał się w niezliczonych żalonych małych miścinach podobnych do mojej własnej. Wkrótce słońce zaczęło opiekać tył i bakburtę autokaru. Klimatyzacja była raczej niewyraźnym skinieniem w stronę abstrakcyjnej idei klimatyzacji. Na plastikowej powierzchni oparcia fotela przede mną widniało przerażające graffiti, wyrte nożem albo dziurkaczem tapicerskim, na które spojrzałem dwukrotnie, po czym postanowiłem już więcej na nie nie patrzeć. Autobus miał ubikację na samym końcu, z której nikt ani razu nie próbował skorzystać, i pamiętam, że z pełną świadomością postanowiłem wierzyć, że pasażerowie mieli wystarczający powód, by tego nie robić, zamiast zapuszczać się do środka, żeby odkryć ten powód samemu. Empiryzm ma swoje granice. We wspomnieniu pojawia się również pozbawiony kontekstu przebłysk stóp jakiejś kobiety w poliuretanowych klapkach, z tatuażem przedstawiającym bluszcz albo drut kolczasty owijający się wokół jej kostki. A także mały chłopczyk o okrągłej buzi⁴⁴ i w krótkich spodenkach, w fotelu tuż obok, po drugiej stronie przejścia, z czerwonymi wykwitami liszajca widocznymi na kolanach, w towarzystwie prawdopodobnie prawnej opiekunki, śpiącej na miejscu obok (jej oparcie dawało się odchylić), który przyglądał mi się, jak zjadam małe pudełko rodzynek wyciągnięte z torby z drugim śniadaniem, którą musiałem sam sobie spakować w ciemnej kuchni, i którego głowa podążała śladem każdej rodzynki wkładanej przeze mnie do ust, tak że widząc go kątem oka, usiłowałem zdecydować, czy zaproponować mu, żeby się poczęstował, czy nie (ostatecznie tego nie zrobiłem: czytałem i nie chciałem wdawać się w rozmowy, nie wspominając już o tym, że

Bóg jeden raczył wiedzieć, jaka była sytuacja i przeszłość tego dziecka; do tego znaną właściwością liszajca jest jego zakaźność).

Oszczędzę nam wszystkim większości zmysłowych reminiscencji z głównego dworca autobusowego w Peorii – który był upiorny tą szczególną upiornością dworców autobusowych znaną z centrów wszystkich podupadłych miast – czy mojego ponaddwugodzinnego oczekiwania tamże, z wyjątkiem uwagi, że tamtejsze powietrze nie było klimatyzowane czy wprawiane w ruch i że było tam okropnie tłoczno oraz że znajdowała się tam pewna liczba samotnych mężczyzn, a także grupki po dwóch, trzech, z których prawie wszyscy mieli na sobie garnitury i kapelusze lub trzymali kapelusze bądź powoli się nimi wachlowali, siedząc (żaden z nich ani przez chwilę nie sprawiał wrażenia, jakby przyszło mu do głowy, że można by zdjąć marynarkę albo poluzować krawat); i pamiętam, że już wtedy dostrzegłem coś dziwnego w tym, że nawet mężczyźni w kwiecie wieku noszą fedory, które zwykle widywało się jedynie u dużo starszych mężczyzn wywodzących się z określonego środowiska i zajmujących określoną pozycję. Wśród kapeluszy było kilka ekscentrycznych czy też nietypowych.

Wiem, że gdy wybrałem się na oględziny miejsca z telefonem i automatami z napojami i przekąskami, w pobliżu wejścia do toalet, widziałem osobę, która mogła być prawdziwą prostytutką.

Dobrze pamiętam zawirowanie, do którego następnie doszło, z udziałem wszystkich tych mężczyzn w kapeluszach, pośród wilgoci i oparów oleju napędowego przed terminalem; i dobrze pamiętam, jak wreszcie przyjechały te dwa sedany w kolorze fasolki po bretońsku, przysłane przez IRS, jak zaparkowały przy krawężniku terminalu i jak okazało się, że jest zbyt wielu nowych lub przeniesionych członków ich personelu⁴⁵, każdy z nich z pokaźnym bagażem, by mogli się wszyscy zmieścić do sedanów, a o kolejności odjazdu nie decydował wcale obowiązkowy czas zgłoszenia podany na pieczęcie białej w formularz 141-PO każdej z osób (co wydawałoby się sprawiedliwe i racjonalne), ale szczebel w tabeli służby cywilnej, potwierdzony identyfikatorem Służby, którego nie miałem, a moja argumentacja, że właśnie w celu *pobrania* identyfikatora Służby kazano mi się stawić przy stanowisku przyjęć pracowników 9. szczebla dokładnie o godzinie 13:40, nie odniosła

jakiegokolwiek skutku, być może dlatego, że kilku sprawniejsz dobijających się o swoje członków personelu krzyczało do kierowcy, wymachując swoimi ważnymi identyfikatorami IRS; i jeszcze to, jak troszkę później stoi nas tam całkiem wielu i patrzy, jak przepełnione sedany oddalają się od krawężnika, by zniknąć w ruchu śródmieścia, i to, jak wielu członków nowego personelu po prostu wzrusza ramionami i pasywnie wchodzi z powrotem do budynku terminalu, oraz moje wrażenie, że to wszystko jest nie tylko niesprawiedliwe i źle zorganizowane, ale również stanowi zdecydowanie ponury przedsmak tego, czym będzie życie w biurokracji.

Tu, przy okazji, tytułem krótkiej dygresji, ujawniam odrobinę wstępnego kontekstu, którego zdecydowałem się nie wkomponowywać czy przemycać za pomocą tych pokraccznych dramatyzacyjnych zabiegów⁴⁶, do których ucieka się tak wiele standardowych pamiętników, a mianowicie:

Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni IRS jest w swym fizycznym wymiarze budowlą wzniesioną na planie zbliżonym do litery L, położoną przy Self-Storage Parkway w Lake James, dzielnicy miasta Peoria w stanie Illinois. To, że plan, na którym zbudowano gmach, jest tylko zbliżony do litery L, wynika stąd, że dwa prostopadłe względem siebie budynki RCK stoją bardzo blisko siebie, ale nie stanowią jedności; są za to połączone na wysokości pierwszego i drugiego piętra kładkami obudowanymi oliwkowozielonym poliwęglanem dla ochrony przed niepogodą, jako że często odbywa się nimi transport ważnych dokumentów i kart z danymi. Nigdy nie doprowadzono ogrzewania czy wentylacji do tych wiszących tuneli, w związku z czym w miesiącach letnich personel placówki nazywa je bataanami, w oczywistym nawiązaniu do batańskiego marszu śmierci z czasów wojny na Pacyfiku.

Większy z dwóch budynków, wzniesiony w 1962 roku, mieści zasadniczo administrację Placówki nr 047, centralę przetwarzania danych, magazyny dokumentów oraz pomieszczenia Usług Wsparcia. Drugi, w którym odbywa się większość faktycznych kontroli zeznań podatkowych złożonych przez obywateli amerykańskich, nie należy do IRS, lecz jest wynajmowany na zasadzie leasingu zwrotnego od holdingu założonego przez udziałowców niejakiego Mid West (sic!) Mirror Works, firmy

produkcją wyrobów szklanych i kompozytowych, która mogła się bezpiecznie zwinąć, chroniąc się w zapisy rozdziału 7. Jednolitego Kodeksu prawa handlowego, w połowie lat siedemdziesiątych.

Posiadająca prawa miejskie od roku 1845 i prawdopodobnie znana przede wszystkim jako kolebka wytwarzanego od 1873 drutu kolczastego Peoria odgrywa istotną rolę w strukturze Regionu Środkowo-Zachodniego IRS. Położone w pół drogi między Regionalnym Centrum Obsługi w East St. Louis a Biurem komisarza regionalnego w Joliet i obsługujące dziewięć stanów i czternaście okręgów regionu, przy personelu liczącym ponad trzy tysiące osób, RCK na Region Środkowo-Zachodni dokonuje kontroli poprawności i zgodności ze stanem faktycznym około czterech i pół miliona zeznań podatkowych rocznie⁴⁷. Chociaż krajowa sieć Służby obejmuje w sumie siedem regionów, działa w tej chwili (od czasu spektakularnego tąpnięcia w RCK w Rome w stanie Nowy Jork w 1982)⁴⁸ tylko sześć Regionalnych Centrów Kontroli, mieszczących się w Filadelfii w Pensylwanii, Peorii w Illinois, Rotting Flesh w Luizjanie, St. George w Utah, La Junta w Kalifornii oraz Federal Way w stanie Waszyngton, do których zeznania podatkowe napływają za pośrednictwem Centrum Obsługi danego regionu bądź centrum komputerowego IRS w Martinsburgu w Wirginii Zachodniej.

Do ważniejszych firm i zakładów przemysłowych na terenie aglomeracji Peorii należały według stanu na rok 1985 zakłady produkcji rolnej Rayburn-Thrapp, Amerykańskie Zakłady Produkcji Szpagatu, drugi co do wielkości krajowy producent szpagatu, drutu i lin o małym przekroju, Consolidated Self Storage, jedna z pierwszych spółek na terenie środkowych Stanów Zjednoczonych, która zastosowała u siebie model finansowania oparty na franczyzie, Grupa Ubezpieczeniowa Farm & Home, będące własnością Japończyków resztki po Nortex Heavy Equipment, a także krajowa siedziba Fornix Industries, prywatnego wytwórcy dziurkarek i sprzętu do odczytu kart perforowanych, do którego ostatnich największych klientów w tamtym czasie należał Departament Skarbu USA. Jeśli natomiast chodzi o pracodawców w Peorii, Izba Rozliczeń Skarbowych zatrudniała najwięcej osób od czasu, kiedy

w 1971 Amerykańskie Zakłady Produkcji Szpagatu straciły wyłączne prawa patentowe do drutu kolczastego typu 3.

Koniec dygresji; powrót do mnemonicznego czasu rzeczywistego.

Po nie wiadomo ilu próbach znalezienia wewnątrz zatechłego terminalu działającego telefonu, który pozwoliłby mi na prowadzenie pertraktacji z kimś, kto obsługuje podany na formularzu 141-PO „numer informacji pracownika” (był, jak się okazało, błędny albo linia była nieczynna), udało mi się wreszcie zdobyć transport pojazdem Służby, który zjawił się pod terminalem jako czwarty albo piąty, teraz już tragicznie spóźniony względem wyznaczonego czasu, za które to spóźnienie, wyobrażałem sobie, obwini mnie jakaś mdła osoba, której palec kontroluje także moralny dzwonek / syrenę stanowiska przyjęć.

Kolejnym istotnym faktem tamtego dnia było najzupełniej okropne natężenie ruchu na opasującej miasto Self-Storage Parkway. Wzdłuż tego jej fragmentu, który okala Peorię od wschodu, stały restauracje na franczyzie wielkich sieci i takie przybytki jak Kmarty oraz salony samochodowe powiewające tandetnymi balonami i świecące neonowymi szyldami. Odchodziła od niej też cała osobna czteropasmowa droga dojazdowa, prowadząca do czegoś o nazwie Galeria Carousel, na samą myśl o której człowiek się wzdragał⁴⁹. Za całą tą działalnością (tj. za oglądaną od wschodu w drodze na południe wzdłuż obrzeży miasta, gdzie powolny i zaszlamiony bieg rzeki Illinois to pojawiał się, to znów znikał z pola widzenia po lewej stronie wiozącego mnie gremlina) rysowała się przypominająca ruiny linia dachów centrum Peorii, wykres słupkowy szerniałej cegły i pustych okien oraz wrażenie silnego zanieczyszczenia, mimo że z żadnego z kominów nie szedł dym. (To było na kilka lat przed próbą gentryfikacji starego śródmieścia).

Wspomnianym pojazdem przysłanym przez Służbę był dwudrzwiowy pomarańczowy lub żółty amc gremlin, aczkolwiek wyposażony w antenę dużej mocy i z kalkomanią przedstawiającą pieczęć Służby na drzwiach od strony kierowcy. Znaki umieszczone w środku zabraniały palenia i / lub spożywania pokarmów. W wykonanym ze sztywnego tworzywa sztucznego wnętrzu pojazdu było czysto, ale panowały w nim także nieznośne gorąco i zaduch. Czułem, że zaczynam się pocić, co nie jest, rzecz jasna, miłym

doznaniem, kiedy ma się na sobie trzyczęściowy sztruksowy garnitur. Nikt się do mnie nie odzywał ani nawet nie zauważył mojego istnienia – chociaż, jak już może wspominałem albo i nie, cierpiałem w tamtym czasie na poważną chorobę skóry i byłem mniej więcej przyzwyczajony do tego, że poza pierwszym stłumionym okrzykiem współczucia czy obrzydzenia (to zależało), który wyrывał im się niechcący, ludzie nie patrzyli na mnie i nie zauważali mojej obecności, przez co chcę powiedzieć, że już nie brałem tego za bardzo do siebie. Nie było żadnych ogólnych propozycji podkreślenia klimatyzacji ani choćby standardowych uprzejmości w postaci pytania, czy jakkolwiek powiew z klimatyzatora dociera do nas, stłoczonych ciasno na tylnych siedzeniach, gdzie między mną a starszym pracownikiem 11. szczebla, którego homburg schodził mu prawie na oczy pod naporem niskiego sufitu, siedział młodszy gość o wysuniętej szczęce, w szarej poliestrowej marynarce i krawacie, na oko może w moim wieku, trzymający stopy na wzniesieniu podłogi biegnącym przez środek auta, tak że kolana miał niemal przyciśnięte do piersi, który już pociał się obficie i ukradkowo ocierał strumyki spływające mu z czoła, po czym wycierał palce w koszulę ruchem, który wyglądał tak, jakby udawał, że drapie się pod marynarką, a nie jakby wycierał mokre palce. Robił to raz za razem na obrzeżach mojego pola widzenia. Cała sprawa była bardzo dziwna. Jego uśmiech był lękliwym i zupełnie fałszywym grymasem uśmiechu, a po jego profilu spływały w wielkich ilościach, rozgałęziając się, krople potu, z których część kapłała mu na sportową marynarkę, znacząc cętkami jej klapy. Roztaczał niemal namacalną aurę napięcia czy lęku, a może klaustrofobii – miałem to trudne do wytłumaczenia wrażenie, że skrzywdziłbym go okrutnie, gdybym coś do niego powiedział albo zapytał, czy czuje się okej. Inny starszy pracownik IRS siedział na przednim siedzeniu obok kierowcy, obaj ci mężczyźni nie mieli nakrytych głów (kierowca w przywodzącym na myśl klasztor *coup de zéro*) i patrzyli przed siebie, nic nie mówiąc i nie poruszając się, nawet kiedy pojazd stał zupełnie nieruchomo na światłach. Z boku skóra pod brodą i na podgardlu starszego pracownika miała mosznowy czy jaszczurzy wygląd właściwy skórze mężczyzn w zaawansowanym średnim wieku (nie tak różny od

skóry urzędującego wówczas prezydenta USA, którego twarz w telewizji często wyglądała, jakby łączyła mu się z gardłem, co – jak zapamiętałem – sprawiało, że jego czarny jak smoła pompadour i owale różu na policzkach były jeszcze bardziej wyjęte z kontekstu). Na przemian to grzęźliśmy w ruchu ulicznym, to poruszaliśmy się z prędkością mniej więcej konduktu pogrzebowego. Słońce grzało odczuwalnie w metalowy dach gremlina; zawieszona na oddziale sieci banków tablica elektroniczna podająca godzinę i temperaturę, którą mieliśmy przed oczami w ciągu kilku minut beczynnego stania, wyświetlała najpierw czas, a po niej NIE CHCECIE WIEDZIEC, przypuszczalnie w miejsce temperatury, co wydało mi się złowróżbną próbką miejscowego poczucia humoru i kultury. Możecie sobie wyobrazić jakość powietrza i zapachy.

Nigdy wcześniej nie przebywałem tak długo w pełnym ludzi pojeździe, w którym nie grało radio i nikt się nie odzywał, choćby słowem, choćby raz, i czułem się kompletnie osamotniony, mimo że jednocześnie byłem upchany tak ciasno obok innych osób, że wszyscy nawzajem wdychaliśmy swoje powietrze przez cały czas⁵⁰. Co chwila kierowca z IRS rozcierał sobie kark, który na pewno mu sztywniał w tej dziwnej pozycji, jaką musiał przyjmować, żeby coś zobaczyć zza zestawu znaków sterczących z deski rozdzielczej. Główna rozrywka początkowej części przejazdu: okres wściegłego swędzenia wzdłuż lewej strony klatki piersiowej wzbudził obawy (zrozumiałe, szczęśliwie jednak bezpodstawne), że liszajec chłopca z autobusu mógł jakoś przenosić się drogą powietrzną albo że można się nim było zarazić bez bezpośredniego kontaktu, które to lęki musiałem zdusić, ponieważ, rzecz jasna, nie było jak wyciągnąć sobie koszuli ze spodni, żeby sprawdzić, jak wygląda ten rejon. Tymczasem starszy Służbowy w staromodnym kapeluszu otworzył teczkę harmonijkową i rozpostarł przed sobą na kolanach zawartość dwóch czy trzech szarych kopert, by zapoznawać się z różnymi formularzami i wydrukami, przemieszczając je między kopertami zgodnie z jakimś rozkładem czy systemem, którego nie byłem w stanie zrozumieć, wszystko to bowiem rozgrywało się na obrzeżach mojego pola widzenia z lewej strony, za kaskadą kropelek potu spadającą z czubka nosa gościa siedzącego na garbie, który pocił się teraz z intensywnością, jaką wcześniej widziałem tylko na

kortach do squasha na studiach i u pewnego niewymienionego z imienia i nazwiska starszego krewnego przy łagodnym ataku serca w trakcie Święta Dziękczynienia w 1978 roku. Spędziłem sporo czasu, bębniąc niecierpliwie palcami po teczce, która teraz pod wpływem ciepła we wnętrzu gremlina była szczególnie miękka i wilgotna i wydawała przyjemne plaskające odgłosy, gdy się po niej bębniło – i jakkolwiek bębnienie w coś w roztargnieniu palcami w przestrzeni, w której poza tym panuje cisza, jest jednym z najszybszych sposobów, by doprowadzić do pasji innych i sprawić, żeby się do was odezwali, choćby po to, żeby poprosić, żebyście dali spokój, to nikt w gremlinie nie skomentował tego w żaden sposób ani nawet nie sprawiał wrażenia, że to zauważył.

Self-Storage Parkway stanowi mniej więcej obwodnicę Peorii i wyznacza granicę pomiędzy właściwym miastem a przyległymi przedmieściami. Jest przykładem tego, co dziś, w 2005 roku, uznalibyśmy za typową podmiejską wielopasmówkę, z jej paradoksalną kombinacją wysokich dopuszczalnych prędkości i świateł co ćwierć mili, które to światła ustawiano po to, by ułatwić konsumentom i dojeżdżającym pracownikom dotarcie do wszystkich tych placówek handlowych upchanych co najmniej na całej długości wschodniego odcinka SSP, który staraliśmy się pokonać. Według stanu na połowę lat osiemdziesiątych Self-Storage Parkway wznosiła się estakadą nad skrzyżowaniami międzystanówek i w dwóch miejscach przekraczała tabaczkowej barwy rzekę Illinois po żelaznych mostach pamiętających czasy Roosevelta i WPA, których nity ronily pomarańczową rdzę i wzbudzały, powiedzmy, że mniej niż pełne zaufanie.

Co więcej, im bliżej byliśmy południowo-wschodniego skraju aglomeracji oraz specjalnej drogi dojazdowej do Centrum Kontroli, tym gorzej się jechało. Powód objawił się już tego pierwszego dnia: była nim instytucjonalna głupota we wszystkich jej wielorakich formach i pod wszystkimi imionami. Punkt pierwszy. Drogowcy poszerzali tę część wschodniej jezdni Self-Storage Parkway do trzech pasów, ale w taki sposób, że roboty drogowe wyłączały jeden z dwóch już istniejących; prawy pas był zamknięty za pomocą pomarańczowych pachołków nawet w miejscach, gdzie nie trwały żadne prace i pas wyglądał na czysty i nadający się do jazdy. A jak

wiadomo, ruch jednym pasem odbywa się dokładnie z taką prędkością, z jaką porusza się najwolniejszy pojazd w kolumnie. Punkt drugi. Jak już wspomniano, światła były ustawione co jedną ósmą bądź ćwierć mili, a i tak pojedyncza sunąca w kierunku południowym kolumna była dłuższa niż odległość dzieląca jedno światła od drugich na którymkolwiek odcinku, tak więc nasz postęp zależał nie tylko od koloru na najbliższych światłach, ale także na dwóch czy trzech kolejnych. To był zator drogowy w pełnej krasie. Wyglądało to tak, jakby na rzeczy było bardzo złe planowanie przestrzenne albo zarządzanie ruchem, albo jeszcze co innego, a ja czułem, jak sztruks mojego garnituru robi się wilgotny na całej powierzchni, którą stykał się z wzorzystym plastikowym siedzeniem gremlina, a także na wysokości biodra i górnej części uda, przyciśniętych do tego siedzącego obok człowieka zraszacza, który teraz roztaczał wokół siebie nie tylko ciepło, ale również drażniącą paniczną woń, która kazała mi odwrócić głowę i udawać, że bardzo się koncentruję na czymś za oknem (w którym szybę dawało się opuścić tylko do połowy, ze względu na jakąś wadę projektową albo nieznany element odpowiedzialny za bezpieczeństwo). Nie ma sensu opisywać szeregu sieciowych placówek usługowych i centrów handlowych, a także salonów sprzedających samochody, ogumienie, motocykle / skutery wodne ani samoobsługowych stacji benzynowych z wbudowanymi sklepami oraz krajowymi markami fast foodu, wzdłuż którego brnęliśmy, albowiem obecnie praktycznie takie same szpalery ciągną się wzdłuż obrzeży wszystkich amerykańskich miast – zdaje się, że w ekonomii nazywa się to monokulturą. Punkt trzeci. Okazało się, że skręt z alei do Centrum Kontroli nie jest obsługiwany przez światła, a przecież mogliśmy naocznie stwierdzić, kiedy już znaleźliśmy się w odległości, z której było to widać, że spory odsetek aut znajdujących się przed nami na pojedynczym pasie SSP także kieruje się, a zatem skręca do RCK, w jego asfaltową drogę wewnętrzną. (Wprawdzie musiało upłynąć diabelnie dużo czasu, nim wyjaśniono mi choćby ten prosty fakt, ale wyglądało to tak, że dwie główne ośmiogodzinne zmiany w RCK w tamtym okresie trwały od 7:10 do 15:00 i od 15:10 do 23:00, co oznaczało olbrzymie natężenie ruchu pojazdów należących do Służby oraz prywatnych pojazdów jej pracowników pomiędzy

godziną 14:00 a 16:00). Zmierzam tym samym do tego, że to w zasadzie właśnie Centrum Kontroli w połączeniu z brakiem świateł oraz nieudaną przebudową SSP⁵¹ przyczyniało się do występowania piekielnego zatoru, albowiem duża liczba pojazdów z równoległej jezdni obsługującej ruch w kierunku północno-wschodnim usiłowała skręcić w lewo, tzn. przeciąć nasz pojedynczy pas, by także dostać się na drogę wewnętrzną RCK, co wiązało się z koniecznością zatrzymania się samochodu znajdującego się na czele naszej kolejki do skrętu w prawo i machnięciem przez jego kierowcę temu z przeciwnego pasa, żeby jechał, co czynili tylko bardzo nieliczni, jako że korki często wyzwalają w ludziach najagresywniejsze, bazujące na „ja-moje” elementy ich konstrukcji i prowadzą do zachowań, które, jak na złośliwą ironię, tylko wzmagają korek, a skoro o tym mowa, to chyba należy tu wspomnieć o zachowaniu, któremu w miarę dopełzania do skrętu prowadzącego na teren RCK świadkowaliśmy z rosnącą częstotliwością. Niektóre prywatne pojazdy⁵² z naszego pasa odbijały na zwirowy „pas awaryjny”, na którym dodawały gazu i wyprzedzały nielegalnie dziesiątki innych pojazdów, co samo w sobie nie byłoby wielkim problemem, gdyby nie fakt, że wraz ze zbliżaniem się skrętu do RCK i zwięzaniem się pasa awaryjnego aż do całkowitego zniknięcia starały się na powrót wmieszać w ruch na jedynym dozwolonym pasie, co wiązało się z koniecznością zatrzymania się przez kogoś z tej kolumny i wpuszczenia ich, co tylko bardziej spowalniało postęp... Tak więc ci samolubni kierowcy spod znaku „ja-moje” w istotny sposób pogarszali korek, który próbowali ominąć; zyskiwali kilka minut ekstra, sprawiając, że korek i opóźnienie stawały się odrobinę większe dla wszystkich innych, tkwiących w drgającej w upale kolejce aut na naszym pasie. Po kilku tygodniach codziennych dojazdów SSP z taniego hotelu dla pracowników Służby⁵³ to samolubne zachowanie na zasadzie „ja-moje” z pasem awaryjnym zaczęło napęłniać mnie takim niesmakiem i jadem, że po dziś dzień pamiętam niektóre pojazdy notorycznie się tego dopuszczające, tj. dopuszczające się tego samego idiotycznego, solipsystycznego zachowania, które skutkuje masowym pędem w miejscach publicznych w sytuacji pożaru

i kończy się tym, że służby po stłumieniu pożaru czy zamieszek znajdują olbrzymie liczby szerniałych, stratowanych ciał przy drzwiach do tych lokali, ciał ludzi, którzy nie mogli się wydostać przez nic innego jak właśnie przez panikę i egoizm, na fali których rzucili się do wyjścia, tarasując je i blokując sobie nawzajem drogę, co kończyło się tym, że wszyscy umierali potworną śmiercią, która – muszę się do tego przyznać – była właśnie tym, czego zacząłem życzyć kierowcom rozmaitych vegasów, chevett, a także pewnego jasnoniebieskiego amc pacera z jedną z tych chrześcijańskich kalkomanii w kształcie rybki na bańce tylnej szyby⁵⁴, który wykonywał ten manewr niemal co rano.

Jeszcze jeden przykład biurokratycznego kretynizmu: jak wspomniałem, plastikowe znaczki wewnątrz pojazdu zabraniały palenia, jedzenia & c., podobnie jak we wszystkich samochodach Służby używanych do przewozu pracowników, zgodnie z wewnętrznymi regulacjami, na które powoływano się w prawym dolnym narożniku każdego znaczka⁵⁵ – tyle że wewnątrz gremlinów było tak ciasne, a plastik, którym je wykładano, tak tandetny i cienki, że nie dało się umieścić tych ośmiocalowych znaków nigdzie indziej niż nad górną krawędzią deski rozdzielczej, gdzie zasłaniały dolną część przedniej szyby, zmuszając naszego kierowcę do przyjęcia wykręconej pozycji, z głową, na której szczycie była tonsura, ułożoną niemal równoległe do prawego obojczyka, tak by mógł widzieć drogę między krawędziami obowiązkowych znaków. To, na ile mogłem stwierdzić, nie mieściło się w żadnych wytycznych, zarówno jeśli idzie o bezpieczeństwo, jak i podstawowy zdrowy rozsądek.

Położone pośrodku rozległej połąci krótko skoszonej bardzo zielonej trawy, ograniczonej po dwóch stronach przez wiatrochrony pół kukurydzy w postaci drzew i splątanych krzewów, Regionalne Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni znajdowało się dobre pięćset jardów od alei, pięćset jardów niewypełnione niczym poza soczyście zieloną i dziwnie pozbawioną dmuchawców trawą, po skoszeniu przypominającą fakturą sukno. Kontrast pomiędzy pańskim splendorem murawy a przysadzistą, instytucjonalną szpetotą właściwego RCK był ostry i osobliwy i było sporo czasu na rozmyślanie nad tym faktem, gdy nasz gremlin pełzł, a gość obok

mnie sącył się na nas obu. Starszy facet po drugiej stronie kanapy miał na jednym palcu coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na zielony napastrzek, a co okazało się gumką do pilnowania linijek, jakich używała większość skorków i które wszyscy nazywali „palcynkami”. Na wielkim bilbordzie 4-H, kawałek za jednokierunkową drogą do RCK, napisano WIOSNĄ, ZADBAJ O BEZPIECZEŃSTWO NA FARMIE!, przy czym moja wiedza, że jest to bilbord 4-H, brała się stąd, że każdego roku w okresie marzec–maj taki sam ustawiano tuż za fabryką kawy rozpuszczalnej przy drodze stanowej 130 na zachód od Philo⁵⁶. Stanowe 4-H prowadziło sprzedaż ciastek i myło ludziom samochody, by finansować te bilbordy (z nieprawidłowym użyciem przecinka, *sic*), które w roku 1985 były już tak wszechobecne, że nikt nie zwracał na nie uwagi⁵⁷.

Pamiętam także, że sam musiałem wyciągać i przekręcać szyję w dziwaczny sposób, żeby móc przyjrzeć się rozmaitym detalom Centrum Kontroli zza przeszkód, jakimi były przepisowe oznaczenia wewnątrz samochodu. Z tej odległości i w takim zestawieniu perspektyw RCK z początku wydawało się jednym ogromnym prostopadłościennym budynkiem ze zwróconą ku nam⁵⁸ gigantyczną i jednolitą ścianą z oliwkowego czy beżowego cementu, a także odrobiną dachu przyległego budynku widzianego w skróconej perspektywie zza drogi dojazdowej, która ciągnęła się szerokim, jednokierunkowym łukiem wokół tyłów budynku, które to tyły okazały się jednak frontem RCK, z jego olbrzymią, emanującą godnością własną fasadą. Skutkiem podobnego zniekształcenia wizji to, co z daleka wyglądało na prawdziwą okalającą „drogę” biegnącą od alei do RCK i naokoło niego, okazało się czymś bardziej na podobieństwo bezkształtnej wiejskiej uliczki czy podjazdu, wąskiej i wysoko nasypanej, z głębokimi rowami melioracyjnymi po obu stronach i wyposażonej w diabelskie progi zwalniające, rozstawione w tak niewielkich odstępach, że jazda z prędkością większą niż jakieś pięć mil na godzinę była niemożliwa; widać było, że siedzący w pojazdach poruszających się szybciej przy kontakcie z progami, z których każdy wystawał ponad osiem cali nad nawierzchnię, latali miotani po wnętrzach samochodów niczym szmaciane lalki. Kilkaset jardów dalej od SSP zaczynały się skromnych rozmiarów parkingi,

rozchodzące się we wszystkich kierunkach od drogi dojazdowej, trochę jak oszlifowane kamienie w bransoletce czy diademie⁵⁹.

Z naszej perspektywy nie widać było żadnych oznak, które sugerowałyby, że miejsce to jest budynkiem IRS czy choćby budynkiem rządowym (co, znowuż, połowicznie tłumaczył fakt, że to, co z Self-Storage prezentowało się jako front RCK, było w rzeczywistości jego tyłem i to tyłem wyłącznie jednego z dwóch osobnych budynków). Wszelkie oznaczenia ograniczały się do dwu drewnianych strzałek kierunkowych – WJAZD; WYJAZD – przy dwóch skrzyżowaniach półkola drogi z SSP. Pierwszy z tych znaków zawierał także adres, będący adresem ulicy (choć nie adresem korespondencyjnym), przy której stał budynek IRS. Zważywszy na okrągły przebieg drogi dojazdowej, wyjazd znajdował się o jakieś tysiąc jardów dalej aleją w kierunku zachodnim, niemalże w cieniu bilbordu BEZPIECZEŃSTWO NA FARMIE. Słyszałem, jak facet obok mnie oddycha gwałtownie, prawie jakby zaczął się hiperwentylować; żaden z nas nie spojrział jawnie na drugiego choćby raz. Zauważyłem, że tylko część drogi dojazdowej za napisem WJAZD ma przyległe parkingi; odległa część przy WYJEŹDZIE, ciągnąca się od tyłów (tzn. jak się później okazało – od frontów dwóch osobnych budynków) RCK, była jednokierunkowym torem prowadzącym z powrotem na Self-Storage Parkway, przy wyjeździe z którego nie było jakiegokolwiek sygnalizacji świetlnej czy sygnału kierunkowego, a ich brak oznaczał dalsze blokady i opóźnienia dla pracowników kierujących się do wjazdu na teren RCK od zachodu.

Jak być może już wspominałem lub nie wspominałem, było już dobrze po wybitym na moim formularzu 141-PO obowiązkowym czasie stawienia się na miejscu, czyli 13:40. Temu faktowi towarzyszyły pewne oczywiste i zrozumiałe emocje, zwłaszcza że (a) 0,00 procent tego spóźnienia było moją winą, a także (b) im bliżej byliśmy RCK, tym wolniejszy stawał się nasz postęp. Żeby oderwać myśli od tych faktów i emocji, zacząłem układać listę logicznych absurdów, które się objawiły, gdy tylko pojazd Służby zbliżył się do skrzyżowania na drogę dojazdową do RCK na tyle, by stała się widoczna przez moją niezastłoniętą niczym boczną szybę. Niżej wymienione to skondensowana wersja niespotykanie długiego, bujnego,

obywającego się bez znaków przestankowych wpisu w notatniku⁶⁰, powstałego przynajmniej w części na pokładzie gremlina. Mianowicie:

Poza skręcającymi w lewo z drugiej jezdni i obmierzłymi kierowcami spod znaku „ja-moje”, usiłującymi wbić się znowu do kolumny z pasa awaryjnego, główną przyczyną nieznośnie ślamazarnego tempa, w jakim nasza kolumna aut na jezdni Self-Storage dla ruchu w kierunku zachodnim na południowym krańcu miasta pełzła cal po calu, by móc skręcić w prawo na drogę wewnętrzną Centrum Kontroli, był, jak się okazało, jeszcze gorszy, jeszcze bardziej zaparty i porażony paraliżem korek na tejże drodze wewnętrznej. Powodem tego był w głównej mierze fakt, że dopięte do tej drogi dojazdowej parkingi były już dosyć pełne, a im dalej dany parking znajdował się wzdłuż osi drogi dojazdowej, tym był pełniejszy, rojący się także od pojazdów pracowników IRS, krążących w poszukiwaniu wolnego miejsca postojowego. Zważywszy na ekstremalny upał i wilgotność, najbardziej pożądanymi parkingami były, rzecz jasna, te znajdujące się tuż za⁶¹ głównym budynkiem, o niecałych sto jardów od głównego wejścia do RCK. Pracownicy parkujący na bardziej peryferyjnych miejscach byli zmuszeni wędrować wąską drogą dojazdową z rowami melioracyjnymi po obu stronach dookoła tyłów⁶² do tego głównego wejścia, czego skutkiem było masowe chwiejne stąpanie przy niewybrukowanej krawędzi drogi dojazdowej, a do tego od czasu do czasu ktoś się zataczał, ktoś wymachiwał rękami; i widzieliśmy przynajmniej jednego pracownika, jak ześlizguje się i wykonuje gwiazdę w dół skarpy rowu melioracyjnego przy drodze, skąd musiało go ręcznie wydobywać dwóch czy trzech innych, z których każdy przytrzymał sobie na głowie kapelusz jedną ręką, tak że potem uwolniony pracownik miał olbrzymi zielony ślad po wtartej trawie na całej długości jednej nogawki i na marynarce i powłóczył najwyraźniej kontuzjowaną nogą, gdy on i jego towarzysze znikali nam z pola widzenia na zakręcie drogi⁶³. Cały problem był tyleż oczywisty, co głupi. Jeśli wziąć pod uwagę upał, zamieszanie i jak najbardziej realne niebezpieczeństwo towarzyszące przemieszczaniu się pieszo wzdłuż dojazdu, było

rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że większość pojazdów pracowników zdawała się unikać tych bliższych (to jest położonych bliżej nas w tamtej chwili, a zatem dalej od samego RCK) parkingów i kierować się w stronę znacznie bardziej pożądaných parkingów zlokalizowanych na tyłach budynku, parkingów, które okazały się najbliższymi głównego wejścia do RCK, oddzielone od niego tylko szerokim, wybrukowanym i łatwym do pokonania pieszo placem. Ale jeśli te najlepsze parkingi okazywały się pełne (co – biorąc pod uwagę ludzką naturę i wyżej wymienione korzyści – było bardzo prawdopodobne; najatrakcyjniejsze parkingi to oczywiście także te najbardziej tłoczne), wówczas samochody, które do nich zmierzały, nie mogły się cofnąć drogą, którą przyjechały, żeby poprzestać na dostępnych miejscach na coraz bardziej odległych i mniej atrakcyjnych parkingach, które minęły w drodze na te najlepsze – ponieważ, rzecz jasna, droga dojazdowa była drogą jednokierunkową⁶⁴ na całej długości jej łuku, tak że pojazdy, którym nie udało się znaleźć miejsca na najlepszych parkingach, musiały posuwać się dalej naprzód, oddalając się od RCK w kierunku znaku WYJAZD, z tego miejsca wykonać skręt w lewo na jezdnię Self-Storage z ruchem w kierunku powrotnym bez asysty sygnalizacji świetlnej, przejechać kilkaset jardów w kierunku wschodnim z powrotem do wjazdu na teren RCK ze znakiem WJAZD, po czym próbować skrócić w lewo (w poprzek jezdni z ruchem płynącym z prawej, co oczywiście jeszcze bardziej spowalniało postęp na naszym obsługującym tenże cierpiętniczy ruch na zachód pasie), z powrotem na drogę dojazdową, żeby zajechać na któryś z mniej pożądaných parkingów bliżej alei, skąd następnie kierowca wyruszał gęsiego w pochodzie pieszych stąpających niepewnie wzdłuż krawędzi dojazdu ku głównemu wejściu za zakrętem na tyłach.

Krótko mówiąc, cała rzecz sprawiała wrażenie fenomenalnie wręcz złego planowania, skutkującego karygodną nieefektywnością, marnotrawstwem oraz frustracją u wszystkich zainteresowanych⁶⁵. Same nasuwały się trzy oczywiste działania naprawcze, które naszkicowałem w ogólnej formie w notatniku, aczkolwiek o tym, czy zanotowałem je tam *in situ*, podczas nieznośnego syzyfowego *stasis* spod znaku „tak blisko, a tak daleko”, czy zapisałem je później tego samego dnia – który przyniósł mnóstwo przestojów, gdy nie

miałem nic do roboty poza czytaniem obmierzłej książki, na której marginesach jeszcze w autobusie zacząłem kreślić ponuro sarkastyczne uwagi – nie podejmuję się orzekać. Jednym ze środków zaradczych byłoby wprowadzenie jakiejś formy parkowania zastrzeżonego, która eliminowałaby sporą część problemu z nagromadzeniem aut i zakorkowaniem drogi, wynikającym z prób wyhaczenia przez kierowców wolnych miejsc na parkingach, a z nimi „czynnik motywacyjny”, który kazał pracownikom ustawiać się w kolejce do najbardziej atrakcyjnych dwóch czy trzech parkingów blisko centralnego wejścia do RCK (którego, rzecz jasna, nie widzieliśmy jeszcze z Self-Storage Parkway; umiejscowienie wejścia dawało się wydedukować na podstawie postrzeganej atrakcyjności parkingów za [z naszej perspektywy] budynkiem, szacowanej na podstawie odnotowanej liczby samochodów tam się kierujących, jednoznacznie wskazującej na jakąś formę konkretnej motywacji. Siedzący obok mnie pracownik, którego widziałem kątem oka, wyglądał teraz tak, jakby wydobyto go za pomocą jakiejś maszyny ze zbiornika wodnego, wobec czego udawanie, że nie dostrzegam, jak niewiarygodnie się poci, robiło się jeszcze bardziej nienormalne i zyskiwało dalsze cechy farsy). Innym środkiem uśmierzającym byłoby oczywiście poszerzenie drogi dojazdowej i wprowadzenie na niej ruchu dwukierunkowego. Co prawda, naraziłoby to RCK na pewne dodatkowe krótkoterminowe niewygody i korki, z grubsza na wzór tych towarzyszących poszerzaniu Self-Storage Parkway, chociaż trudno było sobie wyobrazić, by poszerzanie drogi dojazdowej mogło potrwać choćby w przybliżeniu tak długo, jako że nie byłoby przedmiotem opóźnień i spornych interesów towarzyszących procesowi demokratycznemu. Trzecim remedium byłoby poświęcenie – dla większego dobra i wygody wszystkich poza być może firmą, której RCK zlecało utrzymanie krajobrazu – żywozielonej połaci pustej frontowej (tzn., jak się później okazało, położonej na tyłach) murawy i umieszczenie na niej nie tylko chodnika, ale może prawdziwej drogi, która pozwoliłaby samochodom z części dojazdu przy WYJEŹDZIE dostać się na powrót do części przy WJEŹDZIE bez konieczności wykonywania nieobsługiwanych przez sygnalizację świetlną skrętów w lewo, by dostać się na, a następnie zjechać z zakorkowanej alei.

Nie wspominając już, rzecz jasna, o zwyczajnym umieszczeniu jakiegoś cholernego sygnalizatora na tych dwóch skrzyżowaniach, bo też z niemożliwością graniczyłoby wyobrażenie sobie, by Izba Rozliczeń Skarbowych nie miała wystarczających dojsć we władzach miejskich i stanowych, by zażądać czegokolwiek, kiedykolwiek przysłaby jej ochota⁶⁶. I nie wspominając też o najzwyczajniejszej w świecie osobliwości faktu, że to (jak się okazało) swój olbrzymi tył RCK prezentuje głównej orbitalnej arterii Peorii. Gdy tak zbliżaliśmy się do niego z wolna, sprawiało wrażenie czegoś jednocześnie tchórzliwego i aroganckiego, na podobieństwo przednowożytnych kapłanów, którzy podczas katolickiej mszy odwracali się plecami do zgromadzonych w kościele wiernych. Wszystkie względy, począwszy od logistyki po elementarne zasady wychowania obywatelskiego, wydawały się dyktować konieczność usytuowania placówki rządowej o dużym znaczeniu w taki sposób, by była zwrócona frontem do społeczeństwa, któremu służy. (Pamiętajcie, że wtedy nie widziałem jeszcze stylizowanej frontowej fasady RCK, takiej samej jak te na pozostałych sześciu RCK na terenie kraju, którą ułożono po tym, jak po reformach IRS, wymuszonych raportem Komisji Kinga, zaczął prawnie obowiązywać dokument zwiększający środki w budżecie na inwestycje budowlane i technologiczne, z niewychwyconym w porę błędem drukarskim, który to błąd zobowiązywał Regionalne Centra Obsługi i Kontroli do utrzymania „określonych szczegółów formularzy przedstawionych na fasadach” zamiast „określonych szczegółów *form* przedstawionych na fasadach” w duchu „jak najbardziej zbliżonym do określonych zadań wykonywanych przez centra⁶⁷).

Co do naszego właściwego fizycznego przybycia pod główne wejście centrum tego pierwszego dnia, za podsumowanie niech posłuży tu stwierdzenie, że widząc własne imię i nazwisko wypisane drukiem na tabliczce trzymanej przez kogoś w górze pośród ciżby, jaka panuje w punkcie wysiadki pasażerów, odczuwa się pewien niemożliwy do opisu dreszczyk. Przypuszczam, że w jakiejś mierze chodzi tu o to, że człowiek czuje się specjalnie wyróżniony i – by użyć iście biurokratycznego terminu – uprawomocniony. Specjalna tabliczka z moim imieniem i nazwiskiem, trzymana w górze przez atrakcyjną, emanującą aurą oficjalności kobietę

w jasnoniebieskiej marynarce, była także, co zrozumiałe, po wszystkich upokorzeniach i poniżających potyczkach, i wynikłym z nich spóźnieniu, czymś niespodziewanym, choć nie na tyle, by od kogokolwiek, kto by ją zobaczył, żądać, by natychmiast dopatrywał się w niej bezpośredniego dowodu na jakąś pomyłkę czy nieporozumienie – w grę wchodziła przecież wspomniana sprawa nepotystycznych chodów oraz listu w mojej teczce.

Wtedy także okazało się, że pozorny tył RCK jest tak naprawdę jego frontem oraz że dwa ortogonalne budynki Centrum nie stanowią nieprzedzielonej całości, jak i że fasadę głównego budynku stylizowano na jakąś dziwną i na swój sposób złowrogą modłę, tak że człowiek gotów był przyznać, iż może jednak roztropnie postąpiono, nie dopuściwszy, by wychodziła naprzeciw czy też groziła ruchliwej drodze publicznej kawałek na południe od niej. Nawet gdy nie panował tu chaos i nie kłębił się tłum, cały ogromny teren przed głównym wejściem przyrządzał o dezorientację skomplikowanym sposobem, w jaki go urządzone. Były tam flagi, znaki w jakichś kodach, strzałki kierunkowe, a także swego rodzaju rozległy betonowy plac z czymś, co wyglądało, jakby kiedyś było fontanną, ale nie tryskała z tego woda⁶⁸. Kwadratowy cień głównego budynku rozciągał się w poprzek placu, sięgając niemal dwóch wysoce pożądanym parkingów naprzeciwko, z których żaden nie był szczególnie obszerny. I oto stałem przed wymyślną i oczywiście kosztowną fasadą RCK, która u dołu zaczynała się tuż nad głównym wejściem, sięgając połowy czwartego – jak mi się wydawało – piętra; było to jakby kafelkowe czy mozaikowe wyobrażenie pustego formularza IRS 1040 na rok 1978, obu jego stron, wraz z wszelkimi szczegółami aż po lukę w linijce 31. *verso*, służącą do wpisania obliczonego „dochodu brutto”, oraz końcowe pole linijki 66. *recto* na „**saldo należne**”, które to pole stwarzało takie wrażenie, wraz z krociami innych pól i luk oraz kwadracików, jakby pełniło funkcję okna. Szczegółowość odwzorowania była uderzająca, kremowy, łososiowy i celadonowy offsetowy druk były zaś realistyczne, nawet jeśli odrobinę nieaktualne⁶⁹. Do tego, żeby przydać całej rzeczy jeszcze bardziej przytłaczającego / dezorientującego wyrazu, widziany z kolistej bocznicą odchodzącej od drogi dojazdowej, do której pojazdy Służby mogły zawijać

i wysadzać pasażerów bez konieczności parkowania (który to manewr wymagałby pojechania aż do wyjazdu i przebycia całej drogi z powrotem do wjazdu, parkingi na wprost wejścia, po drugiej stronie placu, były bowiem całkowicie wypełnione, a nawet stało na nich kilka samochodów ekstra, pozostawionych w zakazanych miejscach w narożnikach, co uniemożliwiało innym pojazdom wycofanie się z zajmowanych przez siebie miejsc i opuszczenie parkingu), gigantyczny formularz 1040, którego proporcje odwzorowano realistycznie w skali, tak że mierzył nieco więcej na długość niż na szerokość, miał po obu swoich odległych bokach okrągłe tłoczenie drukiem wklęsłym czy glif przedstawiający jakąś walkę z chimerą oraz łacińską sentencję, nie do odcyfrowania w głębokim cieniu, jaki padał z prawej strony, które okazały się oficjalną pieczęcią i mottem Służby (o których nie poinformowano mnie w moich materiałach dołączonych do kontraktu [które, jak wspomniano, były enigmatyczne, a zarazem ich poetyka sprawiała, że brzmiały surowo albo jak przynaglanie, co w moim przypadku nie służyło praktycznie niczemu poza wywoływaniem u mnie niepokoju, gdy siedząc w pustym salonie domu rodzinnego, starałem się analizować ich znaczenie]). Tytułem jeszcze jednego szczegółowego opisu: cały złożony zespół fasady przeglądał się – jakkolwiek w ukośnej i bocznie skróconej perspektywie, co powodowało, że znajdujące się z boku glif i motto wydawały się bliższe niż w rzeczywistości – w kiczowato lustrzanej elewacji bocznej ściany drugiego budynku RCK, alias „Aneksu RCK”, który położony był niemal idealnie prostopadle do głównej fasady i łączył się z zachodnim końcem głównej bryły na wysokości dwóch pięter za pośrednictwem czegoś, co w tamtej chwili jawiło mi się jako dwie wielkie zielone rury podtrzymywane przez oślepiające (albowiem nieobjęte cieniem głównego budynku) gęstwiny smukłych tyczek ze stali anodyzowanej lub nierdzewnej, dziwaczne metalowe podpory, przywodzące na myśl krocionogi, gdy patrzyło się pod tym kątem, i odbijające się w postaci drobnych oślepiających ukośnych pasków w brzegach lustrzanej elewacji Aneksu.

Pamiętam, że dostrzegłem, że jeden czy dwa z tych lustrzanych paneli były jednak potłuczone lub pęknięte⁷⁰.

(Przy okazji proszę, byście wzięli pod uwagę, że tego pierwszego dnia nie miałem pojęcia o historii czy logistyce założenia architektonicznego budowli RCK; staram się pozostać wierny temu, jak zapamiętałem to przeżycie, jakkolwiek nie da się uniknąć opisu pewnych jego elementów jeden po drugim, mimo że występowały, rzecz jasna, jednocześnie – pewne zniekształcenia są po prostu na dobre i na złe przypisane linearnemu porządkowi angielszczyzny).

Odnosnie do pierwiastka ludzkiego: rozległa cementowa połać wokół głównego wejścia, gdy zobaczyliśmy ją po raz pierwszy zza masy innych brązowych i pomarańczowych / żółtych pojazdów Służby wypływających pasażerów, buzowała olbrzymim rojowiskiem pracowników Służby, kotłujących się, trzymających 141-PO w charakterystycznych burożółtych kopertach używanych przez Służbę, z bagażami i aktówkami oraz harmonijkowymi teczkami, wielu w kapeluszach, a wśród nich byli też rozmaici przedstawiciele personelu RCK czy może pomocniczego personelu siedziby regionalnej, w niebieskich marynarkach, z podkładkami do pisania i plikami wydruków, które zwinęli w prowizoryczne megafony, do których mówili, podnosząc podkładki w powietrze dla zwrócenia uwagi, najwyraźniej starając się zgromadzić nowo przybyłych z podobnymi stanowiskami wpisanymi w 141-PO oraz na podobnym szczeblu tabeli służby cywilnej w spójnych grupach przed procedurą „przyjęcia dedykowanego” przy różnych „Stanowiskach Przyjęć” rozstawionych na obwodzie głównego holu RCK, który to hol, widziany przez szklane drzwi wejściowe, był zaskakująco mały i tandetny, pełen wszelkiej maści zdezelowanych składanych stolików z ustawionymi na nich nieudolnie wykonanymi tabliczkami informacyjnymi w postaci namiotów złożonych na pół szarych kopert; całość sprawiała wrażenie zaimprovizowanej na chybcika i chaotycznej i można się było domyślać, że najpewniej transfery nowo zatrudnionych / przeniesionych pracowników do RCK nie zdarzały się znowu tak często, bo w przeciwnym razie system wysiadania i rejestracji wyglądałby na dużo bardziej systematyczny i o wiele płynniejszy, a mniej przypominałby rekonstrukcję upadku Sajgonu w mikroskali. Chociaż zaznaczam – to wszystko było postrzegane i przetwarzane jedynie na zasadzie zniekształconej migawki z momentu, gdy gremlin nareszcie

wyswobodził się z korka na drodze dojazdowej i zatrzymał się w niemalże mroźnym powietrzu w cieniu budynku, by zaparkować na drugiego na półkolistej bocznicy tuż przed wejściem⁷¹ – ponieważ, jak wspomniano, uwaga osoby ulega mniej więcej automatycznemu przyciągnięciu do tabliczki z jej imieniem i nazwiskiem, zwłaszcza gdy ta zdaje się jedną z dwóch imiennych tabliczek trzymanyh w całym tym oszalałym biurokratycznym wirze przed głównym wejściem, niemal natychmiast zatem dostrzegłem kobietę będącą przedstawicielką mniejszości etnicznej, w jaskrawej marynarce, stojącą kilka kroków na prawo od najbardziej na prawo stojącej grupy nowo przybyłych, stłoczonej wokół mężczyzny z uniesioną podkładką i papierową tubą⁷², która to kobieta stała nieco z boku i może jakieś dziesięć stóp dokładnie pod luką na formularzu fasady na wpisanie dochodu brutto w linii 31., pod ścianą, trzymając w uniesionej dłoni kawałek białej tektury albo niewielką sucho ścieralną tablicę z imieniem i nazwiskiem DAVID WALLACE napisanym starannymi dużymi literami. Stała w sposób, który, mimo że się nie garbiła, nasuwał myśli o zmęczeniu i znudzeniu, z nogami wysuniętymi przed siebie i plecami podtrzymywanymi przez ścianę na całej długości, patrzyła prosto przed siebie, trzymając tabliczkę na wysokości piersi, wpatrując się w przestrzeń wzrokiem, który nie wyrażał ani zainteresowania, ani rezygnacji. Oczywiście byłem, jak wspominałem, nie z własnej winy okropnie spóźniony, a niepokój tym wywołany pomieszał się z nieuniknioną ekscytacją na widok własnego nazwiska na tabliczce, już nie mówiąc o tym, że tabliczkę trzymała kobieta o egzotycznej urodzie, no i był jeszcze cały zestaw ozymandiańskich, rozpiętych między respektem a zdumieniem wobec obłędu, reakcji na monumentalną mozaikę formularza 1040, któremu wtórował samorzutnie udzielający się chaos tłumów przed wejściem, co dało coś w rodzaju sensorycznego i emocjonalnego skoku napięcia, który pamiętam teraz znacznie wyraźniej niż którekolwiek z niezliczonych szczegółów i wrażeń (których były tysiące, jeśli nie miliony, a wszystkie oczywiście atakowały mnie jednocześnie) z momentu przybycia. Bo też wyraźnie należała do mniejszości etnicznej, nawet w głębokim cieniu u podstawy fasady z elementami oślepiających odbłasków pochodzącymi z lustrzanej elewacji Aneksu, która

miejskami chwytala światło, w miarę jak słońce przesuwalo się na południe / południowy zachód. W pierwszej chwili strzelałem, że to Hinduska z wyzszej kasty albo Pakistanka – jednym z moich współlokatorów na pierwszym roku był bogaty Pakistańczyk z bajecznie gruchajaco śpiewnym akcentem, chociaż w ciągu roku dał się poznać jako niewiarygodny narcyz i chujek⁷³. Widziana z miejsca, w którym wypluł nas gremlin, była bardziej zjawiskowa niż ładna, czy też można by ją określić mianem ładnej na nieco męski sposób, z ostrymi rysami twarzy, bardzo ciemnymi włosami i szeroko osadzonymi oczami, których spojrzenie było, jak już wspomniano, spojrzeniem kogoś „na służbie”, która nie polega na niczym poza staniem w danym miejscu. Był to ten sam wyraz twarzy, który spotyka się u ochroniarzy, pracowników bibliotek uniwersyteckich w piątkowy wieczór, parkingowych, operatorów silosów zbożowych & c. – stała tam, wpatrując się w dalszy plan, jakby spoglądała z końca molo.

Dopiero po wyjściu z ciasnego gremlina, kiedy chłodne powietrze ocienionej fasadą frontowego placu dotknęło i przeniknęło zimnem mój garnitur, zdałem sobie sprawę, że cała jego lewa strona jest mokra od wszechobecnego potu młodego człowieka, obok którego siedziałem upchnięty przez całą jazdę, ale kiedy rozejrzałem się dookoła, szukając go wzrokiem, żeby móc wskazać na pociemniały sztruks i posłać mu odpowiednie spojrzenie komunikujące niesmak, nie mogłem go nigdzie wypatrzyć.

Wyraz twarzy pani F. Chahli Neti-Neti (jak informował jej identyfikator) zmienił się, a właściwie zmieniał się kilkakrotnie, gdy szedłem w jej stronę z bagażami, utrzymując kontakt wzrokowy, którego intensywność byłaby niestosowna, gdyby nie to, że trzymała tabliczkę z moim nazwiskiem. W tym miejscu, jeśli jeszcze tego nie zrobiłem, powinienem wyjaśnić, że w tamtym okresie, który był, ogólnie rzecz biorąc, późnym wiekiem dojrzewania, miałem bardzo poważne problemy z cerą – bardzo, bardzo poważne, mieszczące się w kategorii dermatologicznej „ciężkie / szpecące”⁷⁴. Spotykając mnie po raz pierwszy, większość ludzi albo (a) patrzyła przez moment na moją twarz, po czym odwracała wzrok, albo (b) sprawiała wrażenie mimo woli wstrząśniętych czy też współczujących, albo zdjętych odrazą, po czym widać było, że

walczą ze sobą, by na tę minę nałożyć inną, której widok miał informować, że albo nie widzą paskudnej cery, albo nieszczególnie ich ona rusza. Cała ta kwestia cery to długa historia i w znacznej mierze rzecz niewarta wzmianki, może poza podkreśleniem, że do tamtego czasu zdążyłem się mniej więcej pogodzić ze stanem mojej skóry i niespecjalnie mnie już on zajmował, chociaż na pewno utrudniał nawet nie bardzo precyzyjne golenie i byłem zwykle mocno wyczulony na to, czy stoję w pełnym świetle, a jeśli tak było, to pod jakim kątem światło pada, ponieważ pewne typy światła sprawiały, że problem wyglądał naprawdę bardzo, bardzo źle – to było dla mnie pewne. Nie zapamiętałem z tego pierwszego spotkania, czy pani Neti-Neti okazała się (a) czy (b)⁷⁵, być może dlatego, że moja uwaga / pamięć była zajęta identyfikatorem Służby przypiętym do jej marynarki na wysokości kieszeni na piersi, na którym jej zdjęcie *en face* wyglądało, jakby zrobiono je w bardzo jasnym, sprawiającym niemal wrażenie blasku magnezowej lampy błyskowej świetle, i pamiętam, jak kalkulowałem, co okropne światło tego rodzaju fotografii robi ze mną, jeśli chodzi o pęcherzowate cysty i strupy na mojej twarzy, skoro sprawiło, że karnacja tej kremowociemnej perskiej kobiety wyszła ciemnoszaro, a do tego przerysowało szerokie rozstawienie jej oczu tak, że na zdjęciu z identyfikatora wyglądała prawie jak puma czy jakiś inny dziwny kotowaty drapieznik; a poza tym odznaka pokazywała jej pierwszy inicjał i nazwisko, szczebel w tabeli płac służby cywilnej, informację o przynależności do Działu Kadr, a także ciąg dziewięciu cyfr, który – miałem uświadomić to sobie dopiero później – był jej specjalnie wygenerowanym numerem US, który pełni również funkcję numeru identyfikacyjnego Służby.

Powód, dla którego w ogóle poświęciłem czas tej historii reakcji (a) i (b), jest taki, że to jedyny sposób, w jaki można było sobie tłumaczyć fakt tak werbalnie wylewnego i pełnego uwagi powitania ze strony pani Neti-Neti – „Pana reputacja kroczy przed panem”; „W imieniu panów Glendenniga i Tate’a pragnę zaznaczyć, jak niezmiernie jesteśmy radzi, że zechciał pan przyjąć tę posadę” – za którym nie szedł choćby ślad podobnego entuzjazmu w jej oczach i twarzy czy choćby wyraz zainteresowania mną bądź powodem, dla którego przyjeżdżam tak spóźniony, zmuszając ją do wystawiania

z tą tabliczką Bóg jeden wie jak długo, podczas gdy ja osobiście chętnie usłyszałbym jakieś wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Nie mówiąc już o tym, że całą lewą stronę garnituru miałem moką, co mógłbym skomentować w jakiś sposób wyrażający troskę, np. czy osoba obok mnie wpadła w kałużę, czy co? Krótko mówiąc, było czymś zaskakującym zostać przywitany w tak entuzjastycznych słowach, ale podwójnie zaskakujące było, gdy osoba recytująca te słowa wykazywała ten sam rodzaj obojętności, jaki spotykamy, powiedzmy, u kasjerki w supermarkecie, która wypowiada słowa „Życzę miłego dnia”, jej wyraz twarzy natomiast świadczy o tym, że jest jej zupełnie obojętne, czy padniecie martwi na parkingu dziesięć sekund później. I cały ten podwójnie dezorientujący, pozbawiony emocji monolog kobieta wygłaszała, prowadząc mnie pod polami na dane „Usługodawcy przygotowującego zeznanie” u dołu strony *recto* formularza 1040 w kierunku mniejszych, znacznie mniej ostentacyjnych drzwi jakieś sto jardów na zachód wzdłuż kafelkowej fasady RCK⁷⁶. Z tej bliskiej odległości dało się zaobserwować, że niektóre z płytek fasady są wyszczerbione i / lub poplamione. Widzieliśmy także różne zniekształcone fragmenty naszych odbić w fasadzie budynku Aneksu bezpośrednio przed nami (tj. na wschodzie), jakkolwiek była ona odległa o kilkaset jardów i fragmentaryczne odbicia były bardzo drobne i niewyraźne.

Pani Neti-Neti świergotała przez niemal całą drogę wzdłuż fasady. Nie muszę chyba mówić, że trudno było mi zrozumieć całą tę uwagę i (słowną) uwagę poświęcaną komuś z 9. szeregiem, komu prawdopodobnie przypadnie w udziale otwieranie kopert albo przekładanie stosów nieokreślonych dokumentów z jednego miejsca na drugie lub coś w tym rodzaju. Początkowo powziąłem przypuszczenie, że ten niewymieniony z nazwiska krewny, który pomógł mi się tu dostać i tym samym odroczyć działanie mechanizmów egzekucji objętego gwarancją kredytu studenckiego, miał dużo większe chody w instytucji niż pierwotnie sądziłem. Chociaż, oczywiście, gdy tak się starałem kuśtykać z objającą się o mnie walizką w ślad za etnicznie odmienną babką w cieniu tyłów / frontu budynku, to gadanie o mojej „reputacj[i] kroc[ącej]” przede mną wzbudzało mój niepokój, zważywszy na pewne

irracjonalne obawy, którym poświęciłem więcej uwagi, niż na to zasługują, o których mowa kawałek wyżej.

Teraz staje się jasne, że mógłbym poświęcić olbrzymi kawał waszego i mojego czasu na opis tego przyjazdu oraz pęczniejącego stosu nieporozumień, pomyłek w komunikacji i ogólnych wtop (z których co najmniej jedna była moja – patrz: pozostawienie jednej z moich walizek w poczekalni biura Kadr RCK, z czego zdałem sobie sprawę dopiero w autokarze wiozącym mnie z RCK do kompleksu mieszkaniowego Zakątek Wędkarza, gdzie znajdowała się przydzielona mi przez RCK kwatery^{ZZ}) towarzyszących temu pierwszemu dniu na placówce, przy czym skutki w niektórych przypadkach usuwano jeszcze kilka tygodni później. Ale z tych tylko nieliczne są istotne dla opowiadania. Jest osobliwą cechą rzeczywistej ludzkiej pamięci, że znaczna część żywego, opartego o detale pamiętania nie dotyczy rzeczy najbardziej istotnych. Tego, nazwijmy to tak, lasu. Nie chodzi tylko o to, że pamięć jest fragmentaryczna; myślę, że to wynika także stąd, że ogólna istotność i znaczenie mają charakter pojęciowy, okruchy doświadczenia, które zostają zamknięte w szufladach i potem najłatwiej je wydobyć, mają zaś raczej charakter sensoryczny. Koniec końców, żyjemy w ciałach. Losowo wybrane przykłady pamięciowych urywków: długie i pozbawione okien hole, uczucie palenia w przedramionach, gdy już muszę na chwilę postawić walizki na ziemi. Charakterystyczny odgłos i kadencja obcasów pani Neti-Neti na posadzkach korytarzy, zrobionych z jasnobrązowego linoleum pokrytego woskiem, który wydziela ostrą woń w nieruchomym powietrzu i odbija nieskończoną serię nawiasowatych łuków pozostawionych przez froterkę wysokoobrotową, którą woźny jeździł od ściany do ściany nocą w pustym korytarzu. Samo miejsce było labiryntem korytarzy, klatek schodowych i drzwi ewakuacyjnych z zakodowanymi oznaczeniami. Wiele korytarzy sprawiało wrażenie bardziej zakrzywionych niż prostych, co, jak pamiętam, przypisałem złudzeniu perspektywy; w elewacji RCK nie było nic okrągłego czy kapsułowego. Podsumowując, wewnątrz było zbyt przytłaczająco złożone i powtarzalne, by dało się opisać w jakichkolwiek szczegółach pierwsze wrażenie z przebywania w nim. Nie wspominając o dezorientacji – na przykład wiem, że nasz pierwszy

punkt docelowy po przybyciu znajdował się jeden poziom poniżej głównego wejścia i holu. Wiem o tym po fakcie, ponieważ tam znajdowało się biuro Działu Kadr, do którego zgodnie z poleceniem miała mnie zaprowadzić pani Neti-Neti bezpośrednio, pomijając punkty rejestracji... Ale zachowałem też wspomnienie, które wydaje się wyraźne i doświadczone zmysłowo, że w pewnym momencie *wspinam się* przynajmniej jednym krótkim ciągiem schodów, bo też właśnie w trakcie tej wspinaczki bagaż w postaci tamtej walizki najboleśniej obijał mi się o zewnętrzną część kolana, którego opuchliznę i wielobarwne posiniaczenie nieomal miałem przed oczami. Z drugiej strony nie uważam wcale za wykluczone, że myślę kolejność poszczególnych przemierzanych przez nas części RCK.

Wiem na pewno, że w pewnym momencie sama pani Neti-Neti najwyraźniej się pomyliła czy zapomniała i wybrała niewłaściwe wejście, tak że w klinie światła, zanim zdołała na powrót zamknąć ciężkie drzwi, mignął mi widok długiego pomieszczenia pełnego kontrolerów IRS, siedzących w długich rzędach i ciągach dziwnie wyglądających stolików czy biurka, na których (biurkach) piętrzyły się kolumny tac czy płaskich koszów, przytwierdzone u podstawy obejmą do blatów⁷⁸, z lampkami na giętkich wysięgnikach, które z kolei przytwierdzono pod kątem do tych otaczających biurko na kształt wachlarza kolumn, tak że każdy z kontrolerów IRS pracował w niewielkim, ciasnym kręgu światła, w czymś, co przypominało dno dziury o jednym wylocie. Rząd za rzędem, ciągnące się w stronę jakiegoś punktu zbiegu w okolicach tylnej ściany, w której wycięto drugie drzwi. To, jakkolwiek nie wiedziałem tego wtedy, był mój pierwszy rzut oka na Pawilon Pogłębianych, których budynek RCK liczył kilka. Najbardziej uderzająca była w nim cisza. Było tam co najmniej sto pięćdziesięcioro mężczyzn i / lub kobiet, co do jednego intensywnie pochłoniętych i zajętych zadaniem, a mimo to w pomieszczeniu panowała taka cisza, że słyhać było pewną niedoskonałość w działaniu zawiasu, gdy pani Neti-Neti mocowała się z jego pneumatycznym tłokiem, zamykając drzwi. Tę ciszę zapamiętałem najbardziej, ponieważ była jednocześnie odbierana zmysłowo i absurdalna: z oczywistych powodów kojarzymy całkowitą ciszę z pustką, nie z dużymi grupami ludzi. To wszystko trwało jednak ledwie chwilę, po czym kontynuowaliśmy naszą

skomplikowaną trasę, na której pani Neti-Neti co jakiś czas pozdrawiała albo kiwała głową w stronę innych urzędników Kadr w charakterystycznych jasnoniebieskich marynarkach, prowadzących niewielkie grupy w przeciwnym kierunku – co, gdy teraz o tym myślę, powinno chyba było wprowadzić mnie w jeszcze większą dezorientację, nie przypominam sobie jednak, żeby ten widok wzbudził we mnie jakieś określone emocje; wciąż, by tak rzec, rezonowałem wewnątrznie od widoku wszystkich tych skoncentrowanych, kompletnie bezgłośnych kontrolerów.

To jest prawdopodobnie stosowne miejsce, żeby wprowadzić trochę kontekstu, jeśli chodzi o moje wcześniejsze doświadczenia względem ciszy i wyteżonej pracy przy biurku. Gdy patrzę wstecz, to wiem, że w tym bezszelestnym, nieruchomym, intensywnym skupieniu, z jakim każdy za tymi otwartymi na moment drzwiami studiował leżące przed nim dokumenty podatkowe, było coś, co mnie przerażało i ekscytowało. To było coś takiego, że człowiek po prostu wiedział, że gdyby otworzyć drzwi na kolejną chwilę za dziesięć, dwadzieścia albo czterdzieści minut, wszystko wyglądałoby i brzmiało dokładnie tak samo. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. A może widziałem, na swój sposób, bo przecież telewizja i książki często właśnie tak portretują skoncentrowaną naukę czy pracę biurową. Jak w tych wszystkich: „Irving przysiadł na dobre i całe przedpołudnie przekopywał się przez papiery na swoim biurku”; „Skończywszy pracę nad raportem, kierownik popatrzyła na zegarek, by odkryć, że dochodzi już północ. Była kompletnie pochłonięta zadaniem, tak że dopiero teraz dotarło do niej, że dawno minęła pora kolacji i umiera teraz z głodu. Mój Boże, kiedy ten czas tak zleciał? – pomyślała”. Albo nawet po prostu: „Dzień upłynął mu na czytaniu”. W prawdziwym życiu, rzecz jasna, skoncentrowana praca przy biurku nie odbywa się w ten sposób. Spędziłem mnóstwo czasu w bibliotekach; wiedziałem całkiem nieźle, jak naprawdę wygląda praca przy biurku. Zwłaszcza jeżeli zadanie do wykonania było suche i powtarzalne albo mocno treściwe, albo gdy trzeba było przeczytać coś, co nie miało bezpośredniego związku z waszym życiem i priorytetami, albo było pracą, którą wykonujecie tylko dlatego, że musicie – bo coś jest na ocenę albo w ramach zlecenia za pieniądze dla jakiegoś jełopa, który

pojechał sobie na narty. Prawdziwa intensywna praca przy biurku odbywa się tak naprawdę w nieregularnych pojedynczych zrywach, krótkich interwałach koncentracji przeplatanych częstymi wycieczkami do toalety, dystrybutora z wodą, automatu z napojami, ciągłym sięganiem po temperówkę, telefonami, które nagle trzeba bezwzględnie wykonać, przestojami na napawanie się widokiem kształtów, w jakie można wygiąć spinacz do papieru & c.⁷⁹ To dlatego, że nieruchome siedzenie i długotrwałe koncentrowanie się na tylko jednym zadaniu jest, praktycznie rzecz biorąc, niemożliwe. Jeżeli mówicie: „Spędziłam całą noc w bibliotece, pracując nad pracą z socjologii pewnego klienta”, tak naprawdę chodzi wam o to, że poświęciliście pracy nad nią dwie do trzech godzin, a reszta czasu upłynęła wam na wierceniu się i ostrzeniu oraz układaniu ołówków i dokonywaniu lustracji stanu cery w lustrze męskiej toalety oraz włączaniu się między regałami i wyciąganiu z nich tomów na chybił trafił, i czytaniu o, powiedzmy, teoriach samobójstwa według Durkheima.

Jednak tego rodzaju dyfrakcji nie dawało się zaobserwować w migawkowym widoku tamtego pomieszczenia. Czuło się, że ci ludzie się nie wiercą, że przeczytawszy, dajmy na to, stronę nudnych wyjaśnień podatnika na temat odpisu jakiejś pozycji, nie uświadamiają sobie nagle, że tak naprawdę przez cały ten czas myśleli o jabłku, które mają w torebce śniadaniowej, i czy może by tak zjeść albo nie zjeść tego jabłka tu i teraz, i że ich oczy przeszliżnęły się po tych słowach (albo – zważywszy na miejsce – może po kolumnach i liczbach) na stronie, tak naprawdę wcale ich nie przeczytawszy – przy czym przez „przeczytawszy” należy tu rozumieć „przyswoiwszy”, „zrozumiawszy” albo cokolwiek mamy na myśli, rozróżniając pomiędzy czytaniem naprawdę a pozwalaniem, by oczy zwyczajnie przesuwwały się po symbolach w określonej kolejności. Ten widok podziałał na mnie dosyć traumatyzująco. Od zawsze czułem frustrację i zażenowanie tym, jak dużo czasu na czytanie i pisanie właściwie trwonię, tym, jak często na przemian włączam i wyłączam uwagę, ilekroć próbowałem przyswoić lub przekazać duże ilości informacji. Mówiąc wprost, było mi wstyd z powodu tego, jak łatwo ulegam znudzeniu, gdy staram się skupić. Jako dziecko chyba traktowałem słowo „skoncentrować się”

dosłownie i wyobrażałem sobie, że moje kłopoty z utrzymaniem koncentracji świadczą o tym, że jestem niezwykle rozrzedzoną lub niezorganizowaną formą istoty ludzkiej⁸⁰, i znaczną częścią winy za ten stan rzeczy obarczałem moją rodzinę, która potrzebowała bez przerwy mnóstwa głośnych dźwięków i sygnałów rozprasających uwagę i prawie każdą czynność wykonywała przy akompaniamencie wszystkich dostępnych w danym momencie radiodbiorników, zestawów stereo i telewizorów, tak że począwszy od czternastego roku życia, zacząłem nosić w domu specjalnie dostosowane zatyczki do uszu z mocnym filtrem. Musiałem doczekać wieku, w którym wreszcie wydostałem się z Philo i znalazłem w mocno elitarnym koledżu, żebym zrozumiał, że problem z bezruchem i koncentracją jest mniej lub bardziej powszechny i nie jest jakimś wyjątkowym deficytem, który nie pozwoli mi nigdy wyrwać się z dotychczasowego środowiska i czegoś dokonać. Oglądanie tych niewiarygodnych wysiłków, jakie podejmowali ci elitarni, dobrze wykształceni studenci młodszych lat ze wszystkich części kraju, żeby uniknąć skoncentrowanej pracy, odroczyć ją lub ją sobie złagodzić, otwarło mi oczy. W rzeczy samej, struktura społeczna uczelni była skonstruowana tak, by nagradzać i fetować studentów, którzy zaliczali zajęcia i kompletowali wzorowy transkrypt ocen, nigdy się nie przepracowując. Ludzi, którzy zręcznie się ślizgali, robiąc absolutne minimum niezbędne do uzyskania instytucjonalnej / rodzicielskiej aprobaty, postrzegano jako spoko gości, ci natomiast, którzy naprawdę się przykładali do swoich prac pisemnych i poważnie traktowali własny wysiłek edukacyjny oraz sukces, byli degradowani do statusu „kujona” albo „narzędzia”, najniższej kasty w bezlitosnej społecznej hierarchii uniwersytetu⁸¹.

W rezultacie jednak aż do studiów, gdzie często wszyscy mieszkali i uczyli się razem, wystawieni na pełny wzajemny widok, nie miałem okazji, by sobie uświadomić, że wiercenie się oraz częste, pod byle jakim pozorem urządzane przerwy są stosunkowo powszechnie występującymi cechami. W liceum na przykład zadanie domowe rozumie się dosłownie – robi się je w domu, w prywatnych okolicznościach, ze stoperami w uszach i tabliczką NIE WCHODZIĆ na kłamec oraz krzesłem wciśniętym pod kłamekę od wewnątrz. To samo z czytaniem, pracą nad opowiadaniem wysyłanymi do

czasopism, rachunkami z rozwożenia gazet & c. Z rówieśnikami jest się tylko w sytuacjach wspólnej zabawy i w innych okolicznościach społecznych, w tym na lekcjach, które w moim własnym państwowym liceum były jakimś żartem z nauki. W Philo samodzielne zdobywanie wiedzy było czymś, co trzeba było robić mimo faktu chodzenia do szkoły, a nie ze względu na niego – co stanowi zasadniczy powód, dla którego tak wielu moich rówieśników ze szkoły tkwi w Philo po dziś dzień, gdzie sprzedają sobie nawzajem ubezpieczenia, piją wysokoprocentowe alkohole z supermarketu, oglądając telewizję w oczekiwaniu na formalność pierwszego zawału.

A tak przy okazji, pani Neti-Neti z Kadr mówiła dalej przez większą część prowadzącej jakby po obwodzie trasy do biura. Prawda jest taka, że większość jej słów już nie jest dostępna mojej pamięci. Ton, jakim je wypowiadała, był przyjemny, profesjonalny; ale gadała do tego stopnia non stop, że właściwie mimowolnie przestawało się jej słuchać po chwili, trochę tak, jak przestaje się słuchać sześciolatka. Część z tego, co mówiła, stanowiła jednak prawdopodobnie przydatne i związane ze sprawą informacje RCK i żałuję, że nie jestem w stanie ich teraz przywołać, bo prawdopodobnie byłyby treściwe i zwięzłe, przydatne zatem z punktu widzenia pamiętnika, w przeciwieństwie do moich własnych wspomnień i wrażeń. Wiem, że ciągle przystawałem i przekładałem walizki z jednej ręki do drugiej, żeby złagodzić wrażenie palenia, które bierze się z dźwigania cięższej torby tylko w na przykład prawej ręce przez dłuższy czas, i że dopiero po kilku takich momentach pani Neti-Neti zrozumiała, co się dzieje, i zaczęła się zatrzymywać, zamiast iść dalej i zostawiać mnie dwadzieścia jardów z tyłu, kiedy już fakt, że wciąż mówi, zakrawał na absurd, nie było bowiem nikogo, kto mógłby jej słuchać. Całkowity brak jakichkolwiek propozycji pomocy przy niesieniu któregoś z moich bagaży był OK; to należało złożyć na karb ról płciowych, które – o czym wiedziałem – na Bliskim Wschodzie są szczególnie nieelastyczne. Ale nic nie uświadamia człowiekowi bardziej dobitnie, że czyjaś elokwencja i rozgadanie są całkowicie jednostronne i nie mają nic wspólnego z nim, niż to, gdy wlecze się z tyłu i jest najzwyczajniej nieobecny, a gadanie tamtej osoby nie

ustaje i dociera do niego już tylko jako niewyraźne echa odbijane przez ściany korytarza. Byłoby nieuczciwe mówić coś więcej na temat pani Irański Kryzys w kontekście pierwszego dnia, to bowiem, czego się dowiedziałem o jej nietypowych zachowaniach poza pracą i ich historii, sięgającej wypadków wstrząsających Iranem w późnych latach siedemdziesiątych, wiązało się z późniejszymi okolicznościami, gdy chyba co rano wynurzała się z lokalu coraz to innego skorka w sierpniu 1985 roku. Jej akcent był śpiewny i brzmiał bardziej brytyjsko niż bliskowschodnio czy obco, a jej włosy miały bardzo ciemny odcień czarnego i było coś niemal płynnego w sposobie, w jaki, prawie idealnie proste, opadały na ramiona – od tyłu kontrast między nimi a koszmarnym błękitem marynarki biura Kadr był jedynym interesującym czy powabnym szczegółem, jakiego można się było w tej marynarce doszukać. Także dlatego, że spędziłem tyle czasu w różnych lokalizacjach za tą kobietą, pamiętam, że czuć było od niej – tak jakby zapach należał nie do niej, a do marynarki – zapachem sprzedawanym w drogeriach w centrach handlowych, którym pewna niewymieniona z imienia osoba płci żeńskiej w mojej rodzinie zraszała się obficie co rano w ilościach przyprawiających niemal o łzawienie.

W przeciwieństwie do wyższych pięter dolny poziom budynku RCK jest podzielony na mniej więcej sześciokątne pawilony, z korytarzami odchodzącymi promieniście od centralnego węzła, jak szprychy w zniekształconym kole. Jak możecie sobie wyobrazić, ten promienisty układ piętra, tak popularny w latach siedemdziesiątych, nie miał oczywistego sensu, zważywszy na to, że budynek RCK był wybitnie prostokątny, co dokładało się do ogólnej dezorientacji towarzyszącej temu zstępowaniu ku pomieszczeniom mechanizmu Rejestracji⁸². Cała plejada znaków wskazujących kierunek na ścianach każdego z węzłów była tak obfita w szczegóły i złożona, że wyglądała, jakby zaprojektowano ją po to, żeby jeszcze pogłębić dezorientację u każdego, kto wciąż nie był pewien, dokąd idzie i dlaczego.

Ten poziom miał białe posadzki i ściany z listwami wykończeniowymi koloru stalowoszarego i osadzonymi za kratkami bardzo jasnymi świetlówkami – mógł znajdować się całą galaktykę

z dala od głównego piętra nad naszymi głowami. W tym miejscu, przez wzgląd na realizm, prawdopodobnie najlepiej będzie ograniczyć wyjaśnienia do formy możliwie najzwęższej i najbardziej skondensowanej. Prawda na dłuższą metę jest w tym przypadku taka, że z racji tego, że otrzymałem tu ostatecznie zatrudnienie (choć może bliższym prawdy byłoby powiedzieć, że wreszcie spocząłem tu jak piłka do squasha albo rykoszet, po tym jak seria administracyjnych nieporozumień, które nieomal skończyły się postępowaniem dyscyplinarnym i / lub Wypowiedzeniem z ważnego powodu, została wyjaśniona), łatwo byłoby nałożyć na plan Poziomu 1.⁸³ i biuro Kadr całą masę detali, wyjaśnień i kontekstu, które w rzeczywistości zebrałem i ustaliłem dopiero później i które nie wchodziły wcale w skład mojego doświadczenia przyjazdu i obłąkanego gania w kółko z Irańskim Kryzysem. Co też należy do sztuczek, jakie płata pamięć – człowiek ma skłonność do wypełniania jej luk danymi uzyskanymi już później, trochę tak, jak mózg automatycznie stara się wypełnić lukę w polu widzenia, za którą odpowiada ujście nerwu wzrokowego w tyle siatkówki. Tak było na przykład z faktem, że dom wariatów przed głównym wejściem i holem Centrum Kontroli nad nami oraz niewiarygodnie długa kolejka zmęczonych podróżą pracowników w kapeluszach, z bagażem i brązowymi rozkładanymi teczkami Służby z dokumentacją i listami oddelegowania, które teraz ciągnęły się (tzn. dom wariatów i kolejka) od parkingu przez pierwsze z szeregu ciężkich hermetycznych drzwi przeciwpożarowych⁸⁴ do wnętrza oświetlonego fluorescencyjnie rondka w centrum – jak się później okazało – centralnego pawilonu Poziomu 1., która to kolejka składała się z ludzi nowo przyjętego i / lub przenoszonego personelu, czekających na wykonanie fotografii w rozmiarach zdjęcia paszportowego oraz wydrukowanie i wyjście z laminatora ich nowych identyfikatorów dla Placówki nr 047, za gorących do tego stopnia, że jeszcze przez kilka minut trudno je było utrzymać w rękę, i widać było, jak pracownicy trzymają swoje nowe identyfikatory ostrożnie za jeden róg i energicznie poruszają nimi na podobieństwo wachlarzy, żeby je schłodzić, zanim przypną je sobie krokodylkami do górnej kieszeni (tak – zgodnie z przepisami – należało je nosić przez cały czas przebywania na terenie placówki)...

że za całym tym majowym najazdem i tłumami stała w istocie duża restrukturyzacja Pionu Przyjęć IRS, do której doszło jednocześnie we wszystkich sześciu działających RCK-ach i ponad połowie placówek audytowych we wszystkich krajowych okręgach (które znacząco różniły się między sobą rozmiarami), a której rozpoczęcie wyznaczono na dokładnie miesiąc po obowiązującym na terenie całego kraju ostatnim dniu na złożenie indywidualnego zeznania podatkowego, czyli 15 kwietnia, po to, by doroczny zalew zeznań zdążył przejść przez wstępne sortowanie i procesowanie w Regionalnych Centrach Obsługi⁸⁵, a dołączone do nich czeki sprocesowano i zdeponowano w Departamencie Skarbu za pośrednictwem sześciu Regionalnych Magazynów Depozytowych... A o wszystkich tych rzeczach dowiedziałem się, drogą nieformalną, dzięki pogaduchom w Zakątku Wędkarza z Acquistipace'em, Atkinsem, Redgate'em, Shacklefordem & c. Tak że wdawanie się w konkrety czy wyjaśnienia w tym miejscu byłoby mylące, jako że z realistycznego punktu widzenia żadna z tych prawd jeszcze wtedy nie istniała. Albo to, że okazało się, iż każdy, kto chciał uzyskać wstęp na pokład auta kursującego między kompleksem a jedną z przeznaczonych dla pracowników placówki tanich kwater na dwóch dawnych deweloperskich osiedlach położonych przy wcześniejszym odcinku Self-Storage Parkway, musi wykazać się ważnym identyfikatorem IRS, co było obowiązującym na terenie całego kraju przepisem z Działu Systemów, a co za tym idzie, nie można było stricte winić pana Tate'a czy pana Stecyka za to, że nowo przybyli musieli wszędzie taszczyć ze sobą bagaże i stać z nimi w kolejce w oczekiwaniu na zrobienie zdjęcia i przydział świeżego wewnętrznego numeru ubezpieczenia społecznego & c., jakkolwiek nie zmieniało to faktu, że brak jakiegoś mechanizmu rozwiązującego kwestię bagażu nowych pracowników, którzy nie mieli jeszcze identyfikatorów, był czymś irytującym i idiotycznym – moja znajomość wszystkich tych faktów datuje się, można tak powiedzieć, na późniejszy okres.

Tym, co prawomocnie można zaliczyć do przeżyć tego pierwszego dnia, jest fakt, że byłem naturalnie zaskoczony – nawet nieco podekscytowany – gdy zwolniono mnie z obowiązku oczekiwania w długiej i koszmarnej powolnej kolejce, ciągnącej się od

centralnego okrągłaka na Poziomie 1. do prowizorycznego stanowiska wyrabiania identyfikatorów, i zabrano na samo czoło ogonka, ustawiono i sfotografowano, i z miejsca wręczono gorący i pachnący laminowaniem identyfikator oraz krokodylka. (Nie wiedziałem jeszcze, co oznacza sekwencja dziewięciu cyfr pod kodem kreskowym ani że mój stary numer ubezpieczenia społecznego, który jako Amerykanin powyżej osiemnastego roku życia znałem praktycznie na pamięć, już nigdy się nikomu do niczego nie przyda; z punktu widzenia przydatności identyfikacyjnej po prostu zniknął). Podobnie jak powitanie przez kogoś sprawującego jakąś władzę, kto trzyma tabliczkę z waszym nazwiskiem, i specjalne doprowadzenie przez tę osobę na czoło kolejki wywołuje niemal nieuniknione poczucie zadowolenia, nieważne, z jakimi spojrzeniami komunikującymi urazę czy (w moim przypadku⁸⁶) odrazę spotykacie się ze strony zostawianych z tyłu osób z kolejki, które przyglądają się wam, jak prowadzą was na sam przód i jak się wam oszczędza zwyczajnego zamieszania i oczekiwania w ciżbie. Do tego niektórzy z nowych pracowników w kolejce wyraźnie byli przenoszonym z innych placówek personelem na wysokich stanowiskach, tak że czułem przy tym jednocześnie miłe połechtanie i ciekawość czy wręcz niepokój w związku ze szczególnym rodzajem dojsć, jakimi być może cieszył się ten daleki krewny, który pomógł mi załatwić przydział, oraz tym, jakie to osobiste czy biograficzne informacje o mnie zostały przekazane zawczasu i komu. Ta sprawa ze specjalnym traktowaniem może być zgodnie z faktami uznana za część rzeczywistego łańcucha pamięciowego tylko pod warunkiem wyjaśnienia, że to (tj. że zostałem specjalnie doprowadzony na czoło kolejki) zdarzyło się nieco później po przybyciu tamtego dnia, po tym jak pani Neti-Neti zdążyła już poprowadzić mnie trochę inną trasą naokoło okrągłaka tego centralnego pawilonu do samego biura Kadr RCK, znajdującego się w dużym kompleksie połączonych ze sobą gabinetów i recepcji, mieszczących się w południowo-zachodnim rogu bądź wierzchołku prostokątnego planu Poziomu 1⁸⁷. Miała wrażenie, że powinienem odbyć swego rodzaju osobistą zapoznawczą audiencję u ZDK⁸⁸, ale najwyraźniej albo Irański

Kryzys się myliła, albo podróż i ruch uliczny sprawiły, że przypadło moje okienko audiencyjne, albo może jakiś kryzys w Kadrach zaprzął uwagę ZDK. Kiedy bowiem już zesliśmy na ten poziom i pokonaliśmy klatkę centralnego okrągłaka i ominęliśmy różne odcinki kolejki po identyfikatory, i skorzystaliśmy z szeregu labiryntowych zakrętów oraz otwarliśmy rozmaite drzwi przeciwpożarowe, coraz częściej się zatrzymując, żebym mógł inaczej rozmieścić ciężar mojego bagażu, i kiedy wreszcie dotarliśmy do biura Kadr, okazało się, że poczekalnia, zewnętrzne gabinety, korytarz z kserokopiarkami oraz specjalne dwudzielne pomieszczenie z UNIVAC-kiem 1100 oraz zdalnym terminalem (połączonym – jak się później dowiedziałem, za pośrednictwem linii obsługiwanej przez półdupleksowy modem – z siedzibą regionu w Joliet, na północy stanu) z drugiej strony holu są już szczelnie wypełnione personelem IRS, siedzącym, stojącym, czytającym, gapiącym się w przestrzeń, trzymającym i bawiącym się swoimi różnymi kapeluszami, i (jak mniemałem – niesłusznie, jak się okazało, ale też pani Neti-Neti nie zrobiła nic, by wyprowadzić mnie z błędu, znikając w bocznym gabinecie i ustawiając się w kolejce ludzi w niebieskich marynarkach, oczekujących na możliwość rozmowy z przełożonym Kadr⁸⁹ w celu zgłoszenia mojego [tzn. rzekomego elitarnego transferu] przybycia i otrzymania instrukcji co do dalszych kroków wobec braku specjalnej rozmowy. To właśnie ta Zastępczyni ZDK podpisała mój wewnętrzny druk 706-IC, zezwalający na zabranie mnie na samo czoło kolejki w celu wyrobienia identyfikatora Służby, jakkolwiek dotarcie na czoło kolejki do gabinetu pani van Hool i przedstawienie jej swoich pytań zabrało pani Neti-Neti ponad dwadzieścia minut⁹⁰) nierobiącym nic poza płaszczaniem tyłków na koszt podatnika zgodnie z jakimś klasycznym scenariuszem w stylu „cała naprzód, a teraz czekaj”.

Tymczasem czułem zrozumiałe zmęczenie i dezorientację, a także nerwowe rozbicie (dzisiaj powiedzielibyśmy, że byłem „zestresowany”) oraz głód, a także bardziej niż lekkie rozdrażnienie, siedząc na dopiero co zwolnionym⁹¹ krześle z tapicerką z winylu, z walizkami u stóp i teczką trzymaną przy sobie w taki sposób, bym mógł żywić nadzieję, że zasłoni ślady wilgoci po lewej stronie

mojego garnituru, wystawiony na bezpośredni widok przerażającej sekretarki / recepcjonistki ZDK, pani Sloper, która tego pierwszego dnia zmierzyła mnie tym samym spojrzeniem wyrażającym znudzony niesmak, jakie miała mi już posyłać zawsze, przez kolejnych trzynaście miesięcy, i miała na sobie (to pamiętam na pewno) lawendowaty spodniom, w zestawieniu z którym obfity róż i proszek antymonowy jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Miała może pięćdziesiątkę i była bardzo chuda i żylasta, i nosiła tę samą fryzurę w kształcie asymetrycznego uła co dwie różne starsze kobiety w mojej rodzinie, a makijaż upodabniał ją do zmumifikowanego klauna rodem z koszmarów. (Jej twarz sprawiała wrażenie jakby przytwierdzonej szpilkami). Kilkakrotnie, w chwilach, gdy w natłoku personelu pojawiała się wyrwa na tyle duża, by dało się ustanowić prawdziwą linię wzroku, ta sekretarka i ja patrzyliśmy na siebie z wzajemną nienawiścią i odrazą. Możliwe, że nawet przelotnie pokazała mi zęby⁹². Kilkoro osób spośród personelu, siedzących bądź stojących w pomieszczeniu i przyległych korytarzach, czytało skoroszyty lub wypełniało formularze, które potencjalnie mogły mieć coś wspólnego z ich zakresem obowiązków, ale większość patrzyła nieprzytomnie w przestrzeń albo toczyła ze sobą rozwlekłe, niemrawe pracownicze konwersacje z gatunku tych (jak się przekonałem), które tak naprawdę nie mają początku ani końca. Czułem własne tętno w dwóch czy trzech pęcherzykowatych cystach na żuchwie, co oznaczało, że zrobią się naprawdę paskudne. Koszmarna sekretarka miała na brzegu swojego blatu mały żart biurowy oprawiony w ramkę, przedstawiający wściekłą twarz z podpisem „Został mi już tylko jeden nerw... I TY MI NA NIM GRASZ!!!”, jakie niektórzy pracownicy liceum w Philo na kierowniczych stanowiskach również sobie stawiali i oczekiwali, że inni będą ich z tego powodu oklaskiwać.

Fakt, że płacono mi za siedzenie tam i czytanie mdłego poradnika życiowego (mój kontrakt formalnie zaczął obowiązywać w południe), podczas gdy ktoś inny, komu płacono, stoi w długiej kolejce podobnie opłacanych ludzi po to, żeby dowiedzieć się, co ma ze mną zrobić... ta cała sprawa pachniała mi niewiarygodną niegospodarnością i nieudolnym prowadzeniem, doskonale ilustrowała pogląd niektórych członków mojej rodziny, zgodnie

z którym rząd, rządowa biurokracja oraz państwowe regulacje stanowią najbardziej rozrzutny, głupi i nieamerykański ze sposobów robienia czegokolwiek – począwszy od regulacji w przemyśle produkcji kawy rozpuszczalnej, na fluoryzacji wody skończywszy⁹³. Równocześnie odczuwałem też przebłyski niepokoju, czy to spóźnienie i zamieszanie nie oznacza, że Służba rozważa, czy może nie należałoby mnie zdyskwalifikować i odrzucić, biorąc pod uwagę jakiś zniekształcony zapis mojego rzekomo nieetycznego zachowania w elitarnym koledżu, na zwolnieniu z którego przebywałem, mniejsza o syreny. Jak wie każdy Amerykanin, czymś jak najbardziej możliwym jest, by w ludzkim sercu koegzystowały ze sobą pogarda i niepokój. Wyobrażenie, zgodnie z którym ludzie czują tylko jedną zasadniczą emocję w danej chwili, jest jeszcze jednym zmyśleniem konwencji wspomnieniowej.

Krótko mówiąc, przebywałem w głównej poczekalni przez, jak mi się zdawało, bardzo długi czas, doświadczając najróżniejszych gwałtownych, fragmentarycznych wrażeń i reakcji, których tylko kilka przykładów tutaj wymienię. Pamiętam, że słyszałem, jak jeden siedzący niedaleko facet w średnim wieku powiedział: „Ochłoń trochę, chłopaku” w kierunku innego starszego faceta, siedzącego dokładnie naprzeciwko mnie po skosie za wnęką drzwiową otwierającą się na jeden z korytarzy rozchodzących się z poczekalni, tyle że kiedy popatrzyłem na nich znad książki, obaj ci mężczyźni gapili się przed siebie, a ich twarze nie przejawiały żadnych emocji świadczących o tym, by ktokolwiek tutaj potrzebował „ochłonięcia” w jakikolwiek możliwy sposób. Z jednego z korytarzy wynurzyła się – po to, by przemierzyć krawędź poczekalni i zniknąć w innym korytarzu – przynajmniej jedna ładna dziewczyna, której śmietankową błądź i spięte w kok za pomocą kupionej w sklepie kokardy włosy koloru drzewa czereśniowego dostrzegłem kątem oka, a której tylko tył (tj. kobiety) znikający w innym korytarzu zobaczyłem, gdy spojrzałem na nią centralnie. Muszę wyznać, że nie wiem, na jak dużą szczegółowość mogę sobie pozwolić ani jak się uchronić przed przypisywaniem poczekalni i rozmaitym osobom z personelu pozorów znajomości, nabytej dopiero później. Mówienie prawdy jest, rzecz jasna, o wiele trudniejsze, niż większość zwykłych ludzi sądzi. Jeden z koszy na śmieci w poczekalni, jak pamiętam,

mieścił w sobie pustą puszkę po Nesbitt's, co zinterpretowałem jako dowód na to, że wśród urządzeń do sprzedaży w RCK może się znajdować automat z Nesbitt's. Jak we wszystkich zatłoczonych pomieszczeniach w lecie było tu gorąco i duszno. Woń potu bijąca od mojego garnituru nie w pełni należała do mnie; końce poszerzanego kołnierza mojej marynarki nieco się zawijały.

Do tego czasu zdążyłem wydobyć z teczki masowe czytadło i czytałem je z wrywkową uwagą, bo też na nic więcej nie zasługiwało, z piórem kulkowym w zębach. Jak już być może wspominałem, książkę otrzymałem dzień wcześniej od członka najbliższej rodziny (tego samego, w którego koszu na śmieci znajdował się pomięty list na temat mojego przydziału w IRS, od mniej bliskiego krewnego), a jej tytuł brzmiał *Jak sprawić, by ludzie cię lubili. Błyskawiczny przepis na udaną karierę* i w zasadzie „czytałem” tę książkę tylko po to, by umieszczać cierpkie, złośliwe komentarze na marginesach obok każdego frazesu, banału i każdej porcji przesłodzonej, nieautentycznej papki, czyli praktycznie przy każdym ¶. Zamierzałem odesłać tę książkę do tego członka najbliższej rodziny po tygodniu czy dwóch, z towarzyszącym jej obszernym podziękowaniem, napisanym z wykorzystaniem zwrotów i strategii rekomendowanych w owym dziele – takich jak powtarzanie w kółko imienia adresata, akcentowanie obszarów, w których się zgadzamy, i wspólnego entuzjazmu & c. – którego to druzgocącego sarkazmu ten członek rodziny⁹⁴ nie spostrzeże, nim nie otworzy samej książki, w której znajdzie jadowite marginalia na każdej stronie. Na uczelni realizowałem kiedyś zlecenie dla kogoś z interdyscyplinarnego kursu o renesansowych „zwierciadłach” i semiotyce etykiety, w związku z czym mój pomysł zakładał zrobienie w marginaliach aluzji do takich tekstów jak *Compleat Gentleman* Peachama oraz *Listy ojca do jego syna* Chesterfielda, żeby ukryta pogarda była tym bardziej jadowita. Ale to była wyłącznie fantazja. Prawda była taka, że nigdy nie wysłałbym tej książki i listu; była to zupełna strata czasu⁹⁵.

Poczekalnie zatłoczonych biur cechuje unikatowa choreografia i wiem na pewno, że jakoś później konfiguracja siedzącego i stojącego personelu zmieniała się na tyle, że cieszyłem się nieprzerwaną linią wzroku, biegnącą ponad książką do

najważniejszego miejsca gabinetu zastępcy dyrektora ds. kadr⁹⁶, który był, ogólnie rzecz biorąc, dużym, zabudowanym drewnem boksem wciśniętym w kąt przy tylnej ścianie poczekalni, do którego wejście znajdowało się dokładnie za biurkiem koszarnej sekretarki / recepcjonistki, nieco z boku od tej kobiety, która ze swej pozycji mogła wystawić i (to się czuło) często wystawiała kościste opięte lawendowo ramię w przestrzeń przed drzwiami ZDK, broniąc komuś wejścia czy choćby możliwości zapukania bez jej specjalnego *nihil obstat*. (Przypadek ten okazał się ilustracją autentycznego prawa zbiurokratyzowanej administracji: im bardziej ludzki i kompetentny jest wysoko postawiony urzędnik, tym bardziej nieprzyjemna i cerberska jest strzegąca dostępu do niego sekretarka). Słuchawka wieloliniowego telefonu na biurku pani Sloper miała nasadkę, która pozwalała na oparcie jej (tj. nasadki) na ramieniu i używanie obu rąk do wykonywania obowiązków sekretarskich bez wiolinistycznego wyginania szyi, jakiego wymagało trzymanie przy obojczyku zwykłego telefonu. Niewielkie wygięte urządzenie czy nasadka, wykonane z beżowego plastiku, okazało się posiadać rekomendację OSHA dla pewnych kategorii federalnych pracowników biurowych. Sam nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Drzwi do gabinetu za nią miały szybę z mlecznego szkła, na której wypisano nazwisko i bardzo długi, złożony tytuł ZDK (o którym większość skorków zamieszkujących Zakątek Wędkarza mówiło, posługując się niepoważną ksywką „Sir John Feelgood”, z której hollywoodzkiego kontekstu i odniesień zdałem sobie sprawę dopiero po kilku tygodniach [nie znoszę większości filmów komercyjnych]). Moja linia wzroku była ukierunkowana pod takim akurat kątem, że wpadała przez częściowo otwarte drzwi w klinowaty skrawek wnętrza pokoju. Ten skrawek dawał widok na puste biurko z tabliczką z nazwiskiem i tytułem stanowiska tak długą, że dosłownie wystawała poza brzegi biurka po obu jego (tj. biurka) stronach, oraz niewielki melonik czy zaokrąglony kapelusz zawieszony pod nieznacznym kątem na jednym z tych wystających końców, tak że rondo zasłaniało ostatnie litery na listwie, przez co napis głosił: L.M. STECYK DRUGI ZASTĘPCA KOMISARZA REGIONALNEGO DS. KONTROLI – DZIAŁ K, co mogłoby nawet wzbudzić u mnie wesołość, gdybym był w innym humorze.

Tytułem wyjaśnienia kontekstu tej linii wzroku sięgającej do wnętrza gabinetu: najbliżej mnie spośród personelu również tam siedzącego i na coś czekającego było dwóch młodych mężczyzn bez kapeluszy, siedzących na dwóch z serii różniących się trochę od siebie winylowych krzeseł nieco po skosie na lewo ode mnie, trzymających stosy skoroszytów z kolorowymi przekładkami. Obaj byli mniej więcej w wieku studenckim i mieli koszule z krótkim rękawem, źle zawiązane krawaty i tenisówki, kontrastujące ze znacznie bardziej konwencjonalnym dorosłym ubiorem wyjściowym reszty obecnych w pomieszczeniu⁹⁷. Również ci chłopcy byli pogrążeni w jakimś długim, jałowym dialogu. Żaden nie siedział ze skrzyżowanymi nogami; kieszenie koszul obu przedstawiały jednakowy wachlarz długopisów. Widziane kątem mojego oka ich identyfikatory odbijały światło sufitowych świetlówek i nie dało się ich przeczytać. Mój bagaż był jedynym w naszej przestrzeni, a niektóre z jego elementów na dobrą sprawę uzurpowały fragment podłogi w części pomieszczenia przynależnej temu bliższemu dzieciakowi, w pobliżu jego bezfirmowego adidasa; a mimo to żaden z nich nie wyglądał na świadomego obecności bagażu ani zaciekawionego bagażem bądź mną. Zwykle można się spodziewać, że między młodszymi osobami w miejscu pracy pełnym przeważnie starszych dorosłych zawiąże się jakieś samoistne porozumienie – jak to bywa, kiedy dwóch nieznających się czarnych nierzadko zada sobie trud, żeby skinąć sobie głowami czy jakoś inaczej specjalnie się pozdrowić, gdy wszyscy wokół poza nimi są biali – tych dwóch jednak zachowywało się tak, jakby nikogo w mniej więcej ich wieku w ogóle tu nie było, nawet kiedy dwukrotnie unosiłem głowę znad *Jak... karierę* i spoglądałem wyraźnie w ich kierunku. To nie miało nic wspólnego z kwestią cery; miałem dobry radar, wykrywający różne sposoby i powody niepatrzenia na mnie. Ci dwaj sprawiali wrażenie wprawnych w filtrowaniu danych na oko, całkiem jak pasażerowie metra w większych miastach Wschodniego Wybrzeża. Ich ton był bardzo poważny. Np.:

- Ile będziesz jeszcze udawał takiego tępego?
- Ja? Tępego?
- Jezu...
- Nic mi nie wiadomo, żebym udawał tępego.

– ...⁹⁸

– W ogóle nie wiem, o czym ty gadasz.

– Boże święty.

...ale nie potrafiłem orzec, czy to była prawdziwa sprzeczka, czy po prostu cyniczne dłubanie sobie w pępku studenciaków dla zabicia czasu. Z początku wydawało się nie do wiary, by ten drugi dzieciak nie był świadomy, że jego zarzekanie się, że nie ma pojęcia, że jest tępy, to nic innego jak przyznawanie racji temu, który oskarża go o tępotę, tj. o nieświadomość. Innymi słowy, nie byłem pewien, czy się zaśmiać. Wcześniej dotarłem w mojej książce do ¶, w którym wyraźnie zalecano głośne zaśmianie się do kogoś w grupie, w której ktoś powiedział dowcip, jako coś w rodzaju automatycznego sygnalizowania czy wyrażania chęci dołączenia do tej grupy, przynajmniej w celach konwersacyjnych; zilustrowano to paskudnym konturowym rysunkiem, na którym ktoś stał na zewnątrz grupy śmiejących się osób w trakcie koktajlu czy na innym przyjęciu (wszyscy trzymali coś, co było albo płytkami kieliszkami do koniaku, albo niewprawnie narysowanymi kieliszkami do martini). Ale toczygnójki ani razu nie odwróciły głów ani nawet nie zauważyły mojego śmiechu, który zdecydowanie zabrzmiał na tyle głośno, by dało się go usłyszeć mimo hałasu tła. Dlatego o tym mówię, bo właśnie na przedłużeniu prostej będącej ramieniem kąta wyznaczanego przez mój wzrok ponad obojczykiem gnojka zaprzeczającego udawaniu tępego, kiedy udawałem, że patrzę obok nich na coś innego, wzorem osoby, której próby nawiązania kontaktu wzrokowego czy nici porozumienia spotkały się z odrzuceniem, miałem tę chwilową perspektywę na wnętrze gabinetu ZDK, z której spostrzegłem, że biurko jest puste, ale pokój nie, przed biurkiem bowiem kucał jakiś facet u stóp fotela, w którym inny mężczyzna⁹⁹ pochylał się do przodu, a jego¹⁰⁰ twarz była ukryta w dłoniach. Postawa oraz ruchy ramion pod marynarką dosyć jasno wskazywały, że ten drugi mężczyzna płacze. Nikt inny spośród tłumów personelu w poczekalni bądź osób stojących w kolejkach, które w tej chwili ciągnęły się poza trzy wąskie korytarze¹⁰¹ i kończyły w poczekalni, nie wydawał się mieć pojęcia o tej scenie czy o fakcie, że drzwi do gabinetu ZDK są częściowo

otwarte. Płaczący osobnik był zwrócony twarzą przeważnie nie w moją stronę¹⁰², za to mężczyzna kucający przed nim i trzymający rękę na jego watowanym ramieniu, i mówiący do niego coś tonem, którego łagodności nie dało się nie zauważyć, miał szeroką, spokojną, rumianą albo różowawą twarz z bujnymi i (jak mi się zdawało) dość absurdalnymi bokobrodami, twarz trochę jakby niewspółczesną, na której – kiedy nasze spojrzenia się spotkały (zapomniałem bowiem, niepomny własnego interesu, że linie wzroku działają z definicji w obie strony) w tej samej chwili, w której obmierzła sekretarka, wciąż rozmawiając przez telefon, spostrzegła, że mój wzrok prześlizguje się obok niej, i bez patrzenia na drzwi czy pozycję ich klamki sięgnęła ręką i zamknęła je, czemu towarzyszył wymowny odgłos – odmalował się mimowolnie wyraz współczucia i empatii (na twarzy administratora, tj. pana Stecyka), wyraz, który wydawał się niemal wzruszający w swojej spontaniczności i samonieświadomej szczerości i do którego widywania, jak pisałem już wyżej, w ogóle nie byłem nawykły, i na który nie wiem, jak zareagowała moja własna twarz w tamtej chwili kontaktu wzrokowego, która wydawała mi się pełna emocjonalnego napięcia, zanim jego poruszone oblicze zastąpiło mleczne szkło drzwi, a moje własne oczy po raz kolejny opadły pospiesznie na książkę. Nigdy wcześniej nie zaobserwowałem, żeby widok mojej cery wywołał u kogoś taką reakcję, choćby raz, i to właśnie wyraz tej łagodnej twarzy biurowatycznego eleganta miałem przed oczami duszy w ciemnościach maszynowni, gdy czoło pani Irański Kryzys zderzyło się gwałtownie z moją przeponą dwanaście razy z rzędu, po czym wycofało się na dystans receptywny, który w tamtej napiętej chwili wydawał się znacznie większy, niż mógł naprawdę być, realistycznie rzecz biorąc.

§25

Chris „Nieistotny” Fogle przewraca stronę. Howard Cardwell przewraca stronę. Ken Wax przewraca stronę. Matt Redgate przewraca stronę. Bruce „Klawy” Channing dołącza formularz do skoroszytu. Ann Williams przewraca stronę. Anand Singh przewraca dwie strony na raz przez przypadek i cofa się, co brzmi nieco inaczej. David Cusk przewraca stronę. Sandra Pounder przewraca stronę. Robert Atkins przewraca dwie osobne strony w dwóch osobnych teczkach jednocześnie. Ken Wax przewraca stronę. Lane Dean Jr. przewraca stronę. Olive Borden przewraca stronę. Chris Acquistipace przewraca stronę. Rosellen Brown przewraca stronę. Matt Redgate przewraca stronę. R. Jarvis Brown przewraca stronę. Ann Williams nieznacznie pociąga nosem i przewraca stronę. Meredith Rand robi coś przy naskórku palca. Chris „Nieistotny” Fogle przewraca stronę. Ken Wax przewraca stronę. Howard Cardwell przewraca stronę. Kenneth „Coś w Tym Stylu” Hindle wyciąga z teczki notę 402-C(1). Bob „Podwójny Paluch” McKenzie podnosi na chwilę wzrok, przewracając stronę. David Cusk przewraca stronę. Ziewnięcie przechodzi falą przez rząd jednej z sekcji na zasadzie mimowolnej sugestii. Ryne Hobratschk przewraca stronę. Latrice Theakston przewraca stronę. Sala nr 2 grupy kontroli rutynowych, cicha i jasno oświetlona, długości połowy boiska do futbolu. Howard Cardwell porusza się nieznacznie na krześle i przewraca stronę. Lane Dean Jr. wodzi palcem serdecznym po obrysie szczęki. Ed Shackelford przewraca stronę. Elpidia Carter przewraca stronę. Ken Wax dołącza druk 20 do teczki. Anand Singh przewraca stronę. Jay Landauer i Ann Williams przewracają stronę prawie że synchronicznie, chociaż siedzą w różnych rzędach i się nawzajem nie widzą. Boris Kratz kołysze się nieznacznie po chasydzku, weryfikując dane ze strony z kolumną liczb. Ken Wax przewraca stronę. Harriet Candelaria przewraca stronę. Matt Redgate przewraca stronę. Temperatura panująca w pomieszczeniu: 80°F. Sandra Pounder odrobinę przesuwają teczkę,

tak by strona, na którą patrzy, znajdowała się pod nieco innym kątem w stosunku do niej. Chris „Nieistotny” Fogle przewraca stronę. David Cusk przewraca stronę. Każde biurko Tingle’a to dwupiętrowe półkole skrzynek. Bruce „Klawy” Channing przewraca stronę. Ken Wax przewraca stronę. Sześcioro skorków w każdej sekcji, cztery sekcje to zespół, sześć zespołów to grupa. Latrice Theakston przewraca stronę. Olive Borden przewraca stronę. Do tego Administracja i Wsparcie. Bob McKenzie przewraca stronę. Anand Singh przewraca stronę, po czym prawie natychmiast przewraca następną. Ken Wax przewraca stronę. Chris „Maestro” Acquistipace przewraca stronę. David Cusk przewraca stronę. Harriet Candelaria przewraca stronę. Boris Kratz przewraca stronę. Robert Atkins przewraca dwie strony po kolei. Anand Singh przewraca stronę. R. Jarvis Brown rozkłada skrzyżowane nogi i przewraca stronę. Latrice Theakston przewraca stronę. Powoli przybliżające się skrzywienie wózka ciągniętego przez wózkowego gdzieś z tyłu sali. Ken Wax umieszcza teczkę na wierzchu stosu na półce z napisem WYCHODZĄCE, na górze po prawej od siebie. Jay Landauer przewraca stronę. Ryne Hobratschk przewraca stronę, a następnie pochyla się nad wydrukiem komputerowym ułożonym tuż obok skoroszytu, w którym właśnie przewrócił stronę. Ken Wax przewraca stronę. Bob McKenzie przewraca stronę. Ellis Ross przewraca stronę. Joe „Łajdak” Biron-Maint przewraca stronę. Ed Shackelford otwiera szufladę i przez chwilę wybiera właściwy spinacz. Olive Borden przewraca stronę. Sandra Pounder przewraca stronę. Matt Redgate przewraca stronę, po czym prawie natychmiast przewraca kolejną. Latrice Theakston przewraca stronę. Paul Howe przewraca stronę, a następnie ukradkiem wacha gumową nakładkę na końcu małego palca. Olive Borden przewraca stronę. Rosellen Brown przewraca stronę. Ken Wax przewraca stronę. Diabły to tak naprawdę anioły. Elpidia Carter i Harriet Candelaria sięgają do swoich półek z PRZYCHODZĄCYMI dokładnie w tej samej chwili. R. Jarvis Brown przewraca stronę. Ryne Hobratschk przewraca stronę. Ken „Coś w Tym Stylu” Hindle sprawdza kod banku. Niektórzy obejmują dłońią podbródek. Robert Atkins przewraca stronę, jeszcze coś na niej weryfikując. Ann Williams przewraca stronę. Ed Schackelford przegląda skoroszyt w poszukiwaniu właściwego

dokumentu. Joe Biron-Maint przewraca stronę. Ken Wax przewraca stronę. David Cusk przewraca stronę. Lane Dean Jr. układa usta w okrąg i robi głęboki wdech i wydech, po czym pochyla się nad kolejną teczką. Ken Wax przewraca stronę. Anand Singh na przemian otwiera i zamyka swoją mocniejszą dłoń, przyglądając się mięśniowi w nadgarstku. Sandra Pounder lekko się prostuje i przechyla głowę, zakreślając nią łuk, rozciągając szyję, i nachyla się nad kolejną stronę do przejrzania. Howard Cardwell przewraca stronę. Większość siedzi prosto, ale schyla się w talii, dzięki czemu kark jest mniej obciążony. Boris Kratz przewraca stronę. Olive Borden podnosi małą plastikową teleskopową flagę na pustej skrzynce na druki 402-C. Ellis Ross zaczyna przewracać stronę, ale zatrzymuje się, żeby sprawdzić coś na górze druku. Bob McKenzie odchrząkuje flegmę, nie podnosząc głowy. Bruce „Klawy” Channing drażni dolną wargę zaczepem długopisu. Ann Williams pociąga nosem i przewraca stronę. Matt Redgate przewraca stronę. Paul Howe otwiera szufladę i zagląda do środka, a potem zamyka, niczego nie wyciągnąwszy. Howard Cardwell przewraca stronę. Boazeria na dwóch ścianach pomalowana na róż à la cukiernia Baker-Miller. R. Jarvis Brown przewraca stronę. Jedna sekcja w rzędzie, cztery rzędy w czworoboku, sześć czworoboków na salę. Elpidia Carter przewraca stronę. Usta Roberta Atkinsa poruszają się bezgłośnie. Bruce „Klawy” Channing przewraca stronę. Latrice Theakston przewraca stronę długim fioletowym paznokciem. Ken Wax przewraca stronę. Chris Fogle przewraca stronę. Rosellen Brown przewraca stronę. Chris Acquistipace podpisuje się na druku 20. Harriet Candelaria przewraca stronę. Anand Singh przewraca stronę. Ed Schackleford przewraca stronę. Dwa zegary, dwa duchy, jeden akr lustro weneckiego. Ken Wax przewraca stronę. Jay Landauer maca się nieprzytomnie po twarzy. Każda historia miłosna to historia o duchach. Ryne Hobratschk przewraca stronę. Matt Redgate przewraca stronę. Olive Borden wstaje i macha ręką na wózkowego, pokazując mu trzy wyprostowane palce. David Cusk przewraca stronę. Elpidia Carter przewraca stronę. Temperatura / wilgotność powietrza na zewnątrz: 96° / 74 procent. Howard Cardwell przewraca stronę. Bob McKenzie nadal nie odpluł. Lane Dean Jr. przewraca stronę. Chris Acquistipace przewraca stronę.

Ryne Hobratschk przewraca stronę. Wózek sunie wzdłuż prawej ściany sali, poskrzypując jednym z kółek. Dwie inne osoby w rzędzie trzeciej sekcji też wstają. Harriet Candelaria przewraca stronę. R. Jarvis Brown przewraca stronę. Paul Howe przewraca stronę. Ken Wax przewraca stronę. Joe Biron-Maint przewraca stronę. Ann Williams przewraca stronę.

§26

Kilka słów na temat zjawiska „widma”, które stanowi tak ważny element wiedzy praktycznej nabywanej w pracy w Kontroli. Widma nawiedzające kontrolerów nie są tym samym co prawdziwe duchy. Termin *widmo* odnosi się do szczególnego typu halucynacji, jakiej mogą ulec szeregowi kontrolerzy po przekroczeniu pewnej wartości progowej stężonej nudy. Albo to raczej napięcie towarzyszące wysiłkowi, jakim jest pozostawanie uważnym i skrupulatnym wobec skrajnej nudy, potrafi osiągnąć poziom, przy którym pewne typy halucynacji występują dość powszechnie.

Jedną z takich halucynacji jest ta znana w Kontroli jako wizyta widma. Czasem po prostu wizyta, jak w wypowiedzi: „Nie gniewaj się na Blackweldera. Miał po południu wizytę. Stąd ten tik”. Chociaż większość kontrolerów cierpi od czasu do czasu na halucynacje, nie każdemu zdarzają się wizyty. Tylko tym o określonym profilu psychologicznym. Skąd wiadomo, że to nie przychodzą prawdziwe duchy: widmo każdego odwiedzanego jest inne, ale cechą wspólną widm jest to, że są zawsze znacząco, diametralnie różne od kontrolerów, których nawiedzają. To dlatego są takie przerażające. Zwykle mają charakter wtargnięć tłumionej strony bardzo zdecydowanych, zdyscyplinowanych osobowości. Hipermaskulinistycznych skorków odwiedzają mizdrzące się *drag queens* w bieliźnie i ciężkiej, pozłuszczonej tapecie rózu i mascary, paradujące w przegiętych pozach. Pobożni widzą demony, pruderyjni i pruderyjne – nierządnicę z rozłożonymi nogami albo priapicznych *gauchos*. Nienagannie higienicznym składają wizyty odrażające postacie, na których ubrania dosłownie podskakują od wszy; skrajnie pedantyczni i zorganizowani widują zawodzące postacie z rozwichrzonymi włosami, z palcami pozaplątanymi w sznurki, przekopujące się gorączkowo przez przegródki obudowy biurka w poszukiwaniu czegoś ważnego, co im się zapodziało.

Nie żeby zdarzało się to codziennie. Widma nękają przeważnie tylko pewne typy. Czego nie da się powiedzieć o duchach.

Duchy są inne. Większość kontrolerów z jakimkolwiek doświadczeniem wierzy w widma; niewielu wierzy w prawdziwe duchy czy wie o ich istnieniu. To zrozumiałe. W końcu duchy można wziąć za widma. Pod pewnymi względami widma działają jak tło albo kamuflaż utrudniające zaobserwowanie charakterystycznych cech duchów. To jak ten stary filmowy gag, gdy do kogoś w Halloween przychodzi prawdziwy duch, a on mu gratuluje, bo myśli, że to dzieciak w naprawdę udanym przebraniu.

Tak naprawdę skorkowisko Placówki nr 047 nawiedzają tylko dwa prawdziwe, niehalucynacyjne duchy. Nikt nie wie, czy jakieś pojawiają się w pawilonach kontroli pogłębionych; te pawilony to światy same w sobie.

Duchy nazywają się Garrity i Blumquist. Spora część poniższych informacji została objawiona w postaci faktu objawionego Claude'owi Sylvanshine'owi. Blumquist to bardzo nijaki, nudny i wydajny szeregowy kontroler, który umarł za biurkiem niezauważony w 1980 roku. Niektórzy spośród starszych kontrolerów pracowali z nim w rutynowych w latach siedemdziesiątych. Drugi duch jest starszy. To znaczy z wcześniejszej epoki. Garrity pracował bodaj jako kontroler jakości przy taśmie w Mid West Mirror Works około połowy dwudziestego wieku. Jego praca polegała na sprawdzeniu pod kątem wad każdego egzemplarza pewnego modelu dekoracyjnego lustra, jaki schodził z linii produkcyjnej. Wadą była zazwyczaj bańka powietrza lub nierówność w aluminiowym podkładzie, która sprawiała, że odbity obraz ulegał rozciągnięciu albo innemu zniekształceniu. Garrity miał dwadzieścia sekund na sprawdzenie każdego lustra. Psychologia pracy była wtedy jeszcze w zupełnych powijakach i niewiele wiedziano na temat innych niż fizyczne rodzajów stresu. Zasadniczo zadaniem Garrity'ego było siedzieć na stołku przy powoli sunącej taśmie i wykonywać górną partią ciała serie złożonych ruchów kwadratowo-motylich, trzy razy na minutę, 1140 razy w ciągu dnia, przez 356 dni w roku; przez osiemnaście lat. Pod koniec miał już wykonywać charakterystyczne dla stanowiska kontrolera skomplikowane prostokątne i motylkowate ruchy całym ciałem nawet poza pracą, i to nawet wtedy, gdy w pobliżu nie było żadnych lusterek. W 1964 albo 1965 powiesił się na rurce, tam gdzie dzisiaj jest

północny korytarz prowadzący do sali skorków w RCK. Z całego personelu w 047 tylko Claude Sylvanshine zna jakiegokolwiek szczegóły dotyczące Garrity'ego, którego zresztą nigdy nie widział, a i to, co Sylvanshine wie, to w większości takie dane jak waga, obwód w pasie, topologia wad optycznych powierzchni szklanych i liczba pociągnięć potrzebna do ogolenia się z zamkniętymi oczami. Z dwóch duchów nawiedzających pokój skorków to Garrity'ego łatwiej pomylić z widmem, ponieważ jest niezmiernie gadatliwy i działa niezwykle rozpraszająco, przez co często skorki walczące o zachowanie koncentracji biorą go za rozpaplaną małpę tej ciemnej, autodestrukcyjnej strony własnej osobowości.

Blumquist jest inny. Kiedy Blumquist materializuje się w powietrzu obok kontrolera, w zasadzie tylko siedzi obok. Cicho, nieruchomo. Jedynie nieznaczna półprzeźroczystość postaci Blumquista i jego krzesła zdradzają, że coś w nim jest nie całkiem na swoim miejscu. Nie sprawia kłopotów. Nie jest kimś, kto będzie się gapił na ciebie w nieprzyjemny sposób. Odnosisz wrażenie, że on po prostu lubi tu przebywać. To wrażenie ma w sobie zawsze cień smutku. Ma wysokie czoło i łagodne oczy, które przez szkła okularów wyglądają na większe. Czasem na głowie ma kapelusz; czasem trzyma zdjęty kapelusz za rondo. Z wyjątkiem tych spośród kontrolerów, których jakiegokolwiek nawiedzenie przyprawia o spazmy – a to właśnie ci zdyscyplinowani, delikatni, którzy tak czy siak dojrżeli do wizyt widm, jest to zatem trochę jak zaklęty krąg – a więc poza tymi wspomnianymi większość kontrolerów akceptuje czy nawet lubi wizyty Blumquista. Jest kilka osób, które jakby sobie upodobał, ale jest raczej sprawiedliwy. Skorki przepadają za jego towarzystwem. Ale nikt nigdy o nim nie wspomina.

§27

Sala wstępnego przeszkolenia dla pracowników kontroli rutynowych znajdowała się na najwyższym piętrze budynku RCK. Słysząc było igłowe odgłosy drukarek – za drzwiami mieściły się Systemy. David Cusk wybrał miejsce z tyłu, w pobliżu wydmuchu przewodu klimatyzacyjnego, który nie przerzucał stron jego pakietu szkoleniowego i Kodeksu. Pomieszczenie było albo dużym pokojem, albo małą salą konferencyjną. Było jasno oświetlone światłem fluorescencyjnym i panowało w nim złowróżbne ciepło. Na dwóch szerokich rzędach okien wychodzących na południe zaciągnięto przemysłowe jakby rolety, ale i tak czuło się ciepło promieniujące z nich i z podwieszanego sufitu z celoteksu. Czternaścioro nowych kontrolerów zajmowało miejsca w pomieszczeniu, które mogło pomieścić sto osiem osób, nie licząc osób z tej jakby sceny z podium i obrotowym rzutnikiem przeźroczy, prawie takim samym jak ten, który mieli rodzice Cuska.

Oficer ds. szkoleń Pionu Przyjęć miała gładko uczesane włosy, oliwkowy spodniom i buty na płaskiej podeszwie, a do kłap żakietu przypięte dwa różne identyfikatory. Splecionymi na piersiach ramionami obejmowała podkładkę, a w jednej ręce trzymała wskaźnik. Pomieszczenie było wyposażone w białą tablicę do mazaków, a nie czarną do pisania kredą. W świetle panującym we wnętrzu jej twarz miała kolor łoju. Asystował jej jeden z tych z mężczyzn z Kadr, których jasnoniebieskie marynarki były za krótkie i odsłaniały kostki nadgarstków. W odległości sześciu niewielkich przykręconych do podłogi stolików od Cuska, po lewej i po prawej, nie było nikogo, a Cusk zdjął jeszcze marynarkę, podobnie jak trzy inne osoby w sali. Kontrolerzy, którzy dopiero co przyjechali, ustawili swoje bagaże w schludny stos z tyłu, pod przeciwną ścianą pomieszczenia. Cusk miał w torbie dwa ołówki, obydwie bez gumki i tak pogryzione, że nie można było stwierdzić, jaki miały kiedyś kolor. Chwiał się na krawędzi ataku podobnego do tego w aucie, kiedy tamten człowiek o okropnej, jak gdyby

czyrakowatej twarzy przyglądał mu się, jak temperatura idzie mu w górę, więc nic nie mógł poradzić, chyba że wspiałby się po tym gościu do okna, gdzie chwytałby powietrze. Albo prawie takiego jak ten drugi, zaledwie godzinę później w kolejce po identyfikator, kiedy po kilku minutach w ogonku znalazł się w oskrzydleniu i nie mógł opuścić kolejki bez narażania się na mnóstwo pytań ze strony gościa w niebieskiej marynarce, które usłyszeli by inni stojący i patrzyliby w jego stronę, tak że do czasu, gdy stał pod dwiema gorącymi lampami, zdążył już wykonać gest odgarniania włosów z czoła tyle razy, że grzywka sterczała mu niemal pionowo, o czym dowiedział się, dopiero kiedy jego identyfikator wyjechał cały ciepły z laminatora i gdy zobaczył swoje zdjęcie.

Jak Cusk przekonał się tamtego roku, gdy jego oceny w liceum poszybowały w górę, ryzyko ataku dawało się zminimalizować, jeżeli był dostatecznie silnie i długotrwale skupiony na czymkolwiek, co działo się poza nim. Miał stopień associate'a rachunkowości z Elkhorn-Brodhead Community College. Problem polegał na tym, że przy pewnym poziomie pobudzenia trudno było skupić uwagę na czymkolwiek poza zagrożeniem atakiem. Poświęcanie uwagi wszystkiemu, tylko nie strachowi, było jak dźwiganie czegoś za pomocą bloku i liny – było możliwe, ale wymagało wysiłku i człowiek się męczył, a w chwili, gdy lina się wyślizgiwała, uwaga powracała do tego, na co najmniej pragnął ją kierować.

Na tablicy widniał akronim SHEAM, którego jeszcze nie rozwinięto. Niektórzy kontrolerzy przenosili się z innych placówek albo też byli po tych dwunastotygodniowych szkoleniach w Indianapolis albo w Rotting Flesh w Luizjanie. Ich wstępne przeszkolenie odbywało się gdzie indziej i trwało krócej.

Niewielkie blaty były przykręcone z boku krzesel i wymuszały siedzenie w bardzo szczególnej pozycji. Małe regulowane lampki na wysięgnikach przykręcono z boku blatów w miejscu, w którym osoba praworęczna potrzebowała oprzeć łokieć przy robieniu notatek.

Tablica była raczej mała, tak że nowo przyjęte dziewiątki musiały zaglądać do niewielkich broszur, żeby odczytać niektóre z diagramów ilustrujących procedury, które objaśniała oficer ds.

szkoleń. Niektóre diagramy były tak skomplikowane, że nie mieściły się na dwóch sąsiadujących ze sobą stronach i ciągnęły się przez kolejne.

Na początku trzeba było wypełnić kilka formularzy. Zbierał je mężczyzna o orientalnej urodzie. Ludzie od wstępnego szkolenia oczywiście uważali, że sesje szkoleniowe lepiej wychodzą i łatwiej utrzymać uwagę słuchaczy, jeśli prezentacji nie prowadzi tylko jedna osoba. Z doświadczenia Cuska wynikało co innego. W jego odbiorze mężczyzna z wystającymi nadgarstkami i jabłkiem Adama ciągle przerywał albo wtrącał niepotrzebne i rozprasające komentarze. Dla Davida Cuska dużo łatwiejsze i bezpieczniejsze było koncentrowanie uwagi tylko na jednej rzeczy z otoczenia w danej chwili.

- Jedną z rzeczy, o których dużo usłyszycie, są normy. W kuchniach, przy dystrybutorze wody.

- Centrum nie ma złudzeń co do plotek i kółeczek przy baniaku.

- Starsi kontrolerzy lubią poopowiadać, jak to było za starych złych czasów.

- Wobec opinii publicznej Służba zawsze odzегnywała się od norm jako wyznaczników jakości pracy.

- Ponieważ jedną z rzeczy, nad którymi będziecie się zastanawiać, bo to naturalne, będzie: Jak będą oceniać moją pracę? Na jakiej podstawie będą mi wystawiać kwartalne i roczne oceny pracownicze?

Chudzielec narysował na tablicy znak zapytania. Cuskowi było gorąco w stopy w butach od garnituru, z których jeden miał rysę starannie zakolorowaną czarnym długopisem.

Oficer ds. szkoleń powiedziała:

- Przyjmijmy hipotezę, że na pewnym etapie normy istniały.

- Tylko po co?

- W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym Służba procesowała łączną sumę ponad sześćdziesięciu milionów czterdziestek. Mamy sześć Regionalnych Centrów Obsługi i sześć Regionalnych Centrów Kontroli. Policzcie sobie.

- A więc w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym przez tę placówkę przeszło siedemset sześćdziesiąt tysięcy czterysta zeznań podatkowych.

– Może się wydawać, że rachunki się nie zgadzają.
– To dlatego, że nie dzielimy sześćdziesięciu milionów przez dwanaście.

– Nie uwzględniliśmy czynnika Martinsburga.

Ich broszury pracownicze zawierały barwną fotografię Krajowego Centrum Komputerowego Służby w Martinsburgu w Wirginii Zachodniej, z którego trzech ogrodzeń jedno było pod napięciem i trzeba było spod niego uprzętać truchło w trakcie migracji ptaków w okolicach równonocy.

Problem polegał na tym, że ekran do przeźroczy częściowo przysłaniał tablicę, tak więc to, co znajdowało się na tablicy, było przesłaniane, gdy rzucano diagram albo schemat. Poza tym najwyraźniej coś było nie tak z mechanizmem blokującym ekran, tak że nie chciał wisieć spokojnie i asystent z Kadr musiał kucać, żeby utrzymać ekran w miejscu, jednocześnie utrzymując swój cień z dala od ekranu, co praktycznie wymagało od niego klęczenia. Wizerunek na ekranie projektora slajdów przedstawiał uproszczony kontur mapy Stanów Zjednoczonych z sześcioma kropkami w różnych lokalizacjach, pod którymi podpisy były zbyt zamazane przez poddany dyfrakcji promień projektora, by można je było odczytać. Od każdej kropki biegła linia ze strzałką, która kończyła się w punkcie wsuniętym nieco w głąb lądu w dolnej połowie wybrzeża atlantyckiego. Niektórzy z siedzących w pomieszczeniu nowych kontrolerów robili notatki do ilustracji, Cusk nie zgadłby jednak, co zawierają.

– Powiedzmy, że zeznanie tysiąc czterdzieści z odpisem na pewną sumę wpływa do Centrum Obsługi na Region Zachodni w Ogden w stanie Utah. – Babka wskazała kwadrat najbardziej na lewo. Facet uniósł kartę Holleritha, której cień na ekranie przypominał najbardziej skomplikowaną kostkę domina, jaką kiedykolwiek wymyślono.

Jedna z rolet w oknie nieco krzywo siedziała w swojej prowadnicy, a wpadający do środka przez powstałą szparę snop światła, efekt południowej ekspozycji, przeszywał prawą stronę ekranu. Seria czarno-białych fotografii zaczęła przesuwać się przez automatyczny wyświetlacz – zarazem zbyt szybko i ze zbyt małą rozdzielczością jak na to słońce, by dało się w nich rozpatrzyć. Zdaje

się, że były wśród nich dwie absurdalne fotografie jakichś widoczków plaży czy jeziora, ale przeleciały zbyt szybko, żeby można się im było przyjrzeć.

– Oczywiście wasz RCO jest w East St. Louis – powiedział mężczyzna ze swej pozycji kucznej u dołu ekranu. Mówił z jakimś regionalnym akcentem, którego Cusk nie rozpoznawał.

– W trakcie intensywnego okresu posprawozdawczego...

– Na którego końcówkęście trafili...

– Procedura generalnie wygląda tak. Pracownicy okresowi wyładowują ze specjalnych ciężarówek koperty zebrane w pakiety, zdejmują wiązania z pakietów i umieszczają koperty w automatycznym rozdzielniku poczty, nazywanym też ARP-em, jednym z ostatnich usprawnień szybkości i wydajności w procedowaniu zeznań, wprowadzonym przez Pion Systemów urzędzeni, które potrafi obsłużyć do niemal trzydziestu tysięcy kopert na godzinę.

Fotografia reklamowa Fornix Industries przedstawiająca maszynę wielkości pomieszczenia, z licznymi taśmami, ostrzami i lampami, zdążyła już mignąć kilka slajdów temu.

– Zautomatyzowany proces ARP obejmuje sortowanie, rozcinanie za pomocą ultraostrzych obrotowych noży, kodowanie brzegów poszczególnych zeznań, kierowanie ich na osobne taśmy, przy których inni pracownicy okresowi otwierają je ręcznie...

– Puste koperty przepuszcza się następnie przez specjalny skaner ARP do prześwietlania, żeby mieć pewność, że są puste, co zaradziło bardzo wielu problemom administracyjnym, jakie mewaliśmy w przeszłości.

(Większość ujęć wydawała się prezentować po prostu masę ludzi krążących po wielkim pomieszczeniu z mnóstwem kubłów i stolików. Tempo pokazywanych przeźroczy tak bardzo nie współgrało z tempem prezentacji danych, że nie dało się skupiać uwagi na obu rzeczach – większość skorków odwracała oczy od ekranu).

– Pierwszym zadaniem po otwarciu kopert jest wyjęcie z nich wszelkich czeków i przekazów pieniężnych. Te dzieli się na partie, zaksięgowuje i wysyła specjalnym kurierem do najbliższego federalnego biura depozytów, które dla Regionu Zachodniego mieści

się w Los Angeles. Same zeznania dzieli się na partie pod kątem pięciu podstawowych typów i statusów.

Mężczyzna puścił ekran, a ten podjechał do góry z terkotem, który sprawił, że osoby w pierwszych rzędach podskoczyły na krzesłach. Projektor pozostawał włączony, tak że zdjęcie kilku czarnych kobiet w okularach w rogowych oprawkach, kodujących dane na karcie perforowanej, nachodziło na oficer ds. szkoleń, wypunktowującą kody: 1220 dla zeznań spółek, 1041 dla trustów i funduszy, 1065 dla spółek oraz dobrze znane 1040 i 1040A dla podatników indywidualnych plus spółki S, które też wypełniają 1220.

– Spośród nich was będą interesować wyłącznie zeznania indywidualne.

– Korporacje i powiernictwa (powiernictwa to, jak wiecie, fundusze i trusty) sprawdzane są na poziomie okręgu.

Gość z Kadr, starający się wyłączyć projektor, powiedział:

– A tysiąc czterdziestki dzielą się na proste i „grube”. „Grube” to te zawierające tabele poza A, B i C albo przekraczające objętością tabel trzy strony wydruku z Martinsburga.

– Ale nie mówiliśmy jeszcze o tej części procesu, która odbywa się w Martinsburgu – powiedziała OS.

– Dla was istotne jest to, że kontrole czterdziestek dzielą się na rutynowe i „grube”, a wy macie przydział do rutynowych, czyli stosunkowo prostych czterdziestek i czterdziestek A, stąd nazwa kontrole rutynowe. „Grube” sprawdzają w kontrolach pogłębionych, które obsadza, no, obsada z dłuższym stażem, w niektórych regionalnych konfiguracjach obsługująca także sześćdziesiątki piątki i sto dwudziestki S pewnych podklas spółek S.

Kobieta wyciągnęła rękę w geście rezygnacji.

Cusk zauważył, że praktycznie wszystkie informacje przedstawiane przez ekipę szkoleniową znajdują się także na stronach pakietu informacyjnego, chociaż ekipa przedstawiała je przy użyciu innych sformułowań. Jego krzesło znajdowało się w trzecim rzędzie, licząc od tyłu, skrajnie po prawej. Jego lęk przed atakiem zmniejszył się znacznie dzięki temu, że nie miał nikogo dookoła i nikt nie mógł przyglądać mu się z bliska. Jedno czy dwoje nowych kontrolerów siedziało w spłaszczonej kolumnie światła

wpuszczanej przez uszkodzoną roletę. Cusk bardzo się starał nie wyobrazić sobie, o ile cieplej było tym nowo zatrudnionym czy awansowanym i o ile bardziej odsłonięci się czuli, jako że zdawał sobie sprawę z tego, że inni ludzie nie cierpieli na *fobię* związaną z atakami, która łączyła się z innymi terminami, takimi jak „obsesja ruminacyjna”, „nadmierna potliwość”, a także „pętla pobudzenia układu przywspółczulnego” w autodiagnozie, którą sobie wystawił w toku dziesiątek godzin potajemnych studiów (zapisał się nawet na kursy z psychologii, które wcale go nie interesowały, żeby mieć wiarygodny pretekst do badań) w bibliotece Elkhorn-Brodhead Community College, a świadomość jego szczególnego lęku była jednym z dwudziestu dwóch zidentyfikowanych czynników mogących odgrywać rolę w naprowadzeniu go na ataki, chociaż nie należała do naprawdę decydujących sił napędowych. Odgłos zamykanych drzwi jako pierwszy uzmysłowił Davidowi Cuskowi, że zmiana ciśnienia, którą odczuł, nie nastąpiła na skutek włączenia klimatyzacji w pomieszczeniu utrzymywanym pod stałym ciśnieniem, ale na skutek czyjegoś wejścia, chociaż obrócenie głowy, żeby zobaczyć, kto wszedł, gwarantowało zwrócenie na siebie uwagi tej osoby, co byłoby nierozważne, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa należało się spodziewać, że spóźniona osoba usiądzie za nim, blisko drzwi, przez które weszła, a Cuskowi nie uśmiechał się scenariusz, w którym osoba, z którą nawiązał kontakt wzrokowy, siedzi za nim i prawdopodobnie przygląda się z tyłu jego włosom, wciąż podejrzanie mokrym. Sama myśl o tym, że mógłby być oglądany, wystarczyła, by przez ciało Cuska przebiegł drobny wstrząs następczy w postaci ciepła, tak że poczuł poszczególne ukłucia występujących na powierzchnię skóry kropelek potu wzdłuż linii włosów i tuż poniżej dolnej powieki, czyli w miejscach, gdzie pot pojawiał się w pierwszej kolejności.

Cusk uświadomił sobie, że umknęła mu minuta lub więcej prezentacji szkoleniowej, na której teraz ponownie się skupił, angażując w tym celu niemalże fizyczną siłę. Słowa OS dotyczyły wysyłania kart kontrolnych i pakietów zeznań w miejsce, które według wszelkiego prawdopodobieństwa, jak wydedukował Cusk, mogło znajdować się na terenie Centrum Obsługi.

– Każdy pakiet jest numerowany, a następnie wysyłany do dziurkowania.

Podkreślała sylaby, na które kładła akcent ruchami wskaźnika, którego rozmiar odpowiadał w przybliżeniu dwóm długościom dyrygenckiej batuty.

– Dzięki kopiowaniu wielkoseryjnemu kart dziurkowanych i specjalistycznym kodom binarnym operatorzy dziewiątego szczebla skanują każde zeznanie i generują kartę do komputera mieszczącą pięćset dwanaście elementów kluczowych danych, począwszy od numeru ubezpieczenia społecznego podatnika...

– Przy tej okazji możecie usłyszeć o nipach. Od NIP, czyli Numeru ID Podatnika. – Mężczyzna autentycznie zapisał im to na tablicy, podczas gdy OS z Przyjęć trzymała przed sobą dwie karty komputerowe, które z perspektywy Cuska wyglądały mniej więcej identycznie.

– Zwróćmy uwagę, że zarówno Centra Obsługi, jak i Martinsburg przeszły na karty dziewięćdziesięciokolumnowe – powiedziała kobieta – tym samym zwiększając moc obliczeniową ZSD, czyli Zintegrowanego Systemu Danych naszej Służby.

Projektor wyświetlił coś, co wyglądało mniej więcej dokładnie tak samo jak karty, które pracownica 11. szczebla trzymała w górze, tyle że otwory w prostokątnej karcie były okrągłe. Logo korporacji Fornix z boku było niemal tak duże jak wizerunek karty.

– W niektórych przypadkach może mieć to wpływ na układ wydruku, który otrzymacie razem z każdym zeznaniem, które będziecie sprawdzać pod kątem audytu.

– Bo tym się właśnie zajmujecie, ludziska – powiedział asystent z Kadr. – Sprawdzacie zeznania pod kątem potencjalnej opłacalności ich audytu.

– Do czego przejdziemy za dokładnie osiem minut – powiedziała OS, posyłając pomocnikowi z Kadr dość znaczące spojrzenie.

Cusk zaczął sobie zdawać sprawę z nienaturalnie przyjemnego zapachu dochodzącego skądś zza jego pleców, przyjemniejszego niż przetworzone powietrze pomieszczenia i znacznie lepszego od niewyraźnego, ostrowo cheddarowego smrodu, który – wyobrażał sobie – musiała wydzielać jego mokra koszula.

– Jeśli detale z kart Powersa będą rzutować w istotny sposób na wpisy waszych ZSD-360, zostaniecie dodatkowo przeszkoleni w tym zakresie przez kierownika waszej grupy.

– Kierownik grupy jest zwierzchnikiem kierownika waszego zespołu – powiedział asystent z Kadr.

– Reasumując, w skład tych danych wchodzi NIP, kod pracy, osoby pozostające na utrzymaniu, klasyfikacje dochodu i odpisów, sum wpisanych na załączonych W-2, dziewięćdziesiątkach dziesiątkach i temu podobne informacje.

– To czyste przepisywanie – powiedział mężczyzna. – Na tym etapie nie ma jeszcze kontroli.

– Następnie wędrują one do Martinsburga, gdzie osoby zajmujące się odczytem kart przenoszą informacje do komputerów centralnych, które dokonują kontroli pod kątem błędów arytmetycznych, weryfikują W-2 i deklaracje dochodów...

– I najbardziej podstawowe rozbieżności, które tam oznaczają na swoich wewnętrznych wydrukach do ich użytku wewnętrznego.

– Wydruki znane są pod nazwą „Notatek wewnętrznych 1040-M1” albo po prostu M1.

– Tyle że do jedyńki dopisuje się dwie ostatnie cyfry daty rocznej danego zeznania; na przykład taki 1040-M1-84 to wydruk dla zeznania indywidualnego 1040 za tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty rok.

– Tyle że te numery odnoszą się do klasyfikacji zeznania w Zbiorach Głównych, sam wydruk nie ma żadnej zakodowanej desygnacji.

– W Zbiorach Głównych lokalizację danego zeznania określa się, podając 1040-M1-79 plus NIP podatnika, a więc w zasadzie jest to oznaczenie siedemnastocyfrowe.

– Nie przyszli tu na szkolenie z Systemów. Chodzi o to, że wszystko, co będziecie widzieć, to wydruk z zeznaniem, ponieważ wydruk M1 i zeznanie składają się na teczkę sprawy, a kontrolerzy rutynowi sprawdzają te czki spraw pod kątem potencjału audytowego.

Cusk zaczął chwytać rytmy podwójnej prezentacji i sygnały wychodzące od oficer ds. szkoleń, ilekroć bliźniacza prezentacja zbaczała w dygresję albo dotyczyła czegoś mniej istotnego.

Najważniejszym z nich było spoglądanie na zegarek, co sprawiało, że cień wskaźnika w jej ręku kładł się na podświetlonym ekranie i mierzył prosto w cień pomocnika z Kadr, mimo że każde stało w innej odległości od projektora. Do tego wszystkie omawiane punkty znajdowały się w pakiecie orientacyjnym. W części mózgu, która była świadoma poziomu jego własnego pobudzenia, sytuacji potliwości, temperatury panującej w pomieszczeniu, usytuowania wszystkich wyjść, rozmieszczenia i zasięgu wzroku wszystkich osób, które mogłyby dostrzec, jak doznaje ewentualnego ataku (wszystkie te rzeczy, ilekroć znajdował się w jakiegokolwiek sytuacji publicznej w zamkniętej przestrzeni, zajmowały jakąś część jego uwagi, niezależnie od tego, jak intensywnie się koncentrował na tym, co stanowiło właściwy przedmiot spraw, które miały miejsce w pomieszczeniu), Cusk zdawał sobie sprawę z obecności kogoś za i nieco ponad nim, prawdopodobnie stojącego w drzwiach wyjściowych, zastanawiającego się, czy usiąść. A prawdopodobieństwo, że ten ktoś to była ona – bo przyjemny zapach w powietrzu był, jak należało sądzić, wonią perfum bądź ewentualnie nietypowo kwiatową i zniewieściałą męską wodą kolońską – sprawił, że przez głowę i skórę głowy Cuska przeszła kolejna fala ciepła, choć nie była to taka naprawdę groźna fala gorąca, która miałaby potencjał uruchomienia ataku.

– Zasadniczo – powiedziała oficer ds. szkoleń z Pionu Przyjęć – Zbiory Główne pozwalają nam zweryfikować arytmetykę i znaleźć rozbieżności, do których dotarcie przy liczeniu na piechotę kosztowałyby nas kilka osobogodzin.

– Taki fakcik – powiedział asystent z Kadr – od sześciu do jedenastu procent spływających co roku przeciętnych tysięcy czterdziestek zawiera jakiś zasadniczy błąd arytmetyczny.

– Ale Zbiory Główne pozwalają także na krzyżowe kontrole między zeznaniami podatnika z różnych lat oraz między zeznaniami różnych podatników z danego roku – powiedziała OS. – Przykłady: tysiąc czterdziestka, linijka jedenasta i linijka dwudziesta dziewiąta, alimenty otrzymane i zapłacone.

– Znajdziecie je w waszych arkuszach protokołów kontroli rutynowej – powiedział pomocnik z Kadr.

– Ale do czasu, kiedy teczka dotrze do was, będą już zasadniczo zrobione. W Martinsburgu na Zbiorach Głównych porównują zeznanie z zeznaniem współmałżonka. Jak jest rozbieżność, stosują notatkę na M1... Waszym zadaniem będzie określić, czy dane sumy kwalifikują się jako przedmiot audytu.

– A jeśli tak, to czy właściwy będzie audyt korespondencyjny, prowadzony w pawilonie KZ RCK, to jest korespondencji zautomatyzowanej, czy też może w interesie Służby będzie skierować całe zeznanie do okręgu, w którym je złożono, na audyt biurowy.

– Ogólnie rzecz biorąc – powiedział kadrowiec – to wasza praca. Jesteście na pierwszej linii procesu decyzyjnego, które deklaracje powinny trafić pod audyt, a które nie. To tak w pigułce. Kryteria potencjału audytowego natomiast zmieniły się znacząco w ostatnich dwóch latach...

– Jeszcze jeden przykład na miejsce Martinsburga w procesie – powiedziała OS. – Linijka dziesiąta.

Kadrowiec chlasnął się teatralnie po czole.

– To doprowadzało ich do szaleństwa w latach siedemdziesiątych.

– W linijce dziesiątej w Dochodzie, na tysiąc czterdziestkach, należy podać wysokości stanowych i krajowych zwrotów pieniężnych, *jeżeli* zwroty otrzymano za rok, w którym zgłoszono odpisy.

– ...czyli w linijce trzydziestej czwartej A, znaczy w Tabeli A.

– Była to jawna luka, zachęcająca podatników, by „nie przypominali sobie”, czy zgłaszali odpisy w poprzednim roku.

– ...bo dzięki temu nie musieli wykazywać zwrotów wśród dochodów.

– ...a przed wprowadzeniem Zbiorów Głównych sprytny podatnik miał powody, by zakładać, że tej pozycji nie sprawdzą mu w Kontrolach. Ponieważ by otrzymać do wglądu zeznanie z poprzedniego roku, kontroler musiał wypełnić formularze 3IR oraz 12(A).

– Wniosek o wydanie zeznania – dorzucił pracownik z Kadr.

– I zeznanie trzeba było wyciągnąć albo z archiwów Centrum Obsługi, albo z archiwów Krajowego Centrum Archiwów i był z tym kłopot, i trwało to tydzień, i *dużo kosztowało*, przede wszystkim

w przeliczeniu na roboczogodziny oraz koszty administracyjne, koszty, które na ogół znacznie przewyższały stosunkowo niewielkie sumy stanowych czy krajowych zwrotów.

– Na sprawdzanie linijki numer dziesięć po prostu nigdy nie mogliśmy sobie pozwolić – powiedział pomocnik z Kadr. – Nie mówiąc o trudnościach, jakie rodziło trzymanie zeznania w tingle'u przez tydzień, w oczekiwaniu na realizację procedury 3R.

– Zbiory Główne umożliwiły automatyczne sprawdzanie linijki 34A w zeznaniu podatnika z poprzedniego roku; dzisiaj otrzymujecie alerty od razu na wydruku, z zaznaczeniem, czy linijka dziesiąta jest podatkowo rozpatrywalna, czy nie, w zależności od poprzednich zeznań i stanowych raportów.

– Chociaż systemy komputerowe niektórych stanów nie są kompatybilne z Martinsburgiem.

Temperatura pomieszczenia w odbiorze Davida Cuska wynosiła teraz 84°F. Usłyszał charakterystyczny odgłos przysuwania krzesła przez kogoś zajmującego miejsce tuż za nim oraz odgłos siadania i umieszczania czegoś, co zabrzmiało jak dwie czy trzy walizki albo rzeczy osobiste na krzesło obok jej krzesła i odpinania zamka błyskawicznego czegoś, co mogło być teczką – bo z całą pewnością była to kobieta, rozchodził się nie tylko zapach kwiatowych perfum, ale także makijażu, który w dusznym pomieszczeniu czuć charakterystycznym bukietem woni, a ponadto jeszcze jakiegoś rodzaju kwiatowego szamponu, i Cusk autentycznie czuł nacisk dwóch dysków jej oczu na potylicy, gdyż było prostą kalkulacją, że jego głowa wchodzi przynajmniej częściowo w jej pole widzenia, gdy dziewczyna kieruje wzrok na podium. Śledząc prezentację, będzie widziała przynajmniej część tyłu głowy Cuska, a także tył szyi, który odsłaniała jego krótka fryzura, co oznaczało, że wszystkie krople, jakie mogą wykwitnąć we włosach z tyłu głowy, będą wyraźnie dostrzegalne.

– Ale odeszliśmy od sedna. Sednem jest wydajność i oszczędność i dlatego też przez najbliższą godzinę będziemy się szczegółowo zapoznawać z elementami i układem, które Martinsburg stosuje w M1. Nigdy dość powtarzania. Nie jesteście inspektorami, wasze zadanie nie polega na tym, że wyłapujecie wszystkie najdrobniejsze błędy i nieścisłości i kierujecie tysiąc czterdziestkę do audytu.

– To by przeciążyło Okręgi, których zasoby audytorskie są poważnie ograniczone.

– Tak naprawdę na tę chwilę Dział Audytu dysponuje mocami pozwalającymi na audyt jednej siódmej procentu wszystkich czterdziestek i dwudziestek złożonych w tym roku.

– ...choć w tym roku będziecie się zajmować głównie deklaracjami z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego, ponieważ mamy średnio dziesięciomiesięczny rozjazd między złożeniem zeznania a jego kontrolą, chociaż Region Środkowo-Zachodni zredukował ten czas bardziej do dziewięciu.

– *Sednem* sprawy – powiedziała OS z odrobiną irytacji w głosie – jest to, że wasze zadanie polega na ustalaniu, które deklaracje najbardziej nadają się do audytu z punktu widzenia (a) dochodowości oraz (b) względów praktycznych. Które są wzajemnie powiązane, ponieważ im bardziej skomplikowane i czasochłonne będzie dochodzenie, tym wyższe koszty dla Służby ze sobą pociągnie i tym niższy zysk netto wpłynie do Departamentu Skarbu USA w konsekwencji audytu. Jednocześnie prawdą jest, że poważne zaniedbania w zgłaszaniu mają związek z dochodowością, ponieważ od pewnego progu zniżenia naliczamy kary za uchybienia...

– ...jak również odsetki od należnych kwot...

– ...co powiększa, czasami wydatnie, zysk netto audytu.

Im gorzej się czuł, tym zimniejsze powinno być powietrze z nawiewu w suficie, przez kontrast. Ale, jak na złość, wcale takie nie było – im bardziej rosła wewnętrzna temperatura Cuska, tym cieplejszy był prąd zstępujący, aż w pewnym momencie zrobił się jak sirocco albo podmuch z rozgrzanego piekarnika – zdecydowanie gorący. Cusk nie doznawał ataku w ścisłym sensie, za to znajdował się w jego podrygujących wstępnych fazach, co pod pewnymi względami było gorsze, ponieważ nie dawało pewności, jak się rzecz potoczy. Na skórę wystąpił mu już lekki pot, ale ten nie stanowił problemu – dziewczyna była za nim, więc jeżeli gorąco i poty nie przejdą w pełny atak, jego włosy z tyłu ukryją ewentualne krople. Tylko jeżeli to przerodziłoby się w pełny atak, przy którym drobiny potu na głowie pod włosami wystąpiłyby tak gęsto, że stałyby się faktycznie kroplami i podążyłyby za grawitacją w dół jego odsłoniętego karku, kobieta za nim mogłaby zauważyć i zacząć go

postrzegać jako odrażającego albo dziwaczego. Na zasadzie profilaktyki istniała możliwość odwrócenia się i ustalenia wieku i atrakcyjności kontrolera będącego kobietą, której perfumy i ledwie uchwytny skórzany zapach, wydzielany prawdopodobnie przez torebkę, szczelnie spowijały Cuska. Z racji tego, że zegar w pomieszczeniu znajdował się na tylnej ścianie, istniało oczywiste usprawiedliwienie dla szybkiego obrotu, żeby spojrzeć za siebie.

Przy pulpicie asystent z Kadr streszczał historię rozległej decentralizacji Służby w następstwie ustaleń Komisji Kinga z 1952 roku, która dawała znacznie więcej uprawnień i autonomii pięćdziesięciu ośmiu Biurom Okręgowym, a także obecną sytuację częściowej recentralizacji funkcji procesowania i audytu zautomatyzowanego, przejętych przez Martinsburg i Centra Regionalne, powołując się zarówno na „erę regionu” i coś określanego mianem „Inicjatywy”, o czym Cusk nigdy nie słyszał. Cusk nie uczęszczał na żadne z dwunastotygodniowych szkoleń przygotowawczych w Krajowych Ośrodkach Szkoleniowych IRS w Indianapolis i Rotting Flesh w Luizjanie, z których oba miały komplet uczestników do końca '85. Odpowiedział za to na ogłoszenie rekrutacyjne w magazynie „Współczesny Księgowy”, który prenumerowała biblioteka Elkhorn-Brodhead. Cusk pracował w niej przy regałach w niepełnym wymiarze godzin w ramach pakietu wsparcia finansowego.

– Są dwa zestawy Zbiorów Głównych, ogólnie rzecz biorąc, jeden dla osób prawnych, drugi dla osób fizycznych, przechowywane przez okres trzech lat...

– Trzy lata odpowiadają czasowi, jaki mamy na audyt danego zeznania, co oznacza, że do piętnastego kwietnia przyszłego roku musimy przeprowadzić audyt i ściągnąć należne podatki niewykazane w zeznaniach z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, z których jakieś mogą przewinąć się przez wasze blaty w ramach skoordynowanych programów kontroli generowanych przez Przyjęcia albo Martinsburg.

Cusk starał się teraz rozpaczliwie koncentrować uwagę na każdej najdrobniejszej sylabie wymawianej przy pulpicie. Wiązała się z tym szansa, że nie zacznie rozmyślać nad temperaturą swojego ciała i perspiracją, które osiągnęły teraz takie natężenie, że czuł jakby

jarmużkę gorąca na szczycie głowy, a to było jednym z czterech objawów prawdziwego ataku. Wiedział, że twarz zaczyna mu się świecić od potu, co stanowiło główny powód, dla którego zdecydował, że jednak się nie obróci i nie oceni ogólnego poziomu atrakcyjności spóźnionej kontrolerki siedzącej za nim – to mogło z jednakowym prawdopodobieństwem zaradzić atakowi, jak i wyzwolić pełny niekontrolowany atak, w trakcie którego nie będzie w stanie odczuwać ani zwracać uwagi na cokolwiek poza kolosalnym wpływem i wrażeniami niekontrolowanego gorąca i totalnej paniki na myśl o tym, że ktoś go widzi, gdy się tak poci.

Asystent z Kadr opisywał pracę 3312 pracowników Placówki IRS nr 047 z uwzględnieniem zarówno obsady zmian (pięćdziesiąt osiem procent pracowało od 7:10 do 15:00 [na I zmianę], czterdzieści procent od 15:10 do 23:00 plus dochodziła jeszcze nocna praca dozorców + utrzymanie zakładu), jak i procentowego rozkładu na zatrudnienie w Kontrolach, Sekretariatach, Przetwarzaniu danych i Administracji, czego większą część Cusk przegapił, ponieważ wkroczył w początkowe fazy prawdziwego ataku, w których jego skupienie ulegało kondensacji, a stan ciała i wydzielanie przez nie potu zajmowało około dziewięćdziesięciu procent jego świadomej uwagi. Słyszał, jak kobieta za nim pstryka piórem kulkowym w nerwowy, arytmiczny sposób, a raz wyłapał dźwięk ani chybi ocierających się o siebie cienkich pończoch przy rozkrzyżowywaniu i ponownym krzyżowaniu nóg, dźwięk, który sprawił, że oblała go straszliwa fala wewnętrznego gorąca, pociągając za sobą odczuwalne spływanie pierwszych kropli spod pach w dół tułowia pod koszulą. W czasie ataków automatycznie opuszczał głowę, a także zapadał się w plastikowe krzesło, jeśli tylko się dało – bez zwracania na siebie uwagi, starając się jak najbardziej skurczyć, wizualnie, biorąc pod uwagę perspektywę kobiety siedzącej za nim, którą teraz wyobrażał sobie już jako obezwładniająco ładną dziewczynę mniej więcej w jego wieku, siedzącą w niesamowicie poprawnej pozie z niezwykłym spokojem, z okrągłą porcelanową buzią, której oczy były groźnie niebieskie i która emanowała aurą niemal europejskiej wyniosłości. Krótko mówiąc, była to kobieta, którą Cusk sobie uroił, poniekąd płacąc w ten sposób cenę za to, że był zbyt skamieniały ze strachu i onieśmienia, by się obrócić

i udać, że patrzy na zegar (pokazujący 15:10), i ocenić rzeczywiste zagrożenie ze strony tej kobiety. Słyszał, że oficer ds. szkoleń z Pionu Przyjęć odnosi się do strony w Broszurze Orientacyjnej dla Kontrolerów, której wierną reprodukcję, punkt w punkt, jak się okazało, przedstawiał właśnie wyświetlany na ekranie slajd, i Cusk opuszczał ociekające potem czoło coraz bardziej, i udawał, że studiuje odnośną stronę broszury, ostrożnie wycierając każdą spadłą kroplę potu, zanim zdąży wybrzuszyć zajmowany przez siebie fragment strony, rozmiarom odpowiadający dziesięciocentówce, na wypadek gdyby ktoś kiedyś chciał tę broszurę od niego pożyczyć i później miał się dziwić, jaki groteskowy i odrażający los spotkał wykres na stronie B-3.

Cusk zaczął mierzyć dokładny dystans do wyjścia, zarówno w sekundach, jak i liczbie kroków, a inna część jego mózgu kalkulowała kąty, perspektywy oraz intensywność światła w różnych stacjach na trasie odwrotu – poniekąd na peryferiach jego uwagi. Instynktownie rozumiał, że nie wszystkie pozycje na liście będą przy kontrolach rutynowych tak samo ważne.

– To, z czym mamy tu do czynienia, to fazy bądź elementy triażu – powiedziała OS, po czym zamilkła na chwilę, w trakcie której pracownik Kadr zdefiniował „triaz”, na wypadek gdyby ktoś nie znał tego terminu medycznego. Claude Sylvanshine, trzy rzędy przed i cztery krzesła na lewo od Cuska, zmagął się jednocześnie z próbą przypomnienia sobie różnic między §162 a §212(2) odpisów z tytułu płacenia najemnego oraz ze spontanicznymi wtargnięciami danych na temat sumy rocznej opadów w Zambii we wszystkich latach parzystych, poczynawszy od 1974, przy czym te drugie pojawiały mu się w postaci wyróżnionych kolumn na stronie atlasu WHO, którego redaktor prowadzący cierpiał na jakąś psychomotoryczną ułomność.

– Jeśli się nad tym zastanowić, okaże się, że nie będziecie musieli wypełniać druków numer dwadzieścia w sprawie deklaracji tylko dlatego, że, dajmy na to, w linijce jedenastej wygląda, jakby zanizono wpływy z alimentów o dwieście dolarów.

– Ponieważ dodatkowy podatek z dwustu dolarów dochodu wynosi mniej niż pięć procent dodatkowych kosztów przeprowadzanego audytu.

– Możecie za to wypełnić 20(a) i skierować zeznanie do Zautomatyzowanej Egzekucji Należności, żeby przeprowadzili audyt korespondencyjny.

– To zależy od protokołów roboczych waszej grupy, o których dowiecie się od waszego kierownika grupy i z pakietów protokołów postępowania dla grup na orientacji grupowej.

– A jak to będzie wyglądać, zależy z kolei od waszego przydziału do konkretnej grupy.

Ktoś ze stertą własnych bagaży leżącą na krześle odpowiadającym temu obok Sylvanshine'a, tylko kilka rzędów dalej z przodu, podniósł rękę, żeby zapytać, czym w kontekście rutynowych kontroli jest przydział do grupy. Dziwny był brak wtargnięć jakichkolwiek danych na temat tajemniczego dziecka, z którym dr Lehrl podróżował i które miał obok siebie cały czas, ale nigdy jakoś z nim nie rozmawiał. Sylvanshine wiedział, że to nie dziecko Lehrla, ale tylko dlatego, że powiedział mu o tym Reynolds. Jakby dziecko spowijała jakaś nieprzenikalna faktoszczelna membrana albo jakby zamieszkiwało próżnię faktową. Ważne dane, jakie Sylvanshine pozyskał na temat Davida Cuska, którego imienia i nazwiska nie znał, dotyczyły rozmiarów lustra na szafce w jego łazience oraz pewnych odczytów temperatury w dwóch kolumnach, z których ta po lewej zawierała liczby znacznie wyższe i pulsujące kiczowato ostrzegawczą czerwienią.

Na szesnastej stronie znajdował się diagram struktury organizacyjnej „sekcja / zespół / grupa / pawilon” w kontrolach rutynowych Pionu Przyjęć.

– Standardowy triaż przebiega tak. Wydruk M1 z Martinsburga zawiera już listę pewnych nieścisłości; czy to w czystej arytmetyce, czy, powiedzmy, po porównaniu linijki dwudziestej dziewiątej na formularzu byłego współmałżonka z linijką jedenastą na waszym formularzu...

– To jeden z powodów, dla których zeznania trafiają do Kontroli. Martinsburg coś wyłapuje.

– Inne przychodzą z racji kryteriów, które przynajmniej z waszego punktu widzenia mogą się wydawać zupełnie przypadkowe.

– Jeszcze jedna zaleta Zbiorów Głównych: obecnie ponad pięćdziesiąt procent arytmetycznej i porównawczej weryfikacji

odbywa się automatycznie w Martinsburgu, co ogromnie podnosi waszą wydajność i liczbę zeznań, które ta placówka jest w stanie przerobić i ustalić w każdym przypadku potencjał audytowy.

– Chociaż ilość i przerób to już nie są kryteria, na podstawie których mierzą czy oceniają wydajność placówki.

Mimowolny grymas prześlizgnął się po twarzy pracownika Kadr, gdy mówił. Sylvanshine znał rozmiar buta i łączną objętość krwi w organizmie tego pracownika, za to nie znał jego imienia.

– Kryteria oceny dotyczą teraz zwrotów uzyskiwanych z audytów – powiedziała OS.

Bez patrzenia asystent z Kadr uniósł wysoko dwunastokolumnową kartę Forniksa i arkusz wydruku.

OS powiedziała:

– Tu widzicie zakodowany druk PP-czterdzieści siedem oraz podsekcję z informacją o waszym pawilonie, grupie, zespole, pododdziale i kosztach osobowych.

– Koszty osobowe odnoszą się do stosunku wielkości szacowanych dodatkowych wpływów z audytu do jego kosztów.

– Wliczając w to waszą własną wypłatę, dodatki, dodatek mieszkaniowy, o ile pobieracie, i tak dalej.

– ...to nowa Biblia – powiedział pracownik z Kadr.

Sylvanshine'a, którego oczy wywróciły się, ukazując nieco białka, nawiedziła cała masa faktów na temat OS, których nie życzył sobie znać, w tym szczegóły jej mitochondrialnego DNA oraz że były odrobinę niestandardowe, ze względu na to, że jej matka zażyła talidomid cztery dni przed nagłym wycofaniem go ze sklepów. Oficer ds. szkoleń Pam Jensen nosi w torebce rewolwer dwudziestkędwójkę – obiecała sobie kulkę w podniebienie po tysiąc pięćsetnej prezentacji szkoleniowej, która przy obecnym tempie wypadła w lipcu 1986 roku.

– Za starych złych czasów chodziło o przerób.

– Przeciętny kontroler rutynowy mieścił się w przedziale dwudziestu siedmiu–trzydziestu teczek na dzień.

– Teraz to mogą być cztery, może pięć teczek dziennie; jeżeli wasz współczynnik audytowo-kosztowy będzie dobry, czeka was znakomita ocena półroczna.

– Oczywiście im więcej skoroszytów przerabiacie danego dnia, tym większy zakres potencjalnych skoroszytów z wysokim współczynnikiem i tym większe macie szanse, że wypełniane przez was dwudziestki przyniosą duże zyski.

– Ale nie koncentrujemy się tak bardzo na przekopywaniu się przez skoroszyty ile wlezie, żeby nie przegapić wyjątkowo dochodowych zeznań.

– Od określenia „dochodowe” – powiedziała OS – wolimy określenie „z dochodem nierozliczonym”.

– Tyle że nieraz zeznania z dochodem rażąco wręcz nierozliczonym mają tak niskie wyniki w linii dwudziestej trzeciej, że już lepiej im darować, za to może dołączyć dwudziestkę do kolejnego zeznania, które chociaż nie zawiera wielu błędów czy nieścisłości, to przyniesie nam znacznie większy zysk przy audycie.

Teraz już autentycznie krople potu kapąły Cuskowi z włosów, podczas gdy w jego wnętrzu rozbrzmiewał niemy krzyk.

– Dobrze – powiedziała OS. – Zróbmy sobie przerwę, przewietrzcie sobie głowy, a potem zajmiemy się ogólnymi kryteriami w decyzjach o kierowaniu bądź niekierowaniu zeznań do audytu.

Mieli mieć przerwę. David Cusk nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Zapalą się światła. Wszyscy wstaną i w tym samym czasie zaczną wychodzić. Jeśli zostanie, piękna dziewczyna za nim zobaczy jego rozmoknięty kołnierzyk i ciemniejące V z potu na niebieskiej koszuli, którą wybrał na dziś chyba z czystej brawury albo głupoty, bo biała byłaby rozsądniejsza, nie ciemniała aż tak. Będzie tu siedział pochylony, udając, że zgłębia zawartość schematu wydruku M1 w pakiecie orientacyjnym, z trzycyfrową temperaturą ciała, z kroplami widocznego potu kapiącymi z końcówek włosów ze wszystkich czterech stron, znaczącymi pakiet, rękawy jego koszuli, skwierczącą część jego lampki biurkowej – nie ma mowy, by ludzie tego nie zauważyli. Jeśli jednak wstanie i dołączy do tłumu kierującego się alejkami do dwóch wyjść, to nie ma szans, by ludzie nie spostrzegli, co się z nim dzieje, a wśród tych ludzi siedząca za nim piękna, wyniosła Francuzka lub może nawet Włoszka. Scenariusz jak z koszmaru. Takie myślenie praktycznie

gwarantowało wystąpienie ataku, co było absolutnie ostatnią rzeczą, jakiej David Cusk pragnął. Zmusił się do uniesienia głowy. Gorące światło jupitera, które na sobie czuł, nie istniało. Kobieta za nim była osobą, miała własne kłopoty i nie zwracała na niego baczniejszej uwagi – to była iluzja. Jedyną rzeczą, która przeszkadzała jej w jego głowie, było to, że zasłaniał jej ekran, w związku z czym musiała skrzyżować ciasno uda i mocno się przechylić, żeby widzieć pulpity i ekran, na którym chybotął się przedzielony slajd przedstawiający dwa biurka, podczas gdy OS usiłowała ustawić ostrość projektora za pomocą trzymanego w ręku urządzenia, połączanego z projektorem kablem, w który zaplątała jej się noga.

Sylvanshine w noc przed podróżą zapomniał spłukać szampon z włosów. To dlatego jego fryzura miała kształt płomienia.

Tymczasem David Wallace nie uczestniczył w żadnej ogólnej sesji orientacyjnej z pokazem slajdów pod publiczność. Został natomiast poprowadzony (przez kogoś, kto nie był panią Neti-Neti) – bez możliwości zjedzenia czegokolwiek – do Aneksu RCK, do małego pokoju, w którym on i czterech innych mężczyzn, samych kontrolerów 13. szczebla, słuchali prezentacji na temat minimalnego podatku od preferencji, którego początki sięgały najwyraźniej administracji demokratów za Lyndona Johnsona w latach sześćdziesiątych. Pokój był mały, duszny i nie było w nim białej tablicy czy sprzętu audiowizualnego. Za to unosił się w nim ostry zapach suchościernalnych pisaków. Wszyscy pozostali mężczyźni w pomieszczeniu mieli klasyczne garnitury i kapelusze i byli bardzo poważni, każdy z notatnikiem Departamentu Skarbu w skóropodobnej oprawie, zapinanym na zamek błyskawiczny, z wytłoczonym na okładce godłem i mottem IRS, którego David Wallace nie otrzymał, więc notował we własnym notatniku, odginając jego okładkę tak, żeby nie było widać naklejki z ceną z IGA w prawym górnym rogu.

Prezentacja była sucha jak wiór i wyglądało na to, że dotyczy bardzo zaawansowanego tematu, a wygłaszał ją ktoś w czarnym

garniturze i czarnej kamizelce, spod których wystawała mu albo biała szyja od golfu (co byłoby niedorzeczne przy takim upale), albo jeden z tych wiktoriańskich odpinanych wykrochmalonych kołnierzyków, które mężczyźni mocowali za pomocą spinek na samym końcu wiktoriańskiego procesu odziewania. Mówił bardzo skrótowo i bezosobowo, bez owijania w bawełnę. Wydawał się niezwykle surowy i ascetyczny, miał ciemne doły w zapadłych policzkach i pod oczami. Przypominał trochę popularne przedstawienie śmierci.

– Zwróćmy jednak uwagę, że reforma z siedemdziesiątego ósmego wprowadziła korektę do tendencji ekspansjonistycznych postanowień z siedemdziesiątego szóstego, wykreślając z wykazu preferencji odliczenia z tytułu długoterminowych zysków kapitałowych i wykazane odliczenia w kwocie powyżej wartości zgłoszonych dochodów.

Termin „preferencje” został użyty kilkakrotnie. Właściwie jest chyba czymś zbędnym dodawać, że David Wallace nie znał znaczenia terminu „preferencje” ani tego, że były one sprytnym sposobem, w jaki Kongres zmniejszył obciążenie podatkowe pewnej określonej grupy bez obniżania jej stawki zobowiązania – dopuszczało się po prostu pewne odpisy czy instrumenty wyłączające z podstawy opodatkowania części dochodu, instrumenty określane w Służbie zbiorczo mianem preferencji. Później, głównie dzięki Chrisowi Acquistipace’owi, David Wallace dowiedział się, że zadaniem Grupy ds. MPP / DMP była egzekucja pewnych specjalnych zapisów wprowadzonych ustawami z lat ’76 i ’80, mających zapobiec występowaniu sytuacji, w których niesamowicie bogate osoby fizyczne i spółki typu S nie odprowadzały w praktyce jakiegokolwiek podatku. Grupa kontroli pogłębianych, do której przydzielono Davida Wallace’a, była częścią Pawilonu Pogłębianych PA / RP (od podatków alternatywnych / rajów podatkowych). Powiedzieć wprost, ile czasu zajęło Davidowi Wallace’owi dojście do tego, nawet po kilku dniach pozornego przegłądania przez niego teczek, byłoby równoznaczne z postawieniem go w niezręcznej sytuacji.

– Zauważmy jednak, że ustawa z siedemdziesiątego ósmego dodała też do wykazu legalnych preferencji odliczenia kosztów

niematerialnych odwiertów eksploatacyjnych w kwocie powyżej wartości zgłoszonych dochodów z produkcji ropy i gazu, tym samym skutecznie uderzając w raje podatkowe sektora energetycznego w czasie kryzysu naftowego w połowie lat siedemdziesiątych; chodzi o paragraf trzysta dwanaście (n) wersji poprawionej Kodeksu.

David Wallace udawał, że robi notatki, przepisując po prostu każde słowo wypowiedziane przez instruktora, podobnie jak robił to na wykładach na studiach, kiedy ktoś, kogo z osobistego uczestnictwa wyeliminował wyjazd na narty albo ekstremalny kac, zamówił u niego notatki za pieniądze. Był to jeden z powodów, dla których lewa ręka Davida Wallace'a była dużo bardziej umięśniona i tęga – zwłaszcza mięsień pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, który się wybrzuszał, gdy ołówek przyciskał papier – od prawej. Przepisywał piorunem.

– Zapisy, które mają największe znaczenie dla waszych protokołów w druku dwudziestym, to ten, który w siedemdziesiątym ósmym podniósł marżę ZYPOO do piętnastu procent i wprowadził standardowe zwolnienie ZYPOO dla (a) trzydziestu tysięcy dolarów lub (b) pięćdziesięciu procent podatku należnego *wyłącznie za dany rok*, w zależności od tego, która suma jest wyższa, czego celowość wprawdzie udaremniają Zbiory Główne, ale w zapisach ustawy z osiemdziesiątego nic z tym nie zrobiono.

Jeden z gości z 13. szczeblem uniósł długopis (nie rękę, ale sam długopis, drobnym, rzeczowym ruchem nadgarstka) i zadał jakieś abstrakcyjne pytanie, którego David Wallace nie zanotował, ponieważ akurat na przemian otwierał i zamykał dłoń w celu złagodzenia objawów tego, co spotykało jego nadgarstek, kiedy transkrybował dłużej niż kilka minut, a mianowicie jego dłoń przybierała jakby automatycznie kształt pisarskich szczypiec i pozostawała w takiej pozycji po zakończeniu przepisywania, czasem nawet przez ponad godzinę, zmuszając go do ukrywania jej w kieszeni.

– Według stanu na marzec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego i z zastrzeżeniem możliwości podlegania zmian w przypadku funduszy powierniczych i pewnych specjalistycznych gałęzi przemysłu, takich jak, o ile nie zawodzi mnie pamięć, przemysł drzewny, cukrowniczy, wybrane rośliny strączkowe,

odpowiednie zapisy, pod których kątem ta grupa ma za zadanie obliczać ZYPOO, to, wyłączwszy sekcje Kodeksu niemające bezpośredniego zastosowania, które tak czy inaczej znajdziecie w waszych M1 pod czterysta dwanaście, (1) nadwyżka z amortyzacji przyspieszonej nieruchomości względem amortyzacji liniowej z sekcji tysiąc dwieście pięćdziesiątej; (2) w następstwie reformy z sześćdziesiątego dziewiątego nadwyżka z sześćdziesięciomiesięcznej amortyzacji degresywnej niektórych pozycji związanych z kontrolą zanieczyszczeń, opieką nad dziećmi, bezpieczeństwem w przemyśle wydobywczym i miejscami o szczególnym znaczeniu dla historii kraju względem ich amortyzacji liniowej; (3) nadwyżka będąca różnicą procentowego spadku wartości i skorygowanej podstawy naliczenia opodatkowania nieruchomości na koniec roku; (4) elementy okazji w opcjach kwalifikowanych według reformy z siedemdziesiątego szóstego; (5) nadwyżki KNOE względem zysku z wydobywania, jak wyżej. (David Wallace nie miał czasu, żeby patrzeć wyżej w notatkach. Starał się zakreślać słowa i terminy, których nie znał, licząc, że uda mu się znaleźć bibliotekę. Tej listy nie miał w podręczniku – nie dano im podręczników. Wyglądało na to, że oczekiwano od nich znajomości tego wszystkiego. Aby poradzić sobie z dezorientacją i strachem, Wallace postanowił mniej więcej przeobrazić się w automat do transkrypcji). (6) to nadwyżka wynikająca z zastosowania przyspieszonej amortyzacji w stosunku do amortyzacji liniowej w leasingu z sekcji tysiąc dwieście czterdzieści pięć.

Mężczyzna mówił, stojąc zupełnie nieruchomo. David Wallace nie przypominał sobie, żeby wcześniej widział kogoś, kto by się nie poruszył przynajmniej na parę nieświadomych sposobów, gdy mówił publicznie. Cieleśny bezruch zastanowiłby go jeszcze bardziej, gdyby nie opadły go taka panika i oszołomienie, a poza przemienieniem siebie w automat do transkrypcji David Wallace poświęcił się też drugiemu głównemu działaniu kompensacyjnemu, którego się chwycił, ilekroć znajdował się w jakimś pomieszczeniu i wydawało mu się, że wszyscy oprócz niego doskonale wiedzą, o czym mowa – co działo się w pewnych sytuacjach społecznych w liceum w Philo, w którym nie należał do żadnej określonej koterii, tylko trzymał się gdzieś na obrzeżach kilku różnych grup, poczynawszy

od drugorzędnych sportowców, poprzez samorząd studencki, po zapalonych szkolnych filmowców, w związku z czym często zdarzało mu się słyszeć plotki albo nawiązania do czegoś, w czym dana grupa uczestniczyła, na temat czego on nie miał bezpośredniej wiedzy, ale musiał stać i się uśmiechać, i potakiwać, jakby dokładnie wiedział, o czym rozmawiano. Albo ten raz, kiedy w absurdalnym, na wpół pijanym przypiływie pychy na pierwszym roku przyjął duże zlecenie, polegające na uczęszczaniu na kurs rosyjskiej literatury egzystencjalnej i absurdystycznej oraz pisaniu prac dla będącego słuchaczem tego kursu zamożnego i udręczonego syna sędziego Sądu Najwyższego Rhode Island, po czym odkrył, że poza tym, że lista lektur i najważniejszych opracowań składa się z rosyjskojęzycznych pozycji, to również same zajęcia odbywają się po rosyjsku, którego nie znał i w którym nie był w stanie wydukać choćby jednej sylaby, w związku z czym zmuszony był siedzieć z wielkim nieruchomym uśmiechem, fonetycznie transkrybując każdy nieziemsko brzmiący i niewiarygodnie szybki dźwięk wychodzący z ust wszystkich pozostałych osób w sali w każdy wtorek i czwartek, od 9:00 do 10:30, przez trzy tygodnie, dopóki nie wymyślił wiarygodnie brzmiącego pretekstu do wycofania się z umowy. Co pozostawiło klienta – jakkolwiek by było, zapisanego na kurs – samego z jego własnym, szczególnym dylematem egzystencjalnym. Chodzi tu o to, że tak właśnie David Wallace zachowywał się w podobnych sytuacjach, czyli przywoływał i utrzymywał za pomocą nagiej siły olbrzymi uśmiech, który w jego przekonaniu wyrażał beztroskę i oczywiste nadążanie, w rzeczywistości jednak, o czym nie miał pojęcia, sztywne wyszczerzenie tego uśmiechu bez zaangażowania oczu przy stanie jego cery dawało efekt bolesnego grymasu kogoś, komu powoli zdzierają skórę z twarzy, ale na szczęście dla niego wszyscy nowo przybyli kontrolerzy zeznań pogłębianych i specjalistów od rajów CTO 13. szczebla byli zbyt poważni i skupieni, i zaangażowani w słuchanie prezentacji o protokołach przeciwdziałania rajom – bo tym właśnie miała się zajmować grupa, jako członek której David Wallace został mylnie zidentyfikowany i włączony w jej skład, nie ze swojej winy (choć ta sesja orientacyjna być może była właściwym momentem na zgłoszenie wątpliwości), a więc kontrolą

i szacowaniem wartości rajów podatkowych wykorzystywanych przez osoby fizyczne i spółki komandytowe w nieruchomościach, rolnictwie i leasingu lewarowanym, co było niewielkim, ale poważnym elementem Inicjatywy Spackmana – żeby zajmowało to ich uwagę bardziej niż na zasadzie mającego na peryferiach ich pola widzenia nieprzyjemnego widoku, podobnie jak młody wiek Davida Wallace’a, jego sztruksowy garnitur (który w IRS był odpowiednikiem kostiumu pływackiego połączonego z butami klauna) i brak kapelusza.

Dot. / nie dot., wyświetlone z osobnego czarno-białego slajdu, przedstawiono jako całą ideę przewodnią i *raison* kontroli rutynowych.

– Czy jesteście glinami?

Pracownik z Kadr uniósł ręce i potrząsnął nimi, i odkrzyknął „Nieee”. To był ten sam chwyt na ewangelistę, który Sylvanshine widział w RCK w Filadelfii, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Kolekcja monet prezentera pomocniczego z Kadr była przechowywana w przenośnym sejfie na tyłach szafy jego matki lub babki, sądząc po fasonach sukienek i płaszczy na wieszaku.

– Strażnikami cnót obywatelskich?

– Nieee.

– Sadystycznymi biurokratami, arbitralnie decydującymi, którym podatnikom należy uprzykrzyć życie, skazując ich na działanie lęków i nieprzyjemności, jakie towarzyszą audytowi, usiłującymi wycisnąć ostatnią kroplę krwi z szyi, którą dociskacie butem?

– Nie.

– Ogólnie rzecz biorąc, w dzisiejszej IRS jesteście przedsiębiorcami.

– I przedsiębiorczyniami. Ludźmi biznesu. Czy raczej na usługach czegoś, co każe się wam postrzegać jako przedsiębiorstwo.

– Które zeznania przyniosą zysk po audycie?

– Jak to ustalić?

– Poszczególne grupy kontroli robią to na różne sposoby. Na orientacji w grupach poznacie szczegóły.

Pracownik pomocniczy:

– Lub w zespołach, bo niektórzy kierownicy grup mają tu różne zespoły przypisane do kontroli różnych kryteriów.

– Możecie właściwie wyobrazić je sobie jako filtry: co przechodzi, a co dostaje druk dwudziesty i skierowanie do okręgu.

– Albo jako znaki, flagi, przynajmniej w tym sensie, że niektórym zeznaniom należy się drobiazgowa kontrola.

– Nie będziecie ślęczyć nad każdym jednym zeznaniem z mikroskopem.

– Pracujecie rozsądnie, ale też szybko.

– A szybko to znaczy, że przy niektórych zeznaniach widzicie od razu, że tu audyt nic nie przyniesie.

– Oto wasze kryterium: czy audyt przyniesie jak największy wzrost po odjęciu jego kosztów?

– Także tego musicie się wyzbyć: wyobrażenia, że jesteście stróżami cnót obywatelskich.

– Jest jeszcze inne powszechne fałszywe wyobrażenie, które należy zignorować. Czy ktoś wie jakie?

David Cusk poczuł nagle ogromną, ale to potworną chęć podniesienia ręki. Wśród elementów jego strategii przetrwania w tłumie wychodzącym na przerwę do chwili, w której dostanie się do łazienki, było wytężone myślenie o ostatnim przeżroczu w projektorze, którego ostrości OS nie udało się w końcu dobrze ustawić, przedstawiającym stojące po przeciwnych stronach ekranu dwa biurka czy stoliki, jedno zasłane papierami i formularzami, a do tego kilkanaście przedmiotami, których jaskrawe kolory mogły świadczyć, że to opakowania po jedzeniu, a drugie uporządkowane i schludne, z rzeczami ułożonymi w równe stosy lub schowanymi do opisanych pojemników. Cusk był niemal pewien, że OS chciała podkreślić rolę organizacji i porządku, a także rozprawić się z wyobrażeniem, jakoby chlew na biurku był wizytówką produktywnego pracownika. Tymczasem nikt inny nie podniósł ręki. Znowu przyszło mu do głowy, żeby się zgłosić i sprawić, że OS wskazałaby go ponad wszystkimi obracającymi się głowami, zgłosić się na ochotnika, żeby znaleźć się w centrum uwagi wszystkich tych ludzi, w tym egzotycznej belgijskiej pracownicy na przeniesieniu albo emigrantki, której udało się mu nie spotkać w czasie przerwy, bo wrócił z niej wcześniej i w związku z tym nie wiedział, że

okulary tej kobiety są tak grube, że gdyby ją zobaczył, doszedłby do wniosku, że jest praktycznie ślepa, przynajmniej jeśli chodzi o widzenie przedmiotów w odległości większej niż trzy czy cztery stopy od niej, ani tego, że gałki oczne w okolicach źrenic ma wyschnięte i dziwnie pomarszczone, pełne spękań i szczelin, jak suche koryto rzeki, ani tego, że jest mniej więcej tak egzotyczna jak uliczny hydrant i mniej więcej tego samego kształtu, i nie obawiałby się tak bardzo, że będzie go postrzegać jako kogoś mokrego czy obficie się pocącego. W każdym razie okazało się, że miał rację:

- Błędne jest popularne wyobrażenie, że bałagan na biurku oznacza dobrego pracownika.

- Pożegnajcie się z myślą, że wasza funkcja tutaj polega na zbieraniu i przetwarzaniu jak największego zasobu informacji.

- Cały bałagan i nieporządek biurka po lewej wynika tak naprawdę z nadmiaru informacji.

- Bałagan to informacje bez wartości.

- Celem sprzątnięcia z biurka jest pozbycie się informacji, które nie są wam potrzebne, i zatrzymanie tych, których potrzebujecie.

- Kogo obchodzi, który papierek po cukierku leży na wierzchu którego dokumentu? Kogo obchodzi, która częściowo pomięta notatka sterczy spomiędzy dwóch stron Rozporządzenia Skarbowego, które odnosi się do teczki sprzed trzech dni?

- Pożegnajcie się z myśleniem, że informacje mają wartość.

- *Pewne* informacje mają wartość. Pewne w znaczeniu *niektóre*, nie w znaczeniu *stuprocentowo potwierdzone*.

- Każdy skoroszyt, który przeglądacie w rutynowych, będzie zawierał informacji *do przesytu* – powiedział pracownik z Kadr, wymawiając wyrażenie „do przesytu” z intonacją, która sprawiła, że Sylvanshine’owi zadrgały powieki.

- Waszym zadaniem przy każdym skoroszycie jest w pewnym sensie oddzielenie cennych, istotnych informacji od informacji, które są bez znaczenia.

- A to wymaga kryteriów.

- Procedury.

- Procedury przetwarzania informacji.

- Jeśli się nad tym zastanowić, okaże się, że wszyscy jesteście procesorami danych.

Kolejny slajd zawierał albo słowo w obcym języku, albo bardzo skomplikowany akronim, którego litery zapisano pogrubionym drukiem, z podkreśleniem.

– Poszczególne grupy i zespoły w obrębie grup kierują się nieco odmiennymi kryteriami, które stanowią wskazówkę, czego szukać.

Asystent z Kadr przerzucał zalaminowane kartki konspektu.

– W sumie mamy jeszcze jeden przykład tego z informacjami.

– Chyba to chwycili.

OS miała w zwyczaju komunikować zniecierpliwienie poprzez ustawianie jednej stopy prostopadle względem jej naturalnego położenia i wściekle przytupywanie.

– Ale to jest zaraz po tym biurku.

– Znacząco, ta talia kart?

– Kolejka do kasy.

Najwyraźniej myśleli, że ich mikrofony są wyłączone.

– Chryste.

– Kto z was potrzebuje jeszcze jednego przykładu różnicy między zbieraniem a *przetwarzaniem* informacji?

Cusk czuł się uspokojony i pewny siebie, tak jak zwykle po serii ataków, gdy jego układ nerwowy uległ już wyczerpaniu i trudno go było pobudzić. Czuł, że gdyby podniósł rękę i udzielił niewłaściwej odpowiedzi, to nie byłoby znowu aż takim problemem. „Wszystko jedno”, pomyślał. Takie „wszystko jedno” często przychodziło mu do głowy, kiedy czuł się pewny siebie, niezagrożony atakiem. Będąc w tym zadziornym, ekstawerycznym i hydrostabilnym nastroju, dwa razy zaprosił nawet kobietę na randkę, po czym później się nie pojawił lub nie zadzwonił o umówionej godzinie. Właściwie nawet zastanawiał się, czy się nie odwrócić i nie zwrócić się z jakąś wesołą i odrobinę flirciarską uwagą do tej utrapionej belgijskiej modelki reklamującej stroje kąpielowe – teraz, gdy nastąpiła poprawa, *pragnął* uwagi innych.

W wieku ośmiu lat Sylvanshine posiadał dane na temat enzymów wątrobowych i tempa postępowania atrofii korowej u swojego ojca, nie wiedząc jednak, co te dane oznaczają.

– No to powiedzmy, że jesteście w sytuacji zakupów w markecie, gdzie podliczają wasze produkty. Każdy produkt ma oczywiście swoją osobną cenę. Często znajduje się na produkcie jako nalepka,

czasami też z ceną hurtową podaną w narożniku, ale o tym może innym razem. Przy kasie kasjer nabija ceny każdego produktu, sumuje je, dolicza odpowiedni podatek obrotowy (nie progresywny, ten przykład ilustruje obecną sytuację) i dostaje łączną kwotę, którą wy następnie płacicie. Chodzi o to, gdzie macie więcej informacji: w łącznej kwocie czy w zestawieniu wszystkich cen indywidualnych, powiedzmy, że mieliście w przykładowym koszyku dziesięć różnych produktów. Oczywiście odpowiedź to, że zestawienie wszystkich indywidualnych cen to dużo więcej informacji niż pojedyncza liczba łącznej kwoty. Po prostu większość informacji jest nieistotna. Gdybyście płacili za każdy produkt osobno, to byłoby co innego. Ale tak nie robicie. Informacja o cenach pojedynczych rzeczy ma wartość wyłącznie w kontekście łącznej kwoty; tak naprawdę kasjer zajmuje się eliminowaniem informacji. Zjawiacie się przy kasie z całą masą informacji, które kasjer przepuszcza przez procedurę po to, żeby otrzymać jedyną informację, która ma wartość: sumę plus podatek.

- Porzućcie popularne wyobrażenie, że informacja jest czymś dobrym. Że im więcej informacji, tym lepiej. Książka telefoniczna ma w sobie mnóstwo informacji, ale kiedy szukacie jakiegoś numeru telefonu, to dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent tych informacji po prostu wam zawadza.

- Informacja jako taka jest tylko pewną porcją bezład.

Na te słowa głowa Sylvanshine'a podskoczyła.

- Sednem danej procedury jest opracowanie i zredukowanie informacji w waszym skoroszycie do informacji, które mają wartość.

- Jest jeszcze kwestia jak najefektywniejszego wykorzystania czasu. Nie będziecie poświęcać tyle samo czasu każdej teczce. Zależy wam na tym, żeby poświęcić jak najwięcej czasu teczkom, które wyglądają najbardziej obiecująco pod kątem wpływów netto.

- Wpływy netto to termin, którym określamy dodatkowe wpływy wygenerowane przez audyt minus koszt audytu.

- Inicjatywa przewiduje ocenę kontrolerów zarówno na podstawie sumy wpływów netto, jak i stosunku sumy dodatkowych wpływów do łącznego kosztu zleconych audytów, w zależności od tego, które wypadnie mniej korzystnie.

– Ten współczynnik jest po to, żeby sobie czasem jakiś burak nie pomyślał, że podbije sobie netto, jak przywali dwudziestkę na każdej teczce, którą mu rzucą do tingle'a.

Cusk pomyślał: kontroler, który nie dołączy druku 20 do żadnej teczki, będzie miał współczynnik 0/0, czyli nieskończoność. Ale suma dodatkowych wpływów, po zastanowieniu, także wynosiłaby 0.

– Chodzi o wykształcenie i implementowanie procedur, które pozwolą wam ustalić najszybciej, jak się da, czy dana teczka zasługuje na bardziej wnikliwą kontrolę....

– ...ta wnikliwa kontrola to pewien typ czy pewne typy procedur w połączeniu z waszą własną kreatywnością oraz instynktem, który pomaga wam zwęszyć zwierza...

– ...choć na początku służby, kiedy się jeszcze nabiera doświadczenia i szlifuje umiejętności, będziecie się naturalnie opierać na pewnych sprawdzonych procedurach...

– ...z których całe mnóstwo wygląda trochę inaczej w każdej grupie czy zespole.

– Więc nieścisłości wychwycone na podstawie Zbiorów Głównych to jedna z nich. To raczej jasne. Rozbieżność pomiędzy W-2, tysiąc dziewięćdziesiąt dziewięć a zadeklarowanym dochodem. Niezgodność między deklaracją stanową a tysiąc czterdzieści...

– Pytanie: o ile? Do jakiej kwoty niezgodności przymykamy po prostu oko?

– O tego rodzaju kwestiach usłyszycie na orientacji w grupach.

Sylvanshine wiedział teraz, że dwie osobne pary nowych skorków były, nie wiedząc o tym, spokrewnione – jedna z nich w następstwie romansu pięć pokoleń temu w Utrechcie.

David Cusk czuł się teraz tak odprężony i niezależny, że było mu wręcz sennie. Dwoje trenerów wpadało czasami w rytm i zgodną naprzemienność, które działały uspokajająco i kojąco. Cusk poczuł lekkie zdrętwienie w okolicy kości ogonowej, bo siedział przechylony do tyłu, płaszcząc koniec kręgosłupa na krześle i opierając łokieć bez skrępowania na rozkładanym blaciku, którego lampka nie przysparzała mu większego zmartwienia niż prognoza pogody dla odległego obszaru.

– Kto zanotował szczególnie duży spadek zysków albo wzrost odliczeń w porównaniu z poprzednimi latami? To tylko przykłady.

– Duża rzecz: u kogo przeprowadzono owocny audyt w ciągu ostatnich pięciu lat? To się pojawia na niektórych wydrukach z Martinsburga, nie na wszystkich.

– ...Czasami trzeba zawnioskować o wyciągnięcie dodatkowych danych ze Zbiorów Głównych.

– Ale stosujcie umiar. Wystrzegajcie się myślenia, że zawsze przydałoby się wam więcej informacji. Można się w nich utopić.

– Do tego kosztują.

– Poznajcie się ze swoim boyem wózkowym. Wasz boy wózkowy to pracownik siódmego szczebla, który jest łącznikiem między kontrolerami a Pionem Technicznym, gdzie mogą wam wydobyć dodatkowe informacje ze Zbiorów Głównych, jeśli wypełnicie formularz zamówienia DR-104.

– Nie wszyscy z nich to chłopcy. „Boy wózkowy” to bardziej termin historyczny.

– Plus zajmują się obiegiem teczek, przede wszystkim zbieraniem przerobionych teczek i napełnianiem wam skrzynki przychodzących.

– Nie przynoszą przekąsek i nie są na posyłki.

Cusk zastanawiał się nad ewentualnymi zaletami roli wózkowego, w razie gdyby rola kontrolera okazała się zbyt niebezpieczna z uwagi na zagrażające ataki i trudności związane z opuszczeniem pomieszczenia. Wyglądało na to, że boye wózkowi są praktycznie w ciągłym ruchu, a ciągły ruch oznaczał ciągłe szanse wymykania się do łazienki w celu skontrolowania sytuacji i ocierania potu z czoła. Z drugiej strony wiązało się to prawdopodobnie z dużym spadkiem zarobków. Cichy bulgoczący hałas dochodzący do Cuska z tyłu w pięciominutowych odstępach był dźwiękiem autonawilżacza do oczu w okularach Toni Ware.

– Waszych wózkowych poznacie na orientacjach w grupach i zespołach.

– Inne ogólne przykłady: czyje przedsiębiorstwo operuje głównie gotówką?

– Kto ma nietypowo wysokie odpisy z tytułu darowizn w porównaniu ze średnią dla jego progu dochodowego?

– Kto się rozwodzi? Z powodów, które bliżej wyjaśnią wam później, jeśli to się odnosi do prac waszych grup, rozwody na ogół generują niezwykle wysokie wpływy przy audycie.

– Częściowo z powodu likwidacji aktywów, częściowo dlatego, że proces sądowy często rzuca dużo światła na sytuację od strony potencjału audytowego, tak że nie ponosimy kosztów czasowych i pieniężnych odkrywania na przykład ukrytych dochodów.

– Kto ma ponadprzeciętnie wysokie odpisy amortyzacyjne, które powinny się zakończyć po kilku latach? Ponad czterdzieści procent ulg z tytułu przyspieszonej amortyzacji na tysiąc czterdziestkach jest nielegalne, a przynajmniej można je zakwestionować w audycie.

– To wszystko tylko drobne, wrywkowe przykłady kryteriów.

– Nie da się stosować ich wszystkich, nie wyrabialibyście się z teczkami w czasie.

– Niektóre zespoły sprawdzają każdą teczkę w kontekście zeznań z dwóch poprzednich lat. Nazywa się to interwałami. Szuka się dużych spadków dochodów albo skoków w odpisach.

– Pewną rolę odgrywa intuicja. Czujecie, że coś śmierdzi. Możecie uzasadnić dodatkowy czas poświęcany na czyjąś teczkę.

– To wielka przewaga kontroli z wykorzystaniem ludzi. Intuicja, kreatywność.

– Niektórzy mają szczególny dar węszenia zwierza.

– To nie żadna zgaduj-zgadula stoi za wynikami we wpływach netto niektórych znakomitych kontrolerów, niektórych zatrudnionych na tej placówce...

– Zwierza, za którym warto gonić.

§28

10 praw personelu IRS

Wszyscy kontrolerzy 9. szczebla chcą być kontrolerami 11. szczebla. Wszyscy kontrolerzy 11. szczebla chcą być audytorami. Wszyscy z Należności chcą być w dochodzeniówce. Wszyscy audytorzy chcą być komisarzami ds. odwołań lub nadzorcami. Wszyscy z dochodzeniówki chcą robić cokolwiek, co nie wiąże się z kontrolą w terenie. Niektórzy spośród komisarzy ds. odwołań chcą być kierownikami grupy. Wszyscy kierownicy grup chcą być zastępcami dyrektora okręgu, o ile nie marzą, by znów być kontrolerami i siedzieć samotnie przy biurku, nieniepokojeni przez nikogo. Wszyscy zastępcy dyrektora okręgu chcą być dyrektorami okręgu – na takich, którzy mówią, że nie chcą, należy uważać. Niektórzy dyrektorowie okręgów chcą być DRCK albo DRCO, albo komisarzami regionalnymi, choć akurat wszystkie te stanowiska pochodzą z politycznego nadania, tak że wszystko, co dyrektor okręgu może zrobić, to postarać się, by wyniki jego okręgu prezentowały się bardzo dobrze, i liczyć, że ktoś zauważy. Wyniki to stosunek uzyskanych wpływów z podatków kontra wydatki okręgu. To zysk netto okręgu. Kodeks Służby jest bardzo prosty, jak mówią ZDO, gdy otaczają DO i wspólnie spiskują: forsy w bród albo kaput; generuj albo giń; napełniasz rezerwuar albo *au revoir*. *Au revoir* niemal zawsze oznacza placówkę na głuchej prowincji.

§29

- Mam tylko jedną prawdziwą historię z gównem. Ale to perełka.
 - Dlaczego z gównem?
 - Co takiego jest w tym gównie? Odpycha nas i fascynuje.
 - Mnie nie fascynuje, zapewniam cię.
 - Jest jak wypadek na drodze, nie jesteś w stanie oderwać wzroku.
 - Moja wychowawczyni w czwartej klasie nie miała rzęs. Pani Jakjejtam.
 - Wiesz, mnie też się nudzi, ale dlaczego zaraz gówno?
 - Moje pierwsze wspomnienie z gównem dotyczy psiej kupy. Pamiętacie, jakim zagrożeniem była w dzieciństwie psia kupa? Mogła być wszędzie. Za każdym razem, jak się bawiło na dworze, ktoś w nią wdepnął, i wtedy wszystko zamierało i ktoś mówił: „Okej, kto wdepnął?”. Wszyscy sprawdzają sobie buty i jak nic ktoś to ma.
 - Wprasowane w podeszwę. W protektor.
 - Niemożliwe do wydrapania.
 - Świeża była zawsze mokra i żółta, i ohydna. Najohydniejsza. Ale stare wchodziły głębiej w podeszwę. Musiałeś odstawić buty na bok, żeby wyschło, a potem próbować wydrapać z zagłębień podeszwy patykiem albo starym zardzewiałym nożem z garażu.
 - Która godzina?
 - Niby co takiego mamy w tym widzieć? Ktoś mógłby zwyczajnie przejechać obok.
 - Ale i tak nigdy nie wyłaziło do końca. Mogłeś drapać i drapać. Musiałeś włożyć podeszwę pod kran i to zmoczyć, i wtedy próbować wydrapać resztę.
 - W garażu zawsze były stare zardzewiałe noże stołowe, puszki po kawie pełne wkrętów i gwoździ, i drobnych wihajstrów, co nikt nie wiedział, do czego służą.
 - I jak się okazało, że ktoś to ma na bucie, ta osoba zyskiwała nagle jakąś okropną moc.

– Nikt nie chciał się z nią zadawać, dopóki tego nie usunęła.
– I radocha gotowa. Znajdź niepasujący element.
– Tak jakby to była jego wina, chociaż wszyscy graliście właśnie w futbol albo ganialiście po podwórku w wakacje czy cokolwiek, no i ktoś miał tego pecha, że wdepnął. Nagle robi się tak, jakby nie tyle wdepnął w gówno, ile *stał się* gównem.

– Właśnie tak okrucieństwo w grupie dzieci krąży i zmienia kierunek, w każdej chwili możesz zostać celem, każdy co chwila w nowym położeniu; teraz ty się pastwisz, za chwilę sam jesteś ofiarą okrucieństwa innych.

– A już nic nie pobije tego, jak ktoś się posikał albo popuścił w majtki przy grze w bejsbol albo zabawie w dezertera, wszystko jedno, bo się tak podrajcował albo nie chciał opuścić gry nawet na chwilę, żeby nie stać się obiektem pogardy i kpin. Już zawsze potem było się dzieciakiem, który się zesrał w majtki przy grze w dezertera, tak że wystarczyło, że ktoś tam coś kilka razy powiedział, żeby wszyscy wiedzieli, że to ty nim byłeś, i mogły minąć całe lata, to mogła być nawet studniówka, a i tak wszyscy kojarzyli cię jako dzieciaka, który zesrał się w majtki w sześćdziesiątym pierwszym.

Nikt się nie odzywał. Odgłos obracających się szpul był jedynym dźwiękiem. Mgła sprawiała, że latarnie wyglądały upiornie. Była czwarta godzina trzeciej zmiany w komórce ścigania przestępstw podatkowych na obserwacji terenowej w Peoria Hobby n'Coin. Nie wiało; mgła zwyczajnie wisiała.

– Ale to była też jakaś straszliwa moc, kiedy się weszło w kontakt z gównem; było się pośmiewiskiem, ale mogłeś też odpychać od siebie ludzi, jak tylko ruszyłeś w ich stronę, wystawiając część, która miała kontakt z gównem, mogłeś sprawić, że wiali w popłochu.

Dwóch młodszych agentów miało złożone okulary przeciwsłoneczne, zaczepione teraz jednym zausznikiem o kołnierzyk koszuli.

– Dziecięca obsesja na punkcie gówna i psich gówien, i kontaktu z gównem musi mieć związek z treningiem czystości we wczesnym dzieciństwie, którego w tym wieku nie mają jeszcze tak daleko za sobą.

– To mogła być trzecia klasa. Długo się zastanawialiśmy, co jej się stało, że ma takie świńskie oczy. Bez rzęs. Miała włosy, na głowie, i brwi, ale jej oczy były świńskie i bez rzęs, niebieskie.

Czasami między jedną a drugą uwagą potrafiły upłynąć całe dwie minuty. Było dziesięć po drugiej w nocy i nawet osobiste tiki agentów były powolne i miały w sobie coś podwodnego.

– A jak już przy tym jesteśmy, to pamiętacie, jak w liceum zbierało się w męskim towarzystwie i chodziło o to, żeby obrazić nawzajem swoje matki, że spałeś z jego matką i jak to była do niczego, i nie można jej było dogodzić? Jak myślicie, o co w tym chodziło? Seksualność własnych matek jako problem, właśnie kiedy wszyscy wkraczają w dojrzewanie.

– Moja główniana historia. Gramy w chowanego, bandą dzieciaków z sąsiedztwa, na dworze zmierzcha. Biegnę do bazy i potykam się o dekoracyjne szczapy, które ktoś ułożył wzdłuż swojego podjazdu, lecę głową naprzód, wyciągam ręce przed siebie, żeby jakoś zamortyzować upadek, i jak myślicie, co się dzieje?

– Nie mów.

– Tak. Obiema rękami prosto w wielkie świeże żółte łajno. Którego zapach niemal czuję jeszcze teraz.

– Jezu, nie buty, tylko dłonie. Osobista skóra.

– Żebyś wiedział. Mam może kilkanaście żywych, wrytych w pamięci wspomnień z wczesnego dzieciństwa; to jedno z nich. Dotyk, kolor, sposób rozprowadzenia, zapach uderzający w nos. Wyłem, wrzeszczałem i oczywiście wszyscy się zbiegają, i jak tylko to widzą, sami zaczynają wrzeszczeć i robią zwrot o sto osiemdziesiąt, uciekają przede mną, a ja jednocześnie płaczę i ryczę, jak jakiś straszliwy gówienny potwór, i gonię ich, przerażony i pełen odrazy, ale też jakoś pod tym wszystkim jakby upojony moją rolą potwora, dzięki której byłem w stanie sprawić, że wszyscy krzyczą z przerażenia i uciekają do domów, na których gankach właśnie zaczynają się zapalać światła, a te małe pseudolatarenki przy podjazdach włączają się na automatyczny timer; to ta pora dnia.

– Dłonie są wyjątkowo blisko wyobrażenia osoby na temat własnej tożsamości, tego, kim się jest. Pod względem bliskości przebija je chyba tylko twarz.

– Na mojej twarzy nie było psiego gówna. Wyciągnąłem ręce prosto przed siebie, żeby trzymać dłonie tak daleko, jak to tylko możliwe.

– To jeszcze bardziej upodobniło cię do potwora. Potwory prawie zawsze trzymają ramiona wyciągnięte przed siebie, gdy cię gonią. Sam bym wiał, aż by się kurzyło.

– I wiali. Pamiętam, że z jednej strony krzychałem z przerażenia, tak samo jak oni, a z drugiej jednocześnie ryczałem upojony własną potworowatością, gdy goniłem najpierw za jednym, a zaraz potem schodziłem mu z ogona i biegłem za kimś innym. Na drzewach były cykady i wszystkie wrzeszczały rytmicznie, a przez otwarte okno było słychać czyjeś radio, pamiętam, jak moje dłonie waliły i jak już nie przypominały wcale moich dłoni, i to, że nie miałem pojęcia, jak teraz otworzę drzwi bez zostawiania na nich gówna czy jak choćby naciśnie dzwonek. Usrałbym dzwonek własnych rodziców.

– I co zrobiłeś?

– Jezu, co zrobiła twoja mama? Krzychała? Stałaś na zewnątrz, jęcząc i kopiąc w drzwi, próbując zadzwonić łokciem.

– Nasz dom miał kołatkę. Miałbym przewalone.

– Założę się, że kilkoro z pozostałych dzieciaków patrzyło z domów przez uchylone firanki okna od ulicy, jak zataczasz się od domu do domu i jęczysz, z rękami wyprostowanymi jak Frankenstein.

– To co innego niż but, który możesz zdjąć.

– Mam historię z gównem, ale nie jest sympatyczna.

– Nie pamiętam. To wspomnienie kończy się na gównie i moich dłoniach, jak gonię wszystkich, co mnie dziwi, bo do tamtego momentu wspomnienie jest niesamowicie jasne. Później po prostu się urywa i nie wiem, co było dalej.

– Przypuszczam, że nie opowiadałem wcześniej, jak w Bradley trzymałem się z tą bandą dziwnych koleś i jak na trzecim roku robiliśmy ten obłądny numer z włamywaniem się ludziom do pokoju i przytrzymywaniem gościa, kiedy Gruby Marcus Pożyczacha siadał mu na twarzy.

– Chybabym zapamiętał.

– To było w Bradley; znacie te odjechane historie, w które się człówek pakuje. Było nas pięciu czy sześciu i ta bezsensowna

historia wzięła się stąd, że mieliśmy taką tradycję, że szliśmy przez akademik pierwszorocznych koło czwartej nad ranem i znajdowaliśmy czyjeś niezamknięte drzwi, i wpadaliśmy wszyscy, przytrzymywaliśmy gościa na łóżku, a Gruby Marcus Pożyczacha spuszczał gacie i siadał mu na twarzy.

– ...

– Nie było jakiegoś powodu. Po prostu uważaliśmy, że to niezłe jaja.

– Gruby Marcus Pożyczacha?

– Ogromny gość z przedmieść Chicago. Chorobliwie wielki. Zawsze miał kasę i pożyczał, i prowadził rachunki w specjalnej małej księdze. Bardzo skrupulatny buchalter, był w stanie codziennie układać się z dłużnikami bez kalkulatora. Nigdy po prostu Gruby Marcus, zawsze „Pożyczacha”. Był Żydem, ale nie sądzę, żeby to miało jakiś związek. Po prostu to był jego sposób na sfinansowanie sobie szkoły po tym, jak rodzice odcięli mu fundusze; to nie była jego pierwsza szkoła, chociaż niezbyt dobrze pamiętam jego historię.

– Skąd to siadanie na twarzy?

– Cały urok był w tym, jakie to było odjechane. Tyle umiem powiedzieć. To było po prostu coś, co zaczęliśmy robić. Dziwnie mi się robi, nawet jak myślę, jak to opisać.

– A co na to gość w łóżku?

– Gość w łóżku nie miał się wygodnie, tyle ci mogę powiedzieć. To wszystko szło bardzo szybko, tak że wpadaliśmy i byliśmy nad gościem, zanim zdążył się obudzić. Każdy z nas chwycił go za kończynę i w jednej zasranej sekundzie Gruby Marcus Pożyczacha z opuszczonymi gaciami siedział już gościowi na twarzy i siedział tak, póki dzieciak w łóżku nie zaczynał się dusić. Wtedy wylatywaliśmy stamtąd tak szybko, jak wpadliśmy. To było ważne w całej zabawie, tak że gość w łóżku pewnie nawet nie wiedział, czy to się stało naprawdę, czy to był koszmar czy jaka cholera.

Było niedaleko do Duchoty; mgła zwiastowała burzę nadciągającą od strony rzeki. Nawet powietrze stało na baczność. Dwie starsze kobiety z biustami jak parapety zaglądały przez witrynę sklepu numizmatycznego.

Wszyscy mieli nieświadome nawyki, z których może tylko Hurd, jako nowy, zdawał sobie w pełni sprawę. Nawyk agenta Lumma na obserwacji w terenie polegał na nieświadomym obieraniu, za pomocą przednich zębów, niewielkiego fragmentu martwego naskórka z wargi, umieszczaniu go na końcu języka i posyłaniu go podmuchem gdzieś poza zasięg wzroku, gdzie lądował. Hurd widział, że Lumm zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Gaines mrużył oczy powoli, w bezmyślnie zastygły sposób, który przypominał Hurdowi widok jaszczurki siedzącej na niedostatecznie ciepłym kamieniu. Todd Miller miał na sobie sztruksową kurtkę z kołnierzem z baranka, której lewy rękaw podnosił i opuszczał; Bondurant spoglądał w punkt między swoimi butami na podłodze furgonetki, jak gdyby to była przepaść. Hurdowi wydało się niewiarygodne, że nikt nie pali. On sam był nieskończonym katalogiem tików i przyruchów.

Jeden z agentów na okresie próbnym, którego okulary przeciwsłoneczne wisiały zaczepione o kołnierzyk, miał martensy z dwunastoma rzędami dziurek, które Hurd zdążył policzyć kilkakrotnie.

– Jak Marcus Pożyczacha wciągał spodnie, skoro wszyscy wybiegaliście?

Nastąpiła długa cisza, w trakcie której Bondurant zmierzył Gainesa takim wzrokiem, jakby chciał go zabić. Gaines powiedział:

– Próbowaleś się kiedyś ubierać i biec naraz? Nie da się.

– Gość myśli, że to może był sen, do momentu, kiedy wstaje, żeby się ogolić, i widzi rozplaszczony nos i odbitkę dupska na twarzy.

– Krzyczał?

– Takim stłumionym krzykiem to wszyscy krzyczeli. Pewnie, że krzyczeli. Tylko że to, przez co krzyczeli, tłumilo też ich krzyki.

– Dupsko jakiegoś tłustego faceta opada i zatyka im twarz.

– Szybkość i cisza były podstawą operacji i to się liczyło, bo to w pewnym sensie podpadało pod włamanie i napaść, a Grubego Marcusa wylali już z co najmniej jednego miejsca, a żadnego z nas nie, że tak to ujmę, w kolejce po nagrodę dziekana, no a nie zapominajmy, że rok był siedemdziesiąty pierwszy i komisja poborowa praktycznie pukała do drzwi od razu, jak wyleciałeś.

– To dlatego Bondurant był na wojnie. W Wietnamie.

– Byłem księgowym od G-2 w Sajgonie, kutafonie. To nie to samo co być na wojnie.

– Ale mówisz, że to za to cię wzięli do woja? Za napadanie na świeżaków za pomocą zadka grubego Żyda?

– Mówię tylko, że to było coś, co zaczęło się wydarzać i co udawało nam się odstawić w wielu operacjach we wszystkich korytarzach młodszych roczników, ze stuprocentowym współczynnikiem powodzenia, aż do dnia, kiedy się okazało, że niezamknięte drzwi, na które trafiliśmy, należą do tamtego dzieciaka, *Diabla*, tak go wszyscy nazywali, do Diabla Leworęcznego Surrealisty, tego portorykańskiego graficiarza na stypendium, z Indianapolis, co był jakiś pomyłony, co na przykład stracił robotę na stołówce wydziałowej, bo jednego dnia przyszedł, byliśmy prawie pewni, na kwasie i na wszystkich stołach położył same noże, i miał wizje, i malował te świecące kolczaste katolickie graffiti na murach magazynów nad rzeką, i był pomyłony, Diabło Leworęczny Surrealista.

– Nie było u ciebie na studiach nikogo z normalnym imieniem, jakiegoś Joego albo Billa?

– Z którym na ogół nikt nie zadzierał, bo był walnięty jak pieprzona langusta, ten mały pięćdziesięcikilowy latynoski gnojek z któregoś *barrio* w Indianapolis, ale do tego czasu nasza operacja była precyzyjnie działającym mechanizmem, zorientowanym na szybkość, plus nikt nawet nie skapował, kogo tam mamy, dopóki nie wpadliśmy do środka i nie zajęliśmy pozycji wokół łóżka. Pamiętam, że trzymałem lewą kostkę, a Gruby Marcus stał na łóżku, rozpinając pasek i osadzając stopy po obu stronach najczęściej poduszki gościa, tyle że ten dzieciak nie używał poduszki ani w ogóle pościeli; był tylko goły materac z akademika, w te paski.

Jedyną naprawdę grubą osobą, jaką w życiu poznał Gestic Hurd, był pracownik 9. szczebla w kontrolach specjalnych na placówce w Oneida, który spędził całe dwa lata, przez które Hurd miał z nim styczność, na audycie wstecznym tak małego i wyspecjalizowanego lokalnego przedsiębiorstwa, że produkowało wyłącznie ścianki z tektury falistej do pudełek, w których przewożono bardzo określony rodzaj małych żarówek, używanych w malutkich mosiężnych lampkach, które montuje się na ramkach obrazów

pokazywanych w zabytkowych domach czy wieszka często w rustykalnych restauracjach.

– Co powinno było nas uczulić na potencjalne kłopoty, a na dodatek Diabło Leworęczny Surrealista wyglądał na już obudzonego, kiedy wparowaliśmy do środka, i nie zerwał się ani nie krzyknął, ani nie przecierał oczu, ani się nie miotął i nie walczył, kiedy wparzyliśmy i każdy złapał za jego kończynę, a Gruby Marcus Pożyczacha wlaź na łóżko i zaczął opuszczać wielgachne białe dupsko na twarz Diabła; leżał sobie po prostu bardzo spokojnie, a oczy błyszczały mu latynoską przebiegłością i ogólnym popapranieniem. Nie chcecie nawet słyszeć o wystroju, czego tam nie było na ścianach; gdyby pozwoliło na to surrealistyczne tempo operacji, gdybyśmy zwrócili chociaż odrobinę uwagi na pokój albo minę na twarzy chopaka na materacu, tobyśmy się może zatrzymali, zrobili szybkie rozpoznanie i oszczędzili sobie masy kłopotów, i zostali w szkole, zamiast spędzać pieprzony rok w Sajgonie, ucząc się rachunkowości zaopatrzeniowej. Czego nie życzyłbym nawet psu.

Szpule obracały się powoli, wydając cichy potrójny syk. Miny agentów IRS przypominały te na twarzach skautów w trakcie opowieści przy ognisku. Krótkie szarpnięcie taśmy mikrofonu wejściowego nie wywołało niczyjego komentarza.

– Zaczekał, aż tyłek Grubego Marcusa Pożyczachy znajdzie się tuż nad nim, aż dotknie jego twarzy, ale nie całym ciężarem, a wtedy wierzgnął i wgryzł się Grubemu Marcusowi w dupsko. I nie mówię tu o miłosnym podgryzaniu, tylko o pełnym zatopieniu przednich zębów, w stylu dobermana, w krzywiznę pośladka zadu Marcusa, tak że nawet z mojego miejsca przy kostce widziałem, jak po brodzie Surrealisty spływa krew i jak się napina zad Grubego Marcusa Pożyczachy, kiedy wierzgnął i wydał okrzyk, że aż szyby się zatrzęśły, i odepchnął dwóch gości, którzy trzymali Diabła Leworęcznego Surrealistę za ramiona, na ściany, gdzie Latyniak ustawił rząd masek bez oczu, które pospadały i narobiły hałasu, i widziałem okropną scenę, jak ten niewiarygodnie otyły gość wyrывa się to wte, to wewte i jak całym swoim ciężarem próbuje wyrwać dupsko z zębów Diabła Leworęcznego Surrealisty, który – proszę szanownych panów – nie puszczał, szczeniak był jak jaszczur

gila, nawet kiedy Gruby Marcus ciągnął go obiema rękami za dziurki w nosie, żeby go oderwać od tyłka, a główny sługus Grubego Marcusa, czyli Marvin „Sługus” Flotkoetter, schylił się i gryzł Diabła Leworęcznego Surrealistę w ucho i policzek, żeby go zmusić, żeby puścił, tak że on i Diabło obaj warczeli, i widziałem, jak Diabło potrząsa głową, usiłując wyszarpać kawał tyłka Grubemu Marcusowi, a jego nos i ucho krwawia, i krew dosłownie tryskała, ale tak *tętniczo* tryskała we wszystkich kierunkach z zadu Marcusa na materac i jego spodnie, i Gruby Marcus walnął kupę ze strachu i z bólu, a jego wrzaski sprowadziły wszystkich w piżamach i bieliźnie, i kremie na pryszczę, i aparatach na zęby pod wciąż otwarte drzwi, przez które zobaczyli coś, co wyglądało, jak skojarzyliśmy oczywiście później, bo wtedy nikt z nas nie miał jeszcze o tym pojęcia, jak nieudany więzienny gwałt zbiorowy.

§30

– Zastępca DO to typ człowieka z ludu. Ale jak najbardziej chłopak Glendenninga. 907313433, z pełnymi uprawnieniami rewidenta, ten Sheehan, trzynasty szczebel, dziewięć lat na pokładzie. Jeździł na audyty z Okręgu Dziesiątego w Chicago, zanim dostał powołanie. Przyszedł razem z Glendenningiem. Taki jego człowiek od brudnej roboty, bardzo wylewny, dusza człowiek, zawsze uśmiech dla każdego, ale oczami przewierca cię na wylot. Spotkania z Wewnętrznyimi. Nie jest powszechnie lubiany. Plus nadaje się na ilustracje katalogów modowych. Wygląd prawie jak u najprawdziwszych spoko gości z siedemdziesiątych. Bardzo taki, jeśli wiesz, co mam na myśli, modziarski.

Słysząc było, jak Reynolds robi coś niezwiązanego z rozmową.

– Znaczą bokobrody, dzwony, jasnoniebieska dżinsowa koszula. Mała skórzana obroża na szyi. Pełny pakiet.

– Oszczędź nam Pana Blackwella, Claude.

– Zdecydowanie chłopak Glendenninga. Ale na swój sposób także pełnokrwista jednostka. Wszystkie oceny pracy powyżej ośmiu. Ani jednej siódemki. Mianowany na jedenasty szczebel w siedemdziesiątym siódmym na polecenie niezależnej Rady ds. Awansów; Glendenning nie miał z tym nic wspólnego. Ale tak czy inaczej, chłopak Glendenninga.

– Czyli będzie się sprzeciwiał?

– To wdrożeniowiec. Zarządzanie wybrał sam; ubiegał się. Jeżeli sprawy ruszą normalnymi kanałami, nie będzie się sprzeciwiał. Ale pomagał też nie będzie. On wdraża.

– Z tego, co mówisz, Glendenning ma sporo swoich chłopców w zeroczterdziestcesiódemce.

Nieznaczące podwyższenie głosu i wydłużenie słów u Reynoldsa wskazywało na wiązanie krawata.

– Glendenning cieszy się silnym poparciem kierowników grup. Rosebury i Danmeyer w Kontrolach i Kwartalnych mogli przyjść jeszcze razem z nim, ich okresy pracy w Syracuse się pokrywały, ale

reszta była tu, zanim Glendenning się rozochocił. Jeszcze nie ma jasności, na ile to poparcie jest polityczne, a na ile szczere, co by nam dało jakieś pojęcie o statusie Glendenninga jako rozgrywającego w zeroczterdziestcesiódemce. Nie udało mi się wycisnąć z nikogo choćby osobistego złego słówka na jego temat. Oczywiście to może oznaczać różne rzeczy.

– Nie musisz nam mówić, co pewne rzeczy oznaczają. – Żadnego wzburzenia w głosie. Duża szara motorola Reynoldsa miała przyłączony skrzypcowy podbródek, dzięki czemu mógł ją trzymać samą brodą, uwalniając obie ręce, co dla Sylvanshine’a, ilekroć próbował tak robić ze swoją, kończyło się tym, że albo zapominał i poruszał głową w niewłaściwy sposób, tak że telefon spadał na podłogę i się rozbijał, przez co musiał tracić czas na kombinowanie, jak tu zawnioskować o czwarty z rzędu telefon służbowy w ciągu roku, albo czuł dżganie gdzieś w okolicach łopatki. Trzymał słuchawkę zwykłego telefonu z tarczą na przyciski w jednym ręku i obgryzał martwy naskórek przy paznokciu kciuka, przewracając kartki na podkładce z klipsem.

– Nie wiem, czy uwierzysz, ale Chaney na ścianie gabinetu ma zdjęcie z Glendenningiem.

– Chaney.

– Julia Drutt Chaney, czterdzieści cztery lata, dziesiąty szczebel. Numer 952678315, kierownik administracyjna w zeroczterdziestcesiódemce B, na drugim końcu kompleksu. Duża, duża kobieta. Ogromna. Gabaryty Stanton, jeśli pamiętasz ją z Philly. Wyobraź sobie kobiety w muumuu. Gdy ją widzisz, to wygląda, jakby kilka kobiet zamieszkiwało jedno ubranie. Duże czerwone policzki. Ale nie w ciemną bita. Ocena...

– W zeroczterdziestcesiódemce B interesują nas tylko Audyty, zresztą jako sprawa drugorzędna.

Sylvanshine usiłował sobie przypomnieć nazwisko nauczyciela uczącego go w drugiej klasie, którego postać znalazła się na końcowym przystanku długiego łańcucha swobodnych myśli, a choć zdążył już zapomnieć pośrednie stacje tego łańcucha, to wiedział, że u jego początku leżały manewry, dzięki którym Reynolds załatwił sobie pozostawanie w DC i Martinsburgu przez kilka tygodni i miał dojście do ucha Mela Lehrla, ponieważ zaproponował, że będzie

analizował wstępne raporty Sylvanshine'a z terenu i redukował je dla Lehrla do istotnych układów faktów, zanim w końcu dołączy do Claude'a w tym okropnym miejscu, gdy wyczerpią mu się wszystkie strategie.

– Skoncentrujmy się na steku, nie na groszku, co ty na to, Claudie, zuchu?

Żartobliwość była tonem, którego Reynolds często używał w rozmowach z podwładnymi albo tymi, którzy mieli niższy szczebel w tabeli służby cywilnej, i zarówno on, jak i Claude wiedzieli, że Sylvanshine postara się, by zapłacił mu za tę zniewagę.

– Stek to Kontrole.

– ZDO ds. Kontroli jest Rosebury, Eugene E., czterdzieści lat, trzynasty szczebel, numer 907313433, piaskowe włosy, wysoki, nieco zgarbiony, okulary niedopasowane albo niesymetryczne uszy, wygląda trochę na typ intelektualny, ale to może przez fajkę, pali fajkę, chłopak Glendenninga do szpiku kości. Nie podobają mi się jego włosy, coś w tych włosach. Wdrożeniowiec. Węszy, skąd wiatr wieje. Ani pomoc, ani przeszkoda.

– Drugi ZD to Yeagle? Yagle?

– To Gary Yeagle, bez inicjałów w środku. Taki „po prostu Gary”. Z wyglądu dziwny okaz. Wielka jak płyta chodnikowa twarz, ale długa żuchwa, tylko że miękka, ta żuchwa, obwieszona sadłem, co razem z zapadniętymi policzkami sprawia, że masz wrażenie, jakby ktoś okładał cię wędną pięścią, gdy na niego patrzysz. Trzydzieści dziewięć, nie, wróć, osiem, wita się wylewnie, ale inaczej niż Sheehan, bo wylewne przywitania Sheehana są profesjonalne i taktyczne, a z Yeagle'em masz wrażenie, że brak mu pewności siebie i myśli, że jeśli wszyscy nie będą go lubić, to świat wybuchnie albo coś.

– Co czyni go potencjalnym słabym ogniwem.

– Taki, co to robi się przy tobie bardzo nieśmiały i zdenerwowany, ale bardzo próbuje udawać spokojnego i serdecznego, i otwartego, ale mu nie wychodzi, przez co wszystkim trudno na to patrzeć. Żuchwą mógłby śnieg odgarniać.

– Czyli Yeagle może zostać jednym z naszych chłopców, jeżeli trochę popracujemy nad detalami założeń Mela w początkowych fazach.

– Plus brwi jak stąd na księżyc. Bez kitu. Tolkienowskie brwi u trzydziestoosmiolatka. Bardzo intensywny rogal, któremu usiłuje nadać pozór zawadiackiego uśmiechu czy grymasu przez zmrużenie tych niewiarygodnych brwi. Taki, co bierze twoją rękę w obie swoje. Trzynastka, ale na stanowisku kierownika grupy od drugiego kwartału siedemdziesiątego ósmego, tak że może mieć coś pod kopułą, chociaż ja tego nie widziałem. Raczej nie typ poganiacza, jakiego byś się spodziewał po kierowniku grupy na placówce kontrolnej.

– Glendenning go awansował?

– Akta Yeagle'a są wyrywkowe. Możesz kazać komuś wyciągnąć jego pełną dokumentację; to, co tutaj znalazłem na jego temat, jest wyrywkowe.

Jego kciuk lekko krwawił i Sylvanshine rozglądał się za czymś niepotrzebnym, co mógłby do niego przyłożyć. Zarówno on sam, jak i Reynolds wiedzieli, jak bardzo jego sprawozdanie różniłoby się treścią i formą, gdyby zdawał je Merrillowi Lehlowi, a chociaż bez wątpienia w jakimś stopniu irytowało to Reynoldsa, to żadną miarą nie było jeszcze dostatecznym odwetem za jego filuterny ton i stojącą za nim implikację. Obaj wiedzieli, że rachunki nie są jeszcze wyrównane. Czasami Sylvanshine wyobrażał sobie siebie i Reynoldsa jako partnerów w czymś w rodzaju tańca dworskiego, bardzo dostojnego i o bardzo określonych regułach, najmniejsze odstępstwo od których było komunikatem zdradzającym istnienie osobowości.

– On i Sheehan dość ciekawie kontrapunktują się w swoich wylewnych przywitaniach. Nie powiedziałbym, żebym któregoś z nich polubił. Yeagle w zeszłym tygodniu przyszedł do pracy trzy razy w tym samym krawacie. Wszędzie chodzi z fajką, nawet kiedy nie pali. Na krawacie coś, co mogło być plamą z płynnej przyprawy. Nie podoba mi się ta dziwna obwisła szczeka. Widziałem wczoraj, jak ocierał dziurkę w nosie wierzchem dłoni.

Gardłowy odgłos po drugiej stronie. W chwilach ciszy dało się słyszeć strzępki jakiejś rozmowy na obrzeżach ich pasma; Sylvanshine'owi na myśl o nich przychodziły do głowy pasma włosów na zakurzonej szczotce. Zlew był zawalony naczyniami i do połowy pełnymi kartonami z chińszczyzną, których uprzątnięcie

obietcał sobie dwa dni wcześniej; patrzenie na zlew przeszkadzało mu w oddychaniu.

– Powiedz Melowi, że wszystko, co mogę, to wrózenie z oznak. Yeagle to jeszcze niewiadoma. Robi wrażenie nieudolnego, ale to może być część jakiejś większej strategicznej zagrywki. Zasugeruj Melowi Nieformalne, jak tylko się pojawi; niech go uspokoi, zmusi do mówienia. Możliwe. To tyle, na ile mogę coś na razie powiedzieć o „Mów mi Garym”.

– Coś na temat samego Glendenninga?

– Jeszcze mi się nie udało z nim porozmawiać. Zajęty gość. Ciągle w ruchu. Jego zabieganie wygląda na takie uczciwe w przeciwieństwie do nieudolnego latania czy miotania się, co, jeśli jest prawdą, warto zanotować dla Mela.

– Dzięki.

Wprawdzie Sylvanshine ssał teraz nie sam kciuk, ale była to krawędź kciuka przy paznokciu.

– Widziałem go na korytarzach w tym, no, jak mu tam, tam, gdzie on i Sheehan mają swoje gabinety. Dezorientujące miejsce, zdjęcia nijak się mają do tego, jak mylące jest tu samo rozmieszczenie pawilonów. Najbardziej przypomina chyba mały koledż czy koledż zawodowy. Wiesz, że mój ojciec uczył w koledżu zawodowym.

– Więc kiedy widziałeś Glendenninga w tych korytarzach, których nazwy nie pomnisz...

– Na razie niewiele. Wysoki srebrnosiwy gość. Srebrne włosy z twardym przedziałkiem. Starszy mężczyzna, o którym powiedziałbyś „dystyngowany” albo „niegdyś przystojny”. Raczej średnio wysoki. Nos wyglądał na dosyć spory, ale to widziane w ruchomym profilu.

– Hej, Claude, a tak poważnie: czy istnieje jakiś proces, który każe ci zakładać, że potrzebuję ocen estetycznych? Czy jest jakieś rozumowanie, na podstawie którego gdzieś w swojej głowie stwierdzasz, że warto, żeby te dane znajdowały się w głowie Mela, kiedy będzie zaczynał pracę z tymi ludźmi? Nie musisz się teraz wysilać, ale pomyśl o tym i daj mi kiedyś znać, co to za proces, dzięki któremu stwierdzasz, że muszę słuchać wtrąceń o tym, jak kto się ubiera i nosi, zanim otrzymam materiały, które pomogą mi w mojej pracy.

– *Twoja* praca to sedno sprawy. Podsumowywanie. Redukcja do schematu faktów, istotność. Moja praca to gołe dane. Dobrze zapamiętałem? Czy to ja się prosiłem o pracę w terenie? Może coś pomyliłem?

Ale odgłosy niezadowolenia po drugiej stronie związane były tylko z podejmowanymi przez Reynoldsa nieudanymi próbami sięgnięcia pod węzeł krawata w celu zapięcia ostatniego guzika, co zawsze udawało mu się z trudem. Sylvanshine odczekał zwykły okres, patrząc na kciuk i usiłując stwierdzić, czy czuje w ustach krew – posmak, który przypominał mu dotknięcie językiem dziewięciowoltówki w dzieciństwie, chociaż dokładne okoliczności mu się wymykały – i nasłuchiwał, próbując przynajmniej określić płęć głosów w widmowej konwersacji przebijającej na linii, po czym wreszcie powiedział:

– Chociaż jego sekretarka, jedna z nich, bo zdaje się, że ma dwie, chyba że jedna jest kimś z Administracji albo kontaktem u kierowników grup, wysłała notkę, jest u Mela w skrzynce: „Witam i słyszałem imponujące rzeczy od Henzkego, jak sprawnie przestawiono pracę na nowe tory w zero sto czwórce”, chodzi o Kontrolę w Philly, Auto...

– Oczywiście musisz mi to mówić, nie było mnie tam?

– „...od Henzkego o poprawie w Kontrolach w Philly etc., proszę zgłosić się do pani Oooley, to główna sekretarka, do pani Oooley od razu po przyjeździe i procedurze rejestracji...”.

– Co to niby znaczy? Ma przechodzić orientację, jak jakiś toczygnojek?

– Nie mam tego papieru, jest wciąż u Mela w skrzynce, która tak na marginesie jest porządną skrzynką, tej samej wielkości i w tym samym rzędzie co skrzynki innych ZD i nad skrzynką Szefa, tyle że nazwisko Mela nakleili na taśmie na nazwisku jakiegoś innego koleśia, chociaż to nie musi niczego oznaczać, chyba że nie zmienią tego do jego przyjazdu. I kazałem UW umieścić jego nazwisko na drzwiach w tamtym budynku; osobiście dałem im szablon, powiedz mu to, i powiedziałem im też o sprawie z windą, tak że ma na parterze. Przekaż mu, że drzwi są zamykane na klucz i że okno też ma zamek i szyba nieprzepuszczalna, obustronnie, ale że po odległości od jednych drzwi do drugich wydaje się obszerne.

Niestety, najbliższy klo jest na drugim piętrze; niech się wypowie, czy chce, żebyśmy ryzykowali i się o to rzucali; ale jest w rogu, zgodnie z życzeniem. Nie ugotuje się tam, wiesz, że to dla niego ważne. Powiedz mu, że do drzwi ma odpowiednio piętnaście stóp i szesnaście stóp cztery cale z michałami, prawie tyle samo co w Philly.

– Pokazałeś im się, jak mierzysz taśmą odległość do drzwi?

– Nie bądź ćwokiem. Mam już klucz do frontowych i klucze do dwóch z pozostałych czterech. Wieczorem przed udaniem się na kwaterę musimy sobie urządzić długą, dobrą pogadankę, zanim ją zobaczysz i dostaniesz bólu dupy. Zakątek Wędkarza, czy muszę coś dodawać? Przy tym pierwsze mieszkanie w Rome to luksus, żebyś miał...

– Czyli że tamtą notkę napisała sekretarka czy Glendenning we własnej osobie?

– Zła wiadomość jest taka, że biura Glendenninga i ludzi ZD nie są w głównym budynku czy jakkolwiek oni to tutaj nazywają. Infrastruktura ma tu dziwną nomenklaturę, jak w Chicago.

– Nadal mówisz o gabinecie Mela?

– Przechodzę notatki punkt po punkcie, tak jak, być może pamiętasz, zakłada mój protokół operacyjny i tak jak ty robiłeś w Rome. Obawiam się, że są w tym dalszym budynku, gdzie robi się korporacyjne; mają tam też UNIVAC-a. Obawiam się, że to miejsce to trochę dom wariatów. Parter, gdzie ci wszyscy ludzie od dziurkarek mają biura. Musisz Mela na to przygotować, żeby nie było tak, że przyjeżdża i zaczyna srać żarem, jak zobaczy, gdzie go posadzili.

– Być może pamiętasz, że pierwsze raporty telefoniczne z terenu mają się mieścić w dziesięciu–dwunastu minutach, o ile nauczyłeś się protokołu na pamięć.

Sylvanshine dokładnie wiedział, co Reynolds robi teraz fizycznie, ale nie mógł znaleźć na to właściwego słowa, nawet żeby sobie samemu to zrelacjonować. Nie mówił też o tym, jak wczoraj stracił prawko w bankomacie *drive-through*, chociaż jeśli tak o tym pomyśleć, to w sumie mógł być problem dla Merrilla Errola Lehrla, ale żadną miarą nie problem dla Reynoldsa, chociaż wiedział, jak ten ostatni by zareagował. Czasami na paznokciach

Sylvanshine'a występowały drobne białe paski zwapnień, innym razem nie. Od czasu do czasu myślał z obawą o możliwym znaczeniu tych pasków. Nie chodziło o dopasowywanie, chodziło o wygładzanie, wygładzenie krawata, który z racji soboty będzie tym jasnozielonym lub jasnoniebieskim w drobne czerwone kontury diamentów, oba ze sztucznego jedwabiu, więc tak czy siak zawsze gładkie jak skóra na tyłku. To był nieświadomy gest Reynoldsa i działał tak, jakby nieświadomie pokazywał karty przeciwnikom, i Sylvanshine przy najróżniejszych okazjach odmawiał sobie przyjemności odegrania się na Reynoldsie przez zwrócenie mu na to uwagi, bo nie chciał, żeby Reynolds miał jakkolwiek świadomość swoich nieświadomych zachowań, ponieważ możliwość czytania z nich równała się władzy. W Martinsburgu Sylvanshine miał większy pokój, bo umowa najmu była na niego, ale w terenie to Reynolds zawsze dostawał większy pokój. Tym razem (mniejsza o nędzę Zakątka Wędkarza) obie sypialnie miały dokładnie te same wymiary, odległość od drzwi nie była jedyną rzeczą, jaką Claude zmierzył, i wiedział, jaką minę zrobi Reynolds, kiedy się zorientuje. Merrill Errol Lehl zawsze sam urządzał sobie siedzibę.

– Glendenning sam napisał notkę czy kazał zrobić to sekretarce?

Sylvanshine trzymał kciuk płasko, łapiąc na niego światło z góry i obracając wte i wewte.

– Nie uwierzyłybyś, jak tu jest gorąco. I lepko. Powietrze jakby ktoś oddychał ci prosto w twarz. Philly w najgorętszy letni dzień się nie umywa. Wodopoje na korytarzach w zeroczterdziestciesiódemce nie mają schładzania; to te białe fajansowe fontanny, jak w jakiejś podstawówce, a woda ma temperaturę pokojową, czyli jest gorąca.

Reynolds wypuścił powietrze, tak że dźwięk rozległ się w telefonie.

– Przepraszam za mój ton, Claude.

– Jaki ton?

– W porządku? Zadowolony?

– Przeceniasz mnie, kolego.

– I właśnie tak: jestem twoim kolegą. Jesteśmy zespołem. Nie powinienem ci być nacierać uszu, mówiąc tonem jak do podwładnego, jak przed chwilą. Ale to tydzień wysokiego ciśnienia. Cały tydzień mam te bóle napięciowe głowy. Nie czuję się wcale

dobrze. I wiem, że żadna z tych rzeczy mnie nie tłumaczy, i naprawdę cię przepraszam.

Jeśli były na nim paski, to w każdym razie ich nie dostrzegają.

– Obawiam się, że pisała ją sekretarka albo naczelną sekretarką. Oooley, Carolyn, a może raczej Caroline. Teczki nie odnaleziono, nie ma jej w rozdzielni Wsparcia. Rześka drobna kobieta, sucha, ściągnięta buzia. Sweter zarzucony na ramiona, jak jakaś pelerynka. Główny budynek ma klimatyzację, że dupę urywa; to tam, gdzie się mieszczą Kontrole, więc powiedz Melowi, że dobra wiadomość jest taka, że środowisko pracy jest już klimatyzowane, za to nie ma halogenów, chociaż w procesorowni są halogeny, więc możemy założyć, że UW dysponują środkami; jeśli chcesz, to zadzwonię i...

– Czyli wiadomość pisała sekretarka, nie sam Glendenning.

– Przekonywałem Mela, żeby niczego się w tym nie doszukiwał. Glendenninga nie było przez dwa z ostatnich trzech dni. Od ostatniej środy dwa razy jeździł do siedziby regionu.

– Już teraz jeździ tyle do regionu? Czekasz cały ten czas, żeby o tym wspomnieć, a do tego, kiedy w końcu to robisz, to na zasadzie dygresji o swetrze jakiejś sekretarki?

– Sposób, w jaki zbliżają się do jej biurka, sugeruje, że jest potężna, ta Oooley. Wiesz, jak to jest w prowincjach. Może kontrolować Glendenninga; może to ona jest tym kluczowym ogniwem. Małe zdjęcie kota na biurku, ale brak widocznych śladów kociego włosa na swetrze. Dziwne. I okulary na małym łańcuszku na szyi, jednym z tych staroświeckich srebrnych łańcuszków, zapomniałem słowa. Potencjalnie potężna rola w równaniu. Jak na razie zapytałem o kota i dałem jej kwiatek kupiony od gościa sprzedającego kwiaty na pasie między jezdniami tutejszej dużej drogi. W tym otępiąłem miście! Powiedz Melowi, że już ją wziąłem w obroty.

Nie powiedział Reynoldsowi, że następnego dnia na jej biurku po kwiatku nie było śladu.

Znowu dając Sylvanshine'owi sygnał głośno wypuszczanym powietrzem:

– A czy w wiadomości było dokładnie „słyszałem imponujące rzeczy od Henzkego”, od Billa czy od Billa Henzkego?

– Po prostu od Henzkego.

– Szlag.

– Inna sekretarka czy rzeczniczka, czy ktoś, nieobecna. Podobno młoda i lala okręgu, dwóch różnych gości z Kontroli mówiło mi, że warto wymyślić sobie jakąś rzekomą sprawę do niej i przyjść, kiedy Oooley jest na przerwie obiadowej, żeby nacieszyć oczy pełnym widokiem od frontu.

– Claude, już cię przeprosiłem.

– Sekretarka Rosebury’ego to duża, biała jak papier kobieta o nazwisku Bernays. Wygląda jak widmo konia pociągowego.

Każdy telefon Motoroli kosztował Służbę 349 dolarów przy rynkowej cenie detalicznej 380 dolarów i wyglądał jak olbrzymia krótkofalówka oraz ważył ponad dwa funty, i był czymś, co w ręku kogoś tak szykownego i o posturze tak drobnej jak Reynolds Jensen Jr. wyglądało odrobinę głupio.

– Dobra. To teraz zróbmy szkic tygodniowy.

Reynolds będzie mógł powiedzieć dr. Lehlrowi, że rozmawiali i próbował się dowiedzieć, czy to, co będzie się działo w najbliższym tygodniu, nie jest tym, czego sobie życzy. Według Harolda Adny’ego obserwowanie dyplomatycznych wysiłków Reynoldsa było jak przyglądanie się tańcowi drwala.

– Proszę o przesłanie rzetelnych, użytecznych, powtarzam: użytecznych, życiorysów, danych z Kadr, ocen pracowniczych i wrażeń z Działu Kontroli do siedemnastego. Tak jest w protokole, czytam ci go. Kto tam jest w ekipie? Rosebury w administracji, ten Yeagle jako kierownik grupy, grupa ma ile, dwadzieścia osób? Budżet w Kontrolach dwa przecinek cztery razy większy niż w Rome, tak? Czyli ile, jakieś dwadzieścia dwa?

– Dwadzieścia cztery, może pięć. Mają jakieś nieortodoksyjne rozwiązania z dzieleniem zmian, z których nie mam jeszcze odczytu danych, a które, zdaje się, zaaprobował Glendenning. Glendenning ma na koncie dużo autorskich posunięć w Kontrolach i oczywiście możemy się spodziewać, że to się tylko nasili. Powiedzmy, dwadzieścia cztery do dwudziestu sześciu, a do tego dubel w postaci kolejnej pełnej dwudziestki od dziurkowania i sortowania kart w okresie Burzy, chociaż mówią, że Glendenning mocno walczył, żeby to był personel Służby, a nie kontraktowi z łapanki na czas

Burzy, co z uwagi na miasto jest zrozumiałe; nie ma tu jakiegoś zatrzęsienia talentów.

- Bardzo dobre dane. Bardzo do rzeczy.
- Powiedzmy, dwadzieścia sześć. Kontakt był ciężki.
- Pilnowani, utrudniony dostęp?

– Bardziej oteęiali. To pełnoetatowi. Szklany wzrok. Słowo mi uciekło. Przeciętą wypalenia tutaj to trzy lata. Zamroczeni, to będzie to słowo. Aha – Sylvanshine skrzywił się na myśl, że wcześniej mu się nie przypomniało – najważniejsza rzecz to ta, że pierwszym dużym posunięciem Glendenninga po objęciu było wyczyszczenie Kontroli z pierwszorocznych.

- Żartujesz.

W Służbie utarł się zwyczaj, zgodnie z którym absolwenci trzech krajowych Ośrodków Szkoleniowych IRS byli przydzielani na pierwsze lata do Kontroli, będącej najokrutniejszym i najmniej lubianym przydziałem w Służbie. Następnie pewien ich odsetek czym prędzej podchodził do egzaminu na biegłego rewidenta, ponieważ rewident skarbowy 11. szczebla musiał mieć certyfikat CPA, a przejście do Audytu było naturalną drogą promocji, pozwalającą się wyrwać z Kontroli. To, że Glendenning zarzucał praktykę wykorzystywania pierwszorocznych w Dziale Kontroli u siebie, świadczyło o czymś ważnym, jakkolwiek żaden z nich nie był właściwie pewien o czym. Rzecz była na tyle ważna, że Reynolds zapomniał wręcz o natarciu Sylvanshine’owi uszu za to, że tyle czekał z tą informacją.

– Wiesz, że Mel będzie chciał dalszych działań. Przesuń to natychmiast na wierzch protokołu na przyszły tydzień.

- Tymczasowo się zgadzam.
- Cieszę się, że się zgadzasz.
- Cieszę się, że się cieszysz.
- Kapitalnie.

– Chociaż zakolejkowane mamy resztę sprawozdania, na przykład sprawę obiegu i produktywności.

- Kapitalnie. To jak wygląda obieg?

– Najpierw jedna sala rozliczeń od fizycznych, kilkadziesiąt biurów plus mały jakby boks Yeagle’a z matowego szkła. Albo coś tam jest nie tak z symetrią, albo stosują nieregularne podziały, być może

jedna część dla czterdziestek, jedna dla czterdziestek A, mniejsza dla „grubych”, tak jak w Keene. Dla przedsiębiorstw mają całą osobną salę.

– Jeśli będzie zmiana w prawnych, to już nie będą, testowali DIF, więc...

– Dlatego o tym nie mówię.

– Skoro jesteś tak blisko z tą twardoskórą babką od Glendenninga, na pewno masz jakieś dane.

– Dane to jakiś burdel. Nie ma ich nawet na kartach. Używają starych formularzy dziewięćset cztery, które ostatni raz widziałem chyba w OSiE.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Trzymają je w ohydnych ciemnozielonych szafkach w piwnicy, do której bałyby się wleźć nawet pająki.

– Ale ty śmiało zstąpiłeś tam z latarką, tak mam powiedzieć Melowi?

– Dzisiaj albo jutro każę komuś w Martinsburgu je wklepać i wyliczyć średnie wartości; szczegółowe dane to taki burdel, bo robota jest bardzo sezonowa. Zaznacz w rozmowie z Melem, że robią zeznania z regionu i z CO w St. Louis bez gotowych procedur czy chociaż rytmu cykli.

– Chcesz mi powiedzieć, że ciężarówki po prostu podjeżdżają i wyładowują zeznania.

– Tak że to, co mi wychodzi z rachunków, będzie naprawdę dziwnie wyglądać, to, że przez ostatnie sześć miesięcy Dział Kontroli w zeroczwadziestcesiodemce przerabiał miesięcznie tysiąc osiemset dwadzieścia dziewięć zeznań, ale w to wliczam wszystko, od pikusiów z rozliczeń osób fizycznych do koszmarnych Grubych z dwudziestoma tabelami, wszystkie od uzgodnień EST, którymi zalewają ich co kwartał potworną falą, bo Rosebury pozwala na to Danmeyerowi.

– Ten podział nic mi nie mówi, Claude.

– Jak tu przyjedziesz, sam zobaczysz dlaczego. To jak z Dickensa. W całym pomieszczeniu jest tylko jeden terminal UNIVAC. Dobro z Martinsburga przywożą im w dużych wózkach boye wózkowi, jak drzewiej bywało, potem przerobione zrzucają po zjeżdżalniach dwa poziomy niżej, gdzie dziewczyny od dziurkowania przygotowują

dalszy ciąg zabawy Regionowi i Należnościom. I / lub Należnościom. A kontrolerzy posługują się ołówkami i sumatorami NCR, z których część ma jeszcze naklejki „I like Ike” i pokrewne. Mają te tace czy szuflady sterujące ze wszystkich stron pod kątem, jak w wizjach Philly nawiedzających Mela w dniach zgrozy. Dostają z Martinsburga standardowe dobro plus EST, plus polecenia kontroli z CID. Robią Grube tak grube, że w St. Louis nawet ich nie otwierają. Robią pracę zleconą dla Audytu Prawnych, kiedy audyt jest kilkuletni. Całość, powiedz mu, jest prawie rzędu Philly. Ale to...

– 1829 przez 26 przez 22 dni robocze to daje ile, trzy dziennie?

– 3,198 dziennie na pracownika na dziewięciogodzinnej zmianie minus lunch, minus średnia regionalna na przerwy łącznie 45,6 minuty, czyli ustaliłem, że w 7 godzin i 29,4 minuty, czyli 3,2 przez 7,5 robią 0,4266 i 6 w nawiasie zeznania na roboczogodzinę, co tak totalnie pokrywa się ze średnią regionalną, że...

– Czyli z punktu widzenia statystyki produktywności ani wte, ani wewte, co osłabia nasze karty przeciw Glendenningowi, ale też czyni z zeroczterdziestkisiódemki dobre studium przypadku.

– Nie, Reynolds. Mówię *totalnie* przeciętne. Średnia dla Regionu czwartego z osiemdziesiątego drugiego, osiemdziesiątego trzeciego i tej części osiemdziesiątego czwartego, z której odczyty ma Wewnętrzny, to, wyobraź sobie, zero przecinek czterdzieści dwa i sześć w nawiasie zeznania na roboczogodzinę. Jak...

– Są *równe* średniej?

– I zakładając właśnie taką reakcję, powiedz Melowi, że sprawdziłem to dwukrotnie. Wszystkie karty kontrolne, wskaźniki wydajności, oceny pracownicze, wykazy użytkowania: zero przecinek czterdzieści dwa i sześć w nawiasie. Zupełnie jak...

– Zupełnie jakby Glendenning i Rosebury, i / lub ten koleś Yeagle preparowali jakoś książki wyników, żeby pokazywały tak totalnie przeciętne rezultaty, że nikt nie mógłby ich podejrzewać o preparowanie książek.

– Jak chcesz, to sprawdzę to jeszcze raz, jeśli dasz mi chwilę na negocjacje w sprawie ciśnienia wody w mieszkaniu i chyba najwolniej napełniającej się spłuczki, jaką widziałem w dwunastu sta...

Teraz ton wypowiedzi Reynoldsa Jensena Jr. był w stu procentach skoncentrowany, przytomny, co oznaczało, że siedząc lub stojąc, był lekko pochylony w pasie i zupełnie przestał mrugać.

– Sprawdź. On będzie chciał, żebyś to... Albo jakby Glendenningowi jakoś się udawało tak zarządzać czynnikiem ludzkim i nakładem, i morale, że z Kontroli dostaje idealną średnią.

– Czyli że kiedy i jeżeli chce podwyższyć wyniki, to po prostu macha magiczną różdżką i *presto*.

– Byłby aż tak dobry?

– To by znaczyło, że jest geniuszem, albo może on do spółki z Roseburym, takim Mozartem produkcji, którego metodologia zarządzania, gdyby ująć ją ilościowo i nauczać... albo gdyby inni dyrektorzy okręgów przekonali Waszyngton, żeby jej nauczać...

– Mogłaby zarządnąć projekt.

– Zwłaszcza gdybyś widział tych kontrolerów. To nie jest żadna elitarna jednostka, Reynolds. Żadne nie siedzi wyżej niż na jedenastym szczeblu w tabeli płac. Tiki, spazmy, dziwactwa. Trzęsące się ręce. W męskim wszyscy myją zęby po lunchu. Sporo szorowania tam odchodzi. Jeden ma skrzypce na biurku. Tak sobie. Po prostu skrzypce. Inny nosi na ręku bez naparstka pacynkę dobermana, do której gada.

– Powinieneś ich wszystkich zapisywać, Claudie.

– To ludzkie wraki. Że Glendenning potrafi wycisnąć jakiś przerób z *tej* ekipy... Niektórzy robią wrażenie katatonicznych. Jeden to być może genialny idiota. Jeszcze go nie widziałem.

– Żadna z tych rzeczy nie ma nic wspólnego z przerobem.

– A wspominałem już, jaki tu jest wiatr? Jak go słyhać w szparach wokół okien? Albo gorąco? Albo całe krocie tych wiejskawych miasteczek rozpiętych na planie krzyża, z dokładnie jednym skrzyżowaniem, które wyglądają, jakby składały się na nie tylko silos zbożowy i stacja benzynowa, o nazwach w stylu Arrowsmith, Anthony, Shirley, Tolon, Stayne? Niedaleko stąd jest miasteczko Big Thistle. Powtarzam: Big Thistle, Illinois. Hej, przejedźmy się do Big Thistle Diner i pociągnijmy Fanny za pasek fartucha. I ta wilgoć. Ręczniki nie schną; przednia szyba paruje jak szklanka z mrożoną herbata, jeśli włączysz klimę w drodze do roboty. Niebo koloru lodu w motelach, żadnej barwy, żadnej głębi.

To jak zły sen. I ta płaskość. Horyzont na wysokości poziomu morza sięga ilu, osiemnastu mil?

– Skupmy się na zadaniu, Claudie.

– Dał mi przydział w dwuwymiarze, R.J.

– Tak dobrze ci szło, Claudie.

– A co, gdybym ci powiedział, że za tobą tęsknię?

– Nie będziemy się w to teraz zagłębiać, nie...

– Bo kojarzysz, jak wyglądają oczy niektórych naprawdę starych ludzi, takich z zaćmą? To zmętniałe, koszmarne spojrzenie w stylu „halo, jest tu kto?”. Wyobraź sobie taką całą twarz. Philly to był młyn. To tutaj to jakiś pęcherz nudy. Nuda ponad wszelką nudę. Ci kontrolerzy, większość...

– Zdajesz sobie sprawę, że w pewnym sensie to dobra wiadomość.

– Piękny widok to nie jest, mogę ci...

– Czy przyjechał już jakiś sprzęt demo?

– Glendenning pozwala im na personalizację biurka. Słuchanie muzyki, jeśli... nie palą przy biurkach, ale teraz najlepsze, uwaga: kilku z nich *zuje tytoń* przy pracy.

– To jak stoimy w kwestii profilu faktycznego sprzętu komputerowego?

– Widziałeś kiedyś przypadkiem spluwaczkę w akcji, Reynolds, bo ja mogę cię za...

– Też za tobą tęsknię, Claude. Zadowolony?

Kiedyś obgryzał tak mocno, że zanieczyścił ranę, przez co smakowało wprost paskudnie.

– Nie zrobiłem jeszcze listy *per se*.

– Co mam powiedzieć Melowi?

– Że jestem tu dopiero od tygodnia i działam w warunkach niesamowitego przymusu ze strony prymitywnych warunków mieszkaniowych, braku nośników kontaktu i obezwładniającego gorąca. To powiedz Melowi.

– Staliśmy się odważni *in absentia*?

– Jak być może dobrze pamiętasz, prawdziwy sprzęt mają w Prawnych, w drugim budynku, a poza weryfikacją udogodnień dla Mela zdaje mi się, że kręcę się też w Kontrolach, sprawdzając szczegóły.

– To nie miało być przygadywanie, Claudie. Przejdźmy przez to po prostu. Mam przed sobą paskudną podróż.

– Do tej pory widziałem mainframe'a UNIVAC Sperry'ego, serii 3-albo 4000, do którego wszystkie terminale mają najwyraźniej w Prawnych. Widziałem dwa sortery kart IBM 5486 i wywnioskowałem obecność odpowiadającego im sprzętu do dziurkowania i układania serii 5000.

– I dziewięćdziesięciosześciokolumnowych kart do IBM-ów.

– Tyle że UNIVAC nadal korzysta z osiemdziesięciokolumnowych. Zdaje się, że mają skombinowaną jakąś prowizorkę do mieszania obu.

– Czyli wszyscy kontrolerzy są biegli w systemie szesnastkowym? Czy może dziewczyny od dziurkarek? Ale one są chyba miejscowe, nie?

– Nie mam jeszcze protokołów szkoleń. Możemy przyjąć, że tłumaczą je na ludzki język dla tymczasowych w marcu-maju, co?

– Nawet w Rome nie było mieszania dziewięćdziesiątek szóstek z osiemdziesiątkami.

– Tak jest na prowincji, mówiłem ci. Biuro Mela jest po drodze z Centrali, która jest, tak wnioskuję, totalnym kundlem różnych systemów. Widziałem kalkulator z drukarką Burroughsa 1005.

– Czy Burroughs jeszcze w ogóle stosuje karty?

– Burroughsy pracują z taśmy od serii 900 wzwyż. Mówiłem ci. Całość to jakaś zbieranina. Garażowa wyprzedaż. Widziałem dwa IBM-y na RPG-ach w szafie, z której wyłazi nieprawdopodobna plątanina kabli koncentrycznych, prowadząca do dziury wybitej na dziko w suficie szafki, bo przypuszczalnie chodzi o zapewnienie kompatybilności RPG z UNIVAC-kiem. To wszystko jest bardzo zamierzchłe i syfne i wcale bym się jakoś strasznie nie zdziwił, gdyby w środku siedziały małpy z abakusami i sznurkiem.

– To bardzo dobra wiadomość. A assemblera mają w COBOLU?

– Na tę chwilę nieznany.

– Dobre wieści na froncie sprzętowym.

– A jeśli cokolwiek przysłali z DC, to w UW nic o tym nie wiedzą.

– Czyli że może po prostu czekać w magazynie?

– Czyli mam przekopywać archiwum z latarką w zębach, sterczeć na słuchawce, wyciągając z Martinsburga analizy wydajności,

sondować wdrażanie polityki Glendeninga „zero pierwszych lat”, sporządzać inwentarz sprzętu komputerowego, jumać klucze, żeby osobiście skontrolować gabinet Mela, wszystko naraz? A, no i jeszcze pytać wielkich gości na magazynie, czy któreś z tych pudeł nie przyszło z Martinsburga.

– Ja tylko ustalam protokół przed akcją w przyszłym tygodniu, Claudie.

– Co ja jestem, maszyna?

§31

Shinn był drągałem o bardzo jasnych, dziecięco miękkich włosach, które opływały mu głowę ze wszystkich stron, jak u wczesnego Beatlesa. Mężczyzna, który teraz siedzi obok niego w vanie IRS, wcześniej wyszedł z Zakątka Wędkarza razem z kilkoma innymi i o pastelowym brzasku stał przy krawężniku w oczekiwaniu na pojazd. Słodkie, ciężkie powietrze letnich poranków. Mężczyźni z identyfikatorami Służby znali się wszyscy między sobą i rozmawiali w swoim gronie. Część popijała coś z kubków termicznych albo paliła papierosy gaszone o krawężnik, kiedy van pojawił się w polu widzenia. Jeden z nich miał bokobrody i kowbojski kapelusz, który już wewnątrz wozu zdjął, siadając o dwa rzędy siedzeń bliżej kierowcy. Niektórzy czytali gazetę. Część mężczyzn w furgonetce miała może nawet koło pięćdziesiątki. Szyby były raczej z tych uchylnych niż z tych opuszczanych; pojazd był dziwny, bardziej jak mały kwadratowy dostawczak, do którego podłogi ktoś przyspawał ławki.

Van zatrzymał się jeszcze przy dwóch innych kompleksach mieszkalnych przy Self-Storage Parkway; przy jednym z nich stał z włączonym silnikiem przez kilka minut, najprawdopodobniej, żeby być równo z rozkładem. Shinn miał na sobie jasnoniebieską koszulę. Z konwersacji dobiegającej go z tyłu wychwycił, jak ktoś mówił komuś, że jeśli pośrodku krawędzi paznokcia palca u stopy zrobić niewielkie nacięcie, to paznokieć nie będzie wrastał. Ktoś inny ziewnął przeciągle i odrobinę się wzdrygnął. Mężczyzna tuż obok Shinna, którego udo dotykało jego uda z siłą o różnym napięciu przy przechylaniu się samochodu raz w jedną, raz w drugą stronę na rozchwianym zawieszaniu, czytał broszurę dodawaną do Instrukcji Personelu IRS, której tytułu Shinn nie był w stanie dojrzeć, bo facet należał do ludzi, którzy czytają prospekty, odginając okładkę tak, że awers i rewers się spotykają. Na kolanach położył niewielki plecak. Shinn rozważał przedstawienie się; nie był pewien, co nakazuje etykieta.

Wcześniej Shinn stał przy krawężniku, pijąc pierwszą colę pierwszego dnia na placówce, czując, jak ubranie gubi kanty i staje się nieco cięższe w wilgotnym powietrzu, wdychając ten sam zapach kapryfolium i skoszonej trawy, który znał z przedmieść Chicago, słuchając treli zbudzonych o brzasku ptaków w koronach akacji rosnących wzdłuż Self-Storage, a jego myśli rozlewały się we wszystkich kierunkach, kiedy nagle przyszło mu do głowy, że ptaki, których świergot i powtarzające się śpiewy brzmią tak pięknie, napawając otuchą płynącą z natury i nadchodzącego dnia, mogą być w rzeczywistości, w kodzie znanym tylko innym ptakom, sposobem, w jaki każdy z nich mówi: „Jazda stąd!” albo „To moja gałąź!, albo „To moje drzewo! Zabiję cię! Zabiję! Zabiję!”. Czy jakkolwiek mroczną, brutalną czy przywołaną w odruchu samoobrony gadką – mogli być świadkami okrzyków wojennych. Ta myśl pojawiła się znikąd i sprawiła, że z jakiegoś powodu podupadł na duchu.

§32

– Nie kaź mi tego robić.

Przełączyłem moją siostrę Julie, z którą mieszkam, na głośnik, jeszcze kiedy starała się od tego wymigać. Byliśmy wszyscy w mojej części boksu. Siedziałem na swoim miejscu pracy, a reszta stała dookoła.

– Powiedziałem im, a oni nie chcą wierzyć. Że można tak niepokojąco wiernie; próbuję im to opisać, ale nie potrafię tak, jak na to zasługuje. Zwłaszcza Jon, ten gość, o którym ci mówiłem.

Patrzyłem na Soane'a, próbując ją przekonać. Julie to moja siostra. Jej głos brzmiał przez głośnik trochę nie jak jej głos – miał tę cynową, odwodnioną właściwość. Steve Mead zawsze nosił gumowy napałek na małym palcu prawej ręki. Ciągły, przypominający darcie, metaliczno-zębowy dźwięk drukowania dochodził z położonego najbliżej boksu Pawilonu Audytów, dźwięk, który, ilekroć drukarka była w użyciu, przyprawiał nas o ból zębów. Steve Mead, Steve Dalhart, Jane Brown i Likourgos Vassiliou stali wokół głośnika w mojej części boksu, a Soane wysunął się trochę na krzesło ze swojego stanowiska, żeby współtworzyć krąg.

– Nie potrafię tak na zawołanie. Głupio się czuję, nie kaź mi – oświadczyła Julie.

– A kto dziś rano kupił ci trzy gumki Scrunchie, chociaż poprosiłaś tylko o jedną? – powiedziałem, układając kciuk i palec w entuzjastyczne kółko i pokazując je wszystkim.

W słuchawce po stronie mojej młodszej siostry panowała cisza.

– Już ich uprzedzałem, że przez telefon efekt jest słabszy. Bez tej twarzy i oczu. Wyluzuj się, nikt nie oczekuje perfekcji.

– „Cóż za wspaniały dzień na egzorcyzmy, ojczy”.

Nawet przez głośnik. Steve Mead wyraźnie drgnął. Miałem ochotę zachichotać i gryźć się po palcach z uciechy. Dalhart i Jane Brown patrzyli jedno na drugie, pozwalając swoim ciałom zapaść się w fotele i nieco wydłużyć na znak osłupienia.

– „Twoja matka ciągnie druta w piekle!” – powiedziała Julie i znowu się jej udało.

– Zdumiewające, Nugent.

– Mój Boże – oraz – To niesamowite – powiedział Steve Mead. Jest zawsze okropnie blady i wygląda chorowicie. Śruba z łbem krzyżakowym wystawała z oparcia fotela Soane’a. Drący się odgłos drukarki nie przestawał działać wszystkim na nerwy.

Dale Gastine i Alice Pihl, którzy zawsze prowadzą audyty jako zespół, wytknęli głowy zza ścianki boksu, żeby sprawdzić, co jest grane.

– Powinniście byli widzieć twarz. Wywraca oczami i robi się blada, i wydyma policzki, i... w ogóle nie przypomina tamtej, dopóki tego nie zrobi, wtedy to jest dopiero zdumiewające.

Ja to powiedziałem. Soane, który jest niesamowicie zdystansowany i wyluzowany, robił coś ze skórką na palcu za pomocą spinacza z dozownika.

Z głośnika dobiegł zwyczajny głos Julie. Uważam, że Jane Brown jest atrakcyjna, ale wydaje mi się, że Soane jest innego zdania.

– Skończyliśmy?

– Powinnaś była to widzieć. Wszystkich tu ich zatkało. Naprawdę jestem ci wdzięczny – powiedziałem. Jane Brown nosi zawsze tę samą pomarańczową marynarkę.

– Gały z orbit. Moja wiarygodność tutaj poszła dzięki tobie bardzo wysoko w górę.

– Pogadamy o tym, jak wrócisz, kowboju, wierzaj mi.

– Ale czy potrafi obniżyć temperaturę w pokoju i napisać Na pomoc skórą, jak w tej scenie...

– Jeszcze jeden – wyszeptał Mead, który prowadzi audyty gospodarstw rolnych, a także wychodził do recepcji, gdy podatnik zadzwonił brzęczkiem do wzywania obsługi (całe dni mijają bez choćby jednego podatnika, który by przyszedł po poradę), i ma pulchną kwadratową twarz, i wygląda tak, jakby albo nie musiał się golić, albo używał czegoś do nawilżania.

Powiedziałem do Julie przez telefon:

– Jeszcze jeden i spiszysz się na medal, tak jak to tylko ty potrafisz.

– Obiecuj.

Likourgos Vassiliou, który także jest niezwykle blady, zwłaszcza jak na etnicznego śródziemnomorca, powiedział do Dale'a Gastine'a i Alice Pihl:

- Ten nowy koleś Nugent nie przesadza; zapiszcie to sobie.
- „Wspomógłbyś starego ministranta, ojczulku. Dimmy. Czemu mi to robisz, Dimmy? A niech cię Jezus pierdoli, bierz”.
- Naprawdę ciarki mi chodzą po plecach – stwierdził Mead.
- To już naprawdę był ostatni raz – powiedziała Julie z naciskiem.

§33

Lane Dean Jr. z zielonym gumowym napastrkiem na małym palcu usiadł przy swoim biurku Tingle'a w rzędzie swojej sekcji w skorkowisku grupy kontroli rutynowych i sprawdził kolejne dwa zeznania, potem jeszcze jedno, następnie napiął pośladki i wytrzymał, licząc do dziesięciu, i wyobraził sobie ładną ciepłą plażę z aksamitną morską pianą, jak radzono im na wstępnym przeszkoleniu miesiąc wcześniej. Potem sprawdził kolejne dwa zeznania, spojrział bardzo szybko na zegar, jeszcze dwa, po czym zawział się i zrobił trzy z rzędu, napiął i zwizualizował, i skupił się, i sprawdził cztery bez podnoszenia oczu choćby jeden raz, jeśli nie liczyć odłożenia gotowych skoroszytów i not na półkę WYCHODZĄCE, jedne przy drugich na najwyższe piętro półek, skąd zabierali je wózkowi, gdy przechodzili. Po nie więcej niż godzinie plaża była zimową plażą, zimną i szarą, z martwymi wodorostami przypominającymi włosy topielców, i za nic nie chciała być inna. Potem jeszcze trzy, w tym jeden 1040A, na którym źle pododawano odliczenia od dochodu brutto i na wydruku w Martinsburgu tego nie wychwycili, i trzeba to było poprawić przy użyciu jednego z formularzy 020-C z dolnej półki po lewej, i kupę tych samych informacji przepisywać na zwykłą dwudziestkę, nawet jeśli był to tylko audyt korespondencyjny i teczkę odsyłało się do Joliet, a nie do okręgu, dla których danych każdy kod trzeba było sprawdzać w tym czymś wysuwanym, i trzeba było wtedy odjechać niewygodnie na krześle, jeśli się chciało to wysunąć w całości. Potem jeszcze jeden, później uczucie pikowania w środku, gdy zegar ścienny pokazał mu, że to, co wydawało mu się kolejną godziną, wcale nią nie było. Choćby w przybliżeniu. Siedemnasty maja 1985 roku. Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną, nędznym grzesznikiem. Weryfikacja załącznika W-2 do danych z linijki nr 7 formularza obok miejsca na wydruku z Martinsburga, na którym perforację puszczono tak, że jeśli chciało się rozdzielić oba arkusze, to przerywało się ciąg danych, więc trzeba było trzymać go pod

światło i czasem niemal zgadywać, co, jak powiedział mu szef jego sekcji, jest notorycznym kiksem Systemów, a mimo to i tak winą zawsze obarcza się skorka. W tym tygodniu krążył ten dowcip, jak to rutynowy kontroler IRS jest podobny do pieczarki. Też siedzi w ciemnicy i karmi go gównem. Nie wiedział nawet, jak to jest z pieczarkami. Czy to prawda, że obrzuca się je kompostem. Zdolności kulinarne Sheri nie były na poziomie, na którym do potraw dodaje się pieczarki. Jeszcze jedno zeznanie. Zgodnie z ogólnym prawem, im częściej patrzy się na zegar, tym wolniej płynie czas. Żaden ze skorków nie nosił zegarka, za to zauważył, że niektórzy trzymają je w kieszeni do przerwy. Zegary na tingle'ach były niedozwolone, podobnie kawa i napoje gazowane. Chociaż bardzo się starał, przez ten tydzień nie był w stanie się powstrzymać przed wyobrażaniem sobie życia wewnętrznego tych starszych mężczyzn sąsiadujących z nim po obu stronach, którzy muszą to robić dzień po dniu. Tego, jak wstają w poniedziałek, przeżuwają tost, zakładają kapelusz i płaszcz ze świadomością, do czego powracają na osiem godzin, zamykając za sobą drzwi. To była nuda większa niż jakakolwiek nuda, której kiedykolwiek wcześniej zaznał. Przy niej wysyłki dla UPS wyglądały jak dzień na karuzeli w Six Flags. Był 17 maja, wcześniej rano, albo wcześniej przed południem, może by już tak można powiedzieć. Słyszał pischczenie wózków prowadzonych przez wózkowych gdzieś w oddali, dokąd nie mógł sięgnąć wzrokiem, bo winylowe przepierzenia między tingle'ami jego sekcji i sekcji tego orientalnego blondyna w kolejnym rzędzie blokowały widok na nich, te dzieciaki z wózkami. Jeden z wózków miał niesforne kółko, które trajkotało, kiedy dzieciak go popychał. Lane Dean zawsze wiedział, kiedy wózek się zbliża, sunąc między rzędami. Sekcja, zespół, grupa, pawilon, placówka, oddział. Przeszedł jeszcze jedno zeznanie, znowu liczby się zgadzały i nie było wyszczególniania w polu 34A, a liczby z W-2 i 1099 oraz formularzy 2440 i 2441 wydawały się grać, więc podał swoje kody na druku 402 ze środkowej półki i wpisał swoje imię i nazwisko oraz numer służbowy, przed zapamiętaniem którego nadal wzbraniała się pewna część jego osobowości, więc musiał odpinać identyfikator i sprawdzać za każdym razem, po czym przytwierdził druk 402 do zeznania zszywaczem i odłożył skoroszyt na półkę

WYCHODZĄCYCH 402, i nie pozwolił sobie policzyć tych już leżących na półkach, a wtedy, zupełnie nieproszona, przyszła mu do głowy myśl, że nudzić to także, w mowie potocznej, mdlić, jak przed wymiotami. Pośladki bolały go już od napinania, a na myśl o wyobrażaniu sobie plaży opuszczała go dusza. Zamknął oczy, ale zorientował się, że zamiast się modlić o wewnętrzną siłę, przygląda się po prostu tej dziwnej czerwonawej ciemności i drobnym błyskom i pławikom na jej tle, co stawało się niemal hipnotyczne, gdy naprawdę się na nie patrzyło. Potem, kiedy otworzył oczy, stos na półce PRZYCHODZĄCYCH wyglądał na tak samo wysoki jak o 7:14, kiedy wpisywał się do zeszytu kierownika sekcji i zaczynał pracę, a na półkach WYCHODZĄCYCH dla dwudziestek i czterysta dwójek zeznania nie wystawały jeszcze ponad krawędź korytek, więc jeszcze raz odmówił sobie wstania z krzesła, żeby sprawdzić, ile ich już tam jest, ponieważ wiedział, że to tylko pogorszy sprawę. Miał wrażenie, jakby w środku otwierała się w nim wielka dziura albo pustka, która przeszywa go z góry na dół i sięga dalej i dalej, ale nigdy nie osiąga podłogi. Ani razu przez całe życie aż do teraz nie myślał o samobójstwie. Sprawdzał zeznanie, jednocześnie walcząc ze swoim umysłem, z grzechem i obrazą, jakie wiązały się z choćby przelotną myślą. W pomieszczeniu panowała cisza, przerywana tylko odgłosami wydawanymi przez sumatory i szczebioczącym dźwiękiem wózka tamtego dzieciaka z niesfornym kółkiem, gdy przemieszczał go wzdłuż rzędu z większą liczbą teczek, ale poza tym dźwięczał mu w głowie odgłos, jaki towarzyszy darcie kartki papieru na pół, a potem na coraz mniejsze strzępki. Jego sześćoosobowa sekcja zajmowała jedną czwartą rzędu, odgradzona od reszty szarymi winylowymi panelami. Zespół to cztery sekcje plus kierownik zespołu oraz wózkowy, ten ostatni nierzadko student z Peoria College of Business. Panele można było przenosić i zmieniać w ten sposób układ pomieszczenia. Podobne grupy kontroli rutynowych pracowały w pomieszczeniach po prawej i po lewej. Za trzema kolejnymi stanowiskami sekcji, daleko na lewo, był gabinet kierownika grupy, w którym z boku z winylowych ścianek ustawiono niewielki boks dla asystenta KG. Gumowe naparstki na mały palec miały służyć jak najsprawniejszemu przesuwaniu się w rubrykach formularzy. Koniec końców, oczekiwano oszczędzania

gumy. Lampy pod sufitem nie rzucały cienia, nawet jeśli wyciągnęło się rękę, że niby w kierunku półki. Doug i Amber Bellman, zamieszkali przy Elk Court 402 w Edina w Minnesocie, którzy byli bardziej niż skrupulatni w swoim zestawieniu, postanowili przeznaczyć jednego dolara na Fundusz Kampanii Prezydenckiej. Kilka minut trwało sprawdzenie zgodności wszystkiego z Tabelą A, ale nic nie kwalifikowało się na potencjalny owocny audyt, mimo że pan Bellman miał kanciaste pismo szaleńca. Lane Dean przerobił znacznie mniej dwudziestek, niż przewidywał protokół. W piątek miał najmniej zrobionych dwudziestek ze wszystkich w swojej sekcji. Nikt nic nie powiedział. Wszystkie kosze na śmieci były pełne spiralnie zawijających się pasków papieru z sumatorów. Twarze wszystkich miały w świetle lamp fluorescencyjnych barwę mokrego ołowiu. Można było sobie stworzyć półprywatny boks z tych paneli, tak jak to zrobił kierownik zespołu. No i jednak podniósł wzrok, mimo najlepszych chęci. Za cztery minuty mijała kolejna godzina, a potem, po półgodzinie, będzie piętnastominutowa przerwa. Lane Dean wyobraził sobie siebie, jak w trakcie przerwy biega w kółko, wymachując rękami i wykrzykując głupoty, z dziesięcioma papierosami sterczącymi mu z ust niczym fletnia Pana. Rok za rokiem, twarz tego samego koloru co biurko. Panie Jezu. Nie można było sprawdzać z kawą, ze względu na plamy na dokumentach, za to na przerwie będzie trzymał w obu dłoniach po wielkim kubku kawy, wyobrażając sobie, jak biega po okolicznych polach i wrzeszczy. Wiedział, że tak naprawdę przerwę przesiedzi naprzeciw ściany z zegarem w kanciapie i pomimo modlitw i wysiłku będzie tak siedział, licząc tykające sekundy, aż będzie musiał wrócić i robić to znowu. I znowu, i znowu, i znowu. Dźwięk, który sobie wyobrażał, przypominał mu o różnych momentach, w których widział, jak ludzie drą papier. Pomyślał o cyrkowym siłaczku, który przedziera książkę telefoniczną; był łysy i miał wielkie podkręcone wąsy i jednocześnie pasiasty strój pływacki, taki, jaki nosili ludzie w odległej przeszłości. Lane Dean wyteńczył całą wolę i zaparł się, i zrobił trzy zeznania z rzędu, przy czym zaczął sobie wyobrażać różne wysokie punkty, z których można skoczyć. Czuł się uprawniony do stwierdzenia, że teraz wie, że piekło nie ma nic wspólnego z ogniem czy zamarzniętymi armiami. Zamknąć gościa

w pomieszczeniu bez okien, żeby wykonywał powtarzalne czynności, na tyle złożone, żeby wymagały myślenia, a mimo to rutynowe, czynności na liczbach, które nie wiążą się z niczym, co kiedykolwiek będzie mu dane zobaczyć ani na czym mogłoby mu zależeć, stos zadań, który nigdy się nie zmniejsza, przybić do ściany zegar, tak żeby go widział, i zostawić tam gościa jego własnemu umysłowi. Kazać mu ściągać dupsko i myśleć o plaży, kiedy dostaje robaków, bo właśnie takiego określenia by użyli – „dostawać robaków w tyłku”, tak jak mówi jego matka. Niech gość przekona się, doświadczając pełni czasu, jaką kpina jest to określenie – że nie oddaje tego nawet w przybliżeniu. Zdążył już odkurzyć blat biurka rękawem, przestawić zdjęcie swojego małego synka w rozklekotanej ramce, której szybka przesuwiała się po potrząśnięciu. Zdążył już spróbować przełożyć zieloną gumkę na drugą rękę i obsługiwać sumator lewą, wyobrażając sobie, że miał wylew, a mimo to się nie poddaje. Gumka sprawiała, że koniuszek małego palca robił się mokry i blady. Nie móc usiedzieć spokojnie w domu, nie być w stanie zatrzymać na czymkolwiek wzroku dłużej niż sekundę, dwie. Piasek na plaży był teraz zastygłym cementem, a woda była szara i ledwie się poruszała, drżała odrobinę, jak prawie ścięta galaretka. Mimo woli przychodziły mu do głowy sposoby na zabicie się za pomocą galaretki. Lane Dean próbował kontrolować prędkość uderzeń serca. Zastanawiał się, czy nabrawszy wystarczającej wprawy i przy odpowiedniej koncentracji da się zatrzymać serce na zawołanie, tak jak wstrzymuje się oddech – o tak, o. Jego tętno wydało mu się niepokojąco wolne, tak że się przestraszył i spróbował trzymać głowę w pochyleniu, wywracając oczy do góry, żeby porównać tętno z ruchem sekundowej wskazówki zegara, ale ta wskazówka sprawiała wrażenie niemożliwie powolnej. Odgłos dartego papieru znowu i znowu. Niektórzy wózkowi przywozili skoroszyty ze wszystkim, co było potrzebne, inni nie. Dzwonek przywołujący wózkowego był tuż pod krawędzią blatu żelaznego biurka i ciągnął się od niego kabel, który puszczono wzdłuż jednego brzegu biurka i przyspawanej nóżki, ale nie działał. Atkins powiedział, że skorek, który zajmował to stanowisko przed nim i którego przenieśli gdzie indziej, tak często naciskał na przycisk, że przepalił obwód. Dziwne drobne

zagłębienia, układające się w rzędy przy przedniej krawędzi suszki, były – Lane Dean zdał sobie z tego sprawę – śladami zębów, które ktoś, schyliwszy się, zatopił bardzo sumiennie w brzegu suszki, żeby zostały tam na dobre. Czuł, że to rozumie. Trudno się było powstrzymać przed obwąchiwaniem palca; zdarzało mu się łapać na tym w domu, gdy siedział przy stole, gapiąc się w przestrzeń. Twarz jego synka działała lepiej od plaży; wyobrażał sobie, jak robi najróżniejsze rzeczy, o których on i jego żona będą mogli potem rozmawiać, jak chwytanie piąstką ich palców albo to, jak mały uśmiecha się w reakcji na minę udawanego zdziwienia, z którą Sheri na niego patrzyła. Lubił patrzeć na nią z dzieckiem; przez pół teczki pomagało myślenie o nich, ponieważ oni byli odpowiedzią na pytanie dlaczego, to oni sprawiali, że to ma jakąś wartość i jest tym, co słuszne, i powinien był o tym pamiętać, ale to wymykało mu się ciągle przez tę dziurę, która przewiercała go na wylot. Żaden z mężczyzn po bokach chyba nawet przez chwilę się nie wiercił ani nie poruszył, jeśli nie liczyć sięgania na półki i przenoszenia na blat tingle'a przedmiotów takich jak sumatory i nigdy nie było ich w kanciapie na przerwie. Atkins twierdził, że po roku potrafił już sprawdzać i porównywać dwa skoroszyty naraz, ale nigdy nie widział, żeby to robił, chociaż na pewno potrafił gwizdać jedną melodię i jednocześnie nucić inną. Siostra Nugenta udawała głos z *Egzorcysty*. Lane Dean patrzył kątem oka, jak mężczyzna o papuziej twarzy przy głównej alejce, rozgraniczającej zespoły, zdejmuje skoroszyt z półki i wyciąga formularz deklaracji, i odpina wydruk, po czym układa równoległe do suszki. Z domowej roboty niewielką poduszką na siedzenie i szarym kapeluszem na haczyku przykreconym do półki z czterysta dwójkami. Lane Dean gapił się na blat, nie widząc własnego otwartego skoroszytu, i wyobrażał sobie, że jest tym facetem z żalosną poduszką i sprowadzaną na zamówienie lampką bankierską, zastanawiając się, co takiego mógłby on robić w czasie wolnym, żeby wynagrodzić sobie tych osiem godzin śmierci duszy, z których nie minęła jeszcze nawet czwarta część, aż nie mógł tego dłużej znieść i zrobił trzy zeznania z rzędu w czymś na kształt gorączki, w której coś mogło mu umknąć, tak że przy następnym skoroszytcie pracował bardzo wolno i skrupulatnie, i znalazł rozbieżność między wpisem w Tabeli E

a tabelami z zestawieniem renty rocznej wypłacanej przez RRA biednemu staremu Clive'owi R. Terry'emu z Alton jako dodatek do jego mizernej emerytury pracownika kolei, rozbieżność jednak tak małą, że nie dało się stwierdzić, czy wydruk z Martinsburga zawiera błąd, czy może po prostu zaakceptowali tam hojne zaokrąglenie dla zaoszczędzenia czasu, biorąc pod uwagę niską stawkę, o jaką toczyła się gra, tak że musiał wypełnić zarówno 020-C oraz Notę 402-C(1) i odesłać zeznanie do biura kierownika grupy, żeby ten zdecydował, jak zaklasyfikować tę pomyłkę. Cała sprawa wydawała się niewiarygodnie błaha i właściwie bez znaczenia. Pomyślał o słowie „znaczenie” i spróbował przywołać widok twarzy swojego dziecka bez patrzenia na zdjęcie, ale zdołał przywołać tylko ciężar pełnej pieluchy i plastikową wiszącą zabawkę nad łóżeczkiem, obracającą się w strugach powietrza z wentylatora ustawionego w drzwiach. Nikt w obu ich kongregacjach nie widział *Egzorcysty*; był sprzeczny z dogmatami katolicyzmu i niemoralny. To nie była rozrywka. Wyobraził sobie, że wskazówka sekundowa zegara ściennego posiada świadomość i wie, że jej zadaniem jest chodzić w kółko po okręgu z liczb zawsze w tym samym niezmiennym, powolnym, automatycznym tempie, nie zmierzać donikąd, gdzie nie byłaby już wcześniej milion razy, a wyobrażanie sobie tej wskazówki było tak koszmarne, że powietrze uwięzło mu w gardle, aż nawet rozejrzył się szybko, żeby sprawdzić, czy nikt z kontrolerów siedzących wokół niego tego nie słyszał i mu się teraz nie przygląda. Kiedy zaczął widzieć, jak twarz dzieciątka na fotografii rozpływa się i wydłuża, jak wykształca się jej wysunięty podbródek z dołkiem, i jak twarz starzeje się o wiele lat na przestrzeni sekund, i jak wreszcie zapada się ze starości, i jak odpada od wyszczerzonej żółtej czaszki pod spodem, wiedział, że na wpół śpi i że to mu się śni, ale nie zdawał sobie sprawy, że własną twarz wsparł na rękach, póki nie usłyszał ludzkiego głosu i nie otworzył oczu, ale nie mógł go z nikim połączyć i wtedy poczuł gumę z małego palca tuż pod nosem. Możliwe, że na otwarty skoroszyt poszła mu z ust ślina.

Już trochę skosztowaliśmy, rozumiem.

To był duży starszy gość o pomarszczonej twarzy i zębami jak sztachety w płocie. Nie siedział przy żadnym z tingli, które Lane

Dean obserwował kiedykolwiek znad blatu swojego. Facet miał na czole lampkę przytwierdzoną do beżowej bawełnianej opaski, jakie nosili niektórzy dentyści, oraz rodzaj grubego czarnego markera w kieszeni na piersi. Czuć było od niego olejkiem do włosów i jakimś jedzeniem. Część tyłka umościł na brzegu biurka Lane'a i wygrzebywał sobie brud spod paznokcia kciuka wyprostowanym spinaczem do papieru, przemawiając z cicha. Widać było, że pod koszulą ma podkoszulek. Nie nosił krawata. Poruszał tułowiem, jakby zakreślając nim coś w rodzaju kręgu, a ruchy pozostawiały odrobinę śladu wzrokowego. Żaden ze skorków siedzących w obu przyległych rzędach nie zwracał na niego uwagi. Dean spojrział na twarz na zdjęciu, żeby upewnić się, że nie odpłynął.

Tyle że nigdy tego nie mówią. Zauważyłeś? Mówią naokoło. To jest zbyt oczywiste. To tak, jakby rozmawiać o powietrzu, którym oddychacie, prawda? To tak, jakby powiedzieć: widzę to a to *moim okiem*. Jaki byłby w tym sens?

Coś było nie tak z jednym z jego oczu; źrenica tego oka była większa i taką pozostawiała, nadając mu wygląd nieruchomego. Lampa czołowa nie była włączona. Powolne ruchy tułowia przybliżały go, po czym oddalały, po czym przybliżały na nowo. To było bardzo nieznaczne i niespieszne.

Tak, ale teraz, gdy tego kosztujesz, zastanów się nad tym, nad tym słowem. Znasz je. Dean miał nieprzyjemne wrażenie, jakby gość nie mówił specjalnie do niego, co oznaczałoby, że gada bardziej do siebie. To jedno oko patrzyło uparcie obok niego. Ale czy dopiero co nie myślał o jakimś słowie? Czy tym słowem nie było *rozszerzona*? Czy powiedział je na głos? Lane Dean spojrział ostrożnie na boki. Drzwi z szybą z mlecznego szkła do gabinetu kierownika grupy były zamknięte.

Słowo pojawia się nagle w 1766 roku. Etymologia nieznana. Hrabia marchii używa go w liście, opisując francuskiego para. Nie rzucał cienia, ale to o niczym nie świadczyło. Bez żadnego powodu Lane Dean spał pośladki. W rzeczy samej, pierwsze trzy odnotowane w angielszczyźnie przypadki użycia słowa „nudziarz” łączą je z przymiotnikiem „francuski”, ten nudziarzyna francuski, francuski ów męczydusz, a nudziarz nad nudziarze, czyż nie?

Francuzi oczywiście mieli swoje *malaise, ennui*. Zobacz czwartą *pensée* Pascala, co Lane Dean zrozumiał jako „pensję”. Rozglądał się za śladami nieopatrznie upuszczonej z ust śliny na skoroszybie, który miał przed sobą. Jeden pośladek w ciemnoniebieskich spodniach roboczych spoczywał kilka cali od jego łokcia. Facet poruszał się nieznacznie do przodu i do tyłu, jakby górna część ciała chodziła na zawiasach. Wyglądał, jakby przeprowadzał inspekcję ciała Lane’a Deana od pasa w górę i jego twarzy w systematyczny sposób z podziałem na sektory. Jego brwi były wszędzie. Oliwkowa opaska była albo przesiąknięta, albo poplamiona. Patrz: znane listy La Rochefoucaulda i markizy du Deffanda do Horace’a Walpole’a, szczególnie, jak myślę, List 96. Ale żadnych śladów w angielskim przed Marchią, hrabim. To oznacza dobrych pięćset lat bez słowa, które by to nazywało, prawda? Przekreślił się nieco w przeciwną stronę. W żadnym razie to nie było widzenie ani szczególny moment duchowy. Lane Dean słyszał o widmie, ale nigdy go nie widział. Halucynacyjne widmo spowodowane koncentracją na powtarzalnym zadaniu, utrzymywaną przez zbyt długi czas, jak przy powtarzaniu słowa w kółko i w kółko, aż słowo się jakby jakoś rozpuszczało i stawało obce. Twarda siwa czupryna pana Waxa właśnie ukazała się cztery tingle dalej. Żadnego odpowiednika dla łacińskiej *accidia*, która była takim problemem dla mnichów pod Benedyktem. Dla greki zob. $\alpha \kappa \eta \delta \acute{\iota} \alpha$. Również u eremitów egipskich w trzecim stuleciu, tak zwany *daemon meridianus*, gdy ich modły stawały się letnie wobec poczucia bezsensu i znużenia oraz pragnienia nagłej śmierci. Teraz Lane Dean rozglądał się jawnie dookoła, jakby pytał wszystkich, kim jest ten gość. To jedno oko miał utkwione w punkcie gdzieś ponad rzędem winylowych przepierzeń. Odgłos darcia ustał, podobnie jak dźwięk skrzypiącego kółka przy tamtym wózku.

Koleś odchrząknął. Donne oczywiście nazywał to *lethargie* i przez pewien czas słowo wydaje się niejako łączone z melancholią, saturninią, *otiositas, tristitia* – a więc myłone z gnuśnością i niemrawością, i ospałością, a także eremią oraz rozdrażnieniem i nieukontentowaniem, i łączone ze splinem; zobacz, dla przykładu, „czarną żółć” księżnej Winchilsea, no i oczywiście Burtona. Facet nadal chodził wokół tego samego. Quaker Green w roku, zdaje się,

1750 nazwał to „oparami splinu”. Zapach olejku do włosów przywodził Lane’owi Deanowi na myśl zakład fryzjera męskiego, słup w paski, które wydawały się wiecznie wędrować spiralą do góry, ale można było sprawdzić po zamknięciu zakładu, gdy słup się zatrzymywał, że tego nie robią. Ten olejek do włosów tak się jakoś nazywał. Nikt przed sześćdziesiątką z niego nie korzystał. Pan Wax używał spreju. Koleś wydawał się nieświadomy podwodnych, układających się w X rotacji swojego tułowia. Dwóch skorków z zespołu przy drzwiach miało długie brody i czarne meloniki i kiwało się przy swoich tingle’ach, sprawdzając deklaracje, tyle że ich kiwanie było szybkie i odbywało się tylko do przodu i do tyłu; to tutaj było inne. Kontrolerzy po obu stronach nie odrywali wzroku od kartek ani nie zwracali na niego uwagi; ich palce na sumatorach nawet na chwilę nie zwalniały. Lane Dean nie był pewien, czy to dowód ich profesjonalnej koncentracji, czy może coś innego. Niektórzy mieli gumkę na małym palcu lewej ręki, większość na prawej. Robert Atkins był oburęczny; potrafił wypełniać dwa formularze naraz. Mężczyzna po lewej przez cały ranek mrugnął jeden jedyny raz, o ile Lane Dean się orientował. I nagle, ni stąd, ni zowąd, jest. *Nudzić*. Jakby wyskoczyło z czoła Ateny. Rzeczownik i czasownik, przymiotnik, pełny serwis. Pochodzenie nieznane, serio. Nie wiemy. Nic na ten temat u Johnsona. U Partridge’a jedyną wzmianką jest stosowanie przyimka ze słowem *znudzony* w funkcji orzecznika bądź przydawki, ponieważ różnica między mówieniem *znudzony przez coś* a *znudzony czymś* jest wyznacznikiem klasowym, bo też tylko to naprawdę zajmuje Partridge’a. Klasa, klasa, klasa. Jedynym Partridge’em, jakiego kojarzył Lane Dean, był ten sam telewizyjny Partridge, którego znali wszyscy. Nie miał bladego pojęcia, o czym ten gość mówi, a jednocześnie niepokoiło go, że sam też pomyślał o nudzeniu jako słowie, tym słowie, wiele zeznań wcześniej. Według filologów ma być neologizmem – i to właśnie w momencie rozkwitu przemysłu – nieprawdaż? – człowieka kolektywnego, automatycznej turbiny, przeszywającego świdra i otworu wiertniczego, tak? Wydrażony? Zapomnij Friedkina, oglądałeś *Metropolis*? Dobra, to naprawdę napędziło Lane’owi stracha. Niemożność powiedzenia czegokolwiek do tego gościa czy zapytania go, czego w ogóle chce, też była trochę jak ze złego snu.

W noc po swoim pierwszym dniu śnił o długim kiju, który łamał się i łamał, ale nigdy nie robił się krótszy. Tamten Francuz przez wieczność toczący pod górę kamień. Zobacz na przykład w *Języku angielskim* L.P. Smitha, wydanie, zdaje się, z pięćdziesiątego szóstego, nieprawdaż? To przez to niesprawne oko, to zastygłe oko, wyglądał, jakby badał to, w kierunku czego się nachylał. Utrzymuje, jakoby powstanie pewnych neologizmów było „efektem kulturowego zapotrzebowania” – to, zdaje mi się, jego słowa. Tak, powiedział. Kiedy możliwe staje się doświadczenie, z którego możesz wziąć kęs rozmiarów dorosłego człowieka, słowo samo się wymyśla. Termin. Przerzucił się na kolejny paznokiec. To tonik Vitalis wsiąkał mu w opaskę lampki czołowej, która coraz bardziej przypominała bandaż. Na drzwiach kierownika grupy widniało jego nazwisko namalowane na takiej samej szybie z mrożonego szkła jak w drzwiach w starszych liceach. Pokoje w Kadrach też miały takie. W skorkowiskach były metalowe drzwi przeciwpożarowe bez okien, na zawiasach pneumatycznych u góry, nowszy model. Zauważ, że Ogłokowie z Labradoru używają ponad stu różnych słów na określenie śniegu. Smith mówi o tym w ten sposób, że gdy tylko coś uzyskuje dostateczną istotność, znajduje sobie nazwę. Nazwa sama się wyłania pod presją kultury. Naprawdę całkiem zajmujące, jeśli się nad tym zastanowić. Właśnie po raz pierwszy koleś przy tingle’u po prawej obrócił się na chwilę, żeby spojrzeć na tego faceta, i zaraz tak samo szybko obrócił się z powrotem, po tym jak facet zrobił z dłoni szpony i wyciągnął je w kierunku drugiego skorka, jak demon albo ktoś opętany. Cała rzecz rozegrała się za szybko, żeby Lane Dean mógł uznać ją za prawdziwą. Skorek przewrócił stronę w skoroszytcie. Ktoś inny też tak to nazwał: „uśmiercające duszę”. Bo ty teraz też, prawda? I nagle w dziewiętnastym wieku mamy to słowo wszędzie; zobacz np. u Kierkegarda: „To zaprawdę dziwne, że nuda, która jest spokojną i stateczną istotą, może wprawić taką siłę w ruch”. Gdy zsunął swój wielki pośladek z blatu, ruch sprawił, że zapach rozszedł się z większą siłą; to był Vitalis i chińszczyzna, jedzenie w małym białym kubelku z drucianym uchwytem, moo goo coś tam. Światło pomieszczenia na mlecznym szkłe było inne, ponieważ drzwi były

uchylone, chociaż Lane Dean nie spostrzegł, jak się otwierają. Lane'owi Deanowi przyszło do głowy, że mógłby się pomodlić.

Był to ten sam chwiejny ruch, jakby z podziałem na sektory, wykonywany na stojąco. Tamto oko było utkwione w drzwiach kierownika grupy, ciut uchylonych. Zauważ także, że „interesujący” pojawia się po raz pierwszy ledwie dwa lata po „nudziarzu”. W 1768. Zwróć uwagę, dwa lata *po*. Przypadek? Był w połowie rzędu; teraz koleś z poduszką popatrzył w górę, po czym zaraz opuścił wzrok. Wymyśla się samo, tak? Ale nie wymyśla wszystkiego. Potem jeszcze coś, co Lane Dean zrozumiał jako „Bo natrę ci”. Facet zniknął, gdy dotarł do końca rzędu. Skoroszyt i jego tabele A / B oraz wydruk były dokładnie tam, gdzie były wcześniej, ale zdjęcie synka Lane'a leżało twarzą do blatu. Pozwolił sobie podnieść wzrok i zobaczył, że czas wcale nie upłynął, znowu.

§34

Formuła wyliczenia stawki APM dla osób prawnych wg *PIR §781(d)*:
(1) dochód podlegający opodatkowaniu przed odliczeniem deficytu operacyjnego netto plus lub minus (2) wszystkie korekty stawek APM z wyłączeniem korekty kapitału podstawowego, plus (3) preferencje, co daje (4) dochód objęty alternatywnym podatkiem minimalnym przed odliczeniem deficytu operacyjnego netto i / lub korektą kapitału podstawowego plus lub minus (5) korekta kapitału podstawowego, jeżeli dotyczy, co daje (6) dochód podlegający APM przed odliczeniem DON, jeżeli dotyczy, minus (7) odliczenie DON, jeżeli dotyczy (pułap dziewięćdziesięciu procent), co daje (8) dochód podlegający APM, minus (9) zwolnienia, co daje (10) podstawę APM po pomnożeniu przez (11) dwudziestoprocentową stawkę APM, co daje (12) APM przed zaliczeniem podatku zapłaconego za granicą minus (13) podatek zapłacony za granicą na poczet APM, jeżeli dotyczy (pułap dziewięćdziesięciu procent, o ile nie mają zastosowania wyjątki z §781[d] z punktów 13–16; w takim przypadku należy dołączyć notatkę 781-2432 i skierować do kierownika grupy), co daje (14) wysokość stawki tymczasowego alternatywnego podatku minimalnego minus (15) standardową należność podatkową przed ulgą minus podatek zapłacony za granicą, co daje wysokość stawki (16) alternatywnego podatku minimalnego.

§35

Kierownik mojej grupy audytowej i jego żona mają niemowlę, które mogę opisać wyłącznie jako... groźne. Wyraz jego twarzy jest groźny, jego postawa jest groźna, sposób, w jaki spogląda znad butelki albo smoczka – groźny, budzący lęk, agresywny. Nigdy nie słyszałem, żeby płakało. Kiedy je lub śpi, jego blada twarzyczka czerwienieje, co sprawia, że wygląda jeszcze groźniej. Ilekroć nasz kierownik przynosił je ze sobą do biura w plastikowym urządzeniu na plecach, przypominającym indiańskie nosidełko, wyglądało to tak, jakby niemowlę dosiadało go niczym kornak słońca. Wisiało tak, emanując władczością. Jego plecy stykały się bezpośrednio z plecami kierownika grupy, jego wielka głowa spoczywała w zagłębieniu stworzonym przez kark jego ojca, co zmuszało pana Manshardta do opuszczania własnej głowy i przyjmowania tym samym klasycznej pozycji osoby prześladowanej. Stanowili bestię o dwóch twarzach, z których pierwsza była spokojna, nijaka, dorosła, a druga nieuformowana, a jednak zdecydowanie groźna. Niemowlę, siedząc w tym urządzeniu, nigdy się nie wierciło ani nie grymasiło. Jego spojrzenie, utkwione w resztę naszej grupy zebraną na korytarzu w oczekiwaniu na poranną windę, było nieruchome, łącznie z powiekami, i wydawało się w jakimś sensie prawie oskarżycielskie.

Twarz tego niemowlęcia, tak jak ja ją widziałem, to były głównie oczy i dolna warga, nosa tyle co nic, czoło mleczne i wypukłe, z pojedynczymi pasmami spiralnych rudych włosów, zero śladu brwi czy rzęs, czy choćby powiek. Nie widziałem nawet jeden raz, żeby mrugnęło. Rysy były ledwie sugestią. Twarzy było u niego mniej więcej tyle co u wieloryba. Ani trochę za nim nie przepadałem.

W windzie moim najczęstszym miejscem jest środek, dokładnie za panem Manshardtem, a w te poranki, kiedy dosiada go to dziecko i wisi na nim, odwrócone do niego plecami, ja zaś tę chwilę spędzam, patrząc w wielkie, surowe, bezrzęse, płomiennie niebieskie oczy, mogę powiedzieć tylko tyle, że te przejażdżki windą wcale nie

należą do przyjemnych i nieraz wpływają na moje samopoczucie i koncentrację przez sporą część czasu pracy.

W gabinecie pana Manshardta na trzecim piętrze niemowlę miało swoje łóżeczko, a także nowoczesne, pomysłowe, mobilne urządzenie podtrzymujące, w którym spędzało sporo czasu, duże ustrojstwo w postaci obręczy z solidnego niebieskiego plastiku i czegoś w rodzaju nosidła czy siodełka z materiału poprowadzonego przez środek centralnego otworu, w którym umieszczano dziecko w pozycji gdzieś pomiędzy siedzeniem a staniem, to znaczy, że nogi niemowlęcia były prawie wyprostowane, nosidło jednak wyglądało tak, jakby to na nim opierał się ciężar dziecka. Urządzenie czy stanowisko miało cztery krótkie, rozstawione na boki podpory zakończone plastikowymi kółkami i było tak zaprojektowane, by przesuwac się zgodnie z wolą niemowlęcia, jakkolwiek powoli, trochę tak jak dawało się manewrować krzesłami na kółkach z naszych stanowisk pracy, trochę w tę, trochę w tę, za pomocą pokraccznych ruchów nóg audytorów. Tyle że z tego, co widziałem, dziecko nie zamierzało przesuwac urządzenia ani bawic się którąkolwiek z jaskrawych zabawek w barwach podstawowych, ani żadnym z małych zabawnych wspomagających rozwój cośków wbudowanych w zagłębienia niebieskiej powierzchni obręczy. Podobnie nigdy nie wydawało się zwracać uwagi na książeczki z pluszu, wywrotki i samochody strażackie, gryzaki z przezroczystego plastiku wypełnione cieczą, skomplikowane łóżeczkowe karuzele czy zabawki emitujące melodyjki i odgłosy zwierząt za pociągnięciem linki, których pełny był jego kącik zabaw. Po prostu tam siedziało, nieruchome i nieme, spoglądając groźnie na każde z audytorów 9. szczebla, które wchodziło do małego gabinetu naszego kierownika grupy za matowym szkłem w te dni, kiedy pan Manshardt – którego żona była wyzwolona i miała własną pracę – przynosił je ze sobą, na co podobno otrzymał specjalne zezwolenie dyrektora okręgu. Na początku wiele dziewczątek pojawiało się w gabinecie pod byle pretekstem, próbując wkupić się w łaski kierownika grupy, uśmiechając się do niemowlaka albo umieszczając w jego polu widzenia palec albo ołówek, prawdopodobnie próbując uaktywnić jego odruch chwytny. Niemowlak jednak po prostu patrzył na audytora groźnie,

z mieszanką skupienia i pogardy w spojrzeniu, z wyrazem twarzy, który mógł sugerować, że jest głodny, audytor natomiast to jedzenie, tyle że nie to właściwe. Są takie małe dzieci, po których od razu widać, że wyrosną na przerażających dorosłych – to niemowlę było przerażające już teraz. Było coś upiornego i dezorientującego w tym, że stworzenie, którego twarz to wciąż jeszcze kwestia umowna, potrafi mimo to wyglądać groźnie, niebezpiecznie, niemal oskarżycielsko. Co do mnie, to dość wcześnie porzuciłem wszelkie nadzieje na wkupienie się w łaski pana Manshardta dzięki jego niemowlęciu. Szczerze mówiąc, obawiałem się, że Gary Manshardt za pomocą jakiegoś tajemnego, magicznego rodzicielskiego radaru wychwyci strach i niechęć, jakie wzbudza we mnie to niemowlę.

Przestrzeń osobista blatu biurka pana Manshardta była zastawiona zdjęciami jego niemowlęcia – na dywaniku, jako noworodka na oddziale położniczym, w bucikach i w tycim płaszczyku z kapturem, gołego na plaży, w kucki z czerwonym wiaderkiem i łopatką itd., itp. – i na wszystkich fotografiach niemowlę prezentowało się groźnie. Nie wyglądało na to, by jego obecność jakoś kolidowała z obowiązkami Manshardta, których większość stanowiły prace administracyjne, wymagające znacznie mniej czystej koncentracji niż to, czym zajmowała się sama grupa audytowa. Niemniej wraz z początkiem dnia pracy kierownik grupy sprawiał wrażenie, jakby zasadniczo ignorował niemowlę i jakby sam z kolei był przez nie ignorowany. Ilekroć znalazłem się w środku, choćbym nie wiem jak się starał, nie byłem w stanie wejść z niemowlakiem w interakcję. Nylonowe nosidełko wisiało na wieszaku obok kapelusza i marynarki pana Manshardta – lubił pracować tylko w koszuli, co jest kolejnym ekstraprzywilejem na stanowisku kierownika grupy. Czasami w gabinecie czuć było nieznacznie zasypkę albo siuśki. Nie wiem, kiedy KG przewijał niemowlę ani gdzie, i starałem się nie wizualizować sobie, z czym to się w ogóle wiąże, podobnie jak miny niemowlęcia w trakcie. Sam nie byłem w stanie sobie wyobrazić, że dotykam niemowlaka ani że on dotyka mnie.

Z miejsca naszego Pawilonu Audytów w strukturze administracyjnej Okręgu 040(c) dla kierowników grup wynikał obowiązek rotacyjnego dyżurowania w charakterze komisarza ds.

odwołań I stopnia na ten okręg, co wymagało od pana Manshardta zakładania co jakiś czas marynarki i zjeżdżania na dół do jednego z boksów na pierwszym piętrze, gdzie pokrzywdzeni, w swoim mniemaniu, podatnicy bądź ich przedstawiciele prezentowali mu swoje zastrzeżenia względem ustaleń danego audytu. A ponieważ zapisy §601 *Wykazu regulacji proceduralnych* Służby dla odwołań od ustaleń stanowiły, że odnośny audytor 9. szczebla ma być nieobecny podczas wszczynania postępowania odwoławczego I stopnia, audytor ten stawał się w sposób logiczny tym, do którego lub której podchodził pan Manshardt z prośbą o przeniesienie się z materiałami na pewien czas do jego biura i przypilnowanie niemowlęcia w czasie, kiedy pan Manshardt obsługuje odwołania I stopnia.

Przyszedł w końcu dzień, kiedy ktoś złożył odwołanie od jednego z ustaleń mojego audytu, i akurat pan Manshardt miał dyżur jako komisarz ds. odwołań naszej placówki. Traf chciał, że odwołanie dotyczyło audytu zewnętrznego, na którym spędziłem bitych osiem dni roboczych w All Right Flowers, niewielkim rodzinnym przedsiębiorstwie o statusie spółki typu S, specjalizującym się w układaniu i dowozie bukietów na uroczystości publiczne, którego formularz 1120 w tabelach A, E oraz G podawał tak grubo naciągane odliczenia z każdego możliwego tytułu, począwszy od odpisów amortyzacyjnych, przez gospodarke odpadami, po wynagrodzenia pracowników, że byłem zmuszony – mimo potwornego i długotrwałego kataru siennego – zrobić im audyt dwóch poprzednich lat i poprawić zarówno ich tabelę J, jak i linijkę 33 na ich tysiąc dwudziestce mocno na korzyść Departamentu Skarbu. Ponieważ tamten audyt zewnętrzny zleciło mi bezpośrednio, na podstawie rozporządzenia na formularzu nr 20, Regionalne Centrum Kontroli, a także z uwagi na prawdopodobieństwo, że wszystkie korekty, kary i odsetki, jakie zgodnie z wyliczeniami mieli łącznie zapłacić All Right Flowers, przekroczą w ich przypadku wypłacalność podatnika, o ile nie ustali się specjalnych warunków, odwołanie trudno uważać za niespodziankę czy powód do niepokoju, zapewnił mnie pan Manshardt bezosobowym, uprzejmym tonem, który charakteryzował jego styl zarządzania. Ale z racji tego, że I stopień odbędzie się w biurze prawnika All Right Flowers przy

DeKalb w śródmieściu – na co pewnym kategoriom podatników, u których przeprowadza się audyt, zezwalają zapisy w §601.105 *WRP* – miało się to wiązać z kilkugodzinną nieobecnością pana Manshardta w biurze, co z kolei oznaczało, że spędzę dłuższy okres w gabinecie kierownika grupy w towarzystwie jego groźnego i przerażającego niemowlaka, którego mógłby wziąć ze sobą na spotkanie, jedynie gdyby Manshardta i adwokata strony wnoszącej odwołanie łączyła długa zażyłość, co – jak mi powiedział – w przypadku jego i prawniczki All Right Flowers¹⁰³ niestety nie zachodziło.

Gabinety kierowników grup były jedynymi w pełni zamkniętymi fragmentami przestrzeni biurowej Pawilonu Audytów na drugim piętrze, z drzwiami zapewniającymi luksus prywatności. Ale nie są duże, ten Manshardta liczy pewnie co najwyżej osiem na osiem stóp, ma też po dwóch stronach duże szyby z mlecznego szkła (wstawione w ścianki nieprzylegające do ścian nośnych budynku siedziby okręgu) oraz mosiężny wieszak z dwoma haczykami, a także flagę amerykańską oraz flagę z pieczęcią i mottem Służby, osadzone w rozwidlającym się statywie, jak również oprawione portrety Komisarza Izby Rozliczeń i naszego Komisarza na Region. W przeciwieństwie do naszych niewygodnych, bezosobowych metalowych biurzeczek grupy audytowej biurko z okleiną drewnopodobną Gary’ego Manshardta, wraz z ustawioną na nim nadbudową tingle’a z tackami i skrytkami, zajmowało niemal całą przestrzeń nieoddaną niemowlęciu i stały za nim też wielofunkcyjne sztalugi, na których wszyscy kierownicy grup zawieszali wykresy aktualnego obciążenia swoich audytorów, a także zapisane z polecenia dyrektora okręgu kodem Charleston, na który nie było głupich¹⁰⁴, łączną liczbę spraw prowadzonych przez każdą dziewiątkę, poprawy i spadki produktywności na przestrzeni bieżącego kwartału. Klimatyzacja była przyjemną rzeczą.

A jednak daje mi się właśnie do zrozumienia, że to nie ma bezpośredniego związku ze sprawą, której sedno jest takie: wyobraźcie sobie moje zaskoczenie i konsternację, kiedy wkrótce po tym, jak przeniosłem swoją aktówkę, pacynkę dobermana, tabliczkę z nazwiskiem, kapelusz, rzeczy osobiste, notes z logo Służby, tekturową teczkę harmonijkową z kartami Holleritha, wydrukami

M1, drukami 20, formularzami 520 i 1120, pustymi formularzami, a także z co najmniej dwoma opasłymi segregatorami pełnymi audytów krzyżowych i formularzy wniosków o udostępnienie faktur do gabinetu kierownika i – spoglądając, najmniej jak się dało, w stronę złowrogiego niemowlęcia Gary’ego, które wciąż miało na sobie śliniak po obiedzie i stało-łamane-przez-siedziało w swojej okrągłej plastikowej konsoli, pogryzając bezzębnie przezroczyste kółko wypełnione cieczą w sposób, który jestem w stanie opisać wyłącznie jako drobiazgowo staranny czy też kontemplacyjny – zaczynałem na powrót się koncentrować na zadaniu organizacji listy wniosków o przesłanie faktur pro forma i załączników wysłanych przez firmę, która wytwarzała i przytwierdzała uchwyty ze stali odpuszczanej do pewnej linii kubłów ze stali galwanizowanej dla Midstate Galvanics Co., kiedy usłyszałem bezsprzecznie dorosły odgłos odchrząkiwania, tyle tylko, że ekstremalnie wysoki, jakby wydający go dorosły dopiero co nawdychał się helu z dekoracyjnego balonu. Niemowlę było, tak jak żona Gary’ego, rudzielcem, ale w przypadku niemowlęcia jego uderzająca bladość i jasnożółta piżamka czy śpiochy (czy jakkolwiek się mówi na te mechate, ściśle opinające ciało jednocześnie ubranka zapinane na zatrzaski, które noszą dziś niemowlęta) sprawiały, że drobne kosmyki i spirale na jego głowie w intensywnym oświetleniu biura przypominały zakrzepłą krew, a jego groźne i skupione oczy sprawiały teraz wrażenie, jakby niemal nie miały źrenic; a dla dopełnienia tego niedorzecznego koszmaru niemowlę odłożyło swój gryzak na bok – cokolwiek starannym i zdecydowanym ruchem mężczyzny, który odkłada na brzeg biurka teczkę po skończeniu pracy nad nią, żeby następnie poświęcić uwagę kolejnej – gdzie leżał wilgotny i lśniący obok stojącej butelki czegoś, co wyglądało na sok jabłkowy, i po dorostemu złożyło przed sobą własne maleńkie dłonie, zaplatając palce przed sobą na jaskrawoniebieskim plastiku swojego pulpitu¹⁰⁵, dokładnie tak jak pan Manshardt albo pan Fardelle czy którykolwiek z kierowników grup albo ktoś wyższy stopniem wśród personelu dyrektora okręgu umieściliby swoje zaplecione dłonie na biurku na znak, że wy i to, co was sprowadza do ich gabinetu, macie teraz całą ich uwagę, po czym znowu odchrząknęło (bo to naprawdę ono, to niemowlę, jak każdy KG, odchrząknęło pytająco, żeby zwrócić moją

uwagę i jednocześnie w subtelny sposób zganić mnie, że było zmuszone do zrobienia czegoś, by mnie sobą zainteresować, zupełnie jakbym błądził myślami w chmurach czy mentalnie uciekał od jakiegoś bieżącego problemu) i spoglądając na mnie groźnie, powiedziało – tak, powiedziało – wysokim, rozwadniającym spółgłoski, ale niepozostawiającym wątpliwości głosem:

– A więc?

Wydaje mi się teraz możliwe, że to mój szok, moja poniekąd konsternacja faktem, że tak dorośle mówi do mnie niemowlę w pieluchach i przesiąkniętych śliną śpiochach, sprawiły, że całkiem automatycznie odparłem, odpowiadając tak, jakbym odpowiedział na każde wyczekujące „A więc?” przełożonego ze Służby, działając niejako na autopilocie.

– Proszę? – powiedziałem, gdy tak przyglądaliśmy się sobie nawzajem ponad naszymi blatami, moim pokrytym okleiną i jego wściekle niebieskim, z dystansu dzielących nas pięciu czy sześciu stóp, oboje z dłońmi identycznie zaplecionymi przed sobą, niemowlę ze wzrokiem groźnie wyczekującym i małym glutem kremowej barwy w jednej z dziurek w nosie, ukazującym się i znikającym na przemian w rytm oddechu, spoglądające prosto na mnie, z kosmykiem opadającym mu z ciemniczka na czoło na podobieństwo metki czy paragonu drukowanego przez kasę fiskalną, z oczami pozbawionymi rzęs, bez obrzeży i bez dna, z ustami ściągniętymi tak, jakby rozważało, jak powinno postąpić, gdy tymczasem bąbel powietrza w jego butelce soku spokojnie i niespiesznie unosił się ku szczytowi naczynia, zakończonego brązowym smoczkiem, który teraz lśnił, wskazując na niedawne użycie. I trwał między nami moment, bezgraniczny i rozciągający się w nieskończoność, kiedy jedynie strach, że sprawię wrażenie bezczelnego, powstrzymywał mnie przed tym, żeby samemu odchrząknąć; i w tamtym na pozór ciągnącym się bez końca, napiętym od wyczekiwania momencie ujrzałem siebie, jak ulegam niemowlęciu, okazuję mu respekt, oddaję mu pełnię władzy, i dlatego czekałem cierpliwie, gdy tak siedzieliśmy w tym niewielkim, pozbawionym cienia gabinecie ojca, wiedząc, że odtąd jestem do usług tego małego przerażającego białego stworzenia, jego instrumentem czy narzędziem.

§36

Każda zdrowa osoba ma ambicje, cele, inicjatywę, dążenia. Dążeniem tego chłopca było dotknąć ustami każdego cala kwadratowego własnego ciała.

Ręce do ramion włącznie i większa część nóg poniżej kolan były dziecinną igraszka. Za to po tych rejonach poziom trudności wzrastał z gwałtownością szelfu kontynentalnego. Chłopiec zrozumiał, że stoją przed nim niewyobrażalne wyzwania. Miał sześć lat.

Niewiele da się powiedzieć na temat pierwotnego animusu czy „przyczyny motywującej” stojących za pragnieniem tego chłopca, by dotknąć ustami każdego cala kwadratowego własnego ciała. Pewnego dnia musiał zostać w domu z powodu astmy, i w to deszczowe i wlokące się leniwie przedpołudnie najpewniej przeglądał materiały promocyjne swojego ojca. Niektóre z nich przetrwały pożar. Astmę chłopca uważano za wrodzoną.

Zewnętrzna strona stopy poniżej i dookoła kostki była pierwszym miejscem wymagającym faktycznej gimnastyki. (Mały chłopiec myślał wtedy o kostce bocznej, *malleolus lateralis*, jako dziwnym dzyndzlu na kostce). Strategia, jak ją sobie wyobrażał, polegała na usadowieniu się na przykrytej dywanem podłodze jego pokoju, z wewnętrzną stroną kolana dotykającą podłogi oraz łydką i stopą odgiętymi pod kątem najbliższym idealnym 90 stopniom względem uda, jaki był wtedy w stanie osiągnąć. Następnie musiał przechylić się na bok najbardziej, jak tylko mógł, wyginając się w stronę kostki i zewnętrznej strony rozczapierzonej stopy, przekręcając szyję i wyginając ją w dół oraz wysilając w pełni wyciągnięte na długość usta (wyobrażenie chłopca o w pełni wyciągniętych na długość ustach opierało się wówczas na przerysowanym dzióbku, który w kreskówkach dla dzieci przedstawiał pocałunek), by dotknąć sekcji zewnętrznej części stopy, którą oznaczył tarczą strzelecką narysowaną zmywalnym mazakiem, walcząc o oddech na przekór

prawoskrętnemu naciskowi żeber, wyciągając się coraz dalej na bok, aż któregoś ranka poczuł, jak coś przeskakuje mu na dobre w górnym odcinku pleców, po czym nastąpił trudny do opisanego ból gdzieś między łopatką a kręgosłupem. Chłopiec nie krzyczał ani nie płakał, tylko zwyczajnie siedział cicho w tej bolesnej pozycji, dopóki jego nieobecność na śniadaniu nie sprowadziła ojca na górę, pod drzwi jego pokoju. Z powodu bólu i wynikłych duszności chłopiec nie uczęszczał do szkoły przez ponad miesiąc. Można się zastanawiać, jakie myśli towarzyszą ojcu dziecka po takim urazie u sześciolatka.

Kręgarzka ojca, Doktor Kathy, złagodziła najgorsze z bezpośrednich objawów. Ważniejsze jednak było to, że to Doktor Kathy zapoznała chłopca z koncepcjami kręgosłupa jako mikrokosmosu oraz higieny kręgosłupa i echa postawy ciała, a także zasady stopniowości przy zginaniu. Doktor Kathy pachniała trochę koprem włoskim i wydawała się totalnie otwarta i przystępna, i serdeczna. Chłopiec położył się na brzuchu na wysokim stole z miękkim podbiciem i umieścił podbródek w niewielkiej miseczce. Manipulowała jego głową bardzo delikatnie, ale w sposób, który sprawiał, że czuł, jak różne rzeczy dzieją się niżej, w jego plecach. Jej ręce były silne i łagodne i kiedy dotykała pleców chłopca, czuł, jakby zadawała im różne pytania i jednocześnie na nie odpowiadała. Na ścianie miała tablice przedstawiające rozebrane na części kręgosłupy wraz z mięśniami i powięziami oraz splecionymi nerwowymi, które otaczają kręgosłup i łączą się z nim. Żadnych lizaków w zasięgu wzroku. Ćwiczenia rozciągające, które Doktor Kathy zaleciła chłopcu, były przeznaczone dla mięśnia *splenius capitis* oraz *longissimus cervicis* i głębokich powłok nerwów i mięśni otaczających kręgi Th2 i Th3, czyli tego, co właśnie sobie uszkodził. Doktor Kathy miała okulary do czytania na łańcuszku oraz zielony sweter na guziki, który wyglądał, jakby był w całości zrobiony z pyłku. Czuło się, że dla wszystkich jest taka sama. Poinstruowała chłopca, aby wykonywał ćwiczenia rozciągające codziennie i nie dopuścił, by nuda lub ustępowanie symptomów odwiodły go od wykonywania ćwiczeń rehabilitacyjnych w sposób zdyscyplinowany. Powiedziała, że długofalowym celem nie jest pozbycie się obecnej dolegliwości, lecz higiena i zdrowie neurologiczne oraz jedność ciała

i rozumu, które kiedyś naprawdę bardzo doceni. Ojcu chłopca Doktor Kathy zaleciła ziołowy środek rozluźniający.

Tym samym to właśnie Doktor Kathy formalnie zapoznała dziecko zarówno z prawidłami stopniowego rozciągania, jak i z dorosłą koncepcją codziennej spokojnej dyscypliny i zmierzania w kierunku długoterminowego celu. Jak się okazało, był to szczęśliwy zbieg okoliczności. W trakcie pięciu tygodni, które chłopiec spędził w domu z nadwichniętym kręgiem Th3 – często z tak silnymi dolegliwościami, że nawet inhalator nie radził sobie z astmą, która atakowała, ilekroć odczuwał ból czy cierpienie – dziecięcy nieskrępowany entuzjazm ustąpił w umyśle chłopca miejsca odkryciu, że cel przyciśnięcia ust do każdego cala własnego ciała będzie wymagał maksymalnego wysiłku, dyscypliny i niesłabnącego zaangażowania przez okres, którego nie potrafił sobie jeszcze (ze względu na wiek) wyobrazić.

Jedną z rzeczy, które Doktor Kathy specjalnie mu pokazała, był trójwymiarowy model przedstawiający ludzki kręgosłup, o który właściciel nie dbał w jakikolwiek istotny sposób. Był ciemny, pokurczony, nekrotyczny i smutny. Jego guzki i tkanki miękkie miały stany zapalne, a pierścienie włókniste jego dysków były koloru zepsutych zębów. Za modelem stała, opierając się o ścianę, tabliczka czy zawieszka informująca o – jak lubiła się wyrażać Doktor Kathy – dwóch różnych typach płatności za awarie kręgosłupa i okolic, czyli „Teraz” i „Później”.

Większość akrobatów pracujących jako ludzie gumy to w rzeczywistości po prostu osoby z wrodzonymi atroficznymi / dystroficznymi wadami najważniejszych mięśni prostych lub z nadmierną giętkością kręgosłupa w odcinku lędźwiowym bądź dotknięte jednym i drugim. Większość wykazuje objaw Chvostka lub inne formy spastyczności jednej strony ciała. W związku z tym w ich „sztuce” jest bardzo niewiele prawdziwego wysiłku czy praktyki. W 1932 roku brytyjscy badacze tamilskiego mistycyzmu udokumentowali przypadek cejlońskiej dziewczynki zdolnej wprowadzić do przętyku przez jamę ustną obie ręce po łokieć, jedną nogę aż po krocze oraz drugą nogę pod samą rzepekę, będącej w stanie, bez niczyjej pomocy, obracać się na wystającym z ust

kolanie w tempie powyżej 300 obrotów na minutę. Zjawisko suifagii (tj. samopołyku) zidentyfikowano później jako rzadką formę łaknienia spaczonego, w większości przypadków spowodowaną niedoborami kadmu i / lub cynku.

Same wstępne przymiarki do dotknięcia ud po wewnętrznej stronie aż po rozwidlenie krocza zabrały chłopcu miesiące przygotowań, które spędzał, siedząc codziennie całe godziny po turecku, w zgięciu, powoli i stopniowo naciągając długie pionowe powięzie pleców i szyi, mięsień kolcowy klatki piersiowej oraz dźwigacz łopatki, biodrowo-żebrowy lędźwi aż po kość krzyżową, a także znajdujące się po wewnętrznej stronie uda gęste i nieustępliwe: mięsień smukły, gruszkowaty oraz przywodziciel długi, które łączą się poniżej trójkąta udowego i przenikają przyprawiającym o mdłości bólem okolice kości łonowej, ilekroć przekroczy się próg rozciągliwości. Komuś, kto by go zobaczył w trakcie jednej z takich dwu- i trzygodzinnych sesji, jak łączy podeszwy stóp, trenując mięsień gruszkowaty, kiwając się lekko, po czym zastygając w głębokim skłonie ze skrzyżowanymi nogami, żeby popracować nad wielką ciasną połacią powięzi piersiowo-lędźwiowej, która ciągnęła się od miednicy po jego żebra piersiowe, chłopiec wydałby się pogrążony w modlitwie albo katatonii lub w obu jednocześnie.

Kiedy cele po wewnętrznej stronie ud zostały już osiągnięte i dotknięte jedną lub dwiema wargami, górne części genitaliów poszły już łatwo i otrzymały pocałunki wyciągniętych na długość ust, po czym zostały odfajkowane, gdy tymczasem rodziły się już plany uwzględniające kość biodrową i zewnętrzne części pośladków. Po tych osiągnięciach miał przyjść czas bardziej skomplikowanych i obciążających szyję wykrętów, koniecznych przy sięganiu do wewnętrznych części pośladków, krocza oraz najwyższych położonych punktów pachwin.

Chłopiec skończył siedem lat.

Specjalnym miejscem, w którym oddawał się dążeniu do swego dziwnego, aczkolwiek teraz już dojrzałego celu, był jego pokój z tapetą z powtarzającym się motywem dżungli. Okno pokoju na piętrze wychodziło na drzewo na podwórku. Światło słoneczne przechodziło przez koronę drzewa pod różnymi kątami i z różną

intensywnością o różnych porach dnia i oświetlało różne obszary ciała chłopca, który stał, siedział, pochylał się lub kładł na dywan, rozciągając się i wytrzymując w danej pozycji. Dywan w jego pokoju był białym futrzakiem, którego polarny włochaty wygląd w odczuciu ojca nie korespondował najlepiej z motywem kolejno tygrysa, zebry, lwa, palmy na ścianach; ale ojciec nie zwierzał się ze swoich odczuć.

Radykalne powiększenie zasięgu odstawiania ust wymaga systematycznych ćwiczeń powięzi szczękowych, takich jak obniżacz przegrody, mięsień okrężny ust, obniżacz kąta ust, obniżacz wargi dolnej, a także grup mięśni policzkowych, okołoustnych i śmiechowych. Mięśnie jarzmowe są zaangażowane jedynie pobieżnie. Praktyka: przyczepić sznurek do guzika Wetherly o średnicy co najmniej półtora cala, pożyczonego z drugiego najlepszego płaszcza ojca; umieścić guzik na górnych i dolnych siekaczach i zakryć wargami; trzymać sznurek całkowicie rozciągnięty, pod kątem 90 stopni do płaszczyzny twarzy i ciągnąć ze stopniowo narastającą siłą, wykorzystując wargi do opierania się sile naciągu; wytrzymać dwadzieścia sekund; powtórzyć; powtórzyć.

Czasami ojciec siadał na podłodze koło pokoju chłopca, plecami zwrócony do drzwi. Nie jest jasne, czy chłopiec kiedykolwiek usłyszał, jak nasłuchuje ruchów w pokoju, chociaż drewno drzwi czasami trzeszczało, gdy ojciec się o nie opierał albo wstawał lub zmieniał pozycję pod drzwiami. Chłopiec był w środku, rozciągając się i utrzymując wykrzywione postawy przez niezwykle długie okresy. Ojciec należał do osób nerwowych, o gorączkowym, ruchliwym sposobie bycia, przez co zawsze odnosiło się wrażenie, jakby miał zaraz dokądś biec. Prowadził szeroką działalność przedsiębiorczą i pozostawał w ruchu przez większość czasu. Jego miejsce w mentalnym albumie większości ludzi było tymczasowe, wokół niego biegła jakby obwódka z linii przerywanej – wizerunek kogoś, kto rzuca uprzejme słowo na odchodnym. Zdaniem większości klientów ojciec wywoływał w nich niepokój. Najlepsze wyniki miał na słuchawce.

Gdy dziecko skończyło osiem lat, jego długofalowy cel zaczął odbijać się na jego rozwoju fizycznym. Nauczyciele dostrzegli zmiany w sylwetce i sposobie chodzenia. Uśmiech chłopca, który

teraz wyglądał, jakby nie znikał nigdy z jego twarzy, na skutek wpływu okołowargowej hipertrofii na mięśnie okołoustne, robił wrażenie nienaturalnego, stęzalego i zbyt szerokiego i – by przytoczyć opinię jednego z opiekunów – nie przypominał „niczego na tym bożym świecie”.

Fakty: ojciec Pio, włoski stygmatyk, znosił rany przenikające na wylot lewą dłoń i obie stopy przez całe życie. Święta Weronika Giuliani miała otrzymać stygmaty na jednej ręce i w boku, które otwierały się i zamykały na żądanie. Osiemnastowieczna służebnica boża Giovanna Solimani pozwalała pielgrzymom wtykać w swoje rany na rękach specjalne klucze i przekręcać je, co miało pomagać w uzdrowieniu tych klientów z rozpaczny racjonalizmu.

Jak podają święty Bonawentura oraz Tomasz z Celano, w stygmatach na rękach świętego Franciszka z Asyżu tkwiły masy czarnej zrogowaciałej tkanki, kształtem zbliżone do prętów, wyrzynające się ponad płaszczyznę dłoni. Jeżeli i o ile nacisnęło się na ten „gwóźdź” w dłoni, czarny pręt stwardniałego mięsa natychmiast wyrzynał się po jej zewnętrznej stronie, tak jaby prawdziwy tak zwany gwóźdź przeszywał mu dłoń.

A mimo to (stwierdzony fakt) dłoniom brak anatomicznej masy niezbędnej do utrzymania dorosłego człowieka. Zarówno sądowe piśmiennictwo rzymskie, jak i badania szkieletów z pierwszego wieku potwierdzają, że klasyczne ukrzyżowanie wiązało się z przeszyciem gwoździami nadgarstków skazanego, nie zaś dłoni. Stąd, cytuję, „nieuchronna jednoczesna *prawdziwość* i *falszywość* stygmatów”, którą teolog egzystencjalny E.M. Cioran objaśnia w swoich *Świętych i łzach* z 1937 roku, tej samej monografii, w której pisze o ludzkim sercu jako „otwartej ranie Boga”.

Na same partie korpusu chłopca od pępka po wyrostek mieczykowaty u zbiegu żeber trzeba było poświęcić dziewiętnaście miesięcy rozciągania i ćwiczeń korygujących postawę, z których najbardziej radykalne musiały być bardzo bolesne. Na tym etapie dalsze postępy w poprawianiu elastyczności były tak subtelne, że gdyby nie prowadzenie niesamowicie precyzyjnego dziennego

rejestr, byłyby niezauważalne. Pewne ograniczenia rozciągliwości w więzadłach żółtych, torebkach stawowych i więzadłach międzypoprzecznych szyi i górnego odcinka pleców były powolutku, ale niestrudzenie przewyciężane, przez kierowanie podbródka chłopca ku (pозnaczonemu nakreślonymi zmywalnym mazakiem strzałkami i kropkami) punktowi na piersi na wysokości połowy mostka, po czym stopniowe przesuwanie się ku dołowi – w tempie jednego, czasami półtora milimetra dziennie – oraz przez utrzymywanie tej katatonicznej i / lub medytacyjnej pozycji przez godzinę lub dłużej.

Latem, w trakcie tych codziennych ćwiczeń wczesnym rankiem, korona drzewa za oknem pokoju chłopca zapełniała się wilgowronami i robiło się rojno od latających wte i wewte ptaków, a potem, gdy wstawało słońce, koronę drzewa wypełniały skrzekliwe ptasie trele, rozdzierające odgłosy, które w uszach siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i brodą przyciśniętą do piersi chłopca brzmiały przez szybę jak przekręcanie zardzewiałych śrubek, jak gdyby coś poważnie się zakleszczyło i teraz nagle puszczało z wizgiem. Za widocznym z wychodzącego na południe okna drzewem widać było w skróconej perspektywie dachy okolicznych domów i hydrant, a także znak informujący o dojeździe do skrzyżowania oraz czterdzieści osiem identycznych dachów taniego budownictwa socjalnego po drugiej stronie poprzecznej ulicy, a za tym osiedlem, zrównany z linią horyzontu, skraj bujnie zielonych pól kukurydzy, zaczynających się na obrzeżach miasta. Późnym latem zieleń pól stawała się bardziej ziemista, a potem, jesienią, w jej miejscu ciągnęło się już tylko smutne rżysko, zimą natomiast naga ziemia najbardziej przypominała siebie samą.

W szkole podstawowej, gdzie zachowanie chłopca sklasyfikowano jako przykładowe, gdzie odrabiał zadania, a postępy w nauce mieściły się w środku wszelkich krzywych, wśród dzieci z klasy był kimś jakby spoza nawiasu, do tego stopnia poza nawiasem, że nawet mu nie dokuczano. Już w trzeciej klasie w rozwoju fizycznym tego chłopca zaczęły się przejawiać nietypowe cechy, będące skutkiem dążenia do obranego celu; a mimo to coś w jego wyglądzie czy sposobie bycia wyłączało go z zasięgu okrucieństwa rówieśników. Chłopiec wypełniał polecenia i wypadał zadowolająco w pracy

grupowej. Pisemne oceny jego socjalizacji przedstawiały chłopca nawet nie jako skrytego czy małomównego, ale „spokojnego”, „nadzwyczajnie opanowanego” i „introwersywnego” [sic]. Chłopiec nie sprawiał kłopotów, ale też nikogo nie zachwycał i nie zwracano na niego uwagi. Znaczna część jego czasu, energii i uwagi była podporządkowana długodystansowemu celowi i codziennym ćwiczeniom, które się z nim wiązały.

Nie ustalono też nigdy, dlaczego właściwie ten chłopiec poświęcił się nabyciu zdolności przyciśnięcia ust do każdego cala kwadratowego własnego ciała. Nie jest nawet jasne, czy myślał o tym celu jak o „osiągnięciu” w jakimkolwiek konwencjonalnym sensie. W przeciwieństwie do swego ojca nie czytał nigdy Ripleyów i nigdy nie słyszał o braciach McWhirter – tak więc na pewno nie chodziło o żaden popis. Ani też żadną autokanonizację; to zweryfikowano – nie towarzyszyło mu świadome pragnienie, by cokolwiek „przekraczać”. Gdyby ktoś go o to zapytał, chłopiec powiedziałby po prostu, że stwierdził, że chce przycisnąć usta do każdego mikrometra swojego własnego ciała. Nic więcej nie byłby w stanie powiedzieć. Wglądy czy koncepcje na temat jego własnej „niedostępności” dla siebie samego (jako że wszyscy jesteśmy niedostępni dla samych siebie i na przykład możemy dotykać jedno drugiego na takie sposoby, o jakich nie moglibyśmy nawet marzyć wobec własnych ciał) czy na temat jego pełnej determinacji, by przeniknąć, jak się zdawało, tę zasłonę niedostępności – żeby być w pewien dziecięcy sposób samoistnym i – wystarczającym – te kwestie leżały poza jego aktywną świadomością. Ostatecznie był tylko małym chłopcem.

Jego wargi dotknęły obwódki lewego i prawego sutka jesienią w dziewiątym roku życia. Wargi do tego czasu były już wyraźnie powiększone i wydatne; wśród elementów codziennej gimnastyki były uciążliwe ćwiczenia z guzikiem i sznurkiem, mające prowadzić do hipertrofii mięśnia okrężnego ust. Zdolność do wyciągania przed siebie wydętych warg na długość 10,4 cm często przesądzała o tym, że był w stanie dotknąć którejś części tułowia, do której inaczej nie

miałby dostępu. To także mięśnie ust, bardziej niż jakieś nadzwyczajne postępy w pogłębianiu giętkości kręgosłupa, pozwoliły mu na dotarcie do tylnych obszarów moszny i znacznych fragmentów podobnej do pergaminu skóry wokół odbytu przed dziewiątym rokiem życia. Obszary te zostały dotknięte, oznaczone na czwórdzielnym wykresie w jego osobistej księdze rachunkowej, następnie otarte z atramentu i zapomniane. Chłopiec zazwyczaj zapominał o każdym miejscu, do którego przycisnął już wargi, całkiem jakby ustanowienie jego dostępności czyniło to miejsce nierzeczywistym, tak że od tej pory w jakimś sensie takie miejsce „istniało” tylko na czwórdzielnym wykresie.

Rzeczywiste w pełni i z całą mocą pozostawały jednak dla chłopca w jedenastym roku życia te części tułowia, z którymi się jeszcze nie mierzył: obszary klatki powyżej mięśnia piersiowego mniejszego oraz dolnej części gardła, pomiędzy obojczykiem a górną częścią mięśnia szerokiego szyi, a także gładkie i bezkresne równiny i przestrzenie pleców (wyjawszy boczne fragmenty mięśni czworobocznych i tylnych części naramiennych, których sięgnął w wieku ośmiu i pół roku), ciągnące się od pośladków w górę.

Czterech niezależnych lekarzy specjalistów zeznających pod przysięgą zaświadczyło, że stygmaty bawarskiej mistyczki Teresy Neumann obejmowały skórne struktury przenikające przez środek jej dłoni. Jej dodatkową zdolność niejedzenia poświadczły cztery franciszkańskie zakonnice, które zajmowały się nią na zmianę w latach 1927–1962 i potwierdziły, że Teresa przez prawie trzydzieści pięć lat nie przyjmowała żadnych pokarmów ani płynów; jej jedyny odnotowany stolec (oddany 12 marca 1928 roku) miał według analizy laboratoryjnej składać się wyłącznie ze śluzu i empireumatycznej żółci.

Bengalski święty mąż, znany wśród swoich wyznawców jako Prahansatha Drugi, doświadczał okresów medytacyjnego śpiewu, kiedy to jego oczy opuszczały oczodoły i wznosiły się ponad głowę, połączone z nią wyłącznie swymi przewodami z opony twardej, by następnie poddać się (tj. poddawały się unoszące się oczy) następującym rytmicznie ruchom obrotowym, które zachodni świadkowie opisywali jako przywodzące na myśl tańczących Śiwów

o czterech obliczach bądź węże zahipnotyzowane przez zaklinacza, bądź przeplatające się helisy DNA, kontrapunktujących się ósemkowych orbit Drogi Mlecznej i Andromedy w Grupie Lokalnej, albo wszystkie te cztery rzeczy (podobno) jednocześnie.

Badania ludzkiej wrażliwości na ból wykazały, że strukturami mięśniowo-szkieletowymi najbardziej podatnymi na bolesną stymulację są okostna i torebki stawowe. Ścięgna, więzadła i kość podchrzęstną sklasyfikowano jako *wybitnie* wrażliwe na ból, podczas gdy wrażliwość mięśni i istoty zbitej określa się jako *umiarkowaną*, chrząstki stawowej i chrząstki włóknistej zaś jako *lekką*.

Ból jest całkowicie subiektywnym doznaniem i tym samym „niedostępnym” jako przedmiot diagnozy. Konieczność brania poprawki na typ osobowości dodatkowo komplikuje dokonywanie oceny. Na ogół przyjmuje się jednak, że zachowanie pacjenta stanowi pewną miarę (a) intensywności bólu oraz (b) zdolności pacjenta do radzenia sobie z nim.

Powszechne błędne wyobrażenia na temat bólu to między innymi te:

- Chorzy w stanie krytycznym oraz ciężko ranni zawsze doznają intensywnego bólu.

- Im większy ból, tym większe i poważniejsze są obrażenia.

- Ostry chroniczny ból jest symptomem nieuleczalnej choroby.

W rzeczywistości pacjenci, którzy znajdują się w stanie krytycznym lub doznali ciężkich obrażeń, niekoniecznie doświadczają intensywnego bólu. Również obserwowana intensywność bólu nie jest wprost proporcjonalna do rozmiarów lub stopnia obrażeń; korelacja zależy także od tego, czy „szlaki bólu” przednio-bocznego układu rdzeniowo-wzgórzowego pozostają nienaruszone i funkcjonują w granicach określonych norm. Do tego neurotyczna osobowość pacjenta może uwydatnić odczuwany ból, podczas gdy stoicka bądź odporna osobowość może zniwelować postrzeżenie jego intensywności.

Nikt nigdy go o to nie zapytał. Jego ojciec wierzył po prostu, że ma ekscentryczne, ale bardzo gibkie i elastyczne dziecko, dziecko, które

wzięło sobie do serca homilie Kathy Kessinger na temat higieny kręgosłupa trochę tak, jak to dzieci po prostu biorą sobie pewne rzeczy do serca, i teraz spędza masę czasu, rozciągając i uelastyczniając ciało, co, biorąc pod uwagę dziwną dziecięcą dosercowość, było zawsze lepsze niż wiele innych gówniarskich czy szkodliwych fiksacji, jakie ojciec był w stanie sobie wyobrazić. Ojciec, przedsiębiorca prowadzący wysyłkową sprzedaż kaset z filmami motywacyjnymi, pracował z domowego biura, ale często opuszczał dom, udając się na seminaria i tajemnicze wieczorne spotkania z klientami. Dom tej rodziny, z ekspozycją zachodnią, był wysoki i smukły i zbudowano go współcześnie; przypominał połowę bliźniaka, od której nagle oderwano drugą połowę. Był pokryty oliwkowym aluminiowym sidingiem i stał przy ulicy, na końcu której znajdowało się boczne wejście na trzeci największy cmentarz w hrabstwie, którego nazwa w giętym żelazie widniała nad główną bramą, ale nad tym bocznym wejściem akurat nie. Słowem, jakie przychodziło na myśl ojcu, kiedy myślał o chłopcu, było „sumienny”, co go zaskoczyło, słowo bowiem było już raczej staromodne i nie miał pojęcia, skąd mu się ono brało, kiedy myślał o chłopcu po drugiej stronie drzwi.

Doktor Kathy, u której chłopiec czasem się pokazywał na profilaktyczne okresowe korekty ustawienia kręgosłupa, powięzi i gałęzi przednich i która nie była świrówką ani jednym z tych cwaniaków z gabinetem w centrum handlowym, a po prostu dyplomowaną kręgarką, która wierzyła we wzajemne przenikanie się w tańcu kręgosłupa, układu nerwowego, ducha i kosmosu jako całości – we Wszechświat rozumiany jako system połączeń nerwowych, które w drodze ewolucji, w szczytowym jej momencie, wykształciły organizm zdolny utrzymywać świadomość zarówno siebie, jak i Wszechświata w tym samym czasie, przez co w postaci ludzkiego układu nerwowego Wszechświat znalazł sposób na uświadomienie sobie siebie, a tym samym na „uzyskanie [do siebie] dostępu” – uważała swojego pacjenta za bardzo cichego, wewnątrzsterownego chłopca, który w reakcji na urazowe podwichnięcie Th3 przykłada się do higieny kręgosłupa i nerwowo- duchowej jedności, co może świadczyć o powołaniu do zawodu kręgarza w dorosłym życiu. To ona dała chłopcu jego pierwsze,

stosunkowo proste podręczniki rozciągania, a także egzemplarze słynnych tablic anatomicznych układu nerwowego i mięśniowego B.R. Fauceta (©1961, Los Angeles College of Chiropractic), z których chłopiec sporządził swój czwórdzielny wykres na tekturze, stojący obok łóżka bez poduszki, jakby strzegł jego snu.

Wiara ojca w NASTAWIENIE jako nadrzędny czynnik determinujący POWODZENIE pozostawała niezachwiana od czasów jego nastoletniości, tego kłopotliwego okresu, w trakcie którego odkrył pisma Dale'a Carnegiego oraz Willard and Marguerite Beecher Foundation i wykorzystał wykładane w nich praktyczne filozofie do wzmocnienia pewności siebie i poprawienia swojej pozycji społecznej – ta pozycja, podobnie jak wszelkie międzyludzkie relacje i sytuacje, które miały jakoś o niej świadczyć, były co tydzień odnotowywane na wykresie, a wykresy i grafy dla wygody zawiesił po wewnętrznej stronie drzwi do szafy w swoim pokoju. Nawet już jako tymczasowo obecny i wewnętrznie udręczony dorosły ojciec wciąż niezmordowanie wysiłał się, by utrzymywać i korygować swoje nastawienie, a tym samym poprawiać swoje powodzenie w dziedzinie osobistych osiągnięć. Na przykład do lustra na drzwiczkach szafki w łazience, tam, gdzie nie było siły, by nie przeczytał po wielokroć i nie zinternalizował treści w trakcie osobistej toalety, naklejał motywacyjne maksymy, takie jak:

ŻADEN PTAK NIE WZLATUJE ZA WYSOKO, JEŚLI NA WŁASNYCH WZLATUJE SKRZYDŁACH (*BLAKE*)

KIEDY WYRZEKAMY SIĘ INICJATYWY, STAJEMY SIĘ PASYWNO-RECEPTYWNYMI OFIARAMI PRZYGDONYCH OKOLICZNOŚCI (*BEECHER FOUNDATION*)

ODWAŻ SIĘ OSIĄGAĆ POWODZENIE! (*NAPOLEON HILL*)

WYSTĘPNY UCIEKA, CHOCIAŻ NIKT GO NIE GONI (*BIBLIA*)

COKOLWIEK ROBISZ LUB MARZYSZ, ŻE MOŻESZ TO ZROBIĆ – ZACZNIJ TYLKO. W ZDECYDOWANIU DRZEMIE GENIUSZ, SIŁA I MAGIA. ZACZNIJ TERAZ! (*GOETHE*)

...i tak dalej, tuziny, a bywało, że i dziesiątki inspirujących cytatów i napomnień, pieczołowicie wydrukowanych dużymi literami na małych świstkach, nie większych niż te z ciasteczek z wróżbą, przyklejanych taśmą do lustra, mających przypominać ojcu o jego własnej odpowiedzialności za wysokość jego wzlotów; czasami świstków i kawałków taśmy było tak wiele, że nad umywalką pozostawało zaledwie kilka prześwitów właściwego lustra, tak że ojciec musiał niemal się wykręcać, żeby się ogolić.

Za to kiedy ojciec chłopca myślał o sobie, słowem, które przychodziło mu na myśl mimo woli, było zawsze „udręczony”. Owo tajemne udręczenie – którego przyczyny postrzegał jako niesamowicie złożone i ulegające ciągłym zmianom, wśród nich normalne męskie pobudki seksualne i wysoce anormalną osobistą słabość i brak kręgosłupa – dawało się w rzeczywistości całkiem łatwo zdiagnozować. Poślubionemu w wieku dwudziestu lat kobiecie, o której wiedział z grubsza jedną istotną rzecz, przyszłemu ojcu niemal z miejsca małżeńskie rutyny wydały się nużące i duszne, a poczucie monotonii i seksualnego zobowiązania (będącego przeciwieństwem seksualnego dokonania) doprowadziło go do stanu, który – wyobrażał sobie – jest niemal jak śmierć. Jeszcze jako nowożeniec zaczął cierpieć na nocne napady lęku i budzić się z koszmarów o jakimś potwornym rodzaju zamknięcia, w którym czuł, że nie jest w stanie się poruszyć ani oddychać. Ojciec wiedział, że interpretacja tych snów niekoniecznie wymaga udziału jakiegoś Einsteina od psychiatrii, i po bez mała roku wewnętrznej walki i skomplikowanej autoanalizy dał za wygraną i zaczął się spotykać z inną kobietą, w sensie seksu. Ta kobieta, którą ojciec poznał na seminarium motywacyjnym, również pozostawała w związku małżeńskim i miała małe dziecko, więc uznali zgodnie, że to nakłada na romans pewne rozsądne ograniczenia.

Ale po niedługim czasie ta inna kobieta zaczęła się wydawać ojcu również nużąca i opresyjna. Fakt, że oboje prowadzili odrębne życia i nie mieli za bardzo o czym rozmawiać, sprawił, że seks nabierał wymiaru obowiązku. Wydawało się, że zbyt duży nacisk padał na fizyczny aspekt seksu, co go psuło. Ojciec usiłował trochę uspokoić całą sprawę i widywać się z tą kobietą rzadziej, w odpowiedzi na co ona zaczęła okazywać mniejsze zainteresowanie i dostępność. To

dało początek udreće. Ojciec zaczął się obawiać, że kobieta zakończy romans, by powrócić do monogamicznego seksu z mężem, albo znajdzie sobie jakiegoś innego faceta. Ten lęk, który był zupełnie sekretną i wewnętrzną udrećką, kazał mu zabiegać o tę kobietę od początku, mimo że czuł wobec niej rosnącą pogardę. Krótko mówiąc, ów ojciec pragnął się uwolnić od tej kobiety, ale nie chciał, żeby ona była w stanie odłączyć się od niego. Będąc z tamtą inną kobietą, zaczął odczuwać odrętwienie, a nawet mdłości, będąc jednak z dala od niej, czuł się udrećzony myślami o niej z kimś innym. To było jak sytuacja niemożliwa, a sny o duszeniu się w skurczach powracały coraz uporczywiej. Jedynym możliwym środkiem zaradczym, jaki przychodził ojcu (jego syn właśnie skończył cztery lata) do głowy, było nie uwalniać się od kobiety, z którą ma romans, tylko sumiennie podtrzymywać związek, za to znaleźć i zacząć się spotykać z trzecią kobietą, w tajemnicy i jakby „na boku”, żeby poczuć – choćby na krótko – ulgę i podniecenie wywołane swobodnie wybranym związkiem.

Tak zaczął się prawdziwy cykl udrećki ojca ze stopniowo zwiększającą się liczbą kobiet, z którymi był potajemnie związany i wobec których miał seksualne zobowiązania, a żadnej z nich nie mógł odpuścić czy dać powodu do zostawienia go, mimo że każda z nich coraz bardziej przestawała być dla niego źródłem czegokolwiek poza jakąś obowiązkową nudą, w którą brnął, mobilizując rezerwy energii, czasu i woli na przekór rozpacz.

Górny i środkowy odcinek pleców chłopca były pierwszymi obszarami skrajnej, być może całkowitej nieosiągalności dla jego ust, stawiając wyzwania elastyczności i dyscyplinie, które miały zaprzatnąć znaczną część jego życia wewnętrznego w klasach czwartej i piątej. A dalej, oczywiście, na podobieństwo wodospadów u kresu długiej rzeki, leżały niewyobrażalne perspektywy zdobycia karku, ośmiocentymetrowego odcinka poniżej zakończenia podbródka, powięzi czaszkowej na tyle i szczycie głowy, czoła i brzegu kości jarzmowej, uszu, nosa, oczu – a także paradoksalnej *Ding an sich* własnych ust, próba dotarcia do których była jak wymaganie od noża, żeby pokroił sam siebie. Te obszary zajmowały nieomal mityczne miejsce w całym projekcie: chłopiec czcił je,

umieszczając niemal poza zasięgiem świadomych intencji. Ten chłopiec nie był z natury skłonny do zamartwiania się (w przeciwieństwie do niego samego, myślał ojciec), jednak nieosiągalność tych ostatnich obszarów wyglądała na tak kompletną, że wydawało się, jakby rzucany przez nie cień kładł się na całym powolnym postępie ku wnętrzom obojczyków z przodu i w górę krzywizny łędźwiowej z tyłu, który wypełnił mu jedenasty rok życia, spowijając ciemnością całe przedsięwzięcie – mroczny cień, który chłopiec wołał postrzegać jako nadający sensowności jego pracy raczej posepną powagę aniżeli daremność czy tragizm.

Nie wiedział jeszcze, jak mu się to uda, ale gdy zaczął zbliżać się wiek pokwitania, wierzył, że zapanuje też nad własną głową. Znajdzie sposób na dotarcie do całego siebie. Wewnątrz nie towarzyszyło mu nic takiego, co ktokolwiek mógłby uznać za wątpliwość.

§37

- Przyjemna restauracja.
 - Wygląda całkiem przyjemnie.
 - Sam tu nigdy nie byłem. Ale słyszałem o niej dobre rzeczy od gości w Administracji. Korciło mnie, żeby sprawdzić.
 - ...
 - No to jesteśmy.
 - (Wyjmuje z ust gumę i zawija w chusteczkę higieniczną wydobytą z torebki). Mh-hm.
 - ...
 - ...
 - Myślisz, że jest o wiele łatwiej prowadzić rozmowę z kimś, kogo już dobrze znasz, niż z kimś, kogo w ogóle nie znasz, głównie ze względu na wszystkie informacje, które zdążyliście wymienić, i wspólne doświadczenia dwojga ludzi, którzy się dobrze znają, czy może dlatego, że wyłącznie w towarzystwie ludzi, których znamy i o których wiemy, że wiedzą o nas dużo, nie zachodzi ten niewygodny proces myślowy, który każe nam poddawać wszystko, co pomyślimy czy powiemy, czy zaproponujemy jako temat rozmowy, krytycznej analizie i ewaluacji, która sprawia, że wszystko, co chcielibyśmy powiedzieć tej drugiej osobie, wydaje się nam nudne albo głupie, albo banalne, albo dla odmiany może zbyt osobiste czy powodujące wzrost skrępowania?
 - ...
 - ...
 - Jeszcze raz, jak masz na imię?
 - Russell. Russell albo czasem też Russ. Ale jeśli mam być szczery, to wyraźnie wolę Russella. Nie żebym miał coś przeciwko imieniu Russ; po prostu nigdy się jakoś do niego nie przekonałem.
 - Russell, masz może aspirynę?

§38

Do połowy roku 1987 wysiłki IRS mające na celu stworzenie zintegrowanego systemu danych co rusz potykały się o systemowe wady i problemy, z których wiele nabierało poważniejszych rozmiarów z powodu dążeń Pionu Technicznego do obniżenia kosztów, polegających na przystosowaniu starszych dziurkarek i sorterek Forniksa do obsługi dziewięćdziesięciosześciokolumnowych kart Powersa zamiast oryginalnych osiemdziesięciosześciokolumnowych kart Holleritha¹⁰⁶.

Jedna szczególna wada ma tu istotne znaczenie. Oparte na COBOL-u systemy Działu Kadr i Szkoleń od dawna borykały się ze szczególnym problemem nazywanym czasami „redukcją widm” przy obsłudze awansów pracowniczych. Problem był odczuwalny zwłaszcza wśród personelu Kontroli, ze względu na ponadprzeciętnie wysokie tempo rotacji i awansów wśród personelu RCK. Przypuśćmy na przykład, że pan John Q. Doe, kontroler rutynowy 9. szczebla, otrzymał awans na kontrolera 11. szczebla. System generował zupełnie nowy plik osobowy, a następnie identyfikował dwa oddzielne pliki jako dwóch oddzielnych pracowników, Johna Q. Doe, pracownika 9. szczebla, oraz Johna Q. Doe, pracownika 11. szczebla, powodując niesamowite zamieszanie i chaos zarówno przy wypłatach, jak i w protokołach planowania w Systemach.

W ramach wieloczołonowej inicjatywy naprawczej wdrożonej w 1984 roku do wszystkich sekcji **FILE** systemów w Kadrach wprowadzono funkcję **GO TO**: w przypadku natrafienia na, jak się zdawało, dwóch różnych pracowników o tym samym nazwisku i kodzie tej samej placówki IRS system miał od tej chwili rozpoznawać tylko tego wyższego szczeblem „Johna Q. Doe”¹⁰⁷. To właśnie, praktycznie rzecz biorąc, było bezpośrednią przyczyną pierdolnika w Placówce IRS nr 047 w maju 1985 roku. W efekcie David F. Wallace, pracownik 9. szczebla, lat dwadzieścia, zam.

w Philo, IL, nie istniał; jego plik został skasowany albo wchłonięty przez ten przypisany Davidowi F. Wallace'owi, pracownikowi 13. szczebla, lat trzydzieści dziewięć, z RCK na Region Północno-Wschodni w Rome NY. To wchłonięcie nastąpiło z chwilą wygenerowania formularza transferu rejonowego 140(c)-RT oraz formularza delegowania 141-PO Davida F. Wallace'a (tj. tego pracownika 13. szczebla), z chwilą, której ustalenie, w celu ręcznego obejścia absorpcji **GO TO**, wymagało od administratorów systemów Regionu Północno-Wschodniego i Środkowo-Zachodniego lektury w sumie 2 100 000 linijek kodu. Żadnej z tych rzeczy nie wyjaśniono oczywiście choćby pobieżnie Davidowi F. Wallace'owi (pracownikowi 9. szczebla, pierwotnie 13., czyli Davidowi F. Wallace'owi z Philo, IL) jeszcze przez długi czas – właściwie dopóki nie uspokoił się cały administracyjny kołowrotek i nie wycofano rozmaitych obłądnie sformułowanych zarzutów.

Innymi słowy, problem nie polegał na tym, że nikt w biurze Działu Kadr i Szkoleń RCK na Region Środkowo-Zachodni nie zauważył, że dwóch różnych Davidów F. Wallace'ów rozpisano na przyjęcie i wdrożenie w tym środkowo-zachodnim RCK na przestrzeni dwóch następujących po sobie dni. Problem polegał na tym, że system komputerowy biura zarejestrował i wygenerował kartę Powersa oraz formularz protokołu przyjęcia dla tylko jednego takiego Davida F. Wallace'a, którego następnie system utożsamiał jednocześnie z (a) wyższym rangą pracownikiem, przenoszonym z Filadelfii oraz (b) pracownikiem, którego przybycie w systemie podano jako wcześniejsze, w tym wypadku dwudziestoletnim efebem z Philo, którego system skatalogował, w wyniku dalszego utożsamienia, jako przybywającego lotem 4130 z Midway (z racji informacji o biletach i transporcie zakodowanych w części formularza 140[c]-RT o szczegółach przyjazdu), a nie autokarem Trailways i dlatego też nikt nie oczekiwał na rzekomo wybitnego i cennego Davida F. Wallace'a w terminalu autobusowym w Peorii 15 maja, ten drugi (tj. „prawdziwy”) zaś David F. Wallace, który dojechał do RCK zwykłą taksówką dnia następnego – przy czym ten drugi, starszy David Wallace w kwestii taksówki był najwyraźniej tak ugodowy i uległy, że jego świadomość nawet nie odnotowała faktu, że RCK nawaliło z transportem, że jego ranga i wartość

zasługują na specjalny dowóz oraz imię i nazwisko wypisane na tekturowym prostokącie czy tego, że powinien przynajmniej poprosić kierowcę o fakturę, na podstawie której mógłby się ubiegać o zwrot kosztów, a do tego dokonywał permanentnej zmiany miejsca pracy i zamieszkania, dźwigając (co trudne do uwierzenia) całe swoje życie w jednej torbie podróźnej – i dlatego ten starszy, wybitny, wysoko ceniony David F. Wallace spędził niemal całe dwa dni robocze z odbitymi na ksero formularzami 141 i tanią brązową walizką najpierw w kolejkach do stanowiska przyjęć pracowników 13. szczebla, a następnie do stanowisk informacji i pomocy w holu budynku głównego RCK, później siedząc w kącie tegoż holu, następnie w biurach ochrony, mieszczących się kawałek od południowo-wschodniego korytarza Poziomu 2.¹⁰⁸, siedząc tam z pustym wyrazem neotenicznej twarzy i kapeluszem na podołku, nie mogąc nic zrobić, system komputerowy biurokracji bowiem skatalogował go rzecz jasna jako osobę, która przeszła już procedurę przyjęcia i otrzymała swój identyfikator i kartę Placówki nr 047, więc skoro tak, to gdzie w takim razie ma kartę i identyfikator, pytał go raz za razem zatrudniony na niepełny etat pracownik ochrony, ilekroć zaglądał do systemu, a jeżeli ich nie zgubił, dlaczego nie może mu ich pokazać? I tak w kółko¹⁰⁹.

W Krajowym Centrum Komputerowym IRS w Martinsburgu w Wirginii Zachodniej¹¹⁰ problem z „widmowym utożsamianiem” pracowników o identycznych imionach i nazwiskach dostrzeżono już w grudniu 1984 roku – przede wszystkim dzięki koszmarnej bajzłowi wokół dwóch różnych Mary A. Taylor z południowo-wschodniego Regionalnego Centrum Obsługi w Atlancie – tak że programiści z Pionu Technicznego pracowali już nad wprowadzeniem funkcji **BLOCK** i **RESET**, które pozwalałyby obejść **GO TO** w przypadku trzydziestu dwóch najpopularniejszych nazwisk w Stanach Zjednoczonych: tzn. Smith, Johnson, Williams, Brown & c. Wallace był jednak, według danych spisu ludności USA z 1980 roku¹¹¹, dopiero sto czwartym wśród najpopularniejszych amerykańskich nazwisk, znacznie u dołu listy, pomiędzy Sullivanem i Cole’em; a każde obejście **GO TO** tolerujące więcej niż trzydzieści dwa nazwiska stwarzało istotne statystycznie ryzyko powrotu do

początkowego problemu „widmowej nadliczbowości”. W skrócie – imię i nazwisko David F. Wallace należało do tego pośredniego z punktu widzenia statystyki obszaru, na którym wynikające z poprawki pierwotnej wady „widmowe utożsamienie” nadal mogło być źródłem poważnych problemów i niedoli, zwłaszcza dla pracownika zbyt świeżego na to, by rozumieć, dlaczego i skąd się wzięły posądzenia go o wszystko, od oszustwa przy zawieraniu kontraktu po „podawanie się za kontrolera pogłębianych” (ten ostatni zarzut, niemający precedensu w Służbie, mógł być szyty grubymi nićmi przez siepaczy Dicka Tate’a jako sposób na uchronienie się przed – jak się swego czasu obawiali – posądzeniem o zaniedbanie bądź błąd w zarządzaniu Kadr RCK, co nawet pan Stecyk, ZDDK, zgodził się uznać za zwykłą biurokratyczną paranoję, kiedy „nieprawdziwemu” Davidowi Wallace’owi [tj. autorowi]¹¹² udało się z nim porozmawiać i ni mniej, ni więcej zdać na jego łaskę).

§39

Księgowy 9. szczebla Claude Sylvanshine, przebywając w centrali Systemów w Martinsburgu w ramach kwietniowego przygotowania do pracy w RCK na Środkowym Zachodzie, dwukrotnie pod nadzorem radiowym Reynoldsa poddawał się w cylindrze tomograficznym do transmisji danych sterowanych sesjom IPF¹¹³, ukierunkowanym na grube ryby z Placówki nr 047, z których to sesji pierwsza przyniosła pewne owoce. Sylvanshine pozyskał interpretowalne zbiory faktów związanych z patologiczną awersją do moskitów DeWitta Glendenninga Jr., mającą źródło w jego dzieciństwie spędzonym w Tidewater, jego nieudaną próbą wstąpienia do Rangersów w 1943 roku, jego ostrym uczuleniem na skorupiaki, przekonaniem, że jego genitalia są w jakiś sposób zdeformowane, jego zatargiem ze złowrogim Wydziałem Inspekcji Wewnętrznej, gdy pracował jako dyrektor ds. audytów w Cabin John w Maryland, strzępkami adresu gabinetu i / lub domu jego psychiatry na przedmieściach Joliet, usiłowaniem spamiętania dat urodzin wszystkich co do jednego pracowników Regionalnego Centrum Kontroli na Region Środkowo-Zachodni, a także całą masą ezoteryki z zakresu konstrukcji i renowacji mebli salonowych oraz elektronarzędzi, czemu towarzyszyło SWD¹¹⁴, obfitujące w pewne zestawienia informacji, które odnosiło się do odciętego kciuka dorosłego mężczyzny. To skłoniło niektóre osoby w Systemach do wyciągnięcia wniosku, że obecny dyrektor RCK na Środkowy Zachód i regionalny lizus DeWitt „Dwitt” Glendenning stracił bądź wkrótce straci kciuk w wyniku jakiegoś wypadku przy domowym majsterkowaniu, co z kolei kazało im szykować pewne plany związane z tym faktem oraz żywić związane z nim nadzieje.

Prawda – której Claude Sylvanshine nigdy nie pozna, mimo wielokrotnie oglądanej kolumny danych liczbowych wyrażających aerodynamiczne właściwości krwi tętniczej, a także stosunki, przy jakich pracujące z prędkością 1420 obrotów na minutę ostrze piły taśmowej przecina różnego rodzaju stożkowate części ludzkiej ręki

o pewnej masie i kącie odstawania – jest taka, że informacje dotyczące odciętego kciuka mają faktyczny związek z życiem i psychiką Leonarda Stecyka, ZDK w Placówce nr 047, który w praktyce wykonuje nie tylko własne obowiązki, ale podejmuje się też wykonania wielu należących do jego zwierzchnika. Wypadek z odciętym kciukiem stanowi element historii rozwoju psychicznego, który uczynił L.M. Stecyka jednym z najblyskotliwszych i zaradnych pracowników administracyjnych Służby w regionie, jakkolwiek incydent ten jest dzisiaj pogrzebany głęboko w podświadomości pana Stecyka, który świadome życie podporządkował pracy biura Działu Kadr RCK oraz problemom związanym ze zbierającymi się czarnymi chmurami zarówno w Systemach, jak i w Pionie Przyjęć.

Sam wypadek nie przekłada się tu na nic bezpośrednio, w związku z czym można go dość szybko streścić. Z powodów, które obecnie skrywają administracyjne mroki, wychowanie techniczne było wówczas przedmiotem obowiązkowym dla wszystkich dziesiątoklasistów płci męskiej w szkołach północnych stanów Środkowego Zachodu, co dawało uczniom wybierającym się do zawodówki ostatnią szansę, by popastwić się i poznać nad chłopcami mającymi przed sobą liceum przygotowawcze, od których oddzielano ich (w Michigan) rok wcześniej. Leonardowi Stecykowi zaś było szczególnie trudno na zajęciach z wychowania technicznego u pana Ingle'a, które odbywały się na trzeciej godzinie w liceum im. Charlesa E. Pottera jesienią sześćdziesiątego dziewiątego roku. Nie chodziło tylko o to, że w wieku niemal szesnastu lat mierzył pięć stóp i jeden cal i ważył sto pięć funtów w stanie przemoczonym, w którym też się znajdował (w stanie przemoczonym), gdy chłopcy pod prysznicem po wuefie powalili go na kafelki i wszyscy oddali na niego mocz, który to rytuał nazwali Numerem Stecyka, tak że został jedynym uczniem w historii Grand Rapids, który wchodził pod prysznic z parasolem. Nie była to też kwestia specjalnych, posiadających atest OSHA gogli i wykonanego w domu specjalnego roboczego fartucha, na którym kursywą Palmera napisano „LEN” TO JA, DREWNO – GRA, które zakładał na zajęcia. Ani kwestia tego, że na odbywające się na trzeciej godzinie lekcyjnej wychowanie techniczne chodziło dwóch przyszłych przestępców, z których jeden zdążył już zostać zawieszony

w prawach ucznia na tydzień za to, że podgrzał żelazną sztabę palnikiem acetylenowym do czerwoności, odczekał, aż zniknie z niej kolor, i jak gdyby nigdy nic poprosił Stecyka, żeby wziął podał mu szybko tamtą-o-sztabę koło piły. Rzeczywisty problem był natury praktycznej: okazało się, że Leonard nie ma za grosz talentu ani zamiłowania do prac wykonywanych na wychowaniu technicznym – czy to jeśli chodzi o podstawy dynamiki, czy spawanie, podstawy konstrukcji czy stolarstwo. Zgoda, zadania kreślarskie i miernicze tego dzieciaka wyróżniała – pan Ingle musiał to przyznać – wyjątkowa (miał wrażenie, że wręcz zniewieściała) schludność i czytelność. Jednak w pracy z rzeczywistymi projektami i przy obsłudze maszyn Stecyk był nogą – czy to w przycinaniu pod kątem, czy to w wyrzynaniu zgodnie z narysowanym ołówkiem konturem, czy choćby w szlifowaniu do gładkości podstawy specjalnego pudełka na cygara, jakie pan Ingle (który lubił cygara) kazał wykonać wszystkim uczniom dla ich ojców, przy którym to zadaniu nie dość pewny czy też niedostatecznie męski chwyt Stecyka sprawił, że szlifierka taśmowa katapultowała pudełko niczym pocisk artyleryjski, posyłając je przez całą długość sali prac technicznych i roztrzaskując o betonową ścianę najwyżej trzy metry od głowy pana Ingle'a, który powiedział Stecykowi (którym pogardzał bez poczucia winy i bez jakichkolwiek zastrzeżeń), że tylko dlatego nie wysłał jego i jego małego fartuszka na lekcje gospodarstwa domowego z dziewczynami, że mógłby jeszcze puścić z dymem całą biedną budę, na co niektórzy spośród większych i bardziej okrutnych dziesiątoklasistów (jeden z nich został wydalony ze szkoły następnej jesieni z powodu nie tylko wniesienia sideł na niedźwiedzia na teren szkoły, ale jeszcze zastawienia ich pod drzwiami do gabinetu zastępcy dyrektora, gdzie musiano je dezaktywować za pomocą kija od miotły, który złamały przy wtórze odgłosu, który sprawił, że uczniowie we wszystkich klasach zanurkowali pod ławki) zareagowali śmiechem i pokazywaniem sobie Stecyka palcami.

Z drugiej strony możliwe, że zajście z odciętym kciukiem nie tyle zmieniło czy ukształtowało charakter Leonarda Stecyka, ile zmieniło sposób, w jaki sam się na niego zapatrywał (o ile w ogóle), a także sposób, w jaki postrzegali go inni. Jak większość dorosłych osób

wie, różnice między istotą naszego charakteru / wartości a cudzymi postrzeżeniami naszego charakteru / wartości są rozmyte i trudne do uchwycenia, zwłaszcza w wieku dojrzewania. Dochodzi do tego fakt, że niektórych elementów scenerii tamtej sytuacji Leonard Stecyk już sobie nie przypomina, nawet w snach czy peryferyjnych przebłyskach. Rzecz miała związek z cięciem płyty regipsowej na obrobione wstęgi czy pasy do jakiegoś wzmocnienia, które wiązało się z oprawieniem i zawieszeniem drzwi w ścianie działowej. Ostrze piły taśmowej było osadzone w szerokim metalowym blacie z miarkami i kalibrowalnymi uchwytami, które przytrzymywały piłowany element w jednym położeniu w trakcie ostrożnego popychania go wzdłuż gładkiej powierzchni, tak że wysokoobrotowa taśma tnąca cięła wzdłuż linii narysowanej ołówkiem po uprzednim co najmniej dwukrotnym zmierzeniu. Istniały oczywiście szczegółowe procedury bezpieczeństwa, skodyfikowane przez pana Ingle'a zarówno w postaci odbitych na powielaczu Reguł Warsztatu, jak i licznych tabliczek, wypisanych w całości dużymi literami z szablonów, na i wokół tylnej obudowy piły, których to procedur Leonard Stecyk nie tylko nauczył się na pamięć, ale w których to wyrażonych przy użyciu trybu rozkazującego nakazach i zakazach wskazał, w dobrej wierze, pewne błędy pisowni oraz niefortunne sformułowania, co spowodowało, że połowa twarzy pana Ingle'a zaczęła samorzutnie drgać i doznawać skurczów, co było złowieszczą oznaką, że mężczyzna kontroluje się ostatkiem sił. Za nadmiarem znaków i żółtych linii ostrzegawczych namalowanych na podłodze warsztatu stała rzeczywistość, w której pan Ingle pracował w olbrzymim odczuwalnym stresie i w stanie ustawicznego rozchwiania pomiędzy frustracją a wściekłością, ponieważ w razie gdyby komuś coś się stało, on ponosił odpowiedzialność, a przecież wśród dzieciaków na zajęciach było wielu zniewieściałych „matletycznych” wymoczków, jak tamci jeden z drugim Stecyk czy Moss, albo długowłosych młodocianych przestępców w wojskowych kurtkach, którzy czasem przychodzili na lekcje, cuchnąc marihuaną albo ziołową wódką i lali na zasady, gdzieś mając sprzęt, którego niebezpieczeństwa w działaniu nie doceniali, bo byli na to za tępi, na co dowodem był choćby fakt, że właśnie stali wewnątrz pola wyraźnie odgrozonego żółtą linią, mimo wyraźnie wymalowanych

zarówno na maszynie, jak i na podłodze instrukcji, GDY w ruchu, COFNAĆ SIĘ ZA LINIĘ, a tu przecież wystarczy tylko nieuważne popchnięcie czy choćby gest, gdy machacie rękami, stojąc w strefie niedozwolonej; i demonstrował to podniesionym głosem już po raz piąty w tym kwartale, trochę ni w pięć, ni w dziewięć, bo chłopaczyska stały właśnie na żółtej linii, skąd zobaczyły, jak przy przedrzeźnianiu dziecinnego gestu jego prawa ręka niechcący dotknęła ostrza piły taśmowej, które dokładnie tak szybko, jak to obiecywał pan Ingle, pozbawiło go kciuka i przyległych struktur od błony międzypalczastej po odwodziciel długi kciuka, ponadto otwierając tętnicę promieniową, co spowodowało gigantyczny wachlarzowaty rozbryzg krwi, gdy pan Ingle przycisnął czerwoną sprawę do piersi i zatoczył się, poszarzały od szoku i paralitycznych refleksów spowodowanych urazem. Podobnie jak mniej więcej wszyscy w sali, pobladli, z rozdziawionymi ustami, patrzący z żółtej linii, jak krew z tętnicy promieniowej oraz pierwszej tętnicy śródreżcza strzyka rytmicznie, opryskując nawet kurtki khaki niektórych spośród wyższych chłopców oraz panel kontrolny wiertarki pionowej, na którą wpadli, cofnąwszy się instynktownie. To nie był powolny wypływ krwi z poharatanego palca czy strużka z rozbitego nosa. To była krew tętnicza, wyrzucana pod ogromnym ciśnieniem skurczów serca, strzykająca pióropuszem z miejsca, w którym ukląkł nauczyciel, przyciskając rękę do piersi drugą ręką i spoglądając na falangę chłopców, układając usta wokół jakichś słów, których nie sposób było usłyszeć przy wyciu w A-dur piły taśmowej, widząc, jak twarze niektórych spośród przyszłych licealistów rozdyma krzyk, który widać, ale którego nie słyhać, jak kilku innych uczniów na samym końcu odłącza się od grupy i biegnie w stronę drzwi sali, wymachując podniesionymi rękami w uniwersalnym geście ślepej paniki, cała reszta zaś stoi oparta o najbliższego rówieśnika czy urządzenie z szeroko otwartymi oczami i umysłami na biegu jałowym.

...Cała reszta poza małym Leonardem Stecykiem, który po najkrótszym neuralnym przestoju ruszył naprzód, szybko i zdecydowanie, wyminął grupę od flanki, uderzając nadgarstkiem zabandażowanej ręki podwójnie oznaczony przycisk wyłączania piły taśmowej, obszedłszy maszynę od tyłu, nie patrząc ani w prawo, ani

w lewo w swoim fartuchu i wyprasowanej białej koszuli, odsuwając łokciem wysokiego chłopaka w kolorowej bandanie, stojącego w kedsach w ludzkiej krwi – chłopaka, który ledwie kilka dni wcześniej groził mu obcęgami za zawieszoną na tokarce tablicą z wizerunkami narzędzi – i w jednej chwili zjawił się u boku pana Ingle'a, gdzie stosował już pierwszą zasadę postępowania w przypadku krwotoków z kończyn, czyli jednocześnie unosił zranione miejsce i oceniał stopień urazu według pięciostopniowej Skali Ames z wydanej w 1962 roku w serii „Cherry Ames, Pielęgniarka Wiejska” *Pierwszej pomocy w wypadkach przy pracy*, którą wypożyczył z biblioteki publicznej jako element standardowych przygotowań do semestru jesiennego '69. Stecyk po prostu uniósł rękę nauczyciela, jak mógł najwyżej, mniej więcej na wysokość wzroku, podczas gdy pan Ingle klęczał skulony i bezwładny. Wielokrotne podkreślanie, jak szybko wszystko to się rozegrało, nie będzie przesadą. Kciuk i przyległe tkanki nie były całkowicie oderwane, ale zwisały na płacie skóry właściwej, tak że kciuk pana Ingle'a wskazywał podłogę, jakby parodiował gest cesarów, Stecyk zaś, ignorując zarówno krew, jak i wypowiedane wysokim tonem zdrobniałe formy rzeczownika „matka” w wołaczu, które stawały się słyszalne, w miarę jak zamierały obroty piły taśmowej, zdjął najpierw jedną ręką pasek swoich spodni, a następnie wyjął suwak arytmetyczny, który nosił w specjalnej wąskiej kieszeni swojego fartucha, z którego wyśmiewał się pan Ingle, by – po mentalnym przekartkowaniu procedur i ustaleniu sposobem Cherry Ames, że ucisk palcami okolic nadgarstka nie wystarcza do opanowania krwawienia – sporządzić sprawnie dwuwęzłową opaskę uciskową (z co najwyżej śladem edwardiańskiego sznytu przy wiązaniu poczwórnej kokardy na wierzchu, co było o tyle niezwykle, że Stecyk sporządził specjalny węzeł śliskimi, szkarłatnie uplamionymi rękami, które podtrzymywały także ciężar na wpół omdlałego człowieka), która zatamowała krwawienie po półtora obrotu linijki, taka bowiem była przyswojona pamięciowo precyzja, z jaką Stecyk umieścił krępulec dokładnie w kluczowym miejscu pomiędzy tętnicą łokciową i promieniową. W rozdzierającej ciszy, jaka zapanowała po zatrzymaniu się ostrza piły, słychać było teraz odgłosy wydawane

przez podnośnik pneumatyczny z warsztatów mechaniki samochodowej, które odbywały się w sąsiedniej sali. Także w tej chwili, gdy fontanna ustała, pan Ingle stracił przytomność, w związku z czym ostatnim obrazem, jaki zapamiętali niektórzy z wyższych chłopców po bokach, był moment, w którym Stecyk obejmuje dłonią podstawę czaszki pana Ingle'a jak głowę niemowlęcia, po czym delikatnie opuszcza go – to znaczy ją, to znaczy głowę dużego mężczyzny – na podłogę jedną ręką, jednocześnie drugą przytrzymując opaskę uciskową na uniesionym nadgarstku, i było coś tanecznego oraz matczynego, a przy tym ani trochę dziewczyńskiego w tej scenie, która odbywała się dziwnym echem w duszach kilku z nich jeszcze dni, a nawet tygodnie po tym, jak nauczyciele mechaniki samochodowej i konserwacji urządzeń poroztrącali ich łokciami i kazali im się rozsunąć i zostawić człowiekowi trochę powietrza, którzy to dwaj nauczyciele także działali energicznie i po dorostem bez emocji, ale nie starali się odsuwać Lena na bok ani nie kazali nauczycielce od gospodarstwa domowego wygonić go na zewnątrz z całą resztą w ich czerwonych trampkach, ale raczej stali jak podkomendni, czekając na instrukcje od chłopca, czy lepiej będzie poczekać na karetkę, czy może spróbować przewieźć pana Ingle'a tanim, ale bezbłędnie stuningowanym samochodem któregoś z mężczyzn, prosto do Calvin, mówiąc do Stecyka bardziej jak do równego sobie, otrzymując odpowiedzi, w których nie było specjalnych względów ani wahania.

Uczniowie zawodówki na ogół nie są szczególnie wrażliwi czy sprawni emocjonalnie i przesadą byłoby twierdzić, że „wszystko się zmieniło” po tamtym dniu na zajęciach z wychowania technicznego. Nie było wcale tak, że Leonard Stecyk stał się lubiany czy żeby trudni chłopcy zaczęli zapraszać go na wieczorne wyjścia po szkole albo do uprawiania z nimi wandalizmu czy zażywania miękkich narkotyków. Kilku z nich natomiast było zaskoczonych – nie tyle zawstydzonych, ile wstrząśniętych – swoim paraliżem wobec traumy i działaniami obmierzłego małego pedzja. Dziwne. To byli twardzi chłopcy. Wdawali się w bójki bez mrugnienia okiem, w domu brali w skórę od swoich ojczymów i starszych braci. Najbystrzejsi z nich poczuli, że z ich wyobrażeniami na temat bycia twardym, na temat

związków pomiędzy byciem spoko a prawdziwą wartością jednostki, coś się nagle pojechało. Ich sprawozdania ze zdarzenia były pomieszane i różniły się jedno od drugich. Więcej niż jeden z nich wspomniał *Zagubionych w kosmosie*, popularny w tamtym czasie serial. Zasadniczą zmianą w jakości życia przyszłego zastępcy dyrektora okręgu było ustanie większości praktyk w stylu Numerów Stecyka i niespodziewanych ciosów w nerw promieniowy na korytarzu oraz innych codziennych drobnych okrucieństw, głównie dlatego, że trudnych chłopców ogarniała teraz dziwna niepewność, ilekroć go spotykali czy choćby pomyśleli o Stecyku, podczas gdy prawdziwe okrucieństwo – jak wie każdy nastolatek – wymaga skupienia na ofierze popełnianego okrucieństwa. To, co zrobił Stecyk tamtego dnia, nie uczyniło go bardziej, lecz mniej wyjątkowym; trudni chłopcy przestali go dostrzegać czy wybierać. To było dziwne, a jeszcze dziwniejsze było to, jak szybko sam Stecyk zdążył zapomnieć o wszystkim, mimo powrotu pana Ingle’a do C.E. Pottera po Świącie Dziękczynienia w celu objęcia nowych obowiązków instruktora na lekcjach nauki jazdy, z okaleczoną prawą ręką zamkniętą w swoistej czarnej poliuretanowej rękawicy czy powłoce, co zdobyło mu wśród uczniów uczęszczających do szkoły we wczesnych latach siedemdziesiątych przydomek „Doktor No”. Wszyscy jakby mieli interes w jak najszybszym zapomnieniu o całej sprawie. Jeden z trudnych chłopców przeznaczonych zawodowce, który w dwadzieścia miesięcy po zdarzeniu służył już w Indochinach w rejonie Plaine des Joncs, był jedynym, który zachował wyraźne świadome wspomnienie Stecyka i kciuka Ingle’a z tamtego dnia, przywołane, kiedy pewien gruby rekrut, który ledwie zaliczył musztrę i padł ofiarą okrutnej kocowy, zebrał ich rozbitą oddział, który właśnie stracił kaprała, i przegrupował ich, i wyprowadził z oskrzydlenia, w które wzięły ich dwa plutony Wietnamskiej Armii Ludowej, i doprowadził do połączenia z kompanią A; po prostu dźwignął się z ziemi i kazał im zdjąć amunicję z zabitych i sformować pojedynczą kolumnę po przeciwnej stronie koryta potoku, i wszyscy posłuchali, bez zastanawiania się, z powodów, których później nie byli w stanie sobie przypomnieć czy się do nich przyznać – i tamten trudny chłopak pomyślał wtedy o Stecyku w jego małym fartuszkach i muszce w tureckie wzory (to

drugie to efekt spontanicznego zniekształcenia pamięci), a także o tym, że to, co wówczas w szkole wyobrażali sobie jako wielki świat, było jedynie dziecięcym marzeniem małego chłopca przed lustrem.

§40

Cusk znalazł się w gabinecie psychiatry i liczył teraz pudełka chusteczek higienicznych w niewielkim pokoju ze ścianami całymi w rzędach grubych książek i dyplomów. Szóste znajdowało się na małym biurku w rogu, na którym psychiatra wystawiała recepty. W gabinecie brakowało umywalki, którą mieli u siebie niektórzy lekarze – poświęcił całe dni przygotowywaniu się na spotkanie ze zlewem. Gdy wezwano go do środka, Cusk uściśnął rękę psychiatry i zajął miękkie krzesło, które wskazała mu druga ręka lekarki. Psychiatra podciągnęła spodnie na wysokości kolana, po czym usiadła na wprost Cuska, po drugiej stronie stolika ze szklanym blatem, na którym leżały dwa pudełka chusteczek. Jej dłoń była duża, ciepła i miękka. Krzesło, na którym siedziała, było tym samym modelem co krzesło Cuska – o jeden, może dwa poziomy poniżej komfortu fotela – wyglądało jednak, o ile nie była to kwestia jego wyobraźni, jakby było nieco wyższe.

– ...przed pajakami, psami, pocztą – wyliczał Cusk; psychiatra słuchała uważnie, potakując, ale nie robiła notatek, co go uspokajało.

– Lęk przed kołonotatnikami, tymi ze spiralą czy drutem w miejscu grzbietu; strach przed wiecznymi piórami (za to przed pisakami z filcową końcówką i piórami kulkowymi już nie, chyba że to jedno z tych drogich piór, przypominających wieczne): Cross, Montblanc, te, które wyglądają na złote – ale nie przed plastikowymi czy jednorazowymi kulkowymi.

Wyczerpawszy zapas pudełek kleeneksów do liczenia, Cusk powtarzał w głowie w kółko „duża, ciepła i miękka, duża, ciepła i miękka” na zasadzie wewnętrznej melorecytacji tuż poniżej progu refleksji.

– Lęk przed dyskami. Lęk przed zlewami. Lęk przed praktycznie wszelkimi spiralnymi ruchami w cieczach, pełen zestaw.

Brwi psychiatry były nadzwyczajnie cienkie i rzadkie, a kiedy je unosiła, oznaczało to, że chyba nie nadaża...

– Wirami, turbulentnym mieszaniem, spuszczeniem wody z wanny. – Cusk ilustrował przykładami. Nad górną wargą miał lekką warstwę potu, ale czuł, że czoło ma wciąż suche, że się trzyma. – Przed energicznym mieszaniem napojów. Spuszczaniem wody w muszli.

§41

- Wysłałeś po niego Cardwella?
 - To jakiś problem?
 - On ma demencję, Charlie, oto mój problem.
 - Dobrze prowadzi. Można na nim polegać.
 - Będzie gościowi prawił przez całą drogę. Facet pomyśli, że przyjechał na placówkę, gdzie ma samych nawiedzonych błaznów. On jest asystentem Lehrla, Charlie, Jezu...

§42

Między okresami skupienia trafiało się na dłuższe cisze.

– Weź, albo posłuchajcie tego. Tyle że to było już dobrą chwilę temu, kiedy studiowałem w St. Louis i nazywaliśmy się Reserve Rangers.

– Dobra, dajesz.

– Nie załapiecie niektórych rzeczy. Do tego trzeba było żyć pod koniec sześćdziesiątych.

– Że niby wtedy nie żyliśmy?

– Nie tak, że się bawiłeś palcami u nóg albo wyciskałeś sobie pory. Chodzi mi o pełnoletniość, świadomość. Kulturową.

– Chyba kontrkulturową.

– Mógłbym powiedzieć: wal się na ryj, Gaines. Ale nie. Zamiast tego powiem ci, że jeśli jest coś zarąbistego w tym wrażeniu, którego nie da się z niczym pomylić, i powiem, że to wrażenie jest po prostu tak bardzo beatles, to nie załapiesz.

– Trzeba było tam być.

– Chodzi ci o to, że to nie to samo co posiadanie płyt Beatlesów, tak? Trzeba było tam być, w *tym*?

– Czaić bazę. Kumać.

– No i właśnie. Nikt tak naprawdę nie mówił „kumać”. Ludzie, którzy mówili „kumać” albo nazywali cię człowiekiem, po prostu odgrywali jakąś fantazję, którą zobaczyli w wiadomościach na CBS. Powiedzmy, że mówię Baxter-Bathing albo Owsley, albo wspominam jedną z sukienek Janis, to myślisz w kategoriach danych. Nie ma w tym nic z uczucia, które się z tym wiąże, to było uczucie. Nie da się tego opisać.

– Inaczej niż mówiąc, jakie to było bardzo beatles.

– A nawet nie zawsze o dane tu chodzi. Co, jeśli powiem Lord Buckley? Co, jeśli powiem wieża w Austin albo Sin-Killer Griffin na taśmie z więzienia albo Jackson w *Today*, siedzący naprzeciwko tego szympka J. Freda, w koszuli, która ma na sobie ślady krwi i mózgu Martina, i nikt na to nic nie mówi, chociaż *Today* nagrywają

w Nowym Jorku, czyli że Jackson, kurwa jego mać, przyleciał w tej koszuli z Memphis, żeby wystąpić z tą krwią przed kamerą – czujecie coś, kiedy to słyszycie? Albo *Bonanza*, albo *Jestem ciekawa* myślnik w kolorze żółtym? J. Fred Muggs? Jezu, *Ścigany*; kiedy mówię „jednoręki”, jaki stan wewnętrzny to w was wyzwała?

– Masz na myśli nostalgię?

– Mam na myśli chlorowoderek metamfetaminy. Wystarczą *December's Children* albo *Włóczędzy Dharmy*, albo Big Daddy Cole w Domu Bluesa w Dearborn, albo wojskowa fryzura i rogowe oprawki, albo niech choćby pomyślę o podwiniętych lewisach, odslaniających trzy cale białej bawełny nad klapkami za grosze, a czuję smak chlorowodoru z czasów Wash U, kiedy nazywaliśmy się Reserve Rangers. Jakie to dziwne, że we mnie to wszystko jest, a dla was to tylko słowa.

– Mamy nasze własne kulturowe tropy i kateksje, i rzeczy, które działają na nas nostalgicznie.

– To nie nostalgia. To całe mnóstwo odniesień, z których nieznajomości nawet nie zdajecie sobie sprawy. Powiedzmy, że mówię *Sweater Puppies*, nic nie czujecie. Chryste, *Sweater Puppies*.

– A nie kwas?

– Słucham?

– Dlaczego metamfetamina, a nie kwas? LSD? Czy trawa i LSD nie były jakby sztandarowymi narkotykami epoki?

– O tym właśnie mówię. Żadne takie niuanse czy złożone historie nie kalają waszego pola. Kwas to było Zachodnie Wybrzeże i mała komórka w rejonie Bostonu. Kwasu nie było nawet w Greenwich Village przed historią z Keseyem i Learym na północy stanu w sześćdziesiątym siódmym. W sześćdziesiątym siódmym było już po latach sześćdziesiątych. Środkowy Zachód to meta i halucynogenne dopalacze. Na Wash U była nas mała, ścisła grupa, w komitywie z ludźmi z Dogtown; to, że jestem tutaj, a nie w prywatnym sektorze, to między innymi dlatego, że coś mi się nie wydaje, żeby któryś z nas otworzył choćby jedną książkę przez dwa lata, a potem musiałem się wynieść z powodu Rescue Rangers i tego starszego gościa, który miał przewrotne nazwisko McCool i który chciał się z nami kumplować, ale był do bólu niecool, kręcił się koło nas, spragniony, tak mówiliśmy, ale wam to z niczym nie zagra.

McCool był przedstawicielem handlowym na rejon w Welch Lambeth. Zakładam, że Welch Lambeth figuruje w waszym indeksie odniesień kulturowych.

– Chemikalia. Teraz część Lilly. University City, Miz, silna dywersyfikacja aktywów, chemiczne i głównie przemysłowe rozpuszczalniki, zaopatrzenie medyczne, kleje, polimery, formy do odlewania podwozi.

– Wtedy akurat zaopatrzenie medyczne, tak że na przykład czasem coś przynosił – powiedzmy, że siedzimy sobie przy naszym stole w Jaegerschnitzlu, rathskellerze, gdzie bywało najbardziej kontrkulturowe i antyestablishmentowe, ale nie modne czy w dechę towarzystwo z WU, i któregoś wieczoru w środku męskiego posiedzenia zjawia się McCool o kłamliwym sercu, z półfuntowym pojemnikiem termicznym, i mówi: „Wiem, że niektórzy z was to lubią, więc jak to zobaczyłem, pomyślałem sobie: kurna, Olek, trza wyzwolić towar dla koleżków”, i dalej w tym stylu. Spragniony, ale tak po eisenhowerowsku dzielny. Po trzydziestce i już łysy, z jakimś gorliwym pragnieniem akceptacji; można sobie tylko wyobrazić, co go spotkało w dzieciństwie. Taki koleś, co to przychodzi do was na imprezę, wy go spijacie tak, że już o dziewiątej nie żyje, wsadzacie do furgonetki Rescue Rangers i zostawiacie bez niczego, tylko w butach i skarpetkach na ławce przystanku autobusowego w East St. Louis, a on nie tylko, że jakoś przeżyje, to jeszcze zjawia się znowu w Jaegerschnitzlu, żeby klepnąć cię po ramieniu i powiedzieć „Niezły numer”, tak jakbyście po prostu podpalili mu sznurówki zapalniczką, tak był zdesperowany, żeby należeć do paczki.

– Moi bracia nauczyli mnie, że desperacja to w sumie podstawowa przeszkoda przy zdobywaniu akceptacji paczki. Przekonałem się o tym na własnej skórze, mówię wam. Kiedyś, no bo jako dzieciak bałem się wody, pozwolili mi jechać z nimi na kemping i mój najstarszy brat powiedział, że teraz mam wielką szansę zostać jednym z nich, i zamiast kempingu okazało się, że to wyprawa na ryby, i kiedy próbowałem wleźć do łódki, to się okazało, że oni...

– My na to, o-kej, spoko, ale wtedy Eddie Boyce bierze to i otwiera, i w środku są te długie izolowane rurki z tektury falistej,

a wewnątrz każdej rurki jest mała trzycalowa próbówka z podwójną zatyczką, a w niej... farmaceutycznie czysty wodorochlorek metamfetaminy, po trzy przecinek coś tam grama na ampułkę. Siedzimy, patrząc jedni na drugich, a Boyce ma brwi chyba na czubku głowy. McCool niby tak od niechcienia, ale jednak mówi: „No? Co wy na to?”. Wiecie, co to znaczy? Tam w tym pudełku były dwieście dwadzieścia cztery gramy farmaceutycznie czystej mety. Wiecie, co nawet kiepska chrzczona meta z garażu jest w stanie zrobić z dwudziestoletnim układem nerwowym?

– Ja bym to opchnął, a wpływy zainwestował w handel srebrem, a potem odwiedził moich wykładowców, pociągnął ich za brody i powiedział, że mogę ich teraz kupować i sprzedawać, a tym mogą sobie, jak chcą, nabić fajki i kurzyć.

– Wiedz, że nie sprzedaliśmy tego wystarczająco dużo. Za to udało nam się rozpętać apokalipsę. Zajęcia zamieniły się w zoo. Pryszczate dzieciaki, tłoczące się zawsze w ostatnim rzędzie, które nigdy się nie wychylały, teraz chwyciły swoich wykładowców za klapy marynarki i cytowały teorię wartości dodatkowej głosem esesmanów przesłuchujących więźnia. Duchowe podpory Klubu Newmana oddawały się z zapamiętaniem kopulacji na schodach do biblioteki. Ośrodek zdrowia oblegali doktoranci filozofii, błagający, by ktoś wyłączył im mózgi. Stołówki świeciły pustkami. Wszystkich tylnych obrońców drużyny uniwersyteckiej wsadzili do paki za atak na nosiwodę zespołu Kansas State. Studentki, których błony dziewicze mogły służyć za drzwi do skarbcza w banku, dawały na prawo i lewo w krzakach przed akademikiem Lambda Pi. Lepszą część kolejnych dwóch miesięcy spędziliśmy jako Reserve Rangers w furgonetcie, jeżdżąc do wzywających pomocy chłopaków, którzy weszli w posiadanie jednej dziesiątej grama towaru, a teraz ich dziewczyny zwisały głową w dół wczepione paznokciami w sufit, ścierając swoje idealne białe ząbki na pieńki. Reserve Rangers!

– Bez snu przez tydzień, wszyscy jechaliśmy na mecie i nie odstawialiśmy, bo odstawienie mety jest jak potężna grypa na wakacjach w piekle; dłonie Boyce’a nosiły permanentne ślady ściskania kierownicy, a nasze gały wyglądały jak sztuczne oczy ze sklepu z badziewiem. Najbliższe jedzeniu zachowanie to, jak trzęsiemy się ze wstrętem na widok znaków restauracji mijanych po

drodze do dosłownie dziesiątek wezwań Rescue Rangersów, jakie dostawaliśmy co noc, kiedy wyważaliśmy drzwi, błyskawicznie ocenialiśmy stan windy, a potem sadziliśmy na górę po pięć stopni, śpiewając nasz hymn „Rescue Rangers w akcji”.

– Ale o co chodzi z tymi Rangersami, Todd, skoro...?

– Ponieważ w miarę jak w bardzo krótkim czasie moc i czystość tego towaru toruje sobie kolejne kanały w Dogtown, dajemy McCoolowi odczuć, że jest zapotrzebowanie na wsparcie i uprzejmość Welch Lambeth.

– Jakie właściwie jest medyczne zastosowanie metamfetaminy? Na otyłość? W badaniach nad deprywacją snu? Eksperymenty z kontrolowaną psychozą?

– I dwa albo trzy dni później, właśnie kiedy wszyscy dobijamy już do granic wytrzymałości i można nam policzyć zębra, a skórę pod oczami mamy jak mięso do hamburgera, zdarza się pewien okropny wypadek, kiedy jestem sam i stwierdzam, że co mi tam, tym razem bez hamulca awaryjnego, i strzeliłem sobie prawie osiem dziesiątych grama na ostro, i mój stan umysłu był bardzo, bardzo dziwny, faktycznie o krok od klinicznej paranoi, aż tu słyhać dzwonek do drzwi, no i uchylam na łańcuchu, i widzę tylko kapelusz z plastikowymi kwiatami na rondzie, bo to stoi taka maleńka niewinna starsza pani z Welcome Wagon, która przyszła nas powitać w wynajmowanej przez nas ruderze jako nowych członków społeczności, z koszyczkiem ciasteczek i artykułów higieny, i patrzy na mnie z zadartą głową, ale w oczach ma te straszne hipnotyczne spirale, czerwoną w jednym, zieloną w drugim, a orzeszek ziemny jej twarzy robi się wstrętne wklęsło-wypukły, jak u krokodyla, po czym zanika, a zaraz znowu na mnie wyskakuje, więc oszczędzę wam szczegółów mojej reakcji, powiem wam tylko tyle, że ten wypadek doprowadził bezpośrednio do mojej rezygnacji ze studiów i przenosin do Colorado w niecałe dwa miesiące później, której to przeprowadzce zawdzięczam mój służbowy przydomek, Todd Colorado.

§43

We wtorek rano miałem wizytę u laryngologa, więc odbiłem kartę dopiero o 10:05. Z kompleksu emanowało jeszcze głębsze przygaszenie niż zwykle. Ludzie mówili ściszymi głosami, a ich chód cechowała pewna nieznaczną ekspozycją ramion. Kilka kobiet znanych z tego, że są blade, wyglądało bledziej niż zwykle. Działania wszystkich miały charakter powolnego mielenia, jak gdyby wszyscy działali w reakcji na coś, ale ze świadomością, że działają w reakcji na coś i że wszyscy inni także działają w reakcji na coś. Skończyła mi się aspiryna. Z jakiegoś powodu nie chciałem nikogo pytać, co się stało. Nie cierpię być osobą, która zawsze nie wie, co się dzieje, i musi pytać innych; to zawsze wypada tak, jakby wszyscy poza mną wiedzieli, co jest grane. To jasny wyznacznik niskiego statusu, a ja się przed nim broniłem. Dopiero po jedenastej podsłuchiłem Trudi Keener, Jane-Ann Heape i Homera Campbella, którzy w sali z UNIVAC-kiem segregowali antydatowane nośniki EST.

Był wybuch w innym Regionie. W Muskegon albo w Holland, oba to dziesiątki. Osobówka albo półciężarówka zaparkowała przed biurem okręgu, po czym po jakimś czasie wyleciała w powietrze. Trudi Keener przytoczyła słowa George'a Molesworthy'ego, który powiedział, że Posse Comitatus są ponoć obecni i wkurzeni w Michigan. To oznaczało zamach terrorystyczny na którąś z placówek Służby, co u pracowników w każdym oddziale na zapadłej rolniczej prowincji musi wywołać dreszcze. Stałem w pokoju, udając, że sprawdzam coś w skoroszycie, tak długo, jak w mojej ocenie mogłem to robić, zanim Jane-Ann zauważy, że podsłuchuję, z czego mogłaby wyciągnąć wniosek, że jestem osobą, która nie wie, co jest grane, i odpowiednio zmodyfikować swoje wyobrażenia na mój temat. Jej włosy były dzisiaj upięte i tworzyły złożony zespół loków oraz fal, sprawiając wrażenie ciemniejszych w dalekim nadfiolecie jarzeniówek sali UNIVAC-a. Miała na sobie bladoniebieską bluzkę z octanu i spódnicę, której szkocka krata była

tak ciemna i słabo kontrastująca, że trudno było w niej rozpoznać szkocką kratę. Nie pojawiły się informacje o ofiarach, za to dowiedziałem się, że dwie czy trzy osoby z Systemów Wsparcia Koordynacji Audytów naszej 047 miały przydziały w Michigan w początkach swojej kariery; nie byłem w żaden sposób związany z Systemami Wsparcia Koordynacji Audytów, więc ich nazwiska nic mi nie mówiły.

Gdy przyszła kolej na moją przerwę, w pomieszczeniu socjalnym czuć było kwaśną woń, co oznaczało, że pani Oooley nie umyła dzbanków i filtrów przed wyjściem wieczorem poprzedniego dnia. Niemniej w kwestiach personelu to miejsce było informacyjną kopalnią złota. Pan Glendenning i Gene Rosebury pili kawę ze swoich firmowych kubków z logo Służby (przysługujących pracownikom od szczebla 13. wzwyż), a Meredith Rand jadła jogurt, który wyciągnęła z lodówki księgowych 9. szczebla, plastikowym widelcem (co oznaczało, że Ellen Bactrim znowu chomikuje łyżeczki). Rozmawiali, a Gary Yeagle i James Rumps oraz kilkoro innych stało odrobinę z boku, przysłuchując się. Wszedłem w środek grupy i udawałem, że studiuję zawartość automatów z przekąskami, a potem, że przeliczam w dłoni drobne.

„To nie terroryzm. To ludzie, którzy nie chcą płacić podatków”, powiedział Gene Rosebury. Pod nosem miał delikatne ślady wąsów po Mylancie. „To” wskazywało na dużą porcję konwersacyjnego kontekstu i informacji, które zdążyły wybrzmieć.

„Jeśli czuję się sterroryzowana, to się nie liczy jako terroryzm?”, powiedziała Meredith Rand. Otarła odrobinę jogurtu z kącika ust małym palcem. Znaczące było to, że nikt się nie zaśmiał, nawet nikt spośród dziewiątek. Komentarz Rand pomyślany był jako lekkostrawny żart, który miał być nie tyle zabawny, ile stworzyć okazję do śmiechu i w ten sposób rozładować napięcie. Nikt z tego nie skorzystał. To sporo mówiło. Pan Glendenning miał na sobie oliwkowy garnitur z krawatem bolo, w którego medalionie osadzono turkus. Dyrektor RCK był człowiekiem przyzwyczajonym do tego, że znajduje się w centrum uwagi, w jakimkolwiek pomieszczeniu się pojawiał, a jednak u niego to przyzwyczajenie uzewnętrzniało się w postaci aury cichego opanowania, a nie ekshibicjonizmu. Nie znałem na placówce nikogo, kto by nie lubił i nie podziwiał DeWitta

Glendenninga. Pracowałem w Służbie już na tyle długo, by rozumieć, że to jedna z cech skutecznego kierownika – być lubianym. Nie zachowywać się tak, by być lubianym, ale po prostu takim być. Nikt nigdy nie odczuł, by pan Glendenning coś odgrywał, jak mają to w zwyczaju robić mniej utalentowani kierownicy, choćby przed samym sobą, na przykład zachowują się jak służbiści, bo gdzieś w głowie mają wizerunek dobrego administratora jako twardziela i usiłują nagiąć własną osobowość, żeby przystawała do tego obrazu. Ani takiego podającego wszystkim rękę typa spod znaku „moje drzwi są zawsze otwarte”, który wyobraża sobie, że dobry kierownik musi być dla wszystkich kumplem, więc gra bardzo otwartego i życzliwego, chociaż obowiązki wymagają od niego dyscyplinowania ludzi albo cięcia wydatków i odmownego rozpatrywania wniosków czy oddelegowywania osób do Kontroli, czy też całego szeregu zachowań, które wcale nie są życzliwe. Taki ktoś stawia się na fatalnej pozycji, ponieważ ilekroć musi dla dobra Służby zrobić coś, co urazi pracownicę albo ją wkurzy, takie działanie niesie ze sobą dodatkowy ładunek emocjonalny w postaci sytuacji kumpla, który wydymał kumpla, tak że częstokroć administrator z powodu sytuacji i konfliktu lojalności odczuwa taki dyskomfort, że musi się osobiście wściec – albo udawać wściekłego – na pracownika, żeby podjąć niemiłą decyzję, co nadaje sprawie charakter osobisty w brzydki sposób i dokłada sporo goryczy do poczucia krzywdy i urazy wydymanego pracownika, a po pewnym czasie zupełnie podkopuje autorytet takiego kierownika, który w oczach wszystkich wychodzi na oszusta i kogoś, kto wbija nóż w plecy, kto udaje, że jest waszym kumplem i kolegą, ale gotów jest was wydymać, gdy tylko uzna to za stosowne. To ciekawe, że te dwa fałszywe style zarządzania – tyran i pseudokumpel – to także dwa najczęstsze stereotypy kierowników pojawiające się w książkach, serialach telewizyjnych i komiksach. Istnieje nawet podejrzenie, że obraz, który tworzy sobie taki niepewny siebie kierownik, oparty jest częściowo na tych popkulturowych stereotypach.

Pan Glendenning może nie tyle zadawał kłam stereotypom, ile wykraczał poza nie. Jego opanowanie pozwalało mu być i zachowywać się dokładnie tak, jak na niego przystało. Był małomównym, odrobinę nieprzystępnym mężczyzną, który

poważnie podchodzi do swojej pracy i oczekuje tego samego od podwładnych, przy czym ich także traktował poważnie i słuchał ich, i myślał o nich zarówno jako o ludziach, jak i częściach większego mechanizmu, za którego prawidłowe działanie sam odpowiadał. A więc jeśli mieliście jakąś propozycję albo problem i uznaliście, że zasługują na jego uwagę, jego drzwi faktycznie były otwarte (to znaczy, o ile umówiliście termin u Caroline Oooley) i wysłuchiwał tego, co mieliście do powiedzenia, ale to, czy i w jakim stopniu weźmie to pod uwagę przy podejmowaniu decyzji, zależało od namysłu, informacji z innych źródeł oraz szerszych kwestii, które musiał mieć na względzie. Innymi słowy, pan Glendenning rzeczywiście był gotów was wysłuchać, ponieważ nie był ofiarą udzielającego się osobom niepewnym siebie wyobrażenia, że wysłuchanie was i traktowanie was poważnie nakłada na niego jakieś zobowiązania wobec was – podczas gdy ktoś przywiązany do wizerunku słuźbisty musiałby potraktować was jako niewartych uwagi, ktoś przywiązany do wizerunku równego pomiędzy równymi natomiast czułby się w obowiązku skorzystać z waszej sugestii, nie chcąc was urazić bądź wyczerpująco się tłumaczyć, dlaczego wasza sugestia jest nieaplikowalna, a może nawet poddać to jakiejś debacie – aby was nie urazić ani nie skazić swego obrazu kierownika, który nigdy nie potraktowałby sugestii podwładnego jako niezasługującej na poważne rozpatrzenie – albo wściec się w celu znieczulenia się na dyskomfort wywołany niechętnym nastawieniem wobec sugestii kogoś, kogo czuje się w obowiązku postrzegać jako przyjaciela i równego sobie pod każdym względem.

Pan Glendenning był także mężczyzną stylowym, mężczyzną, na którym ubranie leży idealnie, nawet jeżeli dopiero co podróżował samochodem albo siedział przy biurku. Wszystkie jego ubrania odznaczały się luźną, acz symetryczną linią, która kojarzyła mi się ze stylem europejskim. Zawsze stał z ręką w kieszeni, opierając ciężar ciała na blacie, gdy pił kawę. Była to według mnie najbardziej przystępna z jego postaw. Twarz miał opaloną i rumianą nawet w świetle jarzeniówek. Wiedziałem, że jedna z jego córek jest gimnastyczką z sukcesami na szczeblu krajowym, i czasem przychodził ze szpilką do krawata albo broszką czy czymś w tym stylu, które zdawały się składać z dwóch poziomych drążków

i platynowej sylwetki wygiętej w skomplikowanym układzie nad nimi. Czasami wyobrażałem sobie, że wchodzę do kuchni i zastaję pana Glendenninga samego, opartego o blat, wpatrującego się w kubek z kawą i pogrążonego w głębokich administracyjnych rozmyślaniach. W tej wyobrażonej scenie wygląda na zmęczonego, nie fizycznie zniszczonego, za to dręczonego troskami, przytłoczonego odpowiedzialnymi obowiązkami jego stanowiska. Wchodzę i robię sobie kawę, i podchodzę do niego, on mówi mi Dave, a ja jemu DeWitt czy nawet D.G., jak ponoć mieli zwracać się do niego inni dyrektorzy okręgów i zastępcy komisarzy regionalnych (według plotki pan G. miał się ubiegać o fotel komisarza regionalnego), i pytam, co u niego, a on zwierza mi się z kierowniczego dylematu, z którym się właśnie mociuje, że pomysły tego gościa z Systemów Lehrla z ciągłymi rekonfiguracjami przestrzeni zajmowanych przez ludzi i przejść między nimi to absurdalny wrzód na tyłku i strata czasu i że jeśli to zależałoby od niego, to osobiście wzięłby nadgorliwego dupka za skórę na karku, wpakowałby go do pudełka z najwyżej dwoma otworami i wysłał FedExem z powrotem do Martinsburga, ale że Merrill Lehrl był protegowanym i ulubieńcem Zastępcy Komisarza ds. Obsługi Podatników i Zeznań w Trzech Szóstkach, którego innym grubym protegowanym był Komisarz ds. Kontroli na Region Środkowo-Zachodni, w praktyce, o ile nie formalnie, bezpośredni zwierzchnik pana Glendenninga w relacji do sprawozdawczości korporacyjnej Placówki nr 047 i kierownik należący do tego gatunku fatalnych administratorów, którzy wierzą w sojusze, patronów i politykę, i który mógł odrzucić podanie o udzielenie Placówce nr 047 wsparcia w postaci dodatkowych kontrolerów 9. szczebla zatrudnionych na pół etatu pod tuzinem pretekstów, które na papierze wyglądałyby wiarygodnie, i tylko D.G. i KK wiedzieliby, że to z powodu Merrilla Lehrla, a DeWitt czuł się w obowiązku ulżyć przywalonym pracą kontrolerom i skrócić nieco Terminarz Procesowy Zeznań, na co lepszym sposobem – jak pokazywały dwie osobne analizy – było wsparcie w postaci dodatkowego personelu i rozproszenie obowiązków, nie zaś motywowanie i rekonfiguracja (z którymi to analizami Merrill Lehrl się nie zgadza – D.G. zauważał zmęczonym głosem). W mojej fantazji D.G. i ja mamy nieco

pochylone głowy i ściszone głosy, chociaż poza nami nie ma nikogo w pomieszczeniu socjalnym, w którym panuje przyjemny zapach i stoją puszki z drobno zmieloną Melittą, a nie białe puszki Jewel z napisem koloru khaki – i to właśnie wtedy, dokładnie w kontekście tego problemu przywalonych pracą i rozdzieranych kontrolerów, z którego mi się zwierza, częstuję D.G. pomysłem wykorzystania tych nowych skanerów dokumentów Hewlett-Packard przy odpowiednim zaprogramowaniu do skanowania zarówno zeznań, jak i tabel i użycia kodu TCMP do oznaczania wybranych elementów, dzięki czemu kontrolerzy będą musieli tylko sprawdzić i zweryfikować poprawność oznaczonych elementów, zamiast przedzierać się, linijka po linijce, przez nieistotne poprawne dane, by dotrzeć do tych ważnych. D.G. słucha mnie uważnie, uprzejmie i tylko roztropność i kierowniczy profesjonalizm powstrzymują go przed tym, by tak jak stoi, przyklasnął przenikliwości i potencjałowi mojej sugestii oraz przed tym, by z miejsca okazał mi wdzięczność i uznanie, że oto pojawia się znikąd kontroler 9. szczebla z nietuzinkowym rozwiązaniem, które jednocześnie odciąży kontrolerów i pozwoli D.G. wysłać obmierzłego Merrilla Lehrla na księżyc.

§44

Nauczyłem się tego jako zaledwie dwudziestojedno- czy dwudziestodwulatek w Regionalnym Centrum Kontroli IRS w Peorii, gdzie dwa lata z rzędu pracowałem w wakacje jako wózkowy. Zdaniem gości, którzy uznali, że nadaję się do rozpoczęcia kariery w szeregach Służby, dawało mi to przewagę nad resztą, właśnie to, że pojąłem tę prawdę w wieku, gdy większość ludzi dopiero zaczyna przeczuwać podstawy, na których opiera się dorosłość – że życie nie jest ci nic dłużne, że cierpienie przybiera różne formy, że nikt nie zatroszczy się już o ciebie tak jak twoja matka, że ludzkie serce to jełopek.

Zrozumiałem, że świat ludzi w swoim obecnym kształcie to rodzaj biurokracji. To, rzecz jasna, oczywistość, a zarazem jedna z oczywistości tego typu, które – jeśli nie zdawać sobie z nich sprawy – są przyczyną wielkiego cierpienia.

Ale poza tym odkryłem, w jedyny sposób, w jaki człowiek uczy się tego, co ma w ogóle jakieś znaczenie, umiejętność niezbędną, aby odnieść sukces w biurokracji. Ale odnieść sukces naprawdę – być dobrym, zmienić coś, służyć. Odkryłem ten klucz. Tym kluczem nie jest wydayność ani prawość charakteru, ani przenikliwość, ani mądrość. Nie są nim zmysł polityczny, zdolności interpersonalne, iloraz inteligencji, lojalność, wielka wizja ani żadna z tych cech, która w świecie biurokracji mieni się cnotą i pod kątem której przeprowadza się testy. Kluczem jest pewna zdolność, leżąca u podstaw wszystkich tych cech, trochę tak jak zdolność organizmu do oddychania i tłoczenia krwi jest podstawą wszelkiej myśli i wszelkiego działania.

Skuteczne działanie w biurokracji opiera się na umiejętności radzenia sobie z nudą. Efektywnego funkcjonowania w środowisku, które eliminuje wszystko, co żywe i ludzkie. Oddychania, by tak rzec, bez powietrza.

Kluczem jest umiejętność – wrodzona lub nabyta wskutek odpowiedniego warunkowania – dostrzeżenia drugiej strony tego, co

rutynowe, czcze, bez znaczenia, tego, co powtarzalne, bezcelowo skomplikowane. W skrócie, rzecz w tym, by stać się nieprzenikalnym dla świdra nudy. W latach 1984–85 spotkałem dwóch takich ludzi.

To klucz do życia we współczesnym świecie. Jeśli uodporniliście się na nudę, to nie istnieje już dla was dosłownie nic, czego byście nie byli w stanie dokonać.

§45

Mama Toni była trochę stuknięta, podobnie jak jej własna mama, ciesząca się złą sławą odludka i dziwadła zamieszkującego Dom z Kołpaków w Peorii. Mama Toni związywała się z jednym nieciekawym gościem po drugim na Południowym Zachodzie. Ostatni z nich wiózł je z powrotem do Peorii, dokąd mama Toni postanowiła wrócić po tym, jak związek sprzed tego związku szlag trafił. Itd., itp. W drodze mamie odbiło (przestała brać leki) i zostawiła gościa na stacji, zabierając jego pick-upa.

Zarówno mama, jak i babka miały katatoniczne / kataleptyczne epizody, co – o ile mi wiadomo – jest symptomem pewnej odmiany schizofrenii. Dziewczyna od wczesnego dzieciństwa bawiła się w naśladowanie tych epizodów, co polegało na siedzeniu bądź leżeniu maksymalnie nieruchomo, spowalnianiu pulsu, oddychaniu w taki sposób, by nie unosić klatki piersiowej, i trzymaniu oczu bardzo długo otwartych, tak że jedno mrugnięcie dzieli od drugiego kilka minut. To ostatnie jest najtrudniejsze – oczy zaczynają piec, w miarę jak wysychają. Bardzo, bardzo trudno jest obejść tę niedogodność, ale jeśli ci się uda, jeśli będziesz w stanie oprzeć się potrzebie mrugnięcia, która pojawia się, gdy pieczenie i wysychanie sięgną szczytu, wówczas oczy same zaczną się nawilżać bez mrużenia. Wyprodukują coś w rodzaju sztucznych czy zastępczych łez, by się ratować. Niemal nikt o tym nie wie, ponieważ niesłychany dyskomfort, jaki powoduje ciągłe otwarcie oczu, bez mrugania, powstrzymuje większość ludzi przed dotraniem do punktu krytycznego. Poza tym i tak zawsze dochodzi do jakiegoś uszkodzenia. Dziewczynka nazywała tę zabawę „udawaniem trupa”, bo właśnie w ten sposób, gdy była bardzo mała, jej matka starała się przedstawić jej i opchnąć swoje epizody – mówiąc, że tylko się tak bawi, a ta zabawa nazywa się „udawanie trupa”.

Porzucony mężczyzna dogonił je gdzieś we wschodnim Missouri. Były na małej jednopasmówce, a pierwszym sygnałem, że za nimi

jedzie, była para świateł, którą zobaczyły, gdy znajdowały się na długim na milę czy więcej spadku – dostrzegły światła wyłaniające się zza szczytu wzniesienia, na które właśnie wjechał podążający ich tropem samochód, po czym straciły je z oczu, kiedy znów zaczął się stromy podjazd.

Zgodnie z tym, jak zapamiętała to Toni Ware i przedstawiła, który to już raz, Iksowi tamtej nocy, która okazała się kolejną rocznicą zdarzenia, pojazd, zarekwirowany czy wynajęty przez tamtego mężczyznę, szybko się do nich zbliżał – okazało się, że porusza się odrobinę szybciej od ich pick-upa z mieszkalną nadbudową – a facet wcale nie siedział za kierownicą. Stał na masce olbrzymiego ciągnika siodłowego bez naczepy, tak nabrzmiały od gniewu i złej woli, że dwa razy większy niż normalnie, wznosząc i opuszczając ręce w przerażającym geście przywodzącym na myśl starotestamentowe zesłanie plag, i hukając (w regionalnym znaczeniu słowa huknąć, które określa coś, co jest niemal samodzielną formą sztuki; w ten sposób komunikowali się ze sobą ludzie zamieszkujący góryste regiony, w dużym rozproszeniu – był to sposób oznajmiania innym, że jest się w okolicy; w przeciwnym razie można byłoby dojść do przekonania, tam, wśród wiejskich wzgórz, że jest się jedyną osobą w promieniu tysiący mil), z wyrazem ekstatycznego, okrutnego gniewu i wrednej satysfakcji na twarzy, co wywołało u mamy Toni, która – pamiętajmy – nie była wzorem stabilności emocjonalnej, napad hysterii i nakazało wciśnięcie gazu do podłogi, by nie dać się dogonić, przy jednoczesnej próbie wydobycia z torebki buteleczki z tabletkami i odkręcenia atestowanej zakrętki, w czym była fatalna i zwykle to Toni musiała odkręcać ją za nią, co zakończyło się tak, że pojazd, ciężki do granic ze względu na mieszkalną nadbudówkę z napisem OB LEŚN, wypadł z drogi i obróciwszy się na bok, wylądował na jakimś polu czy ściernisku, pozostawiając mamę z okropnymi obrażeniami, tak że leżała na wpół nieprzytomna, jęcząc, z twarzą we krwi, Toni zaś leżała przyciśnięta do drzwi po stronie pasażera, tak że do dzisiaj ma odbitą z boku dźwignię opuszczania szyby, której upiorną reprodukcję, możesz zobaczyć, o ile zdołasz namówić Toni do podciągnięcia bluzki. Pojazd zaległ na prawym boku, a mama nie miała zapiętego pasa bezpieczeństwa – co jest normą

w przypadku tego typu ludzi – i leżała teraz częściowo na Toni Ware, przyciskając ją do okna, tak że dziewczyna nie mogła się ruszyć ani nawet sprawdzić, czy jest cała. Słysząc było tylko straszliwą ciszę i syczenie oraz tykanie samochodu, który właśnie miał wypadek, i jeszcze dźwięk ostróg albo po prostu sporej ilości drobnych, brzęczących w kieszeni mężczyzny, który zmierzał w ich kierunku po pochyłości. Okno po jej stronie stykało się z ziemią, po stronie kierowcy było wycelowane w niebo, przednia szyba natomiast, choć wysadzona z ramy i do połowy zwisająca swobodnie, utworzyła długi na cztery stopy pionowy otwór, przez który Toni Ware widziała w całości mężczyznę stojącego na zewnątrz, strzelającego kostkami zaciśniętych pięści i przyglądającego się lokatorom samochodu. Toni leżała z otwartymi oczami, spowolniła oddech i udawała trupa. Mama miała zamknięte oczy, ale żyła, bo słysząc było jej oddech i od czasu do czasu ciche, nieprzytomne jęki, jakie wydawała w śpiączce czy tym stanie, w którym się znajdowała. Mężczyzna popatrzył na Toni, skrzyżował swoje spojrzenie z jej spojrzeniem – potem zrozumiała, że próbował ocenić, czy jeszcze żyje. Jest czymś niewiarygodnie trudnym patrzeć przed siebie, a natrafiwszy na czyjeś spojrzenie, wyglądać tak, jakby się na patrzącą na nas osobę nie patrzyło. (Od tego zaczęła się ta historia; David Wallace albo ktoś inny zwrócił uwagę, że Toni Ware jest trochę straszna, bo chociaż nie jest nieśmiała ani nie stroni od ludzi i nie unika kontaktu wzrokowego, to sprawia wrażenie, jakby patrzyła ci na oczy zamiast w oczy; trochę tak, jak spogląda na ciebie rybka w akwarium, o której wiesz, że przepływając obok, jest w jakiś sposób świadoma tego, że zaglądasz jej w oczy, a jednak odczuwasz coś niepokojącego, bo jej spojrzenie w niczym nie przypomina tego, jakim odwzajemnia się istota ludzka, kiedy spotyka twój wzrok).

Oczy Toni były otwarte. Było już za późno, żeby je zamknąć. Gdyby ni stąd, ni zowąd tak zrobiła, mężczyzna zorientowałby się, że żyje. Jej jedyną szansą było sprawiać wrażenie martwej na tyle dobrze, by mężczyzna nie postanowił sprawdzić jej pulsu czy przyłożyć jej do ust kawałka szkła, żeby się upewnić. Przed sprawdzeniem mogły powstrzymać go tylko jej otwarte, stale otwarte oczy – nikt żywy nie jest w stanie wytrzymać długo ze stale

otwartymi oczami. W pobliżu nie było nikogo, facet miał mnóstwo czasu, żeby poprzyglądać się im przez przednią szybę i ocenić, czy żyją. Twarz jej mamy dotykała jej twarzy, ale na szczęście krew skapywała w jakieś zagłębienie w szyi Toni; gdyby spływała jej do oczu, zmusiłaby ją do mrugnięcia. Zastygła tak z otwartymi oczami. Mężczyzna wspiał się na szoferkę, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy, ale były zablokowane od wewnątrz. Odszedł, by wrócić z jakimś narzędziem czy łomem, którym wyważył przednią szybę, kołyszac wozem gwałtownie. Położył się na boku i wczołgał przez szczelinę do środka, by przyjrzeć się najpierw nieprzytomnej mamie, a potem dziewczynie. Mama jęknęła i nieznacznie się poruszyła, a mężczyzna, wyciągnawszy się w jej stronę, zabił ją, zaciskając palce jednej ręki na skrzydełkach jej nosa, zatkawszy jej usta brudną od smaru szmatą trzymaną w drugiej ręce, przyciskając tak mocno, że Toni poczuła na swojej głowie szarpnięcia, świadczące o stawianiu oporu przez nieprzytomną duszoną. Toni pozostawała tam, jak leżała, oddychając szcążkowo, z oczami otwartymi dosłownie całe od jego oczu, gdy on dusił jej matkę, łącznie ponad cztery minuty przyciskania, nim się na dobre upewnił. Toni wytrzeszczająca opróżnione ze spojrzenia oczy, bez mrugnięcia, chociaż odczuwana przez nią suchość i drażnienie musiały być potworne. I jakoś udało się jej go przekonać, że nie żyje, bo nie wziął jej nosa w dwa palce i nie użył na niej brudnej szmaty, chociaż kosztowałoby go to jedynie dodatkowe cztery czy pięć minut... ale przecież żaden normalny człowiek nie usiedzi tak długo z otwartymi oczami bez jednego mrugnięcia, więc był pewny. Zabrał zatem ze schowka jeden czy dwa cenniejsze przedmioty, a potem usłyszała go, jak podzwaniając, idzie z powrotem pod górę, potem dał się słyszeć przerażająco potężny ryk odpalanego silnika i odjazd ciężarówki, a później leżała uwieczona pomiędzy drzwiami a swoją martwą mamą, pewnie przez wiele godzin, dopóki nie trafił na nie ktoś, kto przejeżdżając, zauważył rozbity wóz i wezwał policję, a potem być może minęło jeszcze trochę czasu, zanim ją wyciągnęli – bez żadnych fizycznych obrażeń – i zapakowali do vana przysłanego przez jakiś ośrodek opiekuńczy.

Boziu...

Więc nie pogrywaj sobie z tą dziewczyną. Jest z tych uszkodzonych w transporcie.

§46

Zwykle tak się akurat dzieje w piątkowe popołudnia, że pewien odsetek urzędników skarbowki z Pawilonu C przychodzi napić się w trakcie *happy hour* do Meibeyera. Jak to się dzieje w przypadku większości karczemnych przybytków północnej części miasta, które służą pracownikom Służby za miejsca spotkań, *happy hour* u Meibeyera trwa dokładnie sześćdziesiąt minut i obejmuje promocyjne drinki, których cena jest waloryzowana zgodnie z indeksem przybliżonego kosztu paliwa i stawki amortyzacji pojazdu na liczącej 2,3 mili trasie z RCK do węzła na 474 w kierunku Southport. Różne piętra i pawilony gromadzą się na ogół w różnych miejscach, w tym także tych w śródmieściu, małopujących na rozmaite sposoby bardziej stylowe lokale w Chicago czy St. Louis. Dzwonowatych Kolesi można spotkać niemal każdego wieczoru w barze Father's, tuż przy Self-Storage Parkway, który należy bezpośrednio do lokalnego dystrybutora Budweisera; pełni nie tyle funkcję socjalizacyjną, ile intubacyjną. Za to wielu spośród skorków uczęszcza do sterydowych pubów studenckich w pobliżu PCB i Bradley. Homoseksualiści mają The Wet Spot w artystycznej dzielnicy w centrum. Większość kontrolerów, którzy wychowują dzieci, oczywiście wraca prosto do domu, żeby spędzić czas z rodziną, chociaż Steve i Tina Geach przychodzą często razem do Meibeyera na piątkowe 2-H. Prawie każdy uważa za konieczne odreagowanie ciśnienia nagromadzonego w ciągu tygodnia skrajnej monotonii i koncentracji bądź ekstremalnych pokładów pracy i stresu albo jednego i drugiego.

U Meibeyera mają popielatą okładzinę ścian, elektryczne pochodnie tiki, których proveniencja nie jest znana, możliwe jednak, że są pozostałością po poprzednim wcieleniu lokalu, szafę grającą Wurlitzer, model 412-C, dwa stoły do flipperów, stół do piłkarzyków oraz air hockeya, a także niewielki kącik do gry w strzałki, przezornie umiejscowiony nieco na uboczu, w pobliżu korytarza, którym przechodzi się do telefonu i toalet. Szerokie okna

Meibeyera wychodzą na sieciowe biznesy przy autostradzie w stronę Southport i skomplikowane zjazdy z estakady nad I-474. Od przynajmniej trzech lat w piątki przy barze dyżuruje ta sama osoba, twierdzi Chuck Ten Eyck. Koktajle są dosyć drogie, ponieważ pracownicy Służby na ogół nie piją dużo ani szybko, nawet przy takiej okazji jak *happy hour*, co przekłada się na ceny, jakie bar musi naliczać, żeby utrzymać płynność finansową. Zimą u Meibeyera sami odśnieżają sobie parking własnym pick-upem z pługiem. Latem neon baru, przedstawiającego wyobrażenie pozbawionego ciała właściciela kapelusza trilby, którego kąt nachylenia zmienia się dwukrotnie w ciągu sekundy, odbija się w czymś niewidocznym naprzeciwko, nim odbije się przynajmniej dwa razy w witrynach knajpy. Rondo Meibeyera wędruje raz w górę, raz w dół w malarycznej poświacie tężejącego zmroku, w której układające się w wały chmury i gwałtowny wzrost wilgotności tylko czasami zapowiadają prawdziwy opad deszczu.

W większości samotni, heteroseksualni pracownicy na zastępstwach i przeniesieniach wsiąkają gładko w tę rutynę. Robby van Noght przychodzi bardzo często, choć akurat w ten piątek go nie ma. Gerry Moeller jest tu od pięciu tygodni, które do tej pory spędził na placówce. Harriet Candelaria przychodzi, ale prawie zawsze wychodzi po jednej kolejce, jeżeli tylko Beth Rath przyprowadzi akurat Meredith Rand, do której Candelaria coś ma, ale dlaczego – o tym nie ma zielonego pojęcia nikt z przeniesionych. Steve i Tina Geach, którzy pracują w innych grupach i mają przerwy w różnym czasie, i którzy są sobie bardzo oddani, i wszyscy zgodnie przyznają, że ich małżeństwo jest tym typem małżeństwa, który poważnie podnosi atrakcyjność i wiarygodność instytucji małżeństwa w oczach ludzi, którzy mają predyspozycje do takich bliskich i trwałych związków, zawsze przyjeżdżają razem swoim zżerany przez rdzę mikrobusem Volkswagena i siedzą blisko siebie, i zwykle wychodzą z chwilą dzwonnka kończącego *happy hour*, często wykazując rzadką umiejętność, która pozwala im się obejmować, idąc, i nie wyglądać przy tym niezdarnie. Chris Acquistipace i Russell Nugent, Dave Witkiewicz, Joe Biron-Maint, Nancy Johnson, Chahla (Irański Kryzys) Neti-Neti, Howard Shearwater, Frank Brown, Frank Friedwald oraz Frank De Chellis

nie opuścili ani jednego wieczoru z *happy hour* u Meibeyera, odkąd skierowano ich na placówkę. Dale Gastine czasami przyprowadza dziewczynę, z którą się akurat umówił. Keith Sabusawa teraz zawsze przyprowadza Shane'a (Mr. X) Driniona, KOOG-a, z którym, obok dwóch innych transferów, co chyba nigdy nie bywają u Meibeyera, Sabusawa dzieli teraz mieszkanie w Zakątku Wędkarza. Obecność specjalistów od Tabeli F, takich jak Chris Fogle i Herb Dritz, oscyluje w okolicach 0,500. Chuck Ten Eyck i Bob „Podwójny Paluch” McKenzie (obaj z najdłuższym stażem w RCK w Peorii) są solidni jak stal i zawsze sprawiają wrażenie, jakby chcieli jakoś przewodzić. L. Keck i Thomas Bondurant zazwyczaj przychodzą. Toni Ware i Beth Rath wpadają prawie zawsze, a jak już wspomniano, czasami bywa tak, że ta druga przyprowadza legendarnie atrakcyjną, choć nie powszechnie lubianą Meredith Rand. Rath i Rand pracują przy sąsiednich tingle'ach w grupie Sabusawy, która sprawdza zeznania przedsiębiorstw użyteczności publicznej / nadwyżki, i są swoimi powiernicami. Drinion, który nie ma samochodu, jest zmuszony zostawać tak długo jak Sabusawa. Według Sabusawy dla KOOG-a z La Junta w Kalifornii to nie problem, a jego odpowiedzią na zaproszenia Sabusawy, żeby wpaść do Meibeyera po skończonej zmianie, jest zawsze „W porządku” albo „Czemu nie”. Z Meredith Rand jest tak, że zwykle bywa tylko, jeżeli jej mąż jakoś ugrzęźnie w pracy czy poza miastem w interesach. Zdaje się, że podobnie jak Drinion nie ma własnego wozu czy choćby prawa jazdy. Czasami załapie się na odwiezienie z Meibeyera przez Beth Rath, ale częściej odbiera ją mąż, do którego najwyraźniej dzwoni jeszcze z pawilonu, żeby powiedzieć mu, gdzie będzie, i którego u Meibeyera nikt nigdy nie widział, bo po prostu podjeżdża na parking i trąbi klaksonem na Meredith Rand, która z kolei często zaczyna zbierać swoje rzeczy na minutę czy dwie przed tym, jak rozlega się klakson, trochę jak (zdaniem Nancy Johnson) pies, który łowi odgłos silnika nadjeżdżającego auta właściciela i zajmuje miejsce na parapecie okna, na długo zanim samochód pana wtoczy się w jego pole widzenia. Jest u Meibeyera piąty tydzień z rzędu, co wskazuje na pracę jej męża do późna lub sporo wyjazdów. Sabusawa twierdzi, że nikt nie wie, czym facet się zajmuje.

Nietrudno dostrzec, w jaki sposób zmienia się energia i dynamika przy stole zajmowanym przez ludzi z Pawilonu C, kiedy na *happy hour* do Meibeyera przychodzi Meredith Rand. Pod wieloma względami jest to zjawisko, do którego dochodzi w pubach, karczmach i grill-barach, ilekroć zjawia się dostatecznie ładna kobieta. Meredith Rand jest jedną z zaledwie garstki kobiet w RCK, co do których każdy mężczyzna mający coś do powiedzenia w tej kwestii zgadza się, że są totalnie, do bólu atrakcyjne. Beth Rath zdecydowanie nie jest brzydka, ale Meredith Rand to zupełnie inny kaliber. Meredith Rand ma przepastne zielone oczy i przepiękny układ kości twarzy, i mleczną, pozbawioną porów cerę, niemal bez zmarszczek czy śladów zużycia, i wielką kaskadę kręconych włosów koloru ciemnoblonde, które – jeśli wierzyć Sabusawie – rozpuszczone w taki sposób, że okalają jej twarz, mają wywoływać nerwowe tiki nawet u gejów lub mężczyzn pod innymi względami asekualnych. Jest porcją najczystszej doskonałości – taki panuje konsensus, nie zawsze milczący. Jej pojawienie się w jakiegokolwiek sytuacji socjalizacyjnej ludzi Służby przynosi wyczuwalne zmiany, zwłaszcza w mężczyznach. Szczegóły tego rodzaju zmian są wszystkim znane na tyle dobrze, że nie ma potrzeby ich tutaj wyliczać. Powiedzmy tylko, że obecność Meredith Rand mężczyzn krępuje. Tym samym robią się zwykle albo nerwowi i uporczywie milczący, jak gdyby grali w grę, w której stawka nagle niezmiernie wzrosła, albo stają się bardziej elokwentni i zaczynają monopolizować konwersację i opowiadać mnóstwo dowcipów, i generalnie wyglądają na umyślnie nieskrępowanych, chociaż póki Meredith Rand nie podeszła i nie wyciągnęła sobie krzesła, żeby dołączyć do reszty, nie czuło się u nich szczególnej premedytacji czy choćby skrepowania. Z kolei kontrolerki reagują na te zmiany na różnorakie sposoby, i tak niektóre wycofują się i robią się optycznie mniejsze (jak Enid Welch i Rachel Robbie Towne), inne obserwują wpływ Meredith Rand na mężczyzn ze swego rodzaju ponurym rozbawieniem, jeszcze inne natomiast mrużą oczy i przejawiają skłonność do westchnień, a nawet ostentacyjnych wyjść (patrz Harriet Candelaria). Niektórzy kontrolerzy płci męskiej jeszcze przed drugą kolejką grają przed Meredith Rand, nawet jeśli sednem występu jest mające złożony charakter popisywanie się tym, jak to rzekomo

wcale nie grają przed Meredith Rand czy wręcz nieszczególnie zwracają uwagę na jej obecność przy stole. Zwłaszcza Bob McKenzie wpada w manię i kieruje niemal każdy komentarz czy dowcip do osoby siedzącej na lewo i na prawo od Meredith Rand, ale nigdy choćby raz nie zwraca się do niej samej, mało tego – wygląda tak, jakby nawet na nią nie patrzył. Ponieważ to Beth Rath jest zwykle jedną z osób siedzących po lewej i prawej stronie Meredith Rand, ten nawyk McKenziego na ogół drażni bądź przygnębia Rath, w zależności od jej nastroju.

W ciągu ostatnich czterech tygodni tak naprawdę tylko Shane Drinion wydawał się nieporuszony obecnością niesamowicie atrakcyjnej kobiety. Przy czym dla nikogo nie jest jasne, co porusza Driniona. Inne osoby przeniesione z La Junta w Kalifornii (Sandy Krody, Gil Haight) przedstawiają go jako bardzo solidnego kontrolera „grubych” i spółek S, ale zupełną kluchę pod względem osobowości, przypuszczalnie najnudniejszego z żyjących obecnie ludzi. Drinion zazwyczaj siedzi bardzo cicho i w skupieniu na swoim miejscu, z ręką wokół szklanki micheloba (którego u Meibeyera rozlewają z kija), z twarzą niewyrażającą emocji, o ile ktoś nie opowiada akurat dowcipu, który jest skierowany mniej więcej do wszystkich przy stole, kiedy to Drinion uśmiecha się na moment, po czym jego twarz ponownie nie wyraża emocji. Z tym że nie jest tak, żeby nie wyrażała emocji jak u kogoś, komu oczy zasły mgłą czy u katatonika. Bardzo bacznie przygląda się osobie, która mówi. Właściwie to „bacznie” nie jest tu odpowiednim słowem. W jego spojrzeniu nie ma niczego szczególnie badawczego; po prostu obdarza każdego, kto mówi, pełną uwagą. Jego ruchy, które są minimalne, sprawiają wrażenie oszczędnych i precyzyjnych, bez sztuczności czy zadęcia. Odpowiada na pytania czy uwagi kierowane bezpośrednio do niego, ale poza tymi rzadkimi wypadkami nie ma go wśród tych osób, które mówią. Ale nie jest też jednym z tych ludzi, którzy w grupie kurczą się w sobie albo się w siebie wycofują, tak że prawie przestają istnieć. Nie ma się wrażenia, jakby był nieśmiały czy skrępowany. Jest obecny, tyle że w nietypowy sposób; staje się częścią otoczenia stolika, jak powietrze czy światło w pomieszczeniu. To Bob „Podwójny Paluch”

McKenzie i Chuck Ten Eyck nadali Drinionowi ksywkę „Mr. X”, co ma stanowić skrót od „Mr. Excitement”.

W trakcie jednej z *happy hours* w czerwcu dochodzi do tego, że Drinion i Meredith Rand zostają przy stole sami, mniej więcej naprzeciwko siebie, kiedy popołudnie weszło już w fazę, gdy wielu innych kontrolerów pojechało do domów albo w inne miejsca. Ale tych dwoje jest tu nadal. Meredith Rand najwyraźniej czeka, aż odbierze ją mąż, który – takie chodzą słuchy – jest kimś w rodzaju studenta medycyny. Keith Sabusawa i Herb Dritz znów grają w piłkarzyki, a Beth Rath (która dosyć lubi Sabusawę; znają się jeszcze z Ośrodka Szkoleniowego Służby w Columbus) przygląda się im ze skrzyżowanymi ramionami i tłącym się more’em w ręce.

A więc siedzą przy stole sami. Shane Drinion nie wygląda, jakby był zdenerwowany ani jakby samotnie stawiał czoła galwanicznej Meredith Rand, z którą od czasu otrzymania przydziału pod koniec kwietnia nie zamienił słowa. Drinion patrzy prosto na nią, ale nie w sposób wyzywający czy zalotny w stylu Kecka albo Nugenta. Meredith Rand jest po dwóch dżinach z tonikiem i właśnie pije trzeci, nieco więcej niż zwykle, za to jeszcze nie zapaliła. Jak większość zameżnych kontrolerek nosi obrączkę do pary z pierścieniem zaręczynowym. Odwzajemnia spojrzenie, tylko że to wcale nie jest tak, że patrzą sobie w oczy czy coś takiego. Wyraz twarzy Driniona można by nazwać przyjemnym, tak jak mianem przyjemnych określa się pewne rodzaje pogody. Pije pierwszą lub drugą szklankę micheloba nalewanego z jednego z dzbanków, które wciąż stoją na stole, niektóre jeszcze nie całkiem opróżnione. Rand zadała Drinionowi jedno czy dwa niewścibskie pytania o jego pochodzenie. To, co mówi jej o sierocińcu Kansas Youth Authority, wydaje się ją interesować, a może po prostu chodzi tu o najzwyczajszą szczerłość, z jaką Drinion mówi, że spędził większość życia w sierocińcu. Rand opowiada Drinionowi wspomnienie-migawkę z dzieciństwa, w którym poszła do domu koleżanki i obie wspięły się po framugach drzwi pod nadproże, zapierając się rękami i stopami, i tkwiły tak między tymi framugami, rozpięte i jakby obramowane, chociaż później nie będzie mogła sobie przypomnieć ani powodu, dla którego przywołała tę anegdotę, ani jej kontekstu. Zauważa za to, prawie od razu, to samo, co dostrzegł Sabusawa

i wielu innych kontrolerów – a mianowicie to, że o ile Drinion wydaje się tylko częściowo obecny społecznie w dużym zgromadzeniu, wszelkie rozmowy z nim w cztery oczy cechuje jakaś bardzo nietypowa właściwość; ma to coś, co sprawia, że łatwo, że dobrze się z nim gada, cechę, na której określenie angielski nie ma odpowiedniego pojedynczego słowa, co jest odrobinę dziwne, ale przecież takie jest też to coś, co sprawia, że z Drinionem dobrze się gada, jako że nie posiada on niczego, co można by nazwać urokiem osobistym czy towarzyskim obyciem, czy choćby zauważalną empatią. Jest z niego, jak Rand powie później Beth Rath (choć nie mężowi), bardzo dziwny okaz. Następuje krótka rozmowa, której szczegółów Meredith Rand nie będzie za dobrze pamiętać, o życiu Driniona jako wędrownego kontrolera i o RCK, i Kontrolach, i o Służbie w ogóle, tj. Rand: „Lubisz tę pracę?”, na co Drinion odpowiada, jakby potrzebował kilku chwil na sprostowanie pytania. D: „Sądzę, że nie jest ani tak, że ją lubię, ani tak, że jej nie lubię”. R: „No to czy jest coś takiego, co wolałbyś robić?”. D: „Nie wiem. Nie robiłem nigdy niczego innego. Czekaj. Nieprawda. Między szesnastym i osiemnastym rokiem życia miałem popołudniową pracę w supermarkecie trzy razy w tygodniu. Nie wolałbym pracy w supermarkecie od tego, co teraz robię”. R: „Pewnie, słabo tam płacą”. D: „Układałem rzeczy na półkach i naklejałem metki z ceną. Nic szczególnego”. R: „Brzmi nudno”. D: „...”.

– No to zdaje się, że mamy tu tête-à-tête. – To pierwsze ze słów skierowanych do Shane’a Driniona, które Meredith Rand będzie później wyraźnie pamiętać.

– To obce słowo oznaczające prywatną rozmowę – odpowiada Drinion.

– No, nie wiem, czy ona jest jakoś bardzo prywatna.

Drinion patrzy na nią, ale nie jak ktoś, kto nie jest pewien, co odpowiedzieć. Jedną z jego szczególnych cech jest to, że pozostaje zupełnie taki sam, jeśli się przyjrzeć jego afektom i zachowaniu, gdy wśród większych zgromadzeń pozostaje osobny. Gdyby emitował dźwięk, to byłoby coś jak jednostajny długi ton kamertonu albo prosta linia EKG, a nie coś, co ulega zmianom.

– Wiesz – mówi Meredith Rand – jeśli miałabym być z tobą szczerą, to trochę mnie jakby interesujesz.

Drinion patrzy na nią.

– Zdaje mi się, że nie słyszysz tego często – mówi Meredith Rand. Uśmiecha się lekko z przekąsem.

– To komplement, że uważasz mnie za ciekawego.

– Zdaje się, że tak – mówi Rand i uśmiecha się znowu. – Już choćby to, że mogłam powiedzieć coś takiego, że jest w tobie coś interesującego, a ty nie uznałeś, że do ciebie podbijam.

Drinion kiwa głową, dłonią obejmując podstawę szklanki. Jest bardzo spokojny, zauważa Meredith Rand. Nie wierci się ani nie zmienia pozycji na krześle. Oddycha trochę przez usta; ma je nieco rozwarte. U niektórych ludzi rozwarte usta sprawiają, że wyglądają nieszczególnie bystro.

– Na przykład – mówi – wyobraź sobie, jak zareagowałby na coś takiego Bob „Podwójny”.

– Okej.

Coś na moment odrobinę matowieje w oczach Shane’a Driniona i Meredith widzi, że on robi dosłownie to: wyobraża sobie, jak ona mówi „Wydajesz mi się interesujący” do Boba „Podwójnego Palucha” McKenziego.

– Jak myślisz, jaka byłaby jego reakcja?

– Masz na myśli zewnętrzną, widoczną reakcję czy wewnętrzną?

– Tej widocznej chyba nawet nie chcę sobie wyobrażać – mówi Meredith Rand.

Drinion kiwa głową. Jest, trzeba przyznać, nieszczególnie interesujący, jeśli chodzi o wygląd. Głowę ma nieco mniejszą niż przeciętna i bardzo okrągłą. Nikt jeszcze nie widział go w kapeluszu ani w marynarce; ma na sobie zawsze białą koszulę i kamizelkosweter. Włosy z przodu cofają mu się w sposób, który sprawia, że jego czoło wygląda na wymyślnie wyrzeźbione. W okolicach skroni ma trochę śladów po krostach. Twarz nie jest jakoś określona i nie ma wyraźnej struktury; nozdrza różnią się wielkością czy kształtem, zauważa Rand, co zwykle nie przemawia na korzyść czyjegoś wyglądu. Jego usta są odrobinę za małe jak na tę szerokość twarzy. Włosy mają ten nieciekawy czy mdły odcień ciemnoblonde, który często idzie w parze z rumianą karnacją i nie

najlepszą cerą. Należy do osób, którym trzeba się bardzo uważnie przyjrzeć, zanim będzie się w stanie je choćby opisać. Meredith Rand patrzy na niego wyczekująco.

– Prosisz mnie, żebym opisał, jaka według mnie byłaby jego wewnętrzna reakcja? – pyta Drinion. Jego twarz przynajmniej nie ma odcienia czerwieni kojarzącego się z tarciem czymś szorstkim, teraz, kiedy nie siedzą we fluorescencyjnym świetle pawilonu, tej czerwoności, którą ilekroć Meredith Rand widzi ją u ludzi, podupada na duchu od samego rana.

– Powiedzmy, że jestem ciekawa.

– Cóż, nie wiem tego na pewno. Kiedy to sobie wyobraziłem, odniosłem wrażenie, że byłby przerażony.

W postawie Meredith Rand następuje niewielka zmiana, ale jej twarz zachowuje całkiem neutralny wyraz.

– Jak to?

– Mam wrażenie, że on się ciebie boi. To tylko moje wrażenie. Trudno to wyjaśnić słowami.

Milczy przez chwilę.

– Twoja atrakcyjność to dla McKenziego jakiś sprawdzian, którego boi się nie zdać. Odczuwa z tego powodu niepokój. Kiedy ma wokół siebie innych i może odgrywać rolę, wchodzi wtedy w stan wydzielania adrenaliny, co sprawia, że zapomina, że się boi. Nie, nie o to chodzi.

Drinion znów milczy przez moment. Nie wygląda jednak na zdenerwowanego.

– W moim odczuciu ta adrenalina z grania zmienia strach w poczucie ekscytacji. W tego typu środowisku ma wrażenie, że go podnieca. Dlatego robi wszystko z takim przejęciem i poświęca ci tyle uwagi, ale wie też, że inni obserwują. – Drinion kończy mówić i pociąga łyk micheloba; ruch jego ręki kreśli prawie idealny kąt prosty, ale nie jest sztywny i nie wzbudza skojarzeń z robotem. W jego zachowaniu są precyzja i kinetyczna oszczędność. Meredith Rand zwraca na to uwagę także w godzinach pracy, kiedy na zasadzie chwilowej przerwy przeciąga się i rozgląda po sali, i widzi, jak Drinion siedzi i wyciąga zszywacze z papierów, i rozkłada formularze pomiędzy osobne stosy na tingle'u. Ma bardzo dobrą posturę, która nie jest przy tym usztywniona czy wymuszona.

Wygląda jak ktoś, kogo nigdy nie bolą plecy ani szyja. Zdaje się zagubiony albo pogrążony w domysłach.

– Strach i ekscytacja wydają się blisko związane.

– Tyle że Ten Eyck i Nugent robią to samo przy całym stoliku – mówi Rand.

Drinion kiwa głową odrobinę wolniej niż normalnie, czym wskazuje jej, że wcale nie o tym chciała rozmawiać. Nie jest to jednak równoznaczne z zasugerowaniem zniecierpliwienia.

– Tyle że w prywatnej rozmowie, tête-à-tête z tobą, takie odnoszę wrażenie, on odbierałby ten strach bardziej właśnie jako strach. Nie miałby ochoty sobie tego uświadamiać. Tego, że to czuje. Nie wiedziałby nawet, przed czym to strach. Czułby się przyparty do muru, zdezorientowany w sposób, którego nie da się uznać za ekscytację. Gdybyś mu powiedziała, że wydaje ci się interesujący, sądzę, że nie wiedziałby, co ma powiedzieć. Nie wiedziałby, jak powinien grać. Myślę, że z tą niewiedzą Bob czułby się bardzo niewygodnie.

Drinion przez chwilę patrzy na nią nieruchomo. Jego twarz, odrobinę tłustawa, często błyszczący we fluorescencyjnym świetle w pomieszczeniach Kontroli, mniej natomiast w pośrednim świetle dziennym wpadającym przez okna, którego przygaśnięcie wskazuje na nagromadzenie się chmur, jakkolwiek jest to tylko wrażenie Meredith Rand, w dodatku nie do końca świadome.

– Jesteś całkiem spostrzegawczy – mówi Meredith Rand.

Drinion odpowiada:

– Nie wiem, czy to prawda. Nie wydaje mi się, żebym dysponował jakimiś danymi z obserwacji czy wzorcem faktów, na których mógłbym to wszystko oprzeć. Zgaduję. Ale z jakiegoś powodu zgaduję, że właściwie mógłby wybuchnąć płaczem.

Meredith Rand nagle wygląda na zadowoloną, co niemal dosłownie rozjaśnia jej twarz. Pochyliła się nad stolikiem i z kokieterią poklepuje blat palcami jednej ręki.

– Myślę, że masz rację.

– Trochę strasznie jest się nad tym zastanawiać.

– Myślę, że mógłby spaść z krzesła i wybiec, krzycząc i wymachując rękami w histerii.

Drinion mówi:

– Co do tego nie jestem w stanie dociekać, jak by było. Wiem na pewno, że za nim nie przepadasz. Wiem, że sprawia, że czujesz się niekomfortowo.

Drinion siedzi naprzeciwko okien witryny Meibeyera, Meredith Rand twarzą do zaplecza knajpy z korytarzem i rzutkami, i dekoracją w postaci galeryjki różnych typów formalnych i biznesowych nakryć głowy, przyklejonych rondami do zabejcowanej deski. Meredith Rand wychyla się i robi ruch, jakby chciała oprzeć brodę na kostkach dłoni, chociaż nietrudno dostrzec, że ciężar jej podbródka i czaszki wcale nie spoczywa na kostkach; to bardziej poza niż przyjęcie wygodnej pozycji.

– A jeśli na ten przykład mówię ci, że jesteś interesujący, jaka jest twoja wewnętrzna reakcja?

– Taka, że to komplement. Że to uprzejmość, ale także zaproszenie do kontynuowania tego tête-à-tête. Żeby stało się bardziej osobiste czy żeby więcej odkrywało.

Rand machnęła właśnie dłonią w lakonicznym geście zniecierpliwienia.

– Ale jak się z tym czujesz, jak by cię zapytali na Ewaluacji?

– Wiesz – mówi Shane Drinion – myślę, że tego typu zainteresowanie sprawia, że człowiek czuje się dobrze. Pod warunkiem, że osoba, która to mówi, nie usiłuje proponować stopnia zażyłości, z którym byś się czuła niekomfortowo.

– A ty poczułeś się niekomfortowo?

Drinion znowu odczekuje krótką chwilę, chociaż się nie porusza, a wyraz twarzy mu się nie zmienia. Znowu może przez ułamek sekundy widać na niej bezmyślność czy wycofanie w głąb. Rand czuje się, jakby patrzyła na czytnik optyczny, który bardzo szybko i wydajnie skanuje stos kart; jakby ciągle towarzyszyło mu jakieś bezdźwiękowe brzęczenie.

– Nie. Myślę, że gdybyś chciała tym wyrazić sarkazm, to byłoby niekomfortowe; pomyślałbym, że jesteś na mnie zła albo że uważasz, że jestem nieprzyjemny. Ale nie dawałaś żadnych sygnałów, które wskazywałyby na sarkazm. Więc nie, nie jestem pewien, co chciałaś powiedzieć, mówiąc interesujący, ale naturalnie ludzie lubią, kiedy wydają się innym interesujący, więc to zaciekawienie tym, co masz na myśli, nie jest niekomfortowe.

Właściwie, jeśli dobrze rozumiem, to właśnie tego typu zaciekawienie ma wywoływać uwaga: „Wiesz, jeśli miałabym być z tobą szczerą, to trochę mnie jakby interesujesz”. Rozmowa staje się wtedy rozmową o tym, co właściwie osoba, która to powiedziała, miała na myśli. I wtedy ta druga osoba dowiaduje się, co takiego w niej interesuje inną osobę, co jest miłe.

– X...

– Jednocześnie – ciągnie Drinion i nie zdradza przy tym oznak, jakby zauważył, że Rand zaczęła coś mówić, mimo że patrzy wprost na nią – ktoś, kto mówi ci, że go interesujesz, sam robi się nagle, jakby niemal za sprawą tego zainteresowania tobą, bardziej interesujący. To też niezwykle interesujący wymiar całej sprawy.

Kończy. Meredith oczekuje jeszcze krótką chwilę, żeby zyskać pewność, że teraz naprawdę skończył. Drinion, podobnie jak ona, ma mały palec u lewej ręki wyraźnie pomarszczony i blady od całodziennego noszenia gumowego naparstka w Kontrolach. Nie ma mowy, by miała ochotę zwracać uwagę na ubranie Driniona na tyle, by coś skatalogować czy je sobie scharakteryzować. Już sama swetrotkamizelka działa wybitnie dołująco. Ona wyjmuje białą plastikową papierośnicę, otwiera ją z pstryknięciem i wyciąga papierosa, wobec tego, że przy stole siedzą tylko we dwoje.

– No, a ty uważasz, że jesteś interesujący? – pyta Meredith Rand. – Rozumiesz, jak mógłbyś wydawać się komuś interesujący?

Drinion upija kolejny łyk ze szklanki i odstawia ją na miejsce. Meredith Rand zauważa, że stawia ją idealnie pośrodku serwetki, choć wcale się o to nie stara ani nie musi kombinować z poruszaniem podstawy butelki trochę wte, trochę wewte, żeby ustawić ją idealnie w środku. Również że Drinion nie ma gracji tancerzy czy sportowców, ale że mimo to jest w nim jakaś gracja. Jego ruchy są bardzo precyzyjne i oszczędne, ale nie na pokaz. Szklanki na stole, pod którymi nie ma serwetek, otaczają duże i różnokształtne kałuże po skroplonej parze. Ktoś ustawił tę samą popularną piosenkę na dwa razy z rzędu na dużej szafie grającej Meibeyera z koncentrycznymi kręgami czerwonych i białych świateł na obwodzie scalonym, co pozwala im się zapalać i gasnąć w rytm linii basu wybranej piosenki.

Shane Drinion mówi:

- Nie wydaje mi się, żebym się kiedyś nad tym zastanawiał.
- Wiesz, dlaczego nazywają cię Mr. X?
- Chyba tak.
- Wiesz, dlaczego Chahlę nazywają Irański Kryzys?
- Chyba nie.
- Wiesz, dlaczego McKenziego nazywają Bob „Podwójny Paluch”?
- Nie.

Meredith Rand widzi, że Drinion patrzy na papierosa. Jej zapalniczka jest połączona specjalną pętelką z papierośnicą, zrobioną z porowatego plastiku – Meredith Rand udaje się gubić papierosy tak często, że byłoby głupotą kupować drogą papierośnicę. Wie z przerw na pawilonie, że proponowanie Drinionowi papierosa nie ma sensu.

– A jak ty uważasz? Czy myślisz, że jestem interesująca? – Rand pyta Shane’a Driniona. – Znaczą niezależnie od tego, że ci powiedziałam, że ty jesteś.

Oczy Driniona patrzą w jej oczy (utrzymuje częsty kontakt wzrokowy, który nie jest ani trochę wyzywający czy flirciarski), podczas gdy on sam wydaje się oddawać identycznej procedurze sortowania kart co wcześniej. Drinion ma na sobie swetrotkamizelkę w romby, dziwne poliestrowe spodnie o ziarnistej fakturze i brązowe imitacje wallabees, które z powodzeniem mogły być z JCPenney. Zimny strumień powietrza z przewodu wentylacyjnego nad jej głową rozdziera kółka dymu papierosowego na strzępy praktycznie z chwilą, kiedy je uformuje i wypuści. Beth Rath gra teraz w piłkarzyki z Herbem Dritzem, podczas gdy Keith Sabusawa ogląda rozgrzewkę przed meczem bejsbolowym Cardinals w telewizorze nad barem. Widać, że Beth chętniej siedziałaby z Sabusawą, ale nie jest pewna, jak bardzo bezpośrednia powinna być w okazywaniu swoich uczuć wobec Sabusawy, który zawsze wydawał się Meredith Rand okropnie wysoki jak na Azjatę. Do tego sposób, w jaki Drinion kiwa głową, nie ma nic wspólnego z etykietą czy przytakiwaniem. Mówi:

– Jesteś miła i jak na razie dobrze się czuję w tym tête-à-tête. To okazja, kiedy mogę ci poświęcić bezpośrednią uwagę, o co trudno w innych okolicznościach, ponieważ to chyba wywołuje u ciebie dyskomfort.

Odczekuje chwilę, żeby się upewnić, czy z kolei ona nie chce czegoś powiedzieć. Wyraz twarzy Driniona nie jest pusty, ale jest nijaki i neutralny na tyle, że biorąc pod uwagę, co można z niego wyczytać, mógłby być równie dobrze pusty. Meredith Rand, nie będąc tego do końca świadoma, przestała próbować z kółkami.

– Czy jest różnica między tym, jak lubisz poświęcać komuś uwagę, a tym, kiedy jesteś kimś zainteresowany?

– No, powiedziałbym, że niemal wszystko, czemu się poświęci wyteżoną, bezpośrednią uwagę, staje się interesujące.

– Naprawdę?

– Tak sędzę, tak.

Drinion mówi:

– Oczywiście ty jesteś szczególnie interesującym obiektem uwagi, ponieważ jesteś atrakcyjna. Przyglądanie się pięknu jest niemal zawsze przyjemne. To nie wymaga wysiłku.

Rand mruży oczy, choć może to być częściowo wywołane dymem z papierosa, który dysza klimatyzacji kieruje jej w twarz.

Shane Drinion mówi:

– Piękno jest niemal z definicji interesujące, jeżeli przez interesujące rozumiesz coś, co przyciąga uwagę i sprawia, że ten stan jest przyjemny. Chociaż słowo, którego właśnie użyłaś, to było chyba „zainteresowany”, a nie „interesujący”.

– Wiesz, że jestem mężatką – mówi Meredith Rand.

– Tak. Wszyscy wiedzą, że jesteś zamężna. Nosisz obrączkę. Twój mąż odbiera cię sprzed południowego wejścia kilka razy w tygodniu. Jego samochód ma małą dziurę w rurze wydechowej, przez co silnik jest głośny. To znaczy samochód jest głośniejszy niż normalnie.

Meredith Rand nie wygląda bynajmniej na zadowoloną.

– Może czegoś tu nie rozumiem. Skoro dopiero co powiedziałaś, że to wprawia mnie w zakłopotanie, dlaczego wyjeżdżasz teraz z atrakcyjnością?

– No cóż, zadałaś mi pytanie – mówi Drinion. – Odpowiedziałem ci na nie zgodnie z tym, co uznałem za prawdę. Chwilę trwało, nim zdecydowałem, jaka jest prawdziwa odpowiedź i co stanowi, a co nie stanowi jej części. Następnie to wypowiedziałem. Nie ma w tym intencji wprawienia cię w zakłopotanie. Ale moim zamiarem nie było też chronić cię przed dyskomfortem, o to nie prosiłaś.

– No tak, a ty jesteś autorytetem w dziedzinie prawdy, bo...?

Drinion odczeka chwilę. W tym samym ułamku sekundy, który zajmuje pauza, do Meredith Rand dociera, że Drinion odczeka chwilę, żeby się zorientować, czy ona jeszcze coś powie, czy to niedokończone pytanie jest zaproszeniem dla niego do odpowiedzi. Inaczej mówiąc: czy jest sarkastyczne. Inaczej mówiąc: że nie potrafi sam z siebie wyczuć, czy coś zawiera sarkazm, czy nie.

– Nie, nie jestem autorytetem w dziedzinie prawdy. Zadałaś mi pytanie o moje zainteresowanie tobą, a ja spróbowałem ustalić prawdę mojego stanu odczuwania i zakomunikować ci tę prawdę, ponieważ przyjąłem, że tego oczekujesz.

– Widzę, że nie byłeś wcale taki, no, szczerzy i otwarty, kiedy mówiłeś, jak na ciebie wpłynęło to, co ci powiedziałam, że wydajesz mi się interesujący.

Wyraz twarzy i ton Driniona nie zmieniły się ani trochę.

– Wybacz, nie bardzo rozumiem to, co właśnie powiedziałaś.

– Mówię, że kiedy zapytałam cię, jak się czujesz z tym, że wydajesz mi się interesujący, nie byłeś taki szczerzy z odpowiedzią. Kluczyłeś i kluczyłeś. A teraz, kiedy chodzi o mnie, nagle tak ważna staje się prawda bez ogródek.

– Teraz rozumiem.

Znowu krótka pauza. Dym tej marki lightów tylko lekko przykrywa posmak toniku i limonki.

– Nie przypominam sobie, żebym pod jakimś względem próbował odpowiadać wymijająco albo niezgodnie z prawdą. Może potrafię wyrażać niektóre rzeczy lepiej niż inni. Myślę, że to częste spostrzeżenie wielu ludzi. Poza tym zwykle nie mówię za dużo. Właściwie rzadko kiedy rozmawiam z kimś sam na sam. Być może nie mam takiej umiejętności mówienia w spójny sposób, jak coś na mnie wpływa, jaką mają inni ludzie.

– Mogę cię o coś spytać?

– Proszę.

Teraz Rand nie ma trudności z patrzeniem wprost na Driniona.

– Nie wydaje ci się, że to wszystko mogłoby się komuś wydać odrobinę protekcjonalne?

Brwi Driniona wędrują nieco w górę, kiedy myśli. Mecz bejsbolu w telewizji już się zaczął, co może tłumaczyć, dlaczego Sabusawa,

który zwykle chętnie wychodzi z końcem *happy hour*, jeszcze nie wyszedł, a razem z nim Shane Drinion. Sabusawa jest na tyle wysoki, że jego mokasyny częściowo opierają się o podłogę, a nie na małej podpórce u podstawy stołka barowego. Barman Ron ma w rękach mały ręcznik i szklanę, i wykonuje ruchy wycierania, ale także spogląda na mecz i mówi coś do Keitha Sabusawy, który faktycznie czasami sporządza w głowie całe długie listy statystyk meczowych, co według Beth Rath ma wpływać na niego kojąco i uspokajająco. Dwie olbrzymie świecące i piszczące maszyny do fliperów stoją pod ścianą, trochę na południe od stołu do air hockeya, w którego klienci Meibeyera nigdy nie grają, ponieważ wiecznie coś jest nie tak z nadmuchem powietrza, przez co powietrze wypada ze zbyt dużą siłą przez otwory stołu i krążek wylatuje kilka cali nad powierzchnię i nie da się go utrzymać na stole. Na bliższej z maszyn do fliperów piękna Amazonka w kostiumie z lycry podnosi za włosy mężczyznę, którego kończyny wyglądają, jakby ich ruchy były zgrane w czasie ze światełkami przeszkód i bramek, i dźwigni.

Drinion mówi:

– Nie wydaje mi się, żeby tak było. Ale widzę za to, że coś, co powiedziałem, rozgniewało cię czy zirytowało. To wiem na pewno. Wydaje mi się, że możesz chcieć zakończyć tę prywatną rozmowę, chociaż twój mążonek jeszcze się nie pojawił, żeby cię odebrać, ale być może nie jesteś pewna, jak to zrobić, dlatego czujesz się poniekąd złapana w pułapkę i to cię po części irytuje.

– A ty nie musisz czasem gdzieś zaraz być?

– Nie.

To interesująca ciekawostka, że Meredith Rand w rzeczywistości ma wyższy stopień kadrowy od Driniona, w każdym razie formalnie, ponieważ ma 10. szczebel, podczas gdy Drinion jest dziewiątką. I to pomimo tego, że jest o kilka wielkości bardziej efektywny od Rand jako kontroler. Zarówno jego dzienna średnia przerobionych zeznań, jak i stosunek zeznań skontrolowanych do łącznych dodatkowych wpływów odzyskanych w audytach są znacznie wyższe niż te same wartości u Meredith Rand. Prawda jest taka, że kontrolerom ogólnym trudniej jest awansować, awans bowiem jest zwykle efektem rekomendacji kierownika grupy, a KOOG-owie rzadko

kiedy przebywają na danej placówce czy pawilonie wystarczająco długo, by nawiązać na tyle dobry kontakt ze zwierzchnikiem, by temu zwierzchnikowi chciało się użerać z papierkowymi przeszkodami towarzyszącymi rekomendowaniu kogoś do awansu. Poza tym, jako że kontrolerzy ogólni są zwykle najlepsi w tym, co robią, Służba ma tu pretekst, by niechętnie podchodzić do kwestii ich awansu, wraz z osiągnięciem 15. szczebla bowiem pracownik Służby zaczyna pełnić funkcje administracyjne i nie można go już przerzucać z placówki na placówkę. Jedną z rzeczy, która stanowi tajemnicę dla skorków związanych na stałe ze swoją placówką, jest pytanie, co kieruje KOOG-ami, że decydują się na pracę KOOG-ów, biorąc pod uwagę, że ta posada jest swego rodzaju ślepą uliczką kariery, jeśli idzie o awansy i podwyżki. Na dzień 1 lipca 1983 różnica między rocznymi zarobkami pracowników szczebli 9. i 10. wynosi 3220 dolarów brutto, czyli nie lada kieszonkowe. Tak jak wielu skorków Meredith Rand zakłada, że istnieje pewien zasadniczy typ osobowości, który może pociągać nieustanny ruch i brak przywiązania wiążące się z pracą kontrolera ogólnego, a także różnorodność wyzwań, i że Kadry mają sposoby na wyłowienie tych cech i wytypowanie pewnych pracowników jako potencjalnych kandydatów na KOOG-ów. Styl życia KOOG-ów otacza pewien nimb prestiżu czy romantycznej legendy, ale częściowo wynika to z idealizacji, jakiej pozostający w małżeństwie czy inaczej osiadli pracownicy poddają życie kogoś, kto nie jest nigdzie na stałe uwiązany i kto wędruje od placówki do placówki, gdzie tylko rzuci go instytucjonalny kaprys Służby, niczym jakiegoś kowboja czy najemnika. Mnóstwo KOOG-ów zawitało do Peorii od czasu późnej jesieni / zimy '84 – istnieje wiele teorii tłumaczących ten stan rzeczy.

– Zwykle siedzisz tu dalej, kiedy skończy się *happy hour* i Podwójny Paluch, i reszta już wyjdą?

Drinion kręci głową. Nie wspomina o tym, że nie może wyjść od Meibeyera przed Keithem Sabusawą. Meredith Rand nie wie, czy nie wspomina tego oczywistego faktu, ponieważ wie, że Meredith Rand już o tym wie, czy dlatego, że ten facet jest tak totalnie dosłowny, że na każde pytanie, które mu się zada, odpowiada, biorąc je dosłownie, jak maszyna, że tylko tak albo nie, jeśli pytanie jest typu

tak lub nie. Gasi papierosa w małej żółtej jednorazowej popielniczce z plastiku, o którą trzeba poprosić Rona przy barze, jeśli się chce palić, ponieważ mieli u Meibeyera problem ze znikaniem popielnic, jakkolwiek trudno to sobie wyobrazić, zważywszy na ich tandetność. Gasi papierosa odrobinę dokładniej i dobitniej, niż robi to zazwyczaj, żeby wzmocnić pewien ton zniecierpliwienia w tym, co mówi, kiedy przygasza papierosa:

– To w porządku.

Drinion nieznacznie przekręca tułów na krześle, żeby sprawdzić, gdzie przy barze jest Keith Sabusawa. Rand jest w dziewięćdziesięciu procentach pewna, że ten ruch nie jest żadnym przedstawieniem czy czymś, co ma jej coś zakomunikować niewerbalnie. Na zewnątrz, na północno-wschodnim niebie, wznoszą się wielkie, ostro podcięte ściany chmur podświetlonych na obrzeżach zachodem słońca, których wnętrza od czasu do czasu wypełnia pomruk i rozbłysk. Nikt u Meibeyera nie widzi tych chmur, chociaż zawsze można fizycznie wyczuć nadejście deszczu, jeśli tylko zwróci się uwagę na pewne podprogowe sygnały, jak bolące zatoki, haluksy, szczególnie rodzaj załazkowego bólu głowy, minimalną zmianę w chłodzie klimatyzacji.

– No to powiedz mi, dlaczego uważasz, że ta cała uroda sprawia, że jest mi nieswojo.

– Nie wiem na pewno. Mogę tylko zgadywać.

– Wiesz, okazuje się, że nie jesteś wcale taki bezpośredni, jaki się z początku wydajesz.

Drinion w dalszym ciągu patrzy prosto na Meredith Rand, ale nie jakoś wyzywająco czy jakby miał w tym jawny interes. Rand, która z pewnością dobrze wie, że nieodgrywanie niczego może być formą gry, powie Beth Rath, że to było trochę, jakby patrzyła na nią krowa albo koń – nie tylko nie wiesz, co sobie myślą, kiedy na ciebie patrzą, ani czy w ogóle coś myślą – nie mogłaś wyczuć, co one w ogóle widzą, kiedy tak patrzą, a mimo to czułaś, jakbyś była naprawdę widziana.

– Dobra, zagram z tobą w tę gierkę – mówi Meredith Rand. – Uważasz, że jestem ładna?

– Tak.

– Czy według ciebie jestem atrakcyjna?

– ...

– No, jestem?

– To pytanie jest dla mnie kłopotliwe. Słyszałem je w filmach i czytałem w książkach. Ma dziwną formę. Jest w nim coś dezorientującego. Zakłada obiektywną opinię osoby, z którą rozmawiasz, co do tego, czy opisałaby cię jako atrakcyjną. Z kontekstu, w którym się zwykle pojawia, wynika jednak niemal zawsze, że to pytanie o to, czy osoba, z którą rozmawiasz, czuje do ciebie pociąg płciowy.

Meredith Rand mówi:

– Wiesz, czasem trzeba przyjąć, że pewne zawoalowane pytania przechodzą, no nie? Niektórych rzeczy po prostu nie da się powiedzieć albo brzmią zbyt obleśnie. Wyobrażasz sobie, że ktoś pyta: „Czy czujesz do mnie pociąg płciowy?”

– Właściwie to tak.

– Ale byłoby okropnie niezręcznie zapytać w ten sposób, prawda?

– Rozumiem, na jakiej zasadzie to mogłoby być niezręczne czy wręcz nieprzyjemne, zwłaszcza jeśli druga osoba nie czułaby pociągu płciowego. Jestem niemal pewien, że w tym prostym pytaniu zawarta jest sugestia, że osoba pytająca czuje pociąg płciowy do osoby pytaney i chce się dowiedzieć, czy uczucie jest odwzajemniane. Czyli: tak, to oznacza, że się myliłem. Są pytania albo domysły schowane już w zasadniczym pytaniu. Masz rację, sprawa pociągu płciowego wygląda na temat, o którym nie da się rozmawiać całkowicie wprost.

Wyraz twarzy Rand jest teraz na tyle protekcyjny, że zirytowałyby znakomitą większość osób, z jakimi mogłaby rozmawiać.

– I jak ci się wydaje, dlaczego tak jest?

Drinion przez chwilę milczy.

– Myślę, że jest tak dlatego, że doświadczenie bezpośredniego odrzucenia seksualnego jest silnie nieprzyjemne i im mniej bezpośrednio wyrazisz komunikat o seksualnym pociągu do kogoś, tym mniej bezpośrednio czujesz odrzucenie, kiedy nie natrafiasz na odpowiadający twojemu wyraz zainteresowania.

– Jest w tobie coś, wiesz, takiego jakby męczącego – zauważa Rand. – W rozmowie z tobą.

Drinion kiwa głową.

– Trochę tak, jakbyś był jednocześnie interesujący i bardzo nudny.

– Oczywiście słyszałem, że ludziom wydają się nudny.

– Mr. Excitement i tak dalej.

– Przewisko jest oczywiście sarkastyczne.

– Czy kiedykolwiek byłeś z kimś na randce?

– Nie.

– A próbowałeś kiedyś kogoś zaprosić albo wyraziłeś swoje zainteresowanie?

– Nie.

– Nie jesteś trochę samotny?

Tutaj krótka pauza.

– Nie sędzę.

– Myślisz, że byś wiedział, gdybyś był?

– Myślę, że tak.

– Wiesz, jaka piosenka teraz leci z płyty?

– Tak.

– Nie jesteś przypadkiem homo?

– Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje ci się? – pyta Rand.

– Nie wydaje mi się, żebym był czymkolwiek. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek doświadczył tego, co rozumiesz pod pojęciem pociągu płciowego.

Rand bardzo dobrze czyta afekty na twarzach innych, a z tego, co widzi, na twarzy Driniona nie ma nic, co można byłoby przeczytać.

– Nawet jako nastolatek?

Znowu ta krótka pauza na skanowanie.

– Nie bardzo.

– Nie martwiłeś się, że mógłbyś być homo?

– Nie.

– Nie martwiłeś się, że coś może być z tobą nie tak?

– Nie.

– A inni nie martwili się, że coś nie gra?

Kolejna pauza, jednocześnie pusta i nie.

– Nie wydaje mi się.

– Serio?

– Kiedy byłem nastolatkiem, tak?

– Tak.

– Myślę, że tak naprawdę nikt nie poświęcał mi na tyle uwagi, żeby się zastanawiać, co mam w głowie, a już tym bardziej, żeby się martwić.

Nie poruszył się nawet odrobinę.

– Nawet twoja rodzina?

– Nie.

– Nie dołowało cię to w ogóle?

– Nie.

– Czuleś się samotny?

– Nie.

– Bywasz czasem samotny?

Rand jest teraz niemal w stanie przewidzieć pauzę po niektórych pytaniach albo przyjąć ją jako zwykły element konwersacyjnego rytmu Driniona. Drinion nie przypomina jej, że już go o to pytała.

– Nie wydaje mi się.

– Nigdy?

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

Drinion upija kolejny łyk ze szklanki z ciepłym piwem. Jest coś takiego w oszczędności jego ruchów, co sprawia, że Rand przygląda im się z przyjemnością, bez świadomości, że sprawia jej to przyjemność.

– Nie sądzę, żebym wiedział, jak mam na to odpowiedzieć – mówi kontroler ogólny.

– No, kiedy widzisz, jak inni ludzie romansują albo prowadzą życie intymne, a ty nie, albo kiedy inni czują się samotni, a ty nie, co myślisz o różnicy między tobą a nimi?

Pauza. Drinion mówi:

– Myślę, że w tym, o co pytasz, jest jakaś podwójność. Chodzi w tym naprawdę o porównywanie. Myślę, że to bardziej tak, że kiedy kogoś obserwuję i poświęcam mu uwagę, i myślę, jaki on jest, nie poświęcam takiej uwagi sobie i temu, jaki ja jestem. Więc nie ma jak się porównywać.

– Nigdy niczego z niczym nie porównujesz?

Drinion patrzy na swoją rękę ze szklanką.

– Mam problem z koncentracją uwagi na więcej niż jednej rzeczy jednocześnie. Myślę, że dlatego na przykład nie prowadzę samochodu.

– Ale wiesz, co teraz leci z szafy.

– Tak.

– No to skoro skupiasz uwagę na naszej rozmowie, skąd możesz wiedzieć, co gra szafa?

Następuje dłuższa pauza. Twarz Driniona wygląda odrobinę inaczej pod koniec dwusekundowego skanu. Drinion mówi:

– No cóż, gra bardzo głośno, a do tego słyszałem tę piosenkę kilka razy w radiu, cztery albo pięć razy, a w radiu po piosence często podają jej tytuł i wykonawcę. Sądzę, że w zamian za to stacje mogą puszczać piosenki chronione prawem autorskim bez uiszczania opłat za każde kolejne odtworzenie utworu. Puszczenie piosenki w radiu jest częścią strategii reklamowej albumu, z którego ona pochodzi. Tylko że to trochę niejasne. Sposób myślenia, zgodnie z którym kilkakrotne usłyszenie piosenki za darmo w radiu sprawi, że ktoś chętniej kupi cały album z tą piosenką, jest dla mnie dosyć niejasny. Dajmy na to, że często to, co jest w sprzedaży, to cały album, którego piosenka jest częścią, tylko jedną z wielu, więc może piosenka w radiu działa trochę na zasadzie zwiastuna filmu, który pokazują jako zachętę do zakupu biletu na ten późniejszy film, przy którym zwiastun jest tylko jego drobną częścią. Pozostaje jeszcze kwestia, jak działają księgowo firmy nagraniowych traktują koszty związane z bezpłatnym publicznym odtwarzaniem nagrań. Wygląda to nie na sprawę biznesowych i ICE, ale bardziej międzybiznesowych, jeśli się nad tym zastanowić. Na pewno wchodzi w grę znaczne koszty wysyłki i dystrybucji związane z dostarczeniem nagrania do rąk własnych stacji, które będą je odtwarzać. Czy firma nagraniowa lub jej spółka macierzysta mogą sobie odpisać te koszty, skoro stacje radiowe nic im nie płacą za publiczne odtwarzanie, więc nie ma tu opodatkowanego dochodu i kosztów jego wypracowania? Albo czy można je odliczyć jako koszty marketingu i reklamy, skoro w rzeczywistości to nie rzekomy emitujący, w tym wypadku stacja radiowa, otrzymuje pieniądze, a tylko poczta lub prywatny dostawca? Jak kontroler Służby miałby odróżnić podobne koszty od nieuprawnionych albo lewych odpisów,

skoro nie można wykazać jakiejś większej sumy wynagrodzenia, do której należałoby dorzucić te koszty dystrybucji?

Meredith Rand mówi:

– Czy wolno mi zauważyć, że jednym z powodów, dla których wydajesz się ludziom trochę nudny, jest to, że, jak się zdaje, brak ci rozeznania, co jest właściwym tematem rozmowy? To wszystko nie ma nic wspólnego z tym, o czym rozmawialiśmy, prawda?

Drinion wygląda przez chwilę na odrobinę zdezorientowanego, ale nie na dotkniętego czy zawstydzonego. Rand mówi:

– Co takiego każe ci myśleć, że ktoś mógłby w ogóle chcieć słuchać takiej długiej pracowej buły, o której sam nic nie wiesz, kiedy jesteśmy tu wyłącznie dlatego, że jest piątek i przez dwa dni nie musimy myśleć właśnie o takim gównie?

Drinion mówi:

– Czyli twierdzisz, że na ogół ludzie nie poświęcają czasu tego typu sprawom, jeśli nie odbili karty?

– Mówię o samotności i o tym, że ludzie zwracają na ciebie uwagę albo nie, a ty wyjeżdżasz z całą tą długą gadką o protokołach kosztów w radiu i okazuje się, że chodzi w tym tylko o to, że czegoś tam nie wiesz z procedurami.

Drinion kiwa głową w sposób sugerujący namysł.

– Rozumiem, o czym mówisz.

– Wyobrażasz sobie, że co ta druga osoba myśli, kiedy tak nadajesz? Czy po prostu automatycznie przyjmujesz, że ją to interesuje? Kogo obchodzi rachunkowość w radiu, jeśli go do tego akurat nie przydzielili?

Beth Rath siedzi teraz między Keithem Sabusawą i kimś jeszcze przy barze, wszyscy troje na stołkach w identycznych pozach barowych, które Meredith Rand zawsze kojarzą się z sępami. Howard Shearwater gra na flipperach, w czym jest podobno wybitny – jego maszyna to ta dalsza, patrząc od ich stolika, a kąt padania światła nie pozwala Rand zobaczyć wzoru czy motywów automatu. Słońce jeszcze nie zaszło całkowicie, ale mętne światła w atrapach bambusowych pochodni na ścianie już się włączyły, a moc nawiewu klimatyzacji wydaje się przynajmniej odrobinę zmniejszona. Prawdziwi peorianie jako miłośnicy bejsbolu dzielą się na ogół po równo na kibiców Cubsów i Cardinalsów, choć obecnie

fani Cubsów nie afiszują się szczególnie ze swoim poparciem. Bejsbol w telewizji to prawdopodobnie najnudniejszy sport, jaki istnieje, uważa mąż Meredith Rand. Jak zwykle – może padać albo i nie. Różnokształtne kałuże skroplonej pary wodnej stoją we wszystkich miejscach, gdzie znajdują lub znajdowały się szklanki, i żadna z nich nie chce wyparować. Drinion w dalszym ciągu nic nie powiedział, nie poruszył się ani nie zmienił za bardzo wyrazu twarzy. Ten papieros to papieros numer trzy od 17:10. Próba puszczenia kółek brak. Meredith Rand pyta:

– Co sobie teraz myślisz?

– Myślę, że dotykasz kilku kwestii, które wydają się istotne, i że być może muszę lepiej przemyśleć całą tę sprawę z tym, co ktoś myśli, kiedy o czymś do niego mówię.

Rand robi to, co jej wychodzi, kiedy uśmiecha się szeroko całą twarzą poza mięśniami wokół oczu.

– Okazujesz mi lekceważenie?

– Nie.

– Czy to ma być sarkazm?

– Nie. Za to widzę, że się złości.

Wypuszcza dwa krótkie kły dymu. Ze względu na słabszy ciąg z klimatyzacji trochę dymu leci prosto w twarz Shane'owi Drinionowi.

– Wiedziałeś, że mój mąż umiera?

– Nie, nie wiedziałem – mówi Drinion.

Oboje siedzą przez chwilę, każde ze swoim zestawem typowych ruchów twarzy.

– Nie powiesz, że ci przykro?

– Co? – pyta Drinion.

– Tak się mówi. To kwestia etykiety.

– Właściwie to rozważałem ten fakt w świetle twoich pytań o uczucia seksualne i samotność. Ten fakt, jak się zdaje, zmienia kontekst tej rozmowy.

– Czy mogę zapytać, z jakiej racji?

Drinion pochyła głowę.

– Tego nie wiem.

– Pomyślałeś może, że wiadomość, że umiera, oznacza, że masz może u mnie jakieś szanse na seks?

– Tego nie pomyślałem, nie.

– Dobrze. To dobrze.

Beth Rath rusza w stronę stolika z półotwartymi ustami, jakby chciała coś powiedzieć czy może przyłączyć się do rozmowy, ale Meredith Rand posyła jej spojrzenie, które sprawia, że Rath zawraca i idzie z powrotem na swoje miejsce na stołku ze skórzanym czerwonym siedzeniem przy barze, gdzie Ron wymienia butlę w dystrybutorze z wodą mineralną. Meredith Rand kładzie torebkę na stole i wstaje, żeby napełnić szklanekę.

– Chcesz jeszcze jednego heinekena czy co tam masz?

– Jeszcze nie skończyłem tego.

– Raczej nie balujesz na całego, co?

– Szybko mam dość. Mój żołądek nie przyjmuje za dużo.

– Szczęściarz z ciebie.

W czasie gdy Ron miesza gin z tonikiem dla Meredith Rand, Rand, Rath i Sabusawa ucinają sobie szybką pogawędkę, z której Drinion nic nie słyszy, chociaż dostrzega niewyraźne odbicia ludzi przy barze w witrynie Meibeyera. Nikt nie widzi, jak teraz wygląda ani co robi z twarzą, kiedy siedzi sam przy stoliku, ani choćby tego, na co patrzy.

– Wiesz, co to takiego kardiomiopatia? – pyta Rand, kiedy wraca na swoje miejsce. Patrzy na torebkę, która kształtem przypomina niemal torbę. Połowa ginu z tonikiem zdążyła już zniknąć.

– Tak.

– Tak i co dalej?

– Myślę, że to choroba serca.

Meredith Rand postukuje od niechcienia zapalniczką o przednie zęby.

– Wydajesz się dobrym słuchaczem. No i co? Chcesz usłyszeć smutną historię?

Po upływie chwili Drinion mówi:

– Nie jestem pewien, co mam na to odpowiedzieć.

– Chodzi mi o moją smutną historię. Jej część. Każdy ma swoją smutną historię. Chcesz usłyszeć kawałek mojej?

– ...

– To, dokładnie rzecz biorąc, choroba mięśnia sercowego. Ta kardiomiopatia.

– Myślałem, że serce samo jest mięśniem – mówi Shane Drinion.

– Tu chodzi o to, że w odróżnieniu od naczyń krwionośnych serca. Zaufaj mi, jestem w sumie ekspertem w tych sprawach. Kiedy się mówi, że ktoś choruje na serce, zwykle chodzi o ważne naczynia. Jak przy ataku serca. Kardiomiopatia dotyczy mięśnia, substancji, tego, co się kurczy i rozkurcza. Zwłaszcza kiedy przyczyny są nieznane. A tu są. Nie są pewni, co ją spowodowało. Teoria jest taka, że złapał fatalną grypę albo jakiegoś wirusa, kiedy był na studiach, z czego się niby wyleczył, ale nikt nie wiedział, że to się zagnieżdżyło jakoś w jego mięśniu sercowym, tkance mięśniowej jego serca i stopniowo ją infekowało i osłabiało.

– Myślę, że rozumiem.

– Myślisz sobie może, jakie to smutne: ktoś się zakochuje i wychodzi za mąż, a potem okazuje się, że mąż ma śmiertelną chorobę; bo ma, to jest śmiertelne. Jak ten bogaty dzieciak w tym filmie, jak mu tam, tylko że tam to była żona, zresztą beznadziejna, jeśli chcesz znać moje zdanie, ale ten bogaty dzieciak zostaje wydziedziczony i w ogóle, ale żeni się z nią, a potem ona jest śmiertelnie chora. To wyciskacz łez.

Oczy Rand także odrobinę się zmieniają, kiedy skanuje jakieś wspomnienie.

– To coś trochę jak niewydolność serca. Właściwie w wielu przypadkach kardiomiopatii jako bezpośrednią przyczynę zgonu, kiedy pacjent w końcu umiera, wpisuje się niewydolność serca.

Shane Drinion ma dłoń ułożoną wokół szklanki z resztką piwa, ale nie podnosi jej.

– Czy to dlatego, że mięsień serca ulega osłabieniu i nie może się kurczyć na tyle, żeby tłoczyć krew?

– Tak. I on miał to, zanim się pobraliśmy, nawet zanim go poznałam, a poznałam go, kiedy byłam strasznie młoda, nie miałam jeszcze osiemnastki. A on miał trzydzieści dwa i był salowym w Zellerze.

Wydobywa papierosa.

– Wiesz może, czym jest Zeller?

– Myślę, że chodzi ci o budynek ośrodka zdrowia psychicznego w pobliżu Exposition Gardens na Northmoor.

Tyłek Driniona unosi się bardzo nieznacznie – może maksymalnie milimetr czy dwa – ponad siedzenie drewnianego krzesła.

– W sumie to główne wejście jest od strony University.

– ...

– To psychiatryk. Wiesz, co to takiego psychiatryk?

– W znaczeniu ogólnym, tak.

– Starasz się po prostu być grzeczny?

– Nie.

– To zsymp. Mentalny Marriott. Czubki. Chcesz wiedzieć, dlaczego tam byłam?

– Odwiedzałaś kogoś ważnego w twoim życiu?

– Pudło. Byłam pacjentką przez trzy i pół tygodnia. Chcesz wiedzieć, z jakiej paki?

– Nie wiem, czy naprawdę mnie pytasz, czy to pytanie jest po prostu wstępem do tego, co mi chcesz opowiedzieć.

Meredith Rand układa usta w sardonicznym skośnym grymasie i cmoka kilka razy.

– Dobra. To trochę irytujące, ale nie powiem, żebyś nie miał w tym trochę racji. Byłam „sznyciarą”. Wiesz, co to takiego?

Żadnej różnicy – twarz Driniona pozostaje spokojna i neutralna, choć nic nie wskazuje na to, by sam się o tę neutralność starał. Meredith Rand ma bardzo dobry, czuły na coś takiego podprogowy radar – ma alergię na grę.

– Zakładam, że to ktoś, kto nosi się z fasonem.

– Że to miał być, przepraszam, taki żart?

– Nie.

– Nie wiedziałam, dlaczego to robię. Nadal nie jestem pewna, tyle że on mnie nauczył, że próby analizowania czy zrozumienia wszystkich powodów to sranie w banię; tak naprawdę ważne było tylko to, żeby z tym skończyć, bo gdybym z tym nie skończyła, to znowu wylądowałabym u czubków, i że pomysł, że mogę to ukrywać pod bandażami czy długimi rękawami i utrzymywać w zupełnej tajemnicy, tak że nie miało wpływu na nikogo, był arogancką kpina. I ma rację. Nieważne, gdzie to sobie zrobisz albo jak ostrożnie, zawsze się zdarzy, że ktoś coś zobaczy i coś powie albo kiedy ktoś wygłupia się na korytarzu i udaje, że błaga cię, żebyście poszli wkuwać algebrę do parku i się upalić, i wspiać na

pomnik Lincolna, i łapie cię za rękę za mocno, tak że niektóre sznyty się otwierają, i krwawisz przez rękawy, nawet jeśli masz na sobie dwie koszule, i ktoś wzywa pielęgniarkę, nawet jeśli im każesz się odwalić, i mówisz, że to był wypadek, że pójdziesz do domu i tam ci to obejrzą. Zawsze przychodzi dzień, kiedy ktoś zauważy coś w twojej twarzy, co powie mu, że kłamiesz, i zanim się obejrzy, już jesteś w jasnym pokoju, z odkrytymi rękami i nogami, próbujesz się tłumaczyć przed kimś z zerowym poczuciem humoru; w sumie to trochę tak jak rozmowa z tobą teraz.

Krótki uśmiech ściągniętych ust.

Drinion powoli kiwa głową.

– To było dosyć wredne. Muszę cię prosić o wybaczenie.

– Nie mam zbyt rozwiniętego poczucia humoru, to prawda.

– Chodzi o coś innego. Jak robią na początku ten wywiad przy przyjęciu, z formularzem na białej podkładce, to jak pytają cię na początku o takie rzeczy, jak przewiduje ustawa, na przykład czy słyszysz czasem głosy, a ty im na to pewnie, na przykład wasze teraz, oni się nie śmieją ani nawet nie skomentują, że się wygłupiasz, tylko siedzą i patrzą na ciebie. Jakby byli komputerami, i nie pójdziesz dalej, jeżeli nie udzielisz odpowiednio sformatowanej odpowiedzi.

– Samo pytanie wydaje się niejednoznaczne. Na przykład jakie głosy mają na myśli.

– Więc mają tam w Zellerze chyba coś ze trzy osobne oddziały, z czego dwa to oddziały zamknięte, a ten, na którym mnie położyli jako psychiczną, to był też ten, na którym on pracował, na drugim piętrze, głównie z bogatymi dziewczynami z Heights, które nie jadły albo zeżarły flakon Tylenolu, bo rzucił je chłopak *et cetera*, albo wsadzały sobie palec do gardła za każdym razem, kiedy coś zjadły. Było tam sporo rzygajek.

Drinion wciąż na nią patrzy. Teraz żaden odcinek jego tyłka ani pleców nie styka się z krzesłem, jakkolwiek dystans jest tak nieznaczny, że nikt nie byłby w stanie go dostrzec, chyba że bardzo jasne światło oświetlałoby Driniona z boku, wpadając w minimalny odstęp między nim a krzesłem.

– Mógłbyś zapytać, skąd się tam wzięłam, skoro zdecydowanie nie byliśmy bogaci i nie mieszkaliśmy w Heights.

– ...

– Odpowiedź to dobre ubezpieczenie, dzięki związkowi zawodowemu ojca. Nawijał drut w Amerykańskich Zakładach Produkcji Szpagatu od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego aż do zamknięcia. Jedyne dni, kiedy nie było go w pracy, to niektóre z tych, kiedy byłam w Zellerze.

Twarz Rand na bardzo krótki moment rozciąga się w wyrazie przerażenia, którego dokładne znaczenie nie jest jasne, i zapala papierosa, którego dotąd trzymała, przyglądając mu się.

– Więc sobie wyobraź.

Drinion kończy resztkę micheloba i delikatnie wyciera usta w serwetkę, na której stała szklanka. Następnie odsuwa serwetkę i szklankę. Jego piwo zbyt długo stało w temperaturze pokojowej, żeby dalej skraplać parę wodną.

– I rzeczywiście wyglądał na chorego już kiedy go poznałam. Nie jakoś wstrętne czy coś, nie żeby coś tam się z niego sączyło czy żeby kaszlał na każdym kroku, ale był blady, za bardzo nawet jak na zimę. Wyglądał krucho, jak ktoś stary. Był też totalnie chudy, chociaż przy anorektyczkach trudno było dostrzec jego chudość; bardziej to, że był taki blady i łatwo się męczył; nie poruszał się zbyt szybko. Okropne czarne obwódki wokół oczu. Czasami wyglądał na zmęczonego albo śpiącego, chociaż to też mogła być sprawa późnej nocy, bo miał drugą zmianę na oddziale, od piątej po południu do północy, kiedy przychodził nocny, którego nigdy tak naprawdę nie spotykałyśmy, chyba że w porze śniadania albo jak któraś miała kryzys nad ranem.

– Czyli nie był tam lekarzem – mówi Drinion.

– Lekarze to był śmiech na sali. W Zellerze. Psychiatry. Przychodzili po południu na, ja wiem, może godzinę, w garniturach, zawsze mieli ładne garnitury, byli zawodowcami, i przeważnie mówili więcej do pielęgniarki i rodziców. A potem w końcu przychodzili i miałeś z nimi dziwną, sztywną pogadankę, jakby, ja wiem, byli twoim ojcem czy coś. I mieli zero poczucia humoru, i ciągle patrzyli na zegarek. Nawet ci, w których gdzieś tam w końcu dostrzegałeś człowieka, byli bardziej zainteresowani twoim przypadkiem, nie tobą. Wiesz, w stylu: co może oznaczać twój przypadek, w czym jest podobny albo różny od innych przypadków

w podręcznikach. Nawet nie zaczynamy na temat lekarskiego establishmentu w wariatkowie. Gadanie z nimi było nie z tej ziemi; mogło ci coś zrobić z głową. Jeśli powiedziałeś im, że nienawidzisz tego miejsca i nic ci nie pomaga, i że chcesz wyjść, uznawali to za symptom twojego przypadku, a nie pragnienie wyjścia. Jakbyś nie był istotą ludzką, tylko jakimś automatem, który mogli rozebrać na części i sprawdzić, jak działa.

Pstryka papierosnicą, zamykając ją i otwierając na przemian.

– To było naprawdę straszne, bo oni mogli podpisać papiery, żeby zostawić cię na dłużej albo wysłać na gorszy oddział, ten drugi zamknięty był dużo gorszy i ludzie sobie o nim opowiadali, nie chcesz tego słyszeć. Albo mogli przepisać ci leki, które zmieniały niektóre dziewczyny w zombi; to jest tak, że jednego dnia były obecne, a następnego nikogo nie ma w domu. Jak zombiaki w ślicznych szlafroczkach. To był po prostu ostry koszmarek.

– ...

– Ale nie mogli robić rzeczy naprawdę z horrorów, nie mogli dać ci elektrowstrząsów, jak w tym jednym filmie, bo rodzice wszystkich odwiedzali je praktycznie codziennie i wiedzieli, co się dzieje. Jeżeli byłeś na tym oddziale, nie byłeś umieszczony w Zellerze, tylko przyjęty i po siedmiu dniach musieli cię wypuścić, jeżeli tak zdecydowali twoi rodzice. Niektórzy się na to zdecydowali, ci od dziewczynek zombi. Ale mogli legalnie podpisać papiery, które zmieniały ci kategorię na umieszczenie. Ci lekarze w garniturach mogli, więc oni byli najstraszniejsi.

– ...

– No i jedzenie było gorzej niż obrzydliwe.

– Robiłaś sobie małe, ukryte nacięcia na zasadzie jakiejś kompensacji psychicznej – mówi Shane Drinion.

Meredith Rand mierzy go wzrokiem. Spostrzega, że siedzi jakby prościej czy coś w tym rodzaju, ponieważ zasłania jej najniższą część wystawy różnych nakryć głowy, a wie, że ona sama nie zsunęła się bardziej na krześle.

– To było przyjemne. To było lekko straszne i wiedziałam, że to nie może być dobre, skoro tak się z tym kryłam i miałam gęsią skórę, ale to było przyjemne. Nie wiem, co innego miałabym powiedzieć.

Za każdym razem, kiedy strzepuje popiół z papierosa, stuka trzy razy palcem zakończonym czerwonym paznokciem.

– Ale miałam fantazje o chlastaniu się po szyi albo po twarzy, co było trochę straszne, no i w ciągu roku posuwałam się ze sznytami coraz bardziej w górę ramion i nie mogłam się powstrzymać, co mnie przerażało, kiedy sobie to teraz przypominam. Dobrze, że tam trafiłam; to było pokrecone, więc może w sumie mieli rację.

Drinion po prostu się jej przygląda. Nie da się stwierdzić, czy naprawdę zbiera się na deszcz, czy ta masa przejdzie bokiem. Światło na zewnątrz ma w przybliżeniu barwę zużytej żarówki. Wewnątrz jest za głośno, by dało się usłyszeć, czy grzmi. Czasami klimatyzacja nawiewa jakby zimniejsze powietrze albo działa dobitniej, kiedy zanosi się na burzę, ale teraz nie powoduje podobnego wrażenia.

Meredith Rand mówi:

– Musisz rzucać co pewien czas jakieś słowo, jakby to była prawdziwa rozmowa, żeby przynajmniej pokazać, że cię to interesuje. Inaczej druga osoba czuje się, jakby nadawała i nadawała, a ten słuchający jakby myślał Bóg raczy wiedzieć o czym.

– Ale nacinanie sobie twarzy za bardzo uzewnętrzniałyby całą sytuację – mówi Drinion.

– Otóż to. No i do tego nie chciałam się chlastać po twarzy. Jak mi w końcu udowodnił, moja zewnętrzna twarz była jedyną rzeczą, o której myślałam, że naprawdę ją mam. Twarz i ciało, to że niby byłam „kociakiem”. Byłam jednym z „kociaków” w Central Catholic. To tutejsze liceum. Tak na nas mówili: „kociaki”. Większość z nich była też cheerleaderkami.

Drinion mówi:

– A więc zostałam wychowana w wierze katolickiej?

Rand kręci głową, strzepując papierosa.

– To nie ma znaczenia. Nie o takie wtrącenia mi chodziło.

– ...

– Do rzeczy jest to, co mówiłeś o byciu ładną i samotności. Albo my mówiliśmy, co może ciężko zrozumieć, skoro opinia ładnej dziewczyny wśród licealnych koleżanek i kolegów to rzekomo

kobięcy bilet do popularności i akceptacji przez grupę i wszystkiego, co jest niby odwrotnością samotności.

Czasami posługuje się bezpośrednimi pytaniami jako pretekstem do odpowiedzi mu spojrzeniem prosto w oczy:

– Byłeś samotny w liceum?

– Nie bardzo.

– Jasne. No tak, jasne. No i jeszcze do tego piękno to jakaś forma władzy. Ludzie zwracają na ciebie dużo większą uwagę. Potrafi być bardzo uwodzicielskie.

– Tak.

Dopiero przy dokładnej analizie wspomnienia tej rozmowy Meredith Rand zauważa dziwną intensywność swojego dialogu z kontrolerem ogólnym. Zazwyczaj bardzo świadoma otoczenia i tego, co robią ludzie wokół niej, Rand uświadomiła sobie później, że znaczne segmenty tête-à-tête u Meibeyera wydawały się jej pozbawione jakiegokolwiek otoczenia. Że w tych segmentach intensywnego zaangażowania nie była świadoma rozpraszającej muzyki z szafy grającej ani dudnienia jej nadmiernych basów we własnym mostku, uporczywych bulgotań i brzęknięć flipperów i wyścigowej gry wideo, meczu bejsbolu w telewizorze nad barem, zwykle rozpraszającego gwaru rozmów dookoła, z którego co jakiś czas wybijały się na pierwszy plan dosłyszalne urywki, żeby przykuć na chwilę uwagę, po czym rozpląnąć się w rozpraszającym ogólnym hałasie zmieszanych głosów, podniesionych, żeby przekrzyczeć hałas panujący w pomieszczeniu. Kiedy mówi o tym Beth Rath, jest jej to w stanie wytłumaczyć tylko w ten sposób, że to było tak, jakby wokół ich stolika uformował się izolujący pojemnik, tak że czasami praktycznie nic nie przedostawało się do jego wnętrza. Mimo że wcale nie było też tak, że po prostu przez cały czas gapiła się na faceta od ogólnych; to nie było nic związanego z hipnozą. Nie miała też świadomości upływu czasu, co dla Meredith Rand było wyjątkowo niespotykane¹¹⁵. Najlepszą teorią, jaką Meredith Rand była w stanie wymyślić, było to, że Mr. X poświęcał tak skupioną, tak intensywną uwagę temu, co mówił (ta intensywność nie miała nic wspólnego z flirtem czy czymkolwiek romantycznym; był to całkowicie inny rodzaj intensywności; jakkolwiek było także prawdą, że Meredith Rand doświadczyła absolutnie zero

romantycznego czy płciowego pociągu do Shane'a Driniona przy tamtym stoliku u Meibeyera. To było coś całkowicie innego).

– To on mi to powiedział. On to w ten sposób przedstawił. W nocy, po kolacji, kiedy było już po wszystkich grupach i terapiach zajęciowych, a lekarze w swoich ślicznych garniturach poszli już do domu i zostawała tylko jedna pielęgniarka przy lekarstwach i on. Nosił biały kitel personelu ze swetrem i te plastikowe tenisówki, i wielki pęk kluczy. Poznawało się go po dzwonieniu z drugiego końca korytarza. Mówiliśmy mu, że wygląda to tak, jakby pęk kluczy ważył więcej od niego. Niektórych dziewczyn bardzo żałował, bo nie bardzo mógł cokolwiek dla nich zrobić.

– ...

– Wieczorem po wizytach nie było nic do roboty poza oglądaniem telewizji w świetlicy albo grą w ping-ponga na stole z siatką tak niską, żeby nawet dziewczyny na ciężkich lekach mogły poczuć, jakby też grały, a jemu pozostawało tylko kontrolować przyjmowanie lekarstw, wydawać przepustki do telefonu, a na koniec zmiany musiał wypełniać kartę każdej z nas, co było totalną rutyną, jeżeli nie było żadnego psychicznego kryzysu.

– Czyli bacznie go obserwowałaś, na to wychodzi – mówi Shane Drinion.

– Nie było znowu tak, żeby było się czemu przyglądać, gdybyście chciały nazwać go przystojnym. Niektóre dziewczyny nazywały go trupem. Musiały każdemu wymyślać swoje wredne przydomki. Albo nazywały go też ponurym żniwiarzem. Chodziło tylko o fizyczność. Ale wyglądał tak, jakby żadna z części jego ciała nie dotykała ubrania od wewnątrz; rzeczy po prostu na nim wisały. Poruszał się tak, jakby miał z sześćdziesiąt lat. Ale był zabawny i naprawdę z tobą rozmawiał. Jeżeli ktoś chciał o czymś pogadać, znaczy tak naprawdę pogadać, szedł z nim do sali konferencyjnej niedaleko kuchni i gadał.

Meredith Rand ma zestaw stałych sposobów gaszenia papierosa, z których każdy – ten szybki i przypominający dżganie, ale także powolny i rozcierający – jest dosyć staranny.

– Nikogo do tego nie zmuszał. Nie czepiał się rękawa, namawiając cię na rozmowę w cztery oczy czy prosząc, żebyś mu pozwoliła na tobie poćwiczyć. Większość ludzi na oddziale wegetowała przed

telewizorem, a kto był tam z powodu narkotyków, tego zabierali vanem na spotkanie grupy terapeutycznej. Zwykle musiał kłaść nogi na stole, kiedy miał z nim rozmowę sam na sam. Na stole w sali konferencyjnej, na którym lekarze rozkładali dokumentację i przy którym gadali z rodzicami. Odchyłał się głęboko na oparciu fotela i opierał buty sportowe na blacie, co tłumaczył problemem z kręgosłupem, ale tak naprawdę robił to przez kardiomiopatię, której nabawił się na studiach w niejasnych okolicznościach i przez którą tych studiów nie skończył i dlatego wykonywał tę gównianą robotę salowego u czubków, mimo że rozumiał i dostrzegał, co tak naprawdę dolegało ludziom, jakieś siedem tysięcy razy lepiej niż lekarze i tak zwani psychologowie. Oni patrzyli na każdego przez swoje profesjonalne szkieleto, które miało może pół cala średnicy; tego, co nie mieściło się w polu szkieleto, albo nie widzieli, albo brali to i ściskali, albo wykręcali tak, żeby się mieściło. A to, że kładł stopy w tych badziewnych butach z Kmarta na stole, robiło z niego bardziej osobę, kogoś, z kim naprawdę rozmawiałeś, a nie kogoś, kto tylko próbuje ci postawić diagnozę albo poznać etiologię, żeby mogli powiedzieć na twój temat coś, co wpasuje im się w ich szkieleto. To był jakiś totalny żart, te buty.

– Mogę o coś zapytać?

– Dlaczego po prostu nie zapytasz, tylko marnujesz czas i każesz mi mówić, że owszem, możesz o coś zapytać?

– Rozumiem, o czym mówisz.

– Więc?

– Trzymanie stóp w górze miało pomagać krwi lepiej krążyć?

– O to chciałeś zapytać?

– To nie jest takie komunikacyjne wtrącenie, o jakim mówiłaś?

– Na miłość boską – mówi Rand. – Tak, to z powodu krążenia. Chociaż kto mógł wtedy wiedzieć, dlaczego tak robi. Plecy były wiarygodne. Z całą pewnością nie wyglądał, jakby mu było wygodnie. Tak naprawdę jedyne, co dało się powiedzieć na pewno, to że widzisz kogoś w nie najlepszej formie.

– Wyglądał mizernie, zwłaszcza jak na swój wiek.

Teraz Rand od czasu do czasu nieznacznie odrzuca głowę za siebie gwałtownym ruchem wychylnym nieco w bok, jakby

poprawiała ułożenie włosów bez dotykania, jak robią pewnego typu nastoletnie dziewczynki, niekoniecznie ze świadomością, że to robią.

– Przy okazji, nauczył mnie słowa „etiologia”. I wytłumaczył, dlaczego lekarze muszą być tacy nieobecni i sztywni; to była po prostu część ich pracy. Nikogo nie zmuszał, ale czasami wydawało się, że wybierał sobie pewne osoby na gadanie, i robił to tak, że trudno się było oprzeć. Noce były ciężkie, a oglądanie *Maude* z ludźmi po próbach samobójczych albo na mocnych prochach raczej nie bardzo pomagało je przetrwać.

– ...

– Pamiętasz *Maude*?

– Nie pamiętam.

– Moja mama to uwielbiała. Chyba ostatnia rzecz, jaką chciałabym tam oglądać. Jeśli jej mąż się wściekł i powiedział jej: „Maud, siadaj”, ona siadała, jak pies, a z offu szedł wielki śmiech. Zapomnij o feminizmie. Albo *Aniołki Charliego*, totalna obraza, jeśli się było feministką.

– ...

– To jego rozmawianie ze mną zaczęło się w różowym pokoju, czyli w izolatce, czyli tam, gdzie cię umieszczali, jeżeli miałeś próbę samobójczą i zgodnie z prawem musiałeś być pod całodobową obserwacją albo jak zachowywałeś się w niezdyscyplinowany sposób i według nich stwarzałeś zagrożenie albo wywierałeś negatywny wpływ, mogli cię wtedy tam umieścić.

– Różowy pokój, bo taki miał kolor? – pyta Drinion.

Meredith Rand uśmiecha się chłodno.

– Dokładnie róż Baker-Miller, bo zrobili eksperymenty, które pokazały, że patrzenie na różowy łagodzi pobudzenie, tak że wkrótce każde wariatkowo w kraju malowało izolatki na różowo. To też on mi powiedział. Wytłumaczył mi, dlaczego pokój, w którym mnie zamknęli, jest w takim kolorze; miał pochyłą podłogę i odpływ w podłodze, jak w średniowieczu. Nigdy nie byłam na obserwacji dla niedoszłych, jeśli cię to ciekawi. Nie mam pojęcia, na ile cię to wszystko rusza czy bardziej tak: no proszę, więc mamy tu jedną walniętą, która była w Zellerze jako siedemnastolatka.

– Wcale tak nie myślałem.

– To za to, że powiedziałam lekarzowi, który nawet nie był moim lekarzem, to znaczy nie był tym, za którego płaciliśmy z polisy mojego ojca, tylko on go zastępował przy jego przypadkach, kiedy nie mógł się pojawić, oni wszyscy tylko ciągle się zastępowali, tak że w pięć dni gadałeś z trzema różnymi doktorami, którzy musieli rozkładać na stole twoją kartotekę i notatki na temat przypadku, żeby sobie przypomnieć, kim w ogóle jesteś, no i ten lekarz, który w ogóle nie mrugał, próbował mnie namówić, żebyśmy porozmawiali o tym, jak byłam „molestowana i zaniedbana” w dzieciństwie, chociaż wcale nie byłam, więc skończyło się na tym, że powiedziałam mu, że jest popieprzonym idiotą i że albo mi uwierzy, albo może wsadzić sobie to wszystko w swoje głupie tłuste dupsko. I już wieczorem jestem w różowym pokoju, on tak zarządził, zupełnie z dupy. Nie żeby mnie tam zawlekli i wrzucili, i zatrzasnęli drzwi, wszyscy byli całkiem mili. Ale wiesz, jedną z takich dziwnych rzeczy, które masz w psychiatryku, jest to, że stopniowo zaczynasz czuć, jakbyś miał przyzwolenie na mówienie wszystkiego, co myślisz. Wydaje ci się, że to okej albo że może nawet w jakimś sensie oczekują od ciebie, że będziesz świrować i działać bez zahamowań, co początkowo daje wrażenie wyzwolenia i zadowolenie; masz takie poczucie, że odtąd już koniec z uśmiechniętą maską, koniec z udawaniem; co jest przyjemne, tylko że staje się jakby wciągające i niebezpieczne i na dobrą sprawę potrafi człowiekowi zaszkodzić – niektóre zahamowania są dobre, normalne, powiedział, a częścią syndromu, w którym w końcu dochodzi do tego, co się nazywa „umieszczeniem w zakładzie”, jest to, że człowiek czasami trafia do wariatkowa w młodym wieku albo w momencie dużej podatności, kiedy nie jest dostatecznie uformowany czy wytrzymały, i zaczyna się zachowywać w sposób, w jaki myśli, że ludzie u czubków powinni się zachowywać, i zostaje schwytyany przez system, system zdrowia psychicznego, i nigdy naprawdę nie wychodzi.

– I on ci o tym powiedział. Przestrzegł cię przed nieskrępowanym użyciem obelg w stosunku do psychiatrów.

W jej oczach zaszła zmiana; opiera brodę na dłoni, przez co wygląda jeszcze młodziej.

– Powiedział mi mnóstwo rzeczy. Mnóstwo. Rozmawialiśmy ze dwie godziny tamtej nocy w różowym pokoju. Teraz oboje się z tego śmiejemy; mówił dużo więcej niż ja, czyli nie tak, jak to się powinno robić. Po jakimś czasie co wieczór byliśmy tam punktualnie co do minuty, ga...

– Chodziliście do izolatki?

– Nie, byłam tam tylko tej jednej nocy i ten właściwy lekarz, muszę mu to oddać, dał tamtemu jakoś dyscyplinarnie popalić za to, że mnie tam wysłał; powiedział, że to było działanie reaktywne.

Rand urywa i bębni palcami w policzek.

– Kurde, zapomniałam, o czym mówiłam.

Drinion na moment kieruje wzrok nieznacznie w górę.

– „Co wieczór byliśmy tam punktualnie co do minuty”.

– W sali konferencyjnej, po wizytach i uspokajaniu tych, co miały odloty, bo coś tam w trakcie wizyt trzeba było wytłumaczyć albo potraktować lekami. Siedzieliśmy tam i rozmawialiśmy, poza tym, że on od czasu do czasu musiał wychodzić, żeby skontrolować, kto się gdzie znajduje i czy nikogo nie ma w nieswojej sali, a każdego, kto miał przepisane leki, wysyłał do dyżurki medycznej. Co wieczór poza weekendami spotykaliśmy się tam, a on miał ten swój numer z nalewaniem sobie wody z dystrybutora do puszki po coli, używał puszki jako kubka, no i siadaliśmy przy stole, i on wtedy mówił: „Dobrze, Meredith, powiedz mi, czy dziś bierzemy się do tego intensywnie, czy mamy po prostu luźne pogaduchy?”, a ja robiłam coś takiego, że to wyglądało, prawie jakbym przeglądała menu, i mówiłam: „Hm, dzisiaj mam ochotę na intensywnie”.

– Mogę o coś zapytać?

– Grrr. No, pytaj.

– Czy mam zakładać, że „intensywnie” odnosi się do cięcia i twoich motywów, żeby to robić? – pyta Drinion. Ręce ma teraz na blacie, palce zaplecione, co u większości ludzi powoduje zaokrąglenie kręgosłupa i pochylenie, ale Drinion tak nie robi; jego postawa pozostaje niezmienną.

– Odpowiedź brzmi nie. Był na to za mądry. O cięciu nie rozmawialiśmy często. To by nic nie dało. To nie było coś, o co można kogoś zapytać tak bezpośrednio. To, co on... w sumie to on jakby powiedział mi większość rzeczy na mój temat.

Jeden z zaplecionych palców Driniona porusza się bardzo nieznacznie:

– Nie zadawał ci pytań?

– Odpowiedź brzmi nie.

– I to cię nie denerwowało? Że się ośmielał opowiadać ci o tobie?

– Cała różnica polegała na tym, jak bardzo miał rację. Praktycznie we wszystkim, co mówił, miał rację.

– W tym, co mówił ci o tobie.

– I słuchaj, on to robił głównie na początku, kiedy musiał zapracować na wiarygodność. Tak mi później powiedział: rozumiał, że nie będę tam długo, tam, w Zellerze, i wiedział, że muszę z kimś porozmawiać i że musi mi szybko dać znać, że mnie rozumie, że mnie zna, że nie zajmuje się mną tak, jakbym była po prostu przypadkiem, problemem, którego rozwiązanie pomoże mu w karierze, a przy okazji powiedział mi, że wie, że tak właśnie myślę o lekarzach i psychologach, ale to, czy tak jest, czy nie, nie miało według niego nic do rzeczy, za to istotne było, że ja w to wierzyłam, to była część mojego systemu obronnego. Powiedział, że byłam jedną z najbardziej obudowanych osób, jakie tam przyjęto za jego czasu. Do Zellera. O krok od przenosin do psychotycznych, takich już prawie bez dróg dojścia, ale ich prawie od razu przenosili; bardzo rzadko udawało mu się naprawdę pogadać sam na sam z prawdziwymi psychotycznymi. Z psychozą jest po prostu tak, że człowiek ma tak silne struktury defensywne i wyobrażenia, że nie potrafi się wydostać, stają się dla niego prawdziwym światem i wtedy jest już zwykle za późno, bo zmienia się struktura mózgu. Jedyna nadzieja dla kogoś takiego to leki i mnóstwo różowego dookoła.

– Czyli mówisz, że rozumiał cię jako człowieka.

– On zrobił coś takiego, już tam, w różowym pokoju, gdzie siedziałam na pryczy i świrowałam, o Boże, Boże, tu jest *odpływ* w podłodze, że od razu powiedział mi dwie różne rzeczy o mnie, których nie wiedział nikt poza mną. Nikt. Mówię serio – mówi Meredith Rand – normalnie nie mogłam uwierzyć. Wszystko się zgadzało.

– ...

– Teraz pewnie się zastanawiasz, co to były za rzeczy – mówi.

Drinion robi ten minimalny ruch zmieniający nachylenie jego głowy.

– Chodzi ci o to, żebym zapytał, co to były za rzeczy?

– Nawet o tym nie myśl.

– Właściwie po tym, jak je określiłaś, wątpię, że powiedziałaabyś o nich komukolwiek.

– Bingo. Właśnie. Nie ma mowy. Nie żeby były znowu takie interesujące – mówi.

– Ale on mi powiedział. Wiedział o nich i możesz być pewien, że to zwróciło moją uwagę. Sprawilo, że usiadłam na tyłku i zaczęłam uważać. Niby jak inaczej?

Drinion mówi:

– Rozumiem.

– Właśnie. To, że mnie znał, rozumiał, że zależało mu, żeby mnie zrozumieć. Ludzie w kółko to mówią: „Rozumiem, rozumiem cię, pomóż nam sobie zrozumieć”.

– Ja też to powiedziałem kilka razy w czasie naszej rozmowy.

– Wiesz może, ile razy?

– Dziewięć, chociaż sądzą, że tylko cztery w tym znaczeniu, do którego przypuszczalnie się odnosisz, o ile rozumiem, o co ci chodzi.

– Czy to miał być żart?

– To, że właśnie znowu użyłem słowa „rozumieć”?

Rand robi zniecierpliwioną minę i zwraca twarz na boki: najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, jakby przy stoliku z nimi było więcej osób.

Drinion mówi:

– Nie, jeżeli mamy na myśli ten sam sens słowa „rozumieć”, który nie odnosi się do rozumienia wypowiedzi czy jej implikacji, ale bardziej do osoby, który wydaje mi się nie tyle kwestią kognitywną, ile kwestią empatii albo, jak sądzą, może w tym „rozumieniu” chodzi ci nawet o słowo „współczucie”.

– Chodzi o to – mówi ona – że on to naprawdę miał. Nazywaj to sobie, jak chcesz. Nikt nie wiedział o tych rzeczach, które on mi o mnie powiedział; jednej nawet chyba ja nie wiedziałam, tak naprawdę, dopóki on jej nie wyraził tak prosto z mostu.

– To wywarło na tobie wrażenie – Drinion zaznacza, że słucha.

Rand puszcza to mimo uszu.

– Był urodzonym terapeutą. Mówił, że to jego powołanie, jego sztuka. W takim sensie jak malowanie czy naprawdę dobre tańczenie albo zdolność siedzenia i czytania jednej rzeczy przez wiele godzin bez kręcenia się albo rozpraszania jest powołaniem innych ludzi.

– ...

– Uważasz, że masz do czegoś powołanie? – pyta kontrolerka PUP / N Shane’a Driniona.

– Wątpię.

– Nie był lekarzem, ale kiedy widział, że wzięli tam kogoś, komu może potrafiłby pomóc, to starał się mu pomóc. Poza tym był kimś w rodzaju ochroniarza, tak twierdził.

– ...

– Innym razem powiedział, że jest po prostu kimś w rodzaju lustra. W tych intensywnych rozmowach. Jeżeli wydawał ci się wredny albo głupi, to tak naprawdę znaczyło, że sam siebie postrzegasz jako wrednego i głupiego. A gdy za którymś razem zaskoczył cię swoją bystrością i delikatnością, to znaczyło, że tego dnia sam taki jesteś; po prostu pokazywał ci, co masz w środku. Wyglądał okropnie, ale to też był element tej mocy siedzenia z nim tam i odrabiania kawałek po kawałku tej intensywnej pracy. Wyglądał tak chorowicie i wypranie, wątko, że do głowy by ci nie przyszło myśleć o nim jak o jednym z tych zadowolonych z siebie, normalnych, zdrowych, zamożnych lekarzy, którzy cię oceniają, ciesząc się w duchu, że nie są tobą, albo patrzą na ciebie jak na przypadek do rozwiązania. To z nim to było jak prawdziwa rozmowa z drugą osobą.

– Każdy przyzna, że twój przyszły mąż wywarł na tobie duże wrażenie w tym trudnym czasie – mówi Shane Drinion.

– Czy to ironia z twojej strony?

– Nie.

– Może myślisz sobie, o, patrzcie na tę zrytą siedemnastolatkę, która się zakochuje w dorosłym, który jest typem terapeutycznym i dla niej jest jedyną osobą, która *rozumie*.

Shane Drinion kręci głową dokładnie dwukrotnie.

– Nie to sobie myślę.

Do Rand dociera nagle, że równie dobrze mógłby być znudzony do imentu, a ona nie byłaby w stanie tego stwierdzić.

– Bo to żalosne – mówi Meredith Rand. – To przecież taka najstarsza historia w całej książce, ale nieważne, jak bardzo według ciebie byłam zryta, u mnie to nie było to.

Siedzi teraz przez chwilę bardzo wyprostowana.

– Wiesz, co to jest monopson?

– Tak sędzę.

– No, co to takiego?

Shane Drinion lekko odchrząkuje.

– To przeciwieństwo monopolu. Jest jeden odbiorca i wielu dostawców.

– W porządku.

– Wydaje mi się, że przetargi rządowe, jak ten, kiedy Służba musiała unowocześnić czytniki kart w centrum w La Junta w zeszłym roku, mogą być przykładem rynku monopsonicznego.

– W porządku. Tego też dowiedziałam się od niego, chociaż kontekst był bardziej osobisty.

– Użył tego jako metafory – mówi Drinion.

– Rozumiesz, w jaki sposób to mogło mieć związek z samotnością?

Jeszcze jeden bardzo krótki moment wewnętrznego skaningu.

– Rozumiem, na jakiej zasadzie to może rodzić brak zaufania, jeśli wziąć pod uwagę to, że sytuacje przetargu rodzą manipulacje, wyssane z palca koszty i inne zachowania tego typu.

– Jesteś bardzo dosłowny, wiedziałeś o tym?

– ...

– Więc masz tu czarno na białym – mówi Meredith Rand. – Powiedzmy, że jest się ładną dziewczyną i to bycie ładną ma swoje zalety: przysługuje ci specjalne traktowanie, ludzie zwracają na ciebie uwagę i mówią o tobie, a kiedy gdzieś się pojawiasz, prawie czujesz zmianę, jaka zachodzi w pomieszczeniu, i to ci się podoba.

– To jakaś forma władzy – mówi Drinion.

– Ale jednocześnie masz też mniej władzy – mówi Meredith Rand – bo ta władza, którą masz, jest całkowicie związana z urodą i w końcu zdajesz sobie sprawę, że uroda jest jak pudełko, w którym

ciągle siedzisz, albo jak więzienie, że nikt nigdy nie popatrzy na ciebie albo nie pomyśli inaczej niż w związku z urodą.

– ...

– To nie tak, że myślałam o sobie, jakbym była nie wiadomo jak ładna – mówi Meredith Rand – a w liceum to już na pewno.

Obraca papierosa w palcach, ale go nie zapala.

– Za to jak nic wiedziałam, że wszyscy inni uważają, że jestem ładna. Jakoś tak odkąd skończyłam dwanaście lat, ludzie mówili mi, jaka jestem śliczna i piękna, a w liceum byłam jednym z kociaków, a wszyscy wiedzieli, kto się do nich zaliczał, i to było jak jakiś oficjalny społeczny komunikat: jestem ładna, jestem pociągająca, mam władzę. Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak sądzę – mówi Drinion.

– Bo właśnie o to chodziło z tą intensywnością, ja i on naprawdę rozmawialiśmy o tym, tym byciu ładną. Wtedy po raz pierwszy z kimś o tym rozmawiałam. Zwłaszcza z facetem. No, jeśli nie liczyć tych od „Jesteś taka śliczna, kocham cię” i ich prób pakowania mi języka do ucha. Jakbym niczego innego nie potrzebowała słyszeć, tylko że jestem piękna, żeby mu pozwolić mnie czochrać.

– ...

– Kiedy jest się ładną – mówi Meredith Rand – można mieć trudności z szanowaniem facetów.

– Rozumiem – mówi Drinion.

– Bo nigdy nie uda ci się zobaczyć, jacy są naprawdę. Bo kiedy tylko się pojawiaasz, oni momentalnie się zmieniają; jeśli uznają, że jesteś piękna, to się zmieniają. To tak jak w fizyce: jeśli obserwujesz eksperyment, to ponoć majstrujesz przy wynikach.

– Jest w tym pewien paradoks – mówi Drinion.

– Tyle że przez jakiś czas ci się to podoba. Podoba ci się całe to zainteresowanie. Nawet jeśli się zmieniają, to wiesz, że zmieniają się przez ciebie. To twoja atrakcyjność, pociągasz ich.

– Stąd języki w uchu.

– Chociaż w przypadku wielu z nich okazuje się, że efekt jest odwrotny. Prawie że cię unikają. Oblatuje ich strach albo zdenerwowanie, sprawiasz, że chcą czegoś, a im robi się głupio albo się boją, że tego chcą, nie odezwą się do ciebie ani na ciebie nie spojrzą albo zamiast tego odstawiają taką pokazówkę jak Bob

Podwójny Paluch, ten seksistowski pseudoflirt, co to jemu się wydaje, że chce ci tym zaimponować, ale tak naprawdę robi to, żeby zaimponować innym chłopakom, pokazać, że się nie boi. A ty nawet nie robisz nic, żeby go sprowokować; wystarczy, że jesteś, a wszyscy się zmieniają. Pstryk i hokus-pokus.

– Brzmi męcząco – mówi Drinion.

Meredith Rand zapala trzymanego od dłuższego czasu papierosa.

– Do tego inne dziewczyny cię nienawidzą; nawet cię nie znają, nie rozmawiają z tobą, ale będą cię nienawidzić tylko z tego powodu, że wszyscy chłopcy reagują na ciebie tak, jak reagują, zupełnie jakby się było dla nich zagrożeniem, albo zakładają, że jesteś zarozumiałą suką, choć nawet nie spróbują cię poznać.

Obraca głowę przy wypuszczaniu dymu, po czym wraca do poprzedniej pozycji w sposób, który jest określonym stylem. Większość ludzi uważa ją za bardzo bezpośrednią.

– Nie byłam głupią cizią – mówi. – Nieźle liczyłam. Wygrałam konkurs matematyczny w dziesiątej klasie. Ale oczywiście nikogo nie obchodziło, że jestem bystra, że jestem dobra z matmy. Nawet nauczyciele mężczyźni mieli cielejące oczy albo robili się nerwowi, albo obleśni i zalotni, kiedy po lekcji podchodziłam z jakimś pytaniem czy, nie wiem, problemem. Czyli byłam kociakiem i nie było mowy, żeby ktokolwiek pomyślał, że można zobaczyć we mnie coś poza tym. Posłuchaj – mówi Meredith Rand – nie zrozum mnie źle. To nie tak, że myślę o sobie, jaka to jestem ładna. Nie mówię, że jestem piękna. Właściwie to nigdy nie myślałam, że jestem szczególnie piękna. Moje brwi są zbyt gęste, choćby to. Nie mam zamiaru bawić się w wyskubywanie, ale są zbyt gęste. I moja szyja jest gdzieś ze dwa razy dłuższa niż u normalnej osoby, kiedy patrzę w lustro.

– ...

– Nie żeby to miało znaczenie.

– Nie.

– Nie co?

– Nie, rozumiem, że to tak naprawdę nie ma znaczenia – mówi Drinion.

– Tyle że właśnie ma. Nie rozumiesz. Bycie ładną, w każdym razie, kiedy się jest w tamtym wieku, to jak pułapka. Jest ten chciwy

element, który naprawdę lubi zainteresowanie. Jest się tą specjalną, pożądaną. Łatwo zacząć myśleć o urodzie jako o sobie samej, jakby to było wszystko, co się ma, to, co sprawia, że jestem specjalna. W dzinsach z właściwą metką i sweterkach, które można wrzucić do suszarki, żeby były jeszcze ciaśniejsze. I chodzi się w tym.

Chociaż nieprawdą byłoby stwierdzenie, że to, co Meredith Rand nosi na placówce, to ubiór skromny czy byle jaki. To zestawy odpowiednie do pracy, zupełnie zgodne z przepisami dotyczącymi ubioru, ale wielu kontrolerów na placówce i tak gryzie się po palcach, kiedy ich w nich mija, zwłaszcza w miesiącach zimowych, kiedy skrajnie suche powietrze elektryzuje materiały.

Mówi:

– Druga strona medalu jest taka, że zaczynasz też rozumieć, że jesteś tylko kawałkiem mięsa. Tym właśnie jesteś. Bardzo pożądanym mięsem, ale też, że nigdy nie będą traktować cię poważnie i nigdy nie zostaniesz takim na przykład prezesem banku czy kimś takim, bo nikt nigdy nie dostrzeże nic poza urodą, to uroda na nich działa i tylko ona się dla nich liczy, i trudno nie dać się temu wciągnąć, nie zacząć się, wiesz, jakby tak dopasowywać i widzieć siebie tak samo.

– To znaczy jako kogoś, kto widzi i reaguje na innych przez pryzmat atrakcyjności?

– Nie, *nie*.

Jest jasne, że Meredith Rand miałaby problem z rzuceniem palenia, bo sposób, w jaki pali i wydmuchuje, i porusza przy tym głową, pozwala jej sporo zakomunikować.

– Chodzi mi o to, że zaczynasz postrzegać siebie jako kawałek mięsa, że masz tylko i wyłącznie swój wygląd i to, jak to działa na chłopców, facetów. To się zaczyna tak, że nawet nie wiesz, że już tak myślisz. I to jest straszne, bo jednocześnie to jest tak, jakby się było w skrzynce; wiesz, że jest w tobie coś więcej, bo to czujesz, ale nikt inny się o tym nie dowie, nawet inne dziewczyny, które albo cię nienawidzą, albo się cię boją, bo jesteś monopsonem, albo jeśli one też są kociakami albo cheerleaderkami, to z tobą rywalizują i myślą, że muszą grać w te rywalizacyjne złośliwe gierki, o których faceci nic nie wiedzą, ale wierz mi, to potrafi być naprawdę okrutne.

To, że jedno nozdrze Driniona jest trochę większe od drugiego, czasami powoduje, że wygląda, jakby przechylał głowę, nawet kiedy tego nie robi. To nieco podobne do oddychania przez usta. Meredith Rand zwykle interpretuje brak wyrazu twarzy jako nieuwagę, coś takiego, jak gdy czyjaś twarz robi się pusta, kiedy się do niego mówi, a on udaje, że słucha, tylko że tak naprawdę nie słucha, jednak brak wyrazu twarzy u Driniona robi inne wrażenie. Poza tym to albo jej wyobraźnia, albo Drinion prostuje plecy coraz bardziej i rośnie, bo wydaje się ciut wyższy niż na początku tête-à-tête. Kolekcja różnych typów staromodnych fedor i homburgów, i rozmaitych wyjściowych kapeluszy przyklejonych lub jakoś przytwierdzonych do palisandrowej lakierowanej deski, którą było widać na przeciwległej ścianie Meibeyera ponad głową Driniona, jest teraz częściowo przesłonięta jej czubkiem i odrobinę odstającym kosmykiem włosów, który sterczy ze zwieńczenia jego okrągłej głowy. Drinion w rzeczywistości odrobinę lewituje, co mu się zdarza, kiedy jest kompletnie pogrążony w tym, co robi; to bardzo nieznaczne i nikt z obecnych nie widzi, że jego tyłek unosi się odrobinę ponad siedziskiem krzesła. Pewnego wieczoru ktoś wchodzi do biura i widzi Driniona, jak unosi się do góry nogami nad biurkiem, ze wzrokiem zatopionym w skomplikowanym zeznaniu, przy czym Drinion sam nie zdaje sobie sprawy z lewitacji, niejako z zasady bowiem występuje ona tylko wtedy, kiedy jego uwaga jest całkowicie zaprzątnięta czymś innym.

– Stąd się częściowo bierze to uczucie skrzynki – kontynuuje Meredith Rand. – Czuje się to, co nastolatki odczuwają i tak już bardzo mocno: to wrażenie, że nikt tak naprawdę nie zobaczy cię takim, jakim naprawdę jesteś, ani nie pokocha prawdziwego ciebie, bo tak naprawdę cię nie widzą i z jakiegoś powodu ty im na to nie pozwalasz, mimo że czujesz, że chciałbyś, żeby mogli. Ale też jednocześnie to jest takie uczucie, że wiesz, że to nudne i niedojrzałe, i w ogóle coś jakby rodem ze słabego filmu, coś jak „O ja biedna, nikt mnie nie kocha za to, jaka jestem”, więc równocześnie z uczuciem samotności masz też świadomość, że ta samotność jest głupia i banalna, więc nawet sobie nie współczujesz. I o tym właśnie gadaliśmy, to jest to, o czym mi powiedział: że poznał bez mówienia, że jestem bardzo samotna, że chlastanie się

miało coś wspólnego z urodą i z tym, że uważałam, że nie mam prawa narzekać, a jednak byłam naprawdę nieszczęśliwa, wierząc jednocześnie, że niebycie ładną byłoby dla mnie jak koniec świata, że stałabym się po prostu kawałkiem mięsa, którego nikt nie chce, a nie kawałkiem mięsa, który akurat chcieli. Coś jakbym była w tym uwięziona, a jednak wciąż nie wolno mi było się na to skarżyć, no bo przecież patrz na te wszystkie dziewczyny, które mi zazdrościły i myślały, że ktoś, kto jest ładny, nie może być samotny albo mieć problemów, a nawet jeżeli narzekałam, to całe to narzekanie trąciło banałem, on mnie nauczył słów „banalny” i „tête-à-tête”, i jak to się może dołożyć do całej tej samotności; prawda za słowami „Jestem tylko mięsem, ludzi obchodzi tylko moja uroda, nikogo nie obchodzi, jaka naprawdę jestem w środku, jestem samotna” jest najzwyczajniej nudna i banalna, jak jakiś cikliwy kawałek z *Redbooka*, nie coś pięknego czy niepowtarzalnego, czy specjalnego. I przy tej okazji po raz pierwszy pomyślałam o bliznach i chlastaniu się jako wypuszczaniu niepięknej wewnętrznej prawdy na zewnątrz, na wierzch, nawet jeśli i tak chowałam je pod długimi rękawami... chociaż krew jest właściwie w sumie całkiem ładna, kiedy się jej tak przyjrzeć, to znaczy, zaraz jak zaczyna się pokazywać, ale nacięcie musi być wtedy bardzo ostrożne i delikatne, i nie za głębokie, takie, żeby krew pojawiła się bardziej jak taka kreska, która się powoli rozszerza, tak że masz trzydzieści sekund albo więcej, zanim musisz ją zetrzeć, bo zaczyna ciec.

– To boli? – pyta Shane Drinion.

Meredith Rand gwałtownie wypuszcza powietrze i spogląda wprost na niego.

– Co to ma znaczyć z tym „boli”? Już tego nie robię. Nie robię, odkąd go poznałam. Bo on mniej więcej powiedział mi to wszystko i powiedział mi prawdę, że koniec końców nie ma znaczenia, dlaczego to robię albo co to sobą jakby reprezentuje.

Jej wzrok jest bardzo przytomny i obojętny.

– Jediną istotną rzeczą było, że to robię i co zrobić, żeby przestać. O to chodziło. W odróżnieniu od lekarzy i grup, którym się opowiadało o uczuciach i zastanawiało dlaczego, jakby poznanie powodu miało sprawić, że ot, magicznie, przestanę to robić. On powiedział, że to wielkie łgarstwo, które wszyscy kupili, przez co

lekarze i standardowa terapia to taka strata czasu dla takich osób jak my; mylili diagnozę z lekarstwem. Że niby, jeśli dowiesz się dlaczego, to się skończy. A to bzdura.

Meredith Rand mówi:

– Możesz przestać, tylko samemu przestając. A nie czekając, aż ktoś ci to wyjaśni w jakiś magiczny sposób, i wtedy pstryk i hokus-pokus.

Drinion:

– Wygląda na to, że naprawdę ci pomógł.

– Był bardzo bezpośredni – mówi Rand. – Okazało się, że mówienie bez ogródek to coś, czym się szczyli... Jego gra polega na tym, że niczego nie odgrywa. Ale odkryłam to dopiero później.

– ...

– Oczywiście rozumiesz, jak to, że ktoś odnosi się z takim współczuciem i zrozumieniem tego, co tak naprawdę dzieje się z tobą w środku, jak to wpłynęłoby na dziewczynę, która myślała, że jej problemem jest, że nikt nie umie dostrzec w niej nic poza urodą. Chciałbyś wiedzieć, jak ma na imię?

Drinion mruga. Nieczęsto zdarza mu się mrugnąć.

– Tak.

– Edward. „Ed Rand, niedoszły licencjat nauk przyrodniczych”, mówił. Więc sam rozumiesz, że miałam całkiem mocne przesłanki, żeby się w nim zakochać.

– Chyba tak.

– No więc nie muszę ci tego tłumaczyć – mówi Meredith Rand. – Na swój sposób, gdyby był zbokiem albo pijawką, która tą drogą rozgrywa rzeczy, to by była dla niego idealna sytuacja do rozkochiwania w sobie ładnych młodych dziewczyn. Zatrudnij się w miejscu, dokąd wszyscy trafiają pochrzanieni i samotni, i w kryzysie, i wyszukuj młode dziewczyny, których problemem będzie najpewniej zawsze ich wygląd. Więc jeśli miał głowę na karku, to wystarczyłoby... A przez oddział przewinęły się setki popapranych dziewczyn, które się głodziły albo kradły ciuchy w centrach handlowych, albo się obżerały, albo cięły, albo wpadły w narkotyki, albo ciągle uciekały ze starszymi od nich czarnymi facetami od rodziców, którzy za każdym razem i tak ściągali je do domu, wszystko jedno, wiesz, o co mi chodzi, ale wszystkie miały

ten jeden zasadniczy problem, każda, która tam trafiała, niezależnie od oficjalnej przyczyny przyjęcia, no więc to, że nie czuły, że inni tak naprawdę je znają i rozumieją, i to jest powodem ich samotności, nieustannego bólu, który kazał im się ciąć albo jeść, albo nie jeść, albo obciążać po kolei całą drużynę koszykówki za śmietnikiem na tyłach stołówki, tak jak jedna cheerleaderka, która robiła to przez całą pierwszą klasę, wiem to na pewno, chociaż nigdy nie należała do kociaków, bo wszyscy mieli ją za taką totalną zdzirę; mnóstwo kociaków po prostu jej nienawidziło.

Rand spogląda szybko wprost na Driniona, próbując dostrzec jakąś widoczną reakcję na dźwięk słowa „obciążać”, której on jednak nie wykazuje.

– I łatwo byłoby mu je ściągnąć do salki konferencyjnej i sprzedać im jakąś gadkę na ich temat, która by nimi totalnie wstrząsała albo je zadziwiła, no bo one przecież nigdy *nikomu* o tym nie mówiły, a jednak to, o czym by im powiedział, było tak łatwo dostrzec i rozpoznać, bo w gruncie rzeczy chodziło o to samo.

Drinion pyta:

– Powiedziałaś mu to w trakcie sesji terapeutycznych określanych jako intensywne?

Rand kręci głową, gasząc papierosa marki Benson & Hedges.

– To nie były sesje terapeutyczne. Nie znosił tego określenia, całej tej terminologii. To były po prostu tête-à-têtes, gadanie.

Znowu wykonuje tyle samo dźgnięć i przekreśleń przy gaszeniu, ale z mniejszą siłą niż wtedy, gdy była zniecierpliwiona albo zirytowana zachowaniem Shane’a Driniona. Mówi:

– To właśnie było jego zdaniem wszystko, czego potrzebowałam, po prostu z kimś porozmawiać, tak bez ściemniania, z czego lekarze w Centrum Zellera nie zdają sobie sprawy albo jakby nie mogą zdać sobie z tego sprawy, bo wówczas musiałyby runąć cała struktura; że lekarze spędzili cztery miliony godzin na studiach medycznych i rezydenturze, a firmy ubezpieczeniowe płacą całą tę kasę za diagnozę i terapię zajęciową, i protokoły z terapii, że to wszystko struktura instytucjonalna, a jeśli tylko coś się instytucjonalizuje, wtedy staje się takim jakby sztucznym organizmem i zaczyna starać się utrzymać przy życiu i służyć własnym potrzebom, jak osoba, tyle że nie jest osobą, to przeciwieństwo osoby, ponieważ nie ma w sobie

nic poza wolą przetrwania i instytucjonalnego wzrostu; powiedział mi: tylko popatrz na chrześcijaństwo, na cały Kościół.

– Ale pytałem, czy powiedziałaś mu o swoich podejrzeniach, że może wcale cię nie rozumie i się tobą nie przejmuje, tylko jest zbokiem.

Czasami w trakcie rozmowy Meredith Rand spogląda krytycznie na własne paznokcie, które mają kształt migdałów i nie są ani za długie, ani za krótkie, i powleka je błyszczący czerwony lakier. Shane Drinion przygląda się jej dłoniom tylko wówczas, gdy ona też to robi.

– Nie musiałam – mówi Rand. – On sam z tym wyszedł. Edward. Powiedział, że przy moim problemie jest tylko kwestią czasu, kiedy przyjdzie mi do głowy, że być może on mnie nie rozumie i nie przejmuje się mną, tylko podchodzi do mnie tak jak mechanik do maszyny; to w drugim tygodniu w psychiatryku miałam te wszystkie sny o najróżniejszej maszynerii, z zębatkami i tarczami, o których symbolice lekarze i tak zwani terapeuci tak bardzo chcieli ze mną porozmawiać, z czego on i ja mieliśmy oboje ubaw, bo to znaczenie było oczywiste nawet dla idioty, co nie było, jak mi powiedział, winą lekarzy ani nie znaczyło, że są głupi, tak po prostu działał mechanizm instytucji terapii szpitalnej, i wpływ doktorów na to, jaką wagę przypisywać snom, był nie większy niż wpływ jakiejś drobnej części maszynerii na drobne zadanie czy ruch, dla wykonywania którego raz za razem umieszczono ją w układzie jako element większej operacji tego większego układu.

Opinia o Rand w RCK jest taka, że jest seksowna, ale stuknięta i potrafi porządnie przynudzać, jak ją sprowokować, to po prostu już nie może się zamknąć; spierają się o to, czy ostatecznie zazdroszczą jej mężowi, czy mu współczują.

– Ale to on z tym wyszedł, zanim jeszcze zaczęłam się nad tym zastanawiać.

Otwiera wieczko plastikowej papierośnicy, ale nie wydobywa z niej papierosa.

– Co było, muszę przyznać, takie dość zaskakujące, bo do tego czasu zdążyłam skończyć osiemnaście lat i mieć już na tyle złe doświadczenia z podejrzаныmi typami i zbokami, i sportowcami, i tymi „kocham cię” słyszanyymi od studentów na pierwszej randce,

że miałam podejrzliwe i cyniczne podejście, jeśli chodzi o podwójne motywy facetów, i w zwykłej sytuacji, z chwilą kiedy ten chorowity, drobny salowy zacząłby zwracać na mnie uwagę, uruchomiłabym wszystkie moje osłony i rozważałabym wszelkie wstrętne, depresyjne możliwości.

Czerwone czoło Driniona przez chwilę znaczą zmarszczki.

– Miałaś osiemnaście czy siedemnaście lat?

– A – mówi Meredith Rand – jasne.

Kiedy udaje młodszą, czasami zaczyna chichotać, szybko i bezbarwnie, na zasadzie refleksu.

– Dopiero co skończyłam osiemnaście. Miałam osiemnaste urodziny trzeciego dnia w Zellerze. Moi rodzice nawet przyszli z tortem i pizcachkami w godzinach odwiedzin i próbowali świętować, że niby hip, hip, hura, co było tak żenujące i dobijające, że nie wiedziałam, co robić, bo jak to jest, że tydzień wcześniej histeryzujecie z powodu kilku nacięć i wsadzacie mnie do zsypu, a teraz chcecie, żeby było wszystkiego najlepszego i żebym nie zwracała uwagi na krzyki dziewczyny w różowym pokoju, kiedy zdmuchuję świece, a wy zaciągacie pod brodą gumki przytrzymujące nakrycia głowy, więc po prostu robiłam, jak chcieli, bo nie wiedziałam, jak im to właściwie powiedzieć, że to jest totalnie nienormalne z ich strony, to całe wszystkiego najlepszego, Meredith, jupi.

Ugniata mięso jednej ręki dłonią drugiej, kiedy o tym mówi. Czasami, kiedy Shane Drinion zaplata dłonie przed sobą na blacie, zmienia kciuk, który jest na górze. Jego wcześniej pełna szklanka piwa spoczywa pusta, jeśli nie liczyć półkola pianistej pozostałości wzdłuż wewnętrznej krawędzi dna. Meredith Rand może teraz wybrać spośród trzech cienkich słomek tę, którą będzie gryźć; jedna z nich jest już całkiem porządnie pogryziona i spłaszczona u jednego końca. Mówi:

– Więc to on z tym wyszedł. Powiedział, że to być może wkrótce dojdzie do mnie na którymś poziomie, więc jeśli chcę, żeby było naprawdę intensywnie, możemy o tym równie dobrze już pogadać. Zawsze upuszczał bombki w tym stylu, po czym, kiedy ja robiłam o tak – tu Meredith robi przesadnie zaskoczoną minę – on z jękiem ściągał nogi ze stołu i wychodził z kartą na podkładce na obchód;

musiał zgodnie z przepisami sprawdzać wszystkie co kwadrans i notować, gdzie są, i upewniać się, że żadna nie próbuje rzygnąć albo nie skręca ze sobą poszewek, żeby się na nich powiesić, więc zostawiał mnie tam w salce konferencyjnej, gdzie nie było nic do oglądania ani do roboty, i czekałam tam, aż wróci, co zwykle zajmowało mu dużo czasu, ponieważ nigdy nie czuł się najlepiej, a jeśli nie było siostry przełożonej czy kogoś, kto mógłby go obserwować, to chodził bardzo powoli i opierał się co chwila o ścianę, łapiąc oddech. Był biały jak duch. Do tego brał jeszcze te wszystkie diuretyki, po których ciągle chciało mu się sikać. Tyle że kiedy go o to wszystko pytałam, odpowiadał, że to jego prywatna sprawa i nie jesteśmy tu, żeby rozmawiać o nim, on się tu nie liczy, bo tak naprawdę jest tu tylko takim jakimś zwierciadłem dla mnie.

– Więc nie wiedziałaś, że ma kardiomiopatię?

– Mówił tylko, że ma spieprzone zdrowie, ale że zaletą fizycznej rozsypanki dla niego jest to, że wygląda dokładnie na taką ruinę, jaką faktycznie jest, nie da się tego ukryć czy udawać, że jest mniej zrujnowany, niż sam czuje. Co zupełnie odróżniało go od takich ludzi jak ja; powiedział, że jedynym sposobem, w jaki większość ludzi może pokazać swoją ruinę, jest rozsypać się, a potem dostać w miejsce jak to, jak Zeller, co jest już bezdyskusyjnym sygnałem dla ciebie i twojej rodziny, i wszystkich innych, że jesteś wrakiem, więc pobyt w psychiatryku przynosi przynajmniej pewną ulgę, ale, mówiąc biorąc pod uwagę realia, to jest ubezpieczenie i pieniądze oraz sposób działania instytucji takich jak Zeller, biorąc pod uwagę te realia, jest niemal pewne, że nie będę tu bardzo długo, no i co zrobię, kiedy będę musiała wrócić do prawdziwego świata z tymi wszystkimi żyletkami i nożykami X-Acto, i bluzkami z dużym rękawem? Z długim rękawem.

– Mogę o coś zapytać?

– No pewnie.

– Zareagowałaś? Kiedy poruszył kwestię związku jego pomagania tobie i intensywnych rozmów z twoją atrakcyjnością?

Rand na przemian zatrząskuje i otwiera białą papierośnicę.

– Powiedziałaś coś w stylu: więc byłbyś tu ze mną taki przejęty i zainteresowany, gdybym była gruba, z syfami i taką wielką szczeną? Na co on, że nie umie powiedzieć tak albo nie, ale że

pracował z różnymi ludźmi i były wśród nich nieładne i ładne dziewczyny, powiedział, że to ma więcej wspólnego z tym, jak bardzo ktoś był obudowany. Jeśli ktoś jest za bardzo obudowany w sensie swoich prawdziwych problemów albo jeśli jest po prostu świrem i kiedy na niego patrzy, widzi tylko jakiś błyszczący, przerażający posąg o czterech twarzach czy coś, wtedy nie jest w stanie pomóc. Tylko jeżeli czuje pewien rodzaj prądu od jakiejś osoby, wydaje mu się, że może mógłby ją zrozumieć i może zaproponować prawdziwą międzyludzką rozmowę i pomoc, poza tą nieuchronną od lekarza i instytucji.

– Przyjąłeś taką odpowiedź na twoje pytanie? – mówi Drinion, a w jego minie Meredith Rand nie widzi niedowierzania ani oceny.

– Nie, odparłam jakoś sarkastycznie, że bla, bla, bla, spoko, wszystko jedno, ale on wtedy powiedział, że to nie była jego prawdziwa odpowiedź, że chce odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ wie, jak jest ważne, że totalnie rozumie mój niepokój i nieufność, czy w ogóle bym go obchodziła i zwróciłby na mnie uwagę, gdybym nie była ładna, ponieważ, powiedział, w rzeczywistości to mój zasadniczy problem, który będzie za mną szedł, kiedy opuszczę Zellera, i z którym muszę się nauczyć sobie radzić albo tu wrócę, o ile nie coś gorszego. Potem powiedział, że za chwilę cisza nocna i musimy na dzisiaj kończyć, na co ja, że jak to, mówisz mi, że mam ten zasadniczy problem, z którym muszę się uporać albo mogiła, i już, to by było na tyle, karaluchy pod poduchy? Byłam taka wkurzona. A potem przez dwa albo trzy dni wcale się nie pojawiał i totalnie schizowałam, a zamiast niego był ten drugi facet, od weekendów, a personel dzienny nic ci nigdy nie mówi, widzą tylko, że jesteś pobudzony, ale nikogo nie obchodzi, z jakiego powodu to pobudzenie, nikt nie chce słuchać twoich pytań, jeśli jesteś pacjentem na oddziale, nie jesteś człowiekiem i nie muszą ci niczego mówić.

Rand nadaje swojej twarzy wyraz sfrustrowanego zdystansowania.

– Okazało się, że trafił do szpitala, takiego prawdziwego; kiedy zapalenie się zaognia, wtedy serce nie tłoczy krwi do wszystkich zakątków i jest trochę jak przy tej zastoinowej niewydolności serca; musisz dostawać tlen i potężne leki przeciwzapalne.

– Więc się niepokoiłaś – mówi Drinion.

– Tylko że wtedy tego nie wiedziałam, wiedziałam tylko tyle, że go nie ma, a potem był weekend, więc minęło sporo czasu, zanim zjawił się z powrotem, a kiedy to nastąpiło, byłam tak totalnie wnerwiona, że nawet nie odezwałam się do niego słowem na korytarzu.

– Kazał ci czekać bez uprzedzenia.

– Wiesz – mówi Rand – wzięłam do siebie to, że tak mnie w to wciągnął i poczęstował tą ciężką terapeutyczną gadką, a potem zniknął, jakby to wszystko było jakąś sadystyczną grą, więc kiedy wrócił w następnym tygodniu i zagadnął w świetlicy, udałam po prostu, że oglądam to, co akurat szło w telewizji, zupełnie jakby go tam nie było.

– Nie wiedziałaś, że był w szpitalu – mówi Drinion.

– Kiedy się dowiedziałam, jak bardzo jest chory, było mi potem z tym źle; tak jakbym zachowała się jak zepsuty bachor albo dziewczyna, którą chłopak porzucił przed studniówką. Ale zdałam sobie też sprawę, że mi na nim zależy, czułam, że tak jakby prawie go potrzebuję, a nie licząc mojego taty i kilku przyjaciółek z dzieciństwa, nie pamiętałam, kiedy ostatnio czułam, że mi na kimś zależy i że kogoś potrzebuję. Z powodu tej całej urody. – Meredith Rand mówi: – Miałaś kiedyś tak, że uświadamiasz sobie, że na kimś ci zależy, właśnie kiedy nie ma tego kogoś obok ciebie, i myślisz wtedy: o Boże, o Boże, nie ma go, co ja teraz zrobię?

– Raczej nie.

– No nic, tak czy siak dało mi to do myślenia. Koniec końców, kiedy wreszcie powiedziałam sobie niech będzie i znowu zaczęłam z nim rozmawiać w salce konferencyjnej, wyszło mi, że może czułam, jakbym go wkurzyła i odrzuciła od siebie tym pytaniem, czy byłby tu ze mną na tej intensywnej rozmowie w cztery oczy, gdybym była gruba i zezowata. Jakby to go wkurzyło albo jakby stwierdził, że do tego stopnia cynicznie i podejrzliwie traktuję mężczyzn, spodziewając się, że interesują się mną tylko z powodu urody, że w końcu doszedł do tego, że nie uda mu się mnie przekonać, że zależy mu na mnie na tyle, żebym dała mu się dmuchnąć albo żeby mógł sobie przynajmniej podbudować ego, że oto ta tak zwana piękna dziewczyna poleciała na niego i tak jej na

nim zależy, że pisze jego imię w pamiętniku wielkimi pochyłymi zawijasami czy co tam sobie roi. Te wszystkie nie najładniejsze rzeczy przyszyły mi chyba do głowy, bo się na niego gniewałam, że tak po prostu zniknął, myślałam, i zostawił mnie samą. Ale on przyjął to dość dobrze; powiedział, że rozumie, że mogłam się tak czuć, biorąc pod uwagę mój właściwy problem, przez co myślę, że przez jakiś czas po tym utrzymywał mnie w przekonaniu, że nie przychodził do pracy właśnie po to, żebym sama dostrzegła swój problem, zrozumiała, o co w nim chodzi, i zaczęła widzieć go realnie.

– Domagałaś się od niego jakichś wyjaśnień? – pyta Drinion.

– Niejeden raz. Dziwne jest to, że teraz nie pamiętam już na pewno, czy to on to z siebie wyrzucił, czy kazał mi się samej domyślić – mówi Meredith Rand, spoglądając teraz nieznaczenie w górę w poszukiwaniu oczu Driniona, co powinno ją zastanowić, zważywszy na wzrost ich obojga i miejsca zajmowane przy stole – jaki był tak zwany zasadniczy problem.

Drinion marszczy nieco czoło, kiedy na nią spogląda. Ona obraca palcami jednej ręki, jakby coś opracowywała albo podsumowywała.

– Pacjentka postrzegana jako bardzo ładna pragnie być lubiana za coś poza swoją urodą i jest zła, kiedy nie otrzymuje sympatii czy uwagi z powodów, które z jej urodą nie mają nic wspólnego. Ale w rzeczywistości w *jej przekonaniu* wszystko, co ma z nią związek, jest najpierw filtrowane przez urodę; jest tak zła i podejrzliwa, że nie byłaby nawet w stanie przyjąć prawdziwej, niepodrzytej niczym troski, gdyby ktoś jej ją dawał, ponieważ głęboko w środku *ona*, sama pacjentka, nie wierzy, by cokolwiek poza urodą czy atrakcyjnością mogło być motywem czyjejś troski. No, oprócz rodziców – dorzucą – którzy są sympatyczni, ale niezbyt bystrzy, no i ostatecznie to jej rodzice; mówimy o tych innych ludziach, poza domem.

Wykonuje gest podsumowujący, który może być zabarwiony ironicznie, ale niekoniecznie.

– To pacjentka jest tak naprawdę swoim zasadniczym problemem i tylko ona może go rozwiązać, i to wyłącznie jeśli przestanie chcieć być samotna i uzalać się nad sobą w stylu „O ja biedna, jestem taka samotna, nikt mnie nie rozumie, o jak mi źle, buuu”.

– Prawdę mówiąc, pytałem o inne wyjaśnienie.

Drinion w tej chwili wydaje się znacznie wyższy niż na początku tego tête-à-tête. Rzędy kapeluszy na ścianie za nim są już niemal całkiem zasłonięte. Dziwną sprawą jest też, że ktoś może patrzeć ci w oczy tak bez przerwy, a ty nie czujesz, żeby cię prowokował, nie czujesz zdenerwowania czy choćby podniecenia. Później, w samochodzie wiozącym ją do domu, Rand pomyśli, że w trakcie tête-à-tête z Drinionem czuła się sensorycznie pobudzona w sposób, który miał niewiele wspólnego z podnieceniem czy zdenerwowaniem, że czuła powierzchnię krzesła na siedzeniu i plecach, i tyłach ud, a także materiał spódnicy i krawędzie jej butów dotykające krawędzi jej stóp w pończochach, których mikrowłókna również czuła, a także własny język na tyłach zębów i podniebieniu, powietrze z klimatyzacji na linii włosów oraz pozostałe powietrze pomieszczenia na twarzy i ramionach, a także smak pozostałości dymu papierosowego. Raz czy dwa miała nawet wrażenie, że czuje dokładny kształt gałek ocznych pod powiekami, kiedy je mrużyła. Jedynym doświadczeniem, które jej się z tym kojarzyło, było to z kotem, którego miała jako dziewczynka, dopóki nie przejechał go samochód, i który siadał jej na kolanach, a ona głaskała go i czuła dudnienie jego pomruku i każdą najmniejszą drobinę ciepłego kociego futra, i mięśnie oraz kości pod nim, i to, jak potrafiła tak siedzieć bardzo długo, głaszcząc kota i czując go, z przymkniętymi powiekami, jakby miała odlot albo wpadła w stupor, ale ona sama miała wrażenie czegoś wręcz odwrotnego od stuporu, czuła się całkowicie świadoma i żywa, a jednocześnie, kiedy tak siedziała, głaszcząc kota ciągle tym samym ruchem, to było jej tak, jakby na dziesięć albo dwadzieścia minut zapomniała swoje imię i adres, i prawie wszystko inne ze swojego życia, chociaż to wcale nie było jak odlot i kochała tego kota. Brakowało jej wrażenia jego ciężaru, którego nie da się porównać z niczym innym, ani to ciężkość, ani lekkość, i bywało, że potem, przez dwa czy nawet trzy dni, czuła się tak jak teraz, jak ten kot.

– Chodzi ci o to, czy chciał mnie dmuchnąć?

Drinion:

– Chyba tak.

Meredith Rand:

– Był generalnie trupem, używał określeń „truposz” i „chodzący trup”, więc chodziło o to, że nie interesuje się mną pod tym względem, tak mówił. Nie miał dość energii fizycznej, żeby mi się dobrać do majtek, nawet gdyby chciał.

Shane Drinion:

– Czyli powiedział ci o swoim stanie.

Meredith Rand:

– Nie w aż tylu słowach; powiedział, że to naprawdę nie moja sprawa, poza tym, co dotyczyło jakoś mojego problemu. Więc powiedziałam, że zaczynam podejrzewać, że to, że on tak ciągle wspomina, że „mój problem to, mój problem tamto”, ale nie wykrztusi wreszcie, jaki to problem, to jakaś ściema, i że nie zamierzam udawać, że znam dokładny powód albo że wiem, o co mu chodzi, ale trudno mi nie myśleć, że na jakimś poziomie to jest niepokojące albo obłeśne, co mu też powiedziałam bez ogródek. Zdążyłam skończyć z grzecznością.

– Trochę się pogubiłem – mówi Drinion. – To wszystko było, zanim po prostu oświadczył, jaki jego zdaniem masz problem?

Meredith Rand kręci głową, choć teraz w odpowiedzi na podwójną niejasność. Kontrolerzy zgodnie narzekają, że zdarza się jej popłynąć, kiedy opowiada te swoje długie historie, aż w pewnym momencie gubi wątek i wtedy prawie nie ma szans, żeby nie odlecieć, żeby się nie wyłączyć, bo nie ma się już pojęcia, o co jej, do licha, chodzi. Niejeden wolny kontroler doszedł do wniosku, że jest po prostu stuknięta, że miło się jej przyglądać na odległość, ale że zdecydowanie tę dziewczynę należy omijać szerokim łukiem, zwłaszcza na przerwach, kiedy każda chwila swobodnego myślenia jest cenna, podczas gdy ona potrafi być gorsza od samej roboty. Mówi:

– Do tamtego czasu każdy facet w Zellerze zdążył się do mnie przystawiać albo do mnie zagadywał, począwszy od dziennego dyżurnego, a skończywszy na mężczyznach z pierwszego piętra, kiedy się ich spotykało na terapii zajęciowej, która była porządnym zamulaczem, pod każdym względem. Chociaż on mi to wytknął, że skoro tak mi się tam nie podoba, to po co chodzę tam w makijażu, mimo że to szpital psychiatryczny. Sam przyznasz, że to była słuszna obserwacja.

– Tak.

Zanurza i obraca wewnątrz nadgarstka w oczodole, czym sygnalizuje zmęczenie bądź próbę utrzymania wątku opowiadania, chociaż Drinion nie przejawia oznak znudzenia czy zniecierpliwienia.

– Do tego gdzieś mniej więcej wtedy powiedział mi, że lekarze w Zellerze przebąkują, że moje tak zwane przywiązanie do tego jednego dyżurnego (mieli też oko na wszelkie pogaduchy każdego i to, jak kto się odnajduje na oddziale), wszystkie te intensywne rozmowy w cztery oczy zaczynają wykazywać cechy zależności albo czegoś niezdrowego, ale nic mi o tym nie mówią, tylko jemu zadają różne pytania i generalnie uprzykrzają mu życie, więc musieliśmy teraz czekać, aż wszystkie inne zassie telewizor i dopiero wtedy wychodzić porozmawiać na klatkę schodową, tuż za drzwiami oddziału, gdzie nie było tylu ludzi i gdzie zwykle kładł się na cementie na półpiętrze, ze stopami na drugim albo trzecim stopniu schodów, i teraz już przyznawał, że to podwyższenie to nie na kręgosłup, tylko na krążenie. Więc wyszło tak, że kilka pierwszych dni spędziliśmy na klatce, gadając o tych moich wszystkich podejrzeniach, że czego on ode mnie chce i dlaczego to robi, i tak w kółko, i w kółko, no i powiedział mi trochę więcej o sobie i o tym, jak się nabawił kardiomiopatii na studiach, ale powtarzał też, że okej, może o tym ze mną mówić, jeśli tylko mam ochotę, ale że to takie zakłęte koło, bo jeśli tylko zechcę, właściwie wszystko, co powie, mogę traktować podejrzliwie i przypisać mu podwójną motywację, że może mi się to wydawać szczere i otwarte, ale jego zdaniem nie będzie wcale intensywne i skuteczne, tylko bardziej jak kręcenie się w kółko wewnątrz problemu, a nie spojrzenie na problem, a ponieważ jest chodzącym trupem, a nie częścią instytucji wariatkowa, to wydaje mu się, że może być jedyną osobą, która powiedziała by mi prawdę o moim problemie, który zasadniczo polega na tym, że muszę dorosnąć.

Meredith Rand urywa na tym i patrzy na Shane'a Driniona w oczekiwaniu na jego pytanie, co ta diagnoza miała dokładnie oznaczać; ale on nie pyta. Sprawia wrażenie pogodzonego z czymś albo jakby postanowił zaakceptować sposób przypominania sobie tej historii przez Meredith Rand na jej własnych zasadach, albo

stwierdził, że próby narzucenia pewnego porządku jej roli w tête-à-tête będą miały efekt odwrotny do zamierzonego.

Mówi:

– I naturalnie ten kawałek o dorastaniu mnie wpienił, i powiedziałam, żeby szedł się umościć na czymś ostrym, chociaż wcale mi o to nie chodziło, bo gdzieś w tamtym czasie zdążył mi już powiedzieć, że chodzą słuchy, że mają mnie wkrótce wypisać, że w zespole leczniczym już o tym rozmawiają, mimo że oczywiście nikt z nich nie wpadł na to, że mogliby mi powiedzieć, co jest grane, oraz że moja matka stara się dla mnie załatwić wizyty u jednego z lekarzy w jego prywatnym gabinecie, chociaż miał już mnóstwo poumawianych pacjentów, a do tego nie bardzo dało się to wciągnąć pod ubezpieczenie mojego taty, tak że był to biurokratyczny koszmar, który miał chwilę potrwać, ale zaczęło do mnie docierać, że to nie będzie trwać w nieskończoność, że może już w przyszłym tygodniu albo za dwa tygodnie nie będę się już z nim spotykać ani prowadzić z nim intensywnych rozmów, a może nawet nigdy więcej go już nie zobaczę... Uświadomiłam sobie, że Boże święty, nawet nie wiem, gdzie mieszka ani jak ma na nazwisko. To wszystko tak mnie rozwała, że zacznam świrować, ilekroć o tym myślę, bo już miałam okazję się wstępnie przekonać, jak to jest, kiedy nagle nie mogę z nim porozmawiać przez kilka dni albo nie wiem, gdzie się znajduje, więc świruję i w głowie już igrzmę z myślą, że coś naostrzę i zrobię sobie nacięcie, chociaż wcale nie czułam przymusu, tylko po to, żeby zatrzymali mnie w psychiatryku trochę dłużej, chociaż wiem, że to kompletnie porąbane.

Podnosi wzrok na Driniona na bardzo krótko, żeby sprawdzić, czy zareagował na tę informację.

– Co było chore i właściwie myślę, że wiedział, że coś takiego się ze mną dzieje, wiedział już wtedy, jak bardzo ważny się dla mnie stał, więc to mu dawało większą możliwość nacisku czy więcej amunicji, kiedy mówił, żebym skończyła pieprzyć, zwykle ja siedziałam na schodach prowadzących na Czwórkę, a on leżał na plecach na półpiętrze poniżej, ze stopami ułożonymi na stopniach, tak że przez cały ten czas patrzyłam na jego podeszwy, w butach takich jakby z Kmart, plastikowych, i to „dorośnij” było mówione w znaczeniu *teraz*, natychmiast, i żebym przestała być dzieckiem, bo

mnie to zabije. Powiedział, że wszystkie dziewczyny, które przewijają się przez Zellera, są takie same i żadna z nas nie ma najmniejszego pojęcia, co znaczy być dorosłym. Co było totalnie protekcyjne z jego strony i zwykle absolutnie nie powinno się czegoś takiego mówić osiemnastolatce. Więc mieliśmy o to małą sprzeczkę. On twierdził, że bycie dziecinny to nie to samo co bycie dzieckiem, bo, mówił, patrz, jak prawdziwe dziecko głaszcze kota albo jak słucha historii, a przekonasz się, że to przeciwieństwo tego, co my wszystkie robimy tutaj, w Zellerze.

Shane Drinion jest odrobinę wychylony naprzód. Jego siedzenie znajduje się teraz 1,75 cala nad siedziskiem krzesła; wyglądające na gumowe podeszwy jego butów, poczerniałe na obrzeżach w wyniku tego samego procesu, który powoduje czernienie gumek w ołówkach, huśtają się nieznacznie w powietrzu tuż nad podłogą z kafelków. Gdyby nie przewieszona przez krzesło marynarka, Beth Rath i inni dostrzegliby światło przechodzące przez pokaźną lukę dzielącą siedzisko od jego spodni.

– Bardziej w sumie tłumaczył, niż twierdził – mówi Rand. – Powiedział, że życie ma tę określoną fazę, kiedy odcinasz się od tego jakby właśnie niesamoświadomego szczęścia i magii dzieciństwa, powiedział, że tylko poważnie zaburzone albo autystyczne dzieci nie znają tej dziecięcej radości, za to na późniejszych etapach życia i w okresie dojrzewania zdarza się, że ktoś rozstaje się z tą dziecięcą wolnością i uczuciem pełni, pozostaje natomiast kompletnie niedojrzały. Niedojrzały w takim sensie, że czeka albo chce, żeby ktoś w rodzaju takiego magicznego tatusia czy wybawcy zjawił się na jego drodze i dostrzegł go, i naprawdę go poznał, i zrozumiał, i troszczył się tak, jak rodzice troszczą się o dziecko, i ocalił. Żeby cię ocalił przed tobą. Też często ziewał i uderzał butami o siebie, i przyglądałam się, jak podeszwy schodzą się i rozchodzą. Powiedział, że tak się objawia niedojrzałość u młodych kobiet i dziewcząt; u mężczyzn wygląda to trochę inaczej, ale tak naprawdę chodzi o to samo, czyli pragnienie, żeby ktoś odwrócił twoją uwagę od tego, co straciłeś, i ustawił cię, jak trzeba, i uratował. To dosyć banalne, to jak z podręcznika lekarza, więc pytam go, czy to jest ten mój zasadniczy problem? A on, że nie, że to zasadniczy problem każdego i powód, dla którego dziewczyny

mają taką obsesję na punkcie urody i tego, czy zdołają się komuś spodobać i wzbudzić w nim wystarczająco dużo miłości, by ta osoba je uratowała. Moim zasadniczym problemem, powiedział mi, związanym z zasadniczym problemem, o którym ci właśnie powiedziałam, jest ta mała uroczą pułapka, którą na siebie zastawiłam, dzięki której nigdy nie będę musiała dorosnąć i będę mogła pozostać niedojrzała i w nieskończoność oczekiwać, że ktoś mnie uratuje, ponieważ nie będę w stanie się przekonać, że nikt nie może mnie ocalić, ponieważ zamknęłam sobie drogę do tego, o czym jestem tak przekonana, że tego potrzebuję i mi się należy, co pozwala mi zawsze czuć złość i żyć z przekonaniem, że tak naprawdę mój problem polega na tym, że inni nie widzą i nie kochają mnie prawdziwej, tak jakbym chciała, więc zawsze będę miała swój problem do noszenia, trzymania i głaskania i będę sobie wyobrażać, że to mój prawdziwy problem.

Rand podnosi na Shane'a Driniona intensywne spojrzenie.

– Czy to brzmi banalnie?

– Nie wiem.

– Mnie tak jakoś brzmiało – mówi Meredith Rand. – Powiedziałam mu, że to niesamowicie pomocne i teraz już wiem, co mam robić, jak dostanę wypis z Zellera, czyli trzasnąć obcasami i z diagnozy zrobić lekarstwo, no i że jak ja mu się odwdzięczę.

Drinion mówi:

– Byłaś mocno sarkastyczna.

– Byłam wkurwiona! – mówi Meredith Rand całkiem głośno. – Powiedziałam mu, patrzcie państwo, zdaje się, że właśnie się okazało, że nie różni się od tych lekarzy w szykownych garniakach, dla których diagnoza równa się lekarstwu, tyle że jego diagnoza jest w dodatku obraźliwa, a on pod płaszczykiem rzekomej szczerości rajcuje się ranieniem uczuć innych. Byłam tak nieziemsko wkurwiona! A on się roześmiał i powiedział, że szkoda, że się teraz nie widzę; on mnie widział, bo leżał, a ja stałam nad nim, ponieważ gdzieś co piętnaście minut pomagałam mu się podnieść, żeby mógł wrócić z klatki na oddział i obejść sale z podkładką i przeprowadzić kontrolę. Powiedział, że wyglądam jak małe dziecko, któremu właśnie odebrano zabawkę.

– Co prawdopodobnie jeszcze bardziej cię rozgniewało – mówi Drinion.

– Powiedział coś w rodzaju: okej, wobec tego wyjaśni mi to tak, jakby rozmawiał z dzieckiem, z kimś do tego stopnia uwięzionym w problemie, że nawet nie dostrzega, że to jego problem, a nie po prostu normalny stan świata. Chciałam, żeby ludzie widzieli dalej niż uroda i seks i dostrzegali, kim jestem jako osoba, i byłam bardzo wściekła, i współczułam sobie, że tak nie jest.

Meredith Rand, w knajpie, podnosi na chwilę wzrok na Driniona.

– Że nie patrzą pod powierzchnię – mówi kontroler, żeby pokazać, że rozumie, co do niego mówi.

Ona odchyła głowę.

– Ale w rzeczywistości wszystko było powierzchnią.

– Twoją powierzchnią?

– Tak, bo pod powierzchnią były tylko te uczucia i konflikty związane z powierzchnią, i złość na to, jak wyglądam i jak to działa na ludzi, i naprawdę wszystko, co się działo u mnie w środku, sprowadzało się do wiecznych nerwów, że nikt mnie nie ratuje i że to wszystko przez moją urodę, co jego zdaniem było, jeśli się nad tym zastanowić, bardzo nieatrakcyjne; nikt nie chce mieć do czynienia z kimś, kto jest w środku tych wiecznych dąsów. Bo kto by chciał?

Rand robi ręką w powietrzu coś w rodzaju ironicznego gestu „o, proszę”.

– Więc, powiedział, na dobrą sprawę sama zadbałam o to, żeby jedynym powodem, dla którego ktoś *mógł* poczuć zainteresowanie mną jako osobą, była moja uroda, czyli właśnie to, co sprawiało, że czułam się taka zła i samotna, i smutna.

– To brzmi jak psychologiczna pułapka.

– On użył takiego porównania, że porównał to do konstruowania maszyny, która kopie cię prądem za każdym razem, kiedy krzyczysz „Au!”. Oczywiście, wiedział, że mam te sny z maszynami. Wiem, że patrzyłam po prostu na niego, częstując go tym spojrzeniem typu promień śmierci, który wszystkie kociaki tak dobrze opanowują w liceum, takie, jakby człowiek miał się rozpuścić i umrzeć, kiedy zmierzysz go takim wzrokiem. Leżał na posadzce z nogami ułożonymi na schodach, kiedy to wszystko mówił. Jego usta były

trochę niebieskie, kardiomiopatia pogłębiała się z każdym dniem, a klatki schodowe w Zellerze miały te upiorne fluorescencyjne świetlówki, przez co wyglądał jeszcze gorzej; był nie tyle blady, ile szary, z taką jakby pianistą lepką warstwą na ustach, bo nie mógł popijać ze swojej puszczonej z wodą, kiedy leżał na plecach.

Jej oczy wyglądają tak, jakby właśnie na niego patrzyła, *in situ*, na klatce schodowej w Zellerze.

– Prawdę mówiąc, wydawał mi się obrzydliwy, straszny, odrażający, jak zwłoki albo ktoś z tych ludzi w pasiakach na zdjęciach z obozów koncentracyjnych. Ale to było w tym pokręcone, że czułam do niego sympatię równocześnie z obrzydzeniem. Jego widok był odpychający – mówi.

– I że jestem tak pogrążona w moim problemie, że nie potrafię przyjąć do wiadomości, że ktoś może mnie darzyć prawdziwym, autentycznym, nieseksualnym czy nieromantycznym, czy niezwiązanym z urodą zainteresowaniem, nawet kiedy mi je okazuje. (Mówił o sobie, o czym wiedziałam, chociaż nie powiedział tego wprost; przerabialiśmy ten temat dzień w dzień przez wiele dni, a czas uciekał, o czym wiedzieliśmy oboje. Wypiszą mnie i już nigdy więcej go nie zobaczę. Ale powiedziałam mu różne dosyć paskudne rzeczy).

– Mówisz o klatce schodowej? – dopytuje Shane Drinion.

– Ponieważ głęboko w środku, mówił, widzę siebie tylko w kategoriach urody. Postrzegam siebie jako tak miłą i banalną w środku, że nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że ktokolwiek poza rodzicami mógłby okazywać mi zainteresowanie z powodu innego niż mój wygląd, niż to, że jestem kociakiem. Tak mnie złości, mówił mi, że innych obchodzi we mnie tylko uroda, ale – powiedział – to tylko zasłona dymna, teatr ludzkiego umysłu, bo tym, co naprawdę mi dokucza, jest to, że czuję, że to, jak traktują mnie chłopcy i mężczyźni, jest dokładnie tym samym sposobem, w jaki ja traktuję siebie, i że w rzeczywistości to na siebie się gniewam, tyle że nie zdaję sobie z tego sprawy, projektuję to na oblechów gwizdzących na ulicy na mój widok albo na spoconych chłopaków, próbujących mnie wyczołchać, albo na inne dziewczyny, które mają mnie za sukę, która zadziera nosa z powodu swojej urody.

Zapada chwila ciszy, to znaczy, jeśli nie liczyć odgłosów fliperów i meczu bejsbolu oraz dźwięków wydawanych przez odprężających się po pracy ludzi.

– Czy to jest nudne? – Rand pyta Driniona zniechęcony. Nie zdaje sobie sprawy, jak patrzy na Driniona, kiedy o to pyta. Przez okamgnienie wygląda prawie jak inna osoba. Meredith Rand przyszło nagle do głowy, że Shane Drinion może być jedną z tych przymilnych, lecz ostatecznie płytkich osób, które wydają, jakby wykazywały zainteresowanie, a w rzeczywistości błędzą myślami po górach i dolinach, włączając w to być może wyobrażanie sobie, jak to nie siedziałyby tutaj i nie przytakiwały uprzejmie, i nie słuchałyby tego niewiarygodnie nudnego ślinotoku, narcystycznego ślinotoku, gdyby nie związana z tym możliwość spoglądania z bliska na przepastne zielone oczy Meredith i przepiękny układ kości twarzy, a do tego odrobinę widoczny dekolt, ponieważ zdjęła żabot i rozpięła górny guzik bluzki z chwilą, w której o 17:00 rozległ się sygnał kończący zmianę.

– No, jest? Jest nudne?

Drinion odpowiada:

– Większa część nie, nie jest.

– To która część jest nudna?

– Nudna nie jest najlepszym określeniem. Niektóre fragmenty lubisz powtarzać albo opowiadasz jeszcze raz, tylko trochę inaczej. Te części nie niosą ze sobą nowych informacji, więc skupianie uwagi na nich wymaga większego wysiłku, cho...

– Znaczą które to części? Co takiego według ciebie mówię ciągle od nowa?

– Nie nazwałbym tego nudnym. Chodzi bardziej o to, że uważanie w tych częściach wymaga więcej wysiłku, chociaż skłamałbym, gdybym nazwał ten wysiłek nieprzyjemnym. Słuchanie tych części, które akurat wnoszą nowe informacje, one angażują uwagę w sposób, który nie wymaga wysiłku.

– Co, chodzi może o to, że nadaję w kółko o tym, jaka to jestem rzekomo piękna?

– Nie – mówi Drinion. Przechyliła odrobinę głowę. – Tak naprawdę, szczerze mówiąc, te fragmenty, w których akurat powtarzasz jakieś zagadnienie czy informację w nieco inny sposób,

motyw, który za tym stoi, który odbieram jako twoją obawę, że to, co przekazujesz, może być niejasne lub nieciekawe, w związku z czym trzeba to ubrać w inne słowa, przeformułować na różne sposoby, żebyś zyskała spokój, że słuchacz naprawdę cię zrozumiał, to jest interesujące i dosyć emocjonalne, i w interesujący sposób spójne z tym, czego Ed w twojej opowieści cię uczy, w związku z czym nawet powtarzające się czy nadmiarowe elementy wzbudzają zainteresowanie i poświęcanie im uwagi wymaga niewiele świadomego wysiłku, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

Meredith Rand wydobywa kolejnego papierosa.

– Brzmisz, jakbyś czytał z kartki czy coś.

– Przykro mi, jeśli to tak wygląda. Próbowałem tylko wyjaśnić, na czym polegała moja odpowiedź na twoje pytanie, ponieważ odniosłem wrażenie, jakby moja odpowiedź cię dotknęła, więc stwierdziłem, że pełniejsze wyjaśnienie może zapobiec uczuciu zranienia. Albo zażegnać twoją ewentualną złość. W moim mniemaniu doszło po prostu do nieporozumienia wywołanego zakłóceniami w komunikacji wokół słowa „nudny”.

Jej uśmiech jednocześnie wyraża i nie wyraża drwiny.

– Czyli nie tylko ja się przejmuję nieporozumieniami i staram się wyprzedzać nieporozumienia ze względów emocjonalnych.

Ale widzi, że on mówił to szczerze; nie pogrywa sobie z nią ani się jej nie podlizuje. Meredith to czuje. Jest coś takiego, co się czuje, kiedy się siedzi z Shane’em Drinionem przy stole i ma się jego oczy i uwagę zwrócone na siebie. To nie podniecenie, ale jest intensywne, trochę tak, jak gdyby stało się w pobliżu transformatorowni na południe od Joliet Street.

– Mogę zapytać – mówi Drinion – czy to właśnie projekcja, kiedy projektujesz własne emocje na inną osobę? Czy to przeniesienie?

Znowu robi minę.

– Generalnie nienawidził tego typu słów. Mówił, że są częścią samożywniej instytucji systemu ochrony zdrowia psychicznego. Powiedział, że nawet sam termin jest wewnętrznie sprzeczny: *system* ochrony zdrowia psychicznego. To było kolejnej nocy, w windzie towarowej, bo ktoś na schodach na inne piętro słyszał nasze głosy dzień wcześniej, bo klatka schodowa to był cement i metal, więc niosło się echo, i Edowi się oberwało od przełożonej pielęgniarek za

sprzyjanie mojemu niezdrowemu przywiązaniu do niego, z którego zdali sobie sprawę, widząc, jaka byłam niespokojna, kiedy nie zjawiał się przez dwa dni; okazało się, że właściwie groziło mu wylanie, głównie dlatego, że zaczął opuszczać swoje copiętnastominutowe rundki kontrolne, a jedna dziewczyna wkładała sobie palec do gardła i wyrzygiwała kolację, i ktoś znalazł jej rzygowiny, a Eda nie było tam w porę, bo leżał na klatce i trudniej mu było wstawać z pozycji, gdzie leżał cały wyciągnięty, a nogi miał na schodach, nawet jeśli mu pomagałam się podnieść, więc dał sobie siana ze wstawaniem i obchodzeniem. A jeszcze niektóre dziewczyny zaczęły mi docinać z powodu naszych rozmów, że niby jestem jego ulubienicą czy coś, i od nich poszła plotka do zespołów leczniczych, jak to zawsze udaję, że muszę z nim pogadać na osobności, i gdzieś go ciągnę i próbuję się z nim bzykać czy coś. Kilka z nich było po prostu gorzej niż okropne, po prostu takie suki, że w życiu czegoś takiego nie widziałam.

– ...

– I to było tego samego dnia, kiedy dostałam wypis albo kiedy mi powiedzieli, że wychodzę następnego dnia; moi rodzice to załatwili i na drugi dzień było z siedem milionów papierów do podpisania, po czym jechałam do domu. Była ta cała historia, jak moja mama załatwiła, żeby któryś lekarz zgodził się na terapię dzienną i takie tam. Nikt nie używał windy towarowej w nocy po zwiezieniu tac po kolacji, więc ją otworzył i weszliśmy, i on siedział na podłodze; podłoga miała metalowe wypukłe wzory i nie dało się na niej leżeć. Cuchnęło tam, było gorzej niż na klatce schodowej. Powiedział, że to ostatni wieczór, ostatnia rozmowa, więc kiedy powiedziałam, że chcę intensywnie, powiedział, że oto chwila prawdy, że prawdopodobnie więcej już się nie spotkamy ani nie zobaczymy. Zapytałam, co ma na myśli. Ale byłam zupełnie ześwirowana. To ja miałam podwójne motywy. To był moment prawdy. Wiedziałam, że nie wolno mi wyciąć żadnego numeru, żeby mnie zostawili, wiedziałam, że on mnie przejrzy, że tylko by się ze mnie śmiał. Ale byłam gotowa powiedzieć mu o moich uczuciach, że czuję do niego pociąg, chociaż tak naprawdę nie czułam, seksualnie nie, chociaż później okazało się, że tak. Po prostu nie umiałam się przed sobą do tego przyznać, do moich uczuć wobec niego, przez mój problem.

Chociaż muszę przyznać, że teraz nie jestem już taka pewna – mówi Meredith Rand. – Życie w małżeństwie to całkiem co innego niż mieć siedemnaście lat i kompletny kryzys osobowości i idealizować kogoś, kto sprawia wrażenie, jakby cię naprawdę rozumiał i mu na tobie zależało.

Teraz znacznie bardziej przypomina siebie samą.

– Ale był pierwszym facetem, przy którym miałam wrażenie, że mówi mi prawdę, który nie przejawiał podwójnej motywacji i nie zaczynał czegoś odgrywać albo nie dostawał ataków potu z nieśmiałości i chciał naprawdę mnie zrozumieć i poznać, i powiedzieć mi prawdę, jak ją widział. I on naprawdę mnie rozumiał, pamiętaj, że powiedział mi te wszystkie rzeczy o mojej mamie i sąsiedzie, o których nikt nie wiedział.

Jej twarz znowu nieco tężeje albo ściera się, kiedy patrzy wprost na Driniona, trzymając papierosa, ale go nie zapalając.

– Czy to jest jedna z tych części, które według ciebie ciągle powtarzam?

Drinion nieznacznie kręci głową, po czym czeka, aż Meredith Rand podejmie wątek na nowo. Hiperatrakcyjna kontrolerka PUP / N nadal na niego patrzy.

Drinion mówi:

– Nie. Zdaje się, że pierwotnym tematem opowiadania było to, jak wyszłaś za męża. Małżeństwo oczywiście zakłada wzajemny pociąg i romantyczne emocje, tak więc to, że po raz pierwszy wspominasz o chęci przyznania się do romantycznego pociągu, jest nową informacją, do tego bardzo do rzeczy.

Jego wyraz twarzy ani trochę się nie zmienił.

– Czyli to cię nie nudzi.

– Nie.

– I nigdy sam nie odczuwałeś do nikogo pociągu?

– O ile mi wiadomo, to nie.

– A gdybyś odczuwał, tobyś wiedział?

– Tak sędzę, tak.

– Więc twoja odpowiedź była trochę śliska, no nie?

– Chyba tak – mówi Drinion. Później przejdzie jej przez głowę, że ta odpowiedź wcale jej nie zaskoczyła. Było tak, jakby on po prostu pochłaniał kolejne informacje i dodawał je do samego siebie.

I jeszcze to (Rand nie tyle do tego dojdzie, ile po prostu przypomni to sobie na zasadzie urywka sensorycznej pamięci momentów, w których trochę się nabijała z Driniona, i dziwnego sposobu, w jaki odpowiadał, ilekroć to robiła, a mogła to robić praktycznie, kiedy tylko chciała, to znaczy nabijać się z niego, ponieważ pod pewnymi względami był totalnym świrem i przeszczepem), że wystawa różnych nakryć głowy na tylnej ścianie była teraz całkowicie zasłonięta poza samym czubkiem daszka czapki rybaka w górnym rzędzie.

– Spoko, zresztą... – mówi Meredith Rand. Obejmuje podbródek tą samą dłonią, która trzyma niezapalonego benson & hedgesa, co sprawia wrażenie przeciwieństwa swobody.

– Tak że wiem na pewno, że tego ostatniego wieczoru, w windzie, nie słuchałam go uważnie i też jakoś nie spierałam się z tym, co mi mówił, bo walczyłam z tymi wszystkimi wewnętrznymi uczuciami i konfliktami z powodu pociągu do niego, a jeszcze też totalnie świrowałam, kiedy słyszałam, że nigdy go już nie zobaczę, no bo było dogadane, że będę przychodzić na terapię dzienną, ale ta odbywała się na pierwszym piętrze, tam, gdzie były właściwe gabinety wszystkich lekarzy, a on miał tylko nocki na drugim piętrze, a to był oddział zamknięty. Już sama myśl, że nie wiem, gdzie mieszka, sprawiała, że schizowałam. Plus wiedziałam, że mogą go niedługo wylać, bo ledwie był w stanie robić kontrole, a do tego była afera z jedną z wymiociar, która wymiotowała, a on jej nie sprawdził, a wiedziałam też, że nie powiedział nikomu w Zellerze o swoim stanie zdrowia, tej kardiomiopatii, którą miał mniej więcej pod kontrolą, kiedy go zatrudniali, tak to brzmiało, ale od tego czasu się pogarszała...

– Ale nadal nie powiedział ci o kardiomiopatii.

– Ta, ale jakkolwiek mi to przedstawił, to było coś, o czym w Zellerze nie wiedzieli i po prostu myśleli, że nie dba o siebie albo że ma kaca, albo jest leniwy, coś okropnego. Więc ja schizuję i myślę, a co, gdybym zdjęła koszulę i zrobiła z nim to tutaj, czy by mi pozwolił, czy by go odrzuciło albo by się ze mnie śmiał, i jak mogłabym sprawić, żeby się z nim znowu spotkać i prowadzić intensywne konwersacje po tym, jak wrócę do mamy i Central Catholic, i co, gdybym mu powiedziała, że go kocham, i co, jeśli

umrze, kiedy ja wyjdę, a ja się nie dowiem, że umarł, bo nie wiem nawet, kim jest i gdzie mieszka. Zdałam sobie sprawę, że nie wiem nawet, co on myśli o mnie jako mnie, a nie jako pewnej dziewczynie, której pomaga, znaczy, czy myśli, że jestem interesująca albo mądra, albo ładna. Tak ciężko było myśleć, że komuś, kto rozumie mnie tak dobrze i mówi mi prawdę, nie zależy na mnie w ten specjalny sposób.

– Chodzi ci o uczucia romantyczne?

Rand porusza brwiami.

– Był w końcu facetem. No... i wtedy dotarło do mnie, że chyba robię dokładnie to, co według niego było moim zasadniczym problemem: że myślę o nim i o tym, żeby go nie stracić, i że on może mnie uratować, i że sposobem, żeby go zatrzymać, jest seks, bo to wszystko, co mam. No i pamiętam, że w pewnym momencie wtedy urządził mi test z ogólnych kwestii, które poruszyliśmy. To był i jednocześnie nie był żart.

W końcu zapala papierosa.

– Później mi wyznał, że wtedy obawiał się, że ten epizod kardiomiopatii naprawdę go wykończy (okazało się, że bywały całe dni, kiedy nie był w stanie złapać oddechu, jak od biegania, nawet jak po prostu tylko leżał; miał usta sine nie bez powodu), i powiedział, że był właściwie pewien, że już mnie nie zobaczy i nie będzie mógł się przekonać, czy zdołał mi pomóc, a chciał mieć pewność, że przed śmiercią zdołał jeszcze komuś odrobinę pomóc. No, a oczywiście ja ze swojej strony świrowałam, nie potrafiłam zgadnąć, czy lepiej będzie zdać czy oblać test, jeśli chcę go jeszcze zobaczyć. I to mimo że udawał, że cały ten test to żart, tak jakbym była przedszkolakiem, którego przepytuje przedszkolanka. Naprawdę dobrze mu wychodziła powaga i jednocześnie nabijanie się z siebie, to jeden z powodów, dla których go kochałam.

Drinion:

– Kochałaś?

– Coś jak, wiesz, pytanie pierwsze: czego się nauczyliśmy o chlastaniu się? A ja mówiłam tak: nauczyliśmy się, że nieważne, dlaczego się chlastam ani jaki mechanizm psychologiczny stoi za cięciem, znaczy, czy to jest projektowana nienawiść do siebie, czy cokolwiek. Uzewnętrznianie wnętrza. Nauczyliśmy się, że istotne

jest tylko to, żeby tego nie robić. Odciąć się od tego; tylko ja mogę zdecydować, że przestaję. Ponieważ niezależnie od instytucjonalnego powodu to jest robienie sobie krzywdy, robienie sobie na złość, co jest zachowaniem dziecinnym. To nieokazywanie sobie szacunku. Człowiek robi sobie na złość wyłącznie wtedy, kiedy w głębi duszy oczekuje, że ktoś przybiegnie go uratować, a to dziecinna fantazja. Rzeczywistość wygląda tak, że nikt nie będzie dla mnie z całą pewnością miły ani nie będzie traktował mnie z szacunkiem (o to chodziło w tym, co mówił o doświadczeniu, żeby to sobie uświadomić) i nikt z całą pewnością nie będzie mnie rozumiał czy traktował tak, jak ja chciałabym być odbierana, więc to ode mnie zależy, czy będę siebie odbierać i traktować, jakbym była naprawdę wartościowa. To się nazywa bycie odpowiedzialnym, w przeciwieństwie do bycia dziecinnym. Prawdziwe obowiązki mam wobec samej siebie. I jeżeli to, żeby podobał mi się mój wygląd, się w tym zawiera i jest częścią tego, co w głębi serca uważam za wartościowe, to w porządku. Mogę lubić bycie ładną, jednocześnie nie robiąc z urody wszystkiego, czym jestem, i nie współczując sobie, kiedy ludzie wariują z jej powodu. To była moja odpowiedź w jego teście.

Shane Drinion:

– Ale, jak rozumiem, z twojego doświadczenia wynikało, że ktoś był dla ciebie miły i traktował cię jak kogoś wartościowego.

Rand uśmiecha się w taki sposób, że wygląda tak, jakby uśmiechała się wbrew sobie. Zaciąga się też papierosem w pełniejszy, fizycznie bardziej intensywny sposób.

– No tak, o tym zasadniczo myślałam, stojąc nad nim w windzie i patrząc na niego z góry, i rozwiązując test, rozwiązując go szczerze, ale w głębi byłam rozdygotana. Tak naprawdę to czułam, jakby w rzeczywistości on był tym, co według niego było niemożliwe i dziecinne, on był właśnie tą inną osobą, której według niego nigdy nie znajdę. Czułam, jakby mnie kochał.

– Czyli mamy do czynienia z bardzo emocjonalnym konfliktem – mówi Shane Drinion.

Rand przykładła sobie dłonie do skroni i przez chwilę jej twarz udaje minę kogoś przeżywającego załamanie nerwowe.

– Mówiłam mu o zapominaniu o innych ludziach i o tym, dlaczego ich pociągam albo nie pociągam, i czy naprawdę ich obchodzę, i mówiłam o byciu po prostu przyzwoitym wobec siebie, traktowaniu siebie, jakbym była wartościowa, kochaniu siebie w dorosły sposób, i to wszystko było prawdą, naprawdę się tego nauczyłam, ale poza tym mówiłam to też dla niego, ponieważ to chciał ode mnie usłyszeć, żeby poczuć, że mi naprawdę pomógł. Ale skoro powiem mu to, co chce usłyszeć, to czy to będzie oznaczać, że może mnie zostawić i już nigdy go nie zobaczę, i nie będzie za mną tęsknił, ponieważ będzie uważał, że ze mną w porządku i że jestem bezpieczna? Ale i tak to powiedziałam. Wiedziałam, że jeśli mu powiem, że go kocham, albo tak jak stoję, rozbiore się i go pocałuję, pomyśli, że nadal tkwię w problemie dziecinności, pomyśli, że nadal myślę traktowanie mnie jako wartościowej, interesującej osoby z seksem i romantycznymi odczuciami, i pomyśli, że zmarnował czas i to było na nic, że to wszystko na nic i nie udało mu się do mnie dotrzeć, a tego mu nie mogłam zrobić; skoro miał umrzeć albo zostać zwolniony, to przynajmniej powinnam sprawić, żeby miał chociaż to: świadomość, że mi pomógł, mimo że naprawdę czułam, że może jestem w nim zakochana albo go potrzebuję.

Odkłada papierosa, tym razem bez wcześniejszych ruchów przypominających dźganie, niemalże z taką jakby czułością, jakby czule myślała o czymś innym.

– I nagle czułam się, wiesz, o Boże, to właśnie mają ludzie na myśli, kiedy mówią, że bez kogoś umrą, ktoś jest ich całym życiem, wiesz. „Po co mi to życie, gdy w nim nie ma cię” – intonuje Meredith Rand do melodii *Po co mi to życie (gdy w nim nie ma cię)* Harry’ego Nillsona – wszystkie te okropne piosenki country, których słuchał mój tata przy pracy w warsztacie samochodowym; można było pomyśleć, że każda z nich opowiada o kimś, kto mówi do ukochanej, którą stracił, i dlaczego teraz nie może bez niej żyć, jak to jego życie jest teraz straszne i że pije cały czas, ponieważ jej brak go tak boli, i nie mogłam ich znieść, bo uważałam je za tak banalne, i nic nie mówiłam, ale trudno mi było uwierzyć, że tata mógł ich słuchać i nie zbierało mu się na wymioty... I to on też mi powiedział, że jeśli posłuchasz tych piosenek, zmieniając „cię” na „mnie”, to jakby zrozumiesz, że tak naprawdę ci goście śpiewają

o utracie jakiejś części siebie albo że bez przerwy zdradzają siebie, wybierając coś, czego w ich przekonaniu chcą inni ludzie, aż stają się martwi w środku i nie wiedzą nawet, co znaczy *ja*, dlatego właśnie jedynym sposobem, w jaki są w stanie o tym myśleć i o tym, dlaczego czują się tacy martwi i smutni, jest wyobrażanie sobie, że potrzebują kogoś i nie są w stanie bez niego żyć, bez tej innej osoby – co, tak się składa, odpowiada całkowicie sytuacji nastoletniego dzidziusia, który jeśli ktoś go nie weźmie i nie nakarmi i nie zaopiekuje się nim, umrze, dosłownie, co w sumie nie jest wcale zbiegiem okoliczności, tak powiedział.

Na czole Driniona rysuje się zmarszczka namysłu.

– Pogubiłem się. Ed tam, w windzie, wyjaśniał prawdziwy sens piosenek country i westernowych? Czyli opowiedziałś mu o ich tekstach i że teraz rozumiesz uczucia, o których traktowały?

Rand rozgląda się dookoła, możliwe, że w poszukiwaniu Beth Rath.

– Co? Nie, to było później.

– Więc zobaczyliście się później, po windzie.

Rand podnosi dłoń zwróconą wierzchem w jego stronę, żeby pokazać mu obrączkę.

– A, tak.

Drinion mówi:

– Czy potrzebuję jakiejś dodatkowej informacji, żeby to zrozumieć?

Rand wygląda na rozproszoną i zirytowaną jednocześnie.

– No, przecież nie umarł, panie Einstein.

Drinion obraca pustą szklanę. Z jego czoła nie znika zmarszczka.

– Ale opowiadałaś o dylemacie między wyznaniem miłości i twoimi prawdziwymi motywami i jak przygnębiona i zagubiona się czułaś wobec perspektywy, że nigdy go już nie zobaczysz.

– Miałam siedemnaście lat, na miłość boską. Uwielbiałam dramatyzować. Wracam do domu, sprawdzam w książce telefonicznej, no i jego numer tam jest. Jego blok był jakieś dziesięć minut drogi od mojego domu.

Usta Driniona rozwierają się jak u kogoś, kto chce zadać pytanie, ale nie wie, jak właściwie zacząć, więc komunikuje swoją intencję twarzą zamiast głosem.

Rand ma rękę w górze, sygnalizując coś Beth Rath.
– W każdym razie tak go poznałam.

§47

Toni Ware stała na obrzeżach parkingu, przy automacie telefonicznym. Znajdował się po prostu na słupie, nie w budce. Opierała się nieznacznie o przedni zderzak błyszczącego samochodu. Pysk jednego z psów ukazał się ponad linią tylnej kanapy; kiedy posłała zwierzęciu groźne spojrzenie, zniknął z pola widzenia. Z przodu na fotelu pasażera leżał tuzin standardowych sześćofuntowych cegieł, każda z adresem zwrotnym innego sprzedawcy. Była kobietą przeciętnych rozmiarów, blondynką raczej z gatunku jasnych, w spodniach i beżowym prochowcu, który latał i łopotał na wietrze. Mężczyzna na drugim końcu linii powtarzał jej zamówienie, które było złożone, a składało się na nie kilka stóp miedzianej szóstki, pociętej pod kątem na czterocalowe odcinki; kąt cięcia miał mieć 60 stopni. Ta kobieta mówiła dwudziestoma różnymi głosami; wszystkie poza dwoma były ciepłe i przyjemne. Nie osłaniała słuchawki ręką, pozwalając wiatrowi dmuchać w telefon. Każdy ma nieuświadomione nawyki, którym się poddaje, kiedy rozmawia przez telefon; u niej było nim przyglądanie się skórkom paznokci dłoni, która nie trzymała słuchawki, i dotykanie kciukiem tej samej dłoni każdej z nich po kolei. Na parkingu przed sklepikiem były cztery kobiety, a prześwit między reklamami zakupu hurtowych ilości piwa w oknie otwierał widok na popiersie kasjerki wewnątrz. Dwie kobiety stały przy dystrybutorach; jeszcze jedna siedziała w oliwkowym gremlinie, czekając, aż jedna z tych dwóch zwolni dystrybutor. Miały na włosach foliowe siatki, które chroniły im fryzury od wiatru. Musiała upłynąć chwila, w trakcie której sprzedawca artykułów budowlanych weryfikował dane jej karty kredytowej, co oznaczało, że ich marża jest niska, w związku z czym nie mogą sobie pozwolić nawet na czterogodzinny transfer środków, co z kolei oznaczało, że są podatni na wpływy. Ludzie dokonują ekspresowego skanu każdego napotykanego obiektu tworzącego kontekst społeczny. W niektórych skanach istotny jest potencjał strachu i zagrożenia generowanych przez każdą nową

daną; w innych chodzi o potencjał seksualny, dochodowy, kategorię estetyczną, wyznaczniki statusu, władzy i / lub podatności na dominację. Skany Toni Ware, szczegółowe i dokładne, dotyczyły w całości podatności obiektu na wpływy. Jej włosy wyglądały na płowy blond albo tego rodzaju sypany blond, który przy pewnym oświetleniu wydaje się niemal siwy. Wiatr walił w drzwi otwierane przez wychodzących; obserwowała oddziaływanie jego siły na ich twarze i drobne, nieświadome gesty zbierania się w sobie, które wykonywali, starając się jednocześnie skulić i szybko poruszać. Nie było szczególnie zimno, ale przez wiatr *wyglądało*, jakby było zimno. Kolor jej oczu zależał od soczewek, które akurat założyła. Numer karty kredytowej, który podała mężczyźnie, był jej własnym, ale ani podane imię i nazwisko, ani numer płatnika nie należały, ściśle rzecz biorąc, do niej. Oba psy wabiły się identycznie, ale zawsze wiedziały bezbłędnie, którego z nich akurat woła. Miłość do tych psów wygrywała z każdym innym doświadczeniem w jej życiu i nadawała mu sens. Głos, którym rozmawiała ze sprzedawcą w Butts Hardware, należał do kogoś młodszego od niej, wyraźnie naiwnego, co sprawiało, że w tych handlowcach, których emocjonalne motywacje były bardziej złożone i nie sprowadzały się do wyzysku, budziły się uczucia ojcowskie – mieszanka wyniosłości i czułości. Kiedy potwierdził jej zamówienie, powiedziała: „Genialnie. Dzięki przeogromne. Łaaał”, przy czym „Łaaał” miało formę stwierdzenia, nie okrzyku. To był głos, który sprawiał, że słysząca go osoba wyobrażała sobie kogoś o długich blond włosach, w dzwonach, kto trzyma głowę ukośnie i nawet zdania twierdzące intonuje jak pytania. Zwykle jechała po bandzie w ten sposób – stwarzając fałszywe wrażenie, które było jednocześnie wyraziste i w pełni pod jej kontrolą. To było jak sztuka. Nie chodziło o destrukcję. Tak jak całkowity porządek jest nudny, tak samo jest z chaosem – w bałaganie nie ma nic głębokiego. Kasjerka w sklepie częstowała każdego niewyraźnym uśmiechem i wdawała się w krótką rozmowę. Toni Ware dwukrotnie na przestrzeni trzech lat brała udział w postępowaniu sprawdzającym ten sklep, którego nazwa brzmiała QWIK’N’EZ (identyfikacja graficzna ich logo była podejrzanie podobna do sieci restauracji Bob’s Big Boy), i jako jedna z pierwszych stacji przy międzystanówkach pozbyła się personelu

obsługującego dystrybutory i dodała mały sklep spożywczy z papierosami i napojami gazowanymi, i wszelkim badziewiem, jakie kupuje się przejazdem w takim Qwik Stopie. Wpływy gotówkowe mieli nieziemskie i co roku analiza DIF typowała ich do audytu; ale byli krystalicznie czysti, audyt terenowy uznano więc za stratę pieniędzy, ich faktury idealnie się zgadzały, a księgi mieli na tyle niechlujne, że na pewno niespreparowane, właściciel zaś był zielonoświątkowcem i zaczął już budowę kolejnej Narośli na Arterii, jak przybytek określił Bondurant, przy drugim zjeździe z siedemdziesiątki czwórki, a także starał się o działki pod dwie dalsze.

Miała dwie osobne linie telefoniczne w domu oraz masywny telefon komórkowy i dwa biurowe kody paskowe, ale osobiste sprawy załatwiała z automatów na monety. Nie była ani atrakcyjna, ani brzydka. Jeśli nie liczyć pewnej anemicznej intensywności w jej twarzy, nie miała w sobie niczego, co czyniłoby ją atrakcyjną albo odpychającą albo wyróżniało spośród tysiąca innych kobiet w Peorii, które nazywano „ślicznotkami” w ich najlepszych latach, a które teraz były niewidzialne. Lubiła, kiedy jej obecność nie rzucała się ludziom w oczy. Jediną osobą, która zauważyłaby jej wiszenie na telefonie, byłby ktoś, kto sam musiałby z niego skorzystać. Dwie kobiety i rudawy mężczyzna we flaneli napełniali baki. Dziecko w jednym z samochodów płakało, a buzia ściągnęła mu się w supeł. Szyby auta sprowadzały jego szloch do pantomimy. Matka dziecka miała zapadłą twarz i patrzyła beznamiętnie gdzieś obok zbiornika, wygładzając folię na włosach, czekając, aż wąż zakończy automatyczne napełnianie. Zamek i ramię obrotowe liny masztu, na którym powiewała flaga, pobrzękiwały tępo na wietrze. Zza pleców dobiegał ją cichy pomruk chodzącego na luzie silnika jej wozu, w którym oba psy robiły siad w identycznych pozycjach. Zwolniła tylko na chwilę, na wysokości prawych tylnych drzwi, żeby wymienić spojrzenia z tamtym dzieckiem, którego twarz była zaciekła i czerwona, podczas gdy ona swoją opróżniła z przejawów jakichkolwiek intencji, w tej chwili bowiem cały parking i ulica pulsowały intensywnością, wypełniając jej głowę niekojarzącym się z niczym dźwiękiem, na podobieństwo uderzenia dzwonu. Ciekawe, że niektórzy ludzie po prostu cierpliwie stoją przy dystrybutorze,

dopóki nie skończy tłoczyć, podczas gdy inni, jak ta pulchna kobieta tam z przodu, nie są w stanie, muszą się zająć drobnymi działaniami, jak przecieranie przedniej szyby gumową ściągaczką albo przecieranie niebieskimi ręcznikami świateł stopu, niezdolni stać nieruchomo i czekać. Mężczyzna napępiał ręcznie, celując w okrągłą sumę. Połowa twarzy dziecka była ucięta przez odbijające się w szybie niebo i flagę, która łopotała wysoko nad nią. I podobał się jej dźwięk jej własnych kroków, pewny siebie, i to, jak stąpanie odbywało się w zębach. Rurka szóstka była dostatecznie twarda, żeby wejść do końca, i na tyle miękka, żeby nie narobić hałasu przy wbijaniu; trzy u podstawy załatwią każde drzewo.

Wnętrze Narośli rozjaśniało wyblakłe światło spożywczaka, z tyłu wyłożone było szklanymi drzwiami lodówek z napojami gazowanymi, w środku zaś miało dwie alejki z kawą, karmą dla zwierząt domowych i przekąskami, na linii wschód–zachód, oraz różnościami i tytoniem za pomarańczową ladą, przy której młoda kobieta w dżinsowej koszuli i czerwonej bandanie zawiązanej „na czarną niewolnicę”, tak że z tyłu głowy miała królicze uszy, pytała o paliwo i podliczała piwo i tabakę, i wydawała resztę do metalowej miski za pośrednictwem anodyzowanego wsypu. Za drzwiami na tyłach drugiej alejki był magazyn i biuro kierownika. Większe sieci wprowadziły kamery wideo, ale te Narośle na Arterii były ślepe. W środku znajdowało się pięcioro innych obywateli USA, a kiedy kobieta minus dziecko weszła, żeby zapłacić, zrobiło się sześcioro, a Toni w trakcie wybierania artykułów w dostatecznej liczbie, żeby wypełnić nimi torbę, obserwowała ich, jak się ze sobą komunikują bądź nie, i po raz kolejny wyczuwała wzajemną więź, przekonanie, że wszyscy znajdujący się w pomieszczeniu, do którego wchodzi, dobrze się znają i czują więź i jednakowość, którą dzielą ze względu na to wszystko, co ich łączy, a mianowicie to, że nie są nią. Na żadne z nich nie wywierała wpływu. Jedna puszka Mighty Dog Gourmet Beef kosztowała 69 centów, co przy uwzględnieniu ceny hurtowej i kosztów pośrednich dawało dwudziestoprocentową marżę czystego zysku. Kobieta za ladą, która była trochę po trzydziestce i wcieliła swoją wagę w wizerunek prowincjonalnej matki, na który składały się rumiane policzki i śmiech podobny

rykowi oraz praktyczna, wesoła zalotność, zapytała, czy brała dzisiaj paliwo.

– Było do pełna – powiedziała Toni – jeszcze dzwonię i lu do środka przed tym wiatrem, cholera by go.

– Dalej duje, co? – Kasjerka uśmiechnęła się, nabijając karmę dla psów, którą Toni później wyrzuci, na przeceniony model NCR 1280, gromadzący wszystkie paragony z danego dnia na jednej szpulce, którą potem ładowali w pojemnik, i kiedy robiło się kontrolę terenową, trzeba to było wyciągać i rozwijać – biuro było pełne pasków długich na osiemdziesiąt stóp, jak sznury chorągiewek na liniowcu.

– Myślała, że mnie normalnie zdmuchnie tu po drodze do was – powiedziała Toni. Kobieta za ladą sprawiała wrażenie nieświadomej, że Toni Ware naśladuje jej własny akcent i intonację. To założenie, że wszyscy inni są tacy jak ty. Że ty to świat. Choroba konsumpcyjnego kapitalizmu. Syty solipsyzm.

– Ktoś tu ma pieski, co se lubią podjeść.

– Pani mi nawet nie mówi.

– Razem będzie jedenaście osiemdziesiąt.

Uśmiech ćwiczony długo, żeby wyglądał na szczery. Tak jakby Toni miała jej pozostać w pamięci choćby chwilę po tym, jak po krótkotrwałym siłowaniu się otworzy drzwi i ruszy chwiejnym krokiem pod flagą, jak cała reszta. I skąd to konwencjonalne „będzie”? Knyplowatego osobnika za nią czuć było olejkiem do włosów i aromatycznym śniadaniem; kiedy wyciągała banknot Departamentu Skarbu, wyobraziła sobie drobiny mięsa i jajecznicę we włosach na jego twarzy i pod paznokciami.

– Dwie dyszki – powiedziała kasjerka jakby do siebie, uderzając w przyciski z odrobiną dodatkowej siły, której użycia wymagał model 1280.

Chwilę później Toni stała na zewnątrz, za rogiem sklepu, osłonięta przed widokiem z parkingu przez maszynę do lodu Kluckmana, z łopoczącymi między butami uchwyty reklamówki, odstawionej na czas wydobywania z torebki nasączonej husteczki higienicznej, którą przedarła na dwoje, by następnie tak samo postąpić z połówką, a później owinać ćwiartkę wokół małego palca, którego paznokieć był przycięty idealnie w kształt migdała

i pociągnięty tętniczokrwistym czerwonym lakierem. Wetknęła w prawą dziurkę i wykręciła w skomplikowanej spirali, a tym, co wyszło, był standardowej barwy glut, lepki i twardy jednocześnie, zawierający nawet drobne włókno naczyń krwionośnego wewnątrz prawej krawędzi. Jediną cechą, którą ktoś w sklepie czy w kolejce mógł u niej zaobserwować, było ledwie zauważalne afektywne rozkojarzenie, wrażenie oderwania, które nie było oddzieleniem się od rzeczywistości wynikającym z duchowej równowagi czy osobistej relacji z Panem Naszym Jezusem Chrystusem. Starannie wtarła to w lewą klapę swojego kremowego płaszcza, przyciskając wystarczająco, żeby trochę rozsmarować, ale nie na tyle, żeby zaszkodzić jego przyleganiu albo zaburzyć położenie wewnętrznego nugatu. Cechowała ją jakaś uplastyczniona płaskość, przywodząca na myśl powietrze z klimatyzatora albo jedzenie na pokładzie samolotów, dźwięk na tranzystorach. Chodziło tylko o to, by czymś się zająć do czasu, aż skompletują jej zamówienie w Butts Hardware. Kiedy weszła do magazynu, okazało się, że są w nim tylko wyroby z papieru i duże tekturowe pudła oraz boraks na styku podłogi i ściany, na karaluchy, a drzwiczki do kanciapy kierownika, na których wisiały zdjęcia gołych babek i plakat „Peace with Honor” z orłem, którego zadarty dziób i popołudniowy zarost wyglądały znajomo, były uchylone i tchnęły dymem Dutch Masters oraz niespiesznym zaciąganiem wokułu piosenki country płynącej z kieszonkowego radia. Kierownik dziennej zmiany, który nie miał plakietki z imieniem (kobieta przy kasie miała takową z imieniem „Cheryl”) i siedział z nogami na stole, czytając dokładnie to, co sobie wyobrażała, miał wysokie, wypukłe czoło i mrużył oczy z częstotliwością i intensywnością kogoś, kto się właściwie krzywi, kiedy mruży oczy, co wskazywało na jakąś drobną neurologiczną nieprawidłowość, naprawdę niewielką, zsunął nogi na ziemię i wstał od stołu przy akompaniamencie złożonej serii skrzypnięć krzesła, kiedy jej nieśmiałe pukanie i siła, z jaką właściwie wpadła, zataczając się, przez drzwi, ukazały mu stan szoku osoby niewinnej, który należało obowiązkowo odegrać, jeśli ktokolwiek miał kupić jej postać. Nadała twarzy grobową bladość, oczy, które trzymała ciągle otwarte na wietrze, łzawiły jej, a do tego ukryła głowę między ramionami, rozkładając ręce w pozie osoby, której brak słów

w wyniku doznanego pohańbienia. Wydawała się mniejsza, a zarazem większa niż była naprawdę i kierownik ze swoim mrugającym tikiem nie poruszył się ani nie doszedł do siebie, ani nie znalazł w sobie dość siły, żeby jej choćby odpowiedzieć przez cały ten czas, jak wpuszczając go w kanał, co czyniła z pomocą mowy łamanej i hipoksyjnej, kreśląc scenariusz, w którym była częstym, wróc, stałym klientem w tej Narośli na Arterii QWICK'N'EZ i zawsze otrzymywała dobrą jakość za pieniądze, które ciężko zarabia, szyjąc w domu, co jest jedynym zajęciem, które może wykonywać jako samotna matka dwojga dzieci, mimo że ma kwalifikacje asystentki kancelarii prawnej zdobyte w ciągu pięciu lat kursów wieczorowych, na które uczęszczała, opiekując się niewidomą matką przez całą jej długą śmiertelną chorobę, tak że nie tylko dobrą jakość za przystępną cenę i benzynę, ale zawsze sympatyczną i uprzejmą obsługę dziewczuch za ladą, aż do... (tutaj przebiega przez nią spazm, który sprawia, że kierownik – który wciąż ma w lewej ręce resztki produktu Little Debbie – ruszył się zza biurka, żeby ją uspokoić, i zmarł w pół drogi, dostrzegłszy dwucalowe świństwo na jej lewej klapie, rezultat kilku dni bez używania patyczków higienicznych i znoszenia uczucia nadchodzącego kichnięcia, faktycznie smark budzący taką grozę, że nawet zegar by zmarł) aż do dzisiaj, do teraz, do... nie wie, jak to powiedzieć – w pierwszej chwili instynktownie chciała jechać do domu, prawie ślepa od łez, wyrzucić ten płaszcz, na który pracowała miesiącami, żeby mogła wziąć swoje maleństwa do kościoła ubrana w coś, czego nie będą się musiały wstydić, do śmietnika na ich osiedlu socjalnym, i przez resztę dnia modlić się, żeby Bóg pomógł jej jakoś sobie wytłumaczyć to bezsensowne pogwałcenie, jakie właśnie ją spotkało, i od teraz już zawsze unikać tego QWIK'N'EZ, tak bardzo się czuła poniżona i przerażona, ale nie, za każdym razem dostawała na tej placówce uczciwą cenę i dobrą obsługę, więc uznała to prawie za swój obowiązek, wprowadzić kosztujący ją zażenowanie i upokorzenie, żeby poinformować go, co właśnie zrobiła pracownica stojąca za ladą, mimo że to było absurdalne, w każdym razie na pewno dla niej, ta pracownica, która sprawiała wrażenie normalnej, a nawet życzliwej i wobec której ona także starała się być uprzejma i tylko chciała jej zapłacić za produkty, które postanowiła tu zakupić, która

to pracownica, patrząc jej wyzywająco w oczy, kiedy ona schylała się po resztę, wsadziła palec do nosa, a następnie sięgnęła w jej kierunku i... i... tutaj poddała się całkowicie szlochom i swego rodzaju wysokiemu łkaniu i wpatrywaniu się w klapę płaszcza, od którego jakby chciała się jakoś odsunąć w przerażeniu, jak gdyby jedynym powodem, dla którego nie zdjęła zielono usmarowanego płaszcza, było to, że nie była w stanie go zdjąć, czując, jak kloniczne mrugnięcia wycelowane w gluta rejestrują nawet włókno czerwonej krwi, przez którą jest jeszcze ohydniejszy, po czym odwróciła się i wytoczyła na zewnątrz, jakby zbyt wzburzona, by dalej nalegać na zadośćuczynienie, prąc przed siebie, dopóki nie zostawiła za plecami niknącego dźwięku tranzystorowej ballady o whisky i stracie i nie znalazła się w wyblakłym świetle sklepu, by następnie na posadzce jego alejki i na parkingu przed nim usłyszeć pospieszne stuknięcia własnych obcasów, pozostawiając bez wzajemności pożegnalny gest i do następnego kobiety za ladą, a kierownik stał tam, gdzie stał, powoli przechodząc ze stanu szoku w stan oburzenia, a chłopcy siedzieli w aucie z tyłu cicho i potulnie jak gargulce, nawet kiedy wpadła do środka i przygazowała – na wypadek gdyby kierownik zdążył już opuścić zaplecze, w co wątpiła – tak że przy wyjeździe na Frontage Road zarzuciło nimi z tak histeryczną siłą, że jeden pies wpadł na drugiego, a ona musiała łapać równowagę, opierając prawą rękę na worku cegieł, nucąc pod nosem refren tamtej melodii country, w zbrukany i już zrzuconym z jednego ramienia płaszczu, zmierzając ku skrzynce pocztowej.

§48

- To wszystko jest odrobinę mgliste.
 - To jak najbardziej rozumiałe, proszę pana.
 - Chyba powinienem was powiadomić, że nie czuję się dobrze.
 - Oczywiście zdajemy sobie z tego sprawę.
 - Nie, nie. Tam w środku. Niedobrze wewnątrz.
 - Myślę, proszę pana, że to przewidzieli i że wszelkie możliwe...
 - Tam niżej.
 - Może przekaże nam to pan, tak jakby przekazywał pan dane?
 - Wiecie: *tam niżej*? Rozumiecie, o co mi chodzi?
 - To tylko skutki, proszę pana, długofalowe. Proszę się nie spieszyć.
 - To był doroczny piknik. O to wam chodzi?
 - To już wiemy, proszę pana.
 - Co roku, latem. W parku Coffielda, finansowany z obligacji. Doroczny piknik Kontroli. Zmumifikowany panierowany kurczak, sałatka ziemniaczana. Jajka na ostro, pociągnięte pastą z ostrej papryki jak zakrzepłą krwią, potworne. Wielkie wachlarze z plastrów mielonki. Całe to białko. Kontrolerzy jedzą jak dzikie bestie, pewnie o tym wiecie. Audyty bardziej oszczędnie. Na pewno to wiecie. Różnica w...
 - Oczywiście dotarło to do nas w raportach.
 - I rzeczy z grilla. Te dziwaczne parkowe grille przytwierdzone na stałe do ziemi, również z obligacji, a jakże. Kiełbasy, kotlety do hamburgerów warstwa na warstwie, na świecącym białym papierze. Olbrzymie roje i chmary owadów na jedzeniu na stole. Muchy pocierające o siebie te ich małe łapki. Wiecie, co to znaczy, kiedy mucha tak robi? Szerszenie krążące nad koszami na śmieci. Arbuz obleziony przez mrówki. Kiedy pociera jedno odnóże o drugie, o tak?
 - ...
 - Surowy wsad do hamburgera jest dla owada jak krew w wodzie, mówię wam, ludzie.

- Zaczął pan wymieniać inwentarz prowiantu na pikniku.
- Mrożona herbata, Kool-Aid. W skrzynce, którą przyniósł kierownik grupy, były napoje gazowane. Galaretki w barwach podstawowych. Czerwone albo zielone, albo czerwono-zielone. To dla wzmocnienia morale, ten doroczny piknik, chodzi o zmianę kontekstu interakcji.
- Nie ma nic złego w pikniku.
- Żeby zobaczyć rodziny wszystkich, dzieci. Dzieci. Człowiek nie myśli o Dziewiątkach jako o kimś, kto ma dzieci, kto się bawi z dziećmi, małymi Linijkami numer czterdzieści. A jednak co roku zjawiają się z nimi. Matki przygotowały gry. I było piwo w skrzyni, którą przywiózł mąż Marge van Hool.
- Tak, proszę pana, rozmawialiśmy już z panem van Hoolem.
- I wszędzie komary. Z tych okropnych, co rzucają cień i mają włoski na nogach. Słysząc je, ale nie widać. Do czasu. Krew przyciąga każ... i Audyty, Audyty grały w jakąś dziecięcą grę, z tym latającym dyskiem od Hasbro. Aerodynamiczny krążek, jaskrawy kolor, Hasbro, gdzie to...?
- Może chodzi panu o frisbee?
- Hasbro to teraz zdaje się oddział United Amusements, z siedzibą rzekomo w St. Paul, ale mają liczne konta zagraniczne.
- ...
- A wiecie równie dobrze jak ja, co to bardzo często oznacza.
- I nie zauważył pan niczego nietypowego, jeśli chodzi o herbatę mrożoną, o galaretki?
- A więc podejrzewają galaretki?
- Tym nasz dział się, proszę pana, nie zajmuje.
- Galaretki miały w sobie maleńkie pianki, jeśli dobrze pamiętam. To była któraś z tych niemożliwie jaskrawych barw podstawowych, te galaretki. Muchy ich nie tknęły, za to te krwiożercze komary, mój Boże, gdybyście tylko...
- Tak, proszę pana.
- Powinniście wiedzieć, że jestem niesamowicie wzburzony i podrażniony.
- Odnotowujemy to po raz drugi, panie dyrektorze, w celu podkreślenia.
- Nie wydaje mi się, żeby efekty do końca ustąpiły.

– Proszę tylko wziąć pod uwagę, że my występujemy tu w roli pośredników.

– Rozmawiałem, jak sądzę, z agentami ochrony porządku publicznego, chyba że to też były symptomy.

– To było kilka godzin temu, proszę pana. My jesteśmy ze Służby. Ja jestem agent Clothier, a to agent specjalny Lortayus.

– Miło pana poznać, choć diabelna szkoda, że akurat w takich okolicznościach.

– Jesteście z Pionu Dochodzeniowego?

– Nie, proszę pana, jesteśmy z Inspekcji, z Chicago, placówka 1516.

– Przysłali was.

– Wszyscy są poważnie zaniepokojeni, co zrozumiałe.

– Komary to po prostu igły na skrzydłach.

– Nie do końca wiem, jak mamy to traktować, proszę pana.

– Na pikniku nie było nikogo z dochodzeniówki.

– Nie, jak pan być może pamięta, CID miało w ten weekend szkolenie ze ścigania przestępstw księgowych w centrali regionu.

– Nie socjalizują się szczególnie dobrze na imprezach, ci z CID.

– Nie, proszę pana.

– Trzymają się trochę na uboczu, jeśli wiecie, co mam na myśli. Wymiotują.

– Przepraszam, wymiotują?

– Kiedy pocierają odnóżami o siebie. Wygląda to niewinnie, ale w rzeczywistości muchy wymiotują soki trawienne na odnóża i smarują nim jedzenie. Należą do zwierząt, które korzystają ze wstępnego trawienia pozaustrojowego. Komary to samo.

– Proszę pana, ja...

– Wymiotują w ciebie. Coś takiego ściska człowiekowi gardło. Trawią wstępnie krew, zanim ją z ciebie wyssą. Wielkie włośchonogie stwory. Mnożą się na polach, wiecie. Igły ze skrzydłami. Wektor choroby. Taki z nich pożytek. Zguba całych cywilizacji. Poczytajcie historię.

– Z naszej strony rozumiemy oczywiście sytuację z owadami.

– Stałem przy grillu. Kicha i hambuksy. Przynajmniej przez pewien czas. Dali mi fartuch. Z przodu miał jakieś zabawne haselko. Pewna doza impertynencji, dopuszczalna na piknikach, imprezach

świętecznych. Wszyscy mogą pójść na żywioł, jeśli wiecie, o czym mówię.

– Czyli ocenia pan, że obsługiwał grill w trakcie wczesnych faz pikniku, co zgadzałoby się z zeznaniem pana van Hoola.

– Mrożona herbata była zaparzana, nie ta wstrętne syntetyczna z szumowinami na powierzchni.

– Herbatę spożyło według pana mniej więcej ile osób?

– Mnóstwo. Okropny gorąc, wiecie. Nikt nie pije oranżady, kiedy jest upał, poza dziećmi oczywiście, które mają potem od tego lepkie buzie, no i cukier z napojów podrażnia owady.

– Jezu, Clothier, znowu z tymi owadami.

– Chocius!

– Nic nie mam do CID, wiecie. Niezbędna część mechanizmu. Przyzwoite, ciężko pracujące chłopaki. Mniejsza o wszystkie ich śmieciowe postępowania, karygodne marnowanie środków, w Regionie mają liczby...

– Czyli twierdzi pan, że jeśli jest tu jakiś wspólny mianownik, to byłaby nim według pana mrożona herbata?

– Wszyscy ją piliśmy. Sakramencki gorąc. Kto by pił piwo w takim słońcu? Czy któryś z was słyszy może... taki dźwięk?

– A jednak, mówi pan, że nie widział, by ktoś wnosił mrożoną herbatę na teren pikniku albo ją przygotowywał?

– Termos. Z dozownikiem. Pomarańczowy chropowaty plastik, kranik jak szpunt w beczce, co wy na to?

– Mrożona herbata, mówi pan.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek był tak pobudzony. To jakby...

– Powiedziano nam, że to może nawracać przez pewien czas, póki krew się nie ustabilizuje.

– Będzie pan na chodzie, zanim się pan obejrzy, tak mówią.

– Staram się pomagać. Nasi chłopcy mundurowi.

– Clothier, co powiesz...

– Więc pomagał nam pan zidentyfikować ten termos, ten z mrożoną herbatą.

– Pomarańczowy, z napisem Gatorade na ścianie. Część starszych dzieciaków się podnieciła, bo myślały, że to Gatorade.

– Żadne dziecko nie piło herbaty.

– Kontrolerzy nazywają dzieci swoimi małymi Linijkami numer czterdzieści. To, rzecz jasna, miejsce, w które na formularzu tysięcy czterdzieści przenosi się kredyt na dzieci i osoby pozostające na utrzymaniu z druku dwa tysiące czterysta czterdzieści jeden. Niektóre dzieci bawiły się w egzekucję należności. Niedaleko pola do rzucania podkową. Te starsze dzieci. Zabawki w zastaw, wycena na okoliczność i konfiskata talerzy młodszych dzieci; jak zwykle nie obyło się bez płaczu.

– Gdyby miał pan wskazać moment, to kiedy dostrzegł pan pierwsze niepokojące objawy albo coś nietypowego?

– Coś okropnego: musieć opowiadać dzieciom o egzekucji należności. Należności to problem tych w Ghent. To był ich problem. Ja stronię od Należności.

– Naszym zdaniem to zrozumiałe.

– To są okulary przeciwsłoneczne?

– Proszę pana, nie nosimy żadnej osłony na oczy.

– Nos mnie swędzi wprost okropnie.

– Obawiam się, że nie wolno nam dotykać jakiegokolwiek części pańskiej osoby.

– Zazwyczaj moje myśli są o wiele lepiej zorganizowane.

– Proszę mówić w swoim tempie.

– Wyglądały wprost okropnie. Całe chmury. Chmary, chmury, roje. Wektor choroby, wiadomo. Historia tego pełna. Rozmnażają się w koronach drzew. Kiedy zajrzałem do cienia jednego z nich, oblaży już dwoje młodszych dzieci. Całe w nich, w oczach, w nosie, dusiły je... Widziałem, jak jedno z nich upada, nie zdołało krzyknąć. Mała Linijka numer czterdzieści Pendletona.

– Więc mówi pan, że to była pierwsza oznaka objawu, jaką pan zaobserwował?

– Miałem przy sobie bardzo długi widelec.

– Ma pan na myśli taki do grilla.

– Chodu stąd, Norm, stary. Facet ma dalej odlot. Podrap go po nosie i chodźmy.

– Kajczeus, Lortayus.

– *Culex* i malaria. *Aedes aegypti* i denga. Poczytajcie sobie. To wszystko jest w książkach. Widelec, nie widelec.

– Do pełnienia funkcji przy grillu w południowo-wschodnim kwadrancie terenu pikniku, jak by wynikało z tego schematu, zgadza się, proszę pana?

– *Bardzo* długi widelec. Chyba nie zdajecie sobie sprawy, jak długi. Z wyszczerbionymi zębami. Rzucił cień.

– A czy... czy zauważył pan, by w tym samym czasie którekolwiek z agentów czy ich rodzin zachowywało się inaczej niż zwykle albo miało jakąś styczność z herbatą?

– Za to widziałem nakrycia. Na stolikach. Z obrusami w kratkę. Sztućce to były same noże. Żadnych łyżek, żadnych widelców. *Ja* miałem widelec. A tak to nóż, talerz, nóż, nóż. Trzy złowrogie noże na każdym miejscu. Bywają lata, że wiatr zwiewa talerze ze stołu. W tym tak nie było.

– A zatem to był objaw u pana czy też oglądał pan czyjeś objawy, jak pan uważa?

– Fechner ma szklane oko.

– Chodzi o agenta służby skarbowej Fechnera? Widział go pan, jak układa noże na stołach?

– Wojna zabrała mu oko. Tak o tym powiedział: „Zabrała mi oko”. Też coś. Że niby je sobie gdzieś tam trzyma?

– A więc nie zaobserwował pan żadnej osoby czy osób, jak nakrywają do stołu samymi nożami?

– Norm, stary, jakie znowu noże? Robimy *didi* stąd.

– To wojskowy zwrot, o ile się nie mylę. Agencie Taylor. Myślicie, że nie wiem?

– Lortayus, proszę pana. Cieszę się, że mogę pana poznać, choć diabelna szkoda, że akurat w takich okolicznościach.

– To przyszło od strony *drzew*.

– To był desant powietrzny, proszę pana. Wtargnięcie mogło być manewrem taktycznym, ale nie musiało, tylko tyle wiemy.

– Był rzut jajkiem i bieg w workach, jajko ani drgnęło; zawisło w powietrzu. Trwał właśnie wyścig na trzy nogi, kiedy nadciągnęły od strony drzew. Próbowali tam biec i ratować swoje dzieci, ale mieli związane nogi. To był szal jedzenia, te komary, wymachiwałem wkoło tym długim widelcem.

– Więc mówi pan, że widział agenta Fechnera z objawami po spożyciu zanieczyszczonej herbaty?

- A więc to była herbata.
- Obawiam się, proszę pana, że to nie nasze kompetencje. My zbieramy dane.
- O nożach.
- Faktycznie, to był spory zestaw noży, byłby pan w stanie przywołać w pamięci ich wygląd?
- Kto to w ogóle jest? Kim są ci ludzie?
- Mówił pan coś o agencji podatkowym Fechnerze i szklanym oku.
- Że był przy skrzynce z piwem van Hoola; wyciągnął sobie szklane oko, tak że miał pusty oczodół.
- A czy te noże nie wyglądały, proszę pana, przypadkiem... *tak*?
- Wościerplus, Lortayus. Wuznous ous iukrojenus.
- Myślicie, że nie znam łaciny?
- Bardzo się cieszę, że zna pan łacinę.
- Kim jest ten człowiek po twojej prawej i lewej?
- Proszę pana, niech się pan spróbuje skupić. Wiem, że to trudne.
- Fechner był przy skrzynce, wyciągnął sobie oko i... i otwierał piwa oczodołem. Oczodół jako otwieracz. Butelka tu i ciach w dół. Małe Linijki numer czterdzieści patrzyły, jak to robi, to było coś strasznego!
- Z agentem Fechnerem wszystko w porządku, proszę pana. Znaleźli oko i będzie zdrów jak ryba.
- Czy padało może, proszę pana?
- Wkładał kapsel w oczodół i jednym szarpnięciem butelkę w dół, a dzieciaki wrzeszczały, bo kapsel zostawał w oczodole. Małe szare słońce zamiast gały. Wrzeszczały, piszczały.
- Mówię ci, kroimy mu to, teraz. To jest tutaj, Clothier, widzisz?
- Skopolamina, mówicie. *Loco* ziółko. *Parentis. Mens sano in corpus.* I to nie plastikowe noże. I czy wolno mi zauważyć, jakie ładne macie czaszki pod tą skórą, chłopcy?
- A agenta służby skarbowej Driniona widział pan po raz ostatni zanim czy po tym, jak doszło do taktycznego wtargnięcia?
- Drinion siedział przy stole. Trzymał stół, jak tutaj o nim mówią. Prawie jakby spał. Drinion nigdy nie uczestniczy. Nie ruszały go komary. Trzymał podbródek w ręce.
- Oczywiście nie dosłownie?

– Proszę się przyjrzeć naostrzonemu ostrzu. Siedmiocalowemu, ty stary trutniu. Zwrócić uwagę na pięć gwiazdek na ostrzu i napisy *No Stain* i *Ice Hardened* oraz *Zwilling und J.A. Henckels, Solingen BRD*. Wie pan, co to jest?

– Wcale nie czuję się dobrze, w dalszym ciągu. Kontrolerzy, cała skłębiona, wijąca się na ziemi masa.

– To przez ten wyścig na trzy nogi, to ma pan na myśli? Nie chodzi o to, co Miriam nazywała pana „trzecią nogą”, kiedy jeszcze pragnęła tej nogi, co, proszę pana? Zanim zaczęło ją od niej odrzucać?

– Rzucali się z drzew. Liny na drzewach. Victor Charles. Kłębiąca się masa kontrolerów dziewiątego szczebla, masowa kopulacja kontrolerów, której osobiście byłem świadkiem – to wszystko jest w moim raporcie na formularzu dziewięćset dwadzieścia trzy (a) do odnotowywania osobistych obserwacji niestosowności; wy w Inspekcjach wiecie wszystko o dziewięćset dwadzieścia trzy (a), może nie?

– Widział to pan zatem znad grilla?

– Widziałem skutki działania herbaty w postaci otwartych oczodołów i dzikiej masowej orgiastycznej kopulacji i chędożenia pod drzewami, na stole, pod rzuconym jajem, u obu końców groty do gry w podkowę. Pod moim grillem rytmicznie wierzgały czyjeś pośladki.

– I zdaje mi się, że powiedział nam pan, że miał na sobie fartuch.

– Ciachaj go. Zdejmuj to już, Clothier.

– W tym momencie zatem wszyscy, z wyjątkiem prawdopodobnie dzieci, zdradzali już wyraźne objawy?

– Same kiełbasy wiły się, rzucały. Nabrzmiałe, wierzgające, błyszczące, wilgotne na tym grillu, na aluminiowym półmisku pani Kagle, w powietrzu. Ja z tym widelcem i przyglądam się temu wszystkiemu, aż tu nagle od strony *drzew*, gdzie one się rozmnażają. Rozmnażają, wiecznie rozmnażają!

– Myślę, proszę pana, że mamy przyzwoity ogląd sytuacji z pana perspektywy.

– Wie pan, że to nie przejdzie. Nie bardzo. Proszę na mnie spojrzeć. Będzie pan wyglądał tak. Zawsze. Przyszliśmy panu

powiedzieć. Odetniemy to w tej chwili, jeśli pan sobie życzy. Proszę nam powiedzieć.

– Igły na skrzydłach. Noże na skrzydłach, wszystkie tańczące na swoich ostrych końcówkach, chmury komarów zaciemniające wszystko. Niebo przestaje być niebem.

– On tego nie chce, Clothier.

– Powietrze już się nie bieli.

– Przyzwyczajaj się, ty stara, niedołęzna cioto. Tak jest: *cioto*.

– Enius, Taylor.

– Widziałem, jak moja żona zdejmuje sobie skórę, wiecie. Skoro się fatygowaliście z tak daleka, no? Ściągnęła sobie swoją białą skórę z ręki jak rękawiczkę wieczorową. Jak zdejmuje sobie twarz, z góry na dół.

– Jak? *Tak*, proszę pana?

– Chyba będę powoli przechodził do kolejnej osoby badanej w związku ze sprawą, proszę pana. Bardzo dziękuję, że poświęcił nam pan czas.

– Tak jakby to była twoja własność, DeWitt, co? Nie?

– Jestem po prostu podrażniony jak nigdy. Nie wydaje mi się, żeby było lepiej.

– Wiesz, co robią lekarze, prawda? Kiedy śpisz. Z góry na dół, jakbyś był miękkim, starym winogronem na tyłach lodówki, które ktoś zapomniał wyrzucić. DeWitt, jeśli powiedziałam to raz, to powiem to jeszcze i tysiąc.

– Odnotowuję to, proszę pana, podobnie jak również chcę wyrazić uznanie Inspekcji dla współpracy z pana strony w tych okolicznościach.

– No nie leż tak, powiedz coś. Powiedz im to, czego chcą, albo to odetną. Słyszałeś ich przecież. Jesteś durniem czy jak?

– I wiem, że mają się panem zająć i zrobią wszystko dla pańskiej wygody, dopóki to nie odpadnie. To znaczy, dopóki nie spadnie. Poziom we krwi.

– Jestem nagi, wiecie. Pod tym.

– Niewykluczone, że będziemy jeszcze z panem rozmawiać. Kiedy objawy nie będą już się tak dawać we znaki.

– Jak do rosołu. Goły jak święty turecki. Jak mnie Pan Bóg stworzył.

- Powiedz im, już. To *po niemiecku*.
- A i owszem, mam penisa. Penisa.
- Mierzi mnie to słowo, Clothier.
- Straszne słowo, co? Penis. Jak coś, czego byś nie dotknął inaczej jak w gumowych rękawicach, jeśli w ogóle.
- No wiesz, DeWitt, ty stary zbereźniku! Pamiętaj, że nadal jestem kobietą.
- Powiedzcie to razem ze mną, chłopcy. Penis, penis, penis, penis, penis.
- Nie zapomniałeś, och, DeWitt, *to* cudowne.
- Proszę się uspokoić.
- Nazywa się... nie powiem wam. I co wy na to? Nie powiem!
- Pamiętam, kiedy tak na mnie patrzyłeś.
- Ma imię. Nazywa się... nie powiem. To moje. To moja trzecia noga. Tak mówi Miriam. Ale nigdy od czoła. To nie maska. Zaczynają od podbródka. Hopta! I już igła na skrzydłach.
- Towygous, Lortayus?
- Moja trąbka śwędzi, więc zanurzę ją *głęboko*, zanim zwymiotuję.
- Nie we mnie, DeWitt. To jakbyś wymiotował we mnie. Nawet minę masz taką, jakby cię mdliło. Gdybyś tylko ją widział...
- Miriam jest oziębła, wiecie.
- Udam, że tego nie słyszałem, proszę pana, ale to ze względu na postępowanie.
- Od czasu trzeciego dziecka. Koszmary poród. Urodziło się martwe. Sine i zimne. Wiecie, jak je nazwaliśmy?
- Taylor...
- Tak jest. Taylor. Śliczny mały Clothier, jak jego dziadziuś.
- Po prostu tego nie chcę. Nie prześladuj mnie za to, błagam cię.
- Czy możemy... O, widzi pan.
- Od tamtego czasu zero zainteresowania. Oziębła. Sucha jak język po martini, powiedziałyby Bernie Cheadle.
- No to hopta, proszę pana.
- Dzięki Bogu, chłopcy, że mamy swoją pracę, co nie? I nasze hobby. Nasze domowe warsztaty, prawda? Gdzie wytwarzamy igły i skrzydła dla dobra publicznego. Tak, Aylor?
- Wróć tu i przyniosę więcej takich, jeśli nie będzie pan leżał spokojnie jak grzeczny chłopiec i czekał, aż tamci po to przyjdą, tak

że będzie pan wyglądał: TAK! Jedno mocne pociągnięcie i idzie.

– Ona na to: „Sam sobie pociągnij, ty stary zwyrodnialcu”.

– Praktycznie nic nie czuje. Będą ryczeć ze śmiechu przy biurkach, prawda, proszę pana?

– Wdycham, ale coś mi nie idzie wydychanie.

[głosy w korytarzu]

– Moje stanowisko pracy jest zorganizowane, naprawdę, powinniście je zobaczyć.

[głosy w korytarzu]

– Nie mam problemu ze znalezieniem tam czegokolwiek.

[głosy w korytarzu]

– Zobaczycie.

[głosy w korytarzu]

§49

Fogle siedział w oczekiwaniu w niewielkim korytarzu przed gabinetem Dyrektora. Nikt nie wiedział, jak rozumieć to, że Merrill Errol Lehrl zajmuje gabinet pana Glendenninga. Pan Glendenning i kierownictwo byli w centrali regionu; to, że Lehrl korzysta z gabinetu Glendenninga, mogło po prostu wynikać z zawodowej kurtuazji tego drugiego. Pani Oooley nie było za biurkiem recepcyjnym; zamiast niej siedział za nim jeden z asystentów Lehrla, którego imię albo nazwisko brzmiało Reynolds. Widać było, że pozmieniał ułożenie wielu rzeczy Caroline na blacie. W korytarzu leżał duży chodnik w geometryczne wzory, które nadawały mu turecki czy bizantyjski wygląd. Oświetlenie sufitowe było wyłączone. Ktoś poustawiał w małym pomieszczeniu kilka lamp, stwarzając w ten sposób przyjemne oazy w ogólnej atmosferze ponurości. Dla Fogle'a przytłumione światło miało w sobie coś ponurego. Drugi asystent dr. Lehrla, Sylvanshine, zajmował krzesło kawałek na prawo od Fogle'a, w związku z czym obaj współpracownicy znajdowali się akurat poza zasięgiem jego widzenia obwodowego i musiał nieco obracać głowę, żeby spojrzeć wprost na któregokolwiek z nich. A był do tego zmuszony dosyć często, ponieważ zdaje się, że z jakiegoś powodu udzielali mu wstępnego wprowadzenia w sytuację. W tandemie. Ale przy tym jakby mówiąc do siebie nawzajem ponad głową Fogle'a. Kiedy zwracali się bezpośrednio do Chrisa Fogle'a, na ogół przybierali nieco dydaktyczny ton, ale jednocześnie nie było to pozbawione interesujących aspektów. Zarówno Reynolds, jak i Sylvanshine posiadali wiedzę na temat trajektorii kariery i życiorysów rozmaitych potężnych kierowniczych osobistości. Wiedzę tego rodzaju, o jaką można by podejrzewać asystentów na szczeblu krajowym; byli trochę jak królewscy dworzanie. Większość nazwisk, które przewijały się w ich wypowiedziach, należała do osób na stanowiskach krajowych, z których Fogle kojarzył nieliczne. Jak na służbę przystało, asystenci porozumiewali się szybko

i z rozgorączkowaniem w głosie, przy jednoczesnym braku fizjonomicznych oznak pobudzenia czy choćby zainteresowania omawianą kwestią, przy czym to omawianie zaczęło się od miniwykładu o dwóch podstawowych sposobach, dzięki którym można osiągnąć znaczące i odpowiedzialne stanowisko w biurokracji IRS. Biurokratyczna aerodynamika i tryby awansu należały do tematów, które znajdowały się w orbicie powszechnych zainteresowań kontrolerów; nie było jasne, czy Reynolds i Sylvanshine nie wiedzą, że dla Fogle'a to znajome podwórko, czy po prostu ich to nie obchodzi. Fogle wyobrażał sobie, że na placówce, gdzie ci dwaj pracują na co dzień, są powszechnie znani jako niemożliwe pajace.

Zgodnie z tym, co mówili dwaj asystenci, jedna droga do awansu na kierownicze stanowiska powyżej 17. szczebla tabeli służby cywilnej polegała na powolnym, ustawicznym wykazywaniu się kompetencjami, lojalnością, rozsądnie pojmowaną inicjatywą własną, na umiejętnym zachowywaniu się wobec ludzi wyżej i niżej postawionych w hierarchii itd., powolnym awansowaniu na kolejne szczeble.

– Druga, mniej znana, to *éclat*.

– *Éclat* oznacza nieoczekiwany, niezwykle pomysł lub nowatorskie rozwiązanie, którym zwracasz na siebie uwagę osób na wysokich stanowiskach. Nawet na szczeblu krajowym.

Czuło się, że małpują innych.

– Dr Lehl należy do tego drugiego rodzaju. Rodzaju *éclat*.

– Pozwól, że nakreślimy ci tło.

– To było już jakiś czas temu. Podać rok?

Rytmy, w jakich Reynolds i Sylvanshine przerzucali się słowami, były całkiem zgodne. Nie tracono czasu. Pytania miały dziwnie afektowany charakter. Jeżeli za drzwiami z mleczną szybą znajdował się sam dr Lehl, nie było jasne, czy Reynolds i Sylvanshine biorą pod uwagę, że może słyszeć, co mówią.

– Mniejsza o szczegóły. Zajmował niskie stanowisko w grupie audytywnej w jakimś prowincjonalnym okręgu Bóg wie gdzie i przyszedł mu do głowy pomysł.

– Musisz wiedzieć, że ze swoją grupą nie pracuje wtedy nawet nad czterdziestkami. Małe przedsiębiorstwa i eski.

- Pomysł dotyczy jednak czterdziestek.
 - Dokładnie rzecz biorąc, odpisów.
 - Dziedziny, z którą masz, jak sędzę, do czynienia?
- Żaden nie mówił z jakimkolwiek akcentem.
- Może ci na przykład wiadomo, że aż do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego podatnik mógł zgłaszać osoby pozostające na jego utrzymaniu wyłącznie przez podanie ich imienia i nazwiska.
 - Na formularzach tysiąc czterdzieści z tamtego okresu.
 - Osoby zależne. Dzieci, osoby starsze pozostające pod jego opieką.
 - Myślę, że możemy przyjąć, że wie, kto to osoby zależne, Claude.
 - Ale czy znasz formularz tysiąc czterdzieści z tamtych czasów? Składający zeznanie musiał tylko wpisać imiona dzieci pozostających na jego utrzymaniu w linijkę 5c, a imiona innych osób zależnych i członków rodziny w linijkę 5d.
 - Teraz oczywiście to wszystko to linijki 6c i 6d. Mówimy o roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym.
 - W każdym razie chodzi o to, że to tylko imię członka rodziny. Więc dostrzegasz problem.
 - Nie ma jak sprawdzić – powiedział Sylvanshine.
 - Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to absurdalne – powiedział Reynolds.
 - Ale to wygląda tak naiwnie teraz, po *éclat*. Bo wtedy nie istniał sposób, żeby to sprawdzić.
 - Nie bardzo. Tylko imię i rodzaj pokrewieństwa.
 - To był system honorowy. Nie było tak naprawdę jak sprawdzić, że osoby zależne faktycznie istnieją.
 - To znaczy nie było tego jak sprawdzić w efektywny sposób.
 - Jasne, pewnie, że zakładali to, że podatnik zakłada, że *możemy* sprawdzić, ale w praktyce nie mieliśmy jak. Nie bardzo. Nie w sposób definitywny.
 - Zwłaszcza że przetwarzanie danych stało na tak prymitywnym poziomie. Mogłeś sprawdzać, czy w zeznaniach za kolejne lata pojawiają się konsekwentnie ci sami członkowie rodziny, ale to było czasochłonne i o niczym nie przesądzało.

– Dzieciak mógł skończyć osiemnaście lat. Osoba starsza na utrzymaniu mogła umrzeć. Mogło się urodzić nowe dziecko. Kto miał to wszystko tropić? Wszyscy uznali, że szkoda na to osobogodzin.

– To prawda, że jeśli zarządziło się kontrolę i okazywało się, że któreś osoby zależne są zmyślane, to podatnik był w poważnych opałach i czekały go sankcje karne oraz odsetki i karne odsetki. Ale to niebezpieczeństwo było czysto statystyczne. Same podejrzenia co do osób zależnych nie mogły być podstawą do wszczęcia kontroli.

– Każda osoba zależna to było, zdaje się, dodatkowe dwieście dolarów do odliczenia ustawowego.

– Które wam tu jest teraz znane jako kwota wolna od podatku.

Obaj asystenci byli przed trzydziestką, ale mówili do Fogle'a, jak gdyby byli od niego dużo, dużo starsi.

– Ale przed siedemdziesiątym ósmym była znana wszystkim jako odliczenie ustawowe.

– Tyle że to było w siedemdziesiątym siódmym.

Sylvanshine posłał Reynoldsowi spojrzenie, które zniecierpliwienie komunikowało długością trwania, a nie wyrazem. Następnie powiedział:

– Jeżeli to brzmi zbyt drobiazgowo albo nieistotnie, chciałbym od razu podkreślić, że mówimy o miliardzie dwustu tysiącach dolarów.

– To mi-mi-*miliard*, tylko dzięki tej jednej drobnej zmianie.

Fogle zastanawiał się, czy powinien może zapytać, jaka to zmiana, czy włączają go w choreografię jako swego rodzaju suflera, czy ich rutyna była aż tak zaawansowana.

Sylvanshine powiedział:

– Tym, co dostrzegł dr Lehl jako nieksięgowy audytor dziewiątego szczebla, była niedostateczna motywacja, jaką otrzymywała osoba składająca zeznanie, by zgłaszać osoby zależne rzetelnie. Motywacja instytucjonalna. Z dzisiejszej perspektywy to się wydaje oczywiste.

– Tak działa geniusz, *éclat*.

– A jego rozwiązania przedstawiają się prosto. Po prostu zasugerował, żeby od podatników wymagać podania numeru ubezpieczenia społecznego każdej z osób zależnych.

– Wymagać numubezpu przy każdej osobie.

- Skoro i tak wszystko w bazie danych w Martinsburgu było skonfigurowane z numubezpem.
- Co tak naprawdę wcale tak bardzo nie ułatwiało sprawdzenia.
- Ale wypełniający zeznanie o tym nie wiedział. Wymaganie podania numeru ogromnie zwiększało strach wypełniających, że widmowa osoba zależna zostanie zidentyfikowana jako taka.
- Taką moc miał numubezpz.
- Innymi słowy, to stworzyło u podatników dodatkową motywację do składania prawdziwych zeznań na temat osób zależnych.
- I było bardzo łatwe i niedrogie. Wystarczyło dodanie „i numer ubezpieczenia społecznego” w poleceniu dla linijek 5c i 5d.
- Dyrektor jego okręgu miał nosa do potencjalnego *éclat* i popchnął pomysł do regionu, który przekierował go do Biura Pionu Przyjęć w DC przy Independence 666.
- Nie mogli uwierzyć, że nikt o tym wcześniej nie pomyślał.
- Pierwszy rok podatkowy, w którym wprowadzają to w życie, to siedemdziesiąty ósmy, w ustępie sto pięćdziesiątym pierwszym (e) Kodeksu. Tak więc siedemdziesiąty dziewiąty jest pierwszym rokiem, w którym nowe instrukcje pojawiają się na tysiąc czterdziestkach. Znika sześć przecinek dziewięć miliona osób na utrzymaniu.
- Z tysiąc czterdziestek, w skali kraju.
- Znikają, pyk.
- W porównaniu z liczbą z zeznań za siedemdziesiąty siódmy.
- Nie ma sankcji. Wszyscy postanawiają udawać, że fałszywych zależnych nigdy nie było.
- Przynosząc zysk netto jeden przecinek dwa miliarda dolarów w pierwszym roku.
- To podręcznikowe *éclat*.
- Również błyskotliwe politycznie. Jest więcej niż jeden typ *éclat*.
- Tu były oba.
- Ponieważ chociaż rzecz kosztuje tyle co nic, to i tak wymaga zmiany w ustępie sto pięćdziesiątym pierwszym Kodeksu podatkowego, co wiąże się z tym, że jeden z wysokich urzędników Boga w Trójcy Jedynej musi ją przepchać przez proces w Komisji Praworządności, żeby wprowadzić taką zmianę do ustawy.

– Co oznacza, że fama o pomysle roznosi się na najwyższych szczeblach w Trzech Szóstkach.

– I w ten sposób znikąd dr Lehl awansuje o cztery szczeble, a po zaledwie dwóch kwartałach przeskakuje nawet do regionu i bardzo szybko staje się dla Systemów w Waszyngtonie najcenniejszym...

– W każdym razie jednym z najcenniejszych, mówiąc szczerze, jest bowiem jeszcze... w...

– Którego historia jest całkiem inna i wiąże się z wolniejszą ścieżką awansu przez wszystkie uchyłki.

– Ale w każdym razie jednym z najcenniejszych wszechstronnych graczy.

– Kimś jak wewnętrzny konsultant.

– Zwłaszcza od czasu Inicjatywy.

– Zwłaszcza w Systemach kadrowych.

– I tutaj przechodzimy do pana, panie Fogle.

– Zasadniczo on zjawia się w celu reorganizacji placówek, by zmaksymalizować wpływ.

– Zasadniczo jest reorganizatorem.

– Człowiekiem od pomysłów.

– Więcej mocy z dolca.

– Zgadza się, zwłaszcza na poziomie okręgu.

– Ale to Centrum Regionalne nie jest bynajmniej jego pierwszym.

– O pewnych aspektach tej sprawy nie wolno nam mówić.

– Zabroniono nam.

– Możesz o nim myśleć jak o gościu z Kadr albo gościu z Systemów.

– Systemów kadrowych, generalnie.

– Ale raportuje Systemom. Służy tam na osobiste życzenie drugiego zastępcy komisarza w Dziale Systemów. Jest jego instrumentem, można by powiedzieć.

– Ale nie jest niewolnikiem żadnego systemu.

– Jest kimś, kto czyta ludzi.

– Jakkolwiek by było, jest administratorem.

– Albo raczej administratorem administratorów.

– Dział Systemów, jak ci może wiadomo albo nie, był kiedyś nazywany Administracją.

– To właściwie niejednoznaczne określenie.

- On określiliby siebie raczej mianem cybernetyka.
- Służba jest, koniec końców, systemem złożonym z wielu systemów.
- Jego zadanie to przeprojektowywanie placówek, żeby wyciągnąć z nich jak najwięcej. Znaleźć sposoby, żeby usprawnić i podnieść produktywność, wyeliminować wąskie gardła, błędy operacyjne. To łączy kompetencje w dziedzinie automatyzacji, kadr, logistyki wsparcia i systemów w ogólności.
- Jedzie tam, gdzie go wyślą. Jego zadanie dotyczy po prostu danej placówki. Jego skierowania liczą zawsze około linijki tekstu.
- Faza pierwsza to identyfikacja faktów. Wybadanie sytuacji.
- Jego prawdziwy geniusz to motywacja. Wytwarzanie motywacji. Docieranie do tego, co powoduje ludźmi.
- Rozbierze cię na części jak drobny mechanizm.
- To nie tak, że Linijka numer pięć to jego jedyny tytuł do *éclat*. Podajemy ci tylko przykład. Tak naprawdę jest geniuszem w dziedzinie ludzkich motywacji i bodźców i w projektowaniu systemów, które je wykorzystują.
- Sprawdzi cię.
- Kiedy wejdiesz.
- On czyta ludzi. To może być odrobinę przerażające.
- Bądź przygotowany, więcej ani słowa.
- Ale nie powinieneś wyglądać na zdenerwowanego albo jakbyś się nastawiał na całą baterię testów.

Fogle wiedział o istnieniu wschodnich kultur, w których najdrobniejsze sprawy trzeba było załatwiać poprzez zawiłe systemy rozmów towarzyskich i rytualnych zawołowanych napomknięć. Tylko idiota nie zastanawiałby się, czy coś takiego właśnie teraz tu nie odchodzi, czy po prostu Reynolds i Sylvanshine są po prostu niesamowicie nudni i bardzo dużo czasu zabiera im przejście do sedna, o ile rzeczywiście było tu jakieś sedno. Fogle już ponad pół godziny był nieobecny przy swoim biurku. Sylvanshine kontynuował:

- Ponieważ to tak nie działa. To nie tego rodzaju sprawdzanie.
- Może daj mu jakiś przykład – powiedział Reynolds do Sylvanshine'a, wskazując Fogle'a ruchem głowy, tak jakby mógł mieć na myśli kogokolwiek innego.

– Okej. – Sylvanshine popatrzył wprost na Chrisa Fogle’a z wielkim namaszczeniem. – Gdzie chodziłeś do szkoły?

– Eee, ale o jaką szkołę chodzi?

– Twój uniwersytet. Twoją Alma Mater.

– W sumie to byłem na kilku.

Nawet jeżeli Sylvanshine się niecierpliwił, to nie sposób było tego stwierdzić. Nie przejawiał zachowań, po których Fogle mógłby to poznać.

– Wybierz jedną.

– UIC. DuPage. DePaul.

– Świetnie. DePaul. Więc on cię pyta, ty mówisz, że DePaul, a on na to: „A, Błękitne Demony”. Tak naprawdę to nie Błękitne Demony tylko Błękitne Diabły, ale poprawisz go?

– Właściwie to są Błękitne Demony. Błękitne Diabły to Duke.

Jednotaktowa pauza.

– Wszystko jedno. Mniejsza o nazwę drużyny, on podaje błędną nazwę. Ale czy go poprawiasz?

Wzrok Fogle’a powędrował z Sylvanshine’a na Reynoldsa. Ich marynarki nie były identyczne, ale ich koszule i spodnie tak, z tego, co widział.

– No to jak?

– Czy go poprawiam? – zapytał Fogle.

– Tak brzmi pytanie.

– Nie do końca wiem, o co mnie pytacie.

– Wiesz. Prawidłowa odpowiedź brzmi: tak, poprawiasz go – powiedział Sylvanshine – ponieważ to test. On sprawdza, czy jesteś wazeliniarzem, czy jesteś lękliwy, czy jesteś potakiwaczem.

– Cmokierem – powiedział Reynolds.

– To był test?

– Jeśli powie Błękitne Diabły, a ty pokiwasz głową i się uśmiechniesz, on nic na to nie powie, ale ty oblejesz test.

Fogle spojrzał szybko na zegar.

– Ma ich więcej niż jeden?

– Cóż, tak i nie – powiedział Sylvanshine – to niezwykle delikatne. Nie będziesz miał pojęcia, że coś się dzieje. Ale przez cały czas konwersacji będzie cię sprawdzał, badał. Cały czas.

– I jeszcze coś – powiedział Reynolds, zmuszając Fogle’a do ponownego obrócenia głowy. – Tam w środku będzie z nim dzieciak. Siedmio-, ośmioletnie dziecko.

Przez chwilę panowało milczenie. Reynolds i Sylvanshine wymienili spojrzenie, które nie poddawało się żadnemu rozbiorowi. Sylvanshine miał drobniutki, cienki, starannie przystrzyżony wąsik.

– Czy to dziecko dr. Lehrla? – zapytał wreszcie Fogle.

– Nie pytaj go o to. W tym rzecz. Dziecko będzie w kącie coś tam czytać albo czymś się bawić. Nie zwracaj uwagi na dzieciaka. Ani nie pytaj go o niego, ani o nim nie wspominaj. Jeśli nie zwrócisz uwagi na dziecko, ono nie zwróci uwagi na ciebie.

– Może też być pacynka. To stara historia, coś jeszcze z Audytów, co mu zostało. Nazwijmy to dziwactwem. Na twoim miejscu nie wspominałbym też o tej lalce.

– Tak dla porządku – powiedział Sylvanshine – to nie jego dzieciak.

Fogle patrzył przed siebie w zamyśleniu.

– To dzieciak kogoś z wyższego personelu dr. Lehrla w Danville – powiedział Reynolds.

– Dr Lehrl po prostu lubi, kiedy jest w pobliżu.

– Nawet kiedy nie ma taty.

– To długa i nużąca historia. W twoim wypadku chodzi o to, żeby nie zwracać uwagi na dzieciaka, a chociaż to już zupełnie twoja sprawa, radzilibyśmy też nie zwracać uwagi na pacynkę dobermana.

Powieka Fogle’a znowu nieznośnie latała, czego nie widział żaden z asystentów.

– Tylko, wiecie, mogę mieć jedno pytanie?

– Dawaj.

– Te drużyny uniwersyteckie, jak to jest, że mi o tym mówicie?

Reynolds, za biurkiem, poprawił sobie nieznacznie mankiet.

– Co masz na myśli?

– No, jeżeli to ma być test, to jego pytanie, to dlaczego mam być uprzedzony, co powiedzieć? Czy to nie przeczy celowi testu?

Sylvanshine otwarł teczkę na wierzchu leżącej obok niego sterty i zaznaczył coś w środku z teatralnym efektem. Reynolds odchylił się w krześle Caroline Oooley i uniósł ręce, uśmiechając się.

– No, ładnie. Tu nas masz.

– Słucham?

– Masz nas. Zdałeś. Test był taki: czy jesteś tylko cmokierem, który tak się trzęsie, żeby zadowolić szychę z Kraju, że łykniesz nasz cynk i wejdiesz tam i powiesz to, co my ci powiedzieliśmy.

– Czego nie zrobiłeś – powiedział Sylvanshine.

– Ale ja tam nawet jeszcze nie wszedłem – odparł Fogle.

– Zamiast tego wytknąłeś nam błąd logiczny.

– Zgoda, dosyć oczywista uwaga.

– Ale zdziwiłbyś się, ilu tak nie robi. Ile Dziewiątek wbiega tam i poprawia tak zwany błąd dr. Lehrla, próbując mu się przypochlebić.

– Brązowonose podlizuchy.

Powiekę czuł tak, jakby była odpowiednikiem kogoś dygoczącego.

– Czyli że to był ten test?

– Właśnie przybiliśmy ci piątkę.

Po podniesieniu rąk w geście kapitulacji i gratulacji mankiety Reynoldsa znowu wystawały niesymetrycznie z rękawów marynarki i ten znów zajął się ich poprawianiem.

– Ale w takim razie mogę jeszcze o coś zapytać?

– Chłopak się rozkręca – powiedział Sylvanshine.

– Kiedy tam wejde, to dr Lehrl zapyta mnie o uczelnie? Czy po prostu to zmyśliliście?

– Odwróćmy to – powiedział Sylvanshine.

Więc teraz musiał spojrzeć z powrotem na Sylvanshine'a, który – z tego, co zaobserwował Fogle – przez cały czas nie zmienił ani razu pozycji na krześle przy stoliku z magazynami i broszurami.

Sylvanshine powiedział:

– Załóżmy, że byś tam wszedł i nawiązał z nim kontakt, i w pewnym momencie on myli się w nazwie twojej drużyny. Co robisz?

– Bo – mówi Reynolds – jeśli nie poprawisz jego błędu, jesteś lizusem, ale znowu jeśli go poprawisz, być może też jesteś lizusem, ponieważ działasz na podstawie cynku, który ci właśnie daliśmy.

– A on gardzi lizusami – powiedział Sylvanshine, otwierając teczkę ponownie.

– Ale czy on w ogóle tam jest? – zapytał Fogle. – Z jakimś tajemniczym dzieckiem, którego nieobecność mam symulować?

I czy to też jest test? To, czy wspomnę o dziecku, czy nie wspomnę, wobec tego, co mówiliście?

– Po kolei – powiedział Reynolds. On i Sylvanshine patrzyli na Fogle'a bardzo uważnie; Fogle po raz pierwszy pomyślał, że może zauważyli tę powiekę.

– Nazywa ją Niebieskimi Diabłami. Co robisz?

§50

Gabinet mógłby być jakimkolwiek gabinetem. Oświetlenie wewnątrz ustawione na przyciemnienie, regały modułowe, biurko praktycznie abstrakcyjne. Szept wentylacji z niewidocznego źródła. Jesteś wytrawnym obserwatorem, a tutaj nie ma niczego, co nadawałoby się do obserwacji. Otwarta puszka Taba, której kolor sprawia wrażenie krzykliwego na tle beżu i bieli. Haczyk ze stali nierdzewnej na twoją marynarkę. Żadnych fotografii czy dyplomów, czy osobistych akcentów – facylitorka jest albo świeżo przyjęta, albo przysłał ją zewnętrzny podwykonawca. Kobieta o sympatycznej twarzy, z nieco wyłupiastymi oczami, z pierwszymi śladami siwizny we włosach, zajmuje krzesło z miękkim siedziskiem, takie samo jak twoje. U niektórych ludzi wyłupiaste oczy nadają ich twarzom upiorny wyraz gapienia się; u facylitorki nie. Zrezygnowałeś ze zdjęcia butów. Gałka przy ściemniaczu światła to kontroler twojego fotela; oparcie się odchyła, a stopy wędrują w górę. To ważne, żeby było ci wygodnie.

– Wie pan, że ma pan ciało.

Nie ma notesu, jak się okazuje. A biorąc pod uwagę umiejscowienie w północno-zachodniej odnodze budynku, gabinet powinien mieć okno.

Ustawienie, przy którym nie czujesz w fotelu własnego ciężaru, to odchylenie od pionu o dwie trzecie. Do zagłówka przyczepiony jest kawałek jednorazowego papieru. Twoja linia wzroku pokrywa się z krawędzią zejścia się ściany i podwieszanego sufitu; czubki twoich butów mającą ci w dolnym polu. Facylitorka jest niewidoczna. Krawędź zejścia wydaje się robić grubsza w miarę przyciemniania lamp wewnątrz do efektu sztucznego świtu.

– Zacniemy od rozluźnienia się i uświadomienia sobie własnego ciała.

– Działamy właśnie na poziomie ciała.

– Proszę się nie starać rozluźniać.

W jej głosie słychać rozbawienie. Mówi spokojnie, ale bez specjalnej delikatności.

Ponieważ wszyscy oddychamy, cały czas, jest czymś niesamowitym to, co się dzieje, kiedy ktoś inny instruuje cię, jak i kiedy oddychać. I jak wyraźnie ktoś całkowicie pozbawiony wyobraźni widzi to, o czym ktoś inny mówi mu, że ma przed sobą, razem z poręczą i gumowymi prowadnicami, zakręcającymi w prawo w ciemność, która cofa się przed tobą.

To wcale nie przypomina snu. Jej głos też się nie zmienia ani się nie oddala. Jest tutaj, mówi spokojnie i ty tak samo.

Przypisy i uwagi

W całym rękopisie *Bladego Króla* David Foster Wallace umieścił setki notatek, uwag i większych przemyśleń. Niektóre z tych uwag wskazują potencjalną trajektorię fabuły powieści. Inne przynoszą dodatkowe informacje na temat przeszłości bohaterów lub dalszych perypetii postaci. Roi się w nich od sprzeczności i komplikacji. Na przykład według niektórych notatek to DeWitt Glendenning sprowadza do Peorii kontrolerów o nietypowych zdolnościach; według innych robi to Merrill Errol Lehr. Notatka do rozdziału 22 sugeruje, że Chris Fogle zna ciąg liczb, który po wyrecytowaniu umożliwia mu całkowitą koncentrację, w żadnym jednak z rozdziałów, którymi dysponujemy, Fogle nie ujawnia tej mocy (być może ta zdolność jest powodem, dla którego Fogle został wezwany na spotkanie z Merrillem Lehrlem w rozdziale 49). Zamieszczeniu poniższego wyboru notatek przyświeca nadzieja, że pozwolą na lepsze zrozumienie pomysłów, których potencjał David badał w *Bladym Królu*, i rzucą światło na to, do jakiego stopnia powieść była wciąż dziełem w trakcie powstawania.

Notatki dołączone do poszczególnych rozdziałów *Bladego Króla* prezentowane są jako pierwsze, a w dalszej kolejności zamieszczono te znalezione w innych częściach rękopisu.

Michael Pietsch, redaktor

§7 Sylvanshine rozpaczliwie pragnie zostać agentem skarbowej dochodzeniówki CID – dlatego chce zdać egzamin na biegłego. Agenci CID muszą być certyfikowanymi biegłymi rewidentami, tak jak agenci FBI muszą być prawnikami. Sylvanshine ćwiczy przed lustrem: „Stój! Skarbówka!”.

Trzech dużych graczy: Glendenning, specjalny HR-owiec potrzebny Glendenningowi do wyszukiwania utalentowanych kontrolerów i Lehr. Tylko że nigdy nie widzimy ich samych, a jedynie ich asystentów i umyślnych.

§12 Podrzucenie Stecyka częścią planu Lehrla, by doprowadzić kontrolerów do szaleństwa.

§13 „Naprowadzony” to jedno z określeń w żargonie IRS, oznaczające stan kontrolerów, w którym ci poświęcają zeznaniom maksimum uwagi.

Przypis dolny nr 29. Wizerunek smoka zawsze stoi na straży czegoś bezcennego. Ten chłopiec nigdy, w toku niekończącej się introspekcji i analizy, nie pomyślał o atakach jako formie ogólnocieleśnego płaczu czy smutku – z powodu końca dzieciństwa, utraty części siebie, jakiej wymaga życie w społeczeństwie, niezliczonych traum i separacji. Niesmak wzbudzany w innych był jego kompletną projekcją własnego najskrytszego sekretu, którego smok jednocześnie strzegł i który ucieleśniał – że nie wie, co to litość.

§15 To Sylvanshine jest „jasnowidzem danych”, a Lehrl, który wierzy w okultyzm, wysłał go, by ten zidentyfikował i oznaczył najlepszych skorków w każdej z grup, tak że jeżeli AOANA wygeneruje lepsze wpływy z kontroli, w Trzech Szóstkach dostaną przekonujący dowód. To wymagałoby zmian w opisie przybycia Sylvanshine’a na miejsce... S. chce zostać biegłym rewidentem, ponieważ wszyscy inni w Systemach Kontroli Wewnętrznej są biegłymi? Czy po to, żeby wydostać się ze Służby?

§19 To gości z HR-u ostatecznie zastąpią komputery – są zbyt podatni na rozpraszenie, za bardzo lecą na wątki poboczne.

Dzieciak Glendenninga służy w marynarce na wodach u wybrzeży Iranu? Przeraza go myśl, że syn ryzykuje życie dla Ameryki, za którą już nie warto walczyć.

§22 Chris „Nieistotny” mówi rzeczy nieistotne, ale tylko w odniesieniu do siebie? W innych sprawach i na inne tematy trzyma się wątku, mówi przekonująco i ciekawie? W RCK krąży o nim opinia, że jest okej, jeżeli tylko uda się utrzymać rozmowę z dala od tematu jego własnej osoby – inaczej przepadłeś?

Fogle kończy w IRS jako nieznośny uszczęśliwicz wszystkich, jakim Stecyk był w dzieciństwie?

„Wywiad filmowy” jako przykrywka? Chodzi o wydobyć od Chrisa Fogle’a wzoru liczbowego pozwalającego na osiągnięcie całkowitej koncentracji? Tyle że on go nie pamięta – nie zauważył, kiedy akurat przeczytał numery serii dokumentów składające się na ciąg liczb, które po uszeregowaniu w jego głowie pozwalają mu utrzymać zainteresowanie i koncentrację? Trzeba go do tego jakby doprowadzić podstępem? Liczby mają efekt uboczny w postaci niesamowitego bólu głowy.

§24 Richard „Dick” Tate jest dyrektorem ds. kadr. Ned Stecyk to zastępca tegoż dyrektora. Tate występuje przeciwko Lehlrowi i SKW, ponieważ pragnie władzy, sprawowania kontroli – mniej żywego personelu to mniej władzy.

Glendenning nieudolny – błądzi we mgle obywatelskiego idealizmu – RCK zarządzają tak naprawdę Tate i Stecyk oraz osoba z Systemów Informacyjnych.

Kiedy spojrzenia DW i Stecyka spotykają się w chwili, gdy ten drugi pociesza gościa w swoim gabinecie, na twarzy Stecyka odmalowuje się wyraz ogromnego współczucia i empatii, głównie z powodu ohydnej cery DW. Stecyk odszukuje zatem DW i stara się być dla niego miły, domyślając się, że doświadczał odrzucenia i traumy przez całe życie. DW ma mu to za złe – jego zdaniem, jeżeli ludzie są na tyle płytki, żeby uważać czyjąś skórę za ostateczny wyznacznik jego wartości i charakteru, to chuj z nimi; nie potrzebuje ich – jednak jest gotów wykorzystywać życzliwość Stecyka, żeby zapewnić sobie rozmaite korzyści.

David Wallace, gdy się już umości, czasami wygląda przez okno i widzi w oknie centrali komputerowej w drugim, bardziej elitarnym budynku kogoś, kto odwzajemnia jego spojrzenie. W grubych okularach. Ich oczy się spotykają, ale oni sami nigdy się nie widują, nie zamieniają ze sobą słowa.

Jasnoniebieski pacer z naklejką na zderzak w kształcie ryby. To samochód Lane’a Deana, który co rano musi pędzić jak szalony, ponieważ o świcie uczęszcza na nabożeństwa (albo robi to Sheri, jego żona) i w związku z tym jest zawsze o krok od spóźnienia

(chrześcijańska żarliwość Deana od czasu, jak zaczął pracę w RCK, osłabła, podczas gdy u Sheri wzrosła) – odstawia ten numer niemal co rano.

§26 Stecyk wie o Blumquiscie. Pracował w RCK, kiedy Blumquist zmarł. Był świeżo po akademii IRS w Columbus i pracował jako kierownik sekcji w rutynowych. To jemu przypadło w udziale zbieranie zeznań od skorków (to był 1978?), którzy przychodzili do pracy i pracowali w tym samym pomieszczeniu coś koło trzech dni, w trakcie których Blumquist siedział sztywno za biurkiem, martwy. Niektórzy czuli się w związku z tym winni. Kilkoro z nich złożyło wnioski o przeniesienie. Stecyk odkryje następnie, że całkowity wpływ z audytów rośnie z miesiąca na miesiąc, kiedy Blumquist siada z nimi, nie odzywając się do ludzi ani nie rozpraszając ich, tylko siedzi, jest z nimi. Teoretyzuje, że podwójne zespoły kontrolerów mogłyby być warte swojej ceny – podwójne wydatki na pensje byłyby rekompensowane z nadwyżką przez ogólne wpływy z audytów. Tylko jak sprzedać ten pomysł? Dyrektor regionalny ds. kadr będzie chciał wiedzieć, jak rzecz wyszła na jaw... jak Stecyk może powoływać się na ducha? Albo to był może pomysł poprzedniego zastępcy kadrowca, który napytał sobie biedy, ponieważ w regionie zwiedzieli się, że eksperymentował z dwoma kontrolerami, co oznaczało podwójną pensję. Czy taki wątek brzmi przekonująco?

Jaki jest Stecyk teraz, jako dorosły? Nadal niewiarygodnie uprzejmy, ale już nie totalny przeszczerp? Trochę bardziej smutny? Sypie banałami psychologicznymi w wersji soft jak z rękawa? Co takiego się stało, że zrozumiał, że Uprzejmość z jego dzieciństwa była tak naprawdę sadystyczna, patologiczna, samolubna? Że inni ludzie także chcieliby się poczuć uprzejmymi wobec kogoś i wyświadczać innym przysługi, że był niezmiernie samolubny w swojej wspaniałomyślności? Może na boisku w koledżu, kiedy „z uprzejmości” pozwolił przeciwnej drużynie na zdobycie punktu, może wtedy podszedł do niego sędzia – ktoś w czarno-białym ubraniu, jak jezuita Chrisa „Nieistotnego” Fogle’a na studiach – który bez ogródek powiedział mu, że jest cholernie fałszywy i że prawdziwa przyzwoitość to coś zupełnie innego niż patologiczna

wspaniałomyślność, bo patologiczna wspaniałomyślność nie liczy się z uczuciami osób, które są jej adresatami? Stecyk powodował korki na skrzyżowaniach, ponieważ zawsze wszystkich przepuszczał? Albo sędzia magicznym sposobem daje Stecykowi wgląd w to, jak czuła się jego matka, kiedy Stecyk wstawał bardzo wcześnie rano, żeby wypełnić za nią jej obowiązki domowe – jakby była bezużyteczna, jakby rodzina uważała ją za niekompetentną etc. Stecyk opowiada Davidowi Wallace'owi historię o motyłu: jeżeli oswobodzisz go z kokonu, kiedy wygląda, jakby się męczył i umierał, wtedy jego skrzydła nie nabiorą wystarczającej siły i motyl nie przetrwa.

Patologicznie uprzejmi są jednym z najczęstszych typów, jakie przyciąga IRS, ponieważ to taka ponura, niepopularna praca – brak wdzięczności, co tylko potęguje wrazenie poświęcenia.

Sylvanshine podchodzi do Blumquista inaczej. Sylvanshine wywiódł, że niektórzy z najlepszych kontrolerów – ci najbardziej uważni, najdokładniejsi – to ci, którzy doświadczyli jakiejś traumy lub opuszczenia. On jest tu po to, żeby intuicyjnie namierzyć tych najlepszych, żeby można było ich wyniki zestawić z wynikami AOANA. Okazuje się, że Blumquist miał rodziców, którzy byli brutalnymi wyznawcami Fundamentalistycznego Kościoła, z gatunku tych, którzy wentylatory i materace uważają za zbytki. Mieli dla niego specjalną karę – kazali mu stać z twarzą zwróconą do ściany w salonie, gołej ściany, miał tak stać całymi godzinami. To była jego trauma. Na ścianie za nim wisiało lustro; odbijały się w nim tylko jego plecy. Właśnie taki obraz Blumquista ukazuje się Sylvanshine'owi – widok jego pleców w dzieciństwie, bardzo nieruchomych, z drewnianą ramą rzeźbioną w woluty dookoła. Produktywność Blumquista była o wiele, wiele wyższa niż kogokolwiek innego, a mimo to odrzucał propozycje przeniesienia go na wyższy szczebel tabeli służby cywilnej i stanowisko kierownicze. Sylvanshine w poszukiwaniu podobnie doskonałego kontrolera rutynowego, którego mógłby skonfrontować z programem AOANA i komputerem w serii testów. Wielu z ostatnio przeniesionych kontrolerów to jedni z najlepiej ocenionych w testach kontrolerów rutynowych, jakimi jeszcze dysponują RCK w całym kraju. Chłopcy Lehrla od Systemów chcą uczciwego testu: komputer i AOANA kontra najlepsi kontrolerzy rutynowi, jakich uda

im się znaleźć... tak że test będzie można uznać za tym bardziej definitywny, kiedy AOANA ich zmiążdży.

§30 LEHRL I FRAKCJA PRO-TECH kontra GLENDENNING I DYREKTORZY OKRĘGÓW: Projekt zastępuje kontrolerów ludzi komputerami, zgodnie z wymyślonym przez Lehrla Systemem Zautomatyzowanej Egzekucji Należności – dyrektorzy okręgów go nie chcą, ponieważ są ze starej szkoły IRS, rozumianej jako wspólnota wyznawców obywatelskości, podczas gdy nowa szkoła kieruje się myśleniem korporacyjnym: zmaksymalizować wpływy z podatków przy minimalizacji kosztów. Pytanie przez duże P to: czy IRS ma być tworem z zasady korporacyjnym czy *moralnym*.

Charles Lehrl szykuje się do komputeryzacji Kontroli, tak jak skomputeryzował System Zautomatyzowanej Egzekucji Należności w Należnościach – eksperymenty przeprowadzono w Rome i Filadelfii. Wymyślił protokół IRP, który porównuje druki W2 i 1099 z zeznaniami – praca kontrolerów stała się zbędna.

Reynolds & Sylvanshine (kochankowie? współlokatorzy?) konkurują o uwagę i względy Lehrla jak dworzanie albo dzieci – tak zabijają czas pośród monotonii intrygi w IRS.

Reynolds i Sylvanshine mieszkają razem – są trochę jak Rozenkranc i Gildenstern w *Hamlecie*. Mają niesamowicie ładną reprodukcję *Ojcowskiego napomnienia* Gerarda ter Borch'a (28 × 29 cali, Rijksmuseum, Amsterdam), którą wieszają wszędzie, gdzie przyjdzie im mieszkać – lub niesłychanie udaną fałszywkę autorstwa jednego z wielkich malarzy imitatorów współczesnej Ameryki.

§38 DW z powodu snafu jest za modernizacją systemów komputerowych IRS; Stecyk chce zatrzymać kontrolerów ludzi?

§43 Nie ma żadnej bomby. Okazało się, że eksplodował ładunek nawozu azotanowego. Czyli w powietrzu wisi groźba czegoś dużego, która się nie materializuje.

To okazuje się katastrofą – skanery zostają uznane za zdolne *zastąpić* kontrolerów – ich miejsca pracy są zagrożone: pojedynk Driniona ze strukturą skanowania.

§46 Rand pracuje w Dziale Pomocy Podatnika, nie w Kontrolach? Dlatego że jej uroda wpływa rozbijając na petentów i sprawia, że nie naprzykrzają się tak bardzo, jak byliby w stanie w innym wypadku? Jeszcze jeden przewrót w Kadrach autorstwa X, geniusza od talentów.

Gdy jako dziecko Drinion wraca pewnego razu do domu, okazuje się, że cała jego rodzina zniknęła – przynajmniej taka krąży o nim legenda. Sporo odnośnie do Driniona, jego sposób skupiania uwagi, pozostaje w sferze domniemań albo wyjaśnia się w znacznie dłuższej perspektywie czasowej.

Fama Meredith Rand w IRS: jest ładna, ale to gaduła najgorszego gatunku, miele i miele, trudno ją znieść – przypuszczają, że jej mąż korzysta z jakiegoś aparatu słuchowego, który może w dowolnym momencie wyłączać.

W trakcie ostatniego spotkania Rand i Driniona w książce Drinion pyta: „Wolałabyś intensywnie czy niezobowiązująco?”. Rand wybucha płaczem.

Rand dostaje na punkcie Driniona obsesji (jako rodzaju „wybawcy”), tak jak wcześniej w szpitalu miała obsesję na punkcie Eda Randa.

Regionalne Centrum Kontroli mieści się w oddalonej dzielnicy Peorii, znanej jako Anthony, Illinois? Kim jest święty Antoni? Tornado trwa...

Koniec cz. 1. W cz. 2. (będzie?) Rand opisuje, pokrótce, jak zaczął się ich związek (albo robi to Rath albo ktoś inny, albo to wychodzi w relacjach kilkorga różnych opowiadających); M.R. czuła, że potrzebuje Randa, albo raczej współczuła mu, ponieważ był chory i nieatrakcyjny (pozostałe odpychające symptomy w prywatnej rozmowie) i miał wkrótce umrzeć. Zawsze spodziewała się, że umrze w najbliższej przyszłości. I widziała, jak samotne i smutne jest jego życie, jego mieszkanie. Więc wyszła za niego, mając 19 lat... Ale on nie umarł, wciąż żyje; i teraz M.R. jest w pułapce, nieszczęśliwa, szczególnie że Ed nie jest jej wdzięczny i pogardliwie by ją wyśmiał, gdyby kiedyś spróbowała mu powiedzieć, że powinien być jej wdzięczny, że się zlitowała – Rand powiedziałaby jej, że jedyną osobą, nad którą się zlitowała, była ona sama i że poślubienie kogoś,

komu grozi śmierć, było doskonałym sposobem, by mogła się poczuć jednocześnie bezpiecznie i heroicznie.

Codziennie wieczorem odbywają tę samą rozmowę:

– Jak tam twój dzień?

– Pracuję w szpitalu psychiatrycznym. Niby jaki miałem mieć dzień?

Nie ma w tym nic śmiesznego ani intymnego, to nie jest wzajemny żart – ich związek wygląda zasadniczo tak samo od 6 lat, b. zmian czy postępów, i Rand szuka kogoś, kto by ją uratował, wyciągnął z tego.

Ważna kwestia to: ludzcy kontrolerzy czy maszyny? Sylvanshine tropi najlepszych ludzkich kontrolerów, jakich tylko może znaleźć.

Zarodkowy zarys:

2 ogólniejsze trajektorie:

1. Utrzymywanie uwagi, nuda, ADD, maszyny kontra ludzie przy wykonywaniu bezmyślnych zadań.

2. Bycie jednostką a bycie częścią większych rzeczy – płacenie podatków, bycie „samotnym strzelcem” w IRS kontra bycie team playerem.

David Wallace znika po 100 s.

Centralna kwestia: Realizm, monotonia. Seria okoliczności, w których coś ma się wydarzyć, ale nic się właściwie nie wydarza.

David Wallace znika – wsiąka w system.

Ogólny kierunek: ludzie starej gwardii IRS kierują się przekonaniem o własnej słuszności, oszuści podatkowi to próżniaki, płacenie podatków to cnota – albo radzą sobie w ten sposób z własnymi psychicznymi śmieciami: gniewem, resentmentem, służalczością wobec władzy etc. Albo są szarymi urzędnikami, których przyciągnęła stabilność, przeciętnymi pracownikami budżetówki. Nowa gwardia IRS to nie tylko dobrzy księgowi, ale też niezli strategiczni i biznesowi planiści: chodzi ostatecznie

o maksymalizację wpływów z podatków – mniejsza o cnotę obywatelskości, mniejsza o aspekt moralnego wojownika w pracy w urzędzie podatkowym. Nowy gość od Kadr w RCK w Peorii jest z nowej gwardii: chodzi mu tylko o znalezienie takich pracowników i taką organizację wszystkiego, żeby kontrolerzy maksymalizowali potencjalne wpływy z pracy audytorów / Pionu Egzekucji Należności. Jego zapal do eksperymentów / prób z myśleniem na świeże, nowe sposoby skutkuje, paradoksalnie, głębokim mistycyzmem – pewien zestaw liczb, który pozwala kontrolerom bardziej się skoncentrować etc. Chodzi ostatecznie o kwestię, czy to ludzie, czy maszyny lepiej się spiszą w kontrolach i zmaksymalizują wydajność identyfikowania tych zeznań, które wymagałyby audytu i przyniosłyby wpływy.

Drinion jest *szczęśliwy*. Umiejętność poświęcenia uwagi. Okazuje się, że słodycz – szczęście w każdej sekundzie + wdzięczność wobec daru istnienia, posiadania świadomości – że to wszystko mieszka po drugiej stronie miazdzącej, ale to miazdzącej nudy. Poświęćcie baczną uwagę najbardziej nużącej rzeczy, jaką możecie sobie wyobrazić (zeznanom podatkowym, transmisji turnieju golfa w telewizji), i fala za falą zaleje was nuda, jakiej nigdy nie znaliście, i omal was nie zabije. Wytrzymajcie to, a wtedy będzie, jakbyście przeszli z czarno-białego do kolorowego świata. Jak woda po dniach na pustyni. Nieustanna słodycz w każdym atomie.

STECYK?

Sylvanshine ma odpowiednika. To ktoś wysoko w Kadrach RCK (po stronie opowiadającej się za ludzkimi kontrolerami, a nie komputerami i DIF). Poszukuje ludzi do kontroli pogłębionych. Macherów, którym można powierzyć kontrolę złożonych zeznań i którzy nie odczują przy tym otepiałego znużenia. (Albo to Stecyk, kontroler całkowicie poświęcony swojej pracy – znienawidzone, abstrakcyjne ucieleśnienie nieposzlakowanej uczciwości i cnoty – wiecznie starający się przydać. To on idzie do gabinetu Meckstrotha z pomysłem, że można wysyłać noty bezpośrednio do banku, oszczędzając pieniądze i czas). Stecyk jest teraz w Kadrach i Szkoleniach Pracowniczych?

Zdarzają się rzadko, ale żyją wśród nas. Ludzie zdolni osiągać i podtrzymywać pewien stały stopień skupienia, uwagi, niezależnie od tego, co robią. Pierwszego z nich Stecyk wypatrzył w bibliotece Peoria College of Business, w czytelni: młodego Azjatę, siedzącego na jednym z tych krzeseł bibliotecznycy, które wyglądają na dużo wygodniejsze, niż są w rzeczywistości, rozpartego z nogami w siadzie skrzyżnym, z kostką na kolanie, czytającego podręcznik statystyki. Stecyk miją go dwadzieścia minut później, dzieciak znajduje się wciąż w tej samej pozycji, czyta. Stecyk przechodzi przez pomieszczenie tuż za jego plecami, żeby się upewnić, że jest już ileś stron dalej. Jego notatki są dokładne, wyrównane do lewego marginesu i pisane drobnym, starannym pismem. Godzinę później dzieciak siedzi nadal w tej samej pozycji, czytając tę samą książkę, 14 stron dalej.

Ochroniarz stojący przed wejściem do budynku kasy pożyczkowej. Cały dzień w postawie spoczynku. Nie wolno mu czytać ani gawędzić. Obserwuje tylko, jak ludzie wchodzą i wychodzą, odpowiada skinieniem głowy, jeśli ktoś go pozdrowi. W mundurze Midstate Security naśladowującym policyjny. Jest tam w razie czego. Stecyk wchodzi i wychodzi kilkakrotnie, chcąc poobserwować strażnika. Imponujące jest to, że ochroniarz przygląda mu się coraz uważniej za każdym kolejnym razem, co oznacza, że zarejestrował fakt, że Stecyk wchodzi i wychodzi częściej, niż przewiduje norma. Udaje mu się utrzymać uwagę nawet w pracy, która jest z pewnością przerażająco nudna.

Półfinały zawodów w medytacji konfederacji środkowo-zachodniej. Zawodnicy podpięci do urządzeń EEG – wygrywa ten, czyj mózg najdłużej będzie emitował fale theta.

Kobieta przy taśmie produkcyjnej, licząca pętle szpagatu widoczne na wierzchu beli szpagatu. Liczy w kółko. Kiedy rozlega się gwizdek kończący zmianę, wszyscy inni prawie że biegną do drzwi. Ona zostaje jeszcze chwilę, pogrążona w pracy. Chodzi o zdolność do pogrążania się.

¹ Mało znany fakt: jedyni obywatele USA z numerami ubezpieczenia społecznego zaczynającymi się od cyfry 9 to ci, którzy są lub kiedykolwiek byli pracownikami Izby Rozliczeń Skarbowych. Z racji swej szczególnej więzi z Administracją Ubezpieczeń Społecznych IRS nadaje wam nowy numer ubezpieczenia w dniu, w którym zaczyna obowiązywać wasza umowa. Wasze wstąpienie w szeregi Służby to z punktu widzenia danych osobowych jakby ponowne narodziny. Bardzo niewielu zwykłych obywateli o tym wie. Nie ma powodu, dla którego powinni. Ale przyjrzyjcie się własnym numerom ubezpieczenia społecznego – albo numerom osób na tyle wam bliskich, że powierzyły wam swoje numery. Jest tylko jedna cyfra, od jakiej te numery nigdy się nie rozpoczynają. To 9. Numery z dziewiątką zarezerwowano dla Służby. A gdy już wam taki nadadzą, zostaje z wami na całe życie, nawet jeśli już od dawna nie pracujecie dla IRS. Zostajecie jakby oznaczeni, numerycznie. Co roku w kwietniu – a także oczywiście co kwartał w przypadku tych, którzy prowadzą własną działalność i płacą kwartalny ryczałt – zeznania podatkowe i ryczałtowe rozliczenia podatników, których numery ubezpieczenia zaczynają się od 9, zostają automatycznie wyłowione i skierowane dalej, za pośrednictwem specjalnego programu procesującego-kontrolnego w Centrum Komputerowym w Martinsburgu. Wasz status w systemie zmienia się na dobre. Służba pozna swoich – zawsze.

² To sformułowanie żargonowe; chodzi mi naprawdę o to, że wszystko, co otacza tę *Przedmowę*, jest zasadniczo zgodne z prawdą. To, że *Przedmowa* została przesunięta siedemdziesiąt dziewięć stron w głąb tekstu, jest skutkiem jeszcze jednego paroksyzmu ostrożności, który w ostatniej chwili targnął wydawcą, o czym więcej poniżej.

³ Idąc za radą swojego prawnika, wydawnictwo nie zgodziło się na wymienianie go z nazwy w niniejszej *Przedmowie autora*, pomimo faktu, że każdy, kto spojrzy na grzbiet książki albo jej stronę tytułową, zobaczy natychmiast, o jaką chodzi firmę. Czyli że to irracjonalne ograniczenie; ale niech tak będzie. Jak zauważył mój własny prawnik, prawnikom korporacyjnym nie płaci się za bezwzględną racjonalność, ale za bezwzględną ostrożność. A nie tak trudno zrozumieć, dlaczego firma zarejestrowana w USA, jaką jest wydawca tej książki, bardzo pilnuje, by eliminować choćby ewentualność bycia posądzoną o granie na nosie IRS lub (tu cytata z jednej z historycznych wczesnych wiadomości od prawnika firmy) o „sprzyjanie” autorowi w łamaniu przez niego postanowień Klauzuli poufności, podpisywanej przez wszystkich pracowników Departamentu Skarbu. Niemniej – przy czym mój prawnik i ja byliśmy zmuszeni zwrócić im na to uwagę około stu pięciu razy, zanim ich prawnik wreszcie zaskoczył – wersję Klauzuli poufności, która obowiązuje wszystkich zatrudnionych przez Departament Skarbu, nie tylko Biura ds. Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej oraz Secret Service, jak to było kiedyś, wprowadzono w 1987 roku, tym samym, w którym, tak się składa, po raz pierwszy w całości użyto komputerów oraz formuły statystycznej znanej jako AOANA (od Algorytm Odróżnienia Audyt–Nie Audyt) do kontroli niemal wszystkich zeznań podatkowych indywidualnych

podatników. Wiem, że jak na zwykłą przedmowę zawałam was dosyć zawiłą i dezorientującą kupą informacji, ale sednem sprawy tutaj jest właśnie, że to [czy ten?] AOANA(a) oraz poszczególne składniki tej formuły, pozwalające ustalić, które zeznania podatkowe potencjalnie rokują największe wpływy po audycie, są tym, czego ochroną zainteresowana jest IRS, i stanowią powód, dla którego w 1987 Klauzulą poufności objęto także pracowników IRS. Z tym że do 1987 ja zdążyłem już wystąpić z szeregów Służby. Najciemniejsze chmury towarzyszące pewnej osobistej nieprzyjemności odpłynęły z wiatrem daleko i inna uczelnia zgodziła się, żebym się na nią przeniósł, tak że jesienią 1986 byłem znów na Wschodnim Wybrzeżu, z powrotem jako element sektora prywatnego, jakkolwiek oczywiście już z moim nowym numerem ubezpieczenia. Moja kariera w IRS trwała od maja 1985 do czerwca 1986. Stąd niepodleganie przeze mnie Klauzuli poufności. Już nawet nie mówiąc o tym, że zajmowane przeze mnie stanowisko nie bardzo dawało mi dostęp do jakichś wrażliwych czy szczegółowych informacji na temat AOANA. Mój przydział do Służby dotyczył spraw Regionu, na najniższym poziomie. Przez większość czasu byłem pracownikiem ds. kontroli rutynowej, którego w nomenklaturze Służby określa się też mianem „skorka”. Umowa określała moją pozycję w służbie cywilnej jako urzędnika 9. szczebla, najniższego wśród stanowisk etatowych. Niektóre sekretarki i woźni stali w tej hierarchii wyżej ode mnie. I wysłano mnie do Peorii, czyli tak daleko od Trzech Szóstek i Centrum w Martinsburgu, jak tylko można sobie wyobrazić. Co prawda, jednocześnie – i to właśnie szczególnie zaniepokoiło prawnika wydawcy – Peoria miała status RCK, była jednym z siedmiu ośrodków Działu Kontroli IRS, właśnie tego działu, który zlikwidowano lub też, mówiąc ściślej (choć tu można się spierać), przeniesiono z Pionu Przyjęć do nowo rozbudowanego Pionu Technicznego przed nadejściem AOANA i sieci Fornix. Są to nieco bardziej ezoteryczne, pozbawione kontekstu informacje o Służbie w porównaniu z tymi, o których przełknięcie pierwotnie chciałem was prosić, i mogę was zapewnić, że to wszystko zostaje wyjaśnione i / lub rozwinięte w znacznie zgrabniejszych, bliższych regułom sztuki dramatycznej słowach w samym pamiętniku, gdy tylko zaczyna się akcja. Na razie, żebyście nie czuli totalnego mętliku i znudzenia, powiedzmy tyle, że Kontrola jest tym działem IRS, którego zadaniem jest wyłuskiwanie i dokonywanie selekcji zeznań podatkowych różnego typu i klasyfikowanie niektórych z nich jako „dwudziestek”, którym to skrótem w Służbie określa się zeznania, które należy przesłać do odpowiednich okręgów celem przeprowadzenia audytu. Same audyty przeprowadzają agenci, których ranga to zwykle 9. albo 11. szczebel, zatrudniani przez Dział ds. Audytów. Trudno przedstawić to wszystko gładko czy zgrabnie – i chcę, żebyście wiedzieli, że żadna z tych abstrakcyjnych informacji nie gra aż tak ważnej roli w misji tej *Przedmowy*. Dlatego, jeśli macie ochotę, możecie spokojnie pominąć albo omieść wzrokiem to, co następuje. I nie myślcie, że cała książka będzie taka, ponieważ wcale taka nie jest. Za to jeżeli aż tak strasznie was to interesuje, to każde zeznanie podatkowe wytypowane, mniejsza o powód / powody (z których jedno były sensowne i świadczące o spostrzegawczości, podczas gdy inne, szczerze, odjechane i trące okultyzmem, w zależności od korka), przez kontrolera liniowego i przekazane do

audytu należy opatrzyć notatką wewnętrzną IRS serii 20, co tłumaczy pochodzenie terminu „dwudziestki”. Jak w przypadku większości ciasno wyspecjalizowanych i (bądźmy szczerzy) pogardzanych rządowych agencji, Służba przesiąknięta jest specjalnym żargonem i kodem, który początkowo wydaje się przytłaczający, ale wkrótce się go przyswaja i używa tak często, że staje się niemal naturalny. Jeszcze dzisiaj mieszałem sny w Służbomowie. Ale wracając do rzeczy, Kontrole i Audyty były dwoma spośród głównych działów Pionu Przyjęć IRS, a niepokój prawnika wydawcy brał się stąd, że z kolei prawnik IRS mógł, jeśli byliby dostatecznie źli i chcieli narobić nam kłopotu z powodu Klauzuli, dowodzić, że ja oraz niektórzy spośród moich współpracowników i przełożonych w RCK nr 047 w Peorii, którzy występują w tej historii, powinni zostać objęci, na zasadzie „praw nabytych”, zapisami Klauzuli poufności, ponieważ byliśmy nie tylko zatrudnieni przez Pion Przyjęć, ale także przydzieleni do tego RCK, które ostatecznie zajęło tak poczesne miejsce w przygotowaniach do tego, co miało przejść do historii pod różnymi nazwami, jak Nowe IRS, Inicjatywa Spackmana albo po prostu Inicjatywa, która tylko na pozór była dziełem Ustawy o reformie prawa podatkowego z 1986 roku, a tak naprawdę stanowiła wynik bardzo długiej, bardzo skomplikowanej biurokratycznej napażanki między Pionem Przyjęć a Pionem Technicznym o Kontrolę i rolę Kontroli w działalności IRS. Koniec zawałania danymi. Jeżeli nadal czytacie, mam nadzieję, że przynajmniej zdołałście zrozumieć z tego dostatecznie dużo, by pojąć, dlaczego kwestia wymienienia wydawcy z nazwy nie była czymś, na walkę o co zdecydowałem się poświęcić czas i dobrą wolę redaktorów. Coś jak to, że trzeba wiedzieć, kiedy odpuścić, przynajmniej w *non-fiction*.

(a) Przy okazji – zero ściemy z nazwą formuły. Czy statystycy z Pionu Technicznego mieli świadomość, że skrót nazwy algorytmu będzie miał tak ciężkie, niemal tanatoidalne brzmienie? Prawdę mówiąc, jest to wątpliwe. Jak wie obecnie zdecydowanie zbyt wiele osób w Stanach, programy komputerowe są totalnie, do bólu dosłowne i niekonotatywne; i tacy też byli ludzie z Pionu Technicznego.

⁴ (Poza, rzecz jasna, formułą „Wszelkie prawa zastrzeżone”).

⁵ Ten drugi przypadek stanowi dobry przykład sytuacji, jakie potrafiły rzucić ludzi wydawcy w kołowrotek działań analnych i ostrożnościowych. Ludzie zwykle nie rozumieją, jak poważnie duże amerykańskie firmy traktują choćby zagrożenie sprawą sądową. Jak się ostatecznie przekonałem, to nawet nie tyle kwestia tego, czy wydawca przegrałby, czy wygrał sprawę; to, czego się naprawdę obawiają, to koszty obrony przed jej wniesieniem i wpływ tych kosztów na wysokość składki ubezpieczenia OC, która już sama w sobie stanowi poważny koszt operacyjny. Jednocześnie nie byłoby fair przypisywać odpowiedzialność za każdą jedną taktyczną zmianę czy odstępstwo wydawcy. Ja (czyli, raz jeszcze, rzeczywista osoba fizyczna David Wallace) także boję się pozwów. Jak wielu Amerykanów, sam byłem pozywany – dwukrotnie, przy czym tak naprawdę oba pozwy były bezpodstawne, a jeden z nich oddalono jako niepoważny – i wiem to, co wie wielu i wiele z nas: sprawa sądowa to nic fajnego i warto poświęcić czas i wysiłek, żeby uniknąć jej zawczasu, jeśli to tylko możliwe. Plus oczywiście nad całym

przełęczem-pod-kątem-należytej-staranności *Bladego Króla* unosiło się widmo Służby, której niepotrzebne wkurzanie nie śniło się nikomu przy zdrowych zmysłach, podobnie jak to, by pchać się w orbitę jej pełnego instytucjonalnego zainteresowania, albowiem Służba, podobnie jak powództwo cywilne, jest w stanie zatruć człowiekowi życie, nawet jeśli ostatecznie nie wydobędzie od niego złamanego centa.

⁶ Np. jedna jest Podkomisarzem Regionalnym ds. Obsługi Podatników w Zachodnim Sekretariacie Komisarza Regionalnego w Oxnard w Kalifornii.

⁷ Podpisane i poświadczane przez notariusza podanie 2002 FOIA o udostępnienie tych taśm wideo znajduje się w aktach Biura Informacji Publicznej Izby Rozliczeń Skarbowych, mieszczącego się pod adresem 666 Independence Avenue, Washington, DC... A i owszem – siedziba krajowej centrali Służby naprawdę mieści się pod numerem 666. O ile mi wiadomo, to nic więcej jak tylko nieszczęśliwy wypadek w trakcie przydziału powierzchni biurowej przez Departament Skarbu w następstwie ratyfikacji szesnastej poprawki w 1913 roku. Na szczeblu regionalnym personel Służby ma w zwyczaju mówić o biurze krajowym jako Trzech Szóstkach – znaczenie terminu jest oczywiste, jakkolwiek nikt, z kim miałem możliwość porozmawiać, nie wiedział, kiedy dokładnie zaczęto się nim posługiwać.

⁸ Ten luźny termin ma przywołać na myśl udratyzowaną rekonstrukcję empirycznie realnego zdarzenia. Jest to powszechnie znany i zupełnie przyzwoity współczesny środek stosowany zarówno w filmie (vide *Cienka niebieska linia*, *Forrest Gump*, *JFK*), jak w literaturze (vide *Z zimną krwią* Capote'a, *Bunt na okręcie* Wouka, *Zombie Oates*, *The Red Badge of Courage* Crane'a, *S-kadra* Wolfe'a & c., & c).

⁹ Najprostszym sposobem, by się przekonać, że te umowy różnią się od siebie, jest porównanie naszych reakcji na złamanie ich warunków. Wrażenie zdrady czy niewierności, które czytelnik odczuwa, gdy okazuje się, że dzieło będące rzekomo literaturą faktu zawiera zmyślony materiał (co zdarzyło się przy okazji niektórych nie tak dawnych skandali literackich, np. w przypadku *Malowanego ptaka* Kosińskiego czy tej słynnej książki Carcaterry), wywołane jest naruszeniem warunków umowy na literaturę faktu. Istnieją oczywiście sposoby, by – w cudzysłowie – oszukać także czytelnika fikcji literackiej, choć te akurat są zwykle natury bardziej technicznej, to jest przynależą do reguł formalnych samego opowiadania (por. np. pierwszoosobowego narratora w kryminale, który nie ujawnia, aż do ostatniej strony, że to właśnie on jest mordercą, chociaż oczywiście o tym wiedział, ale się powstrzymywał tylko po to, żeby nas podreżyć), czytelnik zaś czuje się raczej zawiedziony estetycznie niż osobiście wydymany.

¹⁰ Wybaczcie ostatnie zdanie, które jest rezultatem długich targów i kompromisu z ekipą prawniczą wydawcy.

¹¹ (Którego, FYI, w tamtym czasie nie uczono albo prawie nie uczono na formalnie odrębnych studiach).

¹² (Słusznie, jak się okazało).

¹³ Trzeci rok to, tak przy okazji, okres, w którym wielu spośród bardziej uprzywilejowanych studentów, w tym kilku spośród moich klientów, wyjeżdżało na tradycyjny „semestr za granicą” na takie uczelnie jak Cambridge czy Sorbona. Tylko napomykam. Nie oczekuje się, że będziecie załamywać ręce nad jakimikolwiek dostrzeżonymi przez was w tym stanie rzeczy przejawami hipokryzji i niesprawiedliwości. Niniejsza *Przedmowa* w żadnym wypadku nie stanowi apelu o współczucie. Poza tym to wszystko to oczywiście historia dawno miniona.

¹⁴ (Chociaż wysoce mało prawdopodobne, zważywszy na troskę koledżu o reputację i PR).

¹⁵ Wybaczcie strukturę tego zdania. Prawda jest taka, że cała ta sprawa z szafką bractwa i potrzebą znalezienia kozła ofiarnego z powodu wynikłego skandalu jeszcze dziś czasami podnosi mi ciśnienie. Dwa fakty mogą być przydatne w zrozumieniu uporczywości tych emocji: (a) z pięciu studentów, którym Rada S. udowodniła kupno prac semestralnych bądź splagiatowanie tych, które zostały kupione, dwóch ukończyło studia *magna cum laude*, a (b) trzeci zasiada obecnie w Radzie Powierniczej uczelni. Pozostawię te informacje jako nagie fakty i pozwolę wam wyciągnąć własne wnioski z całej tej podłej historii. *Mendacem memorem esse oportet*.

¹⁶ I proszę o wybaczenie mi tego wybiegu. Mając na względzie rodzinno-prawne ograniczenia opisane tuż poniżej, tego rodzaju antywyjaśnienie jest jedynym sposobem, bym uniknął uznania całego mojego pobytu na Placówce IRS nr 047 za jakąś gigantyczną, niewyjaśnioną i niczym nieuzasadnioną białą plamę, która w pewnych rodzajach prozy mogłaby być uznana za (technicznie) akceptowalną, za to w książce wspomnieniowej stanowiłaby poważne i zasadnicze naruszenie warunków umowy.

¹⁷ (Nie rodzica).

¹⁸ Zob. przypis nr 2 *supra*.

¹⁹ Posługuję się słowem „biurokracja”, jakkolwiek w przygotowaniach do całej zabawy z Nową IRS sporą rolę odegrała szerząca się zarówno w Trzech Szóstkach, jak i w Regionie anty- bądź postbiurokratyczna mentalność. Spójrzcie, dla szybkiego przykładu, na ten urywek wywiadu z panem Donaldem Jonesem, kierownikiem zespołu 13. szczebla w grupie zadaniowej „grubych” w RCK na Region Środkowo-Zachodni w latach 1984–1990:

Być może przydatne będzie zdefiniowanie *biurokracji*. Pojęcia. Tego, o czym mówimy. Mówili, że musimy tylko sięgnąć do słownika. Administracja charakteryzująca się rozproszeniem władzy i przestrzeganiem nieelastycznych reguł postępowania, koniec cytatu. Nieelastyczne reguły postępowania. System administracyjny, w którym potrzeba lub pragnienie stosowania się do złożonych procedur utrudnia skuteczne działanie, koniec cytatu. Mieli foliogramy z definicjami, które rzucali nam na ścianę na spotkaniach. Mówili, że facet kazał im je recytować, jakby to był jakiś katechizm.

Czyli, tytułem dygresji, przez kilka lat, o których między innymi mowa, jedna z największych istniejących biurokracji wiała się w konwulsjach, w których usiłowała stworzyć siebie od nowa jako nie-biurokrację, a może nawet antybiurokrację, co w pierwszej chwili może się wydać niczym innym jak kolejnym zabawnym biurokratycznym szaleństwem. W rzeczywistości było to przerażające; przypominało trochę obserwowanie, jak potężna maszyna zyskuje świadomość i usiłuje myśleć i czuć jak prawdziwy człowiek. Groza filmów powstałych w tym czasie, jak *Terminator* oraz *Łowca androidów*, miała źródło właśnie w tej przesłance... tyle że oczywiście w przypadku Służby konwulsje i ich efekty uboczne, jakkolwiek bardziej rozproszone i niedramatyczne, przekładały się w sposób rzeczywisty na życie Amerykanów.

Notabene, gdy pan Jones wspomina tych, którzy „mówili”, ma na myśli pewne osobistości na wysokich stanowiskach, będące propagatorami tak zwanej Inicjatywy, której próby objaśniania za pomocą abstrakcyjnych pojęć byłyby tu zupełnie nieskuteczne (choć zob. wypowiedź 951458221 w nagraniu wywiadów w §14, która zawiera długą i być może nie dość skondensowaną wersję takiego objaśnienia w wykonaniu pana Kennetha [Kena „Coś w tym stylu”] Hindle’a, jednego z najstarszych skorków w grupie kontroli rutynowych, w której ostatecznie wylądowałem [po całej masie perypetii i pomyłek na skutek wadliwego zarządzania]), przy czym jedyną taką osobistością, na której kiedykolwiek spoczął wzrok kogokolwiek na naszym szczeblu, był M.E. Lehr z Pionu Technicznego, w otoczeniu swego dziwnego sztabu jasnowidzów i efebów od wiedzy tajemnej, których misja polegała na (jak się okazało) wsparciu wdrażania Inicjatywy w części związanej z Kontrolą. Jeśli brzmi to jak na razie bez sensu, nie przejmujcie się tym. Głowiłem się nad pytaniem o rzeczy, które należałoby tu wyjaśnić, i te, którym można pozwolić ujawnić się w bardziej naturalny, fabularny sposób w samym pamiętniku. Ostatecznie postanowiłem udzielić pewnych szybkich, potencjalnie dezorientujących wyjaśnień, licząc na to, że gdyby okazały się na ten moment zbyt nieprzejrzyste czy zanadto barokowe, to po prostu nie poświęćcie im szczególnej uwagi, co – spieszę uspokoić – jest zupełnie w porządku.

²⁰ Jeśli was to interesuje, ten termin to skrótowe określenie zaliczki na poczet przewidywanych tantiem (przy odliczeniu podatku dochodowego w wysokości od 7 ½ do 15% w zależności od progów) ze sprzedaży książki. Jako że faktyczne wyniki sprzedaży trudno przewidzieć, w interesie finansowym autora leży wynegocjowanie jak najwyższej możliwej zaliczki, nawet jeśli suma jednorazowej wypłaty może spowodować problem przy rozliczeniu za dany rok (w głównej mierze za sprawą likwidacji, na mocy Ustawy o reformie prawa podatkowego z 1986 roku, zapisu o możliwości opodatkowania dochodu uśrednionego z kilku kolejnych lat). A ponieważ, jak mówiłem, przewidywania co do wielkości sprzedaży książki nie wpisują się w domenę nauk ścisłych, wielkość zaliczki, jaką wydawnictwo jest gotowe wypłacić autorowi za prawa do dzieła, jest najlepszym empirycznym wskaźnikiem jego gotowości do udzielenia książce wsparcia. Otrzymanie tego wsparcia jest natomiast praktycznie jedynym sposobem na dotarcie do rzesz czytelników i osiągnięcie wysokich wyników sprzedaży – czy to

się komuś podoba, czy nie, tak przedstawia się rzeczywistość współczesnego rynku.

²¹ Gdy skończyło się już czterdzieści lat, to czy jest się artystą, czy nie, trzeba być zarozumiałym durniem, żeby zaniedbać konieczność odkładania i inwestowania pieniędzy na emeryturę, zwłaszcza w epoce IRA oraz IRA-SEP z odroczoną płatnością podatku, z jakże szczerze ustalonymi kwotami wolnymi od opodatkowania – a tym bardziej zwłaszcza, jeśli wasza firma łapie się prawnie na spółkę typu S, bo ona daje jeszcze roczną składkę na emeryturę, jako niezależny dodatek do waszego IRA, klasyfikowaną jako „dodatek pracowniczy”, tym samym zwalniając tę ekstra sumę z obciążeń podatkowych. Obecne prawo podatkowe praktycznie błaga na kolanach Amerykanów z najwyższego przedziału dochodowego, żeby skorzystali z tego zapisu. Cała sztuka w tym, żeby zarobić wystarczająco dużo, by zakwalifikować się do grona Amerykanów z najwyższymi dochodami – *Deos fortioribus adesse*.

²² (Pomimo zdobycia przez niego nieoczekiwanej sławy i dochodów po czterech latach, jakie upłynęły od tamtego momentu, nadal czekam na zwrot kwoty zadłużenia od tego niewymienionego z nazwiska pisarza, o czym mówię nie po to, żeby biadolić czy się odgrywać, ale wyłącznie w celu jeszcze wierniejszego odmalowania mojej sytuacji finansowej *qua* motywacji).

²³ (Określenie nieco mylące, bo odnosi się do klasycznie pojętego liberalizmu).

²⁴ (Postawy, którym nie można odmówić pewnej racji, jeśli wziąć pod uwagę wrogość, jaką wobec Służby żywią podatnicy, zwyczaj walenia w rządową agencję przez polityków w celu zainkasowania populistycznych punktów & c).

²⁵ Mogę być stosunkowo pewien, że jako jedyny żyjący Amerykanin przeczytałem wszystkie te archiwa od deski do deski. Nie wiem właściwie, jak mi się to udało. Pan Chris Acquistipace, jeden z szefów sekcji w naszej grupie rutynowych kontroli, człowiek niepośledniej intuicji, porównał kiedyś publicznie dostępne dokumenty urzędowe otaczające Inicjatywę do gigantycznych posągów Buddy z czystego złota, stojących u wejść do pewnych świątyń w starożytnym państwie Khmerów. Te bezcenne statuy, nigdy przez nikogo niepilnowane i niezabezpieczone, uchowały się przed kradzieżą nie pomimo swej wartości, a ze względu na nią – były zbyt olbrzymie i ciężkie, by można je było ruszyć z miejsca. Jest w tej analogii coś, co pomagało mi wytrwać.

²⁶ (Która jest – było, nie było – specjalnością pamiętników).

²⁷ (Nieważne, czy jesteśmy tego deklaratywnie świadomi, czy nie).

²⁸ (Raz jeszcze – niezależnie od deklaratywnej świadomości czy jej braku).

²⁹ Mówiąc językiem psychologii psychodynamicznej, jako podmiot osiągał późne i dlatego traumatyczne zrozumienie bycia jednocześnie przedmiotem, ciałem wśród innych ciał, czymś, co widzi, ale także bywa widziane. Chodziło o ten binarny obraz siebie, który wiele dzieci nabywa już w wieku pięciu lat, często na skutek przypadkowego spotkania z lustrem, kałużą, oknem czy fotografią, o ile zobaczą je w ten właściwy sposób. Chociaż chłopiec otrzymał w dzieciństwie ekspozycję na reflektory nieodstającą od średniej statystycznej, to

stadium rozwojowe pozostawało w nim jakoś opóźnione. Zrozumienie siebie jako przedmiotu-dla-innych w jego przypadku zostało odroczone po sam skraj dorosłości – i jak to się dzieje w przypadku większości wypartych prawd, ta, kiedy wreszcie do niego dotarła, przysłała jako coś przytłaczającego i straszego, jak stworzenie ze skrzydłami zionące ogniem.

³⁰ Z perspektywy klinicznej wygląda to tak, że usiłował wyprzeć wyparcie prawdy, którą i tak już był zbyt długo wypierał, a gdy już raz przedarła się przez lustro (by tak rzec), jej odciążenie z powrotem poza świadomość wymagało zbyt wiele energii psychicznej, by mogło się powieść. Świadomość po prostu nie działa w ten sposób.

³¹ A zwłaszcza nie zdarzało się to, kiedy stał sam przed lustrem w łazience na piętrze, usiłując sprowokować atak, by móc przyjrzeć mu się w lustrze i przekonać się samemu, obiektywnie, jak źle i jak jednoznacznie to wygląda z różnych perspektyw i z jak daleka jest zauważalne. Miał nadzieję, a na jakimś poziomie wierzył, że może nie było to tak jednoznaczne czy dziwaczne, jak się obawiał, że jest, za każdym razem, gdy dochodziło do ataków, ale nigdy nie mógł tego zweryfikować, ponieważ nigdy nie był w stanie sprawić, by atak się wydarzył, kiedy tego chciał, ten bowiem przychodził wyłącznie, gdy był totalnie, ale to totalnie nieproszony.

³² Nazwisko tego chłopca, *Cusk*, wyznaczało mu na lekcjach z przyporządkowaniem do ławek miejsce z przodu sali.

³³ We wszystkich cenionych interpretacjach z kręgu psychologii głębi światło jupitera czy szperacza to oczywiste symbole senne ludzkiej uwagi. Jednakowoż na poziomie treści ukrytej powracający koszmar może być interpretowany jako wszystko, począwszy od wypieranego narcystycznego pragnienia bycia dostrzeżonym przez innych, kończąc na nieświadomym rozpoznaniu w nadmiernym zaabsorbowaniu sobą przybliżonego źródła swojego cierpienia. Dla klinicystów istotne byłyby tu takie kwestie jak źródło światła jupitera ze snu, status postaci nauczyciela jako imago bądź archetypu (lub, być może, jako projektowanej wizji siebie, jako że właśnie w tej postaci cierpienie jest eksternalizowane jako afekt), a także własne skojarzenia badanego związane z takimi wyrażeniami jak „obrzydliwy”, „atak” oraz „wstrząsający”.

³⁴ I wewnątrz tajemnic kryją się tajemnice – zawsze.

³⁵ Nie będę mówił tego za każdym razem, że to ja, żywy autor, prowadzę tutaj narrację. Na razie włączam to w tekst jako niewinną podpowiedź, która ma wam pomóc nie pogubić się wśród poszczególnych sekcji i aktorów tej książki, sytuacja prawna bowiem (jak wyjaśniono w *Przedmowie* autora) wymusza pewien stopień polifonii i płynności.

³⁶ Podówczas Lake James było czymś pomiędzy przedmieściem Peorii a niezależną gminą. To samo można powiedzieć o innych niewielkich oddalonych od zasadniczego korpusu miasta osiedli, jak Peoria Heights, Bartonville, Sicklied Ore, Eunice & c., z których dwa ostatnie przylegały do Lake James wzdłuż granic pewnych nieprzyłączonych stref na wschód i zachód od niego. Cała sprawa z tą odrębnością przy jednoczesnej łączności miała związek z niepowstrzymaną

ekspansją miasta i jego wdzieraniem się na otaczające je żyzne rolnicze terytoria, co z biegiem czasu wciągnęło pewne niewielkie, wcześniej odosobnione społeczności w orbitę wpływów Peorii. Z tego, co mi wiadomo, każde z tych małych miast satelickich miało własną strukturę podatku od nieruchomości oraz organy planowania terytorialnego, za to pod wieloma innymi względami (np. ochrony policyjnej) funkcjonowały jak oddalone dzielnice właściwej Peorii. Cała sprawa potrafiła się niesamowicie skomplikować i namieszać. Na przykład Regionalne Centrum Kontroli mieściło się pod adresem 10047 Self-Storage Parkway, Lake James, IL, podczas gdy oficjalnym adresem korespondencyjnym RCK było „Regionalne Centrum Kontroli Izby Rozliczeń Skarbowych, Peoria, IL 67452”. Może to dlatego, że urząd pocztowy na G Street w śródmieściu Peorii miał całe osobne miejsce zajmowane przez trzy kontenery zarezerwowane dla RCK, a do tego parę operujących w tandemie specjalnych furgonetek, które trzy razy dziennie wyjeżdżały z drogi wewnętrznej na tyłach budynku poczty w kierunku doków rozładunkowych za Aneksem RCK, tj. w adresie pocztowym mogła widnieć Peoria po prostu dlatego, że tam przychodziła codzienna góra poczty do RCK. Czyli sprawa mogła być prędzej funkcją relacji pomiędzy Urzędem Pocztowym USA a IRS niż być podyktowana jakimikolwiek innymi względami. Jak tyle innych właściwości RCK i Służby odpowiedź na pytanie o rozbieżność między danymi korespondencyjnymi a fizyczną lokalizacją jest bez wątpienia skomplikowana i specyficzna, a tropienie jej przyczyn i zgłębianie wymagałoby znacznie więcej czasu i energii, niż jakkolwiek osoba przy zdrowych zmysłach byłaby gotowa zainwestować. Inny przykład: naprawdę istotnym, swoiście uderzającym faktem dotyczącym Lake James jako gminy jest ten, że miejscowość nie posiada żadnego jeziora. Istnieje wprawdzie zbiornik wodny o nazwie Lake James, ale w praktyce jest to raczej duży cuchnący staw, zarośnięty glonami z nadmiaru nawozów w ściekach z pól, położony dobrych kilkanaście mil od samego Lake James, bliżej Anthony IL, które jest zdecydowanie oddzielną od Peorii gminą i ma własny kod pocztowy & c., & c... Innymi słowy, rozbieżności takie jak te są złożone i zastanawiające, ale nie aż tak znowu ważne, o ile nie siedzicie głęboko w geograficznych szczegółach Peorii (czego prawdopodobieństwo mogę, jak sądzę, śmiało uznać za nikłe).

³⁷ Notabene nie zamierzam być jednym z tych autorów wspomnień, którzy udają, że pamiętają każdy fakt i rzecz ze wszystkimi fotorealistycznymi szczegółami. Ludzki umysł nie działa w ten sposób i wszyscy to wiedzą; udawanie, że jest inaczej, to bezczelna pretensjonalność jak na gatunek, który chce być postrzegany jako w stu procentach „realistyczny”. Szczerze mówiąc, uważam, że zasługujecie na coś lepszego i jesteście wystarczająco inteligentni, żeby rozumieć, a może nawet podziwiać memuarystę, który zdobywa się na uczciwość i przyznaje, że nie jest jakimś ejdetycznym czubkiem. Jednocześnie nie zamierzam tracić czasu na rozwodzenie się nad każdą luką i nieścistością w mojej pamięci, czego sztandarowym antyprzykładem jest monolog o powołaniu Chrisa „Nieistotnego” Fogle’a (zob. §22 powyżej, który i tak jest znacząco zredagowany i poprzączony), będący częścią zakończonej fiaskiem realizacji motywacyjnego / rekrutacyjnego paradokumentu na potrzeby Działu Kadr w 1984, które to

przedsięwzięcie zakończyło się klęską częściowo dlatego, że nagrania Fogle'a i dwóch czy trzech innych paplających gwiazdorów zajęły tyle kilometrów taśmy i tyle czasu, a także dlatego, że pan Tate nie zlecił panu Stecykowi przydzielenia komukolwiek z personelu zadania czuwania nad tym, by odpowiedzi na „pytania dokumentalne” mieściły się w jakichś rozsądnych granicach, co w efekcie tylko zachęciło rzekomego „dokumentalistę” i jego ekipę, by pozwolić Fogle'owi *et al.* gadać, podczas gdy tamci patrzyli w przestrzeń i obliczali kumulujące się pieniądze za nadgodziny, które im wypłacą. Cała sprawa, pomijając jej oczywistą wartość dokumentalną, była ewidentnie jednym wielkim z-dupy-gniotem, jednym z wielu, jakie Tate uwał, ilekroć odpływał w swoje administracyjne burze mózgow, zamiast po prostu dać Stecykowi odwalić całą robotę w Kadrach, jak to miał w zwyczaju.

³⁸ Nie mam już tego dwustronicowego formularza 141-PO, który przepadł w trzewiach systemów segregujących systemów awaryjnych kadr i kontroli wewnętrznej RCK podczas całego późniejszego mętliku i komedii omyłek towarzyszących mojemu początkowemu błędnemu skierowaniu do Pawilonu Kontroli Pogłębianej, którą to historię opowiedziano ze wszystkimi żalonymi arcybiurokratycznymi szczegółami poniżej.

³⁹ Notabene: jeśli nie liczyć możliwej konkurencji ze strony East St. Louis, Peoria i Joliet znane są jako dwa najbardziej ponure, najbardziej zubożałe, pogrążone w depresji przemysłowe miasta w Illinois*, co nie jest przypadkiem, fakt ten bowiem pozwala w sposób potwierdzony twardymi danymi zaoszczędzić Służbie na wynajmie pomieszczeń oraz na pensjach. Praktyka umiejscawiania większości siedzib regionalnych, RCK-ów i centrów obsługi w dotkniętych klęskami i / lub więdnących miastach, mająca korzenie w wielkiej reorganizacji i decentralizacji Służby w następstwie raportu Komisji Kinga przedłożonego Kongresowi w 1952 roku, jest tylko jedną z oznak istnienia wewnątrz Służby tendencji prorynkowych i popularności filozofii faworyzowania najniższej proponowanej sumy, które zaczęły dochodzić do głosu już za czasów administracji Nixona.

* Tytułem uzupełnienia istotnego ogólnego kontekstu: wiedźcie, że pięcioma największymi miastami i regionami metropolitarnymi Illinois (wyłączając Chicago, które jest bardziej galaktyką samą w sobie), ok. roku 1985 były, w kolejności malejącej: Rockford, Peoria, Springfield, Joliet i Decatur.

⁴⁰ Tak przy okazji: nadal posiadam ten list, z którego z powodów natury prawnej podobno nie wolno mi zacytować więcej niż jedno zdanie w ramach dozwolonego użytku, żeby dać wam „ogólne pojęcie”, a mianowicie: „Otrzyma jedynie skromną posadę na początek, a losy jego awansu będą zależały wyłącznie od jego pilności i asertywności”, obok którego na marginesie niewspominany imiennie adresat napisał w roztargnieniu „HA!” albo „CHA!”, w zależności od tego, jak kto starał się zinterpretować kanciaste i niemal niedające się odcyfrować pismo kogoś, dla kogo „szybki koktajl przed kolacją” oznacza drinka w półlitrowej szklance bez lodu.

⁴¹ Pamiętajcie, że była to końcówka epoki mainframe'ów, przechowywania danych na taśmach i kartach perforowanych & c., która teraz wydaje się niemal flintstonowsko zamierzchła.

⁴² Jakkolwiek infantylne się to teraz wydaje, wiem, że czasami odczuwałem irracjonalny lęk przed perspektywą przedostania się wieści o mojej przykrej historii na uczelni, za pośrednictwem jakiegoś spowitego tajemnicą wszechobecnego systemu zbierania danych, do IRS, która byłaby do systemu jakoś podłączona, i że jakiś dzwonek czy syrena rozlegnie się nagle, gdy stawię się przy okienku po mój identyfikator i odznakę i tak dalej... Irracjonalny lęk, o którym wiedziałem, że jest irracjonalny, i dlatego nie dopuszczałem go w pełni do świadomości, choć wiem, że jednocześnie spędziłem przynajmniej część wlekącej się w nieskończoność podróży autokarem do Peorii, machinalnie układając awaryjne plany i scenariusze, które w zależności od tego, czy i kiedy odezwałyby się dzwonek czy syrena, pozwoliłyby mi uniknąć powrotu do Philo jeszcze w dniu wyjazdu i stawienia czoła osobie, kimkolwiek by ona była, która otwarłaby drzwi w odpowiedzi na moje pukanie i zobaczyłaby mnie z torbami i teczką na brudnej werandzie domu – wiem, że momentami ten nieświadomy lęk obejmował tylko wyobrażenia wyrazu twarzy któregoś z członków najbliższej rodziny, który otworzyłby drzwi, zobaczył mnie i otworzył usta, by coś powiedzieć, kiedy to uświadamiałem sobie, że snuję lękowe fantazje i odpychałem je od siebie, siedząc w autokarze, i wtedy powracałem do lektury niewiarygodnie mdłej, otrzymanej „w prezencie” od rodziny książki, ucieleśniającej ich wyobrażenia na temat praktycznej mądrości i wsparcia, wręczonej mi przy kolacji w wigilię mojego wyjazdu (która to specjalna pożegnalna kolacja składała się, tak na marginesie, z [a] resztek i [b] ugotowanych na parze kolb kukurydzy, o których choćby próbie przełknięcia po niedawnym przykręceniu aparatu ortodontycznego nie mogłem nawet pomarzyć), po uprzednim poinstruowaniu mnie, żeby rozpakować prezent ostrożnie, tak by dało się ponownie wykorzystać papier, w który był zawinięty.

⁴³ (Plus, przyznaję, pewna doza rozlazłej ulgi wywołanej przyjęciem będącym przeciwieństwem dzwoneków / syren i możliwego odrzucenia z powodów niespełniania standardów etycznych czy czegośkolwiek, co wymyśliła moja podświadomość; myślę, że bałem się bardziej, niż się do tego przed sobą przyznawałem).

⁴⁴ Który to chłopiec, po tym jak wsiadłem i się umościłem, spędził kilka minut, gapiąc się szeroko otwartymi oczami na dolegliwość skórną z boku mojej twarzy, nie próbując ukrywać czy kamuflować klinicznego zainteresowania, z jakim małe dzieci potrafią się gapić, co oczywiście widziałem (i pod pewnymi względami byłem mu niemal wdzięczny) kątem oka.

⁴⁵ Tj. wszystkich tych mężczyzn w kapeluszach, które to kapelusze okazały się – jak wkrótce zacząłem się domyślać, by później ostatecznie się upewnić – znakami rozpoznawczym Działu Kontroli (tak jak płaskie kabury na kalkulator były wizytówkami Audytu, a słuchawki i wymyślne spinki od krawata – Systemów itd.) do tego stopnia, że wszystkie sale grup w RCK, tak dla kontroli rutynowych,

jak i pogłębionych, miały przynajmniej na jednej ścianie rządowy wieszak z kołkami na kapelusze kontrolerów, osobiste wieszaki na kapelusze czy haki przykręcane do biurka Tingle'a stwarzałyby bowiem przeszkodę dla wózków obsługiwanych przez wózkowych...

⁴⁶ (Np. że jedna postać informuje drugą o czymś, co obie już przecież wiedzą, po to, żeby zapoznać z tą informacją czytelnika – co zawsze uważałem za irytujące w najwyższym stopniu, nie mówiąc już o tym, że także za wysoce podejrzaną w „dokumentalnej” książce wspomnieniowej, choć [cokolwiek zagadkową] prawdą jest, że czytelnicy masowi wydają się nie mieć nic przeciwko takiemu robieniu ich w jojo).

⁴⁷ Notabene niektóre z tych informacji są praktycznie żywcem przepisane z pakietu materiałów informacyjnych IRS, który nowo zatrudnieni otrzymywali w trakcie procedury rejestracji i wprowadzenia; stąd ten nieco martwy, biurokratyczny ton, którego postanowiłem nie ubarwiać czy upiększać.

⁴⁸ Dodałem jednak istotne szczegóły, których nie było, rzecz jasna, w oficjalnych materiałach. Porażka z Rome nie była czymś, co Służba miałaby ochotę upubliczniać, choćby wewnętrznie; ale ona także odegrała niebagatelną rolę w całej toczonyj na wysokim szczeblu batalii wokół tzw. Inicjatywy i jej wprowadzenia. O czym w równym stopniu nie wiedziałem, co nie mogłem przejawiać tym zainteresowania tamtego pierwszego dnia, co jest zrozumiałe samo przez się.

⁴⁹ Jedno ze zleceń, które ukończyłem tuż przed tym, jak cały debilizm z szafką bractwa wypalił wszystkim w twarz, były dwa rozdziały pracy dość sympatycznego, ale niezorganizowanego studenta socjologii o centrach handlowych jako współczesnych funkcjonalnych analogach średniowiecznych katedr (przy czym niektóre z podobieństw były wręcz uderzające), tak że do centrów handlowych nie miałem już serca, nawet mimo faktu, że były często jednymi z niewielu miejsc, w których można jeszcze było znaleźć kino, bo stare, zasłużone sale albo zwinęły interes, albo przekształcono je w sekskina.

⁵⁰ Zgoda, miałem pod dostatkiem milczących podróży z własną rodziną, chociaż wtedy zawsze głośno grało radio nadające *Przyjemne przeboje*, co niejako tłumaczyło / maskowało brak konwersacji.

⁵¹ Kontroler 9. szczebla Chris Fogle miał później wyjaśnić (prawdopodobnie przy akompaniamencie moich i wszelkich innych słuchających go osób rotacyjnych ruchów nadgarstka w geście „no dobra, idźmy dalej”, który niemal wszyscy zaczęli wykonywać, ilekroć Chris „Nieistotny” miał fazę), że prace nad poszerzeniem Self-Storage Parkway tkwią w martwym punkcie od ponad roku, po pierwsze, z powodu wniosku skierowanego do sądu okręgowego przez organizację obywatelskiego dozoru opodatkowania, zrzeszającą konserwatywnych mieszkańców Illinois, przeciwko wypuszczeniu przez miasto obligacji komunalnych w celu dofinansowania budowy, a po drugie dlatego, że właściwe temu regionowi niezmiernie srogie zimy i gwałtowne wiosenne odwilże, które potrafią ponownie zamarznąć z dnia na dzień (to wszystko prawda), sprawiły, że ten nowy, świeżo położony fragment trzeciego pasa SSP, którego nie

zaimpregnowano specjalnym przemysłowym szczeliwem, zaczął się wybrzuszać i pękać, sądy bowiem wstrzymały prace konstrukcyjne poprzedniego roku dokładnie tuż przed tym, jak mieli dodawać szczeliwo za pomocą jakiegoś rzadkiego i bardzo kosztownego ciężkiego sprzętu, który trzeba było wynająć z dużym wyprzedzeniem u wyłącznego dystrybutora bodajże gdzieś w Wisconsin albo Minnesocie (wciąż mam to autentyczne sensoryczne wspomnienie sposobu, w jaki moja ręka zaczynała się obracać w powietrzu niemal odruchowo, gdy Fogle brnął w zewnętrzne detale; był niepopularny w stopniu, który nijak się miał do jego charakteru osoby z gruntu przyzwoitej i pełnej dobrych intencji, czasem aż do przesady; był jednym z tych piastujących szeregowo stanowiska Prawdziwie Wierzących, których niewdzięcznemu kieratowi i targaniu ciężarów codziennych operacji Służba tak wiele zawdzięcza, a to, co go ostatecznie spotkało, zawsze uważałem za wielką niesprawiedliwość, akurat on bowiem naprawdę potrzebował prochów i brał je wyłącznie ze względów zawodowych; w żadnym wypadku nie była to konsumpcja rekreacyjna), sądowy nakaz wstrzymania prac, skutkujący niemożnością wylania szczeliwa, doprowadził zaś do poważnych uszkodzeń kolejnej zimy i wiosny, mniej więcej podwajając koszty budowy względem początkowej ceny oferowanej w przetargu przez firmę inżynierii lądowej. Czyli że to wszystko było jednym wielkim cyrkiem sądowo-budowlanym, który – jak to zwykle bywa – obciążył przewlekłym, irytującym i uciążliwym brzemieniem zwykłych dojeżdżających do pracy mieszkańców. Przy okazji wyszło na jaw, że innym powodem, dla którego ruch na obiegającej miasto SSP był tak chronicznie fatalny nawet jeszcze przed koszmarem z przebudową, jest fakt, że Peoria, rozumiana nie jako zbiór ludzkich bytów, ale zagadnienie ekonomiczne, zaczęła w latach osiemdziesiątych przybierać ten sam zasadniczy kształt obwarzanka, jaki przybierało tyle innych miast do niedawna przemysłowych: śródmieście było puste i ogołocone, po prostu wymarłe, gdy tymczasem prężne zbiorowiska centrów handlowych, plaz, sieci, centrów biurowych i technologicznych przemysłu lekkiego, osiedli domów jednorodzinnych i apartamentowców i kompleksów apartamentowców wyciągnęły większość miejskiego życia na około miejski pierścień. Na połowę lat dziewięćdziesiątych przypadły częściowy renesans i gentryfikacja części centrum położonych nad rzeką – niektóre z dawnych fabryk i magazynów przekształcono w apartamentowce i ambitnie urządzone restauracje; artyści i japiszony przejęli część pozostałych, zamieniając je w lofty & c. – jakkolwiek za tym optymistycznym rozwojem stały w dużej mierze pływające kasyna na barkach przycumowanych tuż obok głównych fabrycznych doków rozładowniczych, kasyna, których właściciele nie reprezentowali miejscowego kapitału i z których podstawy opodatkowania Peoria nigdy nie otrzymała choćby minimalnie słusznego kawałka, tak więc całe ożywienie śródmieścia zależne było od ubocznych drobnych wydatków turystycznych, tj. wydatków ludzi, którzy przyjechali tu z powodu kasyn, przy czym z racji tego, że interes kasyn polega na pozbawianiu ludzi pieniędzy, które mogliby wydać na zakupy lub restauracje, faktyczny stosunek między przychodami kasyn a wydatkami na turystykę był odwrotnie proporcjonalny, co biorąc pod uwagę sprawdzoną renomę kasyn jako przybytków notujących

niewyobrażalne przychody, oznaczało, że każda przytomnie myśląca osoba była w stanie przewidzieć stromo opadającą krzywą przychodów, która w ciągu zaledwie kilku lat sprawiła, że znaczna część infrastruktury renesansu Nowego Śródmieścia zaczęła się krztusić, zwłaszcza gdy wszystkie kasyna (przezornie odczekawszy pewien stosowny okres) pootwieraly własne restauracje i sklepy. No i tak dalej... Praktycznie ten sam scenariusz wypalił w wielu miastach Środkowego Zachodu.

⁵² (Jako takie zostały zapamiętane ze względu na fakt, że nie były to amc gremliny, mercury montego ani fordya econoline'y. Okazało się, że tabor pomocniczy rządowych pojazdów RCK niemal w całości pochodził z procedury zajęcia w ramach wyceny na okoliczność zastosowanej wobec dilerów tych marek z Effingham na południu stanu, której wyjaśnianie byłoby zbyt długie i dygresyjne, żeby was nim katować).

⁵³ Krótka, nieunikniona uwaga: przez pierwszych sześć kwartałów kontraktu kontrolerzy niemający osób na utrzymaniu mogli korzystać ze specjalnego zakwaterowania w budynkach utrzymywanych przez Służbę, będących kompleksami mieszkalnymi bądź przystosowanymi w tym celu motelami przy wschodniej krawędzi obiegającego miasto pierścienia SSP, znajdujących się w rękach rządu czy to wskutek zajęcia mienia, czy to nabytych w drodze licytacji w trakcie recesji wczesnych lat osiemdziesiątych. Wiąże się z tym, rzecz jasna, cała osobna długa i nużąco zagmatwana historia, między innymi fakt, że sytuacja mieszkaniowa ogromnie się skomplikowała z powodu wielkiej liczby przeniesień i przetasowań wśród personelu, które były udziałem wszystkich RCK ze względu na (a) upadek i rozwiązanie RCK na Region Środkowoatlantycki w 1981 roku oraz (b) wstępne fazy Inicjatywy, która, jak się okazało, rzutowała bezpośrednio na RCK na Region Środkowo-Zachodni. Rzecz w tym, iż to mieszkanie miało usprawnić przebieg procedury przeniesienia, a jednocześnie stanowić finansową zachętę, albowiem miesięczny czynsz w (na przykład) kompleksie Zakątek Wędkarza wynosił co najmniej 150 dolarów mniej niż aktualne stawki za porównywalne warunki na wolnym rynku. Jeśli chodzi o motywy, dla których przystałem na tę propozycję, te powinny być jasne... jakkolwiek prawdą jest także, iż od roku 1986 IRS zaczęło traktować różnicę między czynszami subsydiowanymi a tymi na wolnym rynku jako „dochód przypisany”, opodatkowując ją, co – jak możecie sobie wyobrazić – zostało zapamiętane po wiek wieków przez pracowników Służby, którzy także są, rzecz jasna, obywatelami USA i podatnikami i których zeznania podatkowe podlegają co roku szczególnie uważnej kontroli ze względu na wyróżniające nas „9” na początku numerów naszych identyfikatorów / ubezpieczenia społecznego & c., & c. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, można dojść do wniosku, że całe to mieszkanie pracownicze od Służby nie było warte tych biurokratycznych kłopotów i idiotyzmów (zob. niżej), chociaż miesięczne oszczędności na czynszu były spore.

⁵⁴ Zaobserwowaliśmy, że prawie zawsze samochodami, które spowalniały wszystko, samolubnie jadąc na skrótym pasem awaryjnym, by później wjechać z powrotem do kolumny, były prywatne osobówki i pick-upy. Pojazdy Służby,

w tym wany Taboru pomocniczego, które kursowały wte i wewte między służącym skorkom za hotele pracownicze Zakątkiem Wędkarza na północy Peorii a The Oaks, nigdy nie porzucały przepisowego pasa, jako że kierowcy Służby nie byli pracownikami etatowymi i płacono im od godziny, nie motywując ich tym samym do pośpiechu czy korzystania ze skrótów, co przysparzało innego zestawu problemów nam, od których wymagano siadania do naszych tingli o pewnej ściśle określonej godzinie, o której rozpoczynała się zmiana; z punktu widzenia prawidłowego ruchu było to jednak prawdopodobnie mimo wszystko dobre administracyjne posunięcie ze strony Usług Wsparcia, chociaż dla zatrudnianych przez nie kierowców praca ta była koszmarnym sadyzmem z chiropraktycznego punktu widzenia i była nudna i powtarzalna ponad wszelkie wyobrażenie, a ponadto ludzie ci nie mogli się zapisać do związku zawodowego pracowników Departamentu Skarbu, nie podlegali ubezpieczeniu zdrowotnemu & c.

⁵⁵ Gdy człowiek przestudiował *Podręcznik Izby Rozliczeń* w całości w okresie przestoju w kontrolach zeznań, kiedy dosłownie nie było nic innego do roboty, stwierdzał, że w te zacytowane właśnie przepisy wpisany jest osobliwy błąd: cytaty na znakach we wnętrzu osobówek i furgonetek w rzeczywistości odsyłały do przepisu nakazującego ich „umieszczenie w widocznym, niezastłoniętym miejscu” w każdym pojeździe; w rzeczywistości to regulacja znajdująca się w podręczniku dwie regulacje wyżej była tą, która zakazywała jedzenia, tytoniu & c. w środkach transportu należących do Służby. Czyli cytaty na znakach odnosiły się do samych znaków, nie do przepisu, który znaki miały reprezentować.

⁵⁶ Zatrudniający 158 osób zakład sublimacji próżniowej i suplementacji kofeiny, pracujący dla Bright Eyes Instant Coffee, był ostatnią ostoją tego, co można by nazwać przemysłem w Philo. Spółka zależna Rayburn-Thrapp Agronomics, Bright Eyes była regionalną marką wysokokofeinowej mieszanki, rozpoznawalnej w sklepach na Środkowym Zachodzie dzięki ordynarnej grafice na słoikach, przedstawiającej rażoną prądem wiewiórkę z wypukłymi buzującymi słońcami zamiast oczu i czymś, co wyglądało jak małe rysunkowe błyskawice wychodzące z jej rozpostartych kończyn. Kiedy Archer Daniels Midland Co. wchłonęło Rayburn-Thrapp Agronomics w 1991, zaprzestano (na całe szczęście*) produkcji Bright Eyes. Przed powiedzeniem więcej na ten temat powstrzymuje mnie prawnie fakt odmowy podpisania przez pewnych członków mojej rodziny stosownych zwolnień. Dość powiedzieć, że wiem znacznie więcej na temat chemii i produkcji kawy rozpuszczalnej, a także towarzyszących tej produkcji zapachów, niż ktokolwiek chciałby z nieprzymuszonej woli wiedzieć, oraz że zapachy te nie były wcale tymi miłymi, dobrze nastrajającymi śniadaniowymi aromatami, jakie ktoś naiwnie mógłby sobie wyobrażać (kiedy odpowiednio powiało, czuć było, że w rzeczywistości bliżej im do palonych włosów).

* Już w latach siedemdziesiątych istniały dowody przemawiające za związkiem sztucznie ulepszanej kofeiny ze wszystkim, począwszy od arytmii, a skończywszy na porażeniu Bella, jednakże na pierwszy zbiorowy pozew trzeba było czekać do roku 1989.

⁵⁷ Kolejny przykład ironii: podczas jednego z tornad w okolicach DeKalb w kwietniu 1987 oderwany fragment jednego z tych promujących BEZPIECZEŃSTWO NA FARMIE bilbordów dostał się w wir i praktycznie pozbawił głowy lokalnego hodowcę soi – i na tym się w zasadzie skończyło stawianie znaków przez 4-H.

⁵⁸ (Tj. zwróconą ku południowi i SSP, po której przemieszczaliśmy się w kierunku zachodnim dosłownie w tempie raczkującego niemowlaka).

⁵⁹ Co więcej, sporo z tych opisów pochodzi z rzeczywistego notesu, w którym zapisywałem te wrażenia. Zdaję sobie sprawę z tego, że opisuję drogę dojazdową widzianą z daleka, przypisując jej mimo to właściwości, które ujawniały się, dopiero gdy bardzo powoli się do niej zbliżaliśmy i w końcu się na nią dostaliśmy. To po części zręczna kompresja; po trosze to konsekwencja faktu, że w jadącym aucie trudno robić spójne notatki.

⁶⁰ (Ołówkiem, który zdążył się już do tego momentu stępić, czego nie cierpię; musiała istnieć poważna presja psychiczna / bodziec, skoro postanowiłem jednak pisać tęym ołówkiem).

⁶¹ I znowu – to „za” jest „za” z perspektywy alei. Zważywszy, że my zbliżaliśmy się do tyłów głównego budynku, parkingi na wagę złota znajdowały się tak naprawdę „od frontu” RCK, choć ten front obrócony był do Self-Storage plecami.

⁶² *Ibid.*

⁶³ Zasadniczo pomińmy kwestię dodatkowego zatłoczenia i zaburzonej funkcjonalności, związanej ze staraniami pieszych z dalszych parkingów, usiłujących pokonywać kolejne metry wąskiego pobocza drogi dojazdowej wzdłuż nieprzerwanego sznura samochodów tę drogę wypełniających, problemu, któremu w znacznej mierze można było zaradzić przez położenie chodnika na niepokalanej murawie i zbudowanie jakiegoś wejścia od frontu (tzn. pozornego frontu; tak naprawdę był to tył budynku). W swojej istocie ów pański splendor trawnika RCK był świadectwem głupoty i zamętu w planowaniu tej całej historii.

⁶⁴ Musiała – nie była choćby w przybliżeniu na tyle szeroka, by pomieścić ruch dwukierunkowy, nie wspominając nawet o dodatkowej przestrzeni zabieranej przez pieszych usiłujących wędrować, zaparkowawszy swoje auta / dobrnąć do swoich aut wzdłuż krawędzi jezdni.

⁶⁵ O czym wówczas nie wiedziałem, w następstwie pewnych skomplikowanych reorganizacji w łonie Pionu Przyjęć, związanych z implementacją Inicjatywy, RCK na Region Środkowo-Zachodni zanotował zysk netto w postaci ponad trzystu nowych pracowników w przeciągu dwóch kwartałów fiskalnych. Według jednej z teorii rozpowszechnionych wśród pracowników kontroli rutynowej zamieszkujących Zakątek Wędkarza fakt ten przyczynił się do zaburzenia delikatnej równowagi w sytuacji parkingowej RCK, z dodatkowymi utrudnieniami wywołanymi robotami na Self-Storage oraz likwidacją – ponoć ze względu na morale – zastrzeżonych miejsc parkingowych dla pracowników powyżej 11. szczebla w tabeli służby cywilnej. To ostatnie było pomysłem pana Tate'a,

dyrektora ds. kadr w RCK, który uważał zastrzeżone miejsca parkingowe za przejaw elitaryzmu, szkodliwy dla morale RCK. Syndrom dyr. ds. kadr Richarda Tate'a, nakazujący mu wdrażanie polityk skutkujących dużo większą liczbą problemów, niż w założeniu miały rozwiązywać, był na tyle dobrze znany, że skorki nazywały go „diktate'urą”.

⁶⁶ Wtedy nie wiedziałem nic o biurokratycznych niesnaskach pomiędzy IRS a stanem Illinois, których historia sięgała czasów krótkotrwałego wprowadzenia przez stan progresywnych stawek podatku obrotowego, w którego obśmiewaniu najwyżsi urzędnicy w Trzech Szóstkach za administracji Cartera wtórowali innym na łamach największych dzienników ekonomicznych, podobnie jak w wymyślaniu „trustowi mózgow” stojącemu za planem wpływów z podatków dla stanu, co na przestrzeni lat osiemdziesiątych napsuło tam sporo krwi, obfitując w liczne małostkowe utarczki i akty nieżyczliwości.

⁶⁷ Dzięki uprzejmości Roberta Atkinsa, szczebel 9. (wszystko wie, wszystko powie).

⁶⁸ (Okazało się, że fontanna się zepsuła, i czekano na sprowadzenie zamówionej bliżej nieokreślonej części zamiennnej).

⁶⁹ Od 1978 roku do formularza 1040, z którego szczegółami miałem zaznajomić się aż za dobrze w ciągu następnego miesiąca, wprowadzono już pewne zmiany i modyfikacje.

⁷⁰ Notabene wysokiej jakości poglądowe zdjęcie przedstawiające okolice połączenia lustrzanego zachodniego końca Aneksu z fasadą głównego budynku około roku 1985, które miałem zamiar umieścić w pierwotnej wersji pamiętnika jako Ryc. 1, zostało usunięte przez wydawcę z uwagi na względy „prawne”, co było (tak uważam) decyzją pozbawioną jakiegokolwiek sensu. *Hiatus valde deflendus.*

⁷¹ A byliśmy do tego zmuszeni, ponieważ szereg innych pojazdów przed nami parkowało już na drugiego, a nawet na trzeciego, i nie dało się jechać dalej, tak że kierowca po prostu zatrzymał samochód i siedział, obracając z trudem szyją, z rękami wciąż na kierownicy, podczas gdy ci bardziej doświadczeni pracownicy Służby jęli gramolić się z pojazdu na zewnątrz.

⁷² Niektórzy mężczyźni w kotłującym się przed wejściem tłumie byli w samych koszulach i hulający wiatr, wywołany kontrastem temperatur panujących w cieniu budynku i poza nim, podwiewał krawaty niektórych z nich tak, że albo opadały im za ramię, albo też (przez sekundę czy dwie) sterczały im prostopadle do piersi, niczym strzały, zupełnie jakby nadziali się na własne krawaty, co tłumaczy osobliwą szczegółowość tego fragmentu wspomnienia.

⁷³ Przedstawicielka Działu Kadr, pani Neti-Neti, okazała się pochodzenia perskiego, jak sama je określała. To jej Bob „Podwójny Paluch” McKenzie i kilku innych w grupie rutynowych Hindle'a nadało jej przezwisko „Irański Kryzys”.

⁷⁴ To właśnie pakistański współlokator już w trakcie Tygodnia Orientacyjnego ukuł dla mnie nieżyczliwe przezwisko, które towarzyszyło mi przez kolejne trzy semestry – „młodzieniec krościasty”.

⁷⁵ Właściwie istniała też trzecia ogólna klasa osób zdradzających jakąś reakcję, których oczy zawieszają się na mojej twarzy w jakiejś nago jawnej zgrozie pomieszanej z fascynacją. Należeli do niej zwykle ludzie z osobistym doświadczeniem rozmaitych umiarkowanych problemów skórnych i wynikającym z tego zainteresowaniem typami najgorszych przypadków, które wygrywa (to zainteresowanie) z ich wrodzonym taktem czy zahamowaniami. Autentycznie podchodzili do mnie obcy i zaczęli rozprawiać o swoim minionym czy obecnym schorzeniu skóry, wychodząc z założenia, że nie mogłoby mnie to nie przejąć lub zainteresować, co – przyznaję – uważałem za irytujące. Dzieci, tak przy okazji, nie należą do tej kategorii (c) – ich zaciekawione spojrzenie jest całkiem odmienne i na ogół one (= dzieci) nie podlegają tej całej taksonomii reaktorów, albowiem ich społeczne instynkty i zahamowania nie są jeszcze w pełni rozwinięte i nie można brać ich reakcji czy braku taktu osobiście – zob. np. dzieciaka w autokarze, chociaż oczywiście on także miał własny odrażający problem.

⁷⁶ Nie zaproponowała mi też pomocy w niesieniu walizek, mimo że ta, którą trzymałem tą samą ręką, którą musiałem jakoś przyciskać do siebie teczkę pod pachą, obijała się, sprawiając mi ból, o to samo kolano, o które obijała się w ciągu całego dnia, gdy musiałem nosić bagaże z jednego miejsca na drugie, podczas gdy wilgoć ubrania z lewej strony sprawiła, że tamto miejsce na żebrach znowu dziko mnie swędziało.

⁷⁷ Z uwagi na wielką liczbę zarówno nowych pracowników, jak i pracowników przeniesionych z innych placówek, którzy przybyli tego dnia (z powodów, których przez jakiś czas nie mogłem dociec), choć trzeba zauważyć, że Dział Kadr RCK postąpiłby mądrze, gdyby wprowadził jakiś system, w którym ludzie zawoziłoby się najpierw na kwaterę, żeby mogli zostawić tam bagaże, a dopiero potem prowadziło do RCK na rejestrację i orientację. Jakkolwiek karkołomna byłaby logistyka tego rozwiązania, alternatywą była ogromna liczba pracowników IRS zmuszonych taszczyć swoje torby wszędzie tego pierwszego dnia w RCK, włączając w to ciasne windy i klatki schodowe, a także stosy niepilnowanych przez nikogo toreb zalegające kąty wszelkich pomieszczeń, w których odbywały się poszczególne sesje orientacyjne i w których trwało wyrabianie identyfikatorów.

⁷⁸ Były to biurka Tingle'a, konwencjonalne wyposażenie Kontroli, z którymi zaznajomiłem się aż za dobrze – chociaż żadna z osób, z którymi rozmawiałem, nie znała pochodzenia „Tingle'a” – czy był to eponim czy sarkazm, czy jeszcze coś innego.

⁷⁹ Dla mnie numerem jeden jest temperówka. Lubię bardzo określony rodzaj naostrzonego ołówka, a niektórym temperówkom o wiele lepiej niż innym wychodzi nadawanie ołówkowi tego specjalnego profilu, który ulega stępieniu i przepada po zapisaniu zaledwie zdania czy dwóch, co wymusza konieczność ułożenia na biurku całego rzędu naostrzonych ołówków uszeregowanych w określonej kolejności według wieku, pozostałej długości & c. Koniec końców, wszyscy, których znałem, mieli podobne drobne rozpraszające rytuały, w których chodziło tak naprawdę o to, że odciągały uwagę.

⁸⁰ To wrażenie osobistej dezorganizacji, które jest oczywiście bardzo powszechne, w moim przypadku było wzmożone faktem, że nie sprawiało mi większych trudności analizowanie charakteru i motywacji innych ludzi, ich mocnych i słabych stron & c., wszelkie próby autoanalizy natomiast przynosiły płątaninę sprzecznych ze sobą i beznadziejnie skomplikowanych faktów i tendencji, których nie dało się zinterpretować ani wyciągnąć z nich ogólnych wniosków.

⁸¹ Przypomina mi się spostrzeżenie, którym ktoś podzielił się z nami podczas jednego z wieczornych męskich spotkań skorków w pokoju Chrisa Acquistipace'a, który był kierownikiem sekcji i jednym z nielicznych skorków z RCK mieszkających na pierwszym piętrze kompleksu Zakątek Wędkarza, którzy przejawiali względem mnie jakiegokolwiek przyjazne czy choćby świadczące o otwartym umyśle oznaki, pomimo administracyjnej kupy, przez którą zostałem na początku wywyższony ponad innych pracujących już kontrolerów 9. szczebla z naszego piętra. To Acquistipace albo Ed Shackelford, którego była żona pracowała w liceum, zauważył, że to, co zaczynało wtedy oficjalnie nazywać „stresiem egzaminacyjnym”, może w rzeczywistości być lękiem przed testami z określonym limitem czasowym, czyli egzaminami albo testami standaryzowanymi, gdzie nie da się praktykować ustawicznego wiercenia się i samorozpraszania, które stanowi część skupionej pracy pisemnej u 99,9 procent prawdziwych ludzi. Nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, komu należało przypisać to spostrzeżenie; było częścią większej dyskusji o młodszych kontrolerach i telewizji, i teorii, że Ameryka ma jakiś ukryty interes ekonomiczny w utrzymywaniu ludzi w stanie nadmiernej ekspozycji na bodźce, nienawykłych do ciszy i jednopunktowego skupiania uwagi. Dla wygody przyjmijmy, że autorem tego był Shackelford. Według spostrzeżenia Shackelforda prawdziwym przedmiotem paraliżującego niepokoju w „stresie egzaminacyjnym” mógł być strach przed związanymi z testem bezruchem, ciszą i brakiem czasu na rozpraszanie się. Bez rozpraszania się czy choćby możliwości rozpraszania się niektóre typy ludzkie odczuwają strach – i to z powodu tego strachu, bardziej niż samego testu, ludzie odczuwają niepokój.

⁸² I znowu – dopiero później miałem się dowiedzieć, że większość skorków i pracowników Usług Wsparcia w RCK nazywa cały proces Rejestracji / Orientacji „dezorientacją” – to taki jeszcze jeden przykład przyćmiewającego firmowego poczucia humoru. Z drugiej strony nikt z władz nie spodziewał się po mnie, że będę tak kompletnie zdezorientowany i rozbity, jak właśnie byłem po przybyciu, ponieważ okazało się, że biuro Kadr wzięło mnie za zupełnie innego Davida Wallace'a, vide elitarnego i doświadczonego weterana kontroli pogłębianych z RCK na Region Północno-Wschodni w Filadelfii, którego do 047 zwabiono, uciekając się do złożonej intrygi transferowej, obfitej w rzekome przeniesienia i biurokratyczne machlojki. Tj. – że nie było jednego, tylko dwóch Davidów Wallace'ów, których zakontraktowane przydziały zaczynały się w tym samym tygodniu w połowie maja. Problem z systemem komputerowym, leżący u źródła tej pomyłki, został szczegółowo opisany w §38. Rozumie się samo przez się, że wszystkie te fakty

wyszły na jaw dopiero po dłuższym czasie, mnóstwie nieporozumień i skomplikowanego zwracania głowy. Oto wytłumaczenie dla wyreżyserowanej wylewności i czołobitności pani Neti-Neti: to właśnie tamto drugie imię i nazwisko, należące do pracownika 13. szczebla, znajdowało się, z ontologicznego punktu widzenia rzecz biorąc, na jej specjalnej białej tabliczce, jakkolwiek nie jest też tak, żeby „David Wallace” było tak popularnym imieniem i nazwiskiem w USA, by ktokolwiek mógł oczekiwać ode mnie, żebym z miejsca zakładał, że nastąpiło jakieś nieprawdopodobne pomieszenie imion i nazwisk oraz tożsamości, zwłaszcza wobec zamieszania i nieporadności „dezorientacji”.

(Notabene dodam wyłącznie na zasadzie autobiograficznej dygresji, że posługiwanie się przeze mnie drugim imieniem w publikowanych książkach ma swoje początki w tym wczesnym nieporozumieniu oraz traumie, tj. traumie zarzutów, jakobym był winien temu całemu burdelowi, zarzutów, które – chociaż były jawną brednią – stały się mimo wszystko źródłem zrozumiałej traumy dla dwudziestoletniego zielonego rekruta odczuwającego lęk przed biurokracją i mającego na koncie naruszenie tak zwanego kodeksu honorowego. Jeszcze wiele lat później nawiedzały mnie chorobliwe lęki, że istnieje Bóg wie ilu innych Davidów Wallace’ów, którzy gdzieś sobie żyją i robią Bóg wie co; i nie chciałem, by jeszcze kiedyś ktoś w związku z kwestiami zawodowymi mylił mnie lub łączył z jakimś innym Davidem Wallace’em. A kiedy człowiek już zdecyduje się na jakieś *nom de plume*, to zasadniczo musi się go trzymać, nieważne, jak obco czy pretensjonalnie mu ono brzmi na co dzień.

⁸³ Ten podziemny poziom, który wydrążono i dodano (zawrotnym nakładem środków) do głównego budynku w latach 1974–75, nosił miano Poziomu 1., tak że parter był, formalnie rzecz biorąc, Poziomem 2., co było dodatkowo mylące, ponieważ nie wszystkie starsze, pamiętające czasy sprzed drążenia znaki zastąpiono nowymi, w związku z czym te znaki i tablice nadal wskazywały na poziom głównego wejścia jako 1., poziom znajdujący się nad nim jako 2. i tak dalej, skutkiem czego owe tablice i mapy typu „Jesteś tutaj” mogły się przydać tylko temu, kto wiedział, że musi je sobie przekalibrować, dodając jeden do każdego numeru, co było kolejnym przykładem administracyjnej głupoty, który można było łatwo wyrugować, za wskazanie którego pan Stecyk był mi bardzo wdzięczny, a przy tym okazał zakłopotanie faktem, że nie dostrzegł tego wcześniej i nie naprawił, i na dobrą sprawę wziął na siebie całą odpowiedzialność, mimo iż formalnie zauważenie i poprawienie braków w znakach już lata wcześniej należało do zakresu obowiązków pana Lynna Hornbakera oraz Biura Utrzymania Zakładu, co stanowiło jeden z powodów, dla których proces zakontraktowania i zamówienia nowych projektów i wykonania znaków okazał się później tak problemowy i bezsensownie skomplikowany – maksymalnym utrudnieniem i skomplikowaniem sprawy ze znakami personel Hornbakera usiłował zatrzeć i rozproszyć swoją odpowiedzialność za przeoczenie konieczności wymiany i niewymienienie znaków całe lata wcześniej, tak że w chwili, gdy sprawa dotarła do biura Dyrektora RCK, zdążyła wygenerować na swojej drodze tyle notatek wewnętrznych oraz ich kopii tak zagmatwanych i nieprzejrzystych, że nikt, kto

nie był związany z nią bezpośrednio, nie poświęciłby więcej niż zdawkową uwagę najogólniejszym szczegółom całego bajzlu.

⁸⁴ Te podwójne drzwi były zrobione z szarej stali i taki był ogólny kolor Poziomu 1. – palącobiały i matowoszary.

⁸⁵ (To na Region Środkowo-Zachodni mieściło się w tamtej epoce w East St. Louis, dwie godziny drogi na południowy zachód).

^{86*} (FYI: w tamtej epoce późna wiosna zawsze była wyjątkowo złym czasem, jeżeli chodzi o skórę, a ostre lampy fluorescencyjne Poziomu 1. przemieniały każdy pęcherz, krostę i zmianę chorobową w bezlitosny relief).

⁸⁷ Informacje logistyczno-topograficzne także datują się na późniejszy okres, tak prawdę powiedziawszy. Tamtego dnia nie byłbym wam w stanie powiedzieć, w którym punkcie budynku się znajduję; nikt by nie był.

⁸⁸ = zastępcy dyrektora ds. kadr, jak brzmiał oficjalny tytuł stanowiska pana Stecyka. Na moim kontrakcie z IRS, tak przy okazji, podpis złożył nie pan Stecyk czy DK Richard Tate, ale pan DeWitt Glendenning Jr., którego biwalentne tytuły brzmiały DRCK (Dyrektor Regionalnego Centrum Kontroli) i ZKRK (Zastępca Komisarza Regionalnego ds. Kontroli), ale o którym prawie wszyscy mówili „Dwitt”.

⁸⁹ (Okazała się nim pani Marge van Hool, adiutant pana Stecyka i jego prawa ręka, o bezręsyh, wylupiastych, nigdy niemrugających oczach gada czy kałamarnicy, czegoś, co mogłoby was zabić i zjeść, nie zmieniając przy tym nawet na chwilę wyrazu swojego wytrzeszczonego nieobecnego spojrzenia, chociaż pani van Hool dała się poznać jako najprawdziwsza sól tej ziemi, klasyczny dowód na to, że w większości przypadków to, jak ludzie wyglądają, ma bardzo niewiele wspólnego z ich wewnętrznymi ludzkimi cechami... ucieleśnienie prawdy, którą bardzo sobie ceniłem na tamtym etapie życia).

⁹⁰ (W trakcie którego to interwału, w momentach gdy znajdowała się na przedłużeniu mojej osi widzenia, byłem świadkiem, jak Irański Kryzys najpierw czyta książkę w miękkiej okładce, a innym razem, jak zajmuje się rękawem swojej gazowoniebieskiej marynarki za pomocą jakiegoś miniaturowego przyboru do szycia – było jasne, że jest kimś, kto przez wrodzony temperament i / lub nauczony doświadczeniem dobrze znosi długie kolejki).

⁹¹ (Tj. obrzydliwie ogrzany ciepłem pleców i tyłka jakiegoś nieznajomego).

⁹² Dopiero dużo później miałem się dowiedzieć, że syn pani Sloper doznał ciężkich poparzeń w jakimś wypadku komunikacyjnym, gdy służył w wojsku, w związku z czym stan mojej skóry działał na nią bardziej niż na przeciętną mamę. W tamtej chwili wiedziałem tylko tyle, że z miejsca poczuliśmy do siebie niechęć, jak to, rzecz jasna, bywa między niektórymi ludźmi.

⁹³ Jak to zazwyczaj dzieje się u dwudziestolatków, w domu w Philo ostentacyjnie kłóciłem się z członkami mojej rodziny z powodu ich politycznych zapatrywań, a mimo to poza domem często łapałem się na tym, że instynktownie trzymam się tych właśnie rodzicielskich zapatrywań albo przynajmniej

sympatyzuję z nimi. Przypuszczam, że wszystko to znaczyło tyle, że nie wytworzyłem jeszcze własnej stabilnej tożsamości.

⁹⁴ (Do którego mocnych stron nie należała spostrzegawczość – i zdecydowanie nie jestem jedyną osobą w rodzinie, która to przyznaje; możecie mi wierzyć).

⁹⁵ W trakcie jej lektury natomiast odbyła się podsłuchana przeze mnie wymiana zdań, w której uczestniczyły dwa lub może trzy głosy w wąskim korytarzu, w pobliżu wstępu do którego znajdowało się moje krzesło, głosy należące do dwóch pracowników RCK, stojących przypuszczalnie w tym korytarzu w jakiejś kolejce, którą zapamiętałem (konwersację) ze szczegółami, ponieważ oświetlenie fluorescencyjne poczekalni było szarobiałe i oślepiające oraz nie rzucało cienia, a więc emitowało ten rodzaj światła, w jakim ludzie mają ochotę się zabić, i nie potrafiłem sobie wyobrazić spędzania dziewięciu godzin dziennie w świetle takim jak to, tak więc byłem emocjonalnie naprowadzony na zbieranie przebiegu konwersacji spośród innych otaczających mnie odgłosów rozmów w pomieszczeniu, mimo iż nie widziałem żadnej z mówiących stron; i autentycznie dokonałem transkrypcji urywków tej konwersacji w czasie rzeczywistym w czymś w rodzaju osobistego zapisu stenograficznego po wewnętrznej stronie okładki poppsychologicznej książki w celu przeniesienia ich później do notatnika (dzięki czemu mogę teraz przedstawić je w tak potencjalnie podejrzanie szczegółowy sposób), mianowicie:

– To ma być wersja skrócona?

– Cóż, rzecz w tym, że Systemy nie są nietwórcze. Nie da się ich tam powkładać wszystkich do jednej szuflady.

– Nietwórcze? Co to w ogóle za słowo?

– Bezpośrednie obniżenie kosztów przy świetłówkach było oczywiste. Wystarczyło porównać rachunki za prąd. Oświetlenie fluorescencyjne w centrach kontroli to był dogmat. Ale Lehrl dowiódł, przynajmniej w La Junta, że zastąpienie oprawionych świetlówek rzędami żarówek i lampkami biurkowymi podnosi wydajność.

– Nie, chłopcy z Systemów odkryli tylko tyle, że wzrósł przerób zeznań po wymianie świetlówek na żarówki.

– Nieprawda, Zespół Lehrla wykazał, że wpływy netto z audytów, które robili na bazie miesięcznej partii RCK na Zachód, były wyższe, dla wszystkich trzech kwartałów, o kwoty, przy których koszt instalacji i wyższe miesięczne rachunki za prąd były prawie żadne, przyjmując, że uwzględniłeś amortyzację jednorazowego kosztu usunięcia wszystkich świetlówek i zrobienia sufitu.

– Ale nigdy nie udowodnili, że żarówki mają bezpośredni związek przyczynowy z wyższymi wpływami z audytu.

– No ale jak coś takiego udowodnisz? Bilans regionu to tysiące osobnych stron. Zwiększone wpływy spływały z biur okręgów na całym Zachodzie. Jest za dużo zmiennych do uwzględnienia, jeden jedyny związek jest nie do udowodnienia. Stąd potrzeba twórczości. Chłopaki Lehrla wiedzieli, że zachodzi korelacja. Nie udało im się tylko przekonać do tego nikogo w Trzech Szóstkach.

– To twoja interpretacja.

– Chcą, żeby wszystko było wymierne. Ale jak wyliczysz morale?

...która to transkrypcja okazała się kilka dekad później trochę podnieść koszt powstania książki, z uwagi na jej walor wiernego odtworzenia. Tak więc była to jednocześnie rozrzutność i nie – zależy od tego, z jakiej kto patrzy perspektywy, i od kontekstu.

⁹⁶ Własny i przestronny gabinet dyrektora ds. kadr znajdował się na końcu jednego z rozchodzących się promieniście od poczekalni korytarzy. Jak miałem się następnie dowiedzieć, pan Tate, wzorem wielu administratorów na wysokim stanowisku, wolał pracować niewystawiony na widok publiczny; rzadko komunikował się z kimkolwiek poniżej 15. szczebla tabeli służby cywilnej.

⁹⁷ Były to, jak miałem się dowiedzieć, „toczygnojki”, którym to terminem określano będących nisko w hierarchii albo sezonowych pracowników IRS, których zadania polegały głównie na wprowadzaniu bądź wyciąganiu danych przez systemy komputerowe RCK. Wielu z nich było studentami miejscowej dwulatkowej albo Peoria College of Business, który nie była żadną elitarną uczelnią. Jak to się dzieje w przypadku wielu klas marginalizowanych bądź niskich kast, toczygnojki okazały się bardzo wsobnie zorientowaną i ekskluzywną grupą, nawet pomimo tego, że niektórych z nich kierowano do pracy „wózkowych”, tak że na ogół znali się i wymieniali uprzejmości z wieloma skorkami i wyższymi rangą gośćmi od pogłębionych, których dokumenty do kontroli i materiały biurowe musieli (toczygnojki musiały) wozić wte i wewte w wielkich wózkach pełnych osobnych poziomów i skrzynek, i szuflad, które można było rozkładać i wyciągać, jak piętra i przegródki jakiejś gigantycznej skrzynki wędkarskiej, upodabniając je do olbrzymich, złożonych Rube Goldbergowskich wersji zwyczajnych wózków używanych w sklepie czy na poczcie, z których część (tzn. niektóre z tych wózków) okropnie klekotała przy popychaniu, z powodu wszystkich tych tandetnie wykonanych ruchomych części i pięter, i przegródek.

⁹⁸ (Co oznacza, że pierwszy dzieciak nic nie powiedział).

⁹⁹ Właściwiej byłoby powiedzieć, że był to ktoś, kogo ja brałem za mężczyznę... Z mojej perspektywy, która ogólnie rzecz biorąc, wynikała z tego, że siedziałem za tym kimś, kto, zdaje się, miał na sobie marynarkę, której watowane ramiona były kroju unisex.

¹⁰⁰ (To znowu mój domysł).

¹⁰¹ W rezultacie ci ludzie stali w swego rodzaju kolejce wstępnej, przed dołączeniem do którejś z kolejek do trzech korytarzy w celu odbycia spotkania z różnymi urzędnikami Kadr na stanowiskach średniego szczebla, takimi jak pani van Hool, która dokładnie w tej chwili (wnioskując z pojawienia się za jakiś czas pani Neti-Neti z podpisanym formularzem 706-IC) wydawała kategorię zestaw instrukcji w kwestii tego, co zrobić z i dla cenionego, zasłużonego i stojącego wysoko w hierarchii specjalisty od kontroli pogłębionej, którym w ich przekonaniu byłem. (Notabene ten kontroler, przenoszący się z północno-wschodniego RCK w Filadelfii, nie tylko nosił imię i nazwisko David Wallace, ale także miał się zjawić następnego dnia i był tym człowiekiem, do którego osobistego przywitania i eskorty oddelegowano panią Irański Kryzys, tyle że systemy komputerowe Kadr błędnie połączyły osoby i nazwiska, co wyjaśnię

w §38, w efekcie utożsamiając tego drugiego, przyjeżdżającego dzień po mnie Davida Wallace'a ze mną, co tłumaczyło zarówno pomyłkę tożsamości i omyłkową datę... o czym dowiedziałem się, jak nie muszę chyba mówić, *post factum*, a w tamtej chwili nie mogłem o tym wiedzieć ani się tego domyślać, bo jakkolwiek „David Wallace” zdecydowanie nie należy do najrzadszych kombinacji imion i nazwisk w Stanach Zjednoczonych, nie jest też ona znowu jakoś strasznie popularna. Podobnie ani ja, ani nikt inny nie wiedział oczywiście 15 maja – bo tego dnia ten drugi, starszy, „cenniejszy” David Wallace opróżnił szuflady swojego biurka Tingle'a i pomagał głównemu wózkowemu w segregowaniu i organizacji teczek i dokumentów uzupełniających, które miały zostać rozdzielone pomiędzy innych członków jego grupy kontroli pogłębianych, przygotowując się do transferu i wylotu następnego dnia – że kiedy nazajutrz ów przenoszony pracownik z długim stażem stawiał się na miejscu o wyznaczonej godzinie i chciał się zarejestrować przy stanowisku przyjęć dla pracowników 13. szczebla w holu RCK na Środkowy Zachód, okazało się to niemożliwe – rejestracja i dopuszczenie do kolejki po odbiór nowej plakietki identyfikacyjnej RCK – ponieważ przy stanowisku przyjęć dla 13. szczebla zdążyli go już zaznaczyć na liście jako pracownika, którego zarejestrowano i który otrzymał nowy identyfikator, ponieważ ową plakietkę oraz numer identyfikacyjny 13. szczebla (tego drugiego Davida Wallace'a; otrzymał go dwanaście lat wcześniej) już przydzielono w Peorii mnie, autorowi i „prawdziwemu”, z mojego punktu widzenia, Davidowi Wallace'owi, który naturalnie nie był w stanie zrozumieć ani wyjaśnić (później), że cała historia to wina administracyjnego pierdolnika, a nie umyślna próba podebrania miejsca czy podszywania się pod pracownika IRS 13. szczebla z ponaddwunastoletnim stażem wzorowej służby przy zajęciu, którego trudność i skomplikowanie graniczące z wiedzą tajemną miałem wkrótce zacząć poznawać; ale w każdym razie to SNAFU ostatecznie tłumaczyło nie tylko wylewne powitanie i nadany mi omyłkowo wysoki szczebel w tabeli służby cywilnej oraz wypłatę (nie będę udawał, że nie byłem z jej powodu przyjemnie zaskoczony, jakkolwiek wzbudziła ona oczywiście mój niepokój), ale także (jak dla mnie) dość niespotykane interludium w ciemnej maszynowni przy jednym z korytarzy odgałęziających się od głównego korytarza Poziomu 1., w którym to (incydencie w maszynowni) pani Neti-Neti wkrótce po tym, jak zostałem doprowadzony na czoło kolejki po identyfikatory i wydano mi nową plakietkę, przyparła mnie do ściany, tak że plecami dotykałem rzędu ciepłych skrzynek bezpiecznikowych, i obdarzyła mnie tym, czego według byłego prezydenta W.J. Clintona nie można określić ściśle mianem seksu, co jednak w moim przypadku było zdecydowanie najbardziej seksualną rzeczą, jaka mnie do tamtego czasu spotkała, a nawet miała nią pozostać prawie że do roku 1989, co było konsekwencją niezdolności systemu komputerowego do rozróżnienia dwóch własnych Davidów Wallace'ów oraz zapewne polecenia wydanego pani Neti-Neti przez panią van Hool, aby traktować „mnie” (tj. tego kontrolera 13. szczebla, którego tak wielkim nakładem sił zwerbowano i sprowadzono z elitarniej grupy pogłębianych w północno-wschodnim RCK) „z okazaniem najwyższych względów”, co okazało się wyrażeniem silnie nacechowanym i niosącym ze sobą

pewien bagaż emocjonalny dla Chahli Neti-Neti, która w ekonomiczną dorosłość wkraczała w sybaryckiej, a jednocześnie silnie przywiązanej do etykiety i obfitującej w eufemizmy kulturze przedrewolucyjnego Iranu (naturalnie dowiedziałem się tego później) i była zmuszona, jak wiele innych powabnych młodych Iranek z rodzinnymi koneksjami w sferach rządowych, świadczyć wysokim rangą funkcjonariuszom, na zasadzie handlu lub barteru, usługi w postaci czynności seksualnych w zamian za możliwość wydostania się wraz z dwojgiem czy trojgiem członków rodziny z Iranu w napiętym okresie, kiedy obalenie reżimu szacha stawało się z dnia na dzień kwestią coraz bardziej prawdopodobną, i dla której w związku z tym „okazanie najwyższych względów” równało się szybkiej, niemal dzieciolowato intensywnej rundzie fellatio, najwyraźniej metody zaspokojenia szczególnie lubianej przez funkcjonariuszy rządowych, których przychylność chciało się zdobyć, ale na których twarze nie chciało się lub nie było się w stanie patrzeć. Mimo to było to bardzo podniecające, jakkolwiek – z oczywistych przyczyn – niesamowicie krótkie, a przy tym stanowi wy tłumaczenie, dlaczego upłynęło tyle czasu, zanim w ogóle zdałem sobie sprawę, że zostawiłem jedną ze sztuk bagażu na podłodze w poczekalni Działu Kadr... Przy czym cały ten kontekst miał później swój udział w zrozumieniu pochodzenia przydomku „Irański Kryzys” pani Neti-Neti, ślady której piersi odcisnięte na mokrym sztruksie góry moich nogawek pozostają najwyraźniejszym zmysłowym wspomnieniem wyniesionym z całej tej rozpięduchy pierwszych kilku dni w roli specjalisty od kontroli pogłębionej IRS.

[102](#) (Co pomaga wyjaśnić konsternację co do płci...).

[103](#) (Żydówki).

[104](#) Normy produkcyjne należą w Służbie do realiów pracy. Nietrudno to zrozumieć. Zważywszy jednak na liczne i wielokrotnie powtarzane publiczne oświadczenia najwyższych władz w Trzech Szóstkach, mówiące coś wręcz przeciwnego, wszelkie podobne wewnętrzne kontyngenty należy zapisywać i przedstawiać za pomocą kodu. Jednocześnie kadra zarządcza uważa tego rodzaju kwoty za cenne narzędzia motywacyjne, zwiększające wydajność, dlatego też Pion Przyjęć narzuca i zatwierdza stosowanie takich kodów, które większości audytorów są śmiesznie dobrze znane. Kod Charleston, w którym C oznacza 0, a H – 1, ta, ta, ta, ta, ta aż do N, które oznacza 9, jest obecnie najpowszechniej stosowany przez detalistów korzystających z systemu inwentaryzacji ciągłej, w którym muszą podawać nominalną cenę towaru sprzedawanego w każdej transakcji. W związku z tym etykieta z ceną w takim na przykład prowincjonalnym supermarkecie IGA zawiera zarówno cenę detaliczną podaną w cyfrach, jak i tę samą cenę w układzie CGS oraz cenę jednostkową dystrybutora w kodzie Charleston, zwykle w stopce etykiety. Tym samym każdy, kto wie o kodzie, może wywnioskować z ceny detalicznej powiedzmy 1,49 dolara i maleńkiego TE pod nią, że narzut na jednostkę wynosi prawie sto procent i że supermarket IGA, w którym kupuje, robi go zwyczajnie w wała albo ma koszty pośrednie nie z tej ziemi, w tym prawdopodobnie nieumiejętnie wykorzystany jako dźwignia finansowa dług – często spotykany problem struktury zarządzania

wśród sieci supermarketów na Środkowym Zachodzie. Z drugiej strony z ich punktu widzenia zaletą stosowania przez nie kodu Charleston jest to, że nadmuchiwanie kosztów sprzedanych towarów w Tabeli A jest wśród francyz jednym z najpowszechniejszych i najskuteczniejszych sposobów zaniżenia wyniku w linii 33, zwłaszcza jeżeli detalista używa jednego kodu dla CGS, a dystrybutor innego kodu przy zapisie należności – a większość dystrybutorów korzysta ze znacznie bardziej wyrafinowanego ósemkowego kodu PIS. To dlatego tak wiele dużych audytów korporacyjnych koordynuje się jednocześnie na wszystkich poziomach łańcucha logistycznego. Tego typu skoordynowane audyty przeprowadza region, nierzadko wykorzystując do tego specjalnie wyselekcjonowanych kontrolerów 13. szczebla z Regionalnego Centrum Kontroli; my na poziomie okręgu nie prowadzimy takich audytów.

¹⁰⁵ (Zauważyłem, że jeden z elastycznych mankiecików żółtego pseudozamszowego kaftanika jest przesiąknięty śliną i rękawek na kilka cali w górę przedramienia wygląda na ciemniejszy od drugiego rękawka, co niemowle zdawało się ignorować, a ja w żadnym razie nie zamierzałem się do tego odnosić czy zajmować się tym w jakikolwiek sposób).

¹⁰⁶ Ze względu na duży i praktycznie nieprzerwany przepływ danych obsługiwanych przez IRS jej systemy komputerowe powstawały na bieżąco, a ich konserwacja i ulepszanie odbywały się na tej samej zasadzie. Sytuacja była analogiczna do robót drogowych na ruchliwej autostradzie, na której duże natężenie ruchu powoduje konieczność poważnych napraw nawierzchni, ale jednocześnie utrudnia te naprawy (tj. nie da się po prostu zamknąć drogi, żeby za jednym razem naprawić całość; nie ma gdzie przenieść tego całego ruchu). W dłuższej perspektywie ostatecznie okazało się, że taniej i efektywniej byłoby wstrzymać pracę Służby na krótki okres i przenieść wszystko w skali kraju do nowoczesnego nowo zainstalowanego systemu dyskietkowego. Ale w tamtym czasie podobna rzecz wydawała się nie do pomyślenia, zwłaszcza wobec spektakularnego tąpnięcia w RCK w Rome, NY w 1982, które nastąpiło pod naporem kumulujących się zaległości. Wiele z wprowadzonych przeróbek i modyfikacji miało zatem tymczasowy i połowiczny charakter, a z perspektywy czasu były one oszałamiająco nieefektywne, np. próba podniesienia mocy obliczeniowej poprzez przeróbki przestarzałych urządzeń, które miały je dostosować do pracy z odrobinę mniej przestarzałymi kartami komputerowymi (przy czym karty Powersa miały okrągłe otwory, a nie stare kwadratowe, jak w hollerithach, co wymagało najróżniejszych brutalnych ingerencji w sprzęt Forniksa, który był już stary i sfatygowany).

¹⁰⁷ To, co z punktu widzenia laika może wydawać się oczywistym problemem wywołanym tym działaniem naprawczym – tj. utrata przez system zdolności rejestrowania i klasyfikowania degradacji w hierarchii IRS – w rzeczywistości dla Kadr nie stanowiło aż takiego problemu, jeśli chcieć to porównać z innymi. Faktem jest, że mniej niż 0,02 procent pracowników Izby Rozliczeń Skarbowych spotyka degradacja, w dużej mierze dzięki silnej karcie przetargowej Krajowego Związku Pracowników Departamentu Skarbu. W następstwie jego działań warunki

i bariery proceduralne towarzyszące degradacji stopniowo piętrzone aż do momentu, w którym były nie mniej rygorystyczne od tych, które towarzyszą rozwiązaniu umowy z podaniem przyczyny... Chociaż to wszystko na dobrą sprawę kwestia poboczna, o której wspominam tylko po to, by zapobiec ewentualnym przypadkom dezorientacji po stronie czytelnika.

¹⁰⁸ (Który, przypomnę, był parterem głównego budynku).

¹⁰⁹ Prawdopodobnie należałoby tu wspomnieć o dwóch innych wadach czy słabościach systemu, czy jak tam by to jeszcze zwać, które przyczyniły się do powstania pierdolnika oraz początkowego omyłkowego przypisania mnie do niewłaściwej komórki w Placówce nr 047. Pierwszym problemem było to, że za sprawą ograniczeń narzuconych konfiguracji pewnych kluczowych programów w celu przystosowania ich do kart z okrągłą perforacją dziewięćdziesięciokolumnową Powersa etykiety plików systemu komputerowego Kadr mogły pomieścić jedynie inicjał drugiego imienia, co w przypadku Davida Francisa Wallace'a, nowo przeniesionego z Filadelfii nabytku o dużej wartości, nie wystarczyło, by w systemie można go było odróżnić od Davida Fostera Wallace'a, nowo przyjętego pracownika kontraktowego o niskiej wartości. Drugim, znacznie poważniejszym problemem było to, że pierwotne numery ubezpieczenia społecznego personelu IRS (tj. cywilne numery US przydzielone im w dzieciństwie) są zawsze kasowane i zastępowane w całym systemie nowymi, wydawanymi przez IRS nrmi ubezp., które służą też jako nry identyfikacyjne Służby. Pierwotne nry ubezp. pracowników są „przechowywane” tylko na ich podaniach o pracę, które to podania zawsze kopiuje się na mikrofiszki i deponuje w Narodowym Archiwum Danych, które do roku 1981 zdążyło się rozproszyć po kilkunastu różnych aneksach i kompleksach magazynowych w regionach i słynęło ze złego zarządzania i bałaganu organizacyjnego, i trudno było z niego wydobyć określone dokumenty na czas. Plus etykiety plików w systemie Kadr i tak mogą pomieścić tylko jeden nr ubezp., a jest nim oczywiście ten nowy, zaczynający się od cyfry 9 numer, pełniący funkcję identyfikatora Służby. A że 975-04-2012, który nowy niskowartościowy David F. Wallace otrzymał w toku przyjęcia w trybie przyspieszonym, był także numerem identyfikacyjnym należącym do starszego, wysokowartościowego Davida F. Wallace'a 13. szczebla, dwóch pracowników stało się, przynajmniej z punktu widzenia systemu komputerowego Służby, jedną i tą samą osobą.

¹¹⁰ Dzisiaj wiadomo już, że w rzeczywistości istniał jeszcze trzeci, jeszcze poważniejszy problem systemowy, a mianowicie to, że przed rokiem 1987 systemy komputerowe Służby opierano na modelu integracji sieci znanym dziś pod nazwą „Bad Wheel”. Przy tym wiąże się to z całą masą ezoteryki i wyjaśnień, z których większość tyczy się nie tylko prób naprawy autostrady przy jednoczesnym umożliwieniu ludziom korzystania z niej, o których była mowa powyżej, ale także wrywkowego i improwizowanego charakteru systemów, których utrzymywanie zależało od corocznej puli finansowania dla Pionu Technicznego, która z rozmaitych biurokratycznych / politycznych powodów zmieniała się jak popadło – ale w każdym razie z tym „Bad Wheel” chodzi o to, że

struktura sieciowa Pionu Technicznego w połowie lat osiemdziesiątych przypominała koło z piastą, za to bez obręczy. Co się tyczy interfejsu komputerowego, wszystko szło przez KCK w Martinsburgu. Transfer danych ze środkowo-zachodniego Regionalnego Centrum Kontroli w Peorii do centrali dla Środkowego Zachodu w Joliet wymagał na przykład właściwie dwóch odrębnych migracji – najpierw z Peorii do Martinsburga, a następnie z Martinsburga do Joliet. Modemy i łącza stałe Martinsburga były (jak na tamtą epokę) szybkie i wydajne, a mimo to często występowały opóźnienia w „czasie routingu”, które to bezpłciowe określenie w rzeczywistości odnosiło się do oczekiwania danych przychodzących na rdzeniach magnetycznych mainframe’ów Forniksa w Martinsburgu na swoją kolej w kolejce routingu. Znaczący – zawsze była obsuwa. I ze zrozumiałych powodów kolejka zawsze była najdłuższa, a opóźnienie najpoważniejsze w tygodniach po związaniu z 15 kwietnia przyplwywie indywidualnych zeznań podatkowych. Gdyby system IRS był wyposażony w cokolwiek w rodzaju usieciowienia bocznego, tj. gdyby komputery Systemów / Kadr środkowo-zachodniego RCK były bezpośrednio skomunikowane ze swoimi odpowiednikami z Systemów / Kadr w północno-wschodnim RCK w Filadelfii, cały cyrk z Davidem F. Wallace’em rozwiązano by (a jednocześnie oczyszczono by kogo trzeba z niesłusznych zarzutów) znacznie szybciej. (Już nie mówiąc o tym, że cały model koła bez obręczy kłócił się z tak opiewaną decentralizacją Służby po raporcie Komisji Kinga z 1952, co nie ma tu za dużego znaczenia poza tym, że po prostu dokłada się jeszcze do ogólnego Rube Goldbergowskiego debilizmu całej struktury).

¹¹¹ (Były to wówczas najnowsze dostępne opublikowane dane, a Służba musiała polegać wyłącznie na danych opublikowanych, ponieważ nowy system UNIVAC Departamentu Handlu Stanów Zjednoczonych nie był kompatybilny z przestarzałym sprzętem Forniksa nadal użytkowanym w Martinsburgu).

¹¹² (Teraz prawdopodobnie już rozumiecie, dlaczego ta okazjonalna zabawa z identyfikacją „autora” jest czasami konieczna; okazało się, że w RCK na Środkowy Zachód było dwóch odrębnych Davidów Wallace’ów, a którego z nich ostatecznie oskarżono o podszywanie się, to możecie sobie dośpiewać).

¹¹³ Intuicji przypadkowych faktów.

¹¹⁴ Spontaniczne wtargnięcie danych.

¹¹⁵ Meredith Rand nie robi się mniej powabna czy piękna, kiedy opowiada komuś o rytuałach cięcia się i przyjęciu z żółtymi papierami do Zellera. Za to robi się w mgnieniu oka starsza czy ascetycznie wyciągnięta. Człowiek widzi, nie wyobraża sobie, ale widzi, jak jej twarz będzie wyglądać koło czterdziestki – co tak czy siak jest, jak ogólnie wiadomo, tylko inną formą piękna, mniej odziedziczonym, za to bardziej surowym, „zasłużonym” pięknem, gdzie braki i zmarszczki nie szpecą jej pięknych rysów, a prędzej ujmują je w ramy, ukazują szwy w obliczu, które zostało stworzone, a nie po prostu odbite na chybił trafił. Nos i lekkie rozejście w brodzie Meredith Rand troszeczkę błyszczą w czerwonym świetle atrap płomieni na ścianach.

W tekście wykorzystano cytaty z następujących książek: Emil Cioran, *Święci i łzy*, przeł. Ireneusz Kania, Aletheia, Warszawa 2017; Søren Kierkegaard, *Albo – albo*, przeł. M. Hammermeister, słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2015

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Mikołaj Denderski
Redakcja: Anna Adamiak
Korekta: Grzegorz Krzymianowski, Małgorzata Kuśnierz

Jacket design: © gray318

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6846-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo